



SZYMON NOWAK

**BITWY
WYKŁĘTYCH**

FRONDA

SZYMON NOWAK

BITWY WYKŁĘTYCH

Frona

Spis treści

SZYMON NOWAK

BITWY WYKŁĘTYCH

Wstęp

Kresowe Termopile

Surkonty, 21 sierpnia 1944 roku

Mały Arsenał

Łowicz, 8 marca 1945 roku

Zaplute karły” z AK

Skrobów, 27 marca 1945 roku

Jeńców nie brano

Kuryłówka, 6 maja 1945 roku

Jedna z największych

Las Stocki, 24 maja 1945 roku

Bez jednego strzału

Pabianice, 10 czerwca 1945 roku

W poniemieckich okopach

Majkowice, 8 lipca 1945 roku

Bracia

Kielce, 4/5 sierpnia 1945 roku

Czołgi, krowy i samolot

Sikory, Zaleś, 8/9 sierpnia 1945 roku

Ostatnie naboje majora

Miodusy Pokrzywne, 18 sierpnia 1945 roku

Kłopoty

Radom, 9 września 1945 roku

Strzaskane kości

Gajrowskie, 16 lutego 1946 roku

W plecy do swoich

Radomsko, Graby, 19/20 kwietnia 1946 roku

Tropem złamanej podkowy

Brzozowo-Antonie, 28 kwietnia 1946 roku i Czochanie-Góra, 30 kwietnia 1946 roku

Zaskoczenie

[Zwoleń, 15 czerwca 1946 roku](#)

[Zwoleń, 2011](#)

[Radom, luty 1992](#)

[Jedlanka, czerwiec 1946](#)

[Kielce, czerwiec 1946](#)

[Kielce, październik 1946](#)

[Radom, wrzesień 1946](#)

[Radom, luty 1992](#)

[Warszawa, 1983](#)

[Kielce, grudzień 1946](#)

[Radom, lipiec 1946](#)

[Zwoleń, 2011](#)

[Kielce, styczeń - luty 1947](#)

[Chicago, 1994](#)

[Zamiast zakończenia](#)

[Bibliografia](#)

[Źródła archiwalne](#)

[Źródła opublikowane](#)

[Opracowania, artykuły i wywiady](#)

[2006.](#)

[2009.](#)

[2003.](#)

[Ostatnia strona tej książki](#)

Wstęp

N

iniejsza praca prezentuje największe bitwy stoczone przez polskich żołnierzy podziemia antykomunistycznego oraz niektóre z ich najbardziej spektakularnych akcji. W publikacji nie mogło zabraknąć najbardziej znanych walk - w Lesie Stockim, Kuryłówce, Surkontach i Majkowicach. Opowiedziano również historię szeregu toczonych jedna po drugiej bitew pierwszego szwadronu „Zygmunta” z 5 Brygady Wileńskiej AK „Łupaszkii” oraz bojów 6 Brygady Wileńskiej AK „Wiktora”. Na kartach książki przedstawiono także wstrząsające i kontrowersyjne działania 3 Wileńskiej Brygady Narodowego Zjednoczenia Wojskowego „Burego”, wraz z dramatyczną bitwą w Gajrowskich, oraz nieudaną akcją oddziałów „Zagończyka”, zakończoną niespodziewaną walką pod Zwoleniem. Zmagania polskich żołnierzy powstania antykomunistycznego to jednak nie tylko bitwy, to także akcje bojowe na komunistyczne więzienia. Walki (> uwolnienie braci i towarzyszy broni toczyły się w Kielcach, Radomiu, Radomsku. W obozie NKWD w Skrobowie, aby odzyskać wolność, wywodzący się z AK więźniowie sami chwycili za broń. Natomiast w Łowiczu i Pabianicach polscy konspiratorzy za pomocą przebiegłych fortelów bez strzałów wtargnęli do więzień i uwolnili skazańców.

Zanim usiadłem i zacząłem pisać o bitwach, potyczkach i akcjach Żołnierzy Wyklętych, zastanawiałem się, w jaki sposób najlepiej opowiedzieć o tych niecodziennych, wyjątkowych i nierównych zmaganiach. O tej prowadzonej odwiecznej walce dobra ze złem, która w powojennej Polsce przyjęła z jednej strony postać Żołnierzy Wyklętych, z przeciwnej zaś — sowieckich żołdatów Czerwonej Armii i NKWD, polskich żołnierzy z komunistycznej armii tzw. „ludowej” i funkcjonariuszy UB oraz MO. Bo przecież tej walki nie można w żaden sposób porównać do średniowiecznych bitew, mających coś z rycerskich pojedynków, gdzie, jak pod Koronowem, rycerze polscy i krzyżacy robili sobie przerwy w boju za obopólną zgodą. Bitwy Wyklętych to też nie starcia epoki napoleońskiej, z wielkimi szarżami oddziałów kawalerii, podczas których kule armatnie żłobiły krwawe tunele w olbrzymich masach wojskowych kolumn. Starciom polskiego podziemia antykomunistycznego daleko również do walki pozycyjnej i okopów pierwszej wojny światowej czy też niemieckiego *Blitzkriegu* z początków drugiej.

Z jednej strony czasami Wyklęci i ścigający ich żołnierze „ludowego” Wojska Polskiego czy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego dogadywali się i rozchodzili

bez oddania strzału. Honorowo, jak turniejowi rycerze średniowieczni. Ale na przykład pod Kuryłówką na Sowietów z NKWD spadł niespodziewany atak konnej grupy z oddziału „Wołyniaka”, co wywołało panikę w szeregach sowieckiej kompanii. Innym razem, pod wsią Brzozowo-Antonie do szarży na komunistów ruszył „Bury” ze swymi konnymi zwiadowcami. Polscy niezłomni partyzanci ostatniego z powstań, podobnie jak w przypadku konwencjonalnych bitew ówczesnych światowych armii, musieli częstokroć stawiać czoła atakującym ich samolotom, czołgom, samochodom pancernym i transporterom opancerzonym oddziałów komunistycznego wojska i ich sowieckich sojuszników. Wykłęci strzelali do czołgów i niszczyli samochody pancerne wroga. Niejednokrotnie ich pozycje ostrzeliwane były przez pociski artylerii i moździerzy, a przedpole złościł ogień prowadzony z najcięższych karabinów maszynowych, cekaemów i erkaemów. Nie była to wojna pozycyjna, ale czasami do obrony wykorzystywano okopy, jak w przypadku ciężkich zmagania pod Majkowicami. Walki Wykłych przybierały różne formy, nic chyba najbliższej im do partyzanckiej wojny szarpanej Powstania Styczniowego — potyczka, odskok, ucieczka przed obławą, obrona i wyjście z okrążenia. Potem kolejny atak, zmiana terenu i odpoczynek w najbliższej leśnej głuszy.



*(Grupa partyzantów z 5 Brygady Wileńskiej AK mjr. Zygmunta Szęndzjelarza „Lupaszki”.
Stają od lewej: Rajmund Drozd „Mikrus”, Roman Rjogucki „Mucha”, „Willi”, NN, NN, Zofia Waryńska
„Zosia”, NN, „Lisek”, „Osterwa”.*

Na dole (7) Władysław Kendyś, „Tarzan”

(Instytut Pamięci Narodowej)

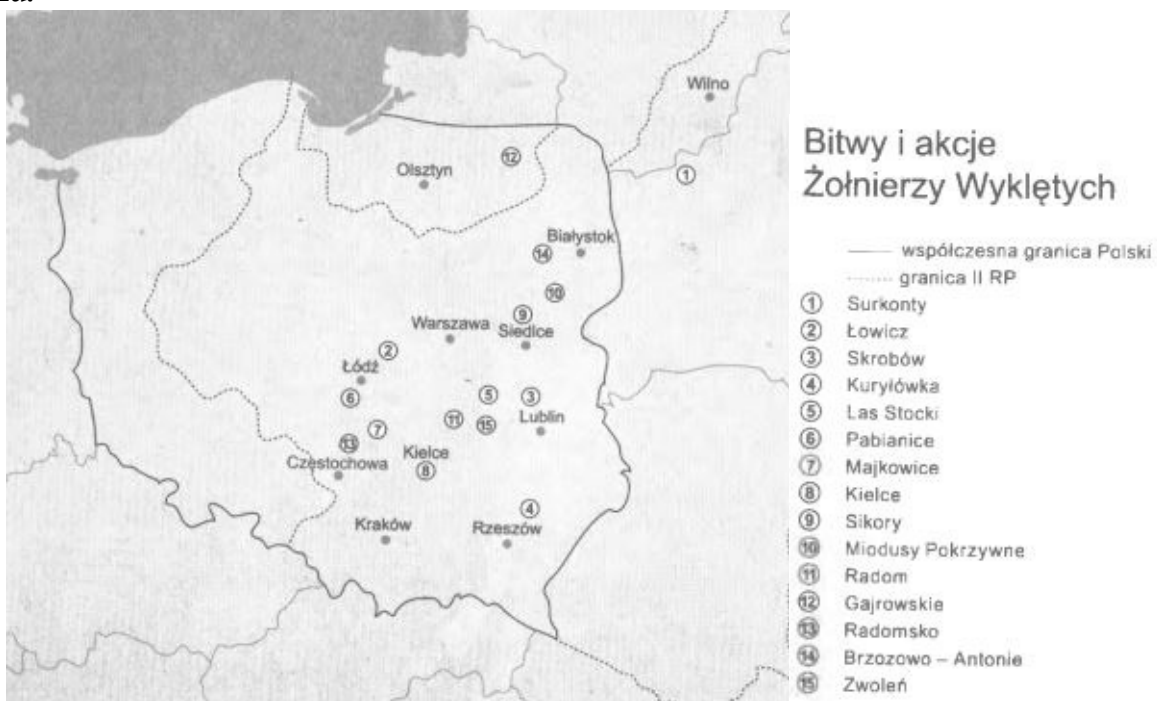
Kiedy zamykam oczy i myślę o bitwach Wyklętych, widzę młodą sanitariuszkę opatrującą rany funkcjonariuszy UB i milicji - swoich wrogów, którzy przed momentem gotowi byli do niej strzelać pomimo opaski z czerwonym krzyżem na jej ramieniu. Dziewczyna postępuje w imię maksy największego wodza naszej cywilizacji, Napoleona Bonaparte, który po najbardziej krwawej jednodniowej bitwie wszech czasów, pod Borodino, powiedział, że po walce nie ma wrogów, są tylko ludzie... Potem niejeden z tych opatrzonych i uratowanych przez nią, w imię sprawiedliwego ładu społecznego, kłamliwie zezna przed sądem przeciw tej samarytańskiej dobroci. Ponownie zamykam oczy i słyszę głos podkomendnych „Burzy”, którzy osaczeni pod Majkowicami, widząc masę sowieckich żołdatów, mówili: „Panie komendancie, tu nasze Termopile chyba b ę d ą ...”. Albo słowa „Antka” z Szarych Szeregów, który przed akcją na łowickie więzienie polecił swoim harcerzom przysięgać na krzyż Chrystusa, że do ludzi z UB nie będą strzelać, bo to przecież też Polacy. I to dramatyczne pożegnanie najznamienszego antykomunistycznego partyzanta - majora „Łupaszk”, który idąc na śmierć ze swojej celi, zostawił współtowarzyszom niedoli swoje ostatnie słowa: „Z Panem Bogiem”.

Poznanie szczegółów na temat walk polskich partyzantów, ich bitew i akcji, pozwoli lepiej zrozumieć działanie Żołnierzy Wyklętych i targające nimi sprzeczności: bić się czy nie? Chciałbym, by prezentowana książka skłoniła czytelnika do zgłębienia i usystematyzowania wiedzy o zawiłej historii naszej ojczyzny z lat 1944—1947. Czasu, w którym na ziemiach polskich rozgrywało się powstanie antykomunistyczne, a walka o wolność naszego kraju wkraczała w decydujący dla przyszłości Polski okres. Praca ta nie pretenduje do miana naukowej monografii, a bitwy i akcje Wyklętych przedstawione zostały w sposób popularyzatorski, częstokroć w formie zbeletryzowanej opowieści. To pierwsza taka książka, skupiająca na swych kartach szczegółową historię bitew i akcji żołnierzy tzw. drugiej konspiracji. Dodatkowym jej atutem są mapy zamieszczone w każdym z piętnastu rozdziałów. W niektórych częściach książki opowiedziane zostały również powojenne losy wybranych dowódców oraz innych bohaterów tamtych walk.

W tym miejscu chciałbym podziękować Osobom i Instytucjom, dzięki którym mogłem poszerzyć swoją wiedzę o Żołnierzach Wyklętych, ale przede wszystkim odpowiednio zilustrować niniejszą pracę archiwalnymi i współczesnymi zdjęciami. Dziękuję bardzo: Lidii Lwow-Eberle, Teresie Hedzie-Snopkiewicz, Stanisławowi Burzy-Karlińskiemu, Aleksandrowi Arkuszyńskiemu, Adamowi Arkuszyńskiemu, Michałowi Bernaciakowi, Dionizemu Garbaczowi, Cezaremu Imańskiemu, Pawłowi Kendrze, Krystianowi Pielasze, Andrzejowi Pityńskiemu, Pawłowi Reisingowi, Kazimierzowi Szymańskiemu, ks.

Stefanowi Wysockiemu, Wiesławowi Wysockiemu, a także: Electronic Museum, Fundacji Niezłomni, Instytutowi Pamięci Narodowej, Narodowemu Archiwum Cyfrowemu, Stowarzyszeniu Szarych Szeregów Oddział w Łowiczu, Światowemu

Związkowi Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Radom i Urzędowi Miejskiemu w Łowiczu.



Tak myślał jeden z polskich partyzantów, stojący w najbardziej na północ wysuniętej czujce. Obserwował przez lornetkę sąsiednią wioskę Pielasę i przylegające do niej drogi. Miał przykazane, aby zwracać szczególną uwagę na tę litewską wieś i jakiegokolwiek ruchy odbywające się w jej granicach. Patrzył z lewa na prawo, a potem z powrotem i dalej, aż po horyzont. Później kładł się na plecach i, żując żdźbło trawy, patrzył w górę za goniącymi po niebie skowronkami. Słońce grzało mocno i oślepiało go swym blaskiem. Aby nie zasnąć, znowu zaczął lustrować najbliższą okolice, ale wszędzie panował spokój. Partyzant powrócił do swojej ulubionej pozycji, moszcząc się wygodnie w zielonej trawie.

Nagle żołnierzowi trwającemu na warcie wydało się, że słyszy coś jakby dalekie brzęczenie roju pszczół. Natychmiast przyłożył lornetkę do oczu i powiódł wzrokiem w kierunku litewskiej wioski, a potem tam, skąd wydawał się dochodzić dziwny odgłos. Patrzył długo i dokładnie, ale początkowo nic nie było widać. Mimo to szum narastał. Nagle od północy zza lasu wyłoniła się ciężarówka i, nie wjeżdżając do Pielasy, zatrzymała się przed pierwszymi zabudowaniami. Spod plandeki zaczęli wyskakiwać uzbrojeni Rosjanie. Potem podjechało jeszcze kilka samochodów, dowożąc coraz więcej żołnierzy. Wartownik nie czekał na to, co będzie dalej. Przeżegnał się i, czołgając do tyłu, wycofał z punktu obserwacyjnego. Gdy znikły za nim chaty i wrogie ciężarówki, wstał i, nie oglądając się za siebie, pędem zbiegł do Surkont, aby jak najszybciej ostrzec swych towarzyszy przed niebezpieczeństwem.



Major „Kotwicz” cierpiał bardzo. Nie do końca zagojony kikut uciętej ręki palił go niemiłosiernie i trawił gorączką całe ciało. Wydawało mu się, że boli go głównie ta ręka, której już przecież nie było.

Próbował tłumić ból gdzieś w środku, ale nie zawsze udawało mu się oszukać siebie i swoich żołnierzy. Szybko uczył się posługiwać tylko lewą ręką. Nawet pistolet umiał już w nią chwycić i całkiem celnie strzelał. Ale wiedział, że wymuszonym uśmiechem mającym przykryć grymas bólu nie oszuka najbliższych współpracowników.

Ból ramienia to nie wszystko. Major był rozbity w środku i psychicznie złamany jako żołnierz i jako dowódca. Maciej Kalenkiewicz na wojnie przeszedł już wiele. Walczył we wrześniu 1939 roku, był w partyzantce u „Hubala”, potem przedostał się do Francji i dołączył do polskiej armii gen. Sikorskiego. To „Kotwicz” był jednym z propagatorów lotniczego wsparcia armii podziemnej w kraju i zorganizowania zrzutów skoczków spadochronowych nazwanych później cichociemnymi. Sam był jednym z pierwszych, którzy zostali zrzućeni na teren Polski. Potem trafił do Okręgu Nowogródzkiego „Nów”

AK i był pomysłodawcą operacji „Ostra Brama”, czyli próby samodzielnego wyzwolenia Wilna przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

Ostatecznie nie wziął w niej udziału, ponieważ kilka dni wcześniej został ranny w

rękę tak dotkliwie, że konieczna była amputacja.

Już na samo wspomnienie akcji wileńskiej „Kotwicz” wzburzał się niezmiernie i wszystko w nim grało. Może niepotrzebnie się denerwował, ale jako twórca tej koncepcji wiedział, że wszystko poszło nie tak, jak powinno. Według jego planów do walki o miasto miało ruszyć około dwunastu tysięcy żołnierzy z AK. Powinno to wystarczyć, aby wymieść z Wilna Niemców, i tak zagrożonych już nadciągającym frontem ze wschodu. Cóż z tego, jeśli do bitwy stanęła mniej niż połowa polskich żołnierzy. A do tego większość z nich działała jedynie poza miastem, atakując wycofujące się niemieckie oddziały.

Nic więc dziwnego, że dopiero kiedy sowieckie wojsko ruszyło do natarcia, Wilno zostało oswobodzone wspólnymi siłami przez Rosjan i Polaków.



Falszywa kenkarta mjr. Macieja Kalenkiewicza „Kotwiczą” wystawiona na nazwisko Jana Kaczmarka, 1942 r.

(Electronic Museum)

I wówczas zaczęła się gra. Podobno Sowietci byli zachwyceni polskimi partyzantami. Obiecywali utworzyć osobne dywizje i brygady z żołnierzy AK i wyposażyc je tak, jak sobie tego życzyli Polacy. To była tylko maska. Na rozmowy z wysokimi rangą dowódcami radzieckimi zaproszono polskich oficerów z ppłk. Aleksandrem Krzyżanowskim „Wilkiem” na czele i na wstępie wszystkich aresztowano. Stało się to tak szybko, że mający pilnować bezpieczeństwa Polaków partyzancki oddział por. „Wilhelma” nawet nie zdążył zareagować. Osamotnione polskie oddziały do Puszczy Rudzkiej wyprowadzili oficerowie zastępujący aresztowanych. Droga do puszczy i pobyt tam był to dla zgrupowania AK czas ciągłych sowieckich prowokacji, nagłych ostrzeliwań, lotniczych bombardowań i nieustannie powtarzanych propozycji złożenia broni. Wszystko to doprowadziło do rozwiązania kilkutyśięczonego zgrupowania AK i rozejścia się ludzi.

Większa część powróciła do domów, inna grupa odeszła na zachód, a z majorem

„Kotwiczeni” na Nowogródzczyźnie pozostała ledwo setka partyzantów. I to jeszcze bardziej bolało majora. Dużo mocniej od niepowodzeń wileńskich i o wiele bardziej od ciągłego tępego bólu uciętej ręki. Trudne były wspomnienia ostatnich dni. Z kilkunastu tysięcy żołnierzy AK będących jeszcze przed miesiącem do dyspozycji ppłk. „Wilka”, pozostała ledwie garstka. Tu, w Surkontach, po dołączeniu kpt. Bolesława Wasilewskiego „Bustromiaka” i jego ludzi, było ich razem raptem około siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu żołnierzy. To zbyt mało, aby podejmować jakąkolwiek akcję. Dlatego też ciągle słaby po amputacji ręki major zaczął się w polskich zaściankach i skupił w tym czasie jedynie na przetrwaniu.

Helena Nikicicz „Czarna Magda”, prywatnie matka adiutanta majora, krzątała się po gościnnej izbie. Szykowała dla dowódcy deser — jego ulubiony przysmak — kogelmogel. Kątem oka widziała przez okno pracującego majora i swego syna. „Kotwicz” coś dyktował, a „Orwid” próbował wszystko uważnie spisywać. W mocnym głosie majora słycać było pewność siebie, ale z dyktowanych treści wynikało już coś zupełnie innego. Przez otwarte szeroko okiennice do izby wpadały strzępy zdań i „Czarna Magda” mimochodem notowała w pamięci fragmenty wypowiedzi „Kotwiczą”.

— Zamiarem władz sowieckich jest likwidacja naszych oddziałów ... — mówił komendant. — Naszą walkę o Wilno bolszewicy w swojej propagandzie przypisują nieistniejącym oddziałom litewskim i białoruskim ... Istniało przypuszczenie, że bolszewicy zechcą wykorzystać nasze jednostki na froncie po ich dozbrojeniu, pozostawiając ich likwidację na bardziej sprzyjający moment...

Na naradę ze strony sowieckiej przybyło samochodami ponad stu funkcjonariuszy NKWD, którzy aresztowali kilkunastu naszych oficerów ... Haniebnie rozbiegliśmy się nawet nie pod ciosami przeważających sił, a jedynie ulegając naciskowi chwytów propagandowych N K W D ...

Dalszej części już nie słyszała. Zabrała prawie gotowy deser i zaniosiła go majorowi. Ten uradował się, widząc swój przysmak, ustawił garnuszek pomiędzy kolanami, a lewą ręką próbował jeszcze dokładniej utrzyć żółtka z cukrem. I wtedy nadbiegł chłopak z warty.

— Sowieni! — wykrzyknął, a to jedno słowo z miejsca postawiło cały oddział na nogi. Natychmiast sięgnęli po broń, amunicję i pozdejmowane mundury, a major z pistoletem w lewej ręce poprowadził partyzantów na stanowiska.



Sowiecka Grupa Wywiadowczo-Poszukiwawcza 3 Batalionu 32 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców Wojsk Wewnętrznych NKWD, załadowana na ciężarówkę, rażno mknęła naprzód. Oddziałem dowodzili starszy lejtnant Korniejko i młodszy lejtnant Bleskin, a ich celem miało być bandyckie zgrupowanie, które znajdowało się w rejonie chutoru Surkonty. Takie dyspozycje otrzymali bezpośrednio od naczelnika spraw wewnętrznych w Raduniu, kapitana bezpieczeństwa Czikina. Zgodnie z wydanym

rozkazem mieli całkowicie zlikwidować bandę polskich legionistów, o której agenci donosili, że stacjonuje w tych okolicach.

Radzieccy dowódcy doskonale rozumieli, że Armia Czerwona zmagająca się z hitlerowskimi Niemcami musi mieć spokojne zaplecze. Na pamięć znali rozkazy z najwyższego szczebla mówiące, że wszystkich uzbrojonych „białych” Polaków należących do Armii Krajowej lub innych organizacji należy natychmiast rozbijać i aresztować. Według radzieckiej propagandy polscy legioniści z AK współdziałali z Niemcami przeciwko radzieckiej partyzantce. A po przejściu frontu, zamiast grzecznie złożyć broń i zdać się na łaskę lub nie łaskę czerwonarmistów, część Polaków pozostała w lesie. Jak głosiły oficjalne wytyczne samego Józefa Stalina, w szeregach polskich organizacji niepodległościowych pełno było faszystowskich szpiegów i pomocników Hitlera. Co tłumaczyło bezwzględną surowość, z jaką traktowano polskich legionistów z podziemnej armii.

Amerykańskie samochody ciężarowe z wymalowanymi na kabinach czerwonymi gwiazdami bez trudu pokonywały wstęgi polnych dróg.auta były całkiem nowe. Zdradzała to świeża, nieporysowana jeszcze farba i pracujące bez problemów na wysokich obrotach silniki. Przyplłynęły niedawno do ZSRR drogą morską w jednym z konwojów z Zachodu, w ramach anglosaskiej pomocy *Lend-Lease*. A teraz śmigały po bezdrożach przedwojennych polskich Kresów Wschodnich, pracując na chwałę Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego (WBW) NKWD.

Pierwszy samochód na rozkaz dowódcy zatrzymał się jeszcze przed wsią, blokując drogę reszcie wozów. Kompania NKWD sprawnie opuściła pojazdy i stanęła do zbiórki. Sowiecki dowódca podzielił swój oddział na dwie grupy. Jeden pluton z ciężką bronią (cekaemy i erkaemy) obsadził południowy kraniec wsi Pielasa, zajmując stanowiska obronne skierowane w stronę Surkont. Pozostałą część kompanii poprowadził osobiście st. lejtnant Korniejko wraz ze swym zastępcą Bleskinem. Oddział ten pomaszerował najpierw na zachód, ale tuż przed mokradłami zwanymi Kamiennym Mostem skręcił na wschód, wprost na zabudowania Surkont.

Idący w środku grupy Korniejko nie spodziewał się większego oporu. Myślał, że będzie to raczej pokaz siły radzieckiego wojska i pacyfikacja bezbronných cywilów, którzy, na swą zgubę, pomagali polskim partyzantom. Dlatego też bez zbędnej - zdaniem dowódcy - ostrożności uzbrojona kilkudziesięcioosobowa grupa maszerowała przez podmokłą łąkę. Kilka dni wcześniej Sowieci pobili jakieś dwa zgromadzenia polskich „bandytów”. Po pierwszych strzałach *Bielopoliaki* uciekały w popłochu. W zamyśle sowieckiego dowódcy tak miało być i teraz. Nawet jeśli w zabudowaniach kryli się uzbrojeni polscy „bandyci”, to na widok kompanii NKWD jak najprędzej dadzą nogę w przeciwną stronę.



Partyzanci z Nowogródzczyzny rozwijają linię obrony
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

Tymczasem Sowieci, idący tyralierą pluton za plutonem, powoli zbliżali się do polskiego zaścianka. Maszerując, pokonywali nierówną podmokłą łąkę, a miejscami musieli omijać niewielkie sadzawki pełne wody. Teren łączki graniczył z leżącymi na prawo niedostępnymi bagnami. Mijając wodne oczka, radziecka tyraliera przełamała się, a żołnierze ustawili się jeden za drugim, by pokonać wąskie przejścia pomiędzy nimi. Zamiast bojowej linii powstało coś na kształt kolejki po obiad w wojskowej kuchni polowej. Zabudowania zaścianka były coraz bliżej, o rzut granatem, jak by powiedzieli wojskowi. I wtedy zagrały polskie karabiny.

Widząc zbliżające się zastępy sowieckiego wojska, major w ciszy zarządził alarm i rozstawił na pozycjach podległych sobie żołnierzy.

Na prawym skrzydle znaleźli się: „Kotwicz”, rtm. Jan Skrochowski „Ostroga” i adiutant majora — pchor. „Orwid”. Obok zajęła stanowisko obsługa erkaemu. Lewym skrzydłem, znajdującym się na wprost zbliżającego się nieprzyjaciela, dowodzili: kpt. Bolesław Wasilewski „Bustromiak”, jego brat por. Walenty Wasilewski „Jary” i kpt. Franciszek Cieplicki „Hatrak”. Polska linia obrony skupiona pośród zabudowań zaścianka liczyła może z pół kilometra długości, a dowódca miał do swej dyspozycji ogółem około siedemdziesięciu uzbrojonych i gotowych do walki żołnierzy.

„Orwid” trzymał się blisko swego dowódcy. Widział, jak ten daje na migi znak, że otworzenie ognia ma nastąpić wyłącznie na jego wyraźny rozkaz. Młody podchorąży ze zdenerwowania mocno ścisnął w dłoniach swoją pepeszę i ukradkiem ocierał pot z

czoła. Po chwili zdjął rogatywkę, ucałował orła i przeżegnał się z namaszczeniem.

W tym czasie „Kotwicz” dyskretnie obchodził stanowiska polskiego prawego skrzydła i obserwował przez lornetkę przedpole. W oddali majaczyły domy litewskiej wsi, dało się też już dostrzec sowieckich żołnierzy. Ale póki co szeregi nieprzyjaciół zbliżały się z drugiej strony, w kierunku odcinka trzymanego przez żołnierzy „Bustromiaka”. Kiedy zwarte szeregi napastników przełamały się, aby omijać zagłębienia z wodą, major podniósł lewą rękę i, celując z pistoletu w bolszewików, wystrzelił pierwszy. Kula z broni „Kotwiczą” była z tej odległości niegroźna dla Sowietów, ale zaraz za nią odezwały się karabiny maszynowe, peemy i karabiny polskiego lewego skrzydła.

Szczególnie erkaemy polskich partyzantów prowadziły celny ogień.

Trafieni bolszewicy padali pokotem, niektórzy, lądując z pluskiem w sadzawkach, wzburzali wielkie fontanny wody. Już na początku nawałnicy ogniowej Sowietów ponieśli poważne straty. Rany otrzymali obaj sowieccy dowódcy. Żołnierze próbowali wyciągnąć swych lejtnantów spod ostrzału i przetransportować ich na zaplecze. Inni rzucili się na ziemię i zaczęli się ostrzeliwać, ale początkowo z marnym skutkiem. Dopiero po kilku minutach, gdy polski ogień zaczął słabnąć ze względu na deficyty amunicji, Sowietów opanowali chaos w swych szeregach. To wtedy na naszym lewym skrzydle został trafiony i chwilę potem zmarł por. „Jary”. Również kpt. „Bustromiak” obficie krwawił z rany koło oka i skroni. Tymczasem Rosjanie ostrzelali Surkonty od północy, umożliwiając swoim żołnierzom wycofanie się. „Orwid” trzymał w ręku dymiącą jeszcze pepeszę z parzącą lufą, z której wystrzelił prawie dwa dyski amunicji.

Szeroko otwartymi oczami patrzył wciąż na pole bitwy. Naliczył około trzydziestu ciał w radzieckich mundurach NKWD leżących nieruchomo wśród mokradeł. Niektórzy ranni próbowali czołgać się ku swoim, ale nikt już do nich nie strzelał. Walka, jak gwałtownie się rozpoczęła, tak raptem się zakończyła. Po kilkunastu minutach zapanowała cisza, jak gdyby nic nie wydarzyło się w to letnie popołudnie. Jedyne dochodzące z daleka jęki rannych Sowietów pozostawionych na przedpolu świadczyły o stoczonej przed chwilą bitwie.

Na rozkaz „Kotwiczą” polscy dowódcy wycofali się z pierwszej linii do obszernej stodoły, aby omówić sytuację i podjąć decyzję, co dalej. Zrozpaczony po śmierci brata i ranny „Bustromiak” zaproponował natychmiastowe wycofanie się do lasu.



*Major Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz” (na białym koniu podczas inspekcji w 1 batalionie 77 pp
AK, Mociwczuki nad Niemnem, luty 1944 r.*

(Narodowe Archwium Cyfrowe)

— Ale co z rannymi? — zapytał logicznie major.

— Lekko rannych zabiorę ze sobą - odparł prędko „Bustromiak”.

— A reszta? Jeśli porzucimy ich tutaj, to marny ich los. Gdybyśmy zostali do zmroku, moglibyśmy przetransportować wszystkich bezpiecznie. Co pan na to, kapitanie? — „Kotwicz” zwrócił się do „Hatranka”, który bez wahania zgodził się z dowódcą. Ale „Bustromiak” nie dawał za wygraną i w końcu uzyskał zgodę majora na przygotowanie do wycofania grupy lekko rannych.

Jak do tej pory „Kotwicz” był zadowolony ze starcia. Pierwszy atak został odrzucony z wielkimi stratami dla nieprzyjaciela. Zanim Sowieci wyliżą rany, zbiorą się do kupy i otrzymają posiłki, będzie już ciemno. A wtedy cały polski oddział ze wszystkimi rannymi zdoła wyrwać się z matni. Major z nadzieją patrzył w najbliższą przyszłość.

Przytaknął nawet prośbie jednego z gospodarzy, który, wykorzystując przerwę w walce, chciał zwieźć zboże z pola.

— Bogu dzięki, że żyjesz! - po naradzie zaczęła „Orwida” matka.

— Mamuś, weź to i dobrze ukryj. - Adiutant majora podał „Czarnej Magdzie” jakieś zawiniątko. Jak się potem okazało, były to ostatnie rezerwy złota i dolarów Nowogródzkiej Komendy AK.

— A ty? Co z tobą, synku?

— Wracam. Nie skończyło się przecież jeszcze...



Rosjanom bardzo ciężko było wydostać spod gęstego ostrzału swoich rannych. Dlatego ograniczyli się do ewakuacji jedynie postrzelonych ciężko dowódców. Korniejko był nieprzytomny, kiedy znoszono go z pola bitwy. Natomiast Bleskin rozkazał natychmiastowe wezwanie posiłków i, zanim skonał, przekazał dowództwo starszemu sierżantowi. Na jednej z ciężarówek znajdowała się radiostacja, za pomocą której udało się połączyć z dowództwem w Raduniu. W eter poszło rozpaczliwe wezwanie:

— Tu Surkonty, tu Surkonty Jesteśmy bici przez *BielopoHaków*. Dowódcy konający. Przyślijcie natychmiast posiłki. Odbiór. Tu Surkonty, tu Surkonty!

Po tym desperackim apelu resztki kompanii NKWD obsadziły Pielasę i drogi z niej wychodzące. Sowieci nie mieli dość sił, aby drugi raz atakować. Żyli nadzieją, że Polacy również zostawią ich w spokoju i ojedną bez walki na niezajęte tereny - na wschód lub na bagna. Nerwowo trwając na stanowiskach i obserwując Surkonty, oczekiwali na odsiecz.

Po półgodzinie od wezwania na trzydziestu ciężarówkach przyjechał cały 3 Batalion NKWD prowadzony przez kpt. Szuglię, wzmocniony dodatkowo oddziałem milicji. Wraz z posiłkami dotarł na miejsce sam nacelnik bezpieczeństwa z Radunia - Czikin, aby osobiście dopilnować rozbicia polskiej „bandy”. Obaj przybyli kapitanowie przejęli dowodzenie nad całością grupy bojowej, tym bardziej że w międzyczasie zmarł na skutek ran także st. lejtnant Korniejko.

Komuniści zabezpieczyli cały teren i opasali ścisłym kordonem Surkonty, w taki sposób, aby nikt żywy nie zdołał wydostać się z okrażenia. Grupy NKWD znalazły się między innymi na południe od polskiego zaścianka, w Pielasie Starej, już za bagnami. A główny trzon sowieckich wojsk gotował się do kolejnego natarcia, mającego wyjść tym razem z drugiej strony litewskiej wsi, bardziej od wschodu. Obsługi cekaemów zajęły wyznaczone stanowiska na skrzydłach planowanego ataku, a sowieccy dowódcy przez radiostację wezwali na pomoc dodatkowo samoloty bojowe. Gotowi do natarcia oczekiwali na przylot wsparcia lotniczego.

Kilkanaście minut później obserwowali, jak nadleciały samoloty i zatoczyły łuk nad chutorem. Dowodzący wystrzelili rakiety, dając znak pilotom, gdzie znajduje się nieprzyjaciel i jakie cele należy atakować. Samoloty uderzyły z niskiego pułapu, ostrzeliwując pociskami zapalającymi zabudowania, w których schowali się Polacy. Kiedy pośród budynków pojawił się dym i pojedyncze słupy ognia, sowieccy kapitanowie dali znak do natarcia. Wówczas odezwały się ze skrzydeł cekaemy. Szczególnie jeden z nich, usytuowany na wzgórzu na lewym skrzydle Rosjan, miał znakomity wgląd w sam środek polskich pozycji. Celowniczy widział dokładnie stanowisko polskiego dowództwa i erkaemu. Właśnie w tym kierunku prowadził ogień w czasie, gdy z jego prawej strony ruszyli do boju towarzysze z NKWD. Brał na cel

kolejno obsługę polskiego erkaemu i jakiegoś oficera z dziwnie sflaczałym prawym rękawem munduru.

Samoloty zrzuciły jeszcze kilka małych bomb i odleciały, zostawiając za sobą płonące Surkonty, do których od północy zbliżała się już szeroka linia sowieckich żołnierzy.



Kiedy sowieccy dowódcy dali samolotom bojowym znak do ataku, w Surkontach rozpełtało się piekło. Dymyły domostwa, a ogień rozprzestrzeniał się błyskawicznie, łatwo przenosząc się z jednego słomianego dachu na sąsiedni.

Major „Kotwicz” pobiegł na pierwszą linię polskiej obrony i ponownie znalazł się wraz z „Orwidem” i „Ostroga” na prawym skrzydle, tuż przy stanowisku erkaemu.

— W imię Boże — rzekł jednoręki major. Wszyscy troje przeżegnali się z namaszczeniem, widząc nadciągające mrowie sowieckich żołnierzy.

I wtedy rozjazgotały się sowieckie cekaemy. Pociski leciały z każdej strony. Z góry, z prawa, z lewa i z centrum. Nie było takiego miejsca, gdzie można by się schować przed ogniem. Rozwiewany przez wiatr dym dławiał płuca i nie pozwalał wziąć głębokiego oddechu.

Strzelały deski w skwierczących w ogniu walących się drewnianych chałupach.

Pierwsza wroga seria rozbiła polski erkaem znajdujący się tuż przy „Kotwiczu”, zabijając na miejscu celowniczego. Drugi partyzant, ten od amunicji, również trafiony, odczołgał się na bok i dogorywał teraz w samotności, jęcząc cicho. Następna seria strąciła liście z drzew i odłupała parę drzazg ze ściany nad „Kotwiczeni” i „Orwidem”. Ale kolejna nie chybiła już celu.



*Partyzanci z Nowogródzczyzny na stanowisku z cekaemem Maxim
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)*

Pierwszy zginął „Ostroga”. Major Kalenkiewicz padł martwy trafiony kulą prosto w czoło. Jego adiutant próbował go jeszcze ratować i odciągnąć poza zasięg nieprzyjacielskiego ognia, ale natychmiast dostał trzy pociski w pierś i znieruchomiał u nóg swego dowódcy.

Widząc śmierć komendanta, kilku spanikowanych partyzantów rzuciło się do ucieczki. Zostawili towarzyszy na stanowiskach i próbowali ratować własne życie. Zdezorientowani nie wiedzieli, w którym kierunku się wycofywać, i kluczyli raz w jedną, raz w drugą stronę, otumanieni przez gęsty, duszący dym. Zamieszanie potęgowali cywile, którzy również chcieli za wszelką cenę wyrwać się z otchłani tego piekła. Ogień, dym i świszczące kule otaczały ich zewsząd. Ryki palonych żywcem zwierząt i okrzyki ciężko rannych uwięzionych w płonącej stodole dopełniały obrazu zniszczenia. Pomimo tego nieliczni polscy żołnierze pozostali w obronie i strzelali do końca na oślep z kłębow dymu, celując w kierunku zbliżających się wrzasków sowieckich żołnierzy.

— *Urrra! Urrra!* — Okrzyki idących do ataku enkawudzystów zdołałyby zmrozić krew w żyłach nawet najodważniejszych. Byli coraz bliżej.

Polaków, którzy zostali na stanowiskach, rozjuszeni walką i wcze śniejszymi niepowodzeniami Sowici roznieśli na bagnietach, nikogo nie oszczędzając. Wkrótce

po prawym skrzydle obrony padło i lewe, już wcześniej osłabione przez odejście „Bustromiaka” z rannymi.

Bitwa powoli zamierała i cichły coraz rzadsze strzały. Gdzieniedzie jeszcze ciszę rozrywał nagły okrzyk dobijanego polskiego partyzanta i palonego żywcem w stodole człowieka albo cichy przed śmiertelny skowyt rannego żołnierza. Do zaścianka wkraczali zwycięscy Sowieci. Walka była skończona.



W czasie gdy nad polskie pozycje nadlatywały samoloty nieprzyjaciela, kpt. „Bustromiak” zgodnie z ustaleniami zbierał grupę rannych do ewakuacji. Wokół siebie zgromadził kilkunastu partyzantów, najczęściej niegroźnie ranionych, i kilka kobiet. Tuż przed głównym natarciem wyprowadził ludzi na wschód od zaścianka i tam udało mu się znaleźć lukę w sowieckim oblężeniu — małą przerwę w pierścieniu NKWD, w sam raz na wycofanie się w ciszy całego polskiego oddziału. Mając przed sobą wolną drogę i możliwość odejścia bez szwanku, kapitan, do którego dotarły już dźwięki rozgrywającej się właśnie krwawej bitwy, zawahał się. Obejrzał się raz i drugi na płonące za plecami piekło. Pomyślał o „Kotwiczu” i towarzyszach.

— Zaczekajcie! — Wstrzymał wszystkich i nasłuchiwali przez moment. - Nie słyhać ognia erkaemu naszej prawej flanki. Tam miał być major. Trzeba sprawdzić, co z nim, i przekazać chłopakom, że tutaj jest droga otwarta. Mają jeszcze szansę się wycofać.

Głos „Bustromiaka” brzmiał nienaturalnie głośno w przejmującej ciszy, jaka zaległa wśród żołnierzy. Długo nie padła żadna odpowiedź. Zbyt długo. I wtedy z szeregu wystąpiła młoda, piękna sanitariuszka Eleonora Kolendo „Teresa”.

— Ja pójde! — Jej odważna decyzja zawstydziła chłopaków z oddziału. Ale strach przed niechybną śmiercią był zbyt silny i nikt nie odważył się jej zastąpić. — Ja pójde - powtórzyła. - Nie mam broni.

Jak wpadnę, powiem, że tu mieszkam. A jak znajdę majora, pomacham do was chustką. Czekajcie sygnału.

I już pędziła schylona wśród wysokich traw, kierując się z powrotem do płonącej otchłani. Kiedy doszła do pól obsianych owsem, kule coraz bliżej bzycały nad jej głową i wzbijały tumany kurzu pod nogami. Stała niezdecydowana, ale wtedy szary, gęsty dym zasłonił wszystko. Szła więc dalej. Kluczyła po omacku i z cicha pokrzykiwała:

— Erkaem, dowódca, „Kotwicz”! Erkaem, dowódca, „Kotwicz”!

Nagle, tuż przy swoim boku usłyszała rzucone po polsku:

— Padnij!

A kiedy, czołgając się, zbliżyła się do miejsca, skąd dobiegał głos, usłyszała ostrą reprimendę znajomego partyzanta:

— Gdzie się pchasz, dziewczyno? Tu pewna śmierć!

— Ale ja muszę. Muszę odnaleźć majora.

— Major nie żyje. Rotmistrz nie żyje. Obsługa erkaemu wybita.

Uciekaj! Idą na nas z bagnietami. Za chwilę będzie po wszystkim.

Umykaj, póki możesz. „Bustromiak” pewnie już odchodzi ze swoimi ludźmi. Goń ich! Szybko!

— A ty? — spytała cicho.

— Będę was osłaniał. Zresztą, ze mnie już i tak niewiele zostało.

— Dopiero teraz dziewczyna zauważyła zakrwawiony brzuch partyzanta. — Pędź, bo będzie za późno!

„Teresa” odwróciła się i dojrzała kilkanaście przygarbionych postaci kierujących się w stronę lasu. Widocznie kapitan, nie mogąc doczekać się umówionego znaku, zdecydował się na odwrót. To była jedyna droga ucieczki z tego piekła. Pobiegnęła za nimi.

Poruszała się teraz wydeptaną przez oddział ścieżką prowadzącą przez łubin. Po kilkudziesięciu metrach wpadła na kpt. „Hatraka”, któremu ranę na rękę próbowała opatrywać inna sanitariuszka z oddziału, Genia Myszkówna. Dziewczyna nie mogła sobie poradzić z tryskającą z ramienia kapitana fontanną krwi. Kule świstały nad uszami i grzęzły w ziemi wokół nich. Widocznie Sowieci już ich zauważyli i skierowali cały swój ogień w tym kierunku. „Teresa” ominęła rannego kapitana i odważną sanitariuszkę. Słyszając coraz bliżej sowieckie kule, pobiegła dalej, kierując się bardziej na prawo. Daleko nie uciekła. Wpadła do głębokiego rowu pełnego błota. Próbowała jeszcze iść do przodu, ale gęsta breja sięgająca jej miejscami po pas praktycznie uniemożliwiała marsz. W końcu „Teresa” ustała. Oddychała głęboko, kuląc się na skraju rowu. I wtedy strzały zaczęły słabnąć. Za moment było już zupełnie cicho. Po paru minutach nad krawędź rowu, w którym się skryła, nadeszli Sowieci. Dostrzegli umorusaną w błocie, wystraszoną dziewczynę. Jeden z nich skinął na nią lufą swojej pepeszy i powiedział:

— *Nu diewoczka, pajdiom.*

— *Gdzie Bteljje?* \ Gdzie polscy legionieści?! - wydierali się na całe gardła sowieccy żołnierze, wkraczając do zaścianka, z którego nikt już nie strzelał. Zabudowania robiły przygnębiające wrażenie. Część budynków płonęła, część już się zawaliła. Pod nogami wałała się porzucana broń, amunicja i łuski po nabojach. Zgrzytało rozbite szkło, trzeszczały zwęglone szczapy drewna. I jeszcze ciała. Mnóstwo ciał polskich żołnierzy. Rosjanie z NKWD byli bardzo skrupulatni.

Potraktowali leżące postacie tak, jakby to zrobiły raczej dzikie barbarzyńskie plemiona, a nie cywilizowany naród XX wieku. Każdemu bez wyjątku wbijali długi stożkowy bagnet w pierś lub w brzuch.

Dźgali leżące ciała po kilka, kilkanaście razy. Nieważne, czy leżący był cicho, czy wydawał stłumione jęki. Czy był ranny, czy od dawna już nie żył. Czy miał na sobie mundur, czy cywilne ubranie.

Sowieci byli zadowoleni z walki. Po wcześniejszych niepowodzeniach zdobyli w

końcu wioskę i całkowicie rozbili ugrupowanie polskich legionistów. Na rozkaz dowódców podzieli zatrzymanych w chutorze ludzi na dwie grupy — partyzantów i cywilów. Żołnierzy w polskich mundurach od ręki rozstrzelano, dla pewności dobijając bagnietami. W drugiej grupie znalazły się dwie kobiety z oddziału „Kotwiczą”. „Czarna Magda” i szyfrantka Zosia z Warszawy tuż przed wejściem Rosjan zdążyły zakopać w ziemi całą kancelarię zgrupowania i rezerwy złota okręgu. Ponieważ zaliczono je do cywilnych mieszkańców zaścianka, były na razie bezpieczne.

Potem Rosjanie policzyli martwe ciała wszystkich Polaków, nie bacząc, czy byli to partyzanci, czy cywilni mieszkańcy. A kpt. Czikin podyktował sprawozdanie:

— W wyniku walki trwającej pięć godzin zabito pięćdziesięciu trzech bandytów, wzięto do niewoli czterech. Pośród zabitych jest sześciu oficerów „białej” polskiej armii, w tym komendant polskiego bandyckiego zgrupowania major „Kotwicz”. Zdobyto sześć ręcznych karabinów maszynowych, trzy automaty, dwadzieścia dwa karabiny, czternaście rewolwerów, dziesięć granatów, siedemset osiemdziesiąt sztuk różnej amunicji.



Inspekcja „Kotwicza” (stoi w środku grupy, i głową odwróconą w kierunku swego prawego ramienia) w 1 batalionie 77 pp AK Mociewiczuki, luty 1944 r.

(Electronic Museum)

Swoje straty Rosjanie z NKWD obliczyli na osiemnastu zabitych, w tym dwóch

lejtantów (Korniejko i Bleskin) oraz dwóch sierżantów.

Tak naprawdę podczas bitwy w Surkontach zginęło trzydziestu sześciu polskich partyzantów, a pośród nich: mjr „Kotwicz”, kpt. „Hatrak”, rtm. „Ostroga”, por. Michał Pękała „Bosak”, ppor. Stanisław Dźwinel „Dzwon”, ppor. „Jary” i pchor. „Orwid”. Pozostałe straty naliczone przez Rosjan to cywilni mieszkańcy zaścianka. Według polskich szacunków, przypuszczalnie przesadzonych, straty sowieckie w tym starciu wyniosły stu trzydziestu dwóch żołnierzy. W Raduniu pochowanych jest sześćdziesięciu ośmiu Sowietów z NKWD, najprawdopodobniej poległych właśnie w czasie bitwy w Surkontach.



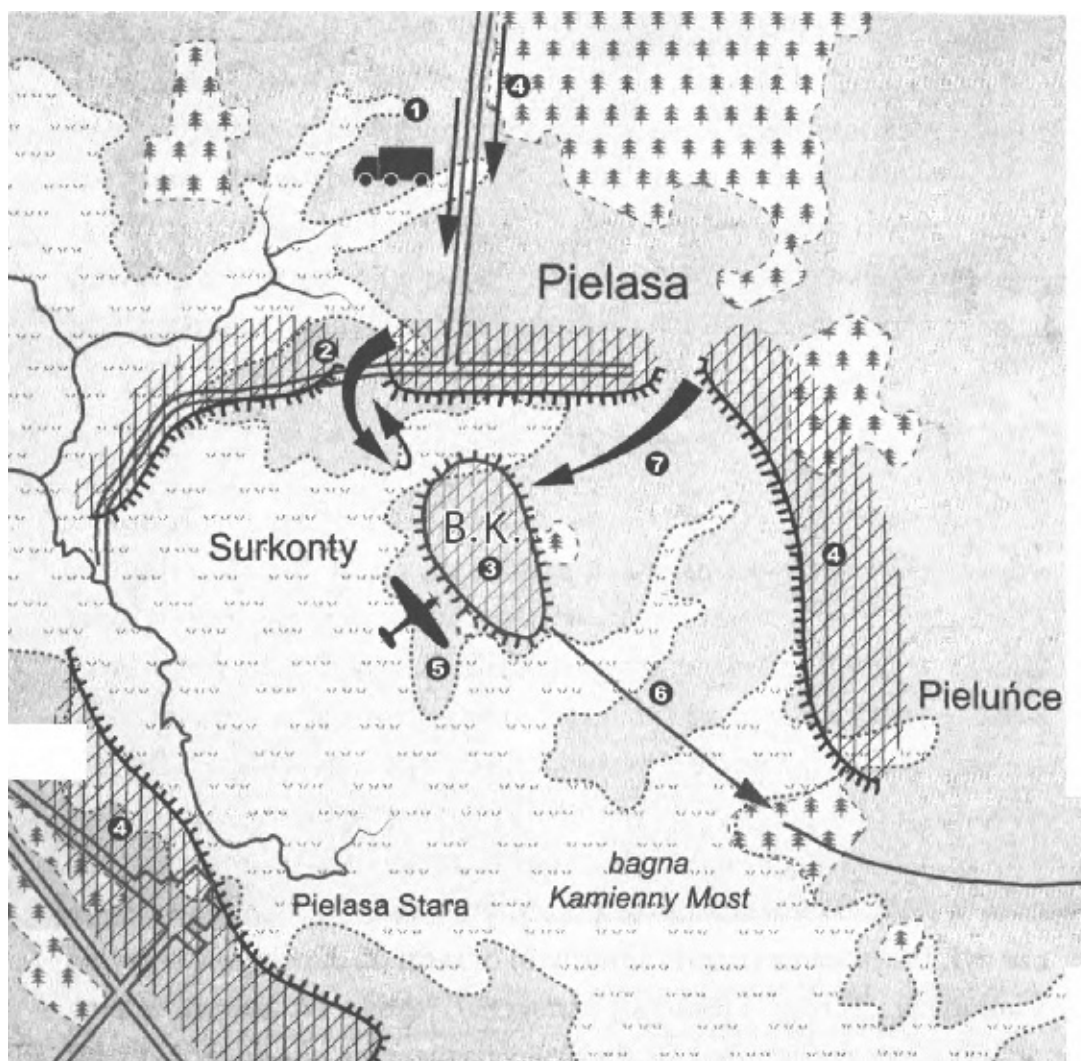
Tłumaczyła się gęsto. Że mieszka tu, że zaskoczyli ją, że nie mogła uciekać. Wyglądała jak nieboskie stworzenie. Była umazana błotem, ze zwichrzonymi włosami, niewyobrażalnie zmęczona i przerażona.

Uwierzyli jej. Potrzebowali tragarza. Dali „Teresie” do noszenia ciężkie metalowe skrzynki z taśmami amunicji do maxima i popędzili ze sobą do Surkont. Zwycięzcy szli do zdobytego zaścianka, a „Teresa” wracała na pole bitwy, na kresowe Termopile polskich żołnierzy.

Zanim dotarli do zabudowań, po drodze natknęli się na dwa leżące ciała. Ciężko ranny i osłabiony z upływu krwi kpt. „Hatrak” jeszcze żył. Przytomnie patrzył smutnymi oczami na dźwigającą skrzynki z amunicją „Teresę” i lekko się uśmiechał, jakby z litościwym żalem.

— *Nu, smotri* — zwrócił się do dziewczyny jeden z żołdaków i wbił w pierś rannego partyzanta długi bagniet. Raz, drugi, trzeci... Zamknęła oczy i nie liczyła już dźwięków, ale w uszach słyszała ciągle ten dźwięk. Szybki, ostry i mokry. Jak stopniowe wyciskanie życia z gąbki ludzkiego organizmu, wraz z każdym pchnięciem kłującej szpiczki zatkniętej na karabinie.

Kiedy dźwięki ustały, „Teresa” otworzyła oczy. Kapitan Cieplik już na nią nie patrzył, przestał się też uśmiechać ze współczuciem.



Bitwa pod Surkontami 21 sierpnia 1944 r.

- | | |
|--|---|
| ← wojska NKWD | ④ Przybycie posiłków i okrążenie Polaków |
| ← oddziały mjr. „Kotwicza” | ⑤ Atak lotniczy |
| ① Przyjazd sowieckich wojsk z Radunia | ⑥ Wyjście grupy „Bustromiaka” |
| ② Pierwsze natarcie, odparte przez Polaków | ⑦ Drugi decydujący atak NKWD i likwidacja polskiego zgrupowania |
| ③ Obrona Surkont B.-„Bustromiak”, K.-„Kotwicz” | |

Życie z niego uszło. Zza rozchylnych ust świeciły się jeszcze tylko złote zęby kapitana, które wzbudziły nagłe zainteresowanie Rosjan.

„Teresa” nie mogła już dalej na to patrzeć i ruszyła przed siebie, z trudem dźwigając sowieckie naboje. Ominęła nieżywą polską sanitariuszkę, którą enkawudziści również chcieli przebić bagnetem. Ale jeden z nich kopnął ciało dziewczyny i, widząc, że ta nie daje znaku życia, rzekł:

— *Nie nutrio. Nie trogaj.*

Doszli całą grupą do zabudowań, w których buszowali już inni Sowietci. Obszukiwali martwe ciała Polaków i grabili ich rzeczy osobiste. Ściągali co lepsze buty, pasy, a nawet koszule niepobrudzone krwią. Poszukiwali żywych Polaków, którzy mogli się gdzieś ukryć.

A wśród rannych próbowali rozpoznać polskich dowódców i oficerów. Oprócz „Kotwiczą” najbardziej chcieli odnaleźć „Bustromiaka”, żywego lub martwego. Zaledwie kilka dni wcześniej ten ostatni wymknął się z ich obławy. Jeden z podejrzanych krwawych śladów zaprowadził oprawców do kopki siana. Odgarnięto zeszlą trawę i wyciągnięto z kryjówki rannego Czesława Marszałka „Żurawia”.

„Teresa” widziała, jak zawleczono go pod najbliższą ocalałą chatę i ledwie przytomnego oparto o ścianę. Kiedy oprawcy podnieśli lufy karabinów, w dziewczynie coś pękło. Odrzuciła skrzynie z amunicją i podbiegła do chłopca, osłaniając go własnym ciałem przed plutonem egzekucyjnym. Sowieci chcieli ją odciągnąć na siłę, ale dostała jakiegoś amoku, wpadła w szał. Wrywała się im i kopała nogami.

Próbowała zabierać Sowiecom karabiny i wciąż zasłaniała rannego.

Płakała i krzyczała równocześnie:

—Ja go znam! To dobry chłopak. Nie zabijajcie go!

— Odejdź! To polski bandyta! Ma mundur! — wrzeszczeli na nią Sowieci.

— Nie strzelajcie! Byłam z nim w oddziale. On nigdy nikogo nie zabił... Błagam ...

„Teresie” udało się chwilowo wyblagać życie dla towarzysza z partyzantki. Ale równocześnie zdekonspirowała się. Nie mogła już udawać, że jest mieszkanką polskiego zaścianka. Zabrali ją na obchód pola bitwy, na poszukiwanie i rozpoznawanie ciał polskich dowódców. To dzięki jej pomocy Sowieci odnaleźli i zidentyfikowali oficerów: „Kotwiczą”, „Hatranka”, „Jarego”, „Sawczyka”, „Ostroge” i „Wilka”.

Potem za udział w antysowieckiej konspiracji i działalność w polskich „bandach” sowiecki sąd skazał Eleonorę Kolendo na karę śmierci, zamienioną potem na dziesięć lat łagrów Uratowanego przez „Terese” rannego „Żurawia” zabrano do więzienia w Lidzie, gdzie zmarł po kilku dniach...



Z nastaniem nocy, wykorzystując ciemności, Helena Nikicicz „Czarna Magda” razem z Zosią wykradła się z ciągle obstawionych przez Rosjan Surkont. Jednak już o brzasku postanowiły wrócić. Osobno. Zosia chciała ratować dokumenty obwodu, a „Czarna Magda” pragnęła odszukać ciało syna, o którym dowiedziała się już, że nie żyje.

Zosię pochwycili Sowieci i na domiar złego wraz z nią wpadła w ich ręce cała kancelaria „Kotwiczą”, dokumenty sztabowe, pieczęcie, szyfry. Zabrali ją podobnie jak „Żurawia” do lidzkiego więzienia.

Torturami próbowali bezskutecznie zmusić dziewczynę do mówienia.

Zmarła, nie wydając nikogo.

Starszej „Czarnej Magdy” Sowieci nie podejrzewali o konspirację. Mogła swobodnie poruszać się po zaścianku. W końcu na prawym skrzydle polskiej obrony znalazła ciało syna i majora „Kotwiczą”. Kalenkiewicz leżał na wznak z dziurą pośrodku czoła. Na jego nogach leżał „Orwid” z widocznymi postrzałami klatki

piersiowej.

Jego krew zabarwiła na czerwono spodnie dowódcy. Oba ciała były jeszcze ciepłe, ale już bez butów. Matka zapłakała gorzko, usiadła i objęła ramionami dwóch martwych żołnierzy.



*Irena Kalenkiewicz żona „Kotwicza”, z córkami: Danutą (od lewej) i Agnieszką.
Zdjęcie zrobione w 1941 r., „aby wysłać do tatusia, który jest na wojnie”*

(Electronic Museum)

Mijały minuty i godziny, a ona trwała tak bez ruchu. W końcu wstała i zaczęła działać. Z namaszczeniem obmyła obydwa ciała i poprosiła jednego z gospodarzy o wykopanie grobu. Płytki to był dołek, ale nie narzekała. Wymościła go darniną, liśćmi, a na koniec ułożyła na dnie swój płaszcz. Potem długo błagała miejscowych ludzi o zabicie dwóch trumien. W końcu znalazł się jeden odważny i na oczekaniu przygotował dwie proste sosnowe skrzynie. Zapłacił później za to zsyłką do obozu, z którego już nie wrócił.

Kalenkiewicz-Mirowicz, zamieszkałej w Trokach. Przywiozła jej czapkę przedziurawioną kulą, koszulę i szelki.

Nieco później wiadomość o śmierci męża dotarła do żony „Kotwiczą” Ireny Kalenkiewicz i ich córek — Danuty i Agnieszki. Jednak przez wiele lat w ich domu wolno było powtarzać jedynie informację, że Maciej Kalenkiewicz poległ na wojnie. Tylko tyle, bez żadnych szczegółów. Milczano o tym, w jakiej bitwie uczestniczył i z czyjej ręki zginął.

Obok grobów „Kotwiczą” i „Orwida” przygotowano miejsca pochówku dla wszystkich pozostałych trzydziestu czterech polskich żołnierzy. Już bez trumien. Nad ciałami pomodlił się przez chwilę miejscowy ksiądz Litwin i pokropił nieboszczyków.

Potem groby zasypano. Jako że polskich partyzantów pochowano przy starym cmentarzyku Powstańców Styczniowych, świeże groby nakryto połamanymi płytami z 1863 roku. Przez wiele lat był to jedyny ślad po bohaterach z Surkont.

Za czasów Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej nieopodal miejsca spoczynku polskich partyzantów pobudowano wielkie obory i zasiano trawą hektary pastwisk. Hodowla bydła kwitła w najlepsze (jeśli tak można powiedzieć o komunistycznych kołchozach i sowchozach). I tylko stare popękane płyty nagrobków Powstańców Styczniowych przypominały o „Kotwiczu” i jego żołnierzach. Dopiero w roku 1991, dzięki staraniom Cezarego Chlebowskiego i Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, naturalnie również za zgodą białoruskiego MSZ, wybudowano w tym miejscu cmentarz poświęcony pochowanym tam przed wielu laty Polakom. Na głównym pomniku znalazł się ogólny napis, że spoczywający w tej ziemi żołnierze AK zginęli za Polskę. Nie pozwolono na żaden dodatkowy dopisek, na przykład że walczyli o polskie Kresy i zginęli z rąk Rosjan z NKWD.

Jednocześnie na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie pojawił się napis: „Surkonty 21 VIII 1944”, upamiętniający tamto wydarzenie.



Polski cmentarz w Surkontach, otworzony w 1991 r., stan współczesny

(Electronic Museum)

W 2013 roku, tuż obok cmentarza, w odległości trzydziestu metrów od nekropolii, władze białoruskiego kołchozu wybudowały kolejne wielkie, nowoczesne obory,

planując hodowlę krów na wielką skalę. Wygląda na to, że my, Polacy, powinniśmy się cieszyć, że cmentarz w ogóle powstał i wciąż istnieje. Że pochowane tam ciała nie zostały zaorane przez pracowników kołchozu, a teren zaadaptowany na potrzeby białoruskiej hodowli bydła.

Walka o polską pamięć na Kresach ciągle trwa. W czerwcu 2013 roku nieznani sprawcy spiłowali i ukradli krzyż postawiony ledwie miesiąc wcześniej, w rocznicę śmierci ppor. Anatola Radziwonika „Olecha”, w miejscowości Raczkowszczyzna na Białorusi. Jesienią 2014 roku we wsi Kulbaki pod Grodnem ktoś zabrał tablicę i zdewastował pomnik upamiętniający ostatnich polskich obrońców Grodzieńszczyzny — por. Mieczysława Niedzińskiego „Mena” i jego żołnierzy. Monument został poświęcony tuż przed dniem Wszystkich Świętych i przetrwał w spokoju zaledwie kilka tygodni...

Mały Arsenał

Łowicz, 8 marca 1945 roku

N

adszedł marzec. Od łowickich błoni i od strony Bzury unosił się wspaniały zapach wiosny. Rzeka rozlała się leniwie, przykrywając nadbrzeżne łąki, a resztki lodu już dawno spłynęły do Wisły. I nieważne, że przed momentem spadł jeszcze ciężki, nasiąknięty wodą śnieg, a czarne chmury nadal spowijały niebo nad miastem, zasłaniając szczyty dwóch smukłych wież kolegiaty. Każdy mieszkaniec Łowicza czuł, że zima się kończy, a wraz z nią zbliża się koniec tej straszliwej wojny i nadchodzi nadzieja na lepsze czasy dla Polski.

Wszak był już rok 1945, miesiąc temu przez zachodnie Mazowsze przetoczył się front i Armia Czerwona przegnała niemieckich okupantów. W Łowiczu, ale też w całej wyzwolonej Polsce, zaczynał się czas nowego, komunistycznego ładu. Na polskiej ziemi porządku pilnowali sowieccy komendanci miast, z pomocą NKWD, Urzędu Bezpieczeństwa (UB) i milicji.

Mokry śnieg, którego sporo napadało w tym ostatnim podmuchu zimy, rozchlapywało się na boki po każdym kroku idącego ulicą mężczyzny. Widać było, że młody człowiek spieszy się bardzo. Nie starał się omijać ani kałuż, ani zasp zalegającego śniegu. Nie zwracał uwagi na przejeżdżające ulicą furmanki, nie spoglądał na twarze mijanych przechodniów. Chyba nawet nie zauważył, że spodnie prawie do kolan ma już mokre, a w butach chlupocze mu woda. Inne myśli całkowicie zawładnęły głową trzydziestoletniego Jana Kopałki „Antka”. Już nieraz czuł się podobnie jak dziś. Emocjonujące podniecenie, zwiększony poziom adrenaliny i radość. Wojna, okupacja i działalność w konspiracji powinny go uodpornić, ale choć „Antek” nie był już żółtodziobem, to w dalszym ciągu emocje brały w nim górę nad chłodnym zdrowym rozsądkiem.

Jan Kopałka był harcerzem podziemnych Szarych Szeregów i żołnierzem batalionu „Zośka”. Brał udział w niebezpiecznych akcjach w Czarnocinie, Sieczkach i Wilanowie, a także w operacji „Schulz”, czyli zamachu na niemieckiego esesmana, kata ich towarzysza - Jana Bytnara „Rudego”. Potem otrzymał rozkaz, aby uporządkować szaroszerogowe struktury w Łowiczu, i wyjechał z Warszawy w czerwcu 1944 roku, pomimo poczucia, że w stolicy coś wisi w powietrzu.

Kiedy 1 sierpnia wybuchło Powstanie Warszawskie, aż rwał się, aby ruszać ze swoimi łowickimi harcerzami na pomoc Warszawie. Niestety w połowie września nadeszły rozkazy i odwołano koncentrację marszu z odsieczą powstańcom. „Antka”, mimo harcerskiego i żołnierskiego hartu ducha, przepełnił bezbrzeżny smutek, pierwszy raz z taką mocą odczuł swoją całkowitą bezradność.

Tym razem miało być inaczej, a Janek po raz nie wiadomo który układał sobie w głowie słowa, które już za moment miał przekazać swoim kolegom z łowickiego hufca o kryptonimie „Łoza”. Wszedł do mieszkania, w którym czekali umówieni chłopcy z Szarych Szeregów. Otrzepał buty na wycieraczkę i może zbyt gwałtownie zamknął drzwi, zostawiając na zewnątrz przenikliwie wilgotne masy zimnego powietrza. Na odgłos trzaśnięcia drzwiami twarze zebranych zwróciły się ku przybyłemu, a „Antek” poczuł na sobie wyczekujące spojrzenia harcerzy. Popatrzył na młode, przejęte oblicza zgromadzonych — większość z nich nie miała jeszcze ukończonych osiemnastu lat. Wziął głęboki oddech, uśmiechnął się i wyrzucił z siebie to, co tak pobudzało jego emocje od kilku godzin:

— Odbijamy „Cyfrę”!

Ten niecodzienny, matematyczny pseudonim wybrał dla siebie

Zbigniew Feret, podharc mistrz, dowódca jednej z konspiracyjnych drużyn Szarych Szeregów i nieformalny zastępca „Antka”. „Cyfra” był w Szarych Szeregach od 1940 roku, brał udział w konspiracyjnych ćwiczeniach wojskowych i strzelaninach. W konspiracji ukończył kurs młodego dowódcy, a w lipcu 1944 roku uczestniczył w akcji wysadzenia mostu kolejowego pod Bednarami. Przez okres okupacji niemieckiej „Cyfra” przechowywał w swym domu i używał do nasłuchu mały aparat radiowy. Przez cały ten czas udawało mu się ukrywać niewielki odbiornik, ale zimą 1945 roku, po przejściu frontu, któryś z mieszkańców Łowicza, chcąc podliznąć się nowej, komunistycznej władzy, doniósł na „Cyfrę”. Podczas brutalnej rewizji NKWD i UB znalazły nieszczęsne radio, a na dodatek, zupełnie absurdalnie, oskarżono „Cyfrę” o współpracę z niemieckim Gestapo. Pytano go również o broń. Choć już samo posiadanie radioodbiornika wystarczyło, aby komuniści zabrali ze sobą Zbigniewa Fereta i osadzili go w miejscowym więzieniu przy ulicy Kurkowej. I to nie była jakaś wyjątkowa akcja. W tym czasie w Łowiczu i innych pobliskich miastach NKWD działało identycznie, osadzając w aresztach polskich patriotów działających w podziemiu antyniemieckim. Zdarzało się, że komunistyczni funkcjonariusze chodzili od domu do domu z gotowymi listami nazwisk i aresztowali ludzi za samą przynależność do AK i Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), a czasami nawet do Batalionów Chłopskich (BCh).

Dopiero po kilku dniach matka „Cyfry” dowiedziała się, gdzie przetrzymywany jest jej syn. Minęło następnych parę dni, kiedy do przyjaciół „Cyfry” dotarł pierwszy jego więzienny gryps. Pisał w nim, że w więzieniu siedzi również inny szaroszeregowiec z Łowicza —

Aleksander Pięta „Lis”, którego nowe władze oskarżały o gromadzenie i przechowywanie broni. W wiadomości „Cyfra” podawał, że przed tygodniem na daleką Syberię wyjechał pierwszy transport uwięzionych Polaków z AK. Kolejne wywózki to tylko kwestia czasu.



*Grupa szaroszeregowców łowickich przed pomnikiem Artura Zawiszy,
8 sierpnia 1944 r. Stoją od lewej: Stefan Fabijański, Mirosław Feret, Antoni Kuczyński,
Eugeniusz Nowakowski, Stanisław Burian, Marian Szymański, Henryk Michalak;
klęczy Jerzy Miecznikowski
(zbiory Kazimierza Szymańskiego)*

Należało działać jak najszybciej. Ale jak?

Pierwszym, który poddał myśl o uwolnieniu „Cyfry” z więzienia siłą, był siedemnastoletni Kazimierz Chmielewski „Gryf”. Jego pomysł zaraz poparli trochę starsi i bardziej doświadczeni Marian Szymański „Wędzidło” i Jerzy Miecznikowski „Wienciadz”. Projekt szybko zawładnął całkowicie wyobraźnią wszystkich młodych ludzi z łowickich Szarych Szeregów.

— Oswobodzimy i uratujemy „Cyfrę”, tak jak warszawscy harcerze uwolnili pod Arsenalem „Rudego”! — mówili, próbując przekonać swego dowódcę „Antka”. Ale ten, najstarszy z harcerzy, chociaż włączył się do wstępnego przygotowywania operacji, ostateczną decyzję warunkował stopniem przygotowania akcji i opinią przełożonych z AK. Formalnie tej polskiej podziemnej armii już nie było, bowiem została rozwiązana rozkazem gen. „Niedźwiadka”. Jednak mimo że łączność z konspiratorami z byłej AK była pozrywana, „Antkowi” udało się nawiązać kontakty i uzyskać zgodę przełożonych. Wtedy on sam zapalił się do tej akcji i na swoje barki przejął całą odpowiedzialność za jej przygotowanie i powodzenie.

„Wędzidło”, który w czasie okupacji siedział w tym samym więzieniu, w którym teraz komuniści trzymali „Cyfrę”, miał sporządzić dokładny plan budynku oraz

oznaczyć rozstawienie służby więziennej. „Wienciądz” miał sprawdzić, któredy wiedzie kabel telefoniczny z więzienia, oraz wybrać najbezpieczniejsze miejsce do jego przecięcia. „Gryf” zajął się przygotowaniem broni niezbędnej do przeprowadzenia akcji. Zakładano, że potrzebne będą cztery pistolety maszynowe, cztery pistolety krótkie i jeden karabin. Niezbędna liczba uczestników akcji to w sumie dziewięć osób: pięciu z grupy „atak” („Antek”, „Wędzidło”, „Wienciądz”, Bohdan Józewicz „Grom” i Mieczysław Grzybowski „Kora”) oraz czterech z grupy „ubezpieczenie” („Gryf”, Eugeniusz Nowakowski „Jeź”, Józef Wolski „Jurek” i Wojciech Tomczyk „Kmicic”). Broń zamelinowano u Edwarda Horbaczewskiego „Pajaka”, a fałszywe dokumenty miał po akcji przekazać wszystkim Stefan Wysocki „Ignac”.

Kończąc ostatnią odprawę, 8 marca, tuż przed akcją, „Antek” uczulał swych żołnierzy:

— Uwalniamy „Cyfrę” bez jednego strzału. Użycie broni jest dozwolone tylko w przypadku obrony życia. Akcją dowodzę osobiście. Mój zastępca to „Wędzidło”, potem „Wienciądz”. Sygnałem do akcji będzie moje przejście skweru przy alei Sienkiewicza. Po tym znaku należy przeciąć połączenie telefoniczne. Po upływie dwóch minut do akcji rusza grupa „atak”, a po następnych dwóch - grupa „ubezpieczenie”.

Po tych słowach Jan Kopałka z namaszczeniem wziął ze stolika krzyż i, podając go każdemu z uczestników akcji do ucałowania, powiedział:

- Przysięgamy, że do ludzi z UB nie będziemy strzelać. Użycie broni to ostateczność. To przecież też Polacy. Akcja musi się udać!

A potem dodał:

— W imię Boże, ruszajmy!



Było już ciemno i pusto na ulicach, kiedy konwój z aresztowanymi skręcił w ulicę Kurkową, kierując się w stronę więzienia. Patrol prowadził milicjant z białą-czerwoną opaską na lewym ramieniu i przewieszonym przez pierś francuskim pistoletem maszynowym MAS.

Dowódca konwoju szedł z prawej strony grupy, cały czas mając na oku zatrzymanych cywilów. Byli to trzej młodzi mężczyźni. Nieliczni przechodnie mogli się jedynie domyślać, czy prowadzeni pod bronią zatrzymani to *Volksdeutsche* aresztowani za współpracę z Niemcami, czy może tylko zwykli złodzieje. Maszerującą grupę zamykał inny milicjant, z długim karabinem na ramieniu i identyczną opaską na ręku.

Co chwilę krótkimi okrzykami popędzał więźniów, a raz nawet musiał ponaglić uderzeniem kolby karabinu przez plecy ślamazarnego ostatniego z zatrzymanych, który najbardziej spowalniał marsz pozostałych.

— Co ty? — wyrwało się z szeregu, ale prowadzący natychmiast zareagował,

sycząc przez zęby:

— Cicho.

Zatrzymany przyspieszył kroku, poprawiając coś pod kurtką, a milicjant z powrotem zarzucił długiego mausera na ramię. Czas na uporządkowanie szyku był najwyższy, bo za kilkanaście sekund konwój stanął przed więzienną bramą. Milicjant z MAS-em na piersi zadzwonił dzwonkiem trzy razy. Już zaczynał się niecierpliwić przez brak reakcji, ale po dłuższej chwili otworzył się wizjer w furcie. Nie wdając się w rozmowę ze strażnikiem, milicjant próbował podać mu przez okienko dokument będący podstawą zatrzymania podejrzanych i odstawienia ich do więzienia.



*Budynek dawnego więzienia na ul. Kurkowej w Łowiczu, stan współczesny
(zbiory Szymona Nowaka)*

Niestety kartka papieru nie chciała zmieścić się w małej szparze wizjera i więzienny strażnik musiał uchylić furtkę. Odebrał pismo, ale nie wpuścił konwoju do środka, zatrzasnąjąc bramę za sobą. Dopiero po kilku minutach strażnik wrócił i uchylił furtkę, domagając się dodatkowych wyjaśnień. Jakież było jego zdziwienie, kiedy pierwszy z zatrzymanych włożył stopę między drzwi, nie pozwalając na ich domknięcie, a potem siłą przedarł się do środka. Za nim weszli pozostali zatrzymani i eskortujący ich milicjanci. Dopiero wówczas ów zatrzymany, któremu najbardziej spieszyło się za kraty, rozpiął kurtkę i wyciągnął gotowego do strzału stena. Strażnik zaniemówił i wzrokiem próbował szukać ratunku u milicjantów, ale zobaczył tylko wycelowaną w siebie broń.

— Ręce do góry. I ani słowa — usłyszał.

Pokornie oddał broń, klucze i na polecenie „Antka” położył się na śniegu. Jego miejsce przy furcie zajął natychmiast „Grom”, a pozostali konspiratorzy ruszyli dalej. Teraz prowadził „Wędzidło” ze staniem gotowym do strzału. Pierwszy wszedł do pomieszczenia wartowni i . . . stanął jak wryty, zaskoczony dużą liczbą zgromadzonych tu na kolacji ludzi — wartowników i cywilów.

— Ręce do góry! Wszyscy pod ścianę!

Szaroszerogowcy zareagowali błyskawicznie i już po chwili w stronę obsługi więzienia skierowały się lufy trzech peemów i jednego pistoletu. Konspiratorzy zgrupowali zatrzymanych pod ścianą i sprawdzili, czy któryś nie jest uzbrojony. Zaraz też „Wędzidło” pod bronią poprowadził jednego ze strażników do kraty więziennego oddziału, by ten wywołał swego kolegę. Kolejny sterroryzowany strażnik otworzył kraty i bez słowa sprzeciwu oddał swój karabin. Tak samo rozbrojono wartownika z dziedzińca. Kiedy opanowano już budynek więzienia z kancelarią i wartownią, nagle przybiegł zdenerwowany „Grom” i zdyszany głosem rzucił, że ktoś od strony ulicy dzwoni do furki. Przy zatrzymanych pozostał „Wienciadz” z „Korą”, a dwóch pozostałych szaroszerogowców ruszyło na zewnątrz. Okazało się, że to dwóch ubeków dobija się po kilku więźniów. Panów tych grzecznie wpuszczono, a potem zaświecono im przed oczami wylotami luf. Trzeba było widzieć ich barani wzrok i zaskoczenie, że dali się tak łatwo wmanewrować! „Antek” z „Gromem” i „Gryfem” (który chwilę wcześniej doprowadził rozbrojonego wartownika z ulicy) pozostali przy leżących na śniegu ubekach, a „Wędzidło” powrócił do grupy zatrzymanych, by uspokoić pilnujących ich „Wienciadza” i „Korę”. Gdy był już blisko, nagle ktoś, widocznie dotychczas niezauważony, wskoczył mu na plecy, chcąc swym ciężarem przewrócić mężczyźnię na podłogę. Sekundy trwała szamotanina „Wędzidły” z uwieszonym jego barków komunistą. Dwaj pozostali konspiratorzy nie bardzo wiedzieli, co robić. Nie chcieli zranić swego towarzysza, więc nie strzelali, ale za to zamieszanie wykorzystali trzymani pod lufami rozbrojeni strażnicy i zrobili kilka kroków do przodu, niebezpiecznie zbliżając się do szaroszerogowców. Na dodatek ktoś włączył wewnętrzny alarm i w uszach wszystkich świdrowało teraz przeciągłe wycie dzwonka.

— Bij! - zachrypiał siłujący się ciągle z komunistą „Wędzidło”, a „Wienciadz” posłusznie przeładował swego stena, wprowadzając pierwszy nabój do lufy.



Kiedy na samym początku akcji „Wędzidło” i „Wienciadz” przy alei Sienkiewicza przecięli prowadzący z więzienia telefoniczny kabel, a potem cała piątka uformowała kolumnę symulującą doprowadzenie do budynku zatrzymanych przez milicję, do akcji ruszyła grupa „ubezpieczenie”. Najpierw śledzili grupę „atak”, a kiedy ci zostali wpuszczeni przez furkę do więzienia, sami pomaszerowali ulicą na północną stronę gmachu, gdzie znajdowała się zewnętrzna budka wartownicza. Traf chciał, że wartownik opatulony w kozuch odłożył swój karabin i schowany w budce, odwrócony plecami do ulicy, pałaszował przyniesioną przez córkę kolację. „Gryf” pierwszy zbli

żył się do niego i, kłując męczyznę lufą visa w plecy, zakrzyknął mu do ucha:
— Ręce do góry!



Zdjęcia uczestników „Małego Arsenalu”. Łowicz 8 marca 1945 r. „Zoja” to Zofia Chmielewska, siostra „Gryfa”, również członkini Szarych Szeregów

(zbiory Zespołu Archiwalno-Historycznego Stowarzyszenia Szarych Szeregów Oddział w Łowiczu)

Zaskoczonemu strażnikowi garnek o mało nie wypadł z rąk.

— Ja nikogo nie skrzywdziłem - tłumaczył się drażącym głosem, myśląc, że nadchodzi jego koniec. - Nie jestem niczemu winien!

Jak dotąd wszystko szło sprawnie. „Kmicic” założył kozuch wartownika i jego futrzaną czapkę, zarzucił karabin na ramię i zajął jego miejsce na ulicy. „Jurek” i „Gryf” zaprowadzili rozbrojonego do budynku głównego. „Gryf” dołączył do grupy „atak”, a „Jurek” wrócił, by z ukrycia asekurować „Kmicica”. Jednak szaroszeregowcy popełnili błąd — albo nie zauważyli, albo zignorowali małą dziewczynkę, córkę

wartownika, która przyniosła mu kolację. Dziecko pobiegło szybko do domu i opowiedziało matce o wszystkim. Kobieta szybko ubrała się, wzięła córkę za rękę i ruszyła na ratunek mężowi. Podeszła do przebranego „Kmicica” i zrobiła mu karczemną awanturę.

— Gdzie jest mój mąż?! — krzyczała na całą ulicę, zwracając uwagę nielicznych przechodniów. — Przecież to on miał tu pełnić służbę!

Zaskoczony „Kmicic” począł się tłumaczyć, że mąż jest w środku, a on tu go chwilowo zastępuje. Nic to nie pomogło i aby uspokoić kobietę, do dyskusji włączył się marznący do tej pory w krzakach „Jurek”. Nieopodał zebrało się kilku przechodniów, ciekawych, jak zakończy się niecodzienna afera i gdzie zniknął mąż tej kobiety. Całą tę grupę „Kmicic” i „Jurek” zmuszeni byli odstawić pod bronią za mury więzienia, gdzie zgromadzono innych zatrzymanych. Po tej niespodziewanej akcji Tomczyk i Wolski powrócili do wykonywania swego zadania, jakim było ubezpieczanie działań od północnej strony ulicy.

Ostatni z żołnierzy Szarych Szeregów, bezpośredni uczestnik akcji, Eugeniusz Nowakowski „Jeż” samotnie osłaniał operację od strony południowej. Miał pomagać kolegom przy „zdejmowaniu” wartownika z wieży, ale ten w godzinach wieczornych przebywał na dziedzińcu więzienia. Nie wiedząc, co dzieje się w środku, mocno zdenerwowany „Jeż” z ukrycia obserwował pustego „bociana” i południowy odcinek ulicy. Minuty dłużyły mu się w nieskończoność. Na zewnątrz więzienia panowała zupełna cisza. O tej godzinie ulica wydawała się całkowicie pusta, a miasto wymarłe.



Po okrzyku „Bij!” „Wienciądz” był już gotów strzelać do zbliżających się wartowników. Zastanawiał się tylko, czy pierwsze strzały oddać pod nogi komunistów, czy też nad ich głowami. Ale najpierw doskoczył do „Wędzidły” i z całych sił walnął metalową kolbą swego peemu przez plecy wiszącego cały czas na koledze strażnika. Usłyszał okrzyk bólu. W tym samym momencie „Wędzidło” zrobił rozkrok, schylił się gwałtownie i wreszcie zrzucił napastnika z siebie. Potem, rozdygotany emocjami i wysiłkiem, oparł się o ścianę i otarł pot z czoła. Oddychał ciężko, patrząc, jak strażnicy ponownie cofają się pod ścianę, a ten, który go zaatakował, zgarbiony i trzymający się za obolałe plecy, kuśtyka grzecznie z innymi. Dramatyczna sytuacja była opanowana. Pozostawało jeszcze najważniejsze — uwolnić więźniów.

„Antek”, „Wędzidło” i „Wienciądz” ruszyli do głównego budynku więzienia, prowadząc ze sobą jednego ze strażników. Podobnie jak poprzednio, miał on wywołać swego kolegę z oddziału, by ten otworzył kratę. Niespodziewanie, kiedy znaleźli się przy zakratowanym wejściu na oddział, eskortowany strażnik rozkleił się i zaczął płakać.

— Litości, nie zabijajcie mnie — błagał na kolanach, spodziewając się najgorszego. Szaroszeregowcy próbowali go uspokajać i uciszać, ale nic nie skutkowało. Swoim płaczem i głośnymi okrzykami mógł zdekonspirować cały podstęp,

ostrzegając strażnika stacjonującego na oddziale. Ale ten, słysząc dziwne odgłosy, sam zbliżył się do kraty, by sprawdzić, co się dzieje. I wtedy zadziałał „Antek”.

— Otwieraj! - krzyknął, jednocześnie wkładając lufę swego MAS-a przez pręty krat. Wzięty na cel wartownik, chcąc nie chcąc, wyjął klucze i otworzył kratę, wpuszczając na swój oddział konspiratorów.

„Gryf” i „Kora” sprawnie przeprowadzili na oddział zatrzymanych strażników, ubeków i cywilów. Tam zamknęli wszystkich w karczerze, ostatnim pomieszczeniu na końcu korytarza. Dopiero wtedy, mając zapewniony spokój, zaczęli otwierać drzwi do cel i nawoływać: — Polacy, przygotować się do wyjścia! Niemcy i *Volksdeutsche* zostają!

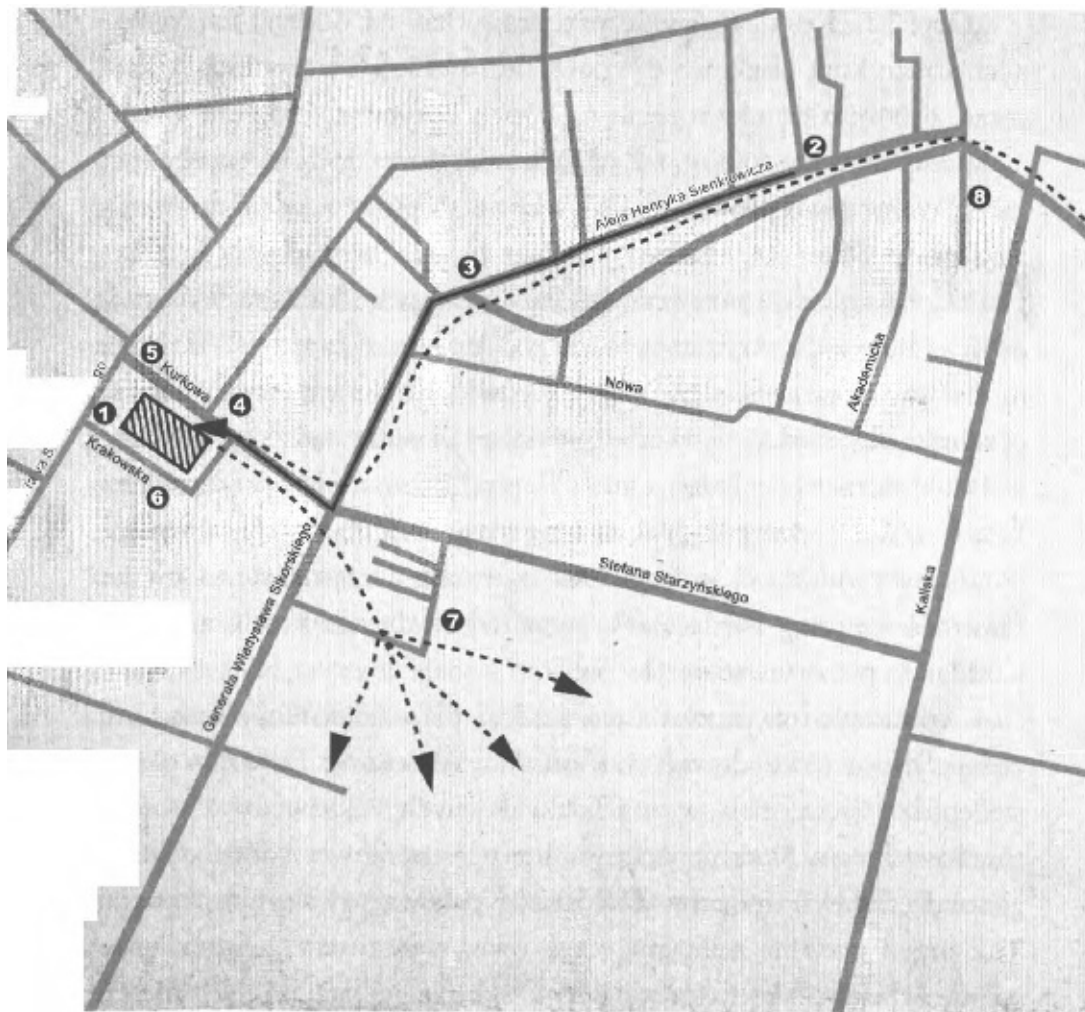
Podobne okrzyki zazwyczaj budziły grozę wśród aresztantów, najczęściej były zapowiedzią wywózki na „białe niedźwiedzie”. Tak też myślał uwięziony w jednej z cel „Cyfra”. Ale już po chwili poznał przebranych przyjaciół, którzy przyświecali sobie latarką, oglądając twarze uwalnianych. Jeden z nich klepnął go znacząco po ramieniu.

Wtedy „Cyfra” przypomniał sobie grypsy nadchodzące z zewnątrz i przekazywane w nich polecenie: w razie czego, trzymaj się na końcu.

Pilnował się teraz bardzo, żeby przy wychodzeniu z celi, a potem z oddziału pozostawać w tyle.

Uwolnionych wyprowadzono z więzienia i zakomunikowano im, że sami mogą zdecydować, co robić dalej i dokąd iść. Było tam około siedemdziesięciu osób, w tym wielu dawnych AKowców z powiatów łowickiego i skierniewickiego. Idącego na samym końcu „Cyfrę” zgarnął „Antek” i poprowadził ulicą Kurkową w kierunku dworca.

Tuż przed godziną milicyjną, czyli ósmą wieczorem, „Antek” zjawił się w punkcie kontaktowym u mieszkającego przy samych torach „Ignaca” i zabrał fałszywe dokumenty. Jeden niewypełniony papier zostawił dla „Cyfry”, a pozostałe w międzyczasie na ulicy przekazał „Wędzidle” dla grupy wycofującej się z więzienia. Dwaj mężczyźni znaleźli się pośród tłumu ludzi na dworcu i zdążyli wskoczyć do pociągu jadącego w kierunku Kutna. W pędzącym wagonie „Antek” przekazał „Cyfrze” pustą kenkartę, ustalając naprędce jego nowe nazwisko i wypełniając dokument.



Akcja na więzieniu w Łowiczu 8 marca 1945 r.

- | | |
|---|---|
| 1 Budynek więzienia przy ul. Kurkowej | 5 Grupa „ubezpieczenie” |
| 2 Miejsce przecięcia kabli telefonicznych | 6 Stanowisko „Jeża” |
| 3 Trasa grupy „atak” | 7 Trasa ucieczki uwolnionych i rozproszenie się ich |
| 4 Wejście grupy „atak” na teren więzienia | 8 Trasa odwrotu grupy „atak” i „Cyfry” |

Na mapie przedstawiono współczesne nazwy ulic

Po wypuszczeniu uwięzionych mury aresztu opuszczali ostatni konspiratorzy, w tym zastępujący „Antka” „Wędzidło”. „Grom” próbował zamknąć furtkę więzienia na klucz i szarpał się z drzwiami, ale naniesiony na próg śnieg uniemożliwił domknięcie ich. Zostawiono więc bramę jedynie lekko przymkniętą, a klucze pofrunęły gdzieś daleko w śnieżną zaspę. Grupa szaroszeregowców w dalszym ciągu udawała milicyjny patrol. Teraz prowadził „Kmicic”, a za nim z karabinami i biało-czerwonymi opaskami szli „Jurek”, „Kora” i „Grom”.

Pochód zamykali „Wienciadz” i „Gryf” ze schowanymi pod płaszczami pistoletami maszynowymi. „Wędzidło” w tym czasie odebrał od „Antka” fałszywe dokumenty na nowe nazwiska uczestników akcji, a kiedy znów dołączył do towarzyszy, rozdał im kenkarty.

Gdy grupa skręciła w aleję Sienkiewicza, by zamelinować broń, nagle z przeciwnej

strony pojawili się uzbrojeni milicjanci.

— Ręce do góry! Oddawać karabiny! — zakomenderował zaskoczonym funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej (MO) „Gryf”. Szaroszeregowcy puścili milicjantów wolno, a nawet oddali im broń, ale wcześniej wyjęli z niej zamki, które następnie wyrzucili w śnieg.

Na melinie u „Pajaka” zostawiono peemy i broń krótką, ale okazało się, że schowek nie pomieści długich mauserów. Te postanowiono przenieść do innego znajomego konspiratora — Wojciecha Mariańskiego „Wicherskiego”. Przy okazji nocleg na strychu u „Wicherskiego” otrzymali rozpoznani podczas akcji i tym samym „spaleni” dwaj główni wykonawcy - „Wędzidło” i „Wienciądz”.

Był to najwyższy czas na pożegnanie i rozdzielenie się grupy konspiratorów.

Jako ostatni swój punkt obserwacyjny opuścił „Jeż”, któremu nikt nie dał znaku o zakończeniu akcji. Operacja w więzieniu trwała od godziny dziewiętnastej dziesięć do dziewiętnastej czterdzieści jeden i zakończyła się sukcesem. W jej wyniku uwolniono około osiemdziesięciu osób, bez strat własnych i bez oddania ani jednego strzału.

„Wienciądz”, obudzony rankiem przez gospodarza, podszedł do małego okienka na strychu, wyrzwał na zewnątrz i aż złapał się za głowę. Ulice, przejścia między podwórkami — całe miasto usiane było patrolami MO i „ludowego” wojska. Wszystkich bez wyjątku przechodniów legitymowano. Kilka patroli niebezpiecznie zbliżało się do kryjówki szaroszeregowców. Aby nie narażać życzliwego gospodarza, Marian i Jerzy postanowili natychmiast opuścić mieszkanie i wyjechać z miasta. Po wyjściu na zewnątrz udali się w stronę stacji, kryjąc się przed patrolami na podwórkach. Zdyszani zatrzymali się niedaleko dworca. Od budynku dzielił ich jedynie przejazd kolejowy, ale tu zaczęły się trudności. Przejazd był zamknięty i obstawiony przez sowieckich żołnierzy, którzy nie przepuszczali nikogo. Groźnie wyglądały szczególnie ich długie stożkowe bagnety zatknięte na karabiny. Nie było rady, należało wrócić i znowu znaleźć schronienie, i to jak najprędzej.

Na szczęście nieopodal znajdował się domek ciotki „Ignaca”, w którym pomieszkiwał też ich kolega. Zostali wpuszczeni przez starszą panią i ukryli się w piwniczce na węgiel. Ciemność potęgowała strach, a do głowy przychodziły najgorsze myśli. Węglany pył wdzierał się do nosa i gardła, nie pozwalając normalnie oddychać. I jeszcze ta cisza! Dzwoniąca w uszach i sprawiająca wrażenie, jakby każdy oddech brzmiał jak uderzenie dzwonu. Tutaj także nie byli w pełni bezpieczni. Na zewnątrz wciąż kręciły się patrole. W każdej chwili konspiratorzy mogli zostać zauważeni i schwytani. W ciszy siedzieli na węglu i starali się oddychać jak najpłycej, nasłuchując odgłosów z zewnątrz.



*Stefan Wysocki „Ignac” (z prawej) w 1954 r., już jako ksiądz z bratem stryjecznym Bogdanem
(zbiory ks. Stefana Wysockiego)*

Nagle otworzyły się drzwi, a do piwnicy wdarł się snop dziennego światła. Czyjś cień zamajaczył u szczytu schodów, a potem ktoś ostrożnie począł schodzić w dół. „Wędzidło” i „Wienciadz” nie mieli już broni, ale chwycili do obrony po wielkiej bryle węgla. Ustawili się też bliżej ściany, by w razie ewentualnej walki mieć osłonięte chociaż plecy. Gdy gotowali się do skoku na napastnika, nagle usłyszeli:
— Pssst... To ja, „Ignac”. Jesteście tu?

Odetchnęli z ulgą i wyszli z cienia, witając się z kolegą.

— Po co wam ten węgiel? - spytał, patrząc zdziwiony na wielkie czarne bryły, które ściskali w rękach.

— A nic. Robi porządki z nudów - odparował „Wędzidło” i, lekko zawstydzony, jakby od niechcienia odrzucił węgiel za siebie.

Stefan Wysocki przyprowadził do piwnicy innego uczestnika akcji — „Gryfa”. Obaj przynosili niewesołe wieści z miasta. Od rana gotowało się w całym Łowiczu. Po ulicach kręciły się liczne patrole UB, milicji i wojska, wyłapując spośród tłumu ludzi bez dokumentów (potencjalnych uciekinierów z więzienia) oraz młodych mężczyzn, podejrzanych o udział w napadzie. Zatrzymanych konfrontowano ze strażnikami więzienia, którzy mieli potwierdzić lub zaprzeczyć, czy ta osoba była zamieszana w atak. Komuniści nie ograniczyli się tylko do ulicznych patroli.

UB rewidowało domy i mieszkania wytypowanych podejrzanych.

„Wędzidło” i „Wienciadz” postanowili uciekać i to jak najszybciej.

Kiedy po południu zdjęto posterunki przy przejeździe, pożegnali się z kolegami i we dwójkę ruszyli w dalszą drogę. Ominęli niebezpieczny, jak im się wydawało, dworzec, i pieszo skierowali się na południe. Przeszli już dobrych kilka kilometrów, kiedy niedaleko kolejnego przystanku kolejowego znowu natknęli się na patrol. Ze strachem podali funkcjonariuszom swoje papiery, ale milicjanci nawet nie spojrzeli dokładnie na dokumenty i puścili ich wolno. Widocznie pod miastem komuniści poszukiwali przede wszystkim osób bez dokumentów — uciekinierów z więzienia.

Po noclegu w jednej ze wsi dwaj szaroszeregowcy dotarli do Skierniewic. Tutaj również zaskoczyła ich nadmierna aktywność komunistycznych uzbrojonych patroli. Cały dworzec kolejowy był szczelnie obstawiony, a wszyscy podróżni poddawani skrupulatnej kontroli. Młodzi mężczyźni postanowili nie kusić losu i, nie zbliżając się do dworca, na wysokości lokomotywni wskoczyli do stojącego pociągu towarowego, lądując w pustych wagonach na węgiel. Jakież było ich zdziwienie, gdy po chwili do tego samego wagonu wszedł inny łowiczanki z Szarych Szeregów i uczestnik akcji w więzieniu — „Kora”. Radośnie rzucili się sobie w objęcia — różniej im teraz było we trójkę podróżować dalej, opowiadając o swych niedawnych przeżyciach. „Kora”, tak jak oni, przenocował na przedmieściach Łowicza i wczesnym rankiem z zapasem pożywienia wyruszył pieszo do Skierniewic.

Podobnie, o czym jeszcze nie wiedzieli, postąpił „Jeż”, który do Skierniewic dotarł nawet przed nimi i stąd wyruszył dalej, w daleką samotną podróż, przez Łódź i Konin, do Poznania, a potem do Węgrowa. Na zachód dzień później, 10 marca, wyjechał też „Pająk”, którego w domu rodzinnym poszukiwało już UB.

Towarowe wagony powoli zapełniały się podróżującymi i wreszcie zagwizdała lokomotywa, a pociąg ruszył. Łowiccy konspiratorzy odetchnęli z ulgą, zostawiając za sobą niebezpieczny teren. Jechali na zachód, w stronę Poznania, z przystankiem w Łodzi. Po drodze przysłuchiwali się rozmowom podróżnych, naciągając na oczy czapki

i stawiając wysoko kołnierze, kiedy słyszeli, że to niemieccy spadochroniarze nocą wylądowali w Łowiczu i rozbili tamtejsze więzienie, uwalniając swych pobratymców.



Nie wszyscy uczestnicy akcji wyjechali z Łowicza. Niektórzy pomyśleli, że, będąc w grupie „ubezpieczenie”, nie zostaną zapewne rozpoznani, i czuli się bezpiecznie w swym rodzinnym mieście. Naiwni...

Już o czwartej rano do domów „Wędzidły” i „Wienciądza” w padło UB. Funkcjonariusze nie zastali podejrzanych o wieczorny napad, aresztowali więc całe ich rodziny.

Jako pierwszy z uczestników akcji w ręce bezpieki wpadł siedemnastoletni Bohdan Józewicz „Grom”. Pomimo tego, że w czasie napadu działał w budynku więzienia, pozostał w mieście, a nawet poszedł nazajutrz do szkoły.

Podobnie nierozsądnie postąpił Wojtek Tomczyk „Kmicic”, który na zajęcia szkolne przyszedł z ... dwoma pistoletami za pasem. W czasie lekcji został przez nauczyciela wywołany na korytarz, niby do rodziców.

Zdażył tylko pod ławką podać jeden z pistoletów „Pająkowi”, a sam ruszył do wyjścia. Kiedy znalazł się za drzwiami, zobaczył trzech ubeków.

Sięgnął po pistolet, ale został natychmiast obezwładniony i stracił przytomność po ciosie kolbą w głowę. Kiedy doszedł do siebie, nie miał już broni. Funkcjonariusze kazali mu zmyć krew z twarzy i ubierać się. Potem doprowadzono go do niedalekiego posterunku UB.

Kazika Chmielewskiego „Gryfa” komuniści zgarnęli prosto z ulicy, kiedy wracał od „Ignaca”. W rodzinnym domu „Gryfa” urządzono kocioł.

Józek Wolski „Jurek” 9 marca również szykował się do szkoły.

Zaczynał zajęcia dopiero po południu - wcześniej jako ministrant służył do mszy świętej w kościele u pijarów. Zastanowiły go liczne patrole na ulicach, lecz potraktował je jako konieczną sensację po wczorajszej akcji. Nawet ucieszył się w duchu, że harcerze z Szarych Szeregów postawili na nogi aż tylu komunistów. Po mszy postanowił odwiedzić „Wienciądza”, ale kiedy zapukał do drzwi kamieniczki, otworzyła mu strwożona kobieta i cichym głosem ostrzegła:

Tem dowiedziawszy się, że został aresztowany Jurek
 i kilkanaście innych członków Szarych Sierpców. Długielu
 z tym o pierwszym dwóch uwaro brać udział w
 ucieczce na wieś w Łowiczu. Najbardziej
 kosztowne aresztowany, skazany przez Okręgowy Sąd
 Wojewódzki w Łodzi na karę śmierci, a następnie przez
 Ob. Prezydenta i w marcu 1948 roku wyznaczony
 z więzienia na podziemne Amunicja. Po powrocie do
 domu z żoną Tem uciekł do gimnazjum i w
 maju 1948 roku zdał maturę. Po maturze rozpoczął
 pracę w redakcji „Życiu Pomorskim” jako praktykant
 daktymografki. W przecie starość się o przyjęcie
 na studia w Poznaniu, Warszawie i Łodzi, ale
 nie dostał przyjęty. W grudniu 1948 roku został
 zwolniony z pracy w redakcji. W styczniu 1949 zgłosił
 się do Komisji Inżynierskiej w Karczewie jako
 projektant i jako powołanie społecznie podległ
 obywatela. W Łodzi przyjęty warunkowo w charakterze
 kucharza z tym co przedkładać zaobserwować
 kie. Powołanie zaobserwować nie przebiegało
 z równocześnie wentu w życie zamierzenie o nie
 przewidzianym przyjęciu woli woli kucharzy
 wprzebiegu skazany. W tym czasie dostawał list od
 prof. Zygmunta Karola z którym uciekał z
 wprzebiegu w Łodzi i w Warszawie i równocześnie
 bywał z Wrocław. Spotkał go poprzednio w cze
 nie starość o przyjęcie na studia w Warszawie na
 dworcu i opowiadał o swoich kłopotach z
 Kucharzami

Fragment życiorysu Kazimierza Chmielewskiego „Gryfa” dotyczący akcji na więzienie w Łowiczu
 (Instytut Pamięci Narodowej)

— Niech pan ucieka, na górze u Miecznikowskich rewizja...

„Jurek” postanowił wracać do siebie do domu, ale kiedy był już blisko, podbiegł do niego kolega ze szkoły i na powitanie szepnął do ucha:

— Uciekaj. Pytali o ciebie w szkole. Pewnie w domu też masz kocioł. ..

Chłopak podziękował koledze i zawrócił. Zdenerwował się na dobre. Wiedział już, że trzeba uciekać, tylko gdzie? Zdecydował się skierować swe kroki na południe, ale potem zmienił zdanie i spróbował dostać się na wschód, na tory prowadzące w kierunku Warszawy, kryjąc się przed licznymi patrolami. Kiedy był już blisko i wydawało się, że wydostanie się z miasta, nagle usłyszał za sobą okrzyk: — Stój! Stój, bo strzela! Ręce do góry!

A potem już spokojniejsze:

— Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz?

Posłusznie sięgnął po dokumenty, ale zanim je wyjął, otrzymał silny cios w twarz. Zachwiał się, ale nie upadł. Uzbrojeni funkcjonariusze przelotem zerknęli na jego papiery, uśmiechnęli się do siebie, a jeden z nich powiedział: — Tak, zgadza się. To

ten.

Zaprowadzono „Jurka” do domu, gdzie ubecy zadali mu kilka wstępnych pytań i przeprowadzili szczegółową rewizję. Potem uzbrojeni konwojenci doprowadzili polskiego harcerza do gmachu UB. Tam wśród kilkunastu zatrzymanych rozpoznał „Gryfa” i „Kmicica”. Kiedy wzięto go na przesłuchanie do Sowietu z NKWD, ten popatrzył tylko, pokiwał z politowaniem głową i rzekł: — *Wot sęąęęnok*. Ręce są, a głowa gdzie?

Chwile grozy przeżył również Stefek Wysocki „Ignac”, który po spotkaniu z „Wędzidłem”, „Wienciędzem” i „Gryfem” w domu swej ciotki niósł do rodziców tego ostatniego napisaną przez niego wiadomość. Kiedy do sklepu obuwniczego pani Chmielewskiej wpuścił go jakiś ponury typ — już wiedział, że to komunistyczny kocioł. Na szczęście na nogach miał stare, rozpadające się buty i od razu ruszył do półek. Wykorzystując nieuwagę ubeków, połknął zapisaną karteczkę. Zniszczone obuwie były dobrym alibi, ale i tak „Ignaca” zabrano do siedziby UB na konfrontację. Zszokowany ujrzał skatowanego „Groma”, a potem postawiono go twarzą w twarz z „Gryfem”.

— Znasz go? — zapytali Chmielewskiego, wskazując na „Ignaca”.

Kiedy ten przytaknął, Stefkowi nogi ugięły się ze strachu.

— Znam - powtórzył „Gryf”. Ale zaraz przytomnie dodał: — To ministrant, co niedziela służy do mszy w kolegiacie...

„Ignaca” wypuszczono.



Oprócz zatrzymanych czterech bezpośrednich uczestników akcji i wielu członków rodzin osób zamieszanych w operację, komuniści schwytali też kilkunastu oswobodzonych uciekinierów z więzienia.

Rozpoznanych szaroszeregowców zaprowadzono do miejskiej siedziby NKWD. Tam zostali przejęci przez Sowietów i dokładnie zrewidowani.

— Tobie ona już nie będzie potrzebna - powiedział komunista, zabierając nową marynarkę „Jurkowi”, a potem wziął wielki ostry nóż i kazał mu podejść. Kiedy Wolski wykonał polecenie, Sowiet pociągnął skręta, po czym wprawnie rozpiął spodnie i kalesony Polaka.

Nietrzymające się już na niczym części garderoby opadły na podłogę.

Przez głowę spoconego ze strachu „Jurka” przebiegały najróżniejsze myśli o obrzezaniu czy kastracji. Ale radziecki funkcjonariusz jedynie poobcinał wszystkie guziki od jego spodni i kalesonów. Młody harcerz jeszcze nie wiedział, że to sowiecki sposób ograniczenia możliwości ucieczki aresztantom, których ręce stale są zajęte trzymaniem opadających części garderoby.



Represje nie ominęły rodzin uczestników akcji. Na zdjęciu brat „Wędzidły” Kazimierz Szymański, który w więzieniu odsiedział dwa lata

(zbiory Kazimierza Szymańskiego)

W sowieckiej siedzibie NKWD przetrzymywano około trzydziestu osób. Pośród nich byli między innymi „Jurek”, „Gryf” i „Kmicic”, a także ojciec i czternastoletni brat „Wędzidły”. Znaleźli się tam również jacyś starsi mężczyźni zatrzymani za kontakty z rządem londyńskim oraz zwykły złodziejasek, który na swoje nieszczęście okradł Sowietę. Trzymano ich w ciasnym pomieszczeniu, a ich codzienny posiłek

stanowiła woda i jeden bochenek chleba na wszystkich.

Przesłuchania odbywały się nocą. Sowieci wypytywali głównie o dwie sprawy. Po pierwsze, kto ze służby więziennej współpracował z konspiratorami. A po drugie, jak wygląda i gdzie jest Jan Kopałka „Antek”. Chęć dorwania dowódcy akcji była tak wielka, że Rosjanie wzięli nawet „Gryfa” na „spacer” po centrum miasta, aby ten, przechodząc kilkakrotnie ulicą Zduńską, wskazał oprawcom „Antka”.

Po kilku dniach śledztwa Sowieci przekazali grupę zatrzymanych szaroszeregowców polskim komunistom. Tym sposobem, dziesięć dni po pamiętnych wydarzeniach, „Jurek”, „Gryf” i „Kmicic” znaleźli się w łowickim więzieniu, miejscu swojej niedawnej brawurowej akcji. Nie siedzieli tam długo. Po kolejnych kilku dniach przekazano ich do aresztu na UB, a później przetransportowano do Łodzi.

Rozprawa odbyła się 18 kwietnia 1945 roku przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Łodzi. „Sprawiedliwi” komuniści nie zadali sobie trudu, aby zapewnić oskarżonym obrońcę czy nawet zorganizować prokuratora. Przewodniczący i dwaj ławnicy mieli wystarczyć do orzeczenia winy i kary. A ta była już z góry wiadoma. Młodzi mężczyźni przyznali się do winy.

— Oskarżeni Kazimierz Chmielewski, Józef Wolski, Bohdan Józewicz i Wojciech Tomczyk posiadali broń i należeli do nielegalnej, tajnej organizacji AK, mającej na celu obalenie siłą ustroju państwa polskiego. W dniu 8 marca 1945 roku dokonali gwałtownego napadu na więzienie w Łowiczu...

Niesprawiedliwe słowa smagały niczym bicz uczciwe serca polskich żołnierzy armii podziemnej. W dniu rozprawy „Jurek” miał osiemnaście i pół roku, a „Kmicic” dopiero co ukończył osiemnaście lat. „Gryfowi” do pełnoletniości brakowało dwóch miesięcy, a „Grom” miał ledwo skończone siedemnaście lat. To byli młodzi chłopcy! Ale nie to liczyło się dla komunistycznych sędziów w mundurach Ludowego Wojska Polskiego (LWP). Dla nich ważne było, by II Rzeczpospolita Polska (RP) już nigdy nie wróciła, a w Polsce zapanowały na zawsze „ład i sprawiedliwość”, przyniesione przez „ojca narodów” - Józefa Stalina. Dlatego właśnie wyrok musiał być surowy. W stosunku do trzech oskarżonych: „Gryfa”, „Jurka” i „Kmicica”, była to kara śmierci przez rozstrzelanie. Natomiast w stosunku do najmłodszego „Groma” sąd orzekł dziesięć lat więzienia.

- Tak, chłopcy - mówił na koniec przewodniczący sądu mjr

Ossowski. — Wy zginiecie i wielu z was jeszcze zginie, ale Polska sanacyjna nigdy nie wróci!

— My, panie majorze - odpowiedział cicho Kazik Chmielewski „Gryf” - nie walczyliśmy o Polskę sanacyjną ani o państwo narodowców, tylko o Polskę Demokratyczną.



Trzej skazańcy trafili do celi śmierci. Nawet stary więzienny przodownik nie mógł

przejsć obok nich obojętnie.

— Co łowiczaki, „czapa”? — pytał markotny. A potem kazał pisać prośbę do Bieruta o ułaskawienie. Kiedy odmówili, zrobił to za nich sprowadzony specjalnie mecenas, a oni złożyli tylko pod tekstem swoje podpisy.

Stary strażnik pocieszał ich:

— Nie martwcie się. Was, młodych, na pewno ułaskawią. Wojna jeszcze trwa. Zamienią wam karę śmierci na służbę w karnych batalionach wojskowych. A wtedy to już sami wiecie co robić — partyzantka jest teraz większa niż za okupacji...

Stary przodownik więzienny miał rację. W dniu zakończenia drugiej wojny światowej, 9 maja 1945 roku, trzem skazańcom zamieniono karę śmierci na dziesięć lat pozbawienia wolności. Przewieziono ich do więzienia we Wronkach, a w grudniu ponownie zmniejszono karę — do trzech lat. Dzięki amnestii wszyscy uczestnicy akcji na łowickie więzienie wyszli na wolność. Był marzec 1947 roku.

Wojciech Tomczyk zamieszkał w Tarnowskich Górach, dokąd został przeniesiony służbowo ojciec „Kmicica” - Władysław, pracownik Państwowej Inspekcji Pracy. Władza komunistyczna robiła Wojtkowi problemy w szkołach, a potem w zakładach pracy. Ciężar AKowskiej przeszłości ciążył na nim długo. Ukończył w Tarnowskich Górach liceum dla dorosłych, ale w czasie studiów z socjologii w Łodzi został przymuszony do rezygnacji z nauki.



Szaroszerogowcy łowiczcy w 1947 r. Od lewej: Kazimierz Strzelecki, Marian Szymański (siedzi), Mieczysław Grzybowski, Kazimierz Janicki, Józef Majchrzak (zbiory Kazimierza Szymańskiego)

Podobnie sprawy przedstawiały się w instytucjach i zakładach, gdzie był zatrudniany. Dyrekcja była zadowolona z pracy Tomczyka, ale w związku z jego konspiracyjną i więzienną przeszłością, dlatego że był „wrogiem klasowym”, po

krótkim czasie z dnia na dzień zwalniano go. Dopiero w latach pięćdziesiątych znalazł dobre miejsce pracy w Domu Książki w Katowicach, a potem w Opolu. Wcześniej, w 1949 roku, wziął ślub z Eugenią Wasiljew, a z tego związku urodziła się córka Dorota.

Do samej emerytury Wojciech Tomczyk pracował w Domu Książki, w ostatnim czasie w Łodzi. Do końca spotykał się ze swymi kolegami z Szarych Szeregów. Bywał częstym gościem księdza Stefana Wysockiego na parafii w Wesołej. Brał udział w uroczystości rocznicowej upamiętniającej akcję na więzienie i w rekonstrukcji historycznej, jaka miała miejsce w Łowiczu w 2008 roku. Zmarł rok później, w październiku 2009 roku.

Nie żyje również Józef Wolski, który po wyjściu na wolność zdał maturę i ukończył studia medyczne, na które dostał się za drugim podejściem. Pracował jako chirurg w szpitalach związanych z PKP.

W 1952 roku ożenił się i doczekał jednej córki. W roku 1992 przeszedł na emeryturę.

Kazimierz Chmielewski po wyjściu z więzienia nadrabiał stracony czas i, podobnie jak koledzy, kształcił się. Na początek zdał maturę w szkole wieczorowej w Bydgoszczy, ale kilkakrotne próby dostania się na studia medyczne kończyły się niepowodzeniem. Na komunistycznych uczelniach nie było miejsca dla wrogów proletariatu. Zniechęcony „Gryf” próbował przekraść się nielegalnie przez granicę na Zachód. Został złapany i odsiedział za to jeszcze półtora roku więzienia. Po drugim wyjściu na wolność studiował w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Gdańsku. Był kapitanem żeglugi wielkiej jachtowej.

W 1959 roku poślubił Barbarę Około-Kułak, z którą miał pięć córek i jednego syna. „Gryf” zmarł w styczniu 1991 roku.

Odszedł już także Bohdan Józewicz, który po wyjściu na wolność zdał maturę, a potem pracował w zakładach papierniczych w Krapkowicach. Na początku lat pięćdziesiątych odbył zastępczą służbę wojskową w kopalni, a później pracował w zakładach chemicznych w Bytomiu. W międzyczasie ożenił się i doczekał dwóch córek.



Nieco inaczej potoczyły się losy uczestników akcji na łowickie więzienie, którzy wyjechali w Polskę i tymczasowo zatarli za sobą ślad.

Mieczysław Grzybowski „Kora” ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem, ale w 1947 roku ujawnił się. Ukończył następnie Państwową

Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Łodzi, ożenił się i miał dwóch synów. Zmarł w 1971 roku.

Eugeniusz Nowakowski „Jeż” ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem, uczył się w liceum w Wągrowcu, a potem podjął studia inżynierskie na politechnice w Gliwicach. Kiedy ogłoszono amnestię, ujawnił się w Katowicach i wrócił kontynuować naukę na studiach.

Ożenił się z Henryką Pawelczyk, z którą miał syna. Pracował między innymi w

biurze projektów „Bumar” w Łodzi. Zmarł w lutym 2013 roku.

Nie żyje już także Edward Horbaczewski „Pająk”, odpowiedzialny podczas akcji za przechowywanie broni. Po wydarzeniach w Łowiczu ukrywał się, zdał maturę, a potem, powołany do wojska, został żołnierzem zawodowym. W międzyczasie ukończył Wojskową Akademię Techniczną, odszedł na emeryturę w 1981 roku jako pułkownik.

Był żonaty i miał dwie córki.

Jan Kopałka „Antek” wyjechał co prawda z „Cyfrą” do Bydgoszczy, ale w połowie 1945 roku znalazł się w Łodzi. Chociaż w dalszym ciągu posługiwał się własnym nazwiskiem, to skutecznie zacierał za sobą ślad i mylił ubecką pogoń. Zmienił charakter pisma i przesłuchującym go komunistom wmawiał, że nie jest tym Kopałka, którego szukają. Udawało mu się ich przechytrzyć dzięki mylnemu zapisowi nazwiska rodowego w księgach metrykalnych. W Łodzi podjął pracę w farbiarni w Zakładach Włókien Sztucznych na łódzkim Widzewie.

W zakładzie „Antek” miał wypadek, w wyniku którego stracił dwa palce prawej dłoni. Ale wydarzenie to miało swoje dobre strony. Po pierwsze ominęła go zasadnicza służba wojskowa, ponieważ wojsko potrzebowało ludzi zdrowych, a nie inwalidów. Po drugie poznał miłość swego życia — opatrunki zmieniała mu pielęgniarka Halina Pajchel, z którą w grudniu 1946 roku wziął ślub. Z tego związku urodziło się czworo dzieci. W międzyczasie skończył studia na Politechnice Łódzkiej i zmienił pracę na asystenta w tej uczelni. Następnie był nauczycielem w Technikum Chemicznym w Łodzi. Do końca pozostał harcerzem-wychowawcą i stopniowo, w miarę upływu lat i kolejnych „odwilży”, odkrywał przed najbliższymi tajemnice swojego życia. Zmarł w 1999 roku.





*Przy tablicy upamiętniającej akcję, unieważnionej na skutek więzienia, jej życia niepełnego
składana była zmarłym kolegami, 2008 r.
(zbiory Archiwum Urzędu Miejskiego w Łowiczu)*

Zbigniew Feret „Cyfra” po uwolnieniu ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem (jako Marek Borowski) najpierw na zachodzie Polski, a potem na Śląsku. Ujawnił się w roku 1947, ukończył studia na Politechnice Śląskiej i rozpoczął pierwszą pracę jako elektryk w Gliwicach. Niestety „władza ludowa” nie darowała „Cyfrze” przewinień i w 1952 roku skazany został na dwanaście lat więzienia za posiadanie broni i działalność w nielegalnych organizacjach. Wyszedł na wolność trzy lata później. Ożenił się z Barbarą Zając, z którą miał syna i dwie córki. Do emerytury pracował w Krakowie w Przedsiębiorstwie Geofizyki Przemysłu Naftowego. Zmarł w listopadzie

2010 roku.

Podobnie jak „Cyfra”, po ujawnieniu się więzienną odsiadkę w latach 1952-1955 musiał odbyć Jerzy Miecznikowski „Wienciądz”.

Jeszcze przed aresztowaniem ukończył studia w Akademii Wychowania Fizycznego i podjął pracę jako nauczyciel. W 1957 roku wziął ślub z Hanną Kowalską, z którą doczekał się dwóch córek. Zmarł w czerwcu 2011 roku.

Marian Szymański „Wędzidło” trzymał się razem z „Wienciądzem”. Po opuszczeniu Łowicza dotarli aż do Gdańska, gdzie dostali pracę jako funkcjonariusze Straży Ochrony Kolei. Oprócz służbowej przydziałowej broni próbowali gromadzić inną, nielegalną. Utrzymywali także kontakty z pozostałymi konspiratorami. To wszystko skończyło się aresztowaniem i wyrokiem dwunastoletniego więzienia, zamienionym potem na trzy lata odsiadki. A i tak, kiedy UB znalazło zgromadzoną broń, okazało się, że ta była źle przechowywana, zardzewiała i w ogóle nie nadawała się do użycia. Po wyjściu na wolność „Wędzidło” wraz z „Wienciądzem” działał prężnie w Związku



*Ksiądz Stefan Wysocki, ostatni żyjący uczestnik akcji na łowickie więzienie, 2014 r.
(zbiory ks. Stefana Wysockiego)*

Harcerstwa Polskiego i ukończył, podobnie jak przyjaciel, Akademię Wychowania Fizycznego. Został nauczycielem wuefu i trenerem lekkiej atletyki w Radomsku. Marian Szymański zmarł w lutym 2013 roku.

W chwili, kiedy piszę te słowa, żyje tylko jeden uczestnik akcji rozbicia więzienia w Łowiczu — Stefan Wysocki. Po pamiętnym marcu 1945 roku „Ignac” aktywnie uczestniczył w odrodzonym harcerstwie.

Uczył się w szkole średniej w Łodzi, a potem stanął przed dylematem.

Zawsze chciał nieść pomoc potrzebującym i musiał wybierać, czy zostać księdzem, czy lekarzem. Powołanie do kapłaństwa okazało się silniejsze i Stefan Wysocki w 1949 roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Warszawie. W sierpniu 1954 roku odprawił swą mszę prymicyjną w łowickiej kolegiacie - w tej samej świątyni, w której wcześniej przez wiele lat służył do mszy. Początki działalności kapłańskiej ks. Wysockiego to praca z młodzieżą w warszawskich parafiach. W 1972 roku został przeniesiony do parafii Opatrzności Bożej w Wesolej, gdzie odnalazł swoje miejsce na ziemi. Rozbudował neoromański kościół, postawił dom rekolekcyjny oraz dom opieki „Gniazdo Rodzinne”, zorganizował bibliotekę. W 1990 roku ks. Stefan otrzymał godność prałata. Jest harcmistrzem, kapelanem Szarych Szeregów i przewodniczącym Rady Naczelnej Stowarzyszenia Szarych Szeregów. Obecnie Stefan Wysocki jest księdzem emerytem, mieszka w dalszym ciągu w Wesolej. Jak sam mówi, od dwudziestu pięciu lat odprowadza na wieczną wartę druhów z Szarych Szeregów, w tym również kolegów z akcji uwolnienia „Cyfry”. Spośród uczestników operacji rozbicia łowickiego więzienia, zwanej też „Małym Arsenalem”, został już sam jeden. Kto pożegna tego życzliwego i pokornego kapłana, kiedy Ojciec wezwie go do siebie?

Zaplute karły” z AK

Skrobów, 27 marca 1945 roku

Zbieraj się! — usłyszał nagle. - Wzywa cię dowódca batalionu. Podobno idziesz do szkoły oficerskiej. Szybko, szybko!

Słowa wypowiedziane przez młodego gońca dowódcy baonu były tak oderwane od rzeczywistości, że wydawały się całkowitą abstrakcją. Na pierwszej linii frontu co rusz zrywał się gwałtowny ogień i wybuchały szrapnele. Pociski gęsto orały przedpole, a rakiety i flary rozświetlały wieczorny mrok. Chociaż linia frontu zatrzymała się w tym miejscu na dłużej, to walka ogniowa trwała praktycznie bez przerwy.

Czy podczas decydujących momentów wojny jest miejsce na jakieś szkoły dla żołnierzy, nawet te kształcące oficerów? No i najważniejsze — czy młody człowiek z AK-owską przeszłością to na pewno dobry materiał na oficera w tej przybyłej ze Wschodu, „ludowej” i „demokratycznej” 1 Armii Wojska Polskiego?

Takie myśli przelatywały przez głowę osiemnastoletniego Jerzego Śląskiego, konspiracyjny pseudonim „Nieczuja”, który po akcji „Burza” został wraz z oddziałem okrążony przez Sowietów i rozbrojony.

Trafił najpierw do obozu przejściowego na Majdanku, a potem do kompanii cekaemów w 2 Samodzielnym Zmotoryzowanym Przeciwpancernym Batalionie Miotaczy Ognia. Dane mu było uczestniczyć w walkach komunistycznej armii pod Garwolinem, na przyczółku warecko-magnuszewskim, nad Kanałem Żerańskim oraz przy wyzwoleniu Jabłonnej. Front zatrzymał się w tym miejscu na dłużej i nie widać było końca wojny. A tu młody goniec wyskakuje nagle z jakąś „szkołą oficerską”. Nedorzecznosc.



Jerzy Ślaski „Nieczuja”

(J. Ślaski, *Żołnierze Wyklęci*, Warszawa 2012)

„Nieczuja” zaśmiał się w głębi ducha, ale posłusznie zaczął szykować się do wyjścia z ziemianki. Zebrał najpotrzebniejsze rzeczy, w tym broń, poprawił wojskowy mundur i narzucił na plecy schodzony wojskowy płaszcz. A potem grzecznie ruszył za posłańcem.

Wokół panowała ciemność, co jakiś czas rozświetlana rakietami lub płonącymi flarami. Gdzieś słychać było serie z karabinów maszynowych i detonacje

pocisków artyleryjskich. Odruchowo schylali się na dźwięk wybuchów, a potem długo kluczyli przez oznaczone przejścia na poniemieckich polach minowych.

Kiedy dotarli do sztabu, radziecki dowódca batalionu miał nietęgą minę. Powtórzył rewelacje o szkole oficerskiej, ale — drobny szczegół — kazał zostawić karabin przed wejściem. Kilku młodych żołnierzy — przyszłych oficerów, zawieziono na odludzie i uwięziono w piwnicach samotnie stojącego domu. Zabrano im pasy i wszystkie osobiste rzeczy.

— Dlaczego? - Zdumieni żołnierze nie wiedzieli, co się dzieje.

Aresztowanych przewieziono do obozu NKWD w Skrobowie, gdzie zgromadzono około pięciuset więźniów. Przede wszystkim żołnierzy z 1 i 2 Armii Wojska Polskiego, wcześniej należących do AK.

Zdzisław Jarosz „Czarny”, żołnierz grodzieńskiego Kedywu, a potem 1 Dywizjonu Lotniczego w komunistycznej armii, został oddelegowany ze swej jednostki, aby obstawiać lotnisko w Dęblinie, ale trafił za druty do Skrobowa. Antoniego Jabłońskiego „Jasieńczyka”, byłego żołnierza oddziału AK Mariana Bernaciaka „Orlika”, a potem adepta komunistycznej oficerskiej szkoły artylerii, zabrano z jednostki pod pretekstem wystawienia warty u jakiegoś wysoko postawionego generała. Innych żołnierzy o AK-owskim rodowodzie wywoływano z komunistycznych oddziałów niby na naradę do sztabu, na odprawę w dowództwie jednostki, a nawet na osobiste spotkanie z . . . Józefem Stalinem.

W obozie w Skrobowie znalazło się wielu byłych żołnierzy AK z rozbrojonej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK oraz więźniów komunistycznego obozu na Majdanku. Inni zostali tu przekazani bezpośrednio z rąk NKWD i UB, jeszcze innych przywieziono ze szpitali psychiatrycznych, w których w drastyczny sposób próbowano zmusić ich do składania zeznań. Winą wszystkich zatrzymanych było to, że należeli kiedyś do AK i podczas niemieckiej okupacji zajmowali się działalnością konspiracyjną, a potem walką w ramach akcji „Burza”.

Oprócz nich do obozu trafili też polscy przedwojenni oficerowie nienależący do Armii Krajowej, partyzanci z Batalionów Chłopskich, a nawet kilku partyzantów z Armii Ludowej (AL) i żołnierzy z komunistycznej armii Berlinga niepowiązanych z podziemną działalnością.



Skrobów to niewielka wieś położona tuż obok Lubartowa, w odległości około trzydziestu kilometrów na północ od Lublina. Na kompleks budynków obozowych władza komunistyczna zaadaptowała siedzibę dawnego internatu szkoły zawodowej. W czasie wojny i niemieckiej okupacji w tym miejscu stacjonowała jednostka Wehrmachtu, a potem Niemcy przetrzymywali tu radzieckich jeńców.

Kiedy przyszła Armia Czerwona, już na początku listopada 1944 roku miejsce to w szybkim trybie przygotowano na przyjęcie nowych więźniów — internowanych żołnierzy Armii Krajowej.

Obszar obozu ogrodzono wysokim na cztery metry płotem z drutu kolczastego. W czterech miejscach usytuowane zostały wieże strażnicze z uzbrojonymi w cekaemy i erkaemy wartownikami.

Główny, największy budynek, w którym zamknięci byli internowani AK-owcy, dodatkowo ogrodzono dwoma rzędami wysokiego płotu z drutu kolczastego. Komuniści rozpuścili po okolicy wiadomość, że w obozie znajdują się nie Polacy, tylko jeńcy niemieccy i *Volksdeutsche*.

Aby całkowicie odizolować zatrzymanych od świata zewnętrznego, od strony drogi ustawiono trzy rzędy wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego, a potem wybudowano jeszcze drewniany płot, aby przypadkowi przechodnie nie mogli nawet z daleka dojrzeć, jakie mundury noszą zamknięci w tym miejscu jeńcy.

Internowanych pilnowali sowieccy żołnierze wzmocnionego batalionu, liczącego około tysiąca ludzi. Obozem zarządzał mjr Kałasznikow, a dowódcą baonu ochronnego był kpt. Kriuszko. Obozu w Skrobowie w przytłaczającej większości pilnowali Rosjanie, choć wśród strażników zdarzali się również Polacy. Tak czy inaczej, wszyscy oni nosili polskie mundury — wszak obóz NKWD w Skrobowie oficjalnie nosił nazwę: I Specjalny Obóz Zarządu Informacji Naczelnego Dowództwa WP. Komuniści bali się, że uwięzionych będzie próbował odbijać jakiś błakający się jeszcze po okolicy oddział AK.



Żołnierze radzieccy ZKWD maszerują podczas pogrzebu ofiar walk z podziemiem antykomunistycznym, zdjęcie pochodzi z albumu „Z historii walk funkcjonariuszy UB, MO i KBW z wrogim podziemiem”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Dlatego na każdą noc jedna kompania wojsk dodatkowo opasywała szczelnie teren obozu, zajmując stanowiska w specjalnie przygotowanych do tego celu okopach. Sowieccy żołnierze pochodzący najczęściej z południowych republik, tkwili tak całe noce, ćmiąc liche papierosy lub żując tytoń. Kostniały im ręce zaciskane na metalowych częściach karabinów, a wzrok wbity w dal próbował przeniknąć mrok i zawczasu ujrzeć napastników. Ale nikt nie nadchodził, aby oswobodzić polskich żołnierzy z AK. Początkowo nawet nikt nie wiedział o ich pobycie tutaj. Propaganda komunistyczna zadziałała tak skutecznie, że zarówno pilnujący ich Sowieci z NKWD, jak i okoliczni mieszkańcy - wszyscy bez wyjątku przekonani byli, że w Skrobowie zamknięci są wyjątkowo okrutni esesmani, faszyci i zdrajcy, którzy bez skrupołów podpisali *folkslistę*.

Dopiero po jakimś czasie, dzięki grypsom — zwitkom zapisanego papieru owiniętego na kamieniach wyrzucanych następnie za ogrodzenie, udało się przekazać na zewnątrz informację, że w Skrobowie więzieni są Polacy z AK. Dopiero wtedy zaczęły do obozu masowo napływać paczki żywnościowe od miejscowej ludności.

Każdy chciał pomóc polskim patriotom. W końcu także Sowieci zaczęli inaczej patrzeć na swoich więźniów, kiedy i do nich dotarło, że to polscy partyzanci walczący kiedyś z hitlerowcami, a nie żadni zdrajcy. Niektórzy ze strażników żalowali uwięzionych, zdobywając się czasami na jakieś drobne gesty współczucia i pomocy.

Zapewne wszystkie te czynniki spowodowały, że ostre więzy dyscypliny utrzymywanej przez enkawudzistów w obozie rozluźniły się, a nieufność względem więzionych Polaków osłabła. Jak się wkrótce okazało, miało to brzemienne skutki. Otóż 4 grudnia doszło do pierwszej ucieczki z obozu. Wieczorem, kiedy zapadły całkowite ciemności, dodatkowo spotęgowane rześnistym deszczem i mgłą, siedmiu śmiałków przeczołgało się pod rzędami ogrodzeń rowem, którym z obozu odpływały ścieki. Potem przecięli nożycami ostatnie zasieki z drutu i znaleźli się na zewnątrz.

Tam, klucząc pośród sowieckich stanowisk, niezauważeni zdołali oddalić się nieznacznie od obozu. Dopiero wówczas spostrzeżono ich ucieczkę i w pogoń ruszyły uzbrojone grupy NKWD. Po kilku godzinach Sowieci złapali trzech uciekinierów i przyprowadzili ich z powrotem do obozu. Po miesiącu schwymano jeszcze jednego zbiega. Całą czwórkę wywieziono ze Skrobowa, poddano okrutnemu śledztwu i skazano na osiem lat więzienia. Los pozostałej trójki śmiałków do dziś dnia jest nieznan. Albo udała im się ucieczka i zgubili całkowicie za sobą ślad, albo też zostali schwytani i natychmiast rozstrzelani lub zakatowani na śmierć.

Tymczasem w sowieckim obozie czas płynął powoli. Minęły święta Bożego Narodzenia. Wraz z przyjściem nowego, 1945 roku ruszyła wreszcie wielka radziecka ofensywa. Więźniowie słyszeli w oddali głuchy huk tysięcy dział znad Wisły. W powietrzu dało się czuć wiosnę. Słońce mocniej przygrzewało, śnieg topniał, a zamkniętych za drutami ludzi coraz bardziej nęcił zieleniejący w oddali las. Z odległości kilku kilometrów czuli prawie jego zapach. W umysłach więźniów linia puszczy jawiła się jako najpiękniejszy obrazek na ziemi.

Bezpieczna przystań dla wszystkich wędrowców, zieleń dająca otuchę wątpięcym i schronienie dla uciekinierów. Jednym słowem - symbol wolności. Jeszcze daleki, a przecież prawie na wyciągnięcie ręki. I tak ponownie zrodziła się myśl o ucieczce.



— Nie i jeszcze raz nie. Panowie, ja nie mogę decydować w tej sprawie. — Trzej żołnierze, stojący przed oficerem na baczność, w skupieniu, ale z rozczarowaniem wsłuchiwali się w słowa majora

Kaweckiego. - I nie chodzi wcale o moją zgodę czy niezgodę na waszą — tu ściszył głos — ucieczkę. Problem w tym, że ja naprawdę nie mogę podjąć żadnej decyzji. Nie mam do tego kompetencji, nie jestem najstarszy stopniem w naszym obozie. Nie mogę też objąć nad waszą grupą dowodzenia. Zwróćcie się w tej sprawie do ppłk. Piskuli.

On jest najstarszy szarżą i niech on wyrazi swoją opinię. Ja ze swej strony mogę jedynie życzyć wam, żołnierze, powodzenia.

Trzej główni pomysłodawcy i prowodyrzy planu ucieczki wychodzili z rozmowy z

majorem Kaweckim co najmniej zawiedzeni i rozgoryczeni faktem, że wyżsi oficerowie najwyraźniej nie chcą przyłączyć się do ich planu. Przypominało to trochę noc listopadową 1830 roku - zapal młodych głów naprzeciw chłodnej kalkulacji starszych oficerów.

— I co teraz? — spytał niepewnie pchor. Jerzy Michalak „Swida”, patrząc na swoich współtowarzyszy. Zdzisław Jarosz „Czarny” tylko wzruszył ramionami, ale wtedy odezwał się „Wierny”.

— Jak to co? — zagrzniał. - Idziemy prosto do podpułkownika.

Był zdecydowany działać i to jak najprędzej. Kilka dni wcześniej w obozie rozeszła się pogłoska, że uwięzionych AKowców lada dzień będą wywozić do sowieckich łagrów daleko na Wschodzie. Nie było czasu, aby zastanawiać się nad swoim położeniem, rachować bilans zysków i strat oraz próbować przekonywać pana majora. Minał już etap dyskusji i planów — nadszedł czas działania.

Trzej żołnierze przepisowo zameldowali się u ppłk. Piskuli i wyłuszczyli mu te same argumenty, z którymi przyszli do mjr. Kaweckiego. Starszy już podpułkownik wysłuchał podchorążych z uwagą, ale kiedy zaczął mówić, pojęli, że nie podziela ich entuzjazmu.

— Panowie, wojna powoli dobiega kresu. Dla mnie i chyba dla wszystkich przetrzymywanych w tym miejscu najważniejszą sprawą jest to, aby dożyć jej końca. I tak się chyba stanie, prawda?

„Wierny” stał przed podpułkownikiem, zaciskając pięści. Wiedział już, że nie ma co liczyć na masowe wsparcie oficerów, których w obozie była przecież większość. Z szacunku względem starszego stopniem, podobnie jak jego towarzysze, przytaknął jego słowom, ale w głowie kłębiły mu się całkiem inne myśli.

— Jestem starym oficerem — mówił dalej Piskula. — Potrafię docenić waszą odwagę. Ale nie mogę brać odpowiedzialności za życie kilkuset ludzi zamkniętych w tym obozie. Według mojej oceny szanse na powodzenie takiej ucieczki, jak ta planowana przez was, równe są zaledwie jednemu procentowi. To za mało, aby podejmować taką próbę i ryzykować życie.

— Z całym szacunkiem, panie pułkowniku — wtrącił zdenerwowanym głosem „Wierny” — ale według naszych rachunków szanse na powodzenie akcji wynoszą nie jeden, ale piętnaście procent.

— To i tak za mało. — Podpułkownik uśmiechnął się z goryczą. —

Jeśli jednak swoimi argumentami nie odwiódłem panów od tej śmiałej i ryzykowanej akcji, życzę powodzenia — zakończył rozmowę.

— No to kłapa — powiedział „Czarny”, kiedy wracali do siebie po spotkaniu z Piskulą.

— Żadna tam kłapa. Robimy akcję sami, bez oficerów — powiedział „Wierny”, prowadząc swych kolegów na kolejną tajną naradę, tym razem w szerszym gronie.

Podporucznik Piotr Mierzwiński „Wierny” trafił do Skrobowa pod fałszywym

nazwiskiem. Dodatkowo zataił przed komunistami swój oficerski stopień wojskowy i dlatego znalazł się w pomieszczeniu dla szeregowców i podchorążych. Miał swoje powody. Jako oficer AK dowodził jednym z oddziałów Armii Krajowej na Polesiu, a jego grupa brała udział w operacji „Burza” jako część składowa 30 Poleskiej Dywizji Piechoty AK. Kiedy jego oddział szedł z odsieczą powstańczej Warszawie, został w rejonie Otwocka otoczony przez Sowieców i rozbrojony. Podporucznik „Wierny” musiał się ukrywać.

Niestety NKWD znalazło go i aresztowało. To wtedy Mierzwiński skłamał, że nazywa się Jan Jarocki i jest zwykłym partyzantem, a nie oficerem i dowódcą oddziału. Tymczasowo uratował swą skórę i trafił do komunistycznej polskiej armii. Niedługo cieszył się wolnością. Jako dawny AKowiec był niebezpieczny dla „władzy ludowej” i kiedy komuniści robili czystkę w swojej armii, aresztowany został również Piotr Mierzwiński. W taki sposób znalazł się w Skrobowie.

Warto dodać, że przed wojną był uczniem szkoły podoficerskiej dla małoletnich, a potem służył w 4 Dywizjonie Pancernym w Brześciu nad Bugiem. W czasie kampanii wrześniowej walczył w składzie 90 Samodzielnej Kompanii Czołgów Rozpoznawczych „Wilk”. Pomimo klęski „Wierny” nie dostał się wówczas do niewoli i praktycznie od początku konspirował w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ)-AK.



Przyszło przedwiośnie, a wraz z nim zbliżały się Święta Wielkanocne. Dodatkowo obóz w Skrobowie miała wizytować jakaś komisja składająca się z wyższych oficerów komunistycznego wojska. Za zasiekami z drutów kolczastych trwały bez przerwy prace porządkowe.

Codziennie coraz większe zastępy więźniów kierowano do zajęć poza najbardziej odizolowaną strefą zamknięcia polskich żołnierzy.

Podobnie było 27 marca 1945 roku, we wtorek, już w Wielkim Tygodniu. Oprócz codziennych prac, przy obieraniu kartofli i rąbaniu drewna na opał, Sowieci szukali ludzi do porządków w łaźni oraz zasypywania kałuż i wyznaczania nowych obozowych ścieżek wysypywanych żwirem.



Partyzanci z Polesia w lecie 1944 r. Po prawej Piotr Mierzwiński „Wierny”, po lewej Stanisław Nabiałek „Marek”

(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

W tym dniu do prac poza głównym obozem wyszło sześćdziesięciu internowanych, których podzielono na cztery grupy robocze. W grupie obierającej kartofle znalazł się Jerzy Śląski „Nieczuja”.

Czas płynął Polakom monotoniem na niespiesznym obieraniu na wpół zgniłych kartofli, a za oknem inna grupa wyrównywała obozowe dróżki. Pracujących przy

kuchni pilnowali dwaj znudzeni wartownicy z pepeszami na piersiach, a całej roboty doglądał radziecki sierżant — szef kuchni. Kiedy zbliżała się godzina jedenasta, jeden z więźniów, Kazimierz Łukasik „Samopał”, wstał i zwrócił się do strażnika z prośbą o pozwolenie na pójście do latryny. Skośnooki kałmuk z pepeszą na sznurku poprowadził Polaka „na stronę”, a drugi pozostał z „obieraczami”.

Zbliżało się południe i wreszcie zza chmur wyszło słońce. Ale i tak w powietrzu czuć było pozimowy chłód, a gdzieniegdzie pod nogami leżały płaty brudnego, niestopniałego jeszcze śniegu. Od lasu i pól niósł się zapach przedwiosennej wilgoci. „Samopał” wziął głęboki oddech, ale nie po to, by rozkoszować się zapachem polskiej ziemi. Jego myśli skupione były na czymś zupełnie innym, a westchnienie wskazywało bardziej na nerwy niż zachwyty nad wspaniałym przedwiosennym powietrzem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie do latryny przyszło czterech polskich więźniów z czterech różnych grup roboczych. Ale strażnicy nie zastanawiali się nad tym przypadkiem. Byli zadowoleni, że mogą się troszkę rozerwać — „zakurzyć” papierosa, a przy okazji zamienić słowo z towarzyszami.

Tymczasem w latrynie polscy konspiratorzy wymieniali ostatnie spostrzeżenia i konsultowali, czy nie zaszły jakieś wyjątkowe okoliczności, które mogłyby przekreślić planowaną akcję.

— U nas wszystko w porządku. Strażników jak zwykle dwóch, ale nas piętnastu... — mówił „Samopał” i uśmiechnął się pierwszy raz od kilku nerwowych godzin.

— Na naszym terenie też spokój, możemy zaczynać — dodał inny, z grupy porządkującej łaźnię. To samo potwierdzili dwaj pozostali Polacy. Decyzja o rozpoczęciu akcji zapadła.

Kiedy „Samopał” wracał do kolegów w kuchni, poprawił czapkę, przesuważąc ją zawadiacko „na bakier”. Był to dla nich sygnał: nic się nie zmieniło, zaczynamy. Dostrzegli go z daleka siedzący przy oknie i kiwnięciem głowy dali znać pozostałym. Zdzisław Jarosz „Czarny” zaczął niespiesznie skręcać papierosa. Kiedy wszedł „Samopał” i nieznacznie skinął głową, „Czarny” wstał z gotowym już papierosem i podszedł do pieca. Niestety, za nic nie udawało mu się podpalić zrobionego z wilgotnej gazety skręta. Nie widząc innego wyjścia, podszedł wolnym krokiem do wartownika znajdującego się pośrodku izby i grzecznie poprosił: — Dacie zakurzyć?

Strażnik poprawił wiszącą na piersi pepeszę, przesuważąc ją do tyłu. Potem zaczął w kieszeniach szukać zdobycznej na frycach zapalniczki albo chociaż zapalek. Sowiec tak zajęty był penetrowaniem swoich przepastnych kieszeni, że w ogóle nie dostrzegł niebezpieczeństwa. Po sekundzie leżał już na ziemi znokautowany mocnym ciosem „Czarnego”, który teraz wyrywał mu z rąk broń. Szamoczący się Sowiec zdołał zduszonym głosem zaalarmować szefa kuchni. Lecz kiedy ten biegł na „Czarnego” z siekierą, rzuciło się na niego kilku partyzantów i unieszkodliwiło nożem do obierania kartofli. Po chwili obok leżał nieprzytomny także drugi skośnooki strażnik.

W tym samym czasie, kiedy Polacy obezwładniali Sowieców w budynku kuchni,

kilku więźniów wyskoczyło na zewnątrz. Pierwszy z nich, Jerzy Michalak „Świda”, rzucił się na wartownika przy drzwiach i po sekundzie ze zdobytą pepeszą pognał pod budynek wartowni. Odbezpieczył broń i wystrzelił. Długa seria zagrzmiała złowieszczo, a kule grzęzły w murach budynku lub z brzękiem tłukły okna. To był sygnał dla innych grup roboczych, aby przystąpić do akcji. Również oficerowie odczytali umówiony znak. Dano im alternatywę - chętni mogli przyłączyć się do ucieczki. Po długiej serii oddanej z pepeszy mieli zburzyć cienką ściankę dzielącą ich od pomieszczenia wartowni i od tyłu zaatakować Rosjan.



Kiedy przebrzmiała seria z pistoletu maszynowego znajdującego się w rękach „Swidy”, z okien wartowni wychylili się Sowieci i poczęli się ostrzeliwać. Początkowo ich ogień był, na szczęście dla buntowników, chaotyczny i niecelny. Potem zagrały erkaemy z wieżyczek wartowniczych. Te stanowiska próbował zlikwidować „Czarny”, strzelając w ich kierunku ze swojej pepeszy. „Nieczuja”, mając w ręku jedynie zdobyty chwilę wcześniej magazynek, sterroryzował nim kolejnego strażnika i przejął jego karabin. Mógł już teraz wspomóc kolegów i po sekundzie celował ze spokojem w okna wartowni.

W tym momencie ruszyły do walki pozostałe grupy więźniów.

Pracujący przy wysypywaniu ścieżek ppor. „Wierny” uniósł łopatę i z całych sił walnął nią w głowę sowieckiego strażnika, zdobywając jego broń. Kolejnego wartownika unieszkodliwił „Jasieńczyk”.

Do walki ruszyła także grupa przygotowująca drwa na opał. Janusz Patocki „Zawisza” rzucił się na plecy Sowietę, gdy ten kierował swą broń w stronę wybiegających z kartoflam i partyzantów. Zdusił go własnymi rękami i zabrał kolejną pepeszę.

Zatrudniony przy porządkowaniu łaźni Jan Kobyłański „Dziubak” już wcześniej uzbroił się w długi, zaostzony gwóźdź. Gdy padł sygnał do ataku, zaszedł od tyłu strażnika i wsadził mu wiadro na głowę. Wyciągnął gwóźdź, ale nie dźgnął nim obezwładnionego Rosjanina, lecz próbował przeciąć pasek jego pistoletu maszynowego.

Kiedy w końcu mu się to udało, broń sprzątnął mu sprzed nosa jakiś inny konspirator.

Decydujący moment nadszedł już na samym początku akcji. Część polskich buntowników ostrzeliwała okna i drzwi wartowni, uniemożliwiając wyjście na zewnątrz większej liczby strażników. Druga, większa grupa rzuciła się w stronę koszar, gdzie spała nocna zmiana warty.

W tym miejscu zaskoczenie było pełne. Feliks Tymoszuik „Longinus”, Zygmunt Brzozowski „Dąb”, Kazimierz Henchen „Tygrys” i Zbigniew Manys „Kola” włamali się do pomieszczenia i oddali kilka ostrzegawczych strzałów w sufit. To wystarczyło, by zająć izbę. Zaskoczeni Sowieci, ubrani zaledwie w bieliznę, nie stawiali oporu i

posłusznie położyli się na podłodze. Większość z nich, dopiero co wybudzona ze snu, nie wiedziała, co się dzieje. Ale kilku znajdujących się najbliżej drzwi zdołało wyskoczyć na zewnątrz i uciekło w stronę broniącej się wartowni. Nikt z Polaków nie zwracał na to uwagi, wszyscy zajęci byli dzieleniem zdobytej broni. To wtedy „Tygrys” zdobył radziecki erkaem Diegtiariowa z talerzowym magazynkiem.

Kule gęsto świstały nad głowami Polaków. Coraz celniej ostrzeliwali się Sowieci zgromadzeni w głównej wartowni, o zdobyciu której nie można już było marzyć. Bardziej skuteczny ogień prowadziły też stanowiska usytuowane w wieżach. Z jednej dało się słyszeć nieustanne, metodyczne gdakanie cekaemu.

Nagle ktoś zakrzyknął:

— Na bramę!

Oswobodzeni Polacy ruszyli w stronę wyjścia z obozu, nie czekając na dalszy rozwój wypadków. Przy bramie tłum zagarnął wartowników, którzy zbyt długo zastanawiali się, czy strzelać, czy nie. Pod naporem uciekinierów rozwarły się wierzeje, otwierając im drogę na zewnątrz. Ale wtedy na placu obozowym pojawił się sowiecki komendant. W rozpiętym płaszczu, z erkaemem w dłoniach, major Kałasznikow wrzeszczał na swoich ludzi i poganiał ich do działania. Co krok przystawał i na stojąco strzelał z ciężkiego diegtiariowa. To on trafił w nogi jednego z uciekinierów, plut. Kaczkowskiego, a potem dobił go strzałem z bliska.

Odwaga i brawura dowódcy podziałały mobilizująco na strażników i w stronę Polaków poleciał grad kul enkawudzistów strzelających z wież strażniczych, wartowni i z dachów budynków. Na podwórzu zbierała się też grupa Rosjan, ale na skuteczne zamknięcie drogi ucieczki było już za późno. Pod sowieckim ogniem przez bramę przeskoczyło kilkudziesięciu polskich zbiegów. Ostatni z nich wciąż ostrzeliwali się z Sowiecami. Oswobodzeni Polacy przeskoczyli drogę i biegiem kierowali się w stronę oddalonej o kilka kilometrów linii lasu.



Próbował równo oddychać. Wdech i wydech. Miarowo, aby nie stracić rytmu biegu i nie zostać w tyle za kolegami. Wszędzie wokół siebie słyszał ciężkie oddechy i szcęk broni obijającej się o magazynki i klamry pasów. Do tego tupot dziesiątek nóg. A raczej chlupot - w błocie podmokłej łąki. Chociaż strzały w obozie ucichły daleko za nimi, to linia lasu za nic nie chciała się przybliżyć. Z obozu do skraju Lasów Kozłowieckich miało być trzy, cztery kilometry. Ale pokonanie takiego odcinka w pełnym biegu dla więźniów odwykłych od wysiłku fizycznego, niedożywionych i często zameczanych podczas przesłuchań było nie lada wyzwaniem. Niektórzy, biegnąc, odwracali głowy, aby zobaczyć, czy czasem nie widać za nimi pościgu. Na szczęście na razie z tyłu panował spokój. To dodawało sił wątpiącym i zostawiało nadzieję na dotarcie do zbawczego lasu.

Jerzy Śląski biegł w środku grupy, starając się zapanować nad wiszącym mu na plecach karabinem, który co rusz boleśnie uderzał go kolbą w udo, bezlitośnie

wybijając z rytmu. Choć cieszył się ze zdobyczej broni, to z zazdrością patrzył na nieuzbrojonych kolegów, którym łatwiej było pokonywać kolejne kałuże i bajora zalanej łąki.

Ale byli tacy, co mieli gorzej. Czerwony na twarzy „Tygrys” z trudem dźwigał swój erkaem, ale za żadne skarby nie chciał oddać go komuś innemu. Inni pomagali dwóm, nieznacznie na szczęście, rannym. Nie mówiąc już o tych, którzy dźwigali na płaszczu kolejnego postrzelonego. Wszystkich trzech sowieckie kule dopadły już za bramą obozu, kiedy pokonywali pierwszych kilkaset metrów odsłoniętego terenu wymarzonej wolności. Tak, ci pomagający rannym mieli najtrudniej podczas biegu. Ale nawet przez chwilę nikomu nie przyszła do głowy myśl, aby poranionych towarzyszy zostawić, porzucić na pastwę komunistycznego pościgu. Przygotowani byli na najgorsze, lecz wiedzieli jedno — lepiej umrzeć na stojąco, niż żyć na kolanach. Stanowili teraz zwartą grupę, zespół najbardziej zdesperowanych ludzi w całej Polsce. Nie mogli porzucić ranionych towarzyszy. Wystarczy już, że widzieli śmierć postrzelonego w nogi kolegi, którego z grymasem wściekłości dobijał komendant obozu. Zrozumieli wtedy, że bez względu na wszystko muszą trzymać się razem. Inaczej zginą.

W końcu, ostatnim wysiłkiem woli dobiegli do lasu i natychmiast zalegli pośród drzew, bacznie obserwując drogę, którą zostawili za sobą. Ciężkie oddechy świadczyły o olbrzymim zmęczeniu.

Zaraz też zajęto się rannymi, których fachowo opatrzył „Samopał”.

Grupa uciekinierów liczyła czterdzieści osiem osób, całkowicie teraz wycieńczonych i niezdolnych do czegokolwiek. Po krótkim odpoczynku policzono zdobytą broń. Polacy mieli ze sobą dwa erkaemy, dwanaście pepesz, siedemnaście karabinów i dwa dziesięciostrzałowe radzieckie karabiny. Gorzej z amunicją. Tej na pewno nie starczy na długo. Wybrano dowódcę grupy, którym — jak można było przewidzieć — został ppor. „Wierny”. Podzielił uciekinierów na dwie drużyny, dowodzone teraz przez „Swidę” i „Jasieńczyka”. No i najważniejsze — postanowiono, co robić dalej. Przeważył w tej kwestii głos „Jasieńczyka”, który przed aresztowaniem należał do działającego nieopodal oddziału Mariana Bernaciaka „Orlika”. Zdecydowano dostać się na północ, za rzekę Wieprz i tam poszukać kontaktu z partyzantami „Orlika”. Według szacunków Jabłońskiego było to około pięćdziesięciu kilometrów marszu, z koniecznością przeprawy przez szeroką rzekę. Wszyscy zgodnie przytaknęli pomysłowi. Dla zmylenia pościgu „Wierny” postanowił odejść najpierw kilka kilometrów na południe, a dopiero potem skrócić w kierunku Wieprza.

Bardzo trudno było postawić zmęczonych ludzi na nogi i ruszyć wreszcie w dalszą drogę, głębiej w las. Ale czas był po temu najwyższy. Uwolnieni nie mogli wiedzieć, że w tym samym momencie z obozu w Skrobowie rusza zorganizowana pospiesznie grupa pościgowa. A z okolicznych garnizonów i miasteczek wyjeżdżają dziesiątki ciężarówek i wymaszerowują setki żołnierzy. W kierunku Lasów Kozłowieckich ruszyły grupy pościgowe złożone z oddziałów NKWD, UB, milicji i żołnierzy

„ludowej” polskiej armii. Wszystkie drogi komunistycznej sieci obławy miały zejść się pośrodku lasów, dokładnie w miejscu, gdzie przebiegała leśna drożyna, którą maszerowali teraz uciekinierzy.



— Wielkie masy wojska ruskiego i naszego obstawiły lasy. Wszędzie pełno uzbrojonej milicji. Mówią, że nie macie broni i jutro was wszystkich wyłapią, a potem ... wiadomo — relacjonował gospodarz, kiedy uciekinierzy pałaszowali przywiezione przez niego wiktuały.

Był chleb, były kartofle, kasza gryczana, a nawet słonina. Dla zgłodniałych i zmęczonych AKowców taka wieczerza to dar niebios. Bo rzeczywiście — czy spotkanie pośrodku lasu furmanki życzliwego gospodarza to nie cud? Zgodził się im pomóc, ponieważ, jak zapewniał, nienawidzi komuny, a jego syn również działał w AK. Przywiózł w umówione miejsce jedzenie, picie i trzy pary butów dla tych, którym podczas ucieczki rozleciało się całkowicie obuwie. Z gospodarzem przyjechał też jego syn, który miał poprowadzić uciekinierów bezpiecznie w kierunku Wieprza.

Było już ciemno, kiedy ojciec i syn zawieźli uciekinierów do wsi i dali im schronienie w swoim gospodarstwie. Zbiedzy mogli tam odpocząć i zebrać siły na następny odcinek nocnej wędrówki. Ruszyli po północy wraz z synem gospodarza, omijając ludzkie skupiska. Raz tylko zaszli do samotnie stojącego pod lasem domu. Mieszkał tam znajomy życzliwego im byłego AK-owca i zgodził się, by zostawili u niego ciężko ranne kolegi. W zagrodzie uciekinierzy dowiedzieli się także, że nocami żołnierze komunistycznej obławy zazwyczaj odpoczywają, a teren patrolują tylko niewielkie grupki milicji. Polacy postanowili to wykorzystać i natychmiast ruszyli w dalszą drogę, maszerując aż do świtu.

O brzasku uciekinierzy schronili się u kolejnych gospodarzy zaprzyjaźnionych z ich przewodnikiem. Dostali jedzenie, picie i miejsce do spoczynku. Towarzyszący im aż do tego miejsca młodzieniec z AK teraz pożegnał się, życząc żołnierzom powodzenia. Radził, by trzymali się przepływającej niedaleko rzeki Mininy, która w dalszym swym biegu wpada do Wieprza.

Poranny wypoczynek mógł trwać dłużej, ale postawiony na straży wartownik zbudził pozostałych uciekinierów wystrzałem w powietrze. Żołnierz zauważył wchodzący do wsi i kierujący się do ich zagrody patrol MO. AK-owcy w biegu dopinali mundury i zarzucali broń na ramię. Kryjąc się za stodołami, zdołali dotrzeć do linii drzew, ale za plecami słyszeli już budzące trwogę odgłosy pościgu. We wsi, z której wyszli, warczały motory ciężarówek, rozbrzmiewały głośnie nawoływania, gdzieś tam słyszczwały pojedyncze wystrzały. Uciekinierów najbardziej niepokoiło jazgotliwe szczekanie sfory milicyjnych psów tropiących. Ten straszny odgłos zbliżał się nieustannie.

Nagle, tuż przed nimi, na leśną dróżkę wybiegło dwóch mężczyzn.

Jak się okazało, oni również umykali przed komunistyczną obławą.

— We wsi już wojsko! Ruskie i polskie! Mają przeczesywać las! — ostrzegł żołnierzy, nie zatrzymując się, jeden z nich. — Nie macie szans. Szwadron Sowieków na koniach zaraz ruszy w pogoń za wami.



Skrobowiacy — uciekinierzy z obozu NKWD w Skrobowie. Stoją od lewej: Zbigniew Jarosz „Czarny”, Jerzy Michalak „Swida”, Adam Żurawski „Zawieja” i Eugeniusz Kuta „Gryf”
(zbiory Krystiana Pielachy)

Zapędzą was do rzeki, a potem wyłowią pojedynczo jak raki. Nie przepawicie się, po roztopach jest wielkie rozlewisko. Mosty obstawione, łodzi nigdzie nie ma.

Kiedy skończył, nad ich głowami przeleciał wolno sowiecki dwupłatowy kukuruźnik. Mogli dostrzec wyglądające na boki głowy pilota i Strzelca. Bez wątpienia szukali uciekinierów z sowieckiego obozu...

— Nie ma ratunku! — krzyknął jeszcze raz mężczyzna i zniknął wraz z kolegą w leśnym gąszczu.

Zbliżająca się oblawa i nieoczekiwane spotkanie z nieznanymi zaszczepiły ziarno niepewności w niektórych sercach. Ktoś zaproponował, żeby ukryć broń i rozdzielić się na kilkusobowe grupy. W ten sposób łatwiej będzie zdobyć cywilne ubrania i wyrwać się z matni.

Kilka osób natychmiast podchwyciło ten pomysł. Ale wtedy odezwał się „Wierny”:
— Pojedynczo nie mamy żadnych szans. Tylko całą uzbrojoną grupą możemy jakoś

obronić się przed obławą. Ale kto chce — może odejść. Droga wolna.

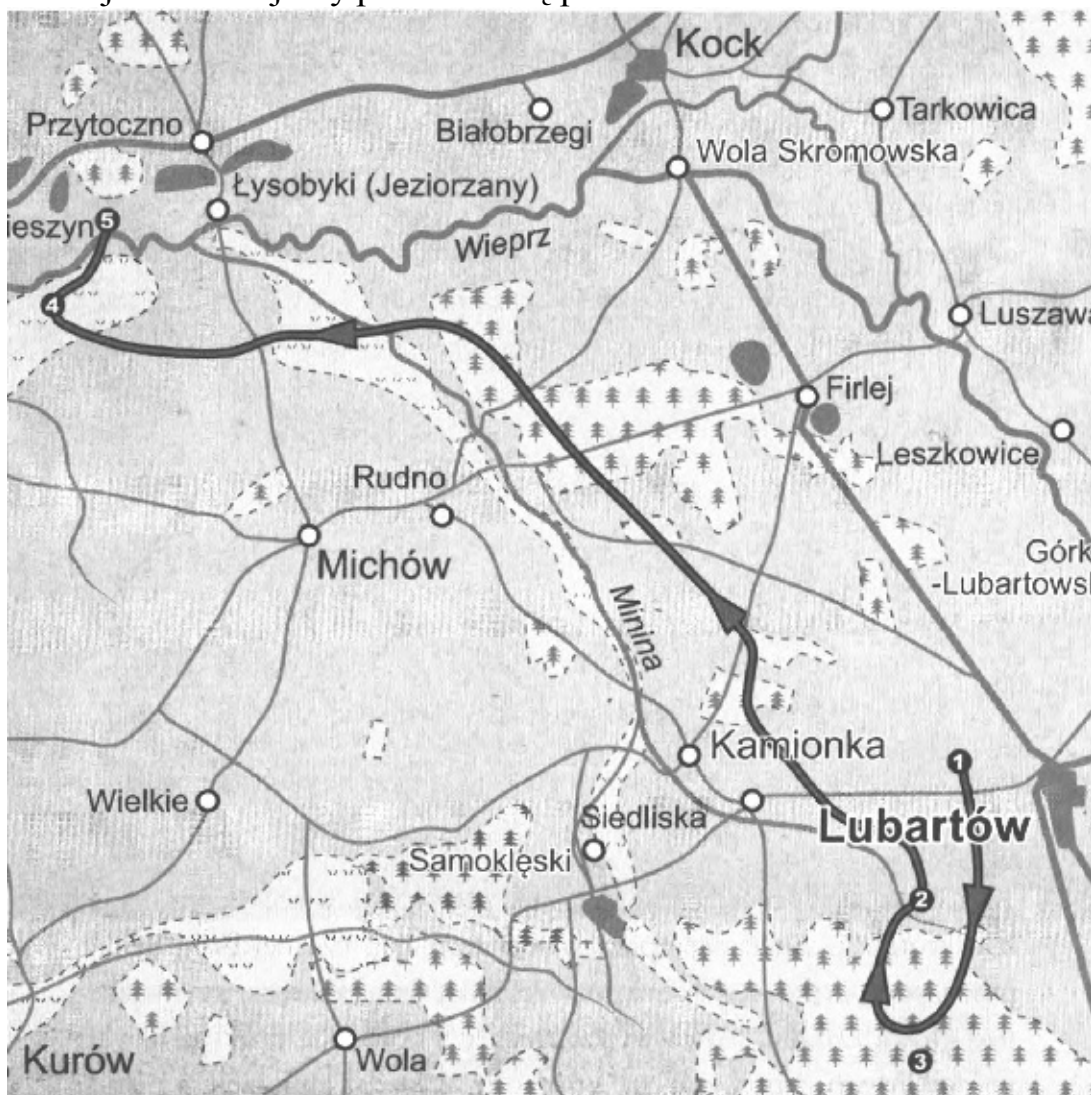
Dziesięciu żołnierzy skorzystało z propozycji. Odeszli ze swoją bronią i amunicją. Ale pozostali postanowili do końca trzymać się razem, wierząc w instynkt i szczęście swego przywódcy.



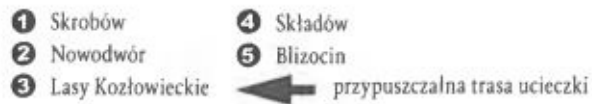
— To koniec... - przemknęło przez głowę Jurkowi Śląskiemu, gdy kilkakrotnie o mało nie upadł w lodowatą toń czarnej brei. Brnął przez wodę, która sięgała mu powyżej pasa. Omdlałe ręce, trzymające nad głową karabin, ledwo wytrzymywały z bólu. Nie czuł już nawet przenikliwego zimna, tak był zmęczony. Zapadał zmierzch, a przed nimi, jak okiem sięgnąć, wszędzie rozlewała się woda. Olbrzymie, głębokie rozlewisko rzeki pokryło nieprzeniknioną taflą brzegi, łąki i krzaki.

— Nie przejdziemy... - szepnął któryś.

Byli krańcowo wyczerpani. Ostatnie godziny szli przez grzęzawisko, zbliżając się do rzeki. Potem jak nocne zjawy posuwali się przez mokradła.



Ucieczka z obozu w Skrobowie, 27 marca 1945 r.



Zapadali się w wodę najpierw po kolana, potem po pas.

Kiedy znikły wyższe kępy trawy i krzaki, zatrzymali się. Nie sposób było wędrować dalej w nieznaną czarną toń, gdzie czyhała lodowata śmierć.

— Panowie - wykrztusił „Wierny”. — Panowie, to chyba nasza ostatnia walka będzie.

Rozdano ostatnie zapasy amunicji i powoli żegnano się z życiem.

— Nie żałować mi kul na wrogów Polski — dyszał któryś.

— Pamiętajcie o ostatnim naboju... - dodawał ciszej inny.

Odgłosy obławy zbliżały się nieustannie. W gęstniejącym mroku nie było nic widać, ale z tyłu dało się słyszeć dalekie krzyki i warkot silników samochodowych. I ten drażniący uszy jazgot szczekających psów.

— To zaszczyt móc dowodzić takimi żołnierzami jak wy - powiedział „Wierny” tak cicho, że tylko znajdujący się najbliżej niego usłyszeli te słowa.

— Wszystko dzięki temu, że mamy takiego dowódcę — odpowiedział jeden z żołnierzy, sprawdzając naboje w magazynku pepeszy.

Mijały minuty. Byli gotowi na śmierć, ale ta nie nadchodziła. Pomimo odgłosów dolatujących z ciemności, komunistycznej obławy nadal nie było widać. Kiedy tak trwali, nieświadomi, ile czasu minęło, do Mierzwińskiego zgłosiło się dwóch ochotników, chcących jeszcze raz spróbować rozpoznać przejście przez rozlaną rzekę. Byli to miejscowi partyzanci — Antoni Jabłoński „Jasieńczyk” i Stanisław Mączka „Nałęcz”. Oddali swoją broń towarzyszom, a potem spokojnie, idąc tuż obok siebie, powoli zagłębili się w wodę. Na początku sięgała im do pasa, potem do piersi, a na końcu do szyi. Rozpostartymi na boki rękami próbowali łapać równowagę, by całkowicie nie pogrążyć się w odmęcie. Niższemu „Nałęczowi” woda już zalewała usta. Szedł z twarzą uniesioną ku niebu, jakby chciał wyblagać pomoc w odnalezieniu przejścia. Po kilkunastu krokach ponownie opuścił głowę.

Woda była już niżej. Poczuli, że dno twardnieje i podnosi się do góry, ku zbawczemu brzegowi. Zakrzyknęli na towarzyszy, by poszli w ich ślady.

Kilkadziesiąt postaci, podobnych bardziej do błotnych potworów niż do polskich żołnierzy, z wysiłkiem wygramoliło się na wilgotne, ale wreszcie stabilne podłoże. Wszyscy bez wyjątku zwalili się na ziemię, niewyobrażalnie zmęczeni. Z kierunku, skąd przyszli, po drugiej stronie rzeki, słychać było już sowieckie nawoływania, rzenie koni, szczęk broni i chlupot wody. Komunistyczna pogoń szukała ich w miejscu, gdzie przed godziną gotowi byli zginąć. Ale po kilku minutach odgłosy zaczęły się oddalać, aż w końcu wszystko ucichło.

Wreszcie mogli odetchnąć z ulgą. Byli uratowani.

Kiedy tak odpoczywali, nagle po drugiej stronie rzeki wybuchła gwałtowna strzelanina. Serie z peemów i pojedyncze karabinowe strzały co chwila zagłuszane były wybuchami granatów. W ciemności dostrzegali z daleka paciorki pocisków świetlnych i wystrzeliwane wysoko w niebo rakiety. Twarze uciekinierów zastygły w wyrazie przerażenia. Jeden z nich, mając na myśli dziesięciu towarzyszy, którzy się niedawno oddzielili, wypowiedział na głos to, co wiedzieli już wszyscy: — Dorwali naszych...



Po kilkunastu minutach strzelanina zza rozlewiska ucichła i uciekinierzy na rozkaz „Wiernego” ruszyli w dalszą drogę. Maszerowali dwie noce, na dzień znajdując bezpieczne kwatery u przyjaznych polskich gospodarzy. W jednej ze wsi partyzanci pochwycili gońca komunistycznego wojska, który szukał oddziału idącego śladem ucieczki.

Żołnierz nazywał się Kazimierz Lach i pochodził z Wołynia. Bez namysłu dołączył do grupy „Wiernego”, otrzymując pseudonim „Pościgowiec”.



Kombatanci Jan Gajek „Tatarak” (pierwszy z lewej) i Zdzisław Kalbarczyk „Ordon” pod pomnikiem upamiętniającym miejsce urodzenia Mariana Bernaciaka „Orlika” przed jego domem w Zalesiu, podczas uroczystości 68. rocznicy śmierci mjr. „Orlika”. Zalesie, 29 czerwca 2014 r.

(zbiory Michała Bernaciaka)

W końcu wysłani przodem na zwiady partyzanci nawiązali kontakt z konspiratorami działającymi u „Orlika”. W Blizocinie, już na północnym brzegu Wieprza, rozbitkowie spędzili Święta Wielkanocne.

Spotkali tu również Waława Kuchnio „Spokojnego”, jednego z bardziej zaufanych dowódców od „Orlika”. Nie minęło kilka dni, a zbiedzy ze Skrobowa już osobiście meldowali się u Mariana Bernaciaka.

Kilku uciekinierów otrzymało fałszywe dokumenty i cywilne ubrania, aby móc wrócić do normalnego życia. Pozostała większość (trzydziestu pięciu ludzi) nie miała dokąd iść i została w partyzanckim zgrupowaniu, tworząc osobny, pierwszy pluton. Nowo utworzonym pododdziałem dowodził ppor. Piotr Mierzwiński „Wierny”. Grupa ta tworzyła jeden z bardziej bitnych oddziałów w zgrupowaniu „Orlika”. Walczyła między innymi w wielkiej bitwie w Lesie Stockim, przyczyniając się w znacznej mierze do polskiego zwycięstwa. Spośród „Skrobowiaków”, jak zaczęto nazywać uciekinierów ze Skrobowa, a później nawet cały pierwszy pluton, kilku poległo w walce z komunistycznym reżimem. W ataku na posterunek MO w Rykach padł martwy Zbigniew Manyś „Kola”. W boju zginął również „Pościgowiec”.

Oddział „Skrobowiaków” przetrwał do końca istnienia zgrupowania „Orlika”, a potem różnie potoczyły się losy uciekinierów ze Skrobowa. Niektórzy doczekali się rozwiązania oddziału, a po ujawnieniu próbowali normalnie żyć. Niestety nie dane im było zaznać spokoju. Wielu z nich aresztowano i skazano na wieloletnie wyroki więzienia.

Podporucznik Piotr Mierzwiński po częściowej demobilizacji oddziału przedostał się nielegalnie na Zachód i zamieszkał w Anglii.

Aktywnie działał w tamtejszych polskich organizacjach kombatanckich. Został odznaczony srebrnym krzyżem Orderu Virtuti Militari.

Zmarł we wrześniu 1981 roku.

Jerzy Śląski „Nieczuja” w plutonie „Skrobowiaków” obsługiwał polski erkaem Browning wz. 28. Podczas walki w Lesie Stockim został ranny. W czasie jednej z pierwszych demobilizacji w zgrupowaniu otrzymał zwolnienie i, kulejąc jeszcze, wrócił do rodzinnego domu w Falenicy. Wraz z nim z oddziału odszedł Teodor Klonowski zwany „Karmelkiem”. „Nieczuja” i „Karmelek” trzymali się razem.

Jurek bał się, że w rodzinnym domu może odnaleźć go UB. Mężczyźni razem wyjechali na wybrzeże, gdzie znajdował się dom rodzinny Klonowskiego.



Jerzy Ślaski

(J. Ślaski, *Żołnierze Wyklęci*, Warszawa 2012)

Niestety przez nieprzemyślany napad na browar we Wrzeszczu we wrześniu 1945 roku UB aresztowała Ślaskiego i Klonowskiego. Wedle oficjalnej, komunistycznej wersji „Karmelek” zmarł w więzieniu na zapalenie płuc. „Nieczuja” stanął przed sądem, ale nie udowodniono mu używania podczas tego pechowego napadu broni i dlatego dostał mały wyrok. Gdyby tylko komuniści mogli wiedzieć, że mają w swych rękach partyzanta antysowieckiej i antykomunistycznej konspiracji oraz zbiega z obozu

w Skrobowie, z pewnością ocena sądu byłaby inna. Nie minęło kilka miesięcy, a Śląski był już na wolności. Na wiosnę 1947 roku ujawnił się przed komunistycznymi strukturami. Początkowo, jako człowiek niepewny klasowo, nie mógł znaleźć pracy. Dopiero z pomocą znajomych otrzymał zatrudnienie w redakcji „Dziennika Bałtyckiego”.

„Zamienił karabin na pióro” i stał się poczytnym dziennikarzem, felietonistą i autorem powieści drukowanych odcinkami w czasopiśmie. Pracował także w „Wieczorze Wybrzeża” i w „Ilustrowanym Kurierze Polskim”. W redakcji tego ostatniego jako redaktor dyżurny podpisał do druku tekst *Dawniej przeciw narodowi, dziś razem z nim*, zilustrowany wielkim zdjęciem marsz. Rokossowskiego. Był to chyba przypadek, gdyż zamierzano do artykułu dołączyć zdjęcie przedstawiające Wojsko Polskie z 1939 roku oraz aktualne LWP z pochodu z dnia 1 maja. Tej drugiej fotografii z jakichś powodów zabrakło i w zastępstwie dołączono zdjęcie sowieckiego marszałka w otoczeniu dzieci. Ale komuniści skojarzyli tytuł ze zdjęciem Rokossowskiego i Jerzy Śląski w trybie pilnym został aresztowany i osadzony w więzieniu. Na sądową salę wprowadzono go zakutego w kajdanki, jak największego zbrodniarza. Otrzymał wyrok jednego roku więzienia, ale bardziej dotkliwie było dla niego to, że po wyjściu na wolność został bez pracy. Ponownie dzięki pomocy byłych żołnierzy AK otrzymał zatrudnienie w redakcji „Słowa Powszechnego”, a potem przyjęty został na stanowisko redaktora naczelnego we „Wrocławskim Tygodniku Katolików”. Podczas solidarnościowej odwilży napisał i opublikował tekst pt. *Oni też są Polakami*, w którym jako pierwszy upomniał się o cześć i honor należne Żołnierzom Wyklętym. Jerzy Śląski jest autorem książek: *Polska walcząca* (pisanej podczas stanu wojennego), *Skrobów. Dzieje obozu NKWD dla żołnierzy AK 1944-1945* i *Żołnierze Wyklęci*. Dzięki tej ostatniej spopularyzowało się tytułowe określenie odnoszące się do partyzantów antykomunistycznego podziemia. Po 1989 roku Śląski był redaktorem naczelnym „Polski Zbrojnej”. Zmarł 21 lutego 2002 roku.

Jeńców nie brano

Kuryłówka, 6 maja 1945 roku

N

a leśnej polanie było ciepło. Wysoko w górze drzewa cicho szumiały. Wiatr płynął gdzieś ponad koronami, od czasu do czasu strącając zeschnięte gałązki lub szyszki. Spadały jakby z nieba i z łoskotem rozbijały się o ziemię pośród wszechobecnej uroczystej ciszy.

Promienie słońca przebijały się przez wysokie korony drzew i sączyły w dół. Długimi wstęgami światła łaskotały twarze zebranych i napełniały ich oczy nowym blaskiem radości i nadziei. Nisko, pośród drzew, było przyjemnie i cicho. W powietrzu dało się odczuć zapach wiosny i rozgrzanej ziemi. Tu, na dole, zgromadziło się całe mrowie odświętnie ubranych ludzi. Oczy zebranych z nabożeństwem zerkwały na połowy ołtarz, obok którego na wielkim brzoźowym krzyżu zawieszono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a poniżej godło —

białego orła w koronie. Był 3 maja 1945 roku, wielkie maryjne święto, dzień Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski, ustanowiony na cześć pamiętnego roku 1656 i potopu szwedzkiego, kiedy to król Polski Jan Kazimierz oficjalnie i uroczystie ogłosił Maryję Królową Korony Polskiej. Naturalnie pamiętano także o kolejnej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Pod ołtarzem stali ks. Bartłomiej Głowacki z Leżajska oraz dowódca wszystkich oddziałów leśnych Narodowej Organizacji Wojskowej-Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NOW-NZW) Okręgu Rzeszów kpt. Franciszek Przysiężniak „Ojciec Jan”. Obok nich zgromadzili się przedstawiciele politycznego skrzydła tej organizacji, a także wielu zaproszonych gości z Leżajska, Jarosławia i okolicznych wiosek. Niewielka leśna polana nieopodal Ożanny pełna była ludzi. Pośrodku tłumu utworzono długi szpaler aż do samego ołtarza. Tą drogą miało przyjść polskie wojsko, dlatego teraz zebrani co rusz odwracali wzrok od ołtarza, zerkając, czy ktoś właśnie nie nadchodzi leśną drożyną.

W końcu dało się słyszeć miarowe kroki setek maszerujących równo ludzi. Jeszcze chwila i oczom zebranych ukazał się wspaniały widok.

Na polanę wchodzili żołnierze - oddział za oddziałem, kompania za kompanią. Na czele swych grup szli dowódcy: Józef Zadziński „Wołyński”, Bronisław Gliniak „Radwan” i Stanisław Pelczar „Majka”.

Obok starych partyzantów, pamiętających czasy niemieckiej okupacji, szli młodzi chłopcy w nowiutkich mundurach i rogatywkach. To adepci szkoły podchorążych z Laszek, którzy masowo zdezerterowali z armii Berlinga i Żymierskiego, by z pełnym uzbrojeniem przejść na stronę polskiej partyzantki antykomunistycznej. Swój oddział w Lubaczowie porzucili także berlingowcy z 2 Samodzielnego Batalionu Operacyjnego Wojsk Wewnętrznych (późniejszego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego — KBW), którzy również całą grupą dołączyli do oddziałów „Wołyniaka” i „Radwana”. Jednakowe mundury żołnierzy i ich uzbrojenie robiły naprawdę imponujące wrażenie. Żołnierze dźwigali długie przeciwpancerne rusznice (rzecz zupełnie niespotykana w polskiej partyzantce drugiej konspiracji), zgrabne sowieckie erkaemy z wielkimi talerzami magazynków na wierzchu oraz nowiuteńkie pepesze. Maszerował człowiek za człowiekiem, pluton za plutonem, oddział za oddziałem. W obliczu takiej siły ludzi i broni serce rosło u każdego Polaka na polanie w Ożannie. Dowódcy zatrzymali swe oddziały i ustawili w dwuszeregu. Następnie po kolei zameldowali się „Ojcu Janowi”, podając stan ludzi. Trudno było wszystkich zliczyć.

Niektórzy mówią, że partyzantów zgromadziło się trzystu pięćdziesięciu, inni że czterystu.

Rozpoczęła się msza święta, podczas której patriotyczne, płomienne kazanie wygłosił ks. Głowacki. Nawoływał w nim do boju z zalewającym Polskę komunizmem i tłumaczył konieczność walki o pełną wolność Polski. Podczas mszy wszyscy żołnierze powtarzali słowa przysięgi:



*Partyzantcy dowódcy składają raport podczas uroczystości w Ożannie. Pod ołtarzem, w płaszczu, z rękami z tyłu kpt. Franciszek Przysiężniak „Ojciec Jan”, 3 maja 1945 r.
(zbiory Andrzeja Pityńskiego)*

— W obliczu wiekuistości minionych pokoleń ojców i praojców, w obliczu nieśmiertelnego ducha Ojczyzny mojej, Polski, ślubuję i przyrzekam, że w każdym miejscu i we wszystkich okolicznościach walczyć będę z najeźdźcami o całkowite przywrócenie wolności Narodu.

Potężna salwa dźwięków dobiegająca z setek gardeł odbijała się od ściany drzew i wracała echem. Można by przysiąc, że ziemia się zatrzęsła, a szyszki i gałęzie coraz gęściej spadały z drzew poruszanych siłą polskich głosów.

— ...do sprawiedliwej Polski Ludowej na chrześcijańskich zasadach demokracji opartej. Na drodze walki wszelkie rozkazy i polecenia wykonywać będę rzetelnie i karnie.

Kobiety płakały, patrząc na dziecięce prawie twarze niedoszłych podchorążych, ich płowe, krótko obcięte włosy. Wycierały ukradkiem łzy, dostrzegając pośród partyzanckich szeregów swych mężów i synów.

— Przyrzeczenie to składam i ślubuję dotrzymać. Tak mi dopomóż Bóg!



Kiedy w Ożannie odbywała się uroczysta przysięga partyzantów NOW-NZW, wśród których znaczną część stanowili dezercerzy z komunistycznej armii, w tym samym czasie z koszar w Biłgoraju uciekł cały oddział 3 Samodzielnego Batalionu Operacyjnego Wojsk Wewnętrznych. Tego było komunistom, a Sowietom przede wszystkim, za wiele. Oddziały Wojsk Wewnętrznych to coś na kształt NKWD

— ramię zbrojne powołane do tłumienia wszelkich prób wystąpień przeciw komunistycznemu zniewoleniu. Z założenia miały zwalczać antykomunistyczną partyzantkę, a nie się do niej przyłączać.

Za dezercerami natychmiast puszczono pościg, w którym główną rolę odgrywały sowieckie jednostki NKWD. Nad pospiesznie zorganizowanym zbiorczym pułkiem NKWD dowództwo objął płk Starycyn. Radziecka obława ruszyła niemal natychmiast, tropiąc uciekinierów i przeszukując okolicę. Na razie na ślad dezercerów nie natrafiono, lecz stoczono kilka potyczek z polskimi partyzantami, na przykład w rejonie Bodzyna, w Dąbrowicy i w Cieplicach. Jedną z sowieckich grup prowadził jako przewodnik Ukrainiec Stepan Wołczasty z Piskorowic, członek Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) i były ukraiński policjant w służbie niemieckiej. To on zawiódł Sowietów do Cieplic, gdzie NKWD zaatakowało i rozbiło partyzancką grupę AK „Podhalańskiego”. W tej samej miejscowości Sowietci rozbroili polski, legalny wobec nowej władzy, posterunek MO i zabrali ze sobą czterech milicjantów, których po drodze, pewnie za namową swojego przewodnika z UPA, zamordowali.



*Oddziały NOW-NZW maszerują na koncentrację w Ożannie, 3 maja 1945 r.
Kilka dni później te same oddziały stoczyły bój z NKWD w Kuryłówce
(zbiory Andrzeja Pityńskiego)*

Część radzieckiego zwiadu wraz z dwoma samochodami pancernymi 5 maja podjechała do Kuryłówki. Sowieci nie wiedzieli, że po uroczystości w Ożannie w tej wsi stacjonowała większość zgrupowania NOW-NZW. Gruchnęły strzały i w stronę radzieckich pojazdów poleciały przeciwpancerne pociski rusznic obsługiwanych przez niedawnych dezertersów z „ludowego” wojska Berlinga, Żymierskiego i Wasilewskiej. Spłoszeni enkawudziści odpowiedzieli ogniem, ale zaraz wycofali się w obawie przed utratą swoich pancerek. Liczbę zabitych w tej akcji Polaków Rosjanie oceniali na dwanaście osób (faktycznie zginęło tylko dwóch polskich partyzantów).

Kiedy płk Starycyn otrzymał dane o polskiej zbrojnej grupie stacjonującej w Kuryłówce, postanowił natychmiast działać. Podzielił podległe sobie oddziały na dwie części, zamierzając zaatakować wieś z dwóch stron. Jedna grupa, mająca w swym składzie różne pododdziały 11 Pułku 64 Dywizji NKWD, miała ruszyć na Kuryłówkę od północy. Grupa ta liczyła około stu osiemdziesięciu żołnierzy. Druga - około dwustu wojskowych z 3 Batalionu 372 Pułku NKWD (z 58 Dywizji NKWD), miała oskrzydlić Polaków od strony wschodniej.

Co więcej, pierwsza część radzieckiej grupy bojowej została jeszcze bardziej rozdrobniona przez swych dowódców. Sześćdziesięciu ludzi prowadzonych przez lejtnanta Zorina próbowało wkroczyć od północy do Kuryłówki, ale na podejściach do wsi natknęli się na partyzancki patrol od „Majki”. Kilkuosobowa grupa, która maszerowała na zwiad do Kulna, nie była żadnym poważnym przeciwnikiem dla Sowieców. Po krótkiej wymianie ognia Polacy zostali przepędzeni z pola i wycofali się do wsi, do której parł niepowstrzymanie oddział Zorina. Ale strzały zaalarmowały resztę polskiego ugrupowania znajdującego się w Kuryłówce.



Narada, która odbyła się 5 maja w Tarnowcu, zaraz po potyczce z sowieckimi samochodami pancernymi, była bardzo burzliwa. Ostrożny w swych decyzjach dowódca całego wojska NOW-NZW kpt. „Ojciec Jan” optował za natychmiastowym wycofaniem się. Chciał uniknąć bitwy z przeważającymi, jak się spodziewał, siłami komunistów.

Wiedział, że walka z pancerkami z pewnością ściągnie na Kuryłówkę większe sowieckie oddziały pacyfikacyjne. Chciał natychmiast wymaszerować ze wsi i zniknąć w lasach, unikając walki i równocześnie ratując polską wioskę przed zagładą i zemstą Sowietów. Taki był zamysł dowódcy. Ale w naradzie oprócz niego brali udział jeszcze inni przedstawiciele partyzantki narodowej, między innymi Ludwik Węclaw „Śląski” i Tadeusz Kaczurba „Tatar”. To ci dwaj najmocniej parli w kierunku decydującego starcia z Sowietami. Kilka dni wcześniej oglądali całą siłę partyzantki narodowej z tego terenu. Widzieli zastępy starych partyzantów, nowy zaciąg i dezertersów berlingowców, którzy porzucili swe oddziały i masowo przeszli z uzbrojeniem i amunicją na stronę antykomunistycznego podziemia. To było bardzo budujące. I właśnie dlatego „Śląski” i „Tatar” nie zgadzali się z propozycją Przysięźniaka, aby jak najprędzej wycofać podległe sobie wojska.

— Kapitanie, przypomnij sobie swoją żonę „Jagę” — nagabywali. —

Wiesz przecież, kto strzelał do bezbronnej kobiety i kto oddał serię w jej plecy.

Przypominali tragiczne wydarzenie sprzed miesiąca, kiedy ubecy z zimną krwią zamordowali młodą żonę „Ojca Jana” Janinę Przysięźniak, która na dodatek nosiła pod sercem ich dziecko.

— Mamy tu zgromadzone parę setek ludzi - przekonywali. — Spójrz, są oddziały „Wołyniaka”, „Radwana”, „Majki” i „Lisa”. Razem to potężna siła. Nigdy nie miałeś pod sobą tylu żołnierzy co teraz. I to na dodatek znakomicie uzbrojonych. Może to jedyna okazja, aby zaryzykować i przyjąć w Kuryłówce sowieckie wyzwanie. Przecież tu mieszkała twoja żona! — na koniec znowu uderzyli we wrażliwą strunę.

„Ojciec Jan” zasepił się. W głębi duszy czuł, że rozsądniej byłoby się wycofać. Ale zanim oznajmił swoją decyzję, popatrzył jeszcze raz na dowódców. Na młodego, ale pełnego zapału i już doświadczonego partyzanta, urodzonego żołnierza, „Wołyniaka”, który przywiódł ze sobą najwięcej ludzi. We wrześniu 1939 roku, mając ledwie szesnaście lat, wymknął się z domu, by walczyć w obronie ojczyzny.

I tak trwał do dziś. Józef Zadziński — młody człowiek, ale „stary” i sprawdzony partyzant. Obok „Wołyniaka” stał „Majka”, z wiecznie wykrzywionymi nogami kawalerzysty, który w wojskowym mundurze wydawał się ciut wyższy i poważniejszy. W czasie kampanii wrześniowej Stanisław Pelczar walczył w 2 Dywizji Górskiej, a potem uciekł z niemieckiej niewoli i włączył się w konspirację NOW. Z drugiej strony stołu stał ubrany w przedwojenny polski mundur młodzieńca „Radwan”, z nieodłącznym szmajserem na piersiach.



Franciszek Przysiężniak „Ojciec Jan”
(Instytut Pamięci Narodowej)

Bronisław Gliniak słynął z akcji obronnych przed atakami UPA. Oddział „Radwana” uratował na przykład przed całkowitą zagładą polską wieś Wiązownicę, co przyznali nawet w swych meldunkach komuniści z UB. Byli również inni partyzanci — pełen wojennego zapału Franciszek Kazub „Lis”, który przywiódł swoją grupę. I Józef Maziewicz „Tada”, przewodzący młodym podchorążym z Laszek, który wyrastał teraz na najbliższego współpracownika i „prawą rękę” „Wołyniaka”.

„Ojciec Jan” spoglądał głęboko w oczy swoich żołnierzy, pragnąc wyczytać, co kryje się w ich duszach. Czuł zapal podwładnych i wiarę, że są w stanie czynić rzeczy, o których im się do niedawna nie śniło.

Byli gotowi rzucić na szalę wszystko, co mieli najcenniejszego, z życiem włącznie, by tylko skoczyć do gardła mordercom z UB i NKWD.

By wykrzyzczyć im w końcu w twarz, że żołnierze chcą prawdziwej, wolnej Polski. A nie kupy kamieni usypanych na grobach największych patriotów, zbrukanych na dodatek czerwoną bolszewicką farbą. To, co zobaczył, uspokoiło go na tyle, że w końcu zdecydował:

— Poczekamy tutaj na ruskich. Wiem, że mnie nie zawiedziecie. Będziemy razem bronić Polski przed zalewem komunistycznego błota.

Będziemy walczyć!

Entuzjazm, jaki zapanował po tych słowach, był nie do opisania.

Czapki poleciały w górę, a okrzyki radości i wiwaty w jednej chwili zagłuszyły nie do końca rozwiane wątpliwości i obawy dowódcy. Postanowiono — będzie walka. Zaraz zabrano się do opracowywania planu działania na kolejny dzień na wypadek pojawienia się Rosjan i omówiono przemarsze oddziałów, które stacjonowały w sąsiednich wsiach. „Ojciec Jan” chciał mieć pod ręką jak najwięcej ludzi, których mógłby wykorzystać w razie sowieckiego ataku. Narada trwała do późnej nocy. Nazajutrz zapowiadał się długi i ciężki dzień.

Rankiem 6 maja 1945 roku oddział Zorina, prawie na karkach uciekających szybko kilku partyzantów od „Majki”, wkroczył środkiem drogi do Kuryłówki. Ubezpieczenie wsi stanowili żołnierze „Radwana”, którzy, zaalarmowani strzałami, w pośpiechu zajmowali stanowiska obrony. Ale sami byli zbyt rozproszeni, by skutecznie wstrzymać napór Rosjan, a ich strzały — początkowo chaotyczne i niecelne. Nawet Bronisław Gliniak nie był w stanie uporządkować działań swoich partyzantów i dlatego Polacy zaczęli cofać się przed NKWD. Kiedy partyzanci opuścili już centrum Kuryłówki, do wsi dotarł wreszcie kpt. Przysiężniak i przejął dowodzenie. „Ojciec Jan” trzeźwo i trafnie ocenił sytuację. Nie do pomyślenia było dla niego, że czterdziestu Polaków cofało się przed około sześćdziesięciu Sowieciami. Skrzyknął natychmiast wycofującą się grupę „Radwana” i na jej czele przeszedł do kontrnatarcia.

— Hurra! — Okrzyk niósł się po wiosce i odbijał echem od budynków.

Polacy walczyli zażarcie, świadomi, że bronią swoich najbliższych, własnych rodzin, żon, dzieci i matek. Pełni zapалу rzucali się na enkawudzistów, zwierając się z nimi w walce wręcz, na kolby, bagnety i pięści. Szczególnie krwawe zmagania trwały w centrum Kuryłówki, pod budynkami szkoły i gminy, które kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. „Ojciec Jan” z tyłu obserwował pole bitwy i, widząc, gdzie słabnie polska obrona, tam kierował grupki uzbrojonych żołnierzy swojego ostatniego odwodu.

Sowieci chyba zaczęli mieć dość walki. Ciała ich żołnierzy leżały w piachu pośrodku drogi. Słusznie jednak przewidywali, że odwrót ze wsi na odsłonięte pole

może poskutkować paniką i całkowitą zagładą oddziału. Dlatego też trwali w bezpardonowej walce razem ze swym dowódcą, co rusz zmieniając puste magazynki na nowe. Na pomoc grupie lejtn. Zorina próbowało przyjść z Kulna dwudziestu Sowieców dowodzonych przez lejtn. Gołubiewa, ale ostrzelani przez polskie erkaemy zalegli na podejściach do wioski.



*Polscy partyzanci „Ojca Jana”, od lewej: Stanisław Bahut „Bruzda” i Stanisław Pelczar „Majka”
(zbiory Andrzeja Pityńskiego)*

Nie mogli nic zrobić dla swoich towarzyszy ginących we wsi.
Po godzinie od pierwszych strzałów nastąpił przełom w walce.

Od południa (z Tarnawca) do Kuryłówki dotarł zaalarmowany bitwą kilkudziesięciosobowy oddział „Majki” i od razu na rozkaz „Ojca Jana” wszedł do akcji, próbując oskrzydlić Sowietów znajdujących się we wsi. Polacy dwoma grupami przemykali za stodołami zagród z jednej i drugiej strony drogi prowadzącej środkiem wsi. Na początku posuwali się niezauważeni i zdawało się, że uda im się okrążyć oddział NKWD i zmusić go do poddania się. Kiedy partyzanci „Majki” byli już blisko celu, zostali dostrzeżeni przez dwudziestu bojców okopanych na skraju. Wywiązała się ostra strzelanina na tyłach głównej sowieckiej grupy. Odgłosy walki zastanowiły Zorina i zmusiły go do podjęcia szybkiej decyzji. Sowiecki dowódca i jego żołnierze mieli tylko jedno wyjście - natychmiastowe wycofanie się drogą, którą tu przyszli. Wyczerpani dotychczasową walką i już prawie bez amunicji enkawudziści uciekli z Kuryłówki na północ, osłaniani przez dwudziestu bojców, którzy po chwili również wycofali się do Kulna.

Za umykającymi Sowietami ruszyły grupy „Radwana” i „Majki”, zabijając po drodze kilku Rosjan, w tym jednego oficera, i zdobywając sporo broni. Gdy sowieckie grupy dotarły do Kulna i zajęły pozycje obronne na skraju wsi i w lesie, Polacy, choć upojeni zwycięstwem, zawrócili do Kuryłówki. Rosjanie zaś okopywali się, by być gotowymi do twardej obrony. Czekali na dalszy rozwój wypadków.

W Kuryłówce Polacy nie mieli zamiaru świętować zwycięstwa.

Wprawdzie wypędzili Rosjan ze wsi, lecz na fetowanie było za wcześnie. Chociaż na młodych, zmęczonych twarzach gościł uśmiech, to każdy w głębi serca przeczuwał, że to jeszcze nie koniec walki. Że Sowietci jeszcze nie pokazali wszystkiego, na co ich stać. Przygnębiające wrażenie robili zabici i ranni polscy partyzanci. Tych ostatnich przenoszono na tyły, a potem zawożono furmankami na plebanię do oddalonego od Kuryłówki o pół kilometra Tarnawca, gdzie ks. Węglowski i sanitariuszki urządzili punkt sanitarny.



Sowieckie grupy Zorina i Gołubiewa postanowiły utrzymać się w Kulnie. Radzieccy żołnierze niecierpliwie czekali na posiłki i rozpoczęcie ataku ze wschodu przez drugą wielką grupę bojową, tę z 372 Pułku NKWD. Nie mogli wiedzieć, że o godzinie ósmej rano grupa ta niespodziewanie natknęła się na uzbrojonych Polaków w rejonie zagubionej w leśnej głuszy wsi Szegdy. Wywiązała się krótka, acz gwałtowna walka. Sowieccy dowódcy, myśląc, że mają do czynienia z większym polskim zgrupowaniem, zdecydowali o natychmiastowym odwróceniu w stronę Majdanu Sieniawskiego. Tam bojcy zabarykadowali się i przygotowali do obrony okrężnej. Postanowienie „nie wychylania nosa” było wśród nich tak silne, że przez cały dzień 6 maja i następną noc żołnierze nie podejmowali żadnych działań, ograniczając się do zatrzymania kilkunastu bezbronnych cywilów z zajmowanej wsi. Sowiecka grupa pozostawała głucha na odgłosy walki toczącej się w Kuryłówce i prośby o wsparcie, jakie docierały do nich za pośrednictwem gońców.

Tymczasem do Kuryłówki zbliżali się inni Sowieci. Było to około pięćdziesięciu żołnierzy z 11 Pułku NKWD, prowadzonych przez lejtnantów Łazarenkę i Karpenkę. Członkowie tej grupy rozpendzili jakieś niewielkie polskie ubezpieczenia we wsi Brzyska Wola (według ich meldunków - zabijając aż dwudziestu Polaków), a teraz kierowali się na zachód, idąc w kierunku, z którego dobiegały odgłosy wystrzałów.

W tę samą stronę maszerował z Ożanny silny oddział „Wołyniaka”. Na podejściach do Kuryłówki obie wrogie grupy niespodziewanie się spotkały. Pełne zaskoczenie po obu stronach. Dość powiedzieć, że nie otworzono ognia od razu, ale próbowano rozmawiać.



Uroczystości w Ożannie, kilka dni przed bitwą pod Kuryłówką. Przed frontem żołnierzy ich dowódcy, od lewej: Józef Zadziński „Wołyniak”, Stanisław Pelczar „Majka”, Bronisław Gliniak „Puidwan”

(zbiory Andrzeja Pityńskiego)

Widocznie Rosjanie wzięli polski oddział za zależne od siebie komunistyczne wojsko, a i Zadziński, gnając z odsieczą do Kuryłówki, nie spodziewał się w tym miejscu Sowietów.

— *Komandtń Komandiń* — zakrzyknął sowiecki oficer i wraz z dwoma żołnierzami oderwał się od sowieckiej linii, zmierzając ku Polakom.

Naprzeciw nim wyszedł Józef Zadziński „Wołyniak” oraz ubezpieczający go z erkaemem Aleksander Pityński „Kula”.

— Trzymaj dystans, ale uważaj. Jakby coś, to wal - szepnął jeszcze „Wołyniak” i odważnie podszedł do Sowietą, którego towarzysze również pozostali nieco z tyłu i ostentacyjnie zawiesili hełmy na lufach pepesz, dając znak, że nie mają zamiaru strzelać.

Początkowo rozmowa toczyła się spokojnie, ale kiedy Sowiet zorientował się, że ma do czynienia z partyzantami podziemia, a nie „ludowym” Wojskiem Polskim (WP), zażądał natychmiastowego poddania się. Słowa te wywołały jedynie uśmiech politowania na twarzy „Wołyniaka”. Polacy mieli przewagę liczebną, a Sowieci przez przypadek znaleźli się w potrzasku pomiędzy polską obroną w Kuryłówce a nadciągającą odsieczą Zadzińskiego. Mimo tego niekorzystnego układu Rosjanin oburzał się:

— *Pacspemu wy naszych żołdatów ubiwajecie?*

— *A puckiemu wy naszych partyzantów strzelacie?!* — odkrzyknął się „Wołyniak” i po chwili, nieco zaskoczony, szamotał się z Rosjaninem, który próbował siłą wziąć polskiego dowódcę do niewoli.

— *Pajdios ..* - sapnął zaaferowany Sowiet, usiłując obezwładnić polskiego dowódcę.

W jego ręku mignął rewolwer, ale i „Wołyniak” zdołał już wyciągnąć swojego visa. Niemal równocześnie huknęły strzały i dwie postacie runęły na ziemię. „Kula” jedną serią położył trupem dwóch Sowietów stojących z tyłu. Jeden padł martwy, nie zdążywszy nawet sięgnąć po swoją pepeszę. Drugi, zanim został trafiony, zdążył wystrzelić i lekko zranić „Kulę” w szyję. Po chwili z ziemi podniósł się cały i zdrowy „Wołyniak”. Zabrał mapnik radzieckiego oficera i wycofał się do oddziału. Rosjanie, widząc śmierć swych towarzyszy, bez zastanowienia wściekli ruszyli na Polaków.

— Podpuścić ich bliżej — rozkazał „Wołyniak”, a jego żołnierze ustawili się w linii, przygotowując broń. Kiedy Sowieci podeszli dostatecznie blisko, na rozkaz dowódcy zagrzmiała salwa polskich partyzantów. Enkawudziści padli i rozpoczęli ostrzeliwanie, usiłując skokami zbliżyć się do Polaków i przejść do bezpośredniego starcia na bagnety, a potem wdrzeć się do wioski.

W tym samym czasie inna radziecka grupa, wykorzystując zamieszanie i strzelaninę na południu wsi, próbowała niepostrzeżenie z przeciwnego kierunku, od strony Sanu, dostać się do Kuryłówki.

Oddział ten został zatrzymany zmasowanym ogniem polskiej obrony.

Polska wieś była już niemal całkowicie otoczona przez Sowietów.

Nieprzyjacielskie kule nadlatywały ze wszystkich stron, od Kulna, od Brzyskiej Woli i Sanu. Wolna droga pozostała jedynie na południu, od strony Tarnawca i Ożanny. Cała Kuryłówka rozbrzmiewała strzałami. Niektórzy partyzanci przysięgali potem, że we wsi wybuchały nawet pociski moździerzy, wystrzeliwane gdzieś zza rzeki, chyba ze Starego Miasta od strony Leżajska. Na dodatek znad Sanu rozpoczął ostrzał sowiecki snajper i zdołał położyć trupem dwóch Polaków, zanim ochotnicy zlikwidowali go, przynosząc jako niecodzienne trofeum karabin snajperski z lunetą.

Rozpoczął się najtrudniejszy moment bitwy. Sowieckie *Urrra!* niosło się po całej okolicy, a strzały było słycać zewsząd. Mogło się wydawać, że za chwilę pęknie polska obrona, a partyzanci pójdą w rozsypkę i uciekną z placu bitwy lub padną w boju pod naporem sił wroga.



Ale o dziwo partyzanci wytrzymali najcięższy napór nieprzyjaciela i celnym ogniem rozbili zmasowany atak sowieckich enkawudzistów.

Na żołnierzy podziałał znakomity przykład walczących na pierwszej linii dowódców: „Wołyniaka”, „Radwana” i „Majki”. A także spokój i opanowanie, jakie wykazał główny komendant „Ojciec Jan”, wydając rozkazy z centrum wioski.

Polacy odrzucili natarcie Rosjan i niespodziewanie, nawet dla siebie samych, przeszli do kontruderzenia. Na początku na grupę Łazarenki i Karpenki uderzył oddział „Wołyniaka” i wspomagający go podchorążowie z Laszek. To był wyjątkowy widok, kiedy młodzi chłopcy na czele z „Tadą” ruszyli tyralierą na linię NKWD i po sekundzie roznieśli Sowietów w bezpośrednim boju na bagnety.



*Młodzi elewi, dezercerzy z podchorążówki w Laszkach. Ozannga, 3 maja 1945 r.
(zbiory Andrzeja Pityńskiego)*

Pomimo wielkiego doświadczenia we wcześniej szych walkach, również frontowych, Sowietci nie wytrzymali siły tego natarcia i poczęli bezładnie się wycofywać. Na ich karkach pędzili polscy partyzanci, skutecznie rażąc umykających wrogów. To wtedy padło najwięcej Rosjan — zabitych i rannych, którym uciekający towarzysze nie byli w stanie pomóc.

A Polacy jeńców spośród enkawudzistów nie brali... Sowietci zatrzymali się dopiero w lesie znajdującym się na wschód od Kuryłówki.

I chociaż byli rozbici, to na skraju drzew utworzyli skuteczną linię obrony, odpierając szturm partyzantów NOW-NZW.

W tym samym czasie zgrupowaniu „Ojca Jana” udało się rozbić i zmusić do ucieczki sowiecką grupę, która atakowała od strony Sanu. W tym starciu wyróżnił się konny oddział partyzantów od „Wołyniaka”, który w błyskawicznej szarży natarł na

radzieckie linie.

Rosjanie zostawili pięciu zabitych i uciekli dwoma grupkami. Większa skierowała się w stronę Leżajska i prędko przeprawiła się przez rzekę, znajdując oparcie w Starym Mieście, po drugiej stronie Sanu.

Druga odeszła na północ. Polskie oddziały z każdej strony wsi przeszły już do kontrnatarcia i odrzuciły Rosjan od Kuryłówki. Polacy twardo trzymali się w zabudowaniach wioski i na podejściach do niej.

Nastąpiła krótka przerwa w walce, podczas której partyzanci ze zgrupowania Przysiężniaka znosili swoich rannych do połowego punktu medycznego, aby udzielić im natychmiastowej pomocy. Uzupełniano również amunicję, którą na rozkaz kapitana dostarczono ze specjalnych tajnych magazynów broni.

Po tak solidnym laniu Sowietów „lizali rany” i nie byli w stanie podjąć od razu kolejnej ofensywnej akcji. Stracili poważną część wojsk zaangażowanych w walkę i jak dotąd spotykały ich same niepowodzenia. W tym momencie utrzymywali rejon Kulna i linię lasu na wschód od Kuryłówki. I pewnie zostaliby przy tych stanowiskach, nie niepokojąc już partyzantów, gdyby nie dotarł do nich st. lejtn. Tatyżskij z kilkudziesięciosobową grupą żołnierzy. To na jego rozkaz około godziny piętnastej od strony północno-wschodniej ruszyło kolejne natarcie na Kuryłówkę. Ale radzieckim bojcom z NKWD już nie chciało się walczyć i po raz kolejny ryzykować własnym życiem. Bez wiary szli do ataku i po pierwszych strzałach zalegli przed zabudowaniami wsi. Na nic zdały się pokrzykiwania dowódców, próbujących zmusić żołnierzy do powstania i ataku. Kilkanaście minut trwała wzajemna wymiana ognia, po czym Sowietów wycofali się do Kulna, by tam oczekiwać na wsparcie. Drogą radiową otrzymali bowiem meldunek, że z pomocą ciągnie do nich od Biłgoraja tysiąc żołnierzy z czołgami.

Strzały cichły. Walka o Kuryłówkę wygasła.

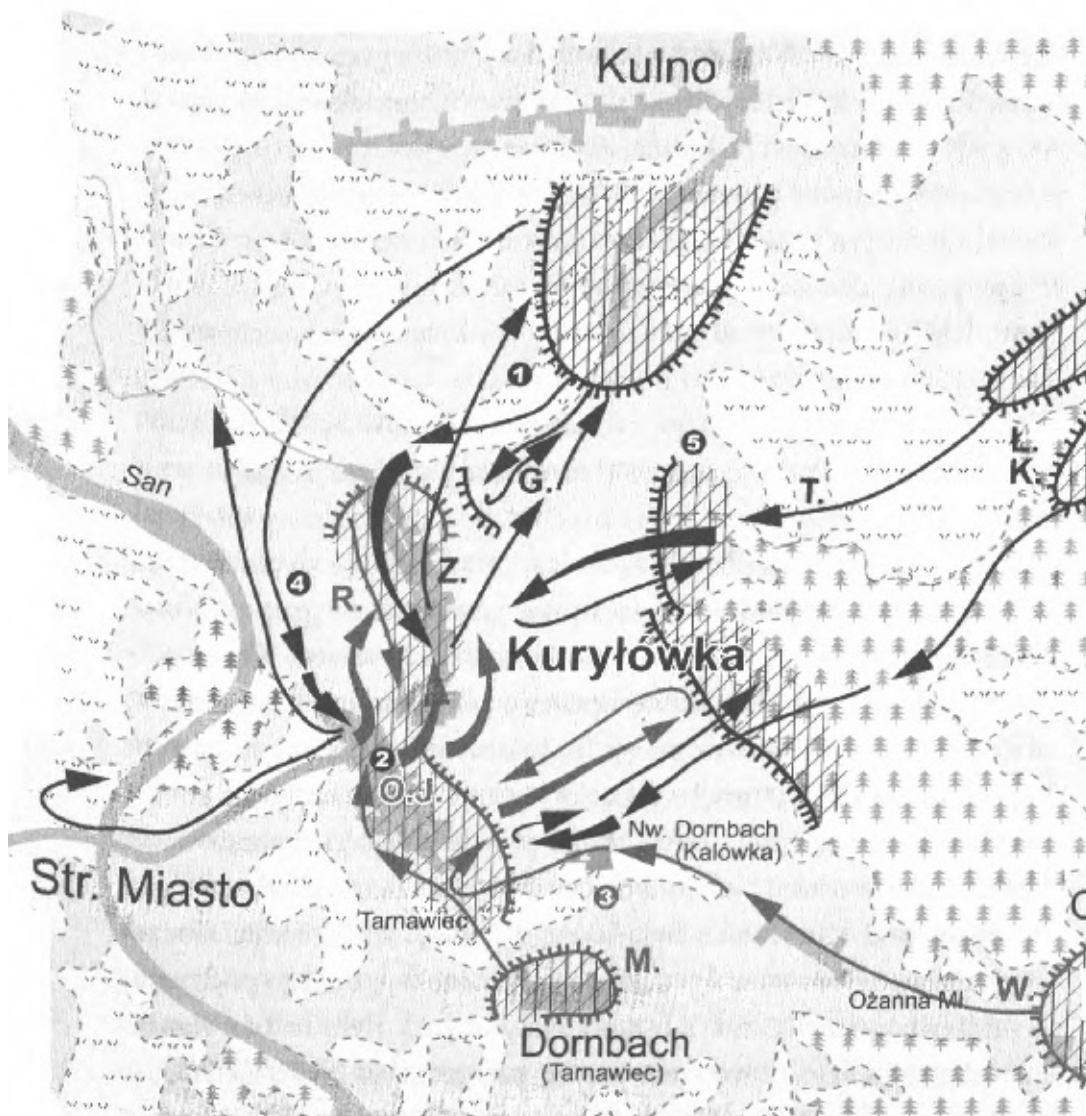
Również do Polaków dotarła informacja o nadciągającej komunistycznej odsieczy. Dlatego, pomimo zwycięskiej bitwy, kpt. Franciszek Przysiężniak zdecydował się na odwrót. Już wcześniej wysłał podwozy z rannymi na południe, do Ożanny, z poleceniem, by osoby w najcięższym stanie przewieźć do szpitala w Jarosławiu. Przed odejściem „Ojciec Jan” nakazał jeszcze ukrycie sowieckich trupów. Chciał w ten sposób zatuszować wynik bitwy i uchronić wieś przed represjami. Rosjan pospiesznie zakopywano w okolicznych lasach wśród drzew, a kilka ciał wrzucono do Sanu.

Aby dodatkowo zmylić pogoń, partyzanci NOW-NZW podzielili się na kilka grup. Pod wieczór polskie oddziały wymaszerowały z wioski, aby pierwszy odcinek drogi przebyć pod osłoną nocy. Oddział „Majki” poszedł w okolice Przychojca, „Radwan” ze swymi ludźmi skierował się na południe, w kierunku Jarosławia, a grupa „Wołyniaka” przeprawiła się za San w rejon Grodziska Dolnego. Wraz z polskimi partyzantami Kuryłówkę opuściło też wielu jej mieszkańców, obawiając się sowieckich represji. I słusznie. Kiedy rankiem następnego dnia do wsi wtargnęło tysiąc

Sowieców i polskich komunistów, w odwecie za przegraną bitwę spalili prawie wszystkie zabudowania i zamordowali ośmiu niewinnych cywilów, mieszkańców osady.

Bitwa pod Kuryłówką była jedną z największych batalii stoczonych pomiędzy wojskami polskiego antykomunistycznego podziemia a oddziałami sowieckimi lub komunistycznymi. Było to bez wątpienia najistotniejsze powojenne starcie partyzantów NOW-NZW i to w dodatku zwycięskie. W walce uczestniczyło około stu siedemdziesięciu Polaków i stu osiemdziesięciu Rosjan z NKWD.

Według polskich danych straty zgrupowania „Ojca Jana” to siedmiu zabitych partyzantów i pięciu ciężko rannych, z których dwóch później zmarło. Zgodnie z ówczesnymi polskimi wyliczeniami straty przeciwnika oceniano najczęściej na około siedemdziesięciu poległych żołnierzy, a zdobytą broń na: dwa erkaemy, siedem pistoletów maszynowych i trzynaście karabinów. Komendant posterunku MO w Kuryłówce wyliczył straty strony sowieckiej na sześćdziesięciu żołnierzy i jedną kobietę sanitariuszkę (była to Anna Jakimienko).



Bitwa pod Kuryłówką 6 maja 1945 r.

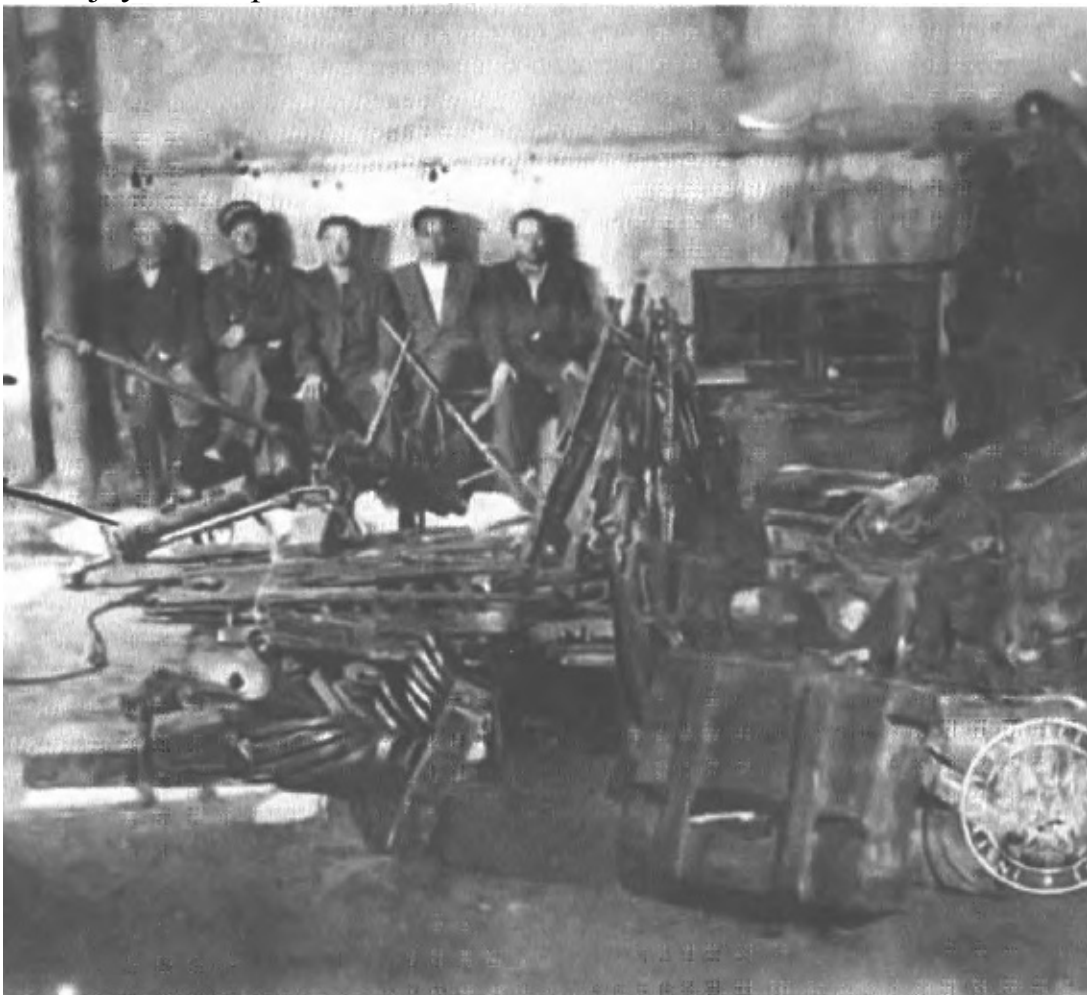
- ❶ Pierwsze natarcie NKWD oddziałów Zorina (Z.) i Gołubiewa (G.).
- ❷ Polska obrona i kontrnatarcia oddziałów „Radwana” (R.), „Ojca Jana” (OJ.) i „Majki” (M.).
- ❸ Spotkanie grupy „Wołyniaka” (W.) z następnymi oddziałami sowieckimi Łazarenki (Ł.) i Karpenki (K.).
- ❹ Próba obejścia od strony Sanu i atak z tego kierunku.
- ❺ Ostatni atak oddziału NKWD Tatyżskiego (T.).

Kilka lat później szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Łąncucie Czesław Gwóźdź zapisał w swojej notatce, że po stronie radzieckiej zginęło wówczas siedemdziesięciu ludzi. Jeszcze inne dane możemy znaleźć w piśmie kpt. Filipczyka z 9 lipca 1952 roku, adresowanym do szefa Oddziału Specjalnego Komendy Głównej MO w Warszawie, gdzie zapisano, że w starciu pod Kuryłówką zginęło pięćdziesięciu siedmiu Rosjan (w dokumencie mylnie podano datę bitwy jako 8 maja, zamiast 6 maja 1945 roku). Te ostatnie dane są najczęściej przytaczane także współcześnie, jeśli chodzi o sowieckie straty pod Kuryłówką.

Według oficjalnych sowieckich raportów 58 Dywizji NKWD podczas bitwy 6 maja 1945 roku Rosjanie mieli jedenastu zabitych (w tym jednego oficera — lejtn. Zawiałowa), piętnastu zaginionych oraz dziewięciu rannych. Tylko do takich ubytków stanu oddziałów oficjalnie przyznawali się Sowieci. Brakowało według nich również dwóch ręcznych karabinów maszynowych, czterech automatów, piętnastu karabinów, rewolweru i pistoletu TT. Enkawudziści w swych meldunkach polskie straty wyolbrzymiali, podając całkiem kosmiczną liczbę stu pięćdziesięciu trzech zabitych po stronie partyzanckiej.



Biorąc pod uwagę straty Polaków w stoczonych bitwach, a także późniejsze komunistyczne represje i oblawy, na przełomie maja i czerwca 1945 roku Józef Sałabun „Grom”, komendant Okręgu Rzeszowskiego NZW, wydał rozkaz rozwiązania oddziałów zbrojnych i rozpuszczenia ludzi do domów.



Arsenał broni używanej przez partyzantów „Ojca Jana”. Z tyłu siedzą od lewej: Tadeusz Grzyblewski „Kordian”, gajowy Józef Werfel, Piotr Wozniak „Wir”, Franciszek Przysiężniak „Ojciec Jan ” i Ludwik Węclaw „Śląski”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Różnie potoczyły się losy polskich dowódców i żołnierzy. Bronisław Gliniak

„Radwan” zgodnie z rozkazem rozwiązał swoją grupę, a sam przeniósł się na Śląsk. Potem nielegalnie przez „zieloną granicę” przedostał się na zachód i wyjechał do USA. Tam mieszkał i zmarł.

Dowódca całego zgrupowania „Ojciec Jan” także podporządkował się rozkazowi „Groma”. Przy czym Przysiężniak miał jeszcze inne zadanie do wykonania. Wyjechał na Pomorze, by tam organizować konspiracyjne siły XIII Okręgu NZW. Ukrywał się pod przybranym nazwiskiem Jerzego Jana Tytusa w Nowym Porcie w Gdańsku, jednocześnie pracując w centrali mięsnej. Dnia 15 maja 1946 roku Franciszek Przysiężniak został aresztowany. W czasie przesłuchań oraz podczas rozprawy sądowej (w listopadzie 1946 roku) stanowczo twierdził, że bitwę pod Kuryłówką zapoczątkował atak ukraińskich banderowców.

— W maju 1945 roku stoczyliśmy walkę z banderowcami - zdawał relację przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Rzeszowie. - Nasz patrol został przez nich ostrzelany, w wyniku czego zginęły dwie osoby. To wówczas postanowiłem podjąć walkę. Starcia trwały od godziny szóstej rano do piętnastej trzydzieści po południu, to jest do momentu, kiedy ktoś mi doniósł, że to były oddziały Armii Czerwonej, a nie banderowcy. Wobec takiej informacji, otoczony przez wroga z trzech stron, dałem rozkaz do wycofania się. Później okazało się jednak, że zostałem wprowadzony w błąd, gdyż naszym przeciwnikiem była banda ukraińska w mundurach sowieckich. Ponadto dwa dni później ci sami Ukraińcy spalili całą Kuryłówkę i zabili siedem osób cywilnych spośród jej mieszkańców.

Nie wiadomo, czy komunistyczny sąd dał wiarę słowom Przysiężniaka. Decyzją sądu „Ojciec Jan” został skazany na cztery lata więzienia. Jednak wskutek amnestii w marcu 1947 roku odzyskał wolność i ujawnił swą działalność konspiracyjną przed komisją działającą przy UB. Próbował normalnie żyć. Pracował w budownictwie, a potem jako kierownik sklepu mięsnego w Jarosławiu. Jeszcze w 1947 roku wziął ślub z Eugenią Trójniak, z którą miał córkę Wandę Jadwigę urodzoną w czerwcu 1948 roku. Niedługo cieszył się wolnością i narodzinami córeczki. We wrześniu 1948 roku Franciszek Przysiężniak został ponownie aresztowany przez UB w Rzeszowie, a Wojskowy Sąd Rejonowy w tym mieście skazał go na osiem lat więzienia. Wyrok odsiadywał we Wronkach, w Lublinie i w Rawiczu.

W czasie odsiadki we Wronkach (w 1951 roku) Franciszek Przysiężniak został zwerbowany przez komunistyczne służby na ich agenta. Nie zwolniono go jednak, jak można by było sądzić. Jako tak zwany agent celny miał donosić na współwięźniów. Co ciekawe, komuniści wysoko oceniali działalność więziennego informatora „Marka”, bo taki pseudonim wybrał sobie „Ojciec Jan”. Być może dzięki temu skrócono mu wyrok do sześciu lat i pod koniec 1954 roku wyszedł na wolność. Jako agent bezpieczeństwa został wtedy oficjalnie przekazany jako kontakt operacyjny do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Rzeszowie, lecz odmówił dalszej współpracy. Zamieszkał w Jarosławiu i pracował na stanowisku szefa sklepu z

materiałami, a potem kierownika transportu i zaopatrzenia w wydziale melioracyjnym Powiatowej Rady Narodowej.

Jeszcze w roku 1971 SB przypomniało sobie o dawnym komendancie partyzanckiego zgrupowania i w celu rozpracowania środowiska byłych żołnierzy NOW-NZW Franciszek Przysiężniak znowu został zarejestrowany jako TW „Marek” przez Służbę Bezpieczeństwa. Jednak tym razem informacje przez niego przekazywane były bardzo ogólne i nie wносиły nic nowego do pracy komunistycznych służb.

Według zachowanych dokumentów TW „Marek” wykazywał duże niedyscyplinowanie i bardzo często zrywał spotkania z prowadzącym go oficerem SB. Franciszek Przysiężniak zmarł w 1975 roku i został pochowany na cmentarzu w Jarosławiu.

Stanisław Pelczar „Majka” początkowo ukrywał się ze swymi ludźmi w lesie, ale w czerwcu 1945 roku jego grupa została zaskoczona przez NKWD i poniosła duże straty. Wówczas „Majka” zarzucił walkę z bronią w ręku i rozpuścił swój oddział. Pelczara UB namierzyło w Piskorowicach i w sierpniu 1945 roku aresztowano go. Sąd w Przemyślu skazał go na sześć lat więzienia, ale dzięki jakimś koligacjom rodzinnym wyrok został zawieszony na okres trzech lat. „Majka” wyjechał na Ziemię Odzyskane, konkretnie do Świeradowa Zdroju, gdzie bezpieczną przystań znalazło wielu partyzantów od „Wołyniaka” (na przykład Józef Krzyszczanowicz „Hanys” i jego żona Jadwiga „Wanda”). Potem Pelczar wyjechał na Śląsk, gdzie ponownie konspirował z tamtejszym NZW. Nie wiedział, że struktury tajnej organizacji rozpracowywane były akurat przez UB i w jej szeregach pełno było komunistycznych agentów i szpiegów. Stanisław Pelczar został aresztowany w listopadzie 1946 roku, a pół roku później katowicki sąd skazał go na dziesięć lat więzienia. Zza krat wyszedł po pięciu latach, ale komuna nie dała mu zapomnieć o jego rzekomych winach względem „ludowej” ojczyzny.

Pracował w Zakładach Przemysłu Bawełnianego w Prudniku, ale zmuszono go do zwolnienia się z pracy. Nie otrzymał żadnej renty chorobowej i próbował utrzymywać się z dorywczo złapanych robót. Wiecznie zastraszany i inwigilowany przez komunistyczne służby, na skraju nędzy, bez żadnych perspektyw na przyszłość, 2 maja 1977 roku Stanisław Pelczar popełnił samobójstwo, skacząc z okna własnego mieszkania znajdującego się na czwartym piętrze. Został pochowany na cmentarzu w Prudniku, ale w 2014 roku jego ciało na wniosek rodziny ekshumowano i przeniesiono na cmentarz do Białej Nyskiej.



W przeciwieństwie do swego przełożonego „Ojca Jana” czy na przykład „Radwana”, Józef Zadziński nie miał zamiaru wykonać rozkazu „Groma” i w dalszym ciągu planował walkę w obronie Polaków i o całkowitą wolność Ojczyzny.



Józef Zadziński, „Wołyniak”
(zbiory Dionizego Garbacza)

Jego oddział stanowił wtedy na Zasaniu rodzaj polskiej samoobrony przed atakami na wsie ze strony ukraińskich nacjonalistycznych band UPA. Starali się również chronić Polaków przed działającym już bez żadnych ograniczeń terrorem komunistycznych władz i ich „czerwonych” sojuszników ze Wschodu.

W związku z tym, że często partyzanci zdemobilizowani z innych oddziałów nie mieli się gdzie podziąć, liczebność oddziału „Wołyniaka” stale rosła i latem 1945 roku

mogła wynosić nawet stu pięćdziesięciu żołnierzy. Oddział przeprowadził szereg akcji na posterunki MO, odwetowych pacyfikacji ukraińskich wsi oraz stoczył wiele potyczek z komunistycznym wojskiem.

Jednak już pod koniec roku grupa „Wołyniaka” stopniała do kilkunastu osób. Było to celowe działanie dowódcy. Przed zimą chciał rozpuścić ludzi do domów lub rozkwaterować u zaprzyjaźnionych gospodarzy. Zresztą Zadziński godził się także na całkowite opuszczanie oddziału przez swoich partyzantów. Umożliwiał im wyjazd na Ziemię Odzyskane, pomagał w załatwianiu dokumentów wystawionych na fałszywe nazwiska, a nawet dawał odprawę pieniężną na urządzenie się w nowych warunkach.

Na wiosnę zebrał wokół siebie znowu kilkudziesięciu ludzi z bronią. Początek roku 1946 zapowiadał się dobrze. W lutym oddział Zadzińskiego został organizacyjnie zatwierdzony jako grupa zbrojna Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS) NZW. W marcu chłopcy od „Wołyniaka” przeprowadzili wyjątkową akcję. Na cały dzień zajęli Leżajsk. Bez jednego strzału partyzanci wtargnęli do miasta i opanowali posterunek MO, w którym półtora roku temu komendantem był „Wołyniak”. Podobno sam Zadziński, naśladując wyczyny największych kawalerzystów II RP, konno wjechał po schodach na drugie piętro budynku i tam rozbroił zaskoczonych milicjantów. W tym dniu ofiar nie było, a polskie leśne wojsko ograniczyło się do wychłostania kilku nadgorliwych komunistów. Kiedy indziej zaatakowano i rozbito inne posterunki MO: w Jarocinie (dwukrotnie), we Frampolu, w Polichnie, w Potoku Górnym i w Łukowej. Również na początku roku grupa „Wołyniaka” przeprowadziła udane akcje odwetowe w ukraińskich wsiach Dobra i Dobcza. Niestety podczas tych operacji zginęło kilkudziesięciu cywilnych mieszkańców tych wiosek.

Jednak powoli z szeregów partyzanckiej grupy wykruśzali się żołnierze „Wołyniaka”. Wielu odeszło, próbując rozpocząć nowe, normalne życie. Wielu wyjechało na Ziemię Odzyskane, na Pomorze lub Śląsk. Niestety znaleźli się i tacy, którym zasmakowało chodzenie z bronią na własny rachunek. Ci porzucali oddział, by zostać pospolitymi rabusiami, a ich niecny proceder zwalczali zarówno komuniści (MO), jak i struktury podziemne (NZW oraz Wolność i Niezawisłość — WiN).

Pyt: Jakiś atak...
 Odp: Jan...
 Major...
 Pyt: Jan...
 Odp: ...
 Protokół...
 Wap...
 Zadzierski

Fragment protokołu przesłuchania Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka” (z czasu zatrzymania przez UB kiedy był komendantem MO w Leżajsku) z jego własnoręcznym podpisem.
 (Instytut Pamięci Narodowej)

Józef Zadzierski dostrzegał zagęszczenie oddziałów komunistycznych na swoim terenie. Posiłki komunistyczne wciąż dowożone były do miast i na wiejskie posterunki milicji. Przez obszar jego działań ciągle szły obławy UB, KBW i MO. Przypadkowe potyczki kończyły się najczęściej przegraną partyzantów i szybkim odwrotem. „Wołyniak” obserwował równocześnie odpływ własnych ludzi. W drugiej połowie roku 1946 jego grupa skurczyła się do kilkunastu najbardziej zaufanych żołnierzy. Zadzierski nie miał już dostatecznej liczby ludzi, aby móc przeprowadzać brawurowe ataki na MO, dlatego skupił się na przeczekaniu.

Niestety podczas przypadkowej potyczki w listopadzie 1946 roku Józef Zadzierski został ranny w rękę. Nie chcąc się zdekspirować, leczył ranę w warunkach polowych. I to był błąd. Najprawdopodobniej wdała się gangrena, a dodatkowo w Wigilię „Wołyniak” nieostrożnie chwycił erkaem niedoleczoną dłońią i rana się otworzyła.

Próbował uśmierzać ból alkoholem, ale niewiele to dawało. Zżerany przez gorączkę, widział wokół siebie samych wrogów i przeczuwał nadciągający koniec. Jeszcze w święta Bożego Narodzenia ostrzegął swoją narzeczoną Krystynę Świątoniowską przed UB i agentami komunistycznymi, a kilka dni później otrzymał informację, że dziewczyna została aresztowana. Był bezsilny, nie wiedział, co robić.

Miotał się jak raniony, bliski obłąkania zwierz. Rozkazywał garstce swoich ludzi maszerować przez noc raz w jedną, raz w drugą stronę. Myśleli, że oszalał, i odmówili wykonywania dalszych rozkazów. Zatrzymali się w zagubionej pośród lasów małej wiosce Szegdy u gospodarza Andrzeja Kłosa. „Wołyniak” wciąż wszędzie widział nieprzyjaciół i konfidentów bezpieki. Może to wydać się dziwne, ale pomimo gorączki, postępującego zakażenia i swego „szaleństwa”, w tym przypadku miał rację. Pośród jego najwierniejszych żołnierzy działał komunistyczny agent - „Mietek”, pod którym to pseudonimem najprawdopodobniej krył się Mieczysław Dobrowolski.



Dla własnego bezpieczeństwa partyzanci zabrali dowódcy broń.

Leżał na łóżku prawie już nieprzytomny. Majaczył i bredził od rzeczy.

Tak im się przynajmniej wydawało. Późnym wieczorem, kiedy żołnierze się myli, Józef Zadziarski wykorzystał to i znalazł swój pistolet. Potem po cichu wyszedł przed dom i zabrnął w głębokim śniegu do studni. Tam „Wołyniak”, z jęczącą się raną, rozgorączkowany, opuszczony przez własnych ludzi i bezsilny, wyjął pistolet, włożył sobie lufę do ust i natychmiast wystrzelił. Nie mógł już wytrzymać bólu chorej ręki i przeczuwał rychłą śmierć w wyniku postępującego zakażenia. Cierpienia fizycznego dopełniła zapewne głęboka depresja. Józef Zadziarski nie widział sensu prowadzenia dalszej walki, a wokół siebie wyczuwał jedynie wrogów i komunistycznych agentów.

Na odgłos wystrzału żołnierze wyskoczyli na podwórze, ale było już za późno. Zdołali tylko wyrwać pistolet z omdlałej dłoni i zanieść ciało do domu. Próbowali jeszcze ratować umierającego komendanta.

Natychmiast posłano po lekarza. Jednak gospodarz z sąsiedniego zabudowania, Maksymilian Graszka, wrócił z niczym. Zresztą było już za późno, Józef Zadziarski „Wołyniak” zmarł. Żołnierze złożyli ciało na furmankę i powieźli w stronę lasu jastrzębskiego, gdzie go tymczasowo prowizorycznie pochowano. Partyzanci „Wołyniaka” postarali się następnie o trumnę i mundur oficerski dla swego dowódcy, po czym zorganizowali katolicki potajemny pogrzeb. Ciche nabożeństwo żałobne odprawił ks. Węglowski w kościele w Tarnawcu i na cmentarzu w tej właśnie miejscowości ostatecznie spoczął Józef Zadziarski.

Komuniści nie do końca wierzyli w informację o śmierci „Wołyniaka”. Bardziej byli skłonni przypuszczać, że partyzancki dowódca sam sfinansował własną śmierć, aby wyjechać w inne okolice i tam skutecznie ukryć się przed ścigającymi go służbami UB. Wiele lat szukali „Wołyniaka” lub choćby najmniejszego śladu jego grobu. Przesłuchiwali zatrzymanych i ujawniających się partyzantów Zadziarskiego oraz ks. Węglowskiego. Kapłan nie przyznał się do niczego, ale potem poprosił organistę i kościelnego, aby przenieśli trumnę z „Wołyniakiem” w inne miejsce na cmentarzu. Tak też uczyniono. Komuniści przez długi czas prowadzili sprawę agencyjno-poszukiwawczą pod kryptonimem „Gajówka K-16”, mającą na celu odnalezienie Józefa Zadziarskiego „Wołyniaka” *vel.* Józefa Kowalika - jak zanotowano w

dokumentach).

Zadowoliliby się nawet, znalazłszy jego kości, aby potwierdzić informację o jego śmierci. Sprawę zamknięto dopiero w czerwcu 1956 roku, po przesłuchaniu gospodarzy wsi Szegdy: Kłosa i Grasz, świadków śmierci Zadzińskiego. Na szczęście nie udało się reżimowi znaleźć jego grobu. Dopiero w latach siedemdziesiątych na zapomnianej, zarośniętej mogile znalazł się krzyż i tabliczka z polskim orłem oraz napisem: „Naród swemu Obrońcy”. Współczesny grób „Wołyniaka” jest całkowicie odnowiony i ozdobiony płaskorzeźbą autorstwa Andrzeja Pityńskiego (syna partyzantów „Wołyniaka” - Aleksandra Pityńskiego „Kuli” i jego żony Stefanii „Perełki”). Obok krzyża na nagrobku umieszczono polskiego orła w koronie, który w swych szponach dusi dwa węże symbolizujące dwa mordercze totalitaryzmy: Hidera i Niemiec oraz Stalina i Sowieckiej Rosji.

Pomimo pewności, że Józef Zadziński zginął od samobójczego strzału, do dziś dnia nie jest znana dokładna data jego śmierci. Większość badaczy zgadza się z tym, że wydarzenie to miało miejsce pod koniec grudnia 1946 roku. Podawane są daty 28/29 grudnia lub 31 grudnia. Ale funkcjonują też inne hipotezy. Według mieszkańca wsi Szegdy Antoniego Jurka, który widział „Wołyniaka” po śmiertelnym strzale, Józef Zadziński popełnił samobójstwo w Święto Trzech Króli 6 stycznia 1947 roku. Była dokładnie godzina dziewiętnasta trzydzieści, dwadzieścia cztery stopnie mrozu i śnieg po kolana.

Według tej relacji kula wyszła tyłem głowy, a dowódca oddziału leżał przy studni z żurawiem na podwórku gospodarza Kłosa. Z kolei jeden z partyzantów „Wołyniaka” — Władysław Rakszawski z placówki w Kuryłówce, który zamawiał trumnę dla swego dowódcy, jako datę jego śmierci podaje 9 lutego 1947 roku. I ten właśnie dzień zapisano na pomniku Józefa Zadzińskiego na cmentarzu w Tarnawcu. Zastępca „Wołyniaka” Adam Kusz „Garbaty” o zgonie swego dowódcy poinformował przełożonych z komendy NZW dopiero w pierwszej połowie lutego 1947 roku.



Po śmierci dowódcy nie wszyscy partyzanci „Wołyniaka” złożyli broń lub rozeszli się do domów. W lesie pozostały dwie niezbyt liczne zbrojne grupy. Jednej z nich, liczącej kilkanaście osób, przewodził zastępca Zadzińskiego Adam Kusz „Garbaty”. Oprócz niego znajdowali się w niej jeszcze między innymi: Andrzej Kiszka „Dąb”, Tadeusz Haliniak „Opium” i Wiktor Pudełko „Wiktor”. Ale to Michał Krupa „Wierzba” (inny pseudonim: „Pułkownik”) należał do najbardziej zaufanych i wiernych żołnierzy „Garbatego”. Brał udział w akcjach na posterunek milicji w Kuryłówce, na PGR w Cieplicach, rozprawiał się z funkcjonariuszami, działaczami i sługusami morderczego systemu. Korzystając z wielkiej pomocy miejscowej ludności, oddział partyzancki wytrwał do roku 1950. W sierpniu tego roku na skutek działalności dwóch ubeckich agentów, którzy z radiostacją dołączyli do oddziału (rzekomo dla łączności z Zachodem), grupa „Garbatego” i „Wierzby” wpadła w zasadzkę.



Współczesny grób „ Wołyniaka ” na cmentarzu w Tarnawcu (zbiory Andrzeja Pityńskiego)



Partyzanci z oddziału Adama Kusza „Garbatego ” (pierwszy z lewej strony). Stoi Tadeusz Haliniak „Opium”, pierwszy z prawej Michał Krupa „Wierzba”, poniej niego, za erkaemem, Andrzej Kiszka „Dąb”, sierpień 1950 r.

(zbiory Andrzeja Pityńskiego)

Zginęło wraz z dowódcą sześciu polskich partyzantów, a oddział został rozbity. Z okrażenia udało się wydostać pojedynczym żołnierzom, w tym Michałowi Krupie.

Przez następne dziewięć lat „Wierzba” ukrywał się w najróżniejszych miejscach, korzystając z pomocy gospodarzy okolicznych wsi.

Cały czas był uzbrojony - nie chciał bez walki wpaść w ręce bezpieki. Tak naprawdę Michał Krupa nie był sam, jak chcieli widzieć to komuniści - prawie do końca towarzyszyło mu kilka osób. Pomimo niebezpieczeństwa pomagali mu znajomi i rodzina, na przykład jego szwagier Aleksander Pityński „Kula”, który razem ze swym synem Andrzejem dowoził do leśnej kryjówki Krupy jedzenie i lekarstwa.

Pomimo pomocy i życzliwości „Wierzba” w końcu wpadł. W lutym 1959 roku ktoś doniósł do bezpieki, że Krupa ukrywa się w Kulnie koło Leżajska. Natychmiast uruchomiono grupę specjalną i opasano kordonem całą miejscowość. Przez tubę SB wzywało mężczyznę do poddania się i rozmawiało z krewną „Wierzby”, u której znalazł ostatnie schronienie. Po dłuższym oczekiwaniu Michał, w końcu oddał się w komunistyczne ręce. A że był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, to przy wymuskanych żołnierzach i bezpieczniakach wyglądał naprawdę jak dziki niedźwiedź złapany w potrzask. Bezpieka zrobiła całą serię zdjęć z tej akcji, które można obejrzeć w IPN-owskim archiwum. Po zatrzymaniu Michał Krupa był sądzony w Przemyślu za przynależność do organizacji kontrewolucyjnej, a potem do zwyczajnej grupy „bandyckiej” (jak twierdzili oficjalnie komuniści) oraz za posiadanie broni. Został skazany na dożywocie, lecz zamieniono mu wyrok na piętnaście lat więzienia. Karę

odbywał w więzieniu w Strzelcach Opolskich, gdzie odsiedział „tylko” siedem lat i w 1965 roku wyszedł na wolność. Ożenił się z Janiną Tarnawską i pracował na gospodarstwie oraz przy budowie mostu na Sanie. Michał Krupa zmarł w sierpniu 1972 roku, pochowano go na cmentarzu w Ulanowie.

Jedna z największych

Las Stocki, 24 maja 1945 roku

P

anowała cisza. Tylko głośne, szybkie oddechy ukrytych w rowie mężczyzn w polskich mundurach świadczyły o tym, że we wsi dzieje się coś niepokojącego. Z daleka dał się słyszeć hałas, jakby warczenie zbyt głośnego silnika czy praca na raz setek młockarni. Odgłosy te narastały, aż w końcu zlały się w jeden ogromny, niekończący się grzmot. Nagle wszystko zaczęło wibrować. Potężny huk zbliżał się z każdą sekundą i ziemia kołysała się, jakby miotana morskim sztormem. Ale to nie był sztorm ani trzęsienie ziemi. Połąną drogą nadjeżdżały czołgi. A może nawet nie czołgi, tylko jakieś inne pojazdy pancerne. Ich wielotonowy ciężar sprawiał, że cała wioska drżała. Wszystkie domy, stodoły, a nawet drzewa trzęsły się w posadach. Stalowe gąsienice miały żwir drogi i rozorywały jej twardą nawierzchnię, zostawiając za sobą głęboki ślad. Dudnienie było tak potężne, że schowani w rowie żołnierze zostali chwilowo ogłuszeni.

Sam na sam ze swoim strachem, z twarzami przylgniętymi do ziemi, nerwowo ściskali karabiny i obserwowali, jak przed ich oczami podrygują grudki ziemi i małe kamyczki. Podskakiwały coraz wyżej, a potem z prędkością lawiny turlały się po stoku niewielkiego nasypu. Niejeden pomyślał wtedy, żeby się wycofać. Cisnąć broń daleko za siebie i uciekać jak najdalej od wstrząsającego całym światem hałasu. Ale pomimo takich myśli trwali na stanowiskach, coraz bardziej kuląc się w sobie i przytulając do matki ziemi. Dla większości z nich było to całkiem nowe doświadczenie. Nigdy nie walczyli z czołgami ani pojazdami pancernymi wrogiej armii. Gdy huk zdawał się rozsadać im uszy i mocą obcęgów świdrujących mózg ściskał czaszki, stając się już nie do zniesienia, nieopodal, zza zakrętu drogi wyjechały ciężkie transportery opancerzone. I chociaż były produkcji amerykańskiej, ich burty zdobiły wymalowane czerwone gwiazdy, a w każdym z nich siedziało schowanych kilkunastu sowieckich żołnierzy.

Widok Sowietów i ich pancernych kolosów tak przykuwał uwagę, że „Znicz” i „Płonka” przez moment wpatrywali się w nie jak urzeczeni, zapominając nawet o przeraźliwym hałasie. Sowieccy żołnierze z NKWD chyba czuli, że są blisko Polaków. Zaczęli wykrzykiwać: „Śmierć Lachom!” i „Na pohybel!”, a potem strzelać z pepesz na

oślepił po najbliższych krzakach. Wtedy któryś z polskich partyzantów, przekrzykując hukami, wrzasnął przeraźliwie „Zniczowi” prosto do ucha: - Strzelaj!

Chłopak, najprędzej jak tylko mógł, wysunął ponad krawędź rowu lufę swojego niezawodnego niemieckiego lotniczego MG, wymontowanego niegdyś z zestrzelonego samolotu, i wycelował w najbliższy pojazd. Pociągnął za spust, czując, jak broń dygocze mu w rękach, a lufa oparta na ziemi podskakuje na twardym podłożu. Ale „Znicz” nie patrzył na karabin, tylko na miejsce, gdzie dosięgał jego ogień.

Widział, jak niebieskie oślepiające tory świetlnych pocisków uderzają z metalicznym jękiem w pancerną burzę pojazdu. Natychmiast skorygował kierunek strzału, lekko unosząc swój MG, i puścił serię wyżej, tam, gdzie widać było głowy Sowieców schowanych za pancerną osłoną.



Po formalnym zakończeniu drugiej wojny światowej w maju 1945 roku, w Polsce lubelskiej nastał czas, kiedy komunistyczne wojska zintensyfikowały swe działania. Grupy UB, milicji i NKWD jeździły od wioski do wioski w poszukiwaniu polskich partyzantów. Nie szukali tylko ludzi z bronią. Dzięki niezliczonej armii swych współpracowników (konfidentów i donosicieli) mogli zabrać się także za cywilów należących do siatki konspiracyjnej bądź tylko sprzyjających organizacjom podziemnym.

Na Lubelszczyźnie bardzo pręźnie działał sowiecki 198 Samodzielny Batalion Strzelców Zmotoryzowanych NKWD dowodzony przez mjr. Fiodora Akulenkę. Oddział ten w marcu rozprawił się skutecznie z polskimi dezertarami, którzy porzucili szeregi komunistycznej armii (28 Pułku Piechoty [pp]) i uciekli z koszar w Radzynie Podlaskim. Pod koniec miesiąca Sowieci przeprowadzili obławę na polskich partyzantów i pod wsią Uciekajki starli się zwycięsko z grupą Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. W czasie walki oddział NKWD wsparły nawet dwa małe czołgi (zapewne T-70). W kwietniu i w maju sowieckie grupy rozbiły poakowskie oddziały „Ryszarda”, „Szatana” i „Sęka”.

Dnia 23 maja 1945 roku do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Puławach dotarła poufna informacja, że we wsi Cholewianka znajdują się uzbrojeni polscy „bandyci”. Po południu wiadomość tę miał już na swym biurku sowiecki „doradca” WUBP w Lublinie płk Biezbordow. To on zdecydował natychmiast o uruchomieniu grup pościgowych złożonych z oddziałów NKWD, UB i MO. Do akcji wyruszył z Lublina kilkudziesięcioosobowy oddział NKWD dowodzony przez st. lejtn. Karpiuka, wsparty przez dwa transportery opancerzone. Ponadto o akcji powiadomiono pozostającego w terenie w poszukiwaniu „bandytów” — kierownika WUBP w Lublinie ds. walki z bandytyzmem kpt. Henryka Deresiewicza. On również, wraz z liczącą kilkadziesiąt osób grupą (oraz z samochodem pancernym), dołączył do komunistycznej obławy.

Ale działania NKWD i UB uderzyły w próżnię. Ani w Cholewiance, ani w

pobliskim Rogowie nie natrafiono na żaden ślad Polaków. Rankiem następnego dnia grupy pościgowe wracały z niczym, ale po drodze dopędził ich swoim samochodem pancernym Antoni Morgut — komendant MO w Puławach, przybyły wraz z uzbrojoną obstawą.



Kpt. Henryk Deresiewicz z WUBP w Lublinie
(Instytut Pamięci Narodowej)

Przywiózł kolejną wiadomość o polskich partyzantach, stacjonujących rzekomo tym razem w miejscowości Las Stocki. Informacje te dostarczyła Morgutowi jego teściowa,

mieszkanka tej wsi.

Całość komunistycznej grupy zatrzymała się na moment w Wierzchoniowie, gdzie żołnierze zjedli posiłek (suto zakrapiany samogonem), a ich oficerowie naradzili się co do dalszego działania. Postanowiono natychmiast wyruszyć do Lasu Stockiego, by rozbić lub aresztować partyzantów. Komuniści byli pewni łatwego zwycięstwa.

Łącznie posiadali około stu pięćdziesięciu do dwustu ludzi, znakomicie uzbrojonych. Trzon grupy stanowiła doświadczona w walkach grupa NKWD. Dodatkowym atutem było wyposażenie, z którym nie mieli szans mierzyć się „bandyci” - transportery opancerzone i samochody pancerne. Najprawdopodobniej pojazdów pancernych podczas tej akcji było cztery (dwa transportery należące do Sowieców i dwa samochody pancerne polskiej UB). Choć w literaturze tematu pojawiają się również inne dane, na przykład: tylko jeden samochód pancerny na całą komunistyczną grupę bądź trzy samochody pancerne, jedna tankietka (być może chodzi o lekki czołg) i dwa transportery.

Całość grupy, prowadzona przez kpt. Deresiewicza, st. lejtn. Karpiuka, por. Aleksandra Ligęzę, Jana Leptucha (komendanta UB w Puławach) i Morgu ta, wyruszyła w stronę Lasu Stockiego. Część żołnierzy załadowała się na pojazdy pancerne i kilka ciężarówek, część maszerowała pieszo. Wśród siąpiącego od rana deszczu kolumna pojazdów mozolnie zbliżała się do zanurzonej w mokrej mgłę wsi. Za nią żołnierze, brnąc w błocie polnych dróg, wolno, ale uparcie posuwali się do przodu. Wypity wcześniej bimber skutecznie tłumiał niewygody pieszej wędrówki i padającego deszczu. Zbliżała się godzina czternasta, kiedy oczom komunistów ukazały się pierwsze zabudowania Lasu Stockiego.



Tymczasem pośród partyzantów znajdujących się we wsi panowało całkowite rozprężenie. Polscy żołnierze odpoczywali po forsownych marszach, suszyli mokre od deszczu ubrania i zniszczone buty. Niektórzy czyścili broń, inni przygotowywali posiłek. Słychać było ciche dźwięki partyzanckiej piosenki, a wokoło rozchodził się zapach warzonej zupy.

Nikt nie spodziewał się ataku. Wystawiono co prawda warty, ale każdy myślał, że w taką paskudną deszczową pogodę żaden komunista nie wytknie nosa z urzędu lub koszar. We wsi stacjonowało około stu dziewięćdziesięciu polskich żołnierzy. Dzień wcześniej stu dwudziestu partyzantów ze zgrupowania Mariana Bernaciaka „Orlika”, prowadzonych osobiście przez dowódcę, dotarło do wsi. A rankiem 24 maja około siedemdziesięciu ludzi z rejonu Baranowa i Koźmina przyprował por. Czesław Szlendak „Maks”. Polacy mieli wozy taborowe z amunicją i granatami. A ich uzbrojenie to między innymi: jeden PIAT, dwa karabiny maszynowe wymontowane z samolotu, kilkanaście stenów i tyle samo pepesz oraz kilkadziesiąt karabinów i pistoletów. Na kwatery zajęto prawie wszystkie budynki osady. Sztab z „Orlikiem” stacjonował pośrodku wsi, w części zwanej Okręglicą.

Pierwszych kilka domostw znajdujących się na południowym skraju wioski zajęli ludzie od „Maksa”. On sam, za zgodą „Orlika”, wraz z kilkusobową obstawą wybrał się do znajomego gospodarza we wschodniej części Lasu Stockiego, nazywanej przez miejscowych Kopaniną. Warto jeszcze podkreślić, że obszar w rejonie Lasu Stockiego przecinany jest wąskimi dołami oraz małymi wąwozami z krawędziami porośniętymi lasem. Od zachodniej strony wsi ciągnie się wąwóz zwany Zadolem, a od strony wschodniej wąwóz Glibienny Dół.

Partyzanckie czujki z pewnością wystawione były przy każdej drodze wpadającej do wsi. Na pewno od strony południowej wartę trzymała kilkusobowa grupa dowodzona przez Mieczysława Polaka „Leonidasa”. To był jego pomysł, aby kilku chłopców zarzuciło na mundury kobiece ciuchy i udawało pracujące w polu kobiety. Zamysł był sprytny i komuniści z nadjeżdżającej kolumny nie zwrócili uwagi na krzątające się w oddali niewiasty.



*Partyzanci „Orlika”. Stoją od lewej: Mieczysław Polak „Leonidas”,
Henryka Iewandowska-Wiawrzyniewicz „Iskra”, Jerzy Buzon „Jur”, początek 1946 r.
(zbiory Krystiana Pielachy)*

Warkot motorów dający się słyszeć już z daleka zaniepokoił żołnierzy „Leonidasa”. Jednak dopiero, kiedy partyzanci zauważyli pojazdy pancerne z czerwonymi gwiazdami, dowódca wysłał do wsi gońca z informacją o nadciągającym niebezpieczeństwie. Widzieli, jak chłopak oddaje karabin, zadziera spódnicę i gna ile sił w nogach w stronę wioski. Obserwowali niknące w dali plecy swego towarzysza, z

niepokojem zerkając w przeciwnym kierunku, skąd nadjeżdżały pojazdy komunistycznej grupy. Zbliżały się właśnie do wzniesienia, na którym droga nie była tak rozmiękczone od niamiaru lejącej się z nieba wody. Deszcz nie wsiąkał w glebę, zmieniając ją w nieprzejezdne błoto, lecz z szybkością górskiego strumyka spływał w dół.

Wykorzystując twardszą nawierzchnię, transporterzy i samochody przyspieszyły, a „Leonidas” i jego żołnierze modlili się, by ich posłaniec zdążył przed nadciągającą kolumną. Sami na razie pozostali na swoich miejscach, czekając na rozwój wypadków. Stali w polu, w dalszym ciągu udając kobiety, by już po rozpoczęciu walki zaskoczyć nieprzyjaciela i ostrzelać jego tyły.

Niestety wysłany żołnierz nie przekazał wieści o zbliżających się komunistach. Nie wiadomo, dlaczego nie dotarł na czas do stacjonujących we wsi partyzantów, nieświadomych niebezpieczeństwa. Być może został wyprzedzony przez samochody z komunistami, które zajechały mu drogę i uniemożliwiły dojście do zabudowań. A może po drodze Sowietci lub Polacy z UB, widząc biegnącą postać, zagarnęli gońca i wzięli go do niewoli. Inne posterunki, wystawione na przykład na zachodnich podejściach do wsi, również nie mogły zaalarmować swych towarzyszy, po cichu zlikwidowane przez nadciągających Sowieców. Nie padł ani jeden ostrzegawczy strzał. Z trzech stron do Lasu Stockiego zbliżało się niebezpieczeństwo, a polscy żołnierze, nie świadomi niczego, trwali w objęciach niczym niezmaconego spokoju.

Gąsienice transporterów NKWD tak skutecznie rozorały moką ziemię, że w błocie tuż przed wsią ugrzązł jeden z samochodów pancernych, a zaraz za nim ciężarówka. Komuniści wykorzystali ten moment na zatrzymanie kolumny i rozdzielenie zadań. Najpierw pod wioskę podszedł kilkusobowy zwiad, który miał sprawdzić, czy są tam jacyś uzbrojeni ludzie. Patrol kilkakrotnie po drodze spotykał mieszkańców Lasu Stockiego, którzy zarzekali się na wszystko, co święte, że we wsi żadnych bandytów z bronią nie ma. Kiedy jednak „czerwoni” zwiadowcy dotarli na tyle blisko, aby zlustrować teren za pomocą lornetki, sami dojrzeli kręcące się pośród zabudowań postacie w polskich mundurach.

W tym czasie komuniści podzielili swoje siły na kilka grup szturmowych mających wdrzeć się do wsi z różnych kierunków. Od strony zachodniej, wąwozem Zadole, miał posuwać się oddział złożony z kilkudziesięciu ludzi zarówno z NKWD, jak i UB. Grupę tę prowadzili kpt. Deresiewicz i por. Ligęza. Dwudziestu kilku ludzi z NKWD prowadzonych przez sierż. Szamarina miało dotrzeć do wsi od drugiej strony, ze wchodu, zbliżając się niepostrzeżenie Glibiennym Dołem. Główna grupa, dowodzona osobiście przez st. lejtn. Karpiuka, pod osłoną pojazdów pancernych miała wtargnąć do wsi od południa. Jako klin tego oddziału zostali wyznaczeni żołnierze NKWD w transporterach opancerzonych, za nimi miały posuwać się samochody pancerne, a w dalszej części, już pieszo, reszta Sowieców, UB i milicji. Polscy komuniści, za wyjątkiem grupy Deresiewicza, niezbyt kwapili się do walki. Samochód pancerny komendanta MO w Puławach Antoniego Morguta ugrzązł w błocie. To samo

przydarzyło się ciężarówce ubeków Jana Leptucha. Ci dowódcy razem ze swymi grupami dość długo marudzili przy unieruchomionych pojazdach.

Albo przeczuwali ciężką przeprawę, albo woleli, żeby „brudną robotę” załatwili za nich Rosjanie. Sowieci prowadzeni przez Karpiuka ruszyli już do przodu, a ubecy i milicjanci wciąż próbowali wypchnąć z deszczowej brei ciężkie samochody, lecz koła mocno zakleszczyły się w objęciach polskiego błota.



*Milicjanci przed ciężarówką, najprawdopodobniej podczas pogrzebu. Widoczny wieniec i trumna
(Instytut Pamięci Narodowej)*

Szoferem pechowej (a może szczęśliwej, jak się miało okazać) ciężarówki był Jan Krańców, zatrudniony w UB w Puławach jako kierowca. Kiedy jego towarzysze borykali się z wypchnięciem wozu, on, nie mając nic do roboty, podszedł do pracujących w polu kobiet.

Kiedy był dostatecznie blisko, dosłownie zaniemówił, widząc, że stoi naprzeciwko przebranego w damskie ciuchy mężczyzny. I to ze schowaną pod ręką bronią.

— Gdzie się pan pcha?

— Panie, ja tylko kierowca. Mnie ubeki zabrali ze sobą i każą wozić. Ja nie partyjny — jękał się Krańców.

— Gdybym wiedział, że ty z UB, od razu bym cię rozwalił — odparł groźnie partyzant, choć w kobiecych ciuchach wyglądał raczej komicznie.

— Masz — rzucił żołnierz od „Orlika”, podając wystraszonemu kierowcy dwie

paczki papierosów. — A teraz spierdalaj, jak chcesz żyć. Tu za chwilę może być gorąco.

Krańców dłużej nie czekał. Szybkim krokiem zszedł na drogę do samochodu i kategorycznie nakazał wypychać pojazd, lecz nie w stronę atakowanej wioski, ale „nazad”. Czas był ku temu jak najbardziej odpowiedni. Właśnie sowieckie czołówki wjechały do Lasu Stockiego i rozpętało się tam prawdziwe piekło znaczone ogniem, żelazem i hukiem wystrzałów. Również na podejściach do wsi zaczęły strzelać partyzanckie czujki. Kule świstały nad głowami wystraszonych ubeków, którzy teraz zdecydowanie sprawniej wyciągali ciężarówkę z błota. Przed partyzanckim ogniem uciekł komendant Leptuch ze swymi ubekami. Po posiłki do Puław odjechał również Krańców. Tylko kilku milicjantów z lekko rannym Morgutem na czele kryło się za unieruchomionym samochodem pancernym, odpowiadając z rzadka ogniem na strzały polskich żołnierzy z grupy „Leonidasa”.



U gospodarza Rutkowskiego, mieszkającego na uboczu we wschodniej części wsi, przy stole zasiadło kilku partyzantów. Byli wśród nich: por. Czesław Szlendak „Maks”, ppor. Piotr Mierzwiński „Wierny”, Jerzy Jurkiewicz „Junacz” i Witold Andrzejewski „Zawisza”. Gospodarz niezwykle gościnnie przyjął partyzantów, a szczególnie swego starego znajomego „Maksa”. Poczęstował ich herbatą, posiłkiem, na stole pojawiła się również butelka bimbrowa. Kiedy rozmowy trwały w najlepsze, nagle od strony Lasu Stockiego rozległa się gwałtowna strzelanina. Partyzanci wyskoczyli przed dom i próbowali dostać się do swoich ludzi. Z trudem łapiąc oddech, gnali przez pola do najbliższych zabudowań południowej części wsi, gdzie kilka chat już płonęło. Nie dobiegli. Na polnej drodze stał komunistyczny pojazd pancerny i strzelał do wszystkiego, co się ruszało i pozostawało w zasięgu wzroku Sowietów. Do swych ludzi pierwszy rwał się „Maks”, ale zaraz padł z przestrzeloną nogą i płucem. „Skrobowiacy” z pierwszego plutonu wynieśli ранego towarzysza i, kryjąc się przed ostrzałem w wąwozie, wycofali się w stronę centrum wsi, gdzie stacjonował „Orlik” ze swoim sztabem.

Na uformowanie zwartych linii obrony spośród chłopców od „Maksa” było już i tak za późno. Partyzanci z Baranowa i Kośmina, całkowicie zaskoczeni przez sowieckich żołnierzy, bezładnie rzucili się do ucieczki, po drodze zostawiając kilku zabitych. Panikę potęgował pożar szeregu domów i pancerne pojazdy, które ze zgrzytem gąsienic i okropnym hałasem posuwały się na szpicy natarcia.

W kolejnych chatkach stacjonowali partyzanci z doświadczonego pierwszego plutonu „Orlika”, złożonego z uciekinierów ze Skrobowa. I to na nich runęło teraz natarcie Sowietów.

Wtedy właśnie w pobliżu przyczajonych pod krzyżem przy rozwidleniu dróg Jerzego Skolimowskiego „Znicza” i Stefana Łysakowskiego „Płonki” nadjechał sowiecki transporter. Obaj partyzanci, uzbrojeni w ciężkie lotnicze kaemy, prawie

równocześnie otworzyli ogień, śląc serie najpierw w burty sowieckich pojazdów, a potem już wyżej, po postaciach skulonych za osłoną pancernych ścian.



Żołnierze oddziału partyzanckiego należącego do 15 pp AK „Wilków” podczas akcji „Burza”. Stoją od lewej: Kazimierz Cezarek „Korwin”, Tadeusz Wierzbicki „Kupiec”, Irena Kurek, Jerzy Sałacki „Kruk”, Józef Suska „Budzik”. Z karabinem przeciwpancernym Tadeusz Gruzą „Skala”, lipiec 1944 r.

(zbiory Krystiana Pielachy)

Niektórzy enkawudziści, widząc skuteczność polskich strzałów, zaczęli podnosić ręce do góry, ale tu nikt nie myślał o braniu jeńców.

Kolejne serie kosily żołnierzy, którzy próbowali się poddać. Transporter z trudem się wycofywał, niemal zupełnie pozbawiony załogi.

Lecz za nim do polskich stanowisk podeszli inni enkawudziści. Obrzucili „Znicza” i „Płonkę” granatami i ostrzelali z pepesz. Pod sowiecką serią padł odważny „Płonka”, a poranionemu odłamkami granatów w głowę „Zniczowi” krew zalała oczy, nie

pozwalając na dalszą walkę. Inny partyzant wdrapał się na drzewo i stamtąd, jak zawodowy snajper, strzelał do nieprzyjaciela.

Prowadzący natarcie pojazd wycofał się, ale zaraz za nim nadjechał drugi sowiecki transporter. Kilku napastników wyskoczyło zza osłony pancernej burty i ruszyło do ataku na jedno z gospodarstw, wspomagając swych spieszonych towarzyszy. W chacie twardo bronili się „Skrobowiacy”, strzelając ze wszystkiego, co mieli na stanie.

Kilkunastu Sowietów wdarło się na podwórze, a za chwilę próbowało dostać się do chaty, ale zostali celnie obrzuceni granatami. Rzucali Kazimierz Łukasik „Samopał” i Zdzisław Jarosz „Czarny”. Silne eksplozje wstrząsnęły podwórzem, a stojący nieopodal płot utonął w zalewie radzieckiej krwi. Deski tego ogrodzenia na wiele lat zabarwiły się na czerwono. Transporter ostrzelany celnie ogniem erkaemu przez Jerzego Śląskiego „Nieczuję” wycofał się na bezpieczną odległość, z daleka ostrzeliwując polskich partyzantów. W tym samym czasie nadjechał kolejny komunistyczny pojazd - samochód pancerny polskich ubeków. On również strzelał na wszystkie strony, próbując trzymać w szachu żołnierzy „Orlika”. Ale znalazł się jeden odważny.

Jerzy Michalak „Świda” miał przy sobie brytyjski granat przeciwpancerny typu Gammon i z tą bronią podczołgał się w stronę samochodu. Kiedy był już blisko, podniósł się lekko na łokciach i rzucił.

Przez moment, wtulony w kępy traw, oczekiwał na wybuch. A kiedy eksplozja targnęła powietrzem, jeszcze raz uniósł się i spojrzał na wynik swego działania. Trafiony pojazd już nie strzelał, tylko głośno wył na wysokich obrotach, próbując się wycofać. Ale panczerka była unieruchomiona, a spod jej stalowych płyt unosił się czarny dym. Po chwili ubecy znajdujący się w środku wyskoczyli na zewnątrz, porzucając niesprawny wóz.

Po tej akcji nastąpiła krótka przerwa w walce. Enkawudziści i ubecy wycofali się na dalsze pozycje, po raz kolejny próbując zorganizować swe grupy, aby podjąć wreszcie skuteczny atak. Polscy partyzanci zaś porządkowali oddziały i na nowo organizowali obronę. Niespokojna cisza, która nastąpiła, nie wróżyła niestety końca batalii.



Po pierwszych dramatycznych walkach w południowej części Lasu Stockiego „Orlik” próbował zebrać przy sobie ludzi i uporządkować obronę. Polski dowódca usiłował realnie ocenić sytuację i ewentualne szanse na zwycięstwo swoich partyzantów. Wiedział już, że zgrupowanie „Maksa” poszło w rozsypkę. Nawet swoich ludzi nie mógł się doliczyć. Na alarmowej zbiórce stawiło się około sześćdziesięciu do siedemdziesięciu żołnierzy, była to zaledwie połowa jego oddziału. Marian Bernaciak rozważał dwa wyjścia z sytuacji: natychmiastowe wycofanie się i próbę oderwania od przeciwnika albo przyjęcie walki i dotrwanie w obronie pośród zabudowań wsi aż do zmierzchu. Zdecydowano się walczyć i „Orlik” wydał rozkaz

przejścia do kontrataku w centrum oraz próby oskrzydlenia nieprzyjaciela na flankach. We wschodniej części, w rejonie wąwozu Glibienny Dół, natarcie miała prowadzić grupa „Swidy”. Prawym skrzydłem polskiego ataku dowodził „Wierny” i to on poprowadził swych ludzi na zachodni brzeg wąwozu Zadole. Największą grupę zgromadzili pod sobą „Orlik”, Zygmunt Kęska „Świt” i Wacław Kuchnio „Spokojny”. Ich oddział miał nacierać środkiem osady w kierunku południowym, przy okazji mając baczenie na wschodnią krawędź Zadola, które swymi odgałęzieniami dochodziło do samej wsi.



Już na początku ataku grupa, którą prowadził „Orlik”, natknęła się nieopodal jednej z odnóg jaru na kilkunastu niezidentyfikowanych żołnierzy w polskich mundurach. Zawahano się przez moment, aby przypadkiem nie ostrzelać swoich.

— Hasło?! — zakrzyknął „Spokojny”, najbardziej przytomny ze wszystkich.

— Leningrad! — Odpowiedź z drugiej strony rozwiała wszelkie wątpliwości Polaków.

Żołnierze „Orlika” nacisnęli na spusty, kładąc pokotem całą komunistyczną grupę. To najprawdopodobniej wtedy po stronie UB padli martwi kpt. Henryk Deresiewicz i por. Aleksander Ligęza. To także wówczas partyzanci „Orlika” zauważyli, że w umundurowaniu i uzbrojeniu nie różnią się w ogóle od swoich ubeckich przeciwników. Dlatego też, aby przez przypadek nie strzelać do swoich, postanowiono, że znakiem rozpoznawczym żołnierzy antykomunistycznego podziemia będą białe kwiaty bzu zatknięte za otoki czapek. Zauważono równocześnie, że niektórzy martwi komuniści mieli podwinięte lewe rękawy mundurów, a czapki owinięte białymi pasami bandaży.

Pozbawieni swych dowódców sowieccy żołnierze i funkcjonariusze UB należący do lewego skrzydła natarcia nie wiedzieli już, co robić. Część uciekła w popłochu, ale większość skryła się w zachodnim wąwozie, nie przeczuwając, że znajduje się w pułapce. Na krawędziach Zadola rządzi już partyzanci „Orlika”, „Świta” i „Spokojnego”, a pluton „Wiernego” schodził do jaru, atakując komunistów i spychając ich w stronę południowego krańca dołu.

W tym czasie komuniści wycofali się również spośród zabudowań Lasu Stockiego. Pośrodku wsi dymił jeszcze porzucony przez nich samochód pancerny, a sowieckim kierowcom transporterów nie w smak było ryzykować życiem pośród zabudowań. Z daleka i nieskutecznie ostrzeliwali wioskę, wzniecając tylko pożary kolejnych drewnianych domów i stodół.

Dowodzący całą sowiecką grupą st. lejtn. Karpiuk nie przedsięwziął niczego konkretnego, aby ratować swoich towarzyszy osaczonych w zachodnim wąwozie. Ograniczył się jedynie do wysłania po pomoc jednego ze swoich ludzi z radiostacją. Żołnierzowi udało się wycofać bezpiecznie i nawiązać łączność z Lublinem. Po kilkunastu minutach wyruszyła stamtąd naprędce zorganizowana grupa odsieczy wsparta między innymi trzema czołgami.

Sowiecki dowódca, otoczony zewsząd hukiem wystrzałów, nie zorientował się, że jego prawe skrzydło właśnie przestaje istnieć. Grupa sierż. Szamarina zaatakowana została skutecznie przez partyzantów „Świdy” i całkowicie rozbita w szczerym polu. Tylko w tym starciu Sowietci stracili aż czternastu żołnierzy. Zginął sierż. Szamarin i lekarz batalionowy lejtn. Kobryninyh.



Powoli się ściemniało. Nastawał piękny majowy wieczór. Dochodziła godzina

dwudziesta pierwsza i bitwa trwająca od popołudnia z wolna wygasła. Palba wystrzałów cichła, dając ukrytym cywilnym mieszkańcom Lasu Stockiego nadzieję na przetrwanie. Wydawało się, że za moment nad wioską zapanuje głęboka, przedsenna cisza, a noc całkowicie uspokoi walczących. Jeszcze tylko z jednego miejsca dochodziły z oddali przytłumione dźwięki karabinowego ognia i w szarówce zmierzchu dało się dostrzec ogniki strzałów. W południowej odnodze Zadola, zewsząd otoczonego wysokimi w tym miejscu skarpami, końcowych naboju z ładownic i ostatnich granatów z chlebaków dobywali broniący się do ostatka „czerwoni” żołnierze.



Komunistyczny pluton Rajoherta. jeśli chodzi o umundurowanie i uzbrojenie, praktycznie nieróżniący się od oddziałów antykomunistycznego podziemia. Zdjęcie pochodzi z albumu „Z historii walk funkcjonariuszy UB, MO i KBW z wrogim podziemiem”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Pośród ciężkich zmagania prowadzonych na bliską odległość, częstokroć w walce wręcz, komunistyczni wojskowi zostali zepchnięci w najgłębszy kraniec jaru. Wysokie, osuwające się nasypy uniemożliwiały ucieczkę. Zresztą z każdej strony nad krawędziami pojawiały się twarze żołnierzy „Orlika” i lufy partyzanckiej broni. Powoli gasło życie ostatnich milicjantów, ubeków i enkawudzistów. Tym, którzy jeszcze trwali w obronie, nie towarzyszyły już nawet blade iskielki nadziei. Jeszcze strzelano do siebie z najbliższej odległości. Ale zmęczone ciężką, nieprzerwaną pracą ręce niepewnie trzymały broń i najczęściej chybiały celu. Jeszcze kilkakrotnie przerzucano między sobą odbezpieczony granat, który w końcu wybuchł w czyichś rękach, wyrywając członki i tnąc skórę w krwawe pasy. Żołnierz rażony granatem

wydobywał wtedy z siebie najstraszniejszy ze wszystkich — okrzyk przerażającego bólu. Jeszcze chwilę temu walczący, gdyby mogli i mieli dość sił, dopadliby do siebie nawzajem, kłapiąc zębami i drapiąc pazurami, jak najdziksze zwierzęta. Jakby sam diabeł zszedł na ten kraniec Polski i kusił, aby zabijać się do upadłego. Ale teraz wszyscy byli już znużeni długą bezpardonową walką. I wtedy po obu stronach obudził się samozachowawczy instynkt życia i odruch ludzkiego przebaczenia. Pierwsi odezwali się polscy milicjanci.

— Panowie, nie strzelajcie! - dało się słyszeć błagalny głos z dołu.

— My milicjanci, ale też Polacy. Poddajemy się!

— Przerwać ogień! — zakrzyknął któryś z partyzanckich dowódców, jakby tylko czekał na taką propozycję. - Wychodzić!

Coś poruszyło się w ciemności na dnie wąwozu, ale zanim pierwsza postać wyszła z otchłani z rękami podniesionymi do góry, w dole padł pojedynczy strzał z pistoletu.

— *Job ipaszu mat'* — zakrzyknął jakiś Sowiec. — *Niepoddawajsja, strielaj, strielaj! Pńjat oboronu!*

I znów nad południowym krańcem jaru rozpętała się nawałnica piekielnej batalii. Pociski rwały bruzdy w ziemi i gwizdały tuż przy uszach. Ciemność nocy rozświecały fastrygi świetlnych serii lub wystrzeliwane co chwila w niebo rakiety. Ale i tak najgorsze były parzące odłamki granatów, które wybuchały coraz bliżej żołnierzy jednej i drugiej strony. Wydawało się, że partyzanci „Orlika” zaraz uzupełnią amunicję i granaty i już bez przebaczenia całym tym żelastwem zasypią dół w taki sposób, że nie wyjdzie stamtąd ani jedna żywa dusza. Że ostatni odcinek Zadola stanie się od razu zbiorową mogiłą komunistycznych okupacyjnych sił. Tak mogło się zdarzyć, lecz wtedy do partyzanckiego komendanta podbiegł goniec. Po cichu przekazywał najświeższe informacje.

Do wsi ze wszystkich stron zbliżały się komunistyczne posiłki. Ciężarówka z wojskiem widziano niedaleko, na drodze z Puław, a od Lublina jechały nawet czołgi. Te nowe okoliczności i ciemność nocy spowodowały, że „Orlik” odstąpił od likwidacji otoczonego komunistycznego zgrupowania. W tym momencie ważniejsze było jak najszybsze wycofanie się przed nadciągającą odsieczą „czerwonych” i wymknięcie się niepostrzeżenie z sieci ich pościgów i obław. Zamiast wykończyć Sowietów, ubeków i milicjantów broniących się w dole, „Orlik” natychmiast wydał rozkaz do odwrotu. Około godziny dwudziestej drugiej partyzanckie zgrupowanie wraz z taborami w uporządkowanym szyku marszowym i bez przeszkód ze strony pobitego wroga opuściło zniszczoną w walce wieś. A pokonani, lecz wciąż żywi Sowieci i polscy komuniści, schowani w najgłębszej odnodze Zadola, mogli mówić o ogromnym szczęściu. Do obrony został im zaledwie jeden granat i po dwadzieścia sztuk amunicji na pepeszę. Jeszcze kilka minut walki, a ich broń zamilkłaby na zawsze.

Grupa główna z Marianem Bernaciakiem na czele skierowała się na północ, w stronę lasów obok Kośmina i Sachalina. Natomiast grupa Tadeusza Orłowskiego

„Szatana” wycofała się w południowo-wschodnim kierunku, na Karmanowice i Witoszyn. Po drodze „Orlik” zostawił rannych partyzantów na tajnych kwaterach w zaprzyjaźnionych wsiach, a sam z głównym oddziałem przeprowił się promem przez Wisłę i zaszył na niezamieszkałym i częstokroć zaminowanym terenie dawnych walk na przyczółku warecko-magnuszewskim.



Gdyby tylko czternastoletnia Leosia Brzozowska wiedziała, co stanie się w Lesie Stockim 24 maja 1945 roku, z pewnością dzień wcześniej opuściłaby wieś i z całą rodziną udała się do jednej z sąsiednich miejscowości. Obojętne — do Zażuka, Stoku czy do Zbędowic.

Nieważne, czy pieszo, czy furmanką. Ważne, by uciec przed tym feralnym dniem i to jak najdalej od rodzinnej wsi.

Kiedy wybrzmiały pierwsze strzały, partyzanci goszczący w izbie u Brzozowskich, nie dokończywszy posiłku (kluski na mleku), chwycili za broń i natychmiast pobiegli do walki. Domownicy nie wiedzieli, gdzie się skryć przed padającym zewsząd śmiernym żelazem.

Pierwszą myślą było, by schować się w piwnicy pod domem i tam przeczekać niebezpieczeństwo. Wydawało się, że to dobry pomysł, ale wtedy ktoś zauważył przez okno, że drewniane chałupy w południowej części wsi zajęły się już ogniem i płoną wysokim, równym płomieniem.

— Tylko nie w piwnicy — powiedział ktoś przytomnie. — Jak będzie się paliło, to wszyscy się zadusimy.

Otumanieni strachem i paniką wyskoczyli na zewnątrz, szukając lepszego schronienia. Leokadia miała zamiar dobiec do Samcika, gospodarza, który mieszkał w solidnym murowanym domu, a na dodatek był przyjacielem jej ojca. Nie dobiegła. Zatrzymała się przed olbrzymią ścianą ognia, dymu i nawałnicy wystrzałów. Byłaby tak stała bez ruchu, sparaliżowana wewnętrzną trwogą, aż dosięgłaby ją jakaś zbłąkana kula, gdyby nie zagarnęła jej do siebie sąsiadka, stara babcia Lewtakowa. Ukryły się w piwnicy, ziemiance na kartofle wybudowanej na podwórzu Lewtaków. Była tam już cała rodzina, a nawet dwóch młodych partyzantów z karabinami, którzy nie ruszyli na alarm i zbiórkę swojego oddziału. Z gotową do strzału bronią pilnowali teraz wejścia do piwnicy, a wokół wszystko płonęło, trzaskało iskrami i waliło się z łomotem w kłębach czarnego dymu. Na zewnątrz huk wystrzałów raz się wzmagił, raz oddalał. Ale ciągle strzelano.

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas, Panie! Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie! — kobiety zaintonowały pieśń błagalną, bo cóż więcej mogli zrobić, trwając w potrzasku, niepewni każdej następnej minuty.



Ślub Zofii i Wacława Kuchniów w Okrzei. Na zdjęciu pluton Bolesława Mikusa „Żbika” wraz z młodą parą, 9 czerwca 1946 r.

(zbiory Krystiana Pielachy)

W innym domu czterej partyzanci zaciekle bronili dostępu Sowiecom i polskim komunistom. Zbigniew Trajer „Sęp”, Bogusław Jakubicki „Junior”, Kazimierz Buksiński „Bela” i Wacław Buksiński „Budzik” kolejno ładowali broń i strzelali w stronę przeciwnika. Niestety szybko ich chata stanęła w płomieniach, a nieprzyjaciel przytomnie ostrzeliwał teraz drzwi — jedyne wyjście z budynku. Postanowili schronić się w piwnicy pod gankiem, ale kiedy otworzyli kłapę, zauważyli, że całe pomieszczenie zasnuwane jest już dymem. A dym równał się zaduszeniu. „Budzik” bał się takiej śmierci i proponował przebicie się przez ubecki kordon. Koledzy, wiedząc, że to samobójstwo, nie ustępowali i na siłę ciągnęli przyjaciela do piwnicy, lecz on w ostatniej chwili wyrwał im się i wybiegł na zewnątrz. Po chwili leżał już martwy, przeszyty nieprzyjacielskimi kulami. Trzej pozostali partyzanci, jeszcze bardziej zdesperowani, zeszli w dym piwnicznej kryjówki. Temperatura wzrastała, a czad nie pozwalał normalnie oddychać. Chwilę wytchnienia dało im ułożenie się jak najbliżej ziemi, z twarzami wtulonymi w wilgotną podłogę klepiska. Ale i tam nisko dochodziły już gryzące opary uniemożliwiające zaczerpnięcie świeżego powietrza.

— Zadusimy się tu - myślał „Sęp”, ale jeszcze przytomnie pozabierał granaty z rąk kolegów, którzy, czując na karku oddech śmierci, postanowili sami rozerwać się wybuchem. Kiedy wszyscy trzej myśleli, że nadchodzą ich ostatnie chwile i albo wskoczą prosto pod komunistyczne pociski, albo stracą przytomność w dymie, któryś po omacku znalazł w piwniczce beczkę z kiszoną kapustą. W ciemności powyciągali mokrą, śmierdzącą kapustę i, ponownie przytuliwszy się do ziemi, poobkładali nią

twarz i głowę. Dzięki takiemu naturalnemu kompresowi lepiej się oddychało. Jak przez mgłę słyszeli rumor na górze. Ktoś otwierał wąż do piwnicy. Dobięły ich głosy ubeków, którym w twarz uderzyły kłęby dymu:

— Gdyby ktoś się tu schował, to i tak już po nim.

Potem wszystko ucichło. Krzyki, strzały i nawałnica pożarów.

Kiedy „Sęp”, „Bela” i „Junior” wyszli z kryjówek w ciemności nocy, wyglądali jak zjawy. Byli czarni od żaru i dymu, w wielu miejscach poparzeni, z bąblami na skórze. Z powodu nagromadzonej w płucach sadzy w dalszym ciągu nie mogli normalnie oddychać. Ale żyli. I tylko to się w tej chwili liczyło.



Rankiem Leosia Brzozowska opuściła swe schronienie i ruszyła na poszukiwanie rodziny. Ale po chwili stanęła jak wryta pośrodku głównej drogi. Wieś prawie całkiem zniknęła. Nie było chałup, zagród, stodół, drewnianych płotów, furtek, studni i żurawi. Pozostały jedynie czarne wypalone belki, rozrzucone niedbale na oczadzonej ziemi, i kopce szarego popiołu. Tylko większe hałdy bab wyznaczały miejsca, gdzie dzień wcześniej stał czyjś dom. W powietrzu unosił się duszący zapach spalenizny, a snujące się jeszcze dymy skutecznie przesłaniały słońce. Dziewczyna z zamartwionym sercem szła w kierunku swego domu, bezwiednie omijając rozrzucone po drodze trupy polskich partyzantów, ubeków i enkawudzistów.

Kiedy dotarła na miejsce, z jej piersi wyrwał się cichy jęk, a po policzkach spłynęły dwie słone łzy. Zamiast domu, w którym знаła każdy kąt, leżały przed nią dymiące zgliszczka. Płakała coraz rzewniej, myśląc, że w pożarze zginęła zapewne cała jej rodzina. Ale wtedy usłyszała rozdzierający serce okrzyk swojej mamy.

— Leosia, ty żyjesz?! - W głosie kobiety pobrzmiwało niedowierzenie. Po chwili matka i córka płakały przytulone do siebie. Zaraz też pobiegly ratować siostrę Leosi, dziewięcioletnią Jasię Brzozowską, która na początku walki biegła ukryć się przed strzałami do jamy w ziemi będącej pozostałością po kopcu kartofli i wtedy została trafiona w nogi. Ratować to za dużo powiedziane. Chodziło raczej o obecność przy konającej dziewczynce w ostatnich chwilach jej krótkiego życia.

W czasie bitwy i później w nocy rodzice Janki jak mogli tamowali upływ krwi. A kiedy do wsi wkroczyły rzesze komunistycznej odsieczy, próbowano uzyskać od nich jakąś pomoc dla rannej dziewczynki. Błagano przybyłych o lekarza, sanitariuszy czy samochód, aby przewieźć ranną do szpitala w Puławach. Nie uzyskano od komunistów niczego, a ranna dziewczynka zmarła z upływu krwi następnego dnia po bitwie.

Spośród cywilów w czasie walk zginęło co najmniej trzy osoby.

Z Lasu Stockiego dziewięcioletnia Janina Brzozowska i Tomasz Zubczyński oraz mieszkaniec Zażuka Jan Binięda, zastrzelony przez komunistyczne wojsko jeszcze w nocy.



Bitwa w Lesie Stockim 24 maja 1945 r.

- 1 Natarcie sowieckie: grupy głównej Karpiuka (K.) oraz ze skrzydeł oddziałów Deresiewicza (D.) i Szamarina (Sz.).
- 2 Polska obrona wsi: grupa „Maksa” (M.) i zgrupowanie „Orlika” (O.).
- 3 Rozbicie komunistycznej grupy Deresiewicza i osaczenie niedobitków.
- 4 Rozbicie grupy Szamarina.

Po stronie polskich partyzantów padło w walce jedenastu lub dwunastu żołnierzy (według innych źródeł — ośmiu). Byli wśród nich na pewno: Ryszard Pawelec „Spłonka”, Jan Piecyk „Niezapominajka”, Roman Szymonik „Bystry”, Zdzisław Szczęsny „Stracony”, Zdzisław

Pastuszko „Karaś”, Józef Jeżewski „Szczyt”, Waclaw Buksiński „Budzik” i Stefan Łysakowski „Płonka”. Drugie tyle zostało rannych.

Komuniści oficjalnie przyznawali się do czterdziestu ofiar: dwudziestu ośmiu Sowietów z NKWD, ośmiu z UB i czterech milicjantów. Takie straty potwierdzają relacje mieszkańców wsi, którzy po bitwie naliczyli około czterdziestu zabitych funkcjonariuszy komunistycznych i tyle samo rannych. Według innych danych Sowietów miało zginąć tylko dwudziestu. Nieco odmienne wyliczenia strat strony przeciwnej podaje Jerzy Ślaski „Nieczuja”, według którego po stronie komunistów w bitwie padło

martwych siedemdziesięciu dwóch żołnierzy. Według tych danych zginęło sześćdziesięciu dwóch enkawudzistów (dwudziestu ośmiu Sowieców pochowano w Kazimierzu, a trzydziestu czterech w Puławach) oraz łącznie dziesięciu polskich komunistów z UB i MO.

Aby ukryć rozmiar swej porażki, w pobitewnych raportach komunistycznego reżimu oddział „Orlika” przedstawiano jako grupę trzystu, pięciuset, a nawet sześciuset „bandytów”. W tych samych dokumentach straty partyzantów podziemia antykomunistycznego oceniano na osiemdziesięciu zabitych. Zwłaszcza enkawudziści, wściekli za duże ubytki w swoich szeregach, za przegraną winili naturalnie głównie swych komunistycznych polskich sojuszników. Łatwo im przyszło przypisać całą winę martwym już kpt. Deresiewiczowi i por. Ligęzie. Dostało się również komendantowi milicji — Margutowi, którego przed natychmiastowym rozstrzelaniem uratowała rana, jaką otrzymał podczas walki.

Po bitwie, już po północy, komunistyczne oddziały odsieczy liczące ponad sześciuset żołnierzy, wspartych czołgami, transporterami opancerzonymi i samochodami pancernymi, dotarły do Lasu Stockiego i połączyły się z niedobitkami od Karpiuka. Natychmiast grupa operacyjna wyruszyła w pogoń za Polakami, ale na skuteczne działanie było za późno. Oddziały „Orlika” pod osłoną nocy rozproszyły się w terenie i skutecznie zgubiły pogoń, kryjąc się między innymi na nieprzystępnym obszarze byłego przyczółka warecko-magnuszewskiego. Pomimo tego jeszcze kilkanaście dni po starciu w Lesie Stockim w tym rejonie trwały wzmożone działania komunistycznych sił.

Obławy, przejazdy samochodowych kolumn i przemarsze zaangażowały siły równe kilku pułkom wojska, wsparte bronią pancerną. Do rozpoznania terenu z powietrza wykorzystywano wojskowe samoloty startujące z lotniska w Dęblinie.



Po wielkiej bitwie w Lesie Stockim jeszcze przez dwa miesiące zgrupowanie „Orlika” działało w terenie jako zwarta jednostka bojowa. Pod koniec lipca „Orlik” zmienił taktykę swego oddziału i podzielił go na mniejsze plutony i drużyny. Mniej licznym pododdziałom łatwiej było znaleźć kwatery we wsiach oraz przeniknąć przez nie zawsze szczelne pierścienie komunistycznych okrążeń. Było to działanie zgodne z wolą przełożonych z Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ) o „rozładowaniu lasów”, czyli zdemobilizowaniu uzbrojonych żołnierzy pozostających w terenie i ograniczeniu do minimum walki zbrojnej. Nie bez znaczenia była również pierwsza komunistyczna amnestia oraz deklaracja o wyjściu z konspiracji i ujawnianiu się, podpisana przez ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”, ówczesnego delegata Sił Zbrojnych Obszaru Centralnego. Wszystko to działo się w sierpniu 1945 roku. Potem „Orlik” podporządkował swój oddział organizacji Wolność i Niezawisłość, a jesienią został oficjalnie mianowany komendantem referatu bezpieczeństwa Inspektoratu WiN Puławy, co łączyło się z dowodzeniem wszystkimi oddziałami partyzanckimi

podporządkowanymi WiN na terenie inspektoratu.



*Marian Bernaciak „Orlik” (pierwszy z lewej) i jego brat Lucjan (pierwszy z prawej)
przed księgarnią, którą prowadził podczas okupacji Marian
(zbiory Michała Bernaciaka)*

Awansowano go również wtedy do stopnia majora.

W czasie mrozów żołnierze „Orlika” ograniczyli działania zaczepne, skupiając się raczej na przezimowaniu rozdrobnionych grup na wiejskich kwaterach. Jednak to

właśnie wtedy, w lutym 1946 roku, komunistyczne służby przeprowadziły na szeroką skalę zorganizowaną operację przeciw partyzantom. Do szeregu obław zmobilizowano około tysiąc pięciuset żołnierzy z KBW, funkcjonariuszy UB i milicjantów oraz jeden batalion „czerwonych” sojuszników z NKWD. Pomimo kilku nieznacznych potyczek akcja spaliła na panewce, gdyż - jak napisano później z wyrzutem w reżimowym meldunku: „bandy walki z wojskiem unikają”. Po trzech tygodniach odwołano całą operację.

Kiedy ustały mrozy, mjr Bernaciak zebrał swoich ludzi i na wiosnę 1946 roku miał ponownie pod bronią około stu pięćdziesięciu partyzantów. Całe zgrupowanie podzielił wtedy na dwa równe, lecz odrębne oddziały, dowodzone przez por. Wacława Kuchnio „Spokojnego” i por. Zygmunta Wilczyńskiego „Żuka”. Grupy te działały w Inspektoracie Puławy — oddział „Spokojnego” na północy, a oddział „Żuka” na południu.

W maju komunistyczny reżim po raz kolejny zmobilizował przeciwko „Orlikowi” niespotykane dotychczas siły. Operację nadzorował z Warszawy sam gen. Karol Świerczewski, a dowodził nią szef wojsk KBW w Kielcach płk Włodzimierz Dembowski. Do akcji ruszyło kilka tysięcy ludzi wspartych czołgami (w odwodzie), samochodami pancernymi, oddziałami moździerzy i specjalnie oddelegowanymi w celu prowadzenia rozpoznania z powietrza - samolotami bojowymi.

Ale i ta olbrzymia jak na warunki przeciwpartyzanckich działań akcja zakończyła się fiaskiem. Specjalnie pomniejszone grupy żołnierzy „Orlika” skutecznie ukrywały się przed obławami lub sprawnie wymykały się w ostatniej chwili z pętli okrążeń.



To był naprawdę piękny letni, słoneczny dzień. I w dodatku imieniny Jana, po których wedle starego zwyczaju można będzie się już kąpać w stawach, jeziorach i rzekach. Jeszcze było przed południem, ale mocne słońce piekło naprawdę mocno i dawało się we znaki podróżującym mężczyznom. Dobrze, że część drogi przebywali lasami, gdzie cienie drzew skutecznie chroniły ich przed nadmiarem słonecznej spiekoty. Teraz jednak furmanka jechała polami i żar z nieba dosłownie lał się na sześciu ludzi siedzących na wozie. Koń, zmęczony długą jazdą i gorącym dniem, ledwo włókł się noga za nogą, a podróżujący wodzili oczami po zielonych pięknych polach, wsłuchując się w cudowny śpiew niewidocznego prawie z dołu skowronka. Było pięknie. Jeden z mężczyzn, wyglądający na około trzydzieści lat przywódca tej grupy, z przyjemnością wdychał zapach wspaniałej polskiej ziemi.

Rozkoszował się tą wonią, zamykał oczy, mając jedynie w uszach ptasi śpiew. Zapomniał na chwilę o wojnie, śmierci i więzieniach.

Marian Bernaciak „Orlik” wraz z pięcioma podkomendnymi wracał z odprawy dowództwa Inspektoratu WiN Puławy. Kierowali się z Życzyny do Horodzieżki, gdzie kwaterował jeden z jego pododdziałów. Byli już niedaleko celu podróży, gdy okulał ich koń. Nic wielkiego.

Okazało się, że zwierzę zgubiło podkowę. Aby nie męczyć go dłużej, partyzanci postanowili poszukać najbliższego kowala, by ten podkuł ich konia. Dość szybko znaleźli mieszkającego na skraju wsi Piotrówek odpowiedniego rzemieślnika -Ja n a Pyrka. Rozleniwieni południowym czasem i upalnym dniem cierpliwie czekali, ułożywszy się w cieniu na trawie. Tymczasem sołtys wsi Jan Maraszek zaniepokoił się podejrzanymi przybyszami. Z oddali widział ich wojskowe ubrania, pod którymi majaczyły przedmioty przypominające kształtem pistolety. Postanowił natychmiast działać i do najbliższego posterunku MO wysłał swego syna z wiadomością, że we wsi przebywają podróżujący z daleka niepewni mężczyźni, ubrani po wojskowemu i uzbrojeni.



"Pomnik na cmentarzu na warszawskim Bródnie, w miejscu, gdzie UB chowała potajemnie bohaterów Polski, w tym również „Orlika”

(zbiory Michała Bernaciaka)

Informacja szybko dotarła do milicjantów w Trojanowie i żołnierzy „ludowego”

WP w Więckowie, którzy w tej miejscowości obstawiali właśnie mające odbyć się za kilka dni referendum. Zaalarmowani żołnierze i milicjanci z dwóch stron zbliżali się do wsi, w której nieświadomi niebezpieczeństwa partyzanci powoli zbierali się do dalszej drogi.



*Protokół rozpoznania ciała Mariana Bernaciaka „Orlika” przez jego matkę Marię
(Instytut Pamięci Narodowej)*

W ostatniej chwili „Orlik” zauważył zbliżające się uzbrojone postacie. Wyszarpnął swój pistolet i strzelił kilkakrotnie w stronę nadbiegających żołnierzy. Szybko wydał rozkazy i mężczyźni zaczęli wycyfywać się w kierunku lasu. Partyzanci próbowali się ostrzeliwać, lecz cóż znaczyły ich pistolety w konfrontacji z karabinami, pepeszami i karabinami maszynowymi saperów z 1 Dywizji Piechoty (DP).

Przewaga była zdecydowanie po stronie komunistów, którzy zajmowali już dobre pozycje wśród zabudowań kuźni. „Orlik” i „Ogarek” próbowali na przemian strzelać i skokami zbliżyć się do linii drzew.

Niedaleko lasu padł martwy „Ogarek”, ale „Orlik” jeszcze wierzył w swoje ocalenie. Wystrzały milkły i nie było widać już ścigających go komunistów, a zbawczy las był na wyciągnięcie ręki. Już, już oddychał z ulgą i w duchu dziękował Bogu za

ratunek, gdy tuż przed nim odezwała się broń przyczajonych w tym miejscu milicjantów. To był koniec. Po pierwszych seriach miał postrzelone nogę i lewe ramię. Ostatnim wysiłkiem przebiegł jeszcze parę metrów i padł. Początkowo i milicjanci, i żołnierze bali się podejść do rannego partyzanta. Lecz kiedy z wysokich traw usłyszeli pojedynczy huk pistoletu, ostrożnie, z bronią gotową do strzału, ruszyli w jego stronę. „Orlik” już nie żył. W ostatnim przytomnym odruchu swego gasnącego już umysłu, przyłożył lufę pistoletu do podbródka i pociągnął za spust.

Przypadkowa komunistyczna akcja okazała się dla reżimu wielkim sukcesem. W walce padł jeden z najniebezpieczniejszych „bandytów z WiN” w Polsce, Marian Bernaciak „Orlik”. Zabito jeszcze jednego partyzanta, a dwóch innych pochwycono żywcem (Kazimierza Piskalę „Kotka” oraz „Kreta”). Pomimo silnej obstawy terenu dwóm partyzantom udało się umknąć. Ciało „Orlika” przewieziono do siedziby WUBP na warszawskiej Pradze, gdzie zwożono następnie rodzinę Bernaciaka oraz jego podkomendnych w celu identyfikacji zwłok. Zmarłego widzieli rodzice i brat Lucjan, również żołnierz AK i WiN. Halina Robakowska-Szulc „Iskierka”, sanitariuszka ze zgrupowania „Orlika”, zapamiętała salę wypełnioną po brzegi sowieckimi i polskimi dygnitarzami komunistycznego wojska, spokojną twarz zmarłego dowódcy i jego bose stopy nadgryzione przez szczury. Potem ciało „Orlika” zniknęło i przez dziesiątki lat nie było wiadomo, gdzie komuniści pochowali bohaterskiego komendanta antykomunistycznego podziemia.

Dziś przypuszcza się, że „Orlik” pod zmienionym nazwiskiem, jako Marian Biernacki, spoczął na warszawskim Cmentarzu Bródnowskim, (jego grób znajduje się w kwaterze numer 45, w miejscu nazywanym „przy studni”, gdzie przez lata potajemnie chowano pomordowanych przez UB żołnierzy AK, WiN i NSZ-NZW).

Bez jednego strzału

Pabianice, 10 czerwca 1945 roku

Zaśnieżona droga wiodąca przez środek wsi naznaczona była dwiema wielkimi koleinami, wyjeżdżonymi setkami opon i rozgniecionymi aż do głębi żółtej, zwirowatej ziemi ciężkimi gaśnienicami czołgów. Jedną z tych kolein maszerował mężczyzna. Miał na sobie cywilną marynarkę, wojskowe zielone spodnie i buty z cholewami. Zmierzał w kierunku swojego domu i już był blisko, kiedy od strony cmentarza zza zakrętu wychynęła z głuchym rykiem silników kolumna sowieckich czołgów. Mieszkańcy wsi Dąbrowa nie ufali żołnierzom z czerwoną gwiazdą i ostrożnie obserwowali „wyzwoliciele” zza opłotków lub przez okna swoich domostw.

Stanisław Arkuszyński, żołnierz polskiego podziemia, w porę zauważył radzieckie czołgi i zszedł z drogi w śnieżną zaspę. Gdy go mijali, niepewnie pozdrowił żołnierzy Czerwonej Armii, machając ręką w kierunku Sowietów z pierwszego pojazdu. Nikt nie odwzajemnił jego powitania, ale czołg gwałtownie się zatrzymał. Z pancerza maszyny zeskoczył żołnierz i, wymachując pistoletem przed twarzą zaskoczonego Polaka, krzyknął:

— *Ruki wierch*

Wystraszony dwudziestoletni chłopak z AKowskiej konspiracji posłusznie podniósł ręce i bez oporów dał się zrewidować. A Sowiet tylko uśmiechnął się krzywo, kiedy wyłuskał mu zza pasa pistolet.

— *Nu wot, a eto czto?*

Powąchał lufę znalezionej broni, czy aby nie pachnie prochem. Chciał sprawdzić, czy nie strzelano z niej może niedawno do „wyzwoliciele”. Polak próbował coś tłumaczyć i wskazywał w kierunku swego rodzinnego domu.



*Aleksander Arkuszyński „Maj” w otoczeniu rodziny i znajomych,
Z jego prawej strony siostra Felicja, 1937 r.
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)*

Przekonywał, że jest z polskiej armii podziemnej, że niedaleko stąd mieszka, że wraca z walk toczonych przeciwko Niemcom, ale żołnierz radziecki nie słuchał. Rozkazał mu iść naprzód i lekko popchnął chłopaka, zmuszając go do zrobienia kilku kroków. Następnie wycelował broń w jego głowę i wystrzelił kilka razy. Na odgłos strzałów z czołgu wyskoczył jeszcze jeden Sowiec i podbiegł do swego towarzysza, bynajmniej nie po to, aby robić mu jakiegokolwiek wymówki. Spojrzał na leżącego w śniegu Polaka i prędko ściągnął mu zegarek, a później także buty i spodnie. Z tymi łupami obaj wrócili do pojazdu. Silnik ryknął, zadymił czarnymi spalinami i czołg pomknął dalej w swym niepowstrzymanym pędzie „Na zapad!”. Był 18 stycznia 1945 roku.

Aleksander Arkuszyński „Maj” był rodzonym bratem zastrzelonego z premedytacją przez Sowietów Stanisława Arkuszyńskiego.

„Maj” urodził się w 1918 roku w Dąbrowie nad Czarną. I chociaż w gimnazjum myślał, żeby zostać księdzem, to w 1938 roku przywdział mundur zamiast sutanny. Otrzymał powołanie do 18 pp w Skierniewicach, gdzie skończył Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy, a później uczył się na oficera zawodowego w Ostrowi-Komornie. Brał udział w wojnie obronnej i dostał się do niemieckiej niewoli, z której w październiku uciekł. Następnie powrócił w rodzinne strony, włączając się w tworzące

się zręby polskiej konspiracji ZWZ-AK. W grudniu 1943 roku został awansowany do stopnia podporucznika i działał w oddziale partyzanckim „Trojan-Wicher”, a później dowodził oddziałem „Grom”. Podczas operacji „Burza” oddział „Maja” został jako pluton włączony w skład 25 pp AK. W lipcu 1944 roku walczył pod Diabłą Górą, a we wrześniu pod Stefanowem. W listopadzie Aleksander Arkuszyński otrzymał awans na porucznika.

O okolicznościach śmierci brata, przeprowadzonej „na katyńską modłę”, dowiedział się wiele dni później. Mimo to nie pałał do nowego okupanta nienawiścią czy chęcią zemsty. W lutym UB aresztowało „Maja” i wspólnie z NKWD nakłaniało go do ujawnienia tajemnicy oddziałów AK i do współpracy. Przystał posłusznie na stawienie się kolejnego dnia na UB w Opocznie i wyznanie wszystkiego, co wie.

Oczywiście był to tylko wybieg. „Maj” nie zamierzał zdradzać przed komunistami swoich towarzyszy broni. Ukrył się, a później ponownie poszedł do lasu, do partyzantki.

Najtrudniej było zdobyć samochód. Z ciężarówką poszło jeszcze szybko. Dało się ją „wypożyczyć” z miejscowej mleczarni. Takim odkrytym furgonem jeździł tam na co dzień Jerzy Rendecki „Bren”, pewny konspirator i dobry żołnierz podziemia. Wystarczy, aby przy samochodzie zmienić dla niepoznaki tablice rejestracyjne i już można go z powodzeniem wykorzystać do planowanej operacji. Gorsza sprawa przedstawiała się z łązikiem, drugim pojazdem koniecznym do przeprowadzenia niebezpiecznej akcji na siedzibę UB w Pabianicach.

Odpowiedzialny za zdobycie samochodu terenowego Włodzimierz Szuster „Gajda” postanowił zarekwirować odpowiedni pojazd na drodze. Aby nie zagrozić kolegom ze swojego terenu, zdecydował się przeprowadzić akcję kilkadziesiąt kilometrów dalej, na północ od Łodzi. „Gajda” dowodził osobiście, mając pod sobą czterech konspiratorów: „Grot”, „Kamila”, „Kruka” i „Kazika”. Grupa dywersantów przebranych w sowieckie i polskie mundury zaczęła się na poboczu szosy biegnącej z Główna do Łodzi. Kiedy nadjechał wyczekiwany samochód, na jezdnię wyszli dwaj partyzanci w oficerskich mundurach, machając łązikiem przed zaskoczonym kierowcą. Kierujący łązikiem jednak nie miał zamiaru hamować. Dopiero gdy w ostatniej chwili z lasu wybiegli pozostali konspiratorzy i ostentacyjnie sięgnęli do kabur, pojazd z piskiem opon stanął przed partyzantami.

— *Job waszu...* \ — pieklił się jadący samochodem kapitan MO, widząc przed sobą również i rosyjskie mundury. — To pojazd służbowy!

Muszę koniecznie odwieźć te panie na miejsce!

Oprócz niego i kierowcy w łąziku faktycznie znajdowały się dwie kobiety. Ale ani „Gajda”, ani żaden z jego żołnierzy nie mieli zamiaru dyskutować z komunistą.

— Rekwirujemy tymczasowo samochód na potrzeby wojska - sucho oznajmił „Grot”. — I to nie naszego, ale sowieckiego. Jak pan kapitan ma jakieś żale, to proszę je zgłosić do najbliższej komendy radzieckiej. A teraz proszę wysiadać!



*Widocznym na zdjęciu od lewej: Witold Kucharski „Wicher”, ks. kapelan Marian Skoczowski „Ksawery” i Aleksander Arkuszyński „Maj”
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)*

Milicjant dłużej nie dyskutował. Trójka pasażerów i kierowca zostali na drodze, a partyzanci w zdobytym samochodzie pomknęli w stronę Łowicza, by zmylić ewentualny pościg. Zanim dojechali do Głowna, skręcili na południe, a potem zawrócili. Chcieli od zachodu ominąć Łódź, by szybko i bezpiecznie dotrzeć na czas w rejon koncentracji. Ale mieli pecha. Na jednym z ostrych w tym miejscu zakrętów pojazd złapał gumę i o mało nie wypadł z drogi. W milicyjnym łaziku znajdowało się na szczęście koło zapasowe oraz klucze niezbędne do odkręcenia śrub i wymiany „kaptura”. Chłopcy „Gajdy” sprawnie wzięli się do pracy i po kilkunastu minutach mknęli już dalej. Ale to nie był koniec nieprzewidzianych wydarzeń tego dnia. Pomiędzy Zgierzem a Konstantynowem silnik łazika zachłysnął się, zakasłał, a potem zgasł na dobre. Samochód siłą rozpędu przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanął na poboczu.

— Z próżnego nawet Salomon nie należy. - „Grot” zajrzał do pustego baku i wzruszył ramionami.

„Gajda” z niedowierzaniem kręcił głową. Co chwila patrzył z niepokojem na zegarek i zastanawiał się, co robić. Nie mógł uwierzyć, że po udanej, bezkrwawej akcji zdobycia wozu teraz zatrzyma ich taka drobnostka.

— Cholera jasna! — klął któryś z żołnierzy pod nosem, szukając po samochodzie

pełnego kanistra z benzyną. Bez skutku. Paliwa nie było. Zbliżał się wieczór, a już następnego dnia miała odbyć się planowana od tygodni operacja.



Głównym pomysłodawcą akcji na UB w Pabianicach był szef łódzkiego Kedywu z czasów okupacji niemieckiej mjr Adam Trybus „Gaj”. Ten nauczyciel, harcerz i żołnierz zawodowy podczas wojny obronnej walczył w składzie 2 Pułku Strzelców Podhalańskich. Po klęsce wrześniowej przedostał się do polskiej armii we Francji, a następnie na Wyspy Brytyjskie. Przeszedł szkolenie dywersyjne na cichociemnego i w październiku 1942 roku został zrzucony na spadochronie do okupowanej Polski. Dostał przydział do Komendy Okręgu AK w Łodzi, gdzie tuż przed rozwiązaniem Armii Krajowej pełnił funkcję komendanta Inspektoratu Rejonowego AK Łódź. Gdy w styczniu 1945 roku przez centralną Polskę przeszedł front, a w Łodzi i okolicach rozlokowały się władze sowiecko-komunistyczne, mjr „Gaj” nie zaprzestał działalności niepodległościowej. Pręźnie działał w Ruchu Oporu Armii Krajowej (ROAK), skupiając wokół siebie wypróbowanych konspiratorów i tworząc małe oddziały partyzanckie, złożone z zagrożonych aresztowaniem byłych AKowców.

— Nie damy się powyrzynać jak barany! Trzeba znów wrócić do lasu - mówił mjr „Gaj” do por. Aleksandra Arkuszyńskiego „Maja”, widząc terror i bezprawie nowych rządów, pod którymi okoliczne więzienia i areszty zapełniały się żołnierzami AK.

Trybus polecił zorganizować niewielki oddział partyzancki, działający w oparciu o partyzantów sprawdzonych w walkach przeciwko Niemcom. Był marzec 1945 roku. Wkrótce „Maj” miał pod sobą dwudziestu pięciu ludzi w oddziale partyzanckim „Zryw”. Z meliny wydobył ukrytą broń (kilka erkaemów, kilkanaście pistoletów maszynowych i granaty) i czekał. W końcu nadszedł upragniony rozkaz od mjr. „Gaja”:

— Będziemy „robić” ubeckie więzienie w Pabianicach!

Dla nikogo nie było tajemnicą, że w gmachu pabianickiego UB komunistyczni funkcjonariusze przetrzymują i torturują polskich patriotów i żołnierzy podziemia. Zaraz po otrzymaniu polecenia przygotowania akcji por. „Maj” przystąpił do działania. Najpierw zlecił „Korczakowi” zdobycie dokładnych planów budynku z rozkładem pomieszczeń. Podobno w celach przetrzymywano wówczas dziesięciu AKowców. Obserwację budynku z zewnątrz przeprowadził osobiście „Maj” wraz z Janem Nowakiem „Cisem”. Spacerowali spokojnie po parku znajdującym się za budynkiem UB, a potem siadali na ławce i sączyli zimne piwo, zerkając spod przymrużonych powiek na miejsce przyszłej akcji i analizując wszystko dokładnie. Ubecki budynek sąsiedował z parkiem i kinem „Robotnik”. Po przeciwnej stronie ulicy stał inny, nieukończony gmach, a zaraz za nim siedziba milicji.



Budynek byłej katowni UB w Pabianicach, pierwsza połowa lat 90.

(zbiory rodziny Arkuszyńskich)

W dość bliskiej odległości były również kwatery NKWD oraz koszary wojsk sowieckich i „ludowego” WP. W przypadku strzałów należało liczyć się z szybkim nadciągnięciem silnej odsieczy. I dlatego właśnie por. Arkuszyński postanowił zadziałać fortem, podjeżdżając pod samo wejście do budynku samochodami. Jego żołnierze zamierzali udawać wojsko sowieckie i komunistyczne polskie.

Do przeprowadzenia akcji planowano wykorzystać nieliczny oddział Włodzimierza Szustera „Gajdy” oraz ludzi z oddziału „Zryw”. W samochodzie terenowym miało jechać czterech konspiratorów, a na ciężarówce dwudziestu partyzantów. Aby nie wzbudzać podejrzeń, zrezygnowano z siłowego zdobycia odpowiednich mundurów. Wykorzystano za to znajomości wśród krawców szyjących na potrzeby wojska i wkrótce do partyzanckiej bazy trafiły cztery pięknie skrojone, nowiutkie mundury. Wybrani partyzanci wyglądali teraz jak nowo wcieleni do „ludowej” armii żołnierze, a ich koledzy - jak sojusznicy z Armii Czerwonej.

Oddział „Maja” zaszył się w lasach dłutowskich, niedaleko wsi Mierzączka, w odległości osiemnastu kilometrów od Pabianic. Prawie wszystko było już przygotowane i dopięte na ostatni guzik. Chylił się ku zachodowi 9 czerwca, dzień poprzedzający planowany atak na UB. Porucznik „Maj” chodził zdenerwowany wkoło leśnych szałasów i nie reagował na pytania swoich partyzantów. Zbliżała się noc, a do tej pory nie było żadnych wiadomości od patrolu „Gajdy”.



— Staaać! — Grupa partyzantów wybiegła na drogę z przeciągłym krzykiem, prosto pod koła nadjeżdżającego samochodu. Pojazd zatrzymał się z piskiem, ale cóż z

tego - to kolejny samochód, który oprócz tego, co w baku, nie miał żadnego zapasu paliwa. Jednak „Gajda” postanowił tym razem nie odpuszczać. Rozkazał kierowcy zatrzymanego wozu, aby wziął ich unieruchomionego łązika na hol. Ten mruczał coś pod nosem, ale, widząc przed sobą oficerskie mundury, zaczął szukać linki holowniczej. Po kilku minutach oba samochody, tocząc się powoli, kierowały się na rozkaz „Gajdy” w stronę posterunku MO w Konstancynie. Polscy konspiratorzy mieli nadzieję, że milicja będzie miała odpowiedni zapas benzyny.

Kiedy zbliżali się do celu, zatrzymany kierowca zaczął się nerwowo kręcić i rozglądać na boki. Chyba domyślał się powoli, że zabrani na hol sowieccy i komunistyczni żołnierze to tak naprawdę jacyś „przebierańcy”. Siedzący obok niego w szoferce „Gajda” położył jedną rękę na kaburze, spojrzał na kierowcę, a potem powiedział głośno i wyraźnie:



*Polscy partyzanci, stoją od lewej: „Drukarz”, „Wicher”, „Maj”
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)*

- Do milicjantów ani słowa. Nie martw się, pomożesz nam, to cię wypuścimy z twoim samochodem. Ale jeśli na posterunku "wykonasz jakiś ostrzegawczy gest — to kula w łeb. Jasne?

Coraz bardziej wystraszony mężczyzna pokiwał tylko głową na znak, że rozumie.

— Dla pewności dawaj jeszcze papiery. Szybko! - komenderował „Gajda”, widząc już w oddali budynek milicji z powiewającą biało-czerwoną flagą.

Kierowca przekazał swoje dokumenty i po chwili parkował przed posterunkiem. Mimo szczerych chęci milicjantów, którzy naprawdę pragnęli pomóc żołnierzom, na komisariacie nie było ani kropli benzyny. Miejscowi rozkładali bezradnie ręce i mówili, że w całym Konstanczynie nie ma prawie wcale samochodów, a benzyna to towar deficytowy. Oni sami otrzymują zapas paliwa dowożony specjalnie z Łodzi. Radzili przybyłym, by po benzynę udali się bezpośrednio do Łodzi. Nie było innego wyjścia, tym bardziej że nawet telefon znajdujący się na posterunku nie działał. Żołnierze z powrotem wskoczyli na samochody, a kierowca ruszył w dalszą drogę, ciągnąc pechowego łazika. Nie zajechali daleko. Włodzimierz Szuster postanowił dla bezpieczeństwa zwolnić wylęknionego i podejrzliwego kierowcę wraz z samochodem.

— Dla ciebie będzie najlepiej, jeśli zapomnisz o tym, co tu widziałeś. Jedź swoją drogą i ani słowa, bo dosięgnie cię zabłąkana kula.

Dokumenty jeszcze zatrzymamy. Zwrócimy ci później. No dalej, ruszaj — ponaglił go „Gajda”.

— Co teraz? — spytał któryś z partyzantów, patrząc za odjeżdżającym. Słońce już dotykało widnokręgu.

— Jak to co? Trzeba zatrzymać jakiś inny samochód.

Konspiratorzy usiedli na poboczu, bacznie nasłuchując i obserwując drogę. Ale o tej porze nikt już tędy nie przejeżdżał. Mijały minuty, kwadransy i z wolna zapadał mrok. Nagle dało się słyszeć klekoczącą z daleka furmankę i okrzyki woźnicy. Z braku laku dobry i pociągowy koń! Zatrzymali wóz i poprosili rolnika o pomoc. Domyślał się chyba, że coś jest nie tak, ale zgodził się podholować ich kawałek.

Zaczepili samochód i złączone pojazdy z niemałym trudem wreszcie ruszyły. W lesie pod Porszewicami „Gajda” polecił woźnicy, by skręcił w boczną drogę. Po kilkuset metrach wóz stanął, a partyzanci odczepili swój łazik i próbowali choć trochę zamaskować go gałęziami. Zdecydowano, że najlepszym wyjściem będzie zdobycie benzyny w Łodzi. Do miasta miał udać się jeden z partyzantów, podczas gdy reszta czekałaby w lesie przy pojeździe.

Woźnicę zamierzano wypuścić dopiero po zdobyciu paliwa. Ale ten zarzekał się na wszystkie świętości, że nikogo nie wyda.

— Panowie - mówił błagalnie. - Panowie, puśćcie mnie. Ja wiem, kim jesteście i o co walcycie, ale bądźcie spokojni, nic nie powiem, choćby nie wiem co.

— Przysięgnij!

— Przysięgam na niewinną Mękę Pańską, że nic nie powiem o naszym spotkaniu - mówił uroczyście chłop, szczęśliwy, że tak to się dla niego kończy.

Kiedy rolnik odjechał, zaraz za nim wyszedł jeden z konspiratorów. Kierował się pieszo w stronę Łodzi, ale miał nadzieję na złapanie jakiejś podwózki. Reszta patrolu pozostała w lesie, zjadając ostatnie zapasy jedzenia i przygotowując się do nadejścia nocy.

Nad ranem wysłany po benzynę żołnierz zjawił się z pełnym kanistrem. Szybko

napełniono bak i łazik z nową werwą ruszył w stronę punktu zbornego. Patrol „Gajdy” już bez dalszych przygód dołączył do oddziału, a „Majowi” spadł kamień z serca. Wygłodniali partyzanci mogli zasiąść do spóźnionego śniadania. Wszyscy byli zadowoleni z chwili spokoju, ale i podekscytowani zbliżającą się akcją, której szczegóły dopiero teraz zdradził im dowódca.



Była godzina dziewiętnasta trzydzieści, wieczór 10 czerwca, kiedy dwa samochody mknęły ulicami Pabianic. Zwalniały na skrzyżowaniach, a potem znowu przyspieszały, rozrzucając na boki kamyki żwiru ulatujące spod kół. Szofer prowadzący pierwszy, terenowy wóz co chwila osłaniał sobie oczy przed mocnym, oślepiającym słońcem.

Dotarli do miasteczka. Zakręcił w prawo, most na rzeczce, ostry skręt w lewo i już hamowali przed piętrowym budynkiem UB. Z łazika wyskoczyli sowiecki kapitan i polski porucznik. Pędem pobiegli do zatrzymującej się za nimi ciężarówka i wynieśli z niej ślaniającego się na nogach, owiniętego skrwawionymi bandażami, ranego. Poprowadzili go do wejścia do budynku, trzymając pod ramiona. Zaskoczony wartownik spytał, o co chodzi, ale radziecki oficer krzyknął mu nad uchem: — *Numeri wracz! Bystro, bystro!* — I zaklął, jak tylko Rosjanie potrafią.

Ubek próbował jeszcze oponować, ale skapitulował, widząc wycelowane w siebie lufy pistoletów. Sowiecki kapitan (Zdzisław Michnikowski „Konar”) i polski porucznik (Włodzimierz Szuster „Gajda”) wepchnęli wartownika za bramę i momentalnie go rozbroili. Za nimi do środka weszła reszta grupy szturmowej przewidzianej do akcji wewnątrz. Wszyscy uzbrojeni byli wyłącznie w broń automatyczną.

Na ulicy przy samochodach pozostało kilkunastu ludzi z por.

„Majem” na czele. Dowódca akcji sprawnie rozstawił ubezpieczenia. Jeden z partyzantów zastąpił wartownika przy wejściu, inny skrył się za ogrodzeniem przeciwległego budynku, z gotowym do strzału erkaemem. Pozostali wyskoczyli z ciężarówka i zachowywali się tak, jakby nudzili się, czekając na przedłużający się odjazd. Rozmawiali, palili papierosy, a jeden, wyraźnie znużony oczekiwaniem, oddalił się za potrzebą. Jedynie kierowcy nie opuścili szoferek, gotowi do natychmiastowego uruchomienia silników. Na ulicy panował spokój, a i z ubeckich miejsc kaźni nie dochodził żaden podejrzany głos.

Tymczasem w siedzibie UB dywersanci „Gajdy” zajmowali już wartownię. Do akcji włączył się również cudownie uzdrowiony ranny

(Czesław Jedynek „Kukułka”), który wreszcie mógł zrzucić z siebie zwoje bandażu obficie ochlpanych wcześniej krwią z zabitego koguta. Zaskoczeni dwaj komunistyczni funkcjonariusze posłusznie dali się rozbroić i grzecznie położyli się na podłodze tuż obok wartownika.



*Dowódca oddziału partyzanckiego „Zryw” por. Aleksander Arkuszyński „Maj”
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)*

Partyzanci prowadzeni przez „Gajdę” pobiegli na piętro i po kolei otwierali więzienne cele, uwalniając aresztowanych. Oswobodzeni nie kryli radości i wzruszenia. Jednego z nich trzeba było na rękach znieść na dół. Był tak skatowany, że nie mógł się poruszać o własnych siłach. Dziesięciu uwolnionych, spośród których połowa należała do AK, poprowadzono do wyjścia. W międzyczasie wynoszono z UB i ładowano na ciężarówkę zdobyczną broń, amunicję, akty śledcze, maszynę do pisania,

a także dwa rowery.

Kiedy „Maj” miał już związać akcję i zwoływać ludzi do samochodów, nagle jeden z partyzantów, „Sęp”, szarpnął go za rękaw i bez słowa wskazał na piętro. Okno było otwarte, a obok zsuwał się powoli po rynnie człowiek w mundurze. Robił to sprawnie i bezgłośnie, dlatego do tej pory nikt go nie zauważył. Był już blisko ziemi, kiedy „Maj” wycelował w niego swój pistolet maszynowy. W kierunku uciekiniera pognął „Sęp”, również gotując broń do strzału.



Mimo dokładnego spenetrowania całego budynku jednemu ubekowi udało się wykorzystać zamieszanie, jakie powstało przy otwieraniu cel, i ukryć się w jednym z gabinetów. Gdy wszyscy zeszli na dół, prowadząc uwolnionych i targając zdobycz, on niepostrzeżenie dotarł do okna, otworzył je szeroko i wyjrzał na zewnątrz. Wokół budynku kręciło się wielu uzbrojonych ludzi, a wszystkie wyjścia były dokładnie obstawione. Na piętrze było już spokojnie i komunista mógł przeczekać akcję, ale w myśl zasad wpojonych mu na kursie UB postanowił jak najprędzej poinformować milicję lub NKWD o ataku bandytów. Początkowo chciał skakać, ale kiedy spojrzął w dół, zarzucił szybko ten pomysł. Było za wysoko. Zauważył, że przy oknie znajduje się rynna na deszczówkę. Gdyby zdołał się po niej zsunąć, dotarłby do niepilnowanego odcinka przy budynku. Wystarczyło potem przeskoczyć płot i już mógłby parkiem dotrzeć do Sowietów.

Ostrożnie, ciągle obserwując ulicę, wygramolił się przez okno i zawisł na rynnie, oplatając ją mocno rękami. A potem powoli, starając się zachować ciszę, zaczął zsuwać się w dół. Mdlały mu ręce, ale pokonał już połowę drogi i był coraz bliżej ziemi. Kiedy uradowany dotknął podłoża, zobaczył wycelowaną w siebie broń. Zaklął siarczyście, słysząc:

— Tylko spokojnie, bez żadnych sztuczek.

„Sęp” sprawnie obszukał zatrzymanego ubeka i wyłuskał z kieszeni jego munduru pistolet, a następnie doprowadził go do pozostałych zatrzymanych. „Maj” odetchnął z ulgą, ocierając pot z czoła.



Funkcjonariusze UB z ujętymi partyzantami: „Gryfem” (pierwszy z lewej) i „Groźnym” (pierwszy z prawej) - Zdjęcie pochodzi z albumu „Z historii walk funkcjonariuszy UB, MO i KBW z wrogim podziemiem”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Akcja trwała już piętnaście minut i zbliżała się ku końcowi. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem i obyło się bez strzałów. Wartownik doprowadził jeszcze ubeka, który przyszedł do pracy na nocną zmianę. Wszystkich pięciu zatrzymanych poprowadzono na piętro i zamknięto w dopiero co opróżnionych celach aresztu. Mieli niewyraźne miny, ale i tak powinni być szczęśliwi, że nikt nie chciał odebrać im życia zamiast wolności. Partyzanci „Maja” i „Gajdy” zabrali ze sobą klucze i po kolei wskakiwali na samochody, sadowiąc się obok uwolnionych aresztantów.

Ciężarówka zaskoczyła i ruszyła do przodu, ale po kilku metrach kierowca na rozkaz „Maja” zatrzymał pojazd. Aleksander Arkuszyński z niepokojem oglądał się na łazika, który - pechowy od samego początku — i tym razem nie chciał zapalić. Żołnierze „Gajdy” wyskoczyli z wozu i „na pych” uruchomili w końcu toporny wóz.

Samochody pędziły ulicami miasta, kierując się w stronę Dłutowa.

Mijali nielicznych przechodniów, z których większość stanowiła podziemne ubezpieczenie trasy ich odwrotu.

— Wiwat! Niech żyje Armia Krajowa! — darł się na ulicy „Cis”, obstawiający z kilkoma innymi konspiratorami drogę przejazdu.

A siedzący na pace ciężarówki zastępca „Maja” — Paweł Roszak „Wicher”,

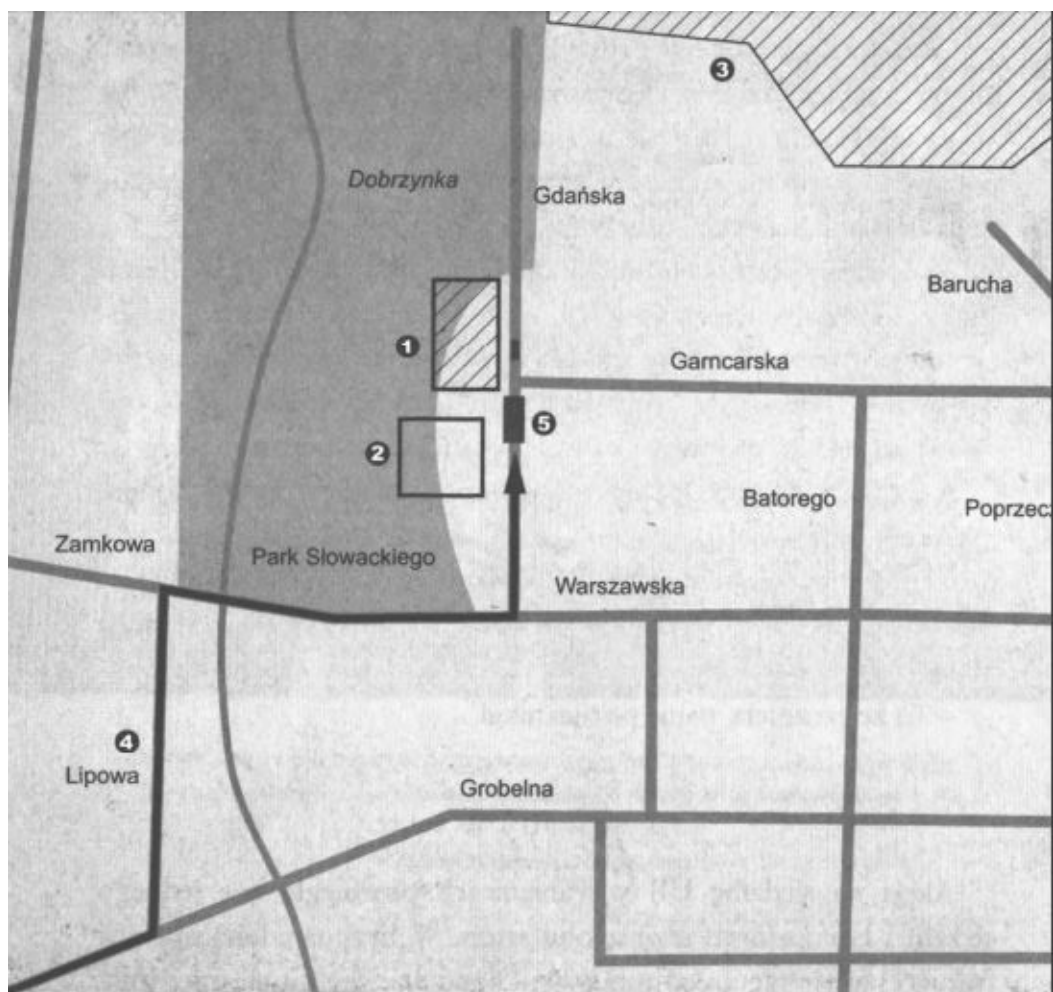
upojony radością po udanej akcji, nie mógł się powstrzymać i puścił na wiwat w niebo kilka serii ze swojego peemu.

— Wariacie, co ty wyprawiasz?! - ofuknął go wyglądający przez okno szoferki dowódca.

— To ze szczęścia, panie poruczniku!



Akcja na siedzibę UB w Pabianicach przebiegła bez jednego strzału i bez żadnych strat z obu stron. W bezpośredniej operacji trwającej około piętnastu minut uwolniono dziesięciu aresztowanych, z czego połowa należała do AK. Trzech dołączyło później do oddziału „Zryw”, a najbardziej zmaltrretowany podczas komunistycznego śledztwa sierż. Kazimierz Kusiak „Wojnowicz” został nawet zastępcą „Maja”. Oddział odskoczył na bezpieczne meliny, zmieniając co chwila miejsce postoju, a do mjr. „Gaja” poszedł dokładny raport o szczegółach udanej akcji.



Akcja na areszt UB w Pabianicach 10 czerwca 1945 r.

- | | |
|--|---|
| ❶ Siedziba UB. | ❷ Trasa dojazdu i odwrotu partyzantów. |
| ❷ Kino. | ❸ Miejsce zatrzymania się samochodu terenowego i ciężarów |
| ❸ Koszary LWP, Armii Czerwonej i NKWD. | |

Na mapie przedstawiono współczesne nazwy ulic.

Po czerwcowej akcji w Pabianicach ośmieszona komunistyczne służby szalały. Miejscowy szef PUBP rozesał w teren rozkazy do UB i milicji, aby ich patrole dokładnie skontrolowały swój obszar, szukając sprawców napadu. Na wjazdach do Łodzi i innych dużych miast w całym województwie poustawiano szlabany i liczne uzbrojone warty, tak aby w przyszłości nie dać się zaskoczyć wtargnięciem w środek metropolii „uzbrojonych band”. Oficjalnie miejscowe władze i prasa milczały na temat udanej akcji podziemia niepodległościowego z ROAK. Z perspektywy „czerwonych” dysydentów i oficjeli naprawdę nie było się czym chwalić...

Tymczasem wiele setek kilometrów od Pabianic na scenie światowej polityki zachodziły zasadnicze zmiany dotyczące również państwa polskiego. W czerwcu 1945 roku były premier polskiego rządu na wychodźstwie Stanisław Mikołajczyk uczestniczył w moskiewskiej konferencji, na której omawiano sprawę utworzenia w Polsce Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Mikołajczyk zgodził się wejść do

tego rządu, rekomendowanego wówczas przez Kreml, jako wicepremier i minister rolnictwa, równocześnie stając na czele Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL). Swą decyzją polski polityk przyczynił się do tego, że państwa zachodnie uznały nowo utworzony tymczasowy rząd w Polsce. Jednocześnie, naiwnie wierząc w przyszłe demokratyczne wybory w naszym kraju, USA i Wielka Brytania cofnęły poparcie prawowitemu polskiemu rządowi w Londynie.

Po tych wydarzeniach do oddziałów partyzanckich w terenie dochodziły rozkazy o konieczności „rozładowania lasów”, ujawnienia się przed komunistycznymi komisjami i zdania broni. W myśl tych zarządzeń również mjr Adam Trybus „Gaj” zdecydował się zaprzestać działalności konspiracyjnej i ujawnić całe struktury łódzkiego ROAK. Spotkał się osobiście z ówczesnym premierem Edwardem Osóbką-Morawskim, z którym wstępnie uzgodnił zasady ujawnienia, zdawania broni, amunicji oraz majątku po rozwiązaniu AK z tego terenu (80 tys. dolarów z prośbą o wykorzystanie ich na odbudowę Warszawy). Wszystkie postanowienia „Gaj” spisał w dokumencie adresowanym do premiera, na którym Osóbka-Morawski dopisał adnotację: „Wyrażam zgodę na te propozycje, które są zgodne z intencjami Rządu”. Tak oficjalnie zakończyła swoją działalność komórka ROAK z terenu Łodzi, Pabianic, Łasku i Brzezin. Żołnierze zdawali broń, ujawniali się i rozchodzili się do swoich domów, aby podjąć normalną, cywilną pracę. Ci, którzy nie myśleli jednak kończyć walki, mogli wstąpić na przykład do Konspiracyjnego Wojska Polskiego (KWP) kpt. „Warszyca”.



Kiedy w sierpniu 1945 roku Aleksander Arkuszyński wraz z kilkoma swoimi ludźmi przestępował drzwi PUBP w Pabianicach, zauważył, że niewiele się tu zmieniło od czasu ich czerwcowej akcji. Ale tym razem żołnierze ROAK przyszli po cywilnemu, a broń już wcześniej zdali komunistom lub zakopali głęboko w ziemi. Zgodnie z postanowieniem i rozkazem mjr. Trybusa „Maj” i jego partyzanci stawili się tu, by się ujawnić.

— Powiedźcie otwarcie, czy to czasem nie wy napadliście w czerwcu na nasz urząd?

Cisza...

— A może jakaś inna banda?

„Maj” nie zamierzał odpowiadać, ale „Cis” nie wytrzymał.

— To nie żadna banda! To my uwolniliśmy niewinnie więzionych żołnierzy AK!

Ubek poczerwieniał ze złości, a „Cis”, aby go do reszty wyprowadzić z równowagi, dodał:

— A co, dobra to była robota, nie?



Na zdjęciu widoczni od lewej: Felicja Bińkowska (z domu Arkuszyńska, siostra „Maja”), Leokadia Arkuszyńska (matka „Maja”), Janina Arkuszyńska (żona „Maja”), Krystyna Arkuszyńska (żona Mieczysława, brata „Maja”), Hanna Sitkowska (ciotka „Maja”, żona brata Leokadii), Aleksander Arkuszyński „Maj”, Mieczysław Arkuszyński „Słowik”, kuca - prawdopodobnie któraś z córek Felicji. Zdjęcie wykonano w Dąbrowie nad Czarną prawdopodobnie w latach 1954—1959
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)

Komunistyczny funkcjonariusz już nie panował nad sobą. Ruszył do „Cisa” i byłby go uderzył, ale wtedy obecny przy rozmowie Sowiec z NKWD przytrzymał go, mówiąc: — *Nielzia, nielzia. Potom...*

Kiedy ubek trochę się uspokoił, odetchnął głęboko i zażądał zwrotu zagrabionej w akcji maszyny do pisania i rowerów. Partyzanci zgodzili się oddać maszynę, ale rowerów już nie mieli - przez ten czas były mocno eksploatowane i nie nadawały się obecnie do użytku. Dalsza rozmowa toczyła się w spokojniejszym tonie i po spisaniu danych UB wystawiła partyzantom zaświadczenia o ujawnieniu się. Aleksander Arkuszyński poczynił kolejne kroki, by unormować swój stosunek z nową władzą. Najpierw pojechał do Włoch pod Warszawą, gdzie działała Komisja Weryfikacyjna, która zajmowała się zatwierdzaniem (lub nie) stopni wojskowych uzyskanych podczas wojny i okupacji. „Majowi” zatwierdzono rangę podporucznika. Ostatnim pogłosem przemijającej partyzanckiej przeszłości Aleksandra miał być udział w Komisji Likwidacyjnej piotrkowskiej AK. A potem już spokój i normalne życie: studia w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi, praca w browarze i w wytwórni win, a w Boże Narodzenie 1948 roku ślub z Janiną. Wiosną kolejnego roku dowiedział się, że zostanie ojcem. Sielanka trwała jednak tylko do lipca.



— Ty reakcyjny pachołku, wiemy o tobie wszystko! Pisz życiorys, sprawdzimy, czy nie kłamiesz. Tylko szczegółowo!

„Maj” siedział na chwiejnym taborecie bez jednej nogi i próbował złapać równowagę, by naskrobać na kartce choć kilka czytelnych zdań. Czuł w ustach smak okropnie przesolonego śledzia, którym uraczono go na śniadanie, oraz straszne pragnienie. Marzył o wodzie, ale wiedział, że dostanie pić dopiero po przesłuchaniu. I to wówczas, kiedy poda zadowalające komunistów dane. Na razie pisał dokładny życiorys, nie pomijając również szczegółów dotyczących śmierci swego brata. Jeden ubek siedział przy biurku i szperał w dokumentach, drugi kręcił się po pokoju i przez ramię spoglądał na zapisywaną kartkę.

68
70

Nr. akt _____

PROTOKÓŁ

przesłuchania podejrzanego

kodzi

20 października 1951 r.

kodzi

Oficer Siedzący *Przemysław Ułaga*

Bezpieczeństwa Publicznego w _____

przesłuchał w charakterze podejrzanego _____

Nazwisko i imię: *Arkuszyński Aleksander*

Imiona, rodziców: *Miełbi i Leokadia Arkuszyńska*

Data i miejsce urodzenia: *27 II 1918 r. wieś Dąbrowa nad Czarnym, pow. Opoczno*

Miejsce zamieszkania: *kodzi ul. 6-go sierpnia, nr 29 m.*

Narodowość: *Polaka* Obywatelstwo: *Polaka*

Wyznanie: *Polak-katolik* Zajęcie: *Pracownik laboratoryjny w Zakładzie*

Zawód: *Technolog* Wyształcenie: *uczniem H. S. G. H.*

Przynależność do R. K. U.: *Wielki Miasto* Stopień wojskowy: *porucznik rezerwy*

Stosunek do służby wojskowej: *1938-1939 r. 18 paź 1939 r. pułk artylerii*

Stan rodzinny: *żonaty*

Stan majątkowy: *z żoną i dziećmi (wielka posiadłość 4 ha ziemi wraz z zabudowaniami)*

Odniesienia i ordery: *Ordera Sierpniaka, Ordera Sierpniaka, Ordera Sierpniaka*

Kwalifikacja: *Pracownik rezerwy 2*

Uwagi: *Urodził się dnia 27 lutego 1918 r. w Dąbrowie pow. Opoczno, gdzie ojciec miał posiadłość 4 ha ziemi wraz z zabudowaniami, w tej posiadłości mieszkał z rodziną i opiekował się rezerwowymi, w roku 1938 po odwołaniu rezerwy porucznik powrócił do domu i pomagał w gospodarstwie. W 1939 roku odwołano go do Pułku Artylerii w miejscowości Polkowice, Opoczno i Przeworsk.*

Arkuszyński Al.

Fragment protokołu przesłuchania Aleksandra Arkuszyńskiego „Maja”
(Instytut Pamięci Narodowej)

Kiedy doczytał relację o tym, w jakich okolicznościach zginął

Stanisław Arkuszyński, nie wytrzymał. Kopnął nogą w chybotający się stołek, a „Maj” wylądował na podłodze.

— Podnieś stołek i siadaj na dupie! Gównu nas obchodzi, jak zginął twój brat, pewnie był takim samym bandytą jak ty! - krzyczał ubek, upajając się własnym gniewem i wyprowadzając cios. „Maj” momentalnie zrobił unik i pięść komunisty osunęła się tylko po jego karku.

— Tobie za napad na UB w Pabianicach i tak się stryczek należy

— powiedział ten zza biurka. - A teraz przejdziemy do prawdziwego śledztwa. Do tej pory to była zabawa a...

— Powiedz - zaczął po dłuższej przerwie - kiedy, gdzie i w jaki sposób ty i twój oddział z 25 Pułku rozstrzelaliście radziecki desant spadochronowy? Co zrobiliście z ciałami szesnastu radzieckich żołnierzy i jednej kobiety radiotelegrafistki?

„Maj” w myślach wolno trawił absurdalne oskarżenie.

— I co, zatkało cię? Mam ci przypomnieć? To było latem 1944 roku w Stefanowie, w Lasach Przysuskich. Gadaj, jak to wyglądało, od początku!

Aleksander chwilę się jeszcze zastanawiał, lecz aby nie przeciągać struny, zaczął mówić:

— Pamiętam, była taka akcja pod Stefanowem, ale nie na sowieckich spadochroniarzy, a na będącą na niemieckim żołdzie grupę własowców. Oddział ten, prowokacyjnie podając się za Rosjan, był wysłany przez niemiecki wywiad do lasu celem rozpracowania struktur 25 pp AK. Przy tych własowcach znaleziono bieliznę z niemieckimi stemplami, ukraińskie opaski UPA oraz niemieckie marki. To byli prowokatorzy i szpiedzy, a nie spadochroniarze. Nie przypominam sobie, by była wśród nich kobieta. W szyscy oni z wyroku sądu potowego zostali skazani na śmierć i rozstrzelani.

— Co ty pieprzysz, „Maj”! Jakież bajki nam tu opowiadasz. My mamy świadków na to, że to byli radzieccy spadochroniarze, że to ty i twój oddział ich zlikwidowaliście - przekrzykiwali się ubecy i podstawiali Polakowi gotowy protokół do podpisania.



*Aleksander Arkuszyński „Maj” z synami: Andrzejem (z lewej) i Adamem.
Łąka w Dąbrowie, prawdopodobnie lato 1959 r.
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)*

Powtarzało się to jeszcze kilkakrotnie, a „Maj”, widząc na dokumentach adnotacje o radzieckich skoczkach, albo nie podpisywał wcale, albo dopisywał w każdym tym miejscu: „dotyczy własowców”

— i dopiero wtedy składał swój podpis. Tymi uwagami o własowcach wprowadzał z równowagi komunistycznych śledczych.

Pewnego dnia, a było to w grudniu, Aleksander otrzymał paczkę od żony. Początkowo nie zauważył nic specjalnego. Ale paczka była niecodziennie opakowana — zamiast zwykłego sznurka przewiązano ją kolorową tasiemką.

— Chłopie! — tłumaczyli współwięźniowie. — Ciesz się! Syn ci się urodził.



Dopiero po upływie prawie trzech lat od momentu aresztowania Aleksandra Arkuszyńskiego postawiono przed sądem. Akt oskarżenia przekonywał, że „Maj”, „idąc na rękę władzy państwa niemieckiego, brał udział w dokonywaniu zabójstw osób

wojskowych przez rozbrojenie, skrupowanie, wyprowadzenie do lasu i rozstrzelanie szesnastoosobowego desantu spadochronowego Armii Czerwonej”, a dodatkowo, że „Arkuszyński przyznał się do zastrzelenia osobiście ośmiu skoczków spadochronowych”.

„Maj” nie przyznawał się do winy i na rozprawie powtarzał to, co ciągle mówił w czasie śledztwa i przesłuchań:

— Kiedy stacjonowaliśmy w lasach pod Stefanowem, nadeszła wiadomość, że obok nas są Ukraińcy, którzy zostali wysłani przez niemiecki wywiad, aby poznać tajniki naszego pułku. Otrzymałem rozkaz, aby ich zaskoczenia otoczyć i rozbroić. Ukraińcy byli ubrani po cywilnemu, tylko dwóch miało mundury. Ludzi tych było piętnastu do siedemnastu, kobiety nie widziałem. „Wicher” powiedział, że są to Ukraińcy z Tomaszowa, których celem było przeprowadzenie wywiadu, i że ci ludzie zostaną rozstrzelani. Dodał, że celowo podają się za partyzantów radzieckich. Poleciał mi wyznaczyć drużynę do rozstrzelania ośmiu czy dziewięciu Ukraińców. Wyznaczona grupa dotarła do plutonu później. Również po pewnym czasie „Wicher” nakazał, abym wyznaczył dwóch, trzech żołnierzy do zakopania rozstrzelanych. Egzekucję widziałem z daleka. Co stało się z resztą Ukraińców, tego nie wiem. Wiele dni później mjr „Leśniak” również utrzymywał, że to grupa Ukraińców wysłanych przez Niemców na nasz 25 Pułk.

Komunistyczny sąd to była farsa. Świadkowie albo mylili oskarżonych, albo mdleli przed „wysokim” sądem, albo też kręcili, jak ten, który mówił:

— Ja tam dobrze nie pamiętam, czy to byli skoczkowie, i nie jestem w stanie tego potwierdzić. W protokole mojego zeznania jest tak napisane, bo powiedział mi o tym ten, który napisał protokół...

Zresztą sami Sowieci w swoich dokumentach przechowywanych gdzieś w Moskwie nie znaleźli śladu o tym, że grupa skoczków dowodzona przez kapitana została zrzucona w rejonie Opoczno-Przy-sucha. Ale naturalnie komunistyczne władze w czasie rozprawy nie przyznawały się do tego i dalej drażyły temat, tylko coraz słabiej i delikatniej.

Dnia 5 grudnia 1951 roku sąd ogłosił wyrok. „Maj” został uniewinniony od zarzucanych mu czynów, a nazajutrz, w dzień świętego Mikołaja, Aleksander Arkuszyński wyszedł na wolność. Do dzisiaj żyje wraz z rodziną w podłódzkim Ksawerowie. W 2008 roku awansowany do stopnia generała brygady, a w 2013 roku odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Przesłuchiwany w październiku 1949 roku Aleksander Arkuszyński „Maj” tak zeznawał w sprawie akcji na siedzibę UB w Pabianicach:

— Po kilku dniach przyjechał samochód osobowy wraz z pięcioma mężczyznami, którzy przywieźli dwa mundury WP i dwa mundury Armii Czerwonej. Jeden z tych mężczyzn miał pseudonim „Gajda”.

Przyjechała również ciężarówka. Czterech ludzi przebrało się w mundury, a jeden

miał udawać ranego. Ta piątka wsiadła na samochód osobowy, a ja ze swoimi partyzantami załadowałem się na ciężarówkę i razem podjechalśmy pod Urząd Bezpieczeństwa w Pabianicach. Tam bez żadnego oporu weszliśmy do budynku i rozbroiliśmy funkcjonariuszy, a następnie wypuściliśmy ludzi z aresztu, zabierając ich ze sobą.



*W kościele w Dąbrowie nad Czarną (rodzinna wieś i miejsce urodzenia „Maja”) uroczystość nadania Honorowego Obywatelstwa Gminy Aleksandrów gen. Aleksandrowi Arkuszyńskiemu „Majowi” dnia 3 marca 2009 r. Widoczni na zdjęciu od lewej: ppłk Halina Kępińska-Bazylewicy „Kora”, gen. Stanisław Burpa-Karliński, i pierwszy z prawej: gen. Aleksander Arkuszyński „Maj”
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)*



*General Aleksander Arkuszyński „Maj” z synem Adamem podczas uroczystego jubileuszu
95 rocznicy urodzin gen. „Maja” i nadania mu Komandorii w Instytucie Pamięci Narodowej
w Łodzi, 28 lutego 2013 r.*
(zbiory rodziny Arkuszyńskich)

W poniemieckich okopach

Majkowice, 8 lipca 1945 roku

Cisza. W zamkniętym pokoju tylko zegar tyka zbyt głośno, przesuwając z mozołem nazbyt ciężkie wskazówki. Zza zamkniętego okna, z oddali, dobiegają jedynie okruchy dźwięków normalnego, ulicznego życia. Przejeżdżają ciężarówki, konie stukają kopytami po bruku. Czasami można nawet wychwycić strzępy rozmów. Ale w cichym pomieszczeniu czai się niepokój. I tylko zegar przypomina o upływającym z wolna czasie. Tyk, tyk, tyk. Po kilku minutach odgłosy zegara stają się nie do wytrzymania. Tyk! Tyk! Tyk!...

Stasiek gotów był zerwać się z krzesła i uciec albo przynajmniej zatkać rękami uszy. Uderzenia zegara czuł już w swojej głowie. Skronie boleśnie pulsowały w rytm przesuwających się wskazówek. Chciał być jak najdalej stąd, ale jednocześnie bał się, że jakikolwiek ruch wywoła reakcję przeciwnika. Po drugiej stronie stołu przyczało się czterech umundurowanych mężczyzn. Dwóch miało na sobie polskie mundury i gwiazdki na pagonach, dwóch pozostałych nosiło sowieckie uniformy i oficerskie stopnie. Cztery pary oczu wwiercały się w niego, a on, choć ani drgnął, w środku zwił się pod tymi zimnymi spojrzeniami. Na stole leżał pistolet. AKowiec pragnął wstać, zrzucić ze ściany zegar i roztrzaskać go o podłogę. Ale jeszcze bardziej chciał zerwać z twarzy tych żołnierzy z naprzeciwka cztery sztuczne, przymilne maski.

— Ja już wszystko powiedziałem. O swojej działalności w polskim podziemiu. O walce prowadzonej przeciw Niemcom — rozbił lustro ciszy nienaturalnym trochę głosem. — Nie mam nic więcej do dodania. Prowadziłem walkę przeciwko naszemu wspólnemu wrogowi.



Stanisław Karliński „Burza ”
(Instytut Pamięci Narodowej)

Był czas, że przy moim oddziale przebywało kilkunastu waszych zwiadowców, spadochroniarzy. Opiekowaliśmy się nimi, razem obozowaliśmy. Współpracowaliśmy też z chłopcami z AL, wspólnie biliśmy szkopów.

— Ale my to wszystko wiemy. Właśnie z meldunków tych spadochroniarzy i relacji ludzi z AL. I to nie jest zarzut względem was, że walczyliście z Niemcami. To dodatkowa chwała — zaśmiał jeden z Sowietów, który nadzwyczaj dobrze mówił po polsku.

— Wiemy, że byliście i jesteście dobrym dowódcą leśnego oddziału.

Może niedocenianym przez tych waszych komendantów z AK.

Chcielibyśmy to zmienić... — Głos oficera w berlingowskim mundurze zawisł w próżni.

- Ja jestem tylko prostym żołnierzem podziemia - powtórzył Stanisław Karliński „Burza” i, grając na zwłokę, kontynuował: - Zawsze chciałem być zawodowym żołnierzem. Teraz, po wyzwoleniu chciałbym pogłębiać wiedzę wojskową, chciałbym się uczyć.

— *Nu*, my właśnie o tym chcieli rozmawiać — wtrącił inny czerwonoarmista.

— Na początek otrzymacie zaświadczenie w uznaniu za walkę z niemieckim okupantem. Potem wyślemy was na naukę do wojskowej akademii w Moskwie. Zostaniecie awansowani na pułkownika, a za trzy lata będziecie już generałem. Wszystko będzie załatwione po waszej myśli. Musicie tylko pomóc nam w ujawnieniu komendy łódzkiego Okręgu AK.

— Ale ja od dawna nie posiadam żadnych kontaktów...

— Damy wam czas na zastanowienie się. Powiedzmy - piętnaście minut.

Przemyślcie to wszystko na spokojnie. A, jeszcze jedno. Mamy tu gotowe oświadczenie do podpisania.

— Jakie oświadczenie? Po co?

— Macie piętnaście minut. Przeczytajcie sobie na spokojnie i zastanówcie się. Będzie dla was lepiej, jeśli to podpiszecie. Wiecie, co to białe niedźwiedzie? - dodał na koniec najwyższy rangą i po chwili wszyscy czterej przesłuchujący wyszli z pomieszczenia, starannie zamykając za sobą drzwi. Celowo zostawili na widoku radziecki pistolet TT, który leżał na stole od początku rozmowy.



Setki myśli kłębiło się w młodej głowie „Burzy”. Oksydowana stal broni leżącej na stole wabiła swą siłą. Przed tym spotkaniem nikt go nie zrewidował i w dalszym ciągu miał przy sobie głęboko schowany swój pistolet i dwa granaty. Dwa pistolety z pełnymi magazynkami to co najmniej szesnaście naboju, czyli teoretycznie kilkunastu martwych lub rannych prześladowców. Do tego jeszcze dwa granaty siekańce, które mogą położyć trupem kolejnych kilku napastników.

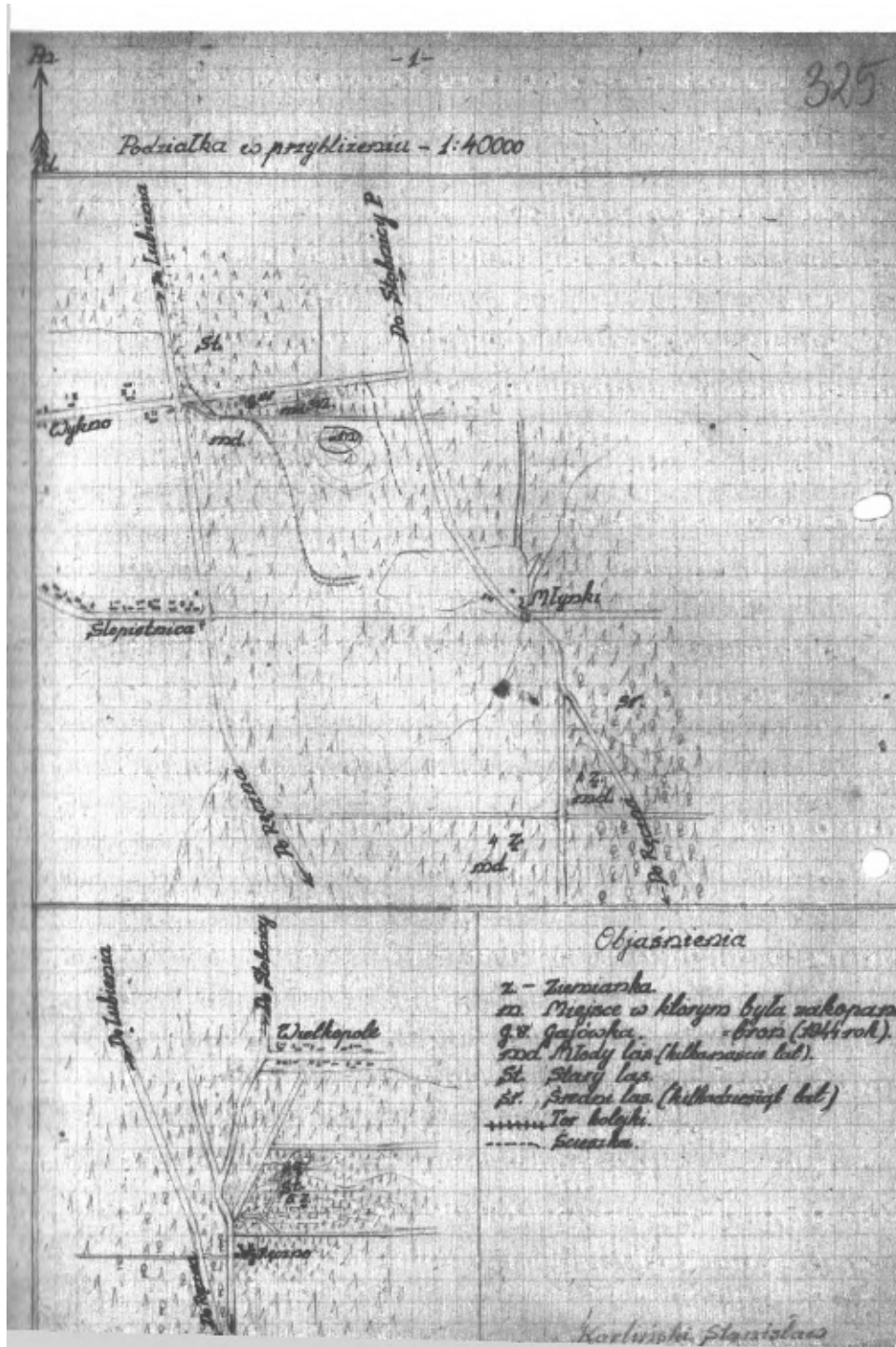
Pod drzwiami zamkniętego pokoju zauważył tylko jednego wartownika, nie licząc czterech swych rozmówców, no i tych, którzy go tu przywieźli. A okno? Było nieokrątkowane. Ale czy skok z wysokości pierwszego piętra na głowy uzbrojonych strażników pilnujących wejścia do budynku będzie rozsądnym rozwiązaniem i nie zakończy się połamaniem nóg? A zresztą ta cała akcja z pozostawionym na widoku pistoletem, czy to nie jest komusza prowokacja? Złapie za broń, nawet zastrzeli kilku „czerwonych”, ale czy uda mu się uciec? Mając sowiecką i komunistyczną krew na rękach, automatycznie wyda na siebie wyrok śmierci. Jeśli nie zakatują go od razu, to w przyszłości kulka w głowę i tak go nie ominie...

Rozsądek w końcu wziął górę nad młodzieńczym temperamentem.

Wzrok Stanisława ominął broń i spoczął na pozostawionym dokumencie. Obok pistoletu leżała kartka zapisana maszynową czcionką.

Wolno wstał i wziął do ręki papier. Struchlał, przebiegając po nim wzrokiem. „Armia Krajowa to organizacja faszystowska i antypolska”

— głosiło oświadczenie, które miał podpisać. „Będąca na usługach imperialistycznych kapitalistów, którzy sterują nią z Londynu”. Odrzucił kartkę, która spłynęła z wolna w dół i upadła na blat stołu, zakrywając pistolet. Pozbył się dokumentu, ale za nic nie mógł odgonić gonitwy myśli. Według planu komunistów miał tym oświadczeniem potępić dowódców AK i wezwać wszystkich żołnierzy armii podziemnej do wyjścia z konspiracji i zdania się na łaskę lub niełaskę „władzy ludowej”. Równocześnie miał dopomóc służbom bezpieczeństwa w doprowadzeniu do ujawnienia się dowództwa łódzkiego Okręgu AK i zostać tym samym bezterminowym konfidentem komunistów.



Plan sytuacyjny miejsca zakopania broni przez oddział „Burzy”
 (Instytut Pamięi Narodowej)

Nie zamierzał zostać sprzedawczykiem swych przyjaciół z konspiracji i dlatego, kiedy do pokoju powrócili jego rozmówcy, postanowił grać na zwłokę. Zauważył jeszcze, że komunistyczni oficerowie rozczarowani popatrzyli na nieruszoną broń i brak podpisu na dokumencie.

— Ja jestem synem chłopca, jestem prostym żołnierzem i nie znam się na polityce. Nie znam nawet założeń tego waszego komunizmu.

W oddziale polityczne spory prowadziły jedynie do kłótni i swarów.

Dlatego zabraniałem dyskusji o tych sprawach.

— Wy wiecie, obywatelu Karliński, że dawna Polska, ta przedwojenna, odeszła w niebyt. Już kapitaliści nie będą wykorzystywać chłopów i robotników. Te wszystkie fabryki i majątki będą teraz własnością prostych ludzi. Teraz ludzie tacy jak wy — zdolni synowie chłopów, mają rządzić Polską.

— Ja chcę pracować. Mam żonę i dwóch synków. Muszę ich utrzymać.

— Bądźcie spokojni. Będziecie pracować. Jeśli zechcecie, zostaniecie zawodowym żołnierzem oficerem. Rosjanie pomagają nam, lecz kiedy urządzi się administrację i skończy z bandami, oni wrócą do siebie. Z dala będą nas wspierać w rozwoju gospodarczym. Wtedy będą potrzebni młodzi, oddani sprawie ludzie, właśnie tacy jak wy - snuł wizje przyszłości jeden z oficerów w polskim mundurze.

— Od wielu miesięcy nie mam żadnych kontaktów z przełożonymi z Okręgu AK — powtórzył „Burza”. — Ale dajcie mi czas. Pochodzę, popytam i może za kilka dni będę mógł wam pomóc. I wtedy podpiszę to wszystko. — Polak postanowił udawać naiwnego.

Wstał i zrobił kilka kroków do wyjścia. Ale wtedy jeden z Sowietów zastąpił mu drogę. „Burza” odważnie spojrzał w twarz tamtemu i wypalił:

— Gdzie mam przekazywać informacje o odnowionych kontaktach z AK?

— W miejscowej wojskowej komendzie — rzucił któryś od stolika, a Sowiet zszedł mężczyźnie z drogi i szeroko otworzył przed nim drzwi.



Stanisław Karliński urodził się 30 marca 1921 roku we wsi Dąbrowa, w gminie Ręczno. Jego ojciec Józef był legionistą i brał udział w wojnie bolszewickiej. Matką była Antonina z domu Żak. Stanisław uczył się w szkole powszechnej w Ręcznie i od najmłodszych lat marzył, by zostać zawodowym wojskowym. To marzenie częściowo spełniło się w 1937 roku, kiedy szesnastoletniego Stasia przyjęto do Szkoły Podoficerów Piechoty dla Małoletnich w Śremie. W przededniu wojny Stanisław Karliński ukończył szkołę i dostał przydział do 52 Pułku Piechoty stacjonującego w Złoczowie. We wrześniu 1939 roku walczył ze swym oddziałem w obronie Lwowa jako dowódca plutonu. Po ustaniu walk dostał się do sowieckiej niewoli, z której uciekł i przedostał się w rodzinne strony. W tym miejscu już od października tego samego roku włączył się w działalność konspiracyjną Służby Zwycięstwu Polski (SZP), a następnie ZWZ-AK w strukturze Obwodu Piotrków Trybunalski. Początkowo używał konspiracyjnych pseudonimów „Kruk” i „Onufry”, a swoją podziemną działalność kamuflował pracą inspektora pszczelarstwa. W pierwszych latach okupacji ukończył podziemne kursy wojskowe i dywersyjne. W ramach przeprowadzonych akcji miejscowego Kedywu brał udział w likwidacji zdrajców i konfidentów, w zdobywaniu broni oraz w odbieraniu lotniczych zrzutów. Od listopada 1943 roku już jako porucznik dowodził Oddziałem Partyzanckim „Burza”, od nazwy którego zapożyczył swój

następny i ostateczny pseudonim. Jego oddział stoczył kilkadziesiąt walk i potyczek z Niemcami. W lipcu 1944 roku, w ramach operacji „Burza”, grupa Karlińskiego dołączyła do struktur 25 pp AK.



Stanisław Karliński, 1938 r.

(Instytut Pamięci Narodowej)

We wrześniu 1944 roku oddział „Burzy” stoczył swoją największą walkę z Niemcami — pod Stefanowem. Porucznik Karliński, dowodząc cekaemami, a potem prowadząc kontratak, skutecznie przyczynił się do polskiego zwycięstwa. Za tę akcję

otrzymał później Order Virtuti Militari.

Kiedy Sowieci pogonili Niemców i przez rejon Piotrkowa przetoczył się front, niemal każdy partyzant z nadzieją patrzył w przyszłość. Podobnie myślał „Burza”, który ze swoim przyjacielem Józefem Łubnickim „Wojną” zamierzał wstąpić do „ludowego”

Wojska Polskiego, by w dalszym ciągu bić Niemca. Ale szybko na głowy niepoprawnych optymistów spadł zimny prysznic. Na początku jeden z ludowych aktywistów, którzy od razu zaczęli usilnie współpracować z nową władzą, próbował namówić „Burzę”, aby ten poświadczył, że jego partyzanckie akcje odbywały się z in spiracji Batalionów Chłopskich, a nie AK, i że sam Karliński jest ludowcem. Oczywiście „Burza” odmówił, jednocześnie przypominając sobie, że już kilka miesięcy wcześniej proponowano mu wstąpienie do AL, aby ramię zbrojne komunistycznej partii ogrzać w nie swojej chwale.

Lutową defiladę kilku oddziałów armii Berlinga na ulicach Piotrkowa odbierali miejscowi z Polskiej Partii Robotniczej (PPR) oraz jacyś obcy komunistyczni działacze, przywiezieni zapewne „w teczkach” ze Wschodu. Prawdziwych bohaterów walk kłuły w oczy propagandowe plakaty, które masowo pojawiały się na ulicach miasta: „AK — zapluty karzeł reakcji”.

Pomimo tego Stanisław Karliński w dalszym ciągu skłonny był ułożyć sobie jakoś stosunki z nowymi władzami i wstąpić do armii.

Kiedy jednak udał się na komisję wojskową, która przypadkowo znajdowała się w tym samym budynku co siedziba PPR, przy alei 3 Maja, został podstępnie zatrzymany. Był już w środku, gdy nagle obstąpiło go pięciu ludzi z pistoletami. Mówili po rosyjsku, ale mieli na sobie dziwaczne cywilne ubrania, jakby dobrane zupełnie z przypadku.

Żadna z części garderoby nie pasowała do pozostałych, co sprawiało, że przebierańcy wyglądali wręcz komicznie. Ci enkawudziści (bo byli to zapewne ludzie z NKWD) zawieźli „Burzę” do starostwa powiatowego, gdzie znajomy ludowiec, widząc go w otoczeniu Sowietów, żartował, że już sam sobie załatwi przydział do wojska. Następnie przetransportowano go do wojskowej komendy miasta przy ulicy Sienkiewicza 10. To tam dano mu piętnaście minut do namysłu nad podpisaniem podsunętego dokumentu i pistolet.

Stanisław Karliński po wyjściu z budynku komendy wojskowej często oglądał się za siebie i bardzo długo kluczył po ulicach i zaułkach Piotrkowa. Nie wrócił już do domu. „Burza” nie zamierzał być konfidentem komunistów. Od tego dnia ukrywał się i nocował najczęściej w okolicznych leśniczówkach oraz u znajomych gospodarzy. Dołączali do niego inni żołnierze AK zagrożeni aresztowaniami.

Wkrótce miał pod swoją komendą kilkudziesięciu ludzi z okolicznych powiatów oraz grupę „Doliniaków”, czyli partyzantów z Nowogródziny, którzy przez pół Polski szli do Puszczy Kampinoskiej, a po rozbiciu zgrupowania pod Jaktorowem dołączyli do 25 pp AK. Do oddziału przychodzili też inni ochotnicy, w tym dezercerzy z

„ludowego” WP. Mając pod sobą coraz więcej żołnierzy, „Burza” zorganizował antykomunistyczną konspirację pod nazwą Ruch Samoobrony Armii Krajowej i Narodu oraz zmienił swój pseudonim na „Miecz”.

W praktyce jednak między żołnierzami wypędzonymi przez system do lasu w dalszym ciągu funkcjonowała dawna nazwa oddziału partyzanckiego — „Burza”, i stary pseudonim dowódcy.

Komuniści, nie mogąc znaleźć ani samego Karlińskiego, ani jego oddziału, wpadli na szatański pomysł. W dniu 2 maja 1945 roku grupa UB pod dowództwem oficera sowieckiego napadła na bezbronną rodzinę „Burzy” w Łękach Królewskich. Z daleka mężczyzna widział płonące zabudowania rodzinnego domu i modlił się w duszy o ocalenie najbliższych. Noc i dzień bił się z myślami, co dalej robić.

Raz gotów był iść z ludźmi na Piotrków i zastrzelić wszystkich „czerwonych” napotkanych po drodze. Innym razem zamierzał samotnie poddać się na najbliższym posterunku MO i złożyć broń, licząc na dobrą wolę komunistów. Minęły dwie doby niepewności, kiedy „Burzę” odnalazł jego teść, celowo wypuszczony na wolność.

— Staszek, oni żyją! — krzyczał od progu. - Twoja żona Władysława i synkowie, wszyscy żyją! Ubecy obrabowali obejście, a potem podpalili dom, ale wszyscy są cali i zdrowi.

Stanisław nie krył wzruszenia, słysząc kojące słowa. Ale po chwili usłyszał od teścia coś jeszcze.

— Niestety pozostają na łasce „czerwonych”. Mnie wypuścili i kazali, żebym przekazał wiadomość dla ciebie. Jeżeli przyjdiesz ze swoim oddziałem do najbliższego UB, oddasz się w ich ręce i zdasz całą broń, to ocalisz swoją żonę i dzieci. To jest ich cena. Życie za życie.

„Burza” przez dłuższy moment zastanawiał się nad tymi słowami, układając w głowie plan działania na najbliższe dni. A później odpowiedział:

— Znam lepsze sposoby niż poddawanie się woli nieprzyjaciół.

Żeby ich zaskoczyć, należy robić coś zupełnie przeciwnego niż to, czego mogą się spodziewać. Tak walczyłem z Niemcami i tak będę postępował z nowym wrogiem, który w barbarzyński sposób zaślania się kobietami i dziećmi.

Miesiąc później na teren dawnych wojskowych koszar w Piotrkowie, w których teraz urządzono obóz dla Polaków, *rolksdeuschów* i Niemców, wjechały dwie ciężarówki. Z samochodów wyskoczyli żołnierze „Burzy” i prowadzeni przez Tadeusza Nowaka „Brzozę” rozbroili zaskoczonych strażników, nakazując ciszę i spokój. Miotającego się i gardłującego naczelnika obozu uciszono dwoma celnymi uderzeniami w twarz. Bez dalszych przeszkód uwolniono z obozu kilkanaście kobiet z dziećmi, w tym żonę „Burzy” i jego synów. Zawieziono wszystkich na meliny, a do najsłabszych wezwano lekarzy.

Minęło kilka kolejnych dni. Oddział „Burzy” rozrósł się do stanu ponad stu żołnierzy. Tymczasem przez obszar piotrkowski przejeżdżały kolumny sowieckich

żołnierzy powracających spod Berlina.

Cieżarówki ugięły się pod ciężarem zrabowanego na Zachodzie dobra. Poganiacze w mundurach pędzili setki i tysiące niemieckiego bydła. Był czerwiec, gdy do Stanisława Karlińskiego dotarła wiadomość, że w terenie wypytuje o niego i szuka pilnego kontaktu mało komu znany podporucznik „Robotnik”. Stanisław Wiewióra „Robotnik” (inne pseudonimy to „Górnik”, „Giermek”, „Wrzos”) działał z polecenia kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”, który wszystkie oddziały leśne stacjonujące w okolicy chciał podporządkować swemu Konspiracyjnemu Wojsku Polskiemu. „Robotnik” był już nawet wyznaczony do objęcia dowództwa nad grupą „Burzy”. Na takie warunki nikt oczywiście nie mógł się zgodzić. Ale aby bez potrzeby nie zadrażniać stosunków z „Warszycem”, do czasu wyjaśnienia sytuacji „Burza” mianował „Robotnika” swoim zastępcą. Tak naprawdę myślał wtedy o demobilizacji żołnierzy i przygotowywał się do rozpuszczenia ludzi. Dokładnie na 10 lipca „Burza” planował rozwiązanie swego oddziału. Miał już nawet dla swoich partyzantów przygotowane fałszywe dokumenty, „skierowania” na Ziemię Odzyskaną.

Na początku lipca 1945 roku sowieccy żołnierze patrolujący okolicę zmusili oddział „Burzy” do zmiany miejsca zakwaterowania. Polacy przeprowadzili się przez Pilicę i schronili w lasach niedaleko Majkowic. Teren sprzyjał partyzanckiemu obozowaniu, w lesie były poniemieckie ziemianki i linie okopów. A gęsto rosnące drzewa skutecznie osłaniały partyzantów przed wzrokiem konfidentów i coraz liczniejszych sowieckich patroli. Na rozkaz por. „Burzy” wzmocniono ubezpieczenia od strony zachodniej, od wiosek Majkowice, Ręczno i Ignaców. W tym rejonie usadowił się pluton pchor. „Kiera”

Jana Balickiego. Równocześnie z prawej strony Pilicy do rzeki podciągnął batalion „Morskiego” Romana Niewójta i „Żbika” Władysława Kołacińskiego. Partyzanci ci niepostrzeżenie dla sowieckich patroli zaszyli się w nadrzecznych lasach pod Skotnikami.



Kiedy Stanisław Karliński zniknął z oczu komunistów, a potem odbił z obozu przetrzymywaną jako zakładniczkę swoją żonę i dzieci, stał się jednym z najbardziej poszukiwanych „bandytów” w rejonie Piotrkowa. Początkowo akcje przeprowadzane przeciw niemu przez grupy I<BW nie prowadziły do niczego. Nawet jeśli żołnierze nawiązali kontakt z partyzantami, zazwyczaj kończyło się jedynie na rozmowie i rozbrojeniu komunistycznych oddziałów. Ugodowo, bez jednego strzału, rozchodzili się każdy w swoją stronę. Funkcjonariusze UB nie mieli sposobu na „Burzę” i jego ludzi. Z pomocą przyszli dopiero Rosjanie z NKWD. Sam dowódca 64 Dywizji NKWD gen. Paweł Browkin wyznaczył grupę bojową do akcji na polskie zgrupowanie. Liczyła ona dwustu dwudziestu pięciu żołnierzy z 18 Pułku, których zaraz na początku podzielono na dwie grupy: stu żołnierzy prowadził mjr Kogaczewski, natomiast stu dwudziestoma pięcioma ludźmi dowodził kpt. Rybaków. Obie grupy przeczesywały teren, maszerując

od strony Sulejowa i kierując się na południe. Jedna szła lewym brzegiem Pilicy, a druga prawą stroną rzeki. Siły te wzmocniono dodatkowo czterema transporterami opancerzonymi, a w terenie krążyły liczne sowieckie patrole w samochodach i na motocyklach.

W godzinach popołudniowych jedna z przednich komunistycznych grup natknęła się na polskie czujki należące do plutonu „Kiera”.

Wywiązała się krótka strzelanina, ale Sowieci do końca nie byli przekonani, kogo mają przed sobą i do kogo strzelają. Dlatego zdecydowano się na rozmowy. Ze strony sowieckiej zamachano białymi chustkami i do negocjacji wyszli dwaj lejtnanci chronieni przez erkaemistę. Po polskiej stronie w plutonie „Kiera” przebywał wówczas ppor. „Robotnik”, który samowolnie, bez zgody swego dowódcy, dołączył do grupy z pierwszym doborowym plutonem partyzanckiego oddziału. I to właśnie Stanisław Wiewióra rozmawiał z Sowiecami.

Obaj radzieccy oficerowie przedstawili swój oddział nie jako wojska wewnętrzne NKWD, lecz jako frontowe jednostki Armii Czerwonej wracające z wojny. „Robotnik” mówił zaś, że Polacy to grupa bojowa „ludowego” Wojska Polskiego poszukująca w pobliżu „bandytów”. Obie strony kłamały w żywe oczy, a co więcej - miały tego pełną świadomość.



Komunistyczni żołnierze polscy i radzieccy maszerują w czasie pogrzebu ofiar walk z podziemiem niepodległościowym. Zdjęcie pochodzi z albumu „Z historii walk funkcjonariuszy UB, MO i KBW z wrogim podziemiem”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Ale naprawdę niewiele brakowało, by obeszło się bez walki. Kiedy jednak Polacy

obstąpili radziecką sanitariuszkę, która udzielała pomocy postrzelonemu wcześniej Sowietowi, jeden z enkawudzistów nie wytrzymał i posłał długą serię w środek tego zgromadzenia. Na szczęście kule poszły nad głowami, ale rozmowy zostały zerwane. W odpowiedzi Polacy zastrzelili jednego z sowieckich lejtnantów. Obie strony rozbiegły się na swoje stanowiska. Coraz głośniej rozbrzmiewała palba wystrzałów. Idąc za hukami karabinów, do radzieckiej grupy dotarł cały oddział Rybakowa. Ale Sowieci nie atakowali. Cofnęli się nawet nieznacznie i spokojnie czekali na ruch polskich partyzantów. Zajęli dogodne stanowiska, skryci w gąszczu przydrożnych krzaków, i przygotowali broń. Ich dowódca wezwał przez radiostację na pomoc oddział Rogaczewskiego stacjonującego po drugiej stronie rzeki.

Czekali cierpliwie na „bandytów”.



Stanisław Karliński chciał uniknąć walki. Wiedział, że Sowieci mają przewagę i mogą w każdej chwili liczyć na posiłki wyposażone w broń pancerną oraz na lotnictwo. Dlatego przestrzegał swoich żołnierzy przed przyjęciem walki i użyciem broni. Uważał, że lepiej w ukryciu przeczekać tę obławę i jeśli już strzelać, to wyłącznie w obronie własnej, w ostateczności. Ale kiedy w oddziale usłyszano strzały dochodzące od zachodu, gdzie stróżował pododdział „Kiera”, bez zgody dowódcy Stanisław Wiewióra „Robotnik” poprowadził w tym kierunku jeden z plutonów.

Kiedy „Burza” dowiedział się o samowoli swojego zastępcy, natychmiast pchnął za nim łącznika, Konrada Leśniewskiego „Orlika”, aby cofnąć pluton. „Orlik” ruszył biegiem i dotarł do swoich już po zerwanych negocjacjach i kolejnej strzelaninie. Widział przed sobą maszerujących partyzantów. To „Robotnik” prowadził oddział do przodu.

Polacy upojeni wycofywaniem się enkawudzistów nie przeczuwali podstępów. Ale „Orlik” dostrzegł coś niepokojącego. Polski oddział bez ubezpieczeń wchodził w niewielką kotlinkę otoczoną z dwóch stron gęstymi krzakami i drzewami. W tych gąszczach zauważył też błyski światła — to pewnie promienie słońca odbijały się w szklach wojskowej lornetki. Zdażył tylko wrzasnąć za odchodzącymi:

— Zasadzka! Uciekać!

Ale było za późno. Z obu stron drogi rozjazgotały się sowieckie karabiny i pistolety maszynowe. Nieprzyjacielski ogień był tak gwałtowny i celny, że nie dawał żadnych szans polskim żołnierzom. Zaraz po pierwszych strzałach padł „Robotnik” i kilku partyzantów. Reszta przywarła na ziemi i próbowała odpowiadać rzadkim ogniem. Niektórzy, ci z ostatnich szeregów, czołgali się powoli do tyłu. Ale nawet dla nich nie było ratunku. Partyzanci po kolei nieruchomieli trafieni celnymi kulami, martwi lub ciężko ranni. Po kilku minutach walki cały pierwszy pluton padł w ogniu zasadzki. Zginęło wtedy szesnastu polskich żołnierzy.

Widząc tę masakrę, „Orlik” nie zwlekał dłużej. Zrobił w tył zwrot i biegiem popędził do dowódcy. Goniły za nim sowieckie kule, ale na szczęście chybiły celu.

Tylko on jeden ocalał, ale równocześnie pokazał Rosjanom drogę do reszty oddziału. Tuż za nim pobiegli zwiadowcy, a pozostali enkawudziści obchodzili jeszcze pole bitwy i dobijali rannych. Na miejsce dojechały również sowieckie transportery i ciężarówki, które dowiozły zapasy amunicji. W tym samym czasie wezwana przez radiostację druga grupa NKWD znalazła dogodny bród i przepравиła się przez Pilicę, dołączając do reszty.

Pozostało jeszcze kilka godzin do zmroku i końca dnia, a Sowieci mieli już do dyspozycji wszystkie siły skoncentrowane pod Majkowicami. Mogli rzucić do walki dwustu dwudziestu pięciu żołnierzy i cztery transportery. Mieli ponad dwukrotną przewagę liczebną i optymistycznie oceniali wynik bitwy.



Po zagładzie pierwszego plutonu Polacy zajęli stanowiska na niewielkim wzgórzu, blisko skraju lasu. Była tam linia starych, ale solidnie wykonanych niemieckich okopów, którą teraz z powodzeniem wykorzystali partyzanci. „Burza” rozstawił swoich żołnierzy plutonami, a na tyłach rozkazał przygotować do walki jedyny polski granatnik. Aby dodać animuszu i odwagi swoim żołnierzom, obchodził linię obrony i próbował zagrzewać do wytrwałości w obronie.

— Byle wytrzymać do zmroku - powtarzał swoim chłopcom.

W dole, w oddali kłębiło się mrowie sowieckich żołnierzy. Byli jak szarańcza. Dało się dostrzec, że szykują się do natarcia i ustawiają długie linie tyraliery. W świetle słońca błyskały ich hełmy i długie bagnety. Transportery opancerzone zajęły stanowiska na skrzydłach przyszłego natarcia, ale ukształtowanie terenu w tym miejscu gwarantowało, że w żaden sposób nie zdołają dojechać do stanowisk Polaków. Będą mogły co najwyżej wspomagać natarcie ogniem swych cekaemów. Z daleka zagrzmiały gwizdki sowieckich dowódców i długa, podwójna linia enkawudzistów ruszyła do przodu.

— Strzelać celnie i oszczędzać amunicję - mówił „Burza”, widząc, jak Sowieci wolno zbliżają się do polskich stanowisk obrony.

— Panie komendancie — odezwał się nagle sierż. „Jerzy” Tomaszewski. — W tych okopach to chyba nasza mogiła będzie.

— A ja myślę — powiedział cicho pchor. „Poręba” Jerzy Gomuliński - że to raczej polskie Termopile...

— Nawet nie próbujcie tak myśleć! — ofuknął ich dowódca. — Doczekamy zmroku i wyprowadzę nas z tej opresji. Obiecuję.

Jednocześnie, widząc ogromną przewagę Sowieców, ponownie przeszedł linie okopów, rzucając każdemu słowo otuchy i nadziei. Bał się, by młodzi partyzanci, którzy nie wachali jeszcze prochu, nie rzucili się do ucieczki po pierwszych strzałach, co mogło spowodować panikę całego oddziału. Kiedy wrócił ponownie na centralną pozycję linii obrony, zaczęły strzelać wszystkie cztery cekaemy z transporterów. Partyzanci przywarli do ziemi, chowając głowy za nasyp okopu.

Ostrzał był bardzo gwałtowny, ale Sowieci, nie wiedząc czemu, przynosili ogień wysoko ponad okopami. Na partyzantów „Burzy” leciały z wysokości kilku metrów strącone kulami małe gałązki, liście i szyszki.



*Oddział Stanisława Karlińskiego „Burzy”
(Instytut Pamięi Narodowej)*

Naturalnie takie „bombardowanie” nikomu nie zrobiło najmniejszej krzywdy. Po tym długim, ale niecelnym przygotowaniu ogniowym do bezpośredniego ataku ruszyli wreszcie żołnierze NKWD. Wyglądali jak pijani. Nie dość, że potykali się, biegnąc pod niewielką górką, to jeszcze bezmyślnie, natychmiast po zerwaniu zawleczonej, rzucali przed siebie granaty. Pociski toczyły się z powrotem po stromiźnie i wybuchały im pod nogami, raniąc swoich i dezorganizując natarcie.

Pierwszy kontakt bojowy nastąpił na polskim prawym skrzydle.

Obronę trzymali tam pchor. „Krzemień” Roman Bielecki i pchor. „Brzoza” Tadeusz Nowak, którzy poczekali na zbliżenie się Sowieców i dali rozkaz otwarcia ognia. Celne strzały wstrzymały natarcie żołnierzy oddziału z grupy Rogaczewskiego, którzy do ataku poszli mokrzy od pasa w dół, prosto z przeprawy. Zaraz na początku walki padło ich kilku zabitych i rannych. A towarzysze kryli się za ciałami poległych i przez tubę nawoływali Polaków do poddania się. Kiedy na takie wezwanie odpowiedzią były tylko strzały, sowieccy oficerowie zakrzyknęli na swoich podkomendnych:

— *Wpieriod! Kezać Polaczków!*

I zagrzewali do dalszego szturmu.



Mijały kolejne godziny upalnego popołudnia. Partyzancka broń od ciągłych strzałów aż parzyła ręce, a dym prochowy nie pozwalał swobodnie oddychać. Teren

okopów pokrywały liczne zielone liście i gałązki sosnowe zestrzelone przez niecelny nieprzyjacielski ogień.

Natomiast na przedpolu widać było wiele ciał zabitych bądź rannych Sowieców. Partyzanci z niepokojem patrzyli na ostatnie naboje w magazynkach, a gońcy na rozkaz dowódców przynosili z wozów taborowych resztki rezerw amunicji. Na szczęście słoneczna tarcza powoli chyliła się ku zachodniemu horyzontowi, a nadciągający zmrok dawał nadzieję na wyrwanie się z kotła.

Z trudem odparto co najmniej siedem frontalnych sowieckich ataków. Gdy się zmierzchało, Rosjanie, skryci w mroku, próbowali podczołgiwać się do polskich stanowisk na odległość kilkudziesięciu metrów. Na przemian strzelali i nawoływali do poddania się. W stronę jednej z takich grup pokrzykujących przez tubę „Burza” skierował ogień granatnika. Nie było tego wiele - kilka ostatnich pocisków poleciało w kierunku nieprzyjaciela. Ale skutek ostrzału okazał się nieprawdopodobny. Sowieców ogarnęła panika i bezładnie rzucili się do ucieczki. Prawdopodobnie odłamki wybuchów trafiły dowódcę tego odcinka i dlatego pozostali żołnierze wycofali się w popłochu.



Zdjęcie przedstawiające partyzantów podziemia niepodległościowego z komunistycznymi jeńcami

(Instytut Pamięci Narodowej)

„Burza” postanowił wykorzystać ten moment. Ściemniało się już na dobre i należało działać. W pobliżu paliła się wysokim płomieniem najbliższa zagroda. Pod osłoną tego ognia i dymu Karliński zamierzał wycofać swoich ludzi. Ale zanim przeszedł do działania, wystrzelił w niebo trzy rakiety. Był to sygnał dla batalionu „Morskiego” i „Żbika”, znajdującego się po drugiej stronie Pilicy. Nie przyszedł on co prawda z pomocą, ale teraz zaczął ostrzeliwać sowieckie pozycje, co dodatkowo zdeprymowało enkawudzistów. Sądziło, że na ratunek polskim „bandytom” nadciąga

odsiecz.

„Burza” skrzyknął swoich ludzi i zakomenderował tak głośno, by Sowieci słyszeli:
— Bagnet na broń! Do ataku! Hurrra!!!

Oczywiście był to podwójny blef. Po pierwsze partyzanci prawie w ogóle nie posiadali bagnetów, jako zupełnie bezużytecznej broni w związku z tym, że używali w większości automatów i karabinów maszynowych. Po drugie skierowali się teraz w inną stronę — na północne rozlewiska nad rzeką. I tak, klucząc pośród mokradeł, główne siły oddziału „Burzy” wyszły z okrażeń i odmaszerowały pod osłoną nocy na północ, w stronę lasów lubieńskich. Tam, w leśnych ostępach partyzanci mieli znakomicie zamaskowany podziemny bunkier, w którym teraz schronili się przed pościgiem.

W okopach pod Majkowicami został jedynie pluton „Brzozy”, który teraz osłaniał odwrót całej reszty. Ale Tadeusz Nowak pochodził z tych stron i znakomicie znał teren. Po godzinie pozorowania walki on również wymknął się niepostrzeżenie i inną, określną drogą dołączył po dwóch dniach do reszty oddziału.

Zdezorientowani Rosjanie nie byli w stanie podjąć działań pościgowych przez całą noc, ciągle profilaktycznie ostrzeliwując las i linię okopów. Dopiero z nastaniem świtu ruszyła wreszcie spóźniona pogoń. Polskich „bandytów” szukano przez kilka najbliższych dni, ale ci jakby zapadli się pod ziemię.



Według polskich wyliczeń w bitwie pod Majkowicami zginęło dziewiętnastu partyzantów, kilku zostało rannych. Ponadto zaginęła czwórka dezertersów z „ludowego” Wojska Polskiego, którzy niedawno dołączyli do oddziału „Burzy”. Stanisław Karliński zmuszony był porzucić swoje wozy taborowe, ponieważ w ogniu walki padły wszystkie konie oddziału. Na unieruchomionych czterech furmankach zostawiono również część zaopatrzenia.



Bitwa pod Majkowicami 8 lipca 1945 r.

- | | |
|---|--|
| 1 Stanowiska osłonowe plutonu „Kiera”. | 5 Sowiecka grupa Kogaczewskiego. |
| 2 Przewidywalne miejsce zagłady pierwszego plutonu. | 6 Trasa wycofania się głównego oddziału „Burzy”. |
| 3 Stanowiska obronne oddziału „Burzy”. | 7 Odwrót grupy osłonowej „Brzozy”. |
| 4 Sowiecki oddział Rybakowa. | 8 Pozycje grup „Morskiego” i „Żbika”. |

Natomiast amunicję bądź wystrzelano w całości podczas bitwy, bądź zabrano ze sobą.

Podobno Rosjanie przez całą noc znosili z pola bitwy swoich zabitych i rannych. W związku z tym w okolicy narosły później plotki, że Armia Czerwona pod Majkowicami straciła ponad tysiąc żołnierzy, a w czasie walki zabity został generał dowodzący dywizją — Bohater Związku Radzieckiego. Według szacunków sporządzonych przez polską stronę (zapewne również przesadzonych) w starciu 8 lipca zginęło i zostało rannych od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu Sowieców. Sami Rosjanie przyznawali się jedynie do siedmiu poległych żołnierzy. Natomiast w swoich meldunkach polskie straty określali na czterdziestu trzech zabitych, dwudziestu rannych i sześciu zatrzymanych.

Dane te potwierdzają dokumenty polskiego UB dotyczące działań przeciwko oddziałowi „Burzy”, w których możemy przeczytać: „W początkach lipca przeprowadzona została większa pacyfikacja na terenie Diablej Góry z oddziałem wojsk Armii Czerwonej i pracowników UB, w wyniku której zostało zabitych 56 bandytów i kilkunastu rannych. Na bandytach zdobyto większą ilość broni, którą zabrało Wojsko Sowieckie”. Co interesujące, w tej notatce pierwotna data napisana

maszynową czcionką podawała miesiąc lipiec, ale później ktoś skreślił ten wyraz i odręcznie wpisał: „listopad”. Było to zapewne celowe działanie dezinformacyjne (podobnie jak podanie innego miejsca walki — Diabla Góra zamiast Majkowice), w celu zatuszowania kompromitującej porażki wojsk NKWD.

Najprawdopodobniej zginęły również dwie osoby cywilne, zastrzelone przez NKWD podczas poszukiwań prowadzonych następnego dnia po bitwie.



Jeszcze przez dwa tygodnie „Burza” ze swoimi ludźmi ukrywał się przed komunistycznymi obławami, korzystając z poakowskiej siatki konspiracyjnej. Ale dowódca zdecydowany był już zdemobilizować swój oddział. Nie widział sensu w prowadzeniu dalszej walki.

Nie chciał narażać życia swoich żołnierzy, a tym bardziej ludności cywilnej. Próba ocalenia przed więzieniami żołnierzy AK i skupienia ich w leśnym oddziale nie powiodła się. Pomimo unikania walki i tak miały miejsce ciągłe komunistyczne obławy, zakończone ostatnią ciężką i okupioną znacznymi stratami bitwą z NKWD.

Dlatego właśnie 18 lipca Stanisław Karliński wysłał list do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Piotrkowie, w którym informował o rozwiązaniu oddziału. „Zgłosiłem swą chęć do świeżo organizowanej Armii Polskiej - pisał. - Niestety moje starania spełzły na niczym. UB poczyniło kroki w celu aresztowania mnie.

Uwięziono mi rodzinę wraz z małymi dziećmi: jednym ośmiomiesięcznym, drugim dwuletnim synem, oraz spalono mi dom rodzinny, zabrano mienie. Ze względów bezpieczeństwa zagrożonych podobnym losem moich ludzi, którzy nie mieli innego wyjścia, wybrałem zamiast krat więziennych — las”. W dalszej części tekstu „Burza” wyraził nadzieję, że pomimo różnic wszyscy Polacy wezmą udział w odbudowie naszego kraju, również żołnierze AK wypuszczeni z więzień. „Rozwiązuję oddział — broń otrzymacie, gdy ustaną aresztowania i gdy więźniowie zaczną opuszczać więzienne cele” — kończył.

Większość zdemobilizowanych partyzantów z oddziału „Burzy” wyjechała na Ziemię Odzyskane z fałszywymi dokumentami.

Sam Karliński pod tymczasowym nazwiskiem, jako Władysław Sobierajski, wyruszył wraz z żoną i dziećmi do miasteczka Trzcianka w Wielkopolsce.

F-27.11.1962

5

Krajowa

Biuro do
fotografii

T e s t i o n a r i u s z

osoby zaangażowanej w sprawę operac. ch. [illegible]

nr rej. sprawy 89 [illegible]

1. Nazwisko i imię Karliniak Stanisław
2. Data i miejsce urodzenia 19.3.1914 w [illegible] pow. Piotrków
3. Narodowość polak
4. Obywatelstwo polak
5. Przynależność partyjna komunistyczna
6. Pochodzenie społeczne robotnicze
7. Wykształcenie 1 klasa [illegible]
8. Miejsce pracy i stanowisko Pracownik [illegible]
9. Miejsce zamieszkania [illegible] pow. Piotrków - Tury
10. Eventualne obywatelstwo [illegible]
11. Stan rodzinny żonaty
12. Stan majątkowy prywatnie własny gospodarstwo rolne
13. Stosunek do służby wojskowej nie służył
14. Entuzjazm polityczny:
 - a/ przed 1956r. nie przyjmował
 - b/ podczas strajki nie [illegible]
15. Wskazanie [illegible]
 - a/ [illegible] 41-ka [illegible] która dotychczas [illegible]
 - b/ [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible]

Dokument SB o rozpracowywaniu Stanisława Karlińskiego w ramach sprawy ewidencyjno-obserwacyjnej pod kryptonimem „Burza” (Instytut Pamięci Narodowej)



*Trzej generałowie, od lewej: Stanisław Burza-Karliński, Aleksander Arkuszyński „Maj”
i Kapimierz Załęski „Bończa”, w otoczeniu poproszonych gości i mieszkańców Stefanowa,
24 sierpnia 2008 r.*

(zbiory rodziny Arkuszyńskich)

Na nowym terenie wraz z grupą byłych akowców, między innymi Rudolfem Majewskim „Leśniakiem”, założył Związek Byłych Partyzantów „Warta”. Stowarzyszenie to w zamyśle organizatorów miało stać się legalnym kombatanckim związkiem połączonym politycznie z PSL Stanisława Mikołajczyka. Takie były założenia. Niestety plany to jedno, a ich realizacja to już zupełnie inna sprawa. Zanim PSL przegrało wybory w 1947 roku na skutek fałszerstwa, Stanisław Karliński został aresztowany. Miało to miejsce w listopadzie 1946 roku. Już kilka miesięcy wcześniej w ręce bezpieki wpadł „Brzoza”, którego odpowiednio przyciśnięto i zmuszono do mówienia.



General Stanisław Burza-Karliński przemawia podczas uroczystości jubileuszu 95 rocznicy urodzin gen. „Maja” i nadania Komandorii w Instytucie Pamięci Narodowej w Łodzi, 28 lutego 2013 r.

(zbiory rodziny Arkuszyńskich)

Przed Karlińskim aresztowano milicjanta z Trzcianki Mikołaja Kamyszewa, który choć współpracował z „Burzą”, był bardzo negatywnie do niego ustosunkowany, czemu dał wyraz w późniejszym śledztwie.

Po aresztowaniu Stanisław Karliński tłumaczył, że to nie on prowokował walki z polskimi komunistycznymi oddziałami, że jego grupa nie była żadną bandą terrorystyczno-rabunkową mającą na celu zbrojne obalenie panującego ustroju. Skupiając wokół siebie ludzi, chronił ich przed aresztowaniem i więzieniem, a akcję na obóz pracy w Piotrkowie przeprowadził wyłącznie w celu oswobodzenia uwięzionej tam swojej żony i dzieci. Może zastanawiać fakt, że pod czas przesłuchań, śledztwa i późniejszego procesu komuniści nie podjęli w ogóle tematu bitwy pod Majkowicami. Albo zupełnie nie kojarzyli „Burzy” z tą walką (co wydaje się nieprawdopodobne), albo sprawę starcia polskich partyzantów z NKWD postanowiono całkowicie wyciszyć, przemilczeć i uznać za niebyłą. I chociaż w trakcie procesu przypomniano również pozytywną działalność „Burzy” podczas niemieckiej okupacji, to i tak 2 czerwca 1947 roku skazano Stanisława Karlińskiego na podwójną karę śmierci. Na szczęście obowiązywała już amnestia i dlatego na tej samej rozprawie od ręki złagodzano jego wyrok do piętnastu lat więzienia. Być może takie potraktowanie „Burzy” było związane z jego współpracą z radzieckimi spadochroniarzami podczas wojny?

Stanisław Karliński karę więzienia odbywał w Poznaniu, we Wronkach i w

Sieradzu. Wspólnie z nim w celach zamykano tajnych agentów, aby ci wyciągnęli z niego jak najwięcej informacji. Interesowano się na przykład tym, gdzie „Burza” ukrył broń zdemobilizowanego oddziału. Agenci oceniali go jako więźnia koleżeńskiego, ale jednocześnie skrytego i ostrożnego w wypowiedziach na tematy polityczne.

Kiedy w listopadzie 1956 roku „Burza” odzyskał wolność i zamieszkał w Ręcznie, UB cały czas miało go na oku. Początkowo obserwację prowadzili milicjanci z miejscowego posterunku, a potem założono sprawę ewidencyjno-obserwacyjną pod kryptonimem „Burza”. Podczas tych ubeckich inwigilacji do stałej obserwacji wyznaczono trzech agentów, ale był czas, że na Karlińskiego donosiło kilkunastu tajnych współpracowników UB.

W 1957 roku Stanisław Karliński rozpoczął pracę w spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Ręcznie, gdzie awansował nawet na prezesa. Niestety cały czas nie ustawała nagonka komunistycznych służb, które preparowały różne nieprawdopodobne oskarżenia pod jego adresem. Nerwowa atmosfera i ciągłe ataki doprowadziły w końcu do tego, że ktoś podstępnie we wrześniu 1967 roku w nocy podpalił dom Karlińskiego. Na szczęście oprócz drobnych poparzeń nikomu nic się nie stało, ale budynek spłonął. „Burzę” zmuszono do wyjazdu.

Wraz z rodziną przeniósł się do Czapielska niedaleko Gdańska, gdzie prowadził gospodarstwo rolne i hodował drób. Cały czas utrzymywał kontakt z byłymi żołnierzami AK poprzez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) oraz inne nieformalne zrzeszenia. W 1980 roku przyjął zaproszenie kolegów i wyjechał do Kanady.

Wrócił do Polski w latach dziewięćdziesiątych i dopiero wtedy mógł włączyć się już oficjalnie w prace organizacji kombatanckich, między innymi zostając przewodniczącym Zarządu Okręgu Piotrków Trybunalski Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej (ŚZŻAK).

W tym czasie zmienił nazwisko na dwuczłonowe: Burza-Karliński, a w 2007 roku został awansowany przez Prezydenta RP do stopnia generała brygady. „Burza” spisał również swoje wojenne wspomnienia. Zatytułowane *W burty dziejowej* zostały już dwukrotnie wydane (pierwsze wydanie w 2005 roku, drugie w 2014).

Stanisław Burza-Karliński zmarł 12 kwietnia 2015 roku. Do końca swoich dni walczył o Polskę i o prawdę, demaskując byłych agentów bezpieki i oszustów w szeregach organizacji kombatanckich.

Bracia

Kielce, 4/5 sierpnia 1945 roku

P

rzeciągający się denerwujący dźwięk w słuchawce mógł sugerować, że jednak nikt nie odbierze tego telefonu. Dzwonki wydawały się coraz cichsze i krótsze, a przerwy między nimi trwały w nieskończoność. Odbierze czy nie odbierze? Nagle trzask i ze słuchawki dobiega krótkie, żołnierskie: — Słucham.

— Dobry wieczór. Tu „Szary” z Kielc.

— Witam. Tak, tak, poznaję. Czekałem na telefon od pana.

— Panie „Prezesie”, chcę robić Kielce.

— Ale jak? Co konkretnie chce pan „robić”?

— Budynki na ulicy Zamkowej planuję robić.

Zamiast odpowiedzi przez chwilę w słuchawce dało się słyszeć tylko jakieś pomruki i trzeszczenia. Rozmówca „Szarego” dłuższy moment zastanawiał się, co powiedzieć, przejęty usłyszaną wiadomością.

— Więzienie? — wyszeptał w końcu.

— Tak, panie pułkowniku. Chcę uwolnić współbraci z AK.

— A czy w ogóle istnieje realna możliwość ich odbicia?

— Według mojej oceny: tak.

— Dobrze. Ale rozumie pan - dodał mężczyzna nazwany pułkownikiem - że w zaistniałej sytuacji ja nie mogę dawać panu żadnych dyspozycji. Nie mogę brać odpowiedzialności za tę operację.

— Rozumiem. Będę działał na własną rękę.

— Dobrze. Pozostaje mi jedynie życzyć powodzenia w „robocie” na Zamkowej. Bez odbioru. Do widzenia panu, panie „Szary”.

— Do widzenia, panie „Prezesie”.

Antoni Heda odwiesił słuchawkę i ciężko westchnął. Spodziewał się, że komendant Rzepecki nie będzie chciał mieć do czynienia z planowaną operacją. W sytuacji politycznej lata 1945 roku było to nawet uzasadnione. W Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj w tym czasie bardziej myślano o akcji „rozładowywania lasów” i ujawniania się niż o walce z bronią w rękę. Ale z drugiej strony „Szary” i tak cieszył się z takiego obrotu rozmowy z komendantem DSZ. Dostał wolną rękę.

A więc dobrze, zrobi to po swojemu, jak czynił do tej pory. „Szary” obtarł spocone

czoło i lekko przycisnął dłońmi obolałe, palące skronie. Spojrzał w okno i zamyślił się. Ataki na więzienia i oswobodzenie współbraci to dla niego nie pierwszyna. Już za Niemca w brawurowych operacjach rozbijał areszty i uwalniał przetrzymywanych w nich Polaków. Tak było w sierpniu 1943 roku w Starachowicach, gdzie wolność odzyskało około osiemdziesięciu osób. I w czerwcu 1944 roku w Końskich, gdzie podczas akcji z niemieckiego aresztu uwolniono około siedemdziesięciu ludzi.



Kiedy w styczniu 1945 roku przeszedł front, po rozkazie gen. Okulickiego o rozwiązaniu AK Antoni Heda ujawnił się przed komunistycznymi strukturami. Pomimo tego po jakimś czasie ponownie zaczął konspirować w ROAK i DSZ, ale równocześnie próbował unormować swoje życie i w kwietniu ożenił się z Wacławą Kotlicką.

Nowe władze nie odpuszczały i prowadziły aresztowania byłych AKowców, nawet tych, którzy wcześniej dobrowolnie przyznali się do działalności w antyniemieckiej konspiracji. W tym czasie w ręce „czerwonych” wpadli oficerowie byłej Armii Krajowej, w tym również dowódca 2 Dywizji Piechoty Legionów (DP Leg.) AK ppłk Antoni Żółkiewski „Lin”. Na początku maja na celowniku UB znalazł się i „Szary”. Komuniści, idąc po jego śladach, aresztowali jego braci:



*Antoni Heda „Szary” z żoną Wacławą, jesień 1945 r.
(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)*

Stanisława, Jana i Stefana, oraz dwóch szwagrów: Jana Góralskiego i Stanisława Kiełbasę. Osadzili ich wszystkich w więzieniu w Kielcach.

Wszystko to było dla Antoniego bodźcem do działania. Rozpoczął dokładne przygotowanie akcji, aby zaplanować ją dokładnie w krótkim czasie i nic nie schrzanić. Na początek należało przeprowadzić szczegółowy wywiad w mieście, zorganizować odpowiednią liczbę uzbrojonych ludzi do bezpośrednich działań oraz znaleźć wystarczające fundusze. W pierwszym rzędzie zatroszczono się o środki finansowe,

które w brawurowej akcji zdobyto w jednym z warszawskich banków. „Szary”, dwaj jego konspiratorzy i łączniczka „Monika”, podając się za kontrolerów urządzeń alarmowych, dostali się na zaplecze banku. Kiedy dotarli do skarbcza, sterroryzowali dyrektora i pracowników, a do walizek wrzucili pliki banknotów, złote monety i kilka sztabek złota. Później bez problemów wyszli z budynku i odjechali przez nikogo niezatrzymywani. Zdobyta pokaźna suma pozwoliła na szybsze i skuteczniejsze przygotowanie akcji.

Pierwsza narada odbyła się w gajówce Pogorzele na początku lipca. Oprócz „Hedy” uczestniczyli w niej oficerowie z terenu: por.

Tadeusz Łęcki „Krogulec”, por. Zygmunt Bartkowski „Zygmunt” oraz ppor. Wacław Borowiec „Niegolewski”. Partyzanci zameldowali dowódcy, ilu żołnierzy posiadają w swych grupach oraz jaką bronią dysponują ich oddziały. W ocenie „Szarego” były to niewystarczające siły do przeprowadzenia śmiałej akcji w środku wielkiego miasta.

Dlatego nawiązał jeszcze kontakt z grupami leśnymi operującymi na terenie radomskim. Ich dowódcy: por. Stefan Bembiński „Harnaś” i por. Henryk Podkowiński „Ostrołot”, za zgodą przełożonych zdecydowali się uczestniczyć w operacji.

Na kolejnej odprawie, 20 lipca, partyzanci dowódcy meldowali kolejno „Szaremu” konkretną liczbę żołnierzy, którymi dysponowali.

Porucznik „Zygmunt” miał czterdziestu partyzantów, por. „Krogulec” około pięćdziesięciu, ppor. „Niegolewski” piętnastu, a por. Włodzimierz Dalewski „Szparag” mógł włączyć do akcji dziecięciu ludzi. Z terenu radomskiego por. „Harnaś” miał przyprowadzić około pięćdziesięciu żołnierzy, a por. „Ostrołot” około trzydziestu. I chociaż nie było to dużo, to po przeanalizowaniu problemu zdecydowano, że około dwustu ludzi powinno wystarczyć do przeprowadzenia operacji. Nie bez znaczenia była liczba i rodzaj uzbrojenia polskich partyzantów. Według oceny dowódców dysponowano łącznie trzema PIAT-ami, dwudziestoma karabinami maszynowymi, sto trzydziestoma pistoletami maszynowymi, pięćdziesięcioma karabinami i sporą liczbą granatów oraz materiałów wybuchowych.

Ostatnia koncentracja, tuż przed wyruszeniem na akcję, miała się odbyć 3 sierpnia 1945 roku w Lasach Dalejowskich, niedaleko leśniczówki Kruk.



To był dziwny dzień dla mieszkańców Szydłowca, niewielkiego miasteczka odległego o około pięćdziesiąt kilometrów od Kielc. Już koło południa w lasach okalających miejscowość słychać było niepokojące wybuchy. Niektórzy świadkowie widzieli ponoć grupki uzbrojonych mężczyzn kręcące się przy wylotach dróg z miasteczka. Inni, którzy nieopatrznie zagłębili się w las, opowiadali o biegających, krzyczących i strzelających w powietrze partyzantach.

Plotki te prędko dotarły do miejscowych służb porządkowych.

Ale milicjanci nie za bardzo kwapili się, by pójść ot tak sobie w las, naprzeciw uzbrojonym ludziom. Bali się wychodzić z budynku MO, który szybko przygotowali do

obrony, barykadując drzwi i osłaniając okna. Zamiast działać ofensywnie, skupili się na obronie i przeczekaniu. Zadzwonili też do Kielc z wiadomością, że bandyci szykują się do ataku na Szydłowiec. Relacjonowali, że z lasów dochodzą odgłosy walki, a mieszkańcy już widzieli w opłotkach uzbrojonych żołnierzy antykomunistycznego podziemia. Chaotyczną rozmowę skończyli prośbą o natychmiastowe wsparcie. W Kielcach znajdowały się siedziby i UB, i KBW, a nawet sowieckich jednostek wojskowych. Zaalarmowani komuniści natychmiast wysłali z miasta liczne zastępy wojska i milicji do przeczesywania szydłowieckich lasów i złapania niebezpiecznych bandytów.

Jedna grupa pojechała do Szydłowca, aby zabezpieczyć miasteczko przed ewentualnym napadem. Większa część oddelegowanych z Kielc żołnierzy ruszyła zaś na obławę do okolicznych lasów.

Kiedy komuniści dojechali na miejsce, dziwnym trafem umilkły detonacje i strzały.



Antoni Heda „Szary ” (po lewej) ze swoim zastępcą ppor. Antonim Kiepasem „Krzykiem ” (uwolnionym z niemieckiego więzienia w Starachowicach) oraz wiernym psem Keksem.

Zdjęcie z czasów okupacji niemieckiej

(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)

Zniknęli również partyzanci, którzy swoją obecnością niepokoiли mieszkańców i milicję. Pomimo tego przez resztę dnia i całą noc setki żołnierzy i milicjantów mozolnie przemierzały leśne gąszcza w poszukiwaniu partyzantów. Niektóre grupy zagłębiały się w kamieniołomy, szukając tam śladów ukrywających się „bandytów”. Inne na samochodach patrolowały drogi. Ale starania „czerwonych” szły w próżnię. Pod Szydłowcem panował już całkowity spokój.

Amerykański samochód terenowy Dodge z białym orzełkiem na drzwiczkach niespiesznie jechał w stronę Skarżyska Kamiennej. Na ostrzejszych zakrętach jeszcze bardziej zwalniał, jakby kierowca celowo chciał opóźnić dotarcie do celu. Czterej umundurowani i uzbrojeni funkcjonariusze WUBP w Kielcach rzeczywiście nie spieszyli się, by dotrzeć na miejsce przeznaczenia. Szczerze powiedziawszy, marzyli o tym, by dojechać do Szydłowca już po zakończeniu akcji. Wiedzieli, że przed nimi z Kielc wyjechało już wiele ciężarówek załadowanych wojskiem, i mieli nadzieję, że zanim ich pojazd tam dotrze, to KBW razem z milicją znajdą i rozbiją tropione bandy. Bo choć w mundurach i z bronią, to im wszystkim bardziej pasowała praca za biurkiem — przesłuchania, protokoły, śledztwa. W teren na łapanie zbrojnych grup niech sobie jeżdżą goje. Tak mawiał ich szef. Niech szeregowi wojacy psują buty i łapią odciski w długich marszach za leśnymi cieniami. Waław Góra, Zdzisław Ciach, Zygmunt Zyguła i Kazimierz Mikołajczyk byli stworzeni do wyższych celów. Tak im się przynajmniej wydawało. Ale cóż, rozkaz to rozkaz. Z tym się nie dyskutuje. Choć można wykonać polecenie na tyle opieszale, żeby uniknąć największego zamieszania. Przyjadą akurat na czas, by odnotować w protokołach znalezione ciała zabitych reakcjonistów i zainteresować się pojmanymi — gdzie ich przewieźć i którego pierwszego przesłuchać.

Kiedy byli jeszcze daleko przed Skarżyskiem, nie mówiąc już o Szydłowcu, nagle za zakrętem zauważyli na drodze wojskowy patrol zatrzymujący samochody. Co za czort? Do miejsca obławy pod Szydłowcem było przecież jeszcze ze dwadzieścia kilometrów. Gdy przed maską ich samochodu żołnierz z biało-czerwoną opaską na ramieniu zamachał lizakiem, posłusznie zjechali na pobocze i zatrzymali wóz. Nie zdążyli zapytać, o co chodzi, a już zauważyli swoją okropną pomyłkę. Za trzema żołnierzami ubranymi w nienagannie skrojone berlingowskie mundury — tymi, którzy zatrzymywali pojazdy - z lasu wyskoczyło z dziesięciu innych ludzi. Ci mieli na sobie brytyjskie *battledressy* i berety z orzełkami w koronie, a ich uzbrojenie stanowiła zbieranina pistoletów maszynowych najróżniejszych typów. I dopiero ten widok zmroził krew w żyłach funkcjonariuszy komunistycznych służb bezpieczeństwa. Zatrzymanych ubeków pod lufami zaprowadzono głębiej w las, gdzie zgromadzono już kilka samochodów i kilkudziesięciu innych pasażerów. Ale ludzie z UB to byli wyjątkowi jeńcy. Zawiązano im oczy i poprowadzono dalej krętymi ścieżkami, lawirując pośród drzew i skręcając raz w jedną, raz w drugą stronę.



Do leśnej ziemianki, widać w pośpiechu wykopanej i niedbale przykrytej gałęziami, wprowadzono czterech mężczyzn. Kapitan „Szary” wysłuchał raportu dowódcy patrolu - kim są zatrzymani, skąd się tu wzięli i dlaczego przyprawiono ich do samego dowódcy, zamiast przetrzymać tam, gdzie pozostałych kierowców i pasażerów rekwirowanych na drodze samochodów.

— Aha, UB ... — powiedział ni to do siebie, ni to do aresztantów Heda. — Skąd?

— Z Kielc.

— Dokąd jechaliście?

— Na obławę na bandy hałasujące pod Szydłowcem.

— Nie żadne bandy, tylko Wojsko Polskie - powiedział dobitnie „Szary” i spojrzał groźnie na ubeka. - A ta obława skąd miała wyruszyć? Jaka ilość wojska?

— Mieli cesać lasy od strony Skarżyska, w kierunku na północ.

Nie wiemy, ile wojska. Na pewno z Kielc wyjechało kilkadziesiąt samochodów, może ze czterdzieści, w tym połowa to ciężarówki.

Partyzancki dowódca długo milczał i chodził od jednej ziemnej ściany do drugiej. Widać było, że bije się z myślami. Czyżby rachował, ilu żołnierzy zmieści się w dwudziestu ciężarówkach i dwudziestu innych pojazdach?



Zdjęcie przedstawiające najprawdopodobniej koncentrację przed akcją na kieleckie więzienie.

Trzeci od lewej kpt. Antoni Heda „Szary”

(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)

— Słuchajcie, powiedzcie mi prawdę — rzekł w końcu nadzwyczaj łagodnym tonem. — Co dzieje się z moimi braćmi przetrzymywanymi w kieleckim więzieniu? Jeśli jeszcze się nie domyśliliście, to ja jestem „Szary” Antoni Heda. Moi bracia to Stanisław, Jan i Stefan. Wiecie może, gdzie są i czy jeszcze żyją?

Komuniści pospuszczali głowy, nie chcąc spojrzeć w oczy sławnemu jeszcze z niemieckich czasów polskiemu partyzantowi.

— Gadajcie! - niepotrzebnie wtrącił się nadgorliwy dowódca patrolu, który przyprowadził ubeków. Skarcony wzrokiem przez „Szarego” odstąpił do tyłu i już więcej nie zabierał głosu.

Dłuższy czas trwała cisza, w której słychać było tylko oddechy zdenerwowanych

ludzi. W końcu jeden przełamał się, zerknął na twarz kapitana i z jego oczu wyczytał błaganie.

— Nie wiem tego dokładnie... — zaczął. — Ostatnio nieczęsto pracujemy w więzieniu przy przesłuchaniach. Ale raczej... Wszyscy pana bracia nie żyją. Takie chodziły głosy w naszym urzędzie.

„Szary” gwałtownie odwrócił się tyłem, chowając twarz w ciemnym kącie ziemianki. Nie chciał, by inni zobaczyli jego słabość. Tkwił tak kilka minut, nie zwracając uwagi na przestępujących z nogi na nogę ubeków. Wreszcie stanął przed nim i już oficjalnie zadał następne pytanie:

— Czy UB w Kielcach wie coś na temat mojego oddziału i jego zamiarów?

— Nic nam o tym nie wiadomo. Podobnie jak reszta, jechaliśmy na akcję pod Szydłowiec, by tam szukać partyzantów.

— Musimy zrobić sąd połowy — powiedział poważnie „Szary”. —

Zbierzemy dziewięciu ludzi, trzech oficerów, trzech podoficerów i trzech strzelców. Oni zadecydują o waszej przyszłości.



Gdy zaszło słońce i na dworze poszarzało, partyzanci odeszli w las, by przestrzelić broń. To rutynowa czynność, aby tuż przed akcją wyeliminować nieplanowane zacięcia i inne wady karabinów oraz pistoletów. Huki setek strzałów i serii zwały się w jeden potężny grzmot. Zatrzymani cywile z zarekwirowanych samochodów pozatykali uszy, chcąc stłumić ten okropny hałas. Nawet kilku żołnierzy KBW czuło się nieswojo wśród huków bliskich wystrzałów. Oni nadal nie byli pewni swego losu.

Po ostrej kanonadzie w lesie partyzanci wrócili do prowizorycznego obozowiska. Tam odbyła się krótka zbiórka. A potem kolejno, pododdziałami żołnierze „Szarego” zajmowali miejsca w ciężarówkach i samochodach. Całą kolumnę prowadził na motocyklu oficer łącznikowy - ppor. Edward Nadarkiewicz „Narew”. Za nim na dwóch ciężarówkach usadowiła się główna grupa szturmowa, przewidziana do bezpośredniego ataku na więzienie. Oddziałowi temu przewodził por. „Szparag”, przy którym był również dowódca całej akcji — kpt. „Szary”. W pozostałych samochodach ulokowali się żołnierze „Sęka”, „Zygmunta”, „Harnasia”, „Ostrolota” i „Niegolewskiego”. Kiedy pierwsze pojazdy kolumny zapuściły silniki i powoli ruszały w drogę, do zatrzymanych podszedł „Niegolewski”. Komunistyczni żołnierze wystraszyli się na dobre. Dwie godziny temu widzieli, jak partyzanci zaprowadzili czterech ubeków w krzaki, skąd słychać było strzały. Wrócili sami. Teraz i wojskowi z KBW, i cywile bali się, czy aby nie podzielał losów komunistów z UB. Ale „Niegolewski” schował pistolet do kabury i powiedział, że wszyscy są wolni i mogą iść, dokąd chcą. Szczególnie paniom życzył powodzenia.

A później wskoczył do ostatniego samochodu, który po chwili zniknął w tumanach kurzu i zbliżających się ciemnościach nocy.

Kiedy kolumna samochodów zgrupowania kpt. „Szarego” zbliżała się do Kielc, z

czarnego nieba zaczął siąpić drobny deszczyk. Krople dżdżu spadały na drogę i przez ułamek sekundy błyskały w światłach reflektorów. Po chwili niknęły w kałużach, aby za moment zostać rozchłapane na boki pod ciężkimi kołami ciężarówek. W pierwszym samochodzie obok kierowcy siedział Antoni Heda i to on zauważył niebezpieczeństwo, gdy pokonywali kolejny zakręt pośród gęstego tutaj lasu. Kierowca gwałtownie zahamował, a za nim stanęły wszystkie pojazdy w kolumnie. „Szary” wyskoczył na drogę i podbiegł do gramolącego się z rowu Nadarkiewicza. Dopiero później zauważył linkę rozpiętą podstępnie w poprzek drogi. Natychmiast z ciężarówki wyskoczyli żołnierze i rozbiegli się po obu stronach szosy, by złapać nieznaną sprawców. Ale po kilku minutach wrócili z niczym. Nie było czasu na dalsze dywagacje.



Tuż przed akcją na więzienie w Kielcach „Szary” (trzeci z prawej) rozmawia z żołnierzami, udzielając im ostatnich wskazówek, 3 lub 4 sierpnia 1945 r.

(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)

I tak byli już spóźnieni w stosunku do planu. Przecięli linkę i załadowali się na samochód, a potem cała kolumna ruszyła w dalszą drogę. Po kilku kilometrach z naprzeciwka nadjechała kolumna samochodów z sowieckimi żołnierzami. Aby się nie zdemaskować, partyzanci udawali komunistyczne wojsko i przyjaźnie machali, pozdrawiając czerwonoarmistów.

Było pół godziny przed północą, kiedy samochody ostrożnie wjechały do uspiętego miasta. Znudzeni wartownicy wystawieni na rogatekach Kielc zostali z zaskoczenia rozbrojeni i zabrani do samochodów. Kolumna z wolna dojechała do centrum i zatrzymała się na placu Katedralnym. W dalszą drogę do wyznaczonych stanowisk poszczególne pododdziały ruszyły już pieszo. Trzydziestu ludzi „Ostrolota” pozostało przy pojazdach, przy katedrze, zajmując stanowiska obronne zwrócone ku północy, w stronę ulicy Sienkiewicza. W parku, od wschodu, ulokowała się najliczniejsza grupa

— „Harnasia” (około pięćdziesięciu żołnierzy), blokując ewentualne komunistyczne posiłki nadciągające z 8 Pułku KBW, 4 pp oraz milicji. Z drugiej strony parku, naprzeciw ulicy Focha, zajęło stanowiska czterdziestu partyzantów dowodzonych przez „Sęka”. Z tej strony spodziewano się ataku wojsk radzieckich oraz nadejścia funkcjonariuszy UB. Nieliczny oddział „Niegolewskiego” miał za zadanie opanować pocztę i zniszczyć centralę telefoniczną. Ostatnia grupa „Zygmunta” obstała przewidzianą trasę odwrotu, a w jednej ze wsi profilaktycznie zorganizowała zastępczy transport dla rannych z akcji.

Najważniejszą grupę czterdziestu żołnierzy pod gmach więzienia poprowadzili osobiście „Szary” i „Szparag”. Weszli na cmentarz przykościelny, a później ostrożnie, po kolei przeskoczyli murek i znaleźli się na ulicy Zamkowej, tuż przy więzieniu. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości przed więzienną bramą, widząc na zewnątrz dwóch wartowników. W całym mieście panowała jeszcze błoga cisza.

„Szary” na migi wezwał żołnierza z PIAT-em.

— Sięgniesz stąd do bramy? — spytał szeptem.

Żołnierz spojrział we wskazane miejsce, w myślach szybko skalkulował odległość i powiedział:

— Nie da rady, panie komendancie. Za daleko.

— A jak przepłoszymy wartowników i będziesz mógł podczołgać się bliżej z tą procą?

— Wtedy jak najbardziej, według rozkazu.



Porucznik Ludwik Wiechuła „Jeleń” siedział za kratami już ósmy miesiąc. I chociaż był polskim oficerem, cichociemnym zrzuconym do okupowanej Polski na spadochronie, doświadczonym żołnierzem podziemnej armii, trzeba przyznać, że wpadł w naprawdę głupi sposób. Zimą, tuż po „wyzwoleniu”, zachciało mu się iść w odwiedziny do kolegi. Pech chciał, że tego dnia UB zrobiło u niego kocioł. Na nic się zdały wyjaśnienia — zabrali wszystkich. Tym razem nieźle im się trafiło: „zapłuty karzeł z AK” i do tego oficer przerzucony z Anglii. Na pewno reakcjonista, wywrotowiec i współpracownik Hidera.

Po dwóch tygodniach maglowania i przekonywania, że AK współdziałała z Niemcami, przeniesiono „Jelenia” do więzienia w Kielcach.

Żeby go dodatkowo upokorzyć, wtrącono Wiechułę do celi razem z *volksdeuschami*. A później zamknięto w kazamatach dla najgroźniejszych przestępców. Przed całkowitym załamaniem się powstrzymywali go współwięźniowie, którzy w większości siedzieli za działalność na rzecz niepodległości Polski. Kiedy za zakratowanymi oknami zaczęła się budzić wiosna, w duszach zamkniętych mężczyzn — nie wiedzieć dlaczego — zakiełkowała nadzieja. Upajali się tym uczuciem jak winem. Ktoś puścił plotkę, że teraz to z pewnością zostaną odbici przez partyzantów „Nurta” i „Szarego”. Kiedy któregoś maja zaterkotały karabiny na zewnątrz, wszyscy aresztanci

rzucili się do drzwi, czekając na oswobodzenie. Ale płonne to były nadzieje. Okazało się, że to Sowieci i polscy komuniści świętują zdobycie Berlina. Po kilku dniach ponownie rozszczękały się radzieckie pepesze i więźniowie z nową wiarą wypatrywali wyzwolenców. Ale tym razem była to radość z kapitulacji III Rzeszy i zakończenia wojny.

Mijały dni, tygodnie i nadeszło lato. Od drzwi do drzwi więziennych cel rozchodziła się wiadomość o przyjeździe do Polski Stanisława Mikołajczyka.

— Teraz to zobaczycie — mówili niektórzy. — Przecież były premier rządu londyńskiego nie da zgnieć AK-owcom w bolszewickich więzieniach. Cały zachodni świat dowie się, co się dzieje w Polsce zawłaszczonej całkowicie przez komunistów.

— Nie widzę innej możliwości — mówił najstarszy polityczny więzień. - Sowieci naciskani przez Amerykę i Anglię będą musieli nas uwolnić. Może będzie amnestia?

I ponownie wśród więźniów obudziła się nadzieja. Codziennie niecierpliwie czekali na informacje o amnestii i wypuszczaniu na wolność. Ale zamiast tego komunistyczne sądy przyspieszyły prace i niemal codziennie tuzinami skazywały żołnierzy polskiej podziemnej armii walczących z Niemcami na długoletnie więzienia, a nawet na karę śmierci. Nadzieja zgasła całkowicie, kiedy poszła plotka o przewiezieniu niesądzonych więźniów politycznych (byłych AKowców) do innego więzienia, o ostrzejszym rygorze. Teraz nie czekali już na oswobodzenie, ale na wywózkę w nieznaną i pogorszenie warunków.

Pewnej sierpniowej nocy por. „Jeleń” długo nie mógł zasnąć. Kręcił się na twardej drewnianej pryczy i zerkał przez zakratowane okno na zewnątrz. A noc była wyjątkowo pogodna i ciepła. Gwiazdy radośnie mrugały do niego i wabiły nieogarniętą kosmiczną przestrzenią wolności.

Było już koło północy i w całym ponurym gmachu panowała cisza i spokój. Nagle gdzieś niedaleko rozległ się głośny wybuch. Potem zaraz drugi i karabinowe serie, rozbijające szkło w oknach budynków więziennych położonych przy ulicy. Następnie kolejne detonacje i bitewna wrzawa. Jęki rannych wartowników i okrzyki idących do ataku wyzwolicieli. Po chwili wszyscy więźniowie z celi, w której siedział Wiechuła, zerwali się z pryczy i stanęli przy drzwiach w oczekiwaniu na upragnioną wolność. Nasłuchiwali, co dzieje się na zewnątrz i czy w rzeczywistości zbliża się wyzwolenie.



Na znak „Szarego” kilku żołnierzy otworzyło ogień, mierząc z karabinów w kierunku dwóch wartowników. Prawie natychmiast obaj zostali trafieni. Ledwo powłócząc nogami, schronili się za solidną bramę.

O to właśnie chodziło. Odezwały się partyzanckie erkaemy, ostrzeliwując okna, by osłonić podejście do więzienia. Żołnierz obsługujący

PIAT-a podczołgał się i wystrzelił pocisk w stronę bramy. Chociaż strzał był celny, to granat kumulacyjny wyłobił w metalowym poszyciu wrót dziurę o średnicy zaledwie trzydziestu centymetrów. To było zbyt mało, aby człowiek mógł się

przecisnąć. Zamek i zawiasy bramy pozostały nienaruszone. Odważny partyzant podczołgał się jeszcze bliżej i ponownie wystrzelił. Wybił następną dziurę, ale solidna konstrukcja w dalszym ciągu zagrażała wejście do kazamatów. „Szary” gestem ręki odwołał żołnierza. Porucznik „Szparag”, saper w „ludowym” wojsku, już szykował się do skoku wraz z patrolem minerskim. Podbiegli osłaniani ogniem przez resztę oddziału i w kilku susach znaleźli się przy bramie. Widzieli ogniki wystrzałów wychodzące z okien gmachu, ale komuniści strzelali niecelnie. Partyzanci prędko założyli materiał wybuchowy i podpalili krótki lont. Odbiegli kawałek i rzucili się na ziemię, osłaniając głowy. Potężny wybuch targnął powietrzem i zakołysał całą budowlą.

Kiedy opadł kurz, wszyscy spojrzeli na bramę, która nadal stała prawie nienaruszona. Chociaż nie do końca... Solidne ramy, zamek i zawiasy wytrzymały, ale w poszyciu blachy można było zauważyć spory wyłom. Już pierwsi żołnierze podbiegli do niej i, szarpiąc z całych sił, wygięli blachę w taki sposób, że utworzyło się przejście akurat dla jednego człowieka. Nie czekali dalej i po kolei wskakiwali do środka. Zaraz za wyłomem była druga brama, ale już mniej solidna.

Szybko wysadzono ją materiałami wybuchowymi. Po pokonaniu tej przeszkody partyzanci mogli wreszcie wejść na więzienny dziedziniec.

Pośród trzasku wystrzałów i ogólnej bitewnej wrzawy jakiś komunista bił na alarm w więzienny gong. Inny złapał za telefon i próbował dzwonić po pomoc. Ale na próżno, kable telefoniczne zostały już uszkodzone przez atakujących. W dodatku światło w całym więziennym kompleksie przygasło, potęgując zamieszanie. Strażnicy i żołnierze KBW obstawiający więzienie wyskoczyli na zewnątrz i próbowali bronić dostępu do budynku. Ogółem było ich tylu, ilu partyzantów z grupy szturmowej, ale mieli gorszą broń (karabiny) i dużo mniej animuszu.



*Żołnierze „Szarego” w nerwowym oczekiwaniu przed akcją na więzienie w Kielcach,
3 lub 4 sierpnia 1945 r.*

(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)

Dlatego po kilku minutach strzelaniny skryli się w budynku wartowni i stamtąd przez okna i drzwi prowadzili słaby ogień.

Nie tylko na ulicy Zamkowej trwała walka. Z innych części miasta, pod koszarami, posterunkami UB i milicji również słychać było detonacje i strzelaninę. Wybuchy min i przewencyjne ostrzelanie tych budynków dały znakomity skutek. Nie było odważnych, którzy by poszli z odsieczą towarzyszom atakowanym w więzieniu.

Po wdarciu się do budynku partyzanci „Szarego” zbiegli do piwnicy i zaczęli oswobadzać cele z ... *volksdeutschami*. Po chwili zauważyli swój błąd, ale było już za późno. Nikt nie miał czasu wyłapywać uwolnionych, a tym bardziej konfrontować ich z innymi więźniami i przesłuchiwać, kto za co siedzi. Na kolejnym oddziale zaczęto wypuszczać więźniarki i zrobił się bałagan nie do ogarnięcia. W zruszone kobiety, często z płaczem, rzucały się na szyję swych oswobodzicieli. „Szary” nie mógł opędzić się od szczęśliwych niewiast. Nie pomagały prośby, groźby i rozkazy.

Inne grupy próbowały otwierać cele więźniów politycznych, ale okazało się, że akurat do nich brakuje kluczy, które na noc były 'wynoszone aż do UB znajdującego się na ulicy Focha. Na szczęście na wyposażeniu grupy szturmowej były ładunki wybuchowe, które planowo miały posłużyć do wysadzenia kieleckiego pomnika „wdzięczności dla Armii Czerwonej”. Partyzanci próbowali wyłamywać drzwi do cel, ale dużo skuteczniejsze okazało się zakładanie niewielkich ładunków, które,

eksplodując, niszczyły zamek i drzwi stawały otworem.

Porucznik Wiechuła i jego towarzysze niedoli słyszeli już hałas na korytarzu swojego oddziału. Przez kraty w drzwiach widzieli błyski latarki i biegające uzbrojone postacie. Dało się słyszeć szybkie kroki oraz stłumione okrzyki nawołujące zamkniętych oficerów AK. Więźniowie nie chcieli czekać bezczynnie na uwolnienie. Złapali drewnianą ławę i taranem próbowali wyłamać drzwi. Niestety słabe deski nie wytrzymały i ława rozpadła się na części, a wrota nawet nie drgnęły. Ktoś rzucił się do okna i próbował wyważyć kraty.

Na próżno. Na domiar złego w drzazgi poszła druga ława, którą ponownie taranowano drzwi, a na korytarzu zrobił się tumult nie do wytrzymania. Każdy domagał się, aby jego celę otwierać jako pierwszą.

Wtedy „Jeleń” zauważył za drzwiami znajomą twarz swego byłego podkomendnego, który również poznał dowódcę z partyzantki.



Już po akcji. Pierwszy z lewej maszeruje ranny w nogę kpt. „Szary” Antoni Heda, trzeci z lewej — uwolniony z więzienia cichociemny por. Ludwik Wiechuła „Jeleń”

(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)

— Panie poruczniku, nie wypada, abym ja odpalał ładunek, skoro pan tam jest - powiedział żołnierz i podał dowódcy przez kratę kostkę trotylu z lontem oraz zapałki.

Wiechuła prędko przymocował ładunek do zamku, zainstalował spłonkę i lont, a potem zapalił zapałkę. Kiedy lont zaczął iskrzyć, więźniowie skupili się w najdalszym kącie celi, a jeden z nich nakrył wszystkich materacem. Po chwili wszyscy byli już na zewnątrz.

— Panie poruczniku, to był ostatni ładunek, jaki mieliśmy. Pozostałych cel nie otworzymy — zameldował saper, który podawał ładunek „Jeleniowi”. I faktycznie, trzech czy czterech ostatnich cel nie zdołano otworzyć.

Około godziny trzeciej nad ranem 5 sierpnia 1945 roku kpt. „Szary” wydał rozkaz

do odwrotu. W jego ocenie operacja i tak trwała już zbyt długo, na szczęście bez zbytniego przeciwdziałania ze strony komunistów. Oddziały partyzanckie wychodziły z miasta w kierunku wschodnim i północno-zachodnim. Większa część wraz z dowódcą maszerowała na Klonów, natomiast grupa „Sęka” kierowała się na Bodzentyn. Część uwolnionych, pomimo wcześniejszego katowania w komunistycznych kazamatach, rażno kroczyła razem z partyzantami ku wolności. Inni oswobodzeni z kieleckiego więzienia jeszcze w mieście odłączyli się i uciekali na własną rękę. Podczas marszu jeden z pododdziałów bez zgody dowódcy ostrzelał w Masłowie samoloty stojące na lotnisku. A przechodząc przez wieś Leszczyny, długa partyzancka kolumna napotkała stacjonujące tu sowieckie ciężarówki i działa.

— *Kto wy takije?* - pytali zaspáni czerwonarmiści, wychodząc z kwater i przeciągając się po nocnym odpoczynku.

— Polskie wojsko — odpowiadali partyzanci i uwolnieni więźniowie, nie przystając ani na chwilę.

Niecodzienny pochód: uzbrojonych żołnierzy, nędznie wyglądających oswobodzonych więźniów i uwolnionych kobiet ubranych w różnokolorowe bluzki — mijał zdziwionych Sowietów. A potem cała kolumna skrzyła w stronę rzeki, przebyła ją w bród i oddalała się od wsi, maszerując polami, na których stały starannie związane snopy zboża. Dopiero wtedy radzieccy żołnierze oprzytomnieli i zaczęli strzelać w stronę Polaków, ale jakoś niemrawo. Wkrótce całe zgrupowanie „Szarego” bezpiecznie zniknęło w gęstej, porannej mgle.



Akcja na więzienie w Kielcach zakończyła się sukcesem. Według komunistycznych źródeł przechowywanych w ubeckich dokumentach z więzienia uwolniono trzystu pięćdziesięciu czterech więźniów, przy czym około pięćdziesięciu zgłosiło się z powrotem. Według oceny kpt. Antoniego Hedy „Szarego” oswobodzonych zostało dużo więcej osób, niż podawali to komuniści. Zgodnie z jego szacunkami mogło to być nawet sześćset do siedmiuset osób.

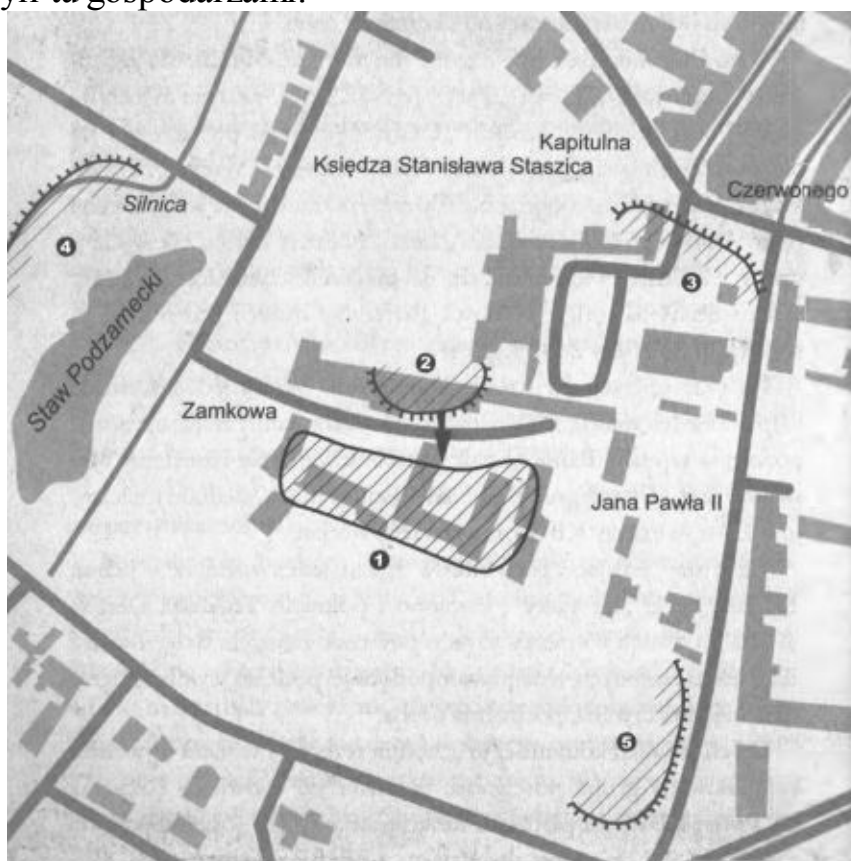
Wśród uwolnionych byli między innymi: kpt. Michał Mandziara „Siwy”, kpt. Józef Wyrwa „Stary” (z NSZ), por. Ludwik Wiechuła „Jeleń” oraz Stanisław Kosicki „Czarny” (którego postać stała się pierwowzorem bohatera powieści *Popiół i diament* — Maćka Chełmickiego). Zza krat oswobodzono również skazanego na karę śmierci ppłk. Antoniego Żółkiewskiego „Lina”. Niestety był on tak wycieńczony i złamany więzieniem, że na przedmieściach dostał zawału serca i zmarł na progu wolności. Partyzanci musieli pozostawić za sobą ciało dowódcy 2 DP Leg. AK.

Podczas operacji po stronie komunistów zginął jeden sowiecki lejtnant i jeden milicjant. Ponadto jeden ciężko ranny milicjant zmarł później w szpitalu. Ranni zostali: naczelnik więzienia Konstanty Mastelarz, szef kieleckiego UB por. Aleksander Bułba, siedmiu milicjantów, kilku żołnierzy KBW oraz czterech Rosjan.

Ze strony polskich partyzantów zginął jeden żołnierz - pchor.

Tadeusz Łęcki „Krogulec”, zraniono i pojmano Tadeusza Derfela „Suma”, a dwóch żołnierzy zostało poważnie rannych. Było również kilku lekko rannych, a najprawdopodobniej podczas wymiany ognia zginęła jedna cywilna, postronna osoba.

Dzień po akcji komunisti uruchomili rezerwy i w teren wyjechała kombinowana grupa pościgowa. Składała się z dwustu żołnierzy z 8 Pułku KBW, stu piętnastu funkcjonariuszy UB (osiemdziesięciu z oddziału szturmowego, dwudziestu z WUBP i piętnastu z PUBP) oraz stu sześćdziesięciu sowieckich żołnierzy z NKWD. Ale nie tak łatwo było schwytać partyzanckie cienie — żołnierzy, którzy od kilku lat umiejętnie wymykali się niemieckim obławom, którzy znali każdy skrawek lasu na swoim terenie, którzy w końcu byli tu gospodarzami.



Akcja na więzieniu w Kielcach 4/5 sierpnia 1945 r.

- | | | | |
|---|--|---|--------------------------|
| ❶ | Kompleks budynków więziennych. | ❹ | Grupa osłony „Sępa”. |
| ❷ | Grupa szturmowa „Szparaga”, przy której był „Szary”. | ❺ | Grupa osłony „Harnasia”. |
| ❸ | Oddział „Ostrołota” pozostający przy samochodach i osłaniający akcję od północy. | | |

Na mapie przedstawiono współczesne nazwy ulic.

W czasie odwrotu z Kielc „Szary” maszerował coraz wolniej i z coraz większym grymasem bólu na twarzy. Pamiętał, że przy wysadzaniu bramy coś uderzyło go w kolano. Zbagatelizował ten fakt, tym bardziej że nie czuł wówczas bólu, a później miał ważniejsze rzeczy na głowie. Dopiero teraz dostrzegł powiększającą się opuchliznę. Noga stawała się coraz cięższa, a każdy krok oznaczał okropny, rwący ból. Na którymś z postojów „Szary” wezwał do siebie sanitariusza. Po dłuższym badaniu znaleziono i wyciągnięto niewielki odłamek blachy tkwiący w kolanie. Rana została opatrzona, a

dowódcy zaaplikowano zastrzyk przeciwężcowy.

Kiedy grupa ruszyła dalej, „Szary” szedł, podpierając się laską, i palił papierosa za papierosem. Ból nogi stawał się nie do zniesienia. Ale kapitana dręczyło co innego. Bezgraniczny smutek chwycił obcęgami jego duszę i rwał na strzępy kołaczące w piersiach serce polskiego partyzanta. Spóźnił się. Kilka dni, może tygodni, ale się spóźnił.

Na ostatnim postoju „Szary” dowiedział się prawdy o losie swoich braci zamkniętych w więzieniu. Już nie było żadnych wątpliwości.

Wszyscy trzej zostali w nieludzki sposób zakatowani na śmierć przez „czerwonych”. Najgorszy los spotkał Jana Hedę, którego po śmierci wrzucono do kloaczego dołu na terenie więzienia. Stanisława tak tłuczono podczas śledztwa, że w końcu z rozbitą krwawiącą głową trafił do więziennego szpitala. Tam mający go leczyć doktor Balicki stwierdził, że takiego bandyty nie warto ratować. Staś Heda nie otrzymał odpowiedniej pomocy i szybko zmarł.

Po kilku kilometrach marszu partyzancki dowódca nawet o lasce nie mógł już dalej iść. Podstawiono mu wierzchowca ze specjalnie przygotowanym powiększonym strzemieniem dla opuchniętej nogi.

Ale i to było ponad jego siły. Wsadzono więc „Szarego” na nosze, do których wyznaczono czterech żołnierzy. Nieśli go po dwóch, na zmianę. Tak w marszu dotrwali do zachodu słońca i w jednej z wiosek nastąpiła dekoncentracja zgrupowania — każdy z oddziałów odmaszerował w swoją stronę.



Pierwszy postój w czasie odwrotu po akcji w Kielcach. Antoni Heda „Szary” (czwarty z lewej) słucha o losie swoich braci zamkniętych w więzieniu. Piąty z lewej-Ludwik Wiechula „jelen”
(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)

Przy kapitanie zostało już niewielu ludzi, w tym „Niegolewski”, który pochodził z tych stron. To właśnie jego podkomendni zorganizowali lepszy transport dla ранnego dowódcy i wkrótce przed „Szarym” stanęła dwukonna furmanka.

Kończył się długi sierpniowy dzień, pachnący świeżo zżętym zbożem. Robiła się już szarówka. Nagle, nie wiadomo skąd, na leśnej ścieżce pojawili się sowieccy żołnierze. Widząc podejrzaną grupkę skupioną wokół wozu, pędem ruszyli w stronę Hedy. Ostatkiem sił „Szary” wgramolił się na wóz, aby popędzić konie, ale wcześniej w ystrzelił w kierunku zbliżających się Rosjan cały magazynek swojego pistoletu. Konie, spłoszone strzałami, ruszyły przed siebie w dzikim galopie, ciągnąc wóz, na którym Heda obijał się boleśnie o deski.

W tym szaleńczym pędzie zwierzęta wytrzymały kilka minut, a potem nieoczekiwanie z całym zaprzęgiem wjechały do strumyka i dopiero wtedy, zmęczone, ustały. Nie było mowy o wyciągnięciu pogruhotanego wozu z koryta rzeczki. Pierwszą czynnością, jaką wykonał ranny kapitan, było uzupełnienie amunicji w magazynku pistoletu. Dopiero później, cały czas walcząc z bólem, „Szary” próbował dosiąść konia, by wierzchem oddalić się z niebezpiecznego miejsca i ująć sowieckiemu pościgowi. Ale za każdym razem zsuwał się i lądował na ziemi, tracąc resztki sił i nadziei. I wtedy

usłyszał dalekie, trzykrotne gwizdanie. To był umówiony sygnał jego oddziału. Odpowiedział, ale jednocześnie mocniej schwycił kolbę pistoletu.

— Kto idzie? — spytał, kiedy kroki były już blisko.

— To ja, „Niegolewski”, panie kapitanie.

— A co z innymi?

— W porządku. Nikt nie został zabity ani ranny. A Sowieci poszli dalej.

Wacław Borowiec z niemałym trudem posadził rannego na koniu i, prowadząc wierzchowca za uzdę, szedł w stronę wsi. Wędrowali powoli, wzdłuż szlaku kolejki wąskotorowej, pokonując leśne bezdroża.

W pewnym momencie zatrzymała ich poważna przeszkoda. Musieli pokonać niewielką dolinkę, przez którą przepływał strumień. Ostrożnie, krok za krokiem, schodzili w dół, ale noga konia wpadła w rozpadlinę i wierzchowiec runął na bok, pociągając za sobą „Szarego”.

Zwierzę ze złamaną nogą musieli zastrzelić. Dopiero po trzech godzinach „Niegolewski” przyprowadził patrol swoich żołnierzy i na noszach przeniesiono „Szarego” do wsi Zbrojów, do domu Jacentego Borowca, krewnego „Niegolewskiego”. Sprowadzony lekarz zbadał ranę, dał zastrzyk, ale postraszył ewentualną koniecznością amputacji. Antoni Heda stwierdził wówczas, że uratowanie tyłu ludzi z więzienia warte było poświęcenia jednej nogi. Powierzył się opiece Boga i zasnął. Na szczęście zakażenie powoli ustępowało.

Gdy wydawało się, że wszystko już będzie w porządku, w połowie dnia przez wioskę przeszła potężna obława komunistycznych wojsk.

Liczne zastępy żołnierzy przemaszerowały przez środek wsi, rozwijając na skraju lasu kordon obławy. „Szary” trwał ukryty w obórce pod sianem, a na podwórzu u jego gospodarza zainstalowała się kuchnia połowa wraz z obsługą, która miała zaprowiantować oddziały idące na akcję. Oczywiście cała ta koncentracja wywołana była ostatnimi wydarzeniami w kieleckim więzieniu. Na szczęście komuniści nie znaleźli „Szarego” i wkrótce został on przez swoich przewieziony do wsi Piła, a później do Wolborza.



Za znakomicie przeprowadzoną akcją na więzienie w Kielcach Antoni Heda „Szary” został w połowie sierpnia awansowany do stopnia majora, równocześnie z rozkazu ppłk. Rzepeckiego stając na czele Samodzielnej Brygady Kieleckiej. Według zamierzeń oddział ten miał skupiać poakowskie jednostki z terenu dawnego Okręgu Radomsko-

— Kieleckiego, a więc z 3 pp Leg. i 72 pp. „Szary” tymczasem leczył ranę i pod zmienionym nazwiskiem, jako Antoni Wiśniewski, ukrywał się wraz z żoną Wacławą najpierw pod Łodzią, a następnie we Włocławku. To tutaj w Wigilię Bożego Narodzenia 1945 roku przysłała na świat córka państwa Hedów - Tereska.

Mimo tego na wpół cywilnego życia Antoni cały czas uczestniczył w

antykomunistycznej konspiracji. Na polecenie swych przełożonych planował następną akcję w wielkim stylu - rozbicie warszawskiego więzienia przy ulicy Rakowieckiej na Mokotowie.



*„Szary” jako poszukiwany „dowódca bandy terrorystycznej” w ubeckich kartotekach
(Instytut Pamięci Narodowej)*

Przeprowadzał nawet wstępne rozpoznanie i kontaktował się z dowódcami leśnych oddziałów, które mogłyby ewentualnie uczestniczyć w tej akcji. Ale niestety, w obliczu zdrady - najprawdopodobniej Zygmunta Szewczyka „Bartka”, Heda musiał zarzucić ten projekt i ukrywać się. Od czasu akcji na kieleckie więzienie Służba Bezpieczeństwa za wszelką cenę chciała go znaleźć, rozpuszczając za nim list gończy i wyznaczając nagrodę za ujęcie „Szarego”.

Wyjechał wraz z rodziną na wybrzeże, do Solca Kujawskiego, a później do Emilianowa pod Olsztynem. To był krótki, ale piękny okres jego życia. „Szary” pracował tam jako dyrektor zakładu produkującego kafelki i cegły. Zostawiając na uboczu partyzanckie sprawy, mógł wreszcie poczuć smak normalnego, cywilnego życia. W międzyczasie, w maju 1947 roku w Wolborzu urodziła mu się druga córka — Marysia. Jednak Antoni Heda był postacią na tyle znaną i (niestety) rozpoznawalną, że nawet pod Olsztynem nie mógł czuć się bezpiecznie. Spokój trwał do wiosny 1948 roku, kiedy jeden z komunistycznych żołnierzy, który przyjechał w te okolice na

polowanie, w panu Wiśniewskim rozpoznał komendanta „Szarego”. Żołnierz ów był wcześniej w AL i walczył na Kielecczyźnie. W przeciągu godziny Antoni z rodziną musiał porzucić szczęśliwe życie, zostawić wszystko i uciekać. Wyjechali do Swarzewa, niewielkiej miejscowości nad Zatoką Pucką.

Ale i tam nie zazał już spokoju. Sieci komunistycznej wielkiej obławy na „Szarego” zaciskały się powoli, ale skutecznie i nieodwracalnie. Najgorsze było to, że w sprawę znalezienia i rozpracowania Hedy włączył się najprawdopodobniej jeden z jego najbardziej zaufanych ludzi. Edward Nadarkiewicz „Narew” w czasie „Burzy” był kwatermistrzem 2 Batalionu 3 pp Leg. AK. To z nim pierwszym nawiązał kontakt „Szary”, kiedy zdecydował na trwanie w antykomunistycznej konspiracji i planował akcję na więzienie w Kielcach. W 1946 roku obaj mężczyźni spotykali się w Zakopanem, gdzie Nadarkiewicz pracował w Powiatowym Urzędzie Repatriacyjnym. Później przypadkowo „Narew” z „Szarym” widzieli się jeszcze w Warszawie.

Niby niewiele... Ale kiedy funkcjonariusze UB zatrzymali „Szarego” 27 lipca 1948 roku w Gdyni koło dworca kolejowego Gdynia Chylonia, mieli jedno jego zdjęcie, dzięki któremu go rozpoznali. Zdjęcie Antoniego Hedy na wycieczce w Tatrach zrobił w 1946 roku właśnie Edward Nadarkiewicz.



*Antoni Heda „Szary” z półroczną córeczką Teresą. Pod Wrocławkiem, lato 1946 r.
(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)*



- Kim pan jest?
- Antoni Wiśniewski.
- Ktoś pan jest, panie „Szary”?!

Moment ciszy...

— Antoni Heda.

- Proszę powiedzieć jedno słowo: tak lub nie. Jeżeli powie pan tak, już jutro będzie pan na wolności. Pan to rozumie?

— Rozumiem. Ale wybieram: nie.

— Czemu wybiera pan weto?

— Dlatego, że nie mogę zdradzić swoich rodzonych braci i moich żołnierzy zamordowanych przez was i pogrzebanych jak psy.

— Czy posiada pan łączność z gen. Kopańskim? Jeśli nam pan wyjawia źródła tych kontaktów, już jutro odzyska pan wolność.

— Po pierwsze takich kontaktów nie posiadam. Po drugie, nawet jeśli bym je znał, to z pewnością bym ich nie zdradził.

— Wiedziałem, że pan tak odpowie. Ale jeszcze zobaczymy, minie trochę czasu i wszystko pan wyśpiewa. Będzie pan przez sen wszystko mówił, zapowiadam panu!

— A ja dam dowód na to, że niczego pan się ode mnie nie dowie.

Poproszę nóż.

— No co pan powie... A na co panu nóż? Chce mnie pan zadźgać?

A może sobie żyły podcinać?

— Nic z tych rzeczy. Jestem katolikiem i życia sobie nie będę odbierał. Również panu z mojej strony nic nie grozi.

— Na serio? A ilu ubeków pan nakosił podczas rozbijania więzienia?

— To była walka o uwolnienie niewinnych ludzi, którym w komunistycznych więzieniach wrywacie paznokcie, razicie prądem i zamykacie w karcach wielkości psiej budy.

— Tak źle pan nas ocenia? — Ubek zaczął szperać w szufladach biurka. — Niestety nie mam noża. A co by pan z nim zrobił?

— Uciąłbym swój palec i dał wam w zastaw na dowód, że niczego się ode mnie nie dowiecie!

Po kilkudniowej przerwie.

— Nazwisko?

— Nie odpowiem, dopóki mam ręce skute kajdankami.

— Rozkujcie pana. No, już dobrze, proszę mówić.



*Antoni Heda (vel. Antoni Wiśniewski), więzień kieleckiego UB, 1949 r.
(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)*

- Nie będę odpowiadać, bo wsadziliście mnie do celi pełnej pluskiew.
- W porządku, zmienimy celę. Nazwisko, pseudonimy, kontakty.
- Zgaście jeszcze tę lampę. Świeci mi prosto w oczy.
- To normalna procedura śledcza i ja tego nie mogę zmieniać.
- To ja wam nic nie powiem.
- Słucham?
- Tak długo, jak ta żarówka będzie świecić mi po oczach, nie będę odpowiadał.
- Co wy mi tu pierdolicie?! Kładź się na podłodze! - krzyknął jeden z ubeków, ściskając w ręce bykowiec. Rzucił bicz swojemu pomagierowi: - Bij tak, aż się zesra.
- Spróbujcie mnie uderzyć. Jest was za mało! No, spróbujcie! — krzyknął „Szary”, po czym zerwał się na równe nogi i chwycił za stołek, na którym siedział.
- Wołajcie ludzi do pomocy.
- Mordują! Ratunku! Mordują! - darł się „Szary” i walił stołkiem po oknie, wybijając szybę.
- Człowieku, uspokój się! Kto cię morduje? - pytali ubecy, kilkusobowym kordonem otaczając Hedę w kącie pokoju.
- Mordują! - nie przestawał wrzeszczeć, a z przeciętej rozbitym szkłem ręki tryskała krew, barwiąc wszystko naokoło na czerwono.
- W końcu w kilku docisnęli „Szarego” do ściany, przewrócili na podłogę i obezwładnili. A jeden z oprawców wcisnął mu knebel w usta.



- Rób, skurwysynie, przysiady!
- Cisza.
- Co, odmawiasz wykonania polecenia?!
- Brak odpowiedzi.
- Przysiady! Ale już!!!

— Nie przypominam sobie, żebym był z panem na ty.

— Rób, skurwysynie, ale już!

— O jakie przysiady chodzi?

— Jak to, nie wiecie, co to przysiady? Męczyliście swoich żołnierzy przysiadami i teraz nie wiecie, jak to się robi?

— Jeśli nakazywałem swoim ludziom robić przysiady, to najpierw pokazywałem im, w jaki sposób należy je wykonać.

— Ja mam wam pokazywać?! Sierzancie, pięć przysiadów!

Chwila przerwy.

— No, „Szary”, teraz wy.

— Nie, ja tego nigdy nie zrobię.

Ubecki kapitan śledczy, wściekły na całego, nie panował już nad sobą. Z pianą na ustach chciał rzucić się z pięściami na Hedę, ale usłyszał słowa:



General Antoni Heda-Szary przemawia pod bramą kieleckiego więzienia, 6 sierpnia 2006 r.

(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)

— Będę się bronić. No, niech pan zaczyna.

Kapitan zbaraniał i stracił pewność siebie. Zatrzymał się w pół kroku. A potem ciężko usiadł i w końcu wycharczał do swego sierżanta:

— Do karceru!

Antoni Heda był sądzony pod koniec roku 1949 przez Wojskowy Sąd Rejonowy w

Kielcach. Oskarżano go „o przynależność do nielegalnej organizacji i dokonywanie gwałtownych zamachów na żołnierzy WP, pracowników UBP i MO”. Wypominano, że był jakoby „zdecydowanym wrogiem ruchu ludowego”, że organizował swoich ludzi i „angażował ich do bandy NIE”. I naturalnie, że „dokonał gwałtownego zamachu na ochronę więzienia” w Kielcach, z którego zabrano „ok. 15 jednostek broni i wypuszczono 180 więźniów”.

Major „Szary” do niczego się nie przyznawał. Któregoś dnia na salę rozpraw wprowadzono decydującego, wydawało się, świadka, którego zeznania miały ostatecznie pogрузić partyzanta. Wysoki mężczyzna opierał się na kulach i szedł bardzo powoli przed siebie.

— Kiedy zaczęły się strzały w mieście, pełniłem służbę w wartowni przy WUBP w Kielcach. Mój dowódca wysłał mnie z kilkoma funkcjonariuszami na rozpoznanie. Słyszeliśmy wystrzały od strony więzienia i domyślaliśmy się, że to tam jest główna walka. Ale gdy weszliśmy do parku, ktoś pociągnął serią ponad nami i natychmiast otoczyli nas uzbrojeni ludzie.

— Co z wami zrobili? — pytał sędzia.

— A nic. Bardzo dobrze się z nami obeszli — powiedział inwalida.

— Ja byłem lekko drażnięty w rękę, to nałożyli mi angielski bandaż.

Wszystkim nam zabrano broń i kazano leżeć cicho w trawie do końca akcji. Kiedy się wycofywali, nas puścili wolno.

— To skąd to kalectwo? — pytał niezadowolony sędzia.

— O, wysoki sędzie, to pamiątka po UPA. To oni mnie tak urządzili

— powiedział świadek. A odchodząc, zwrócił głowę w stronę „Szarego” i skłonił ją w pożegnalnym geście.

Dopiero 4 stycznia nowego roku ogłoszono wyrok, przyjęty nadzwyczaj spokojnie przez skazanego. A przecież czterokrotna kara śmierci mogła załamać nawet najtwardszego człowieka. Ale „Szary”, prócz tego, że cechował się nieprzeciętną odwagą, był również osobą głęboko wierzącą. Spodziewał się takiego werdyktu i dlatego, idąc do celi śmierci, całą swoją przyszłość powierzył opiece Boga.

Kiedy siedział w zamknięciu i czekał na wykonanie wyroku, jego córki codziennie klękały przed każdym napotkanym kościołem, kapliczką czy krzyżem i modliły się żarliwie w intencji ojca. Również byli podkomendni „Szarego” z czasów okupacji niemieckiej, a nawet byli partyzanci AL wstawiali się za nim. W końcu te masowe monity odniosły skutek i „władza ludowa” zamieniła karę śmierci na dożywocie.

Karę więzienia Antoni Heda odbywał w Warszawie na ulicy Rakowieckiej, w Rawiczu i we Wronkach. Dożywotnie więzienie w wyniku amnestii zmniejszono i Antoni Heda wyszedł na wolność w listopadzie 1956 roku. To było dopiero warunkowe zwolnienie. Później odbyła się rozprawa rehabilitacyjna, podczas której uwolniono go od innych zarzutów, a na poczet akcji na kieleckie więzienie zaliczono mu osiem lat pozbawienia wolności, które już odsiedział.

W kolejnych latach „Szary” nadal prowadził działalność niepodległościową i kombatancą, chociaż był skrupulatnie śledzony przez SB.

W stanie wojennym został internowany, a w 1990 roku zdołał skupić około trzydziestu organizacji kombatanckich w jeden organ nazwany Światową Federacją Polskich Kombatantów i jako prezes stanął na jej czele. W 2006 roku został awansowany przez prezydenta RP do stopnia generała brygady. Zmarł 14 lutego 2008 roku w Warszawie.

Czołgi, krowy i samolot

Sikory, Zaleś, 8/9 sierpnia 1945 roku

N

a początku był samolot. Przyleciał „od strony słońca” i zaczął strzelać. Tak twierdzą niektórzy. Mówią, że był to mały, dwupłatowy samolot zwany „kukuźnikiem”, z pilotem i strzelcem pokładowym zasiadającym z tyłu. Zupełnie inaczej zapamiętali go inni.

Ci mówią, że samolot miał jedną parę skrzydeł i był dolnopłatem, a całkowicie oszklona kabina skrywała sterującego maszyną lotnika.

Jedni są przekonani, że na skrzydłach samolotu widniały wielkie, biało-czerwone szachownice. Ale pozostali widzieli tylko czerwone gwiazdy na jego kadłubie i ogonie. A więc — wojskowy samolot. Fruwająca maszyna do zabijania, która zleciała z jasnego nieba i zaczęła strzelać do wszystkiego, co ruszało się w dole.

— Zaraz, zaraz — oponują inni świadkowie. — Samolot był, to nie ulega wątpliwości. Ale przed samolotem były krowy. A dokładnie stado bydła pędzone jako zdobycz wojenna z Prus Wschodnich przez sowieckich żołnierzy-poganiaczy. Czyli na początku były krowy — od tego się wszystko zaczęło.

No to w końcu, co było pierwsze, samolot czy krowy?

— Krowy, krowy — zgodnym chórem przytakują już wszyscy.

Zgadza się co do tego, że działo się to na Podlasiu, we wsi Węże, 8 sierpnia 1945 roku. Podczas tak zwanej „dniówki” (partyzanci przemieszczali się nocami, a w ciągu dnia odpoczywali), gdy 1 Szwadron „Zygmunta” ze składu 5 Wileńskiej Brygady AK mjr. „Łupaszk” odpoczywał po nocnym marszu.

Około godziny dziesiątej dowódcę szwadronu, por. Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta”, zaalarmowały pojedyncze strzały. Kiedy wybiegł przed swoją kwaterę, było już po wszystkim.



Partyzanci 5 Wileńskiej Brygady zę zdobytym na Sowieciach bydłem
(Instytut Pamięci Narodowej)

To sowieccy żołnierze i poganiacze bydła pędzili przez wieś stado krów — wojenną zdobycz z niemieckich Prus. Po kilku ostrzegawczych strzałach momentalnie rzucili swe karabiny na ziemię i oddali się w ręce polskich partyzantów. Oddział „Zygmunta” zdobył parę karabinów, sto dwadzieścia krów, dwanaście koni i jednego psa. Ponadto zatrzymano sześciu żołnierzy i dwie kobiety żołdatki. Rosjanie byli bardzo wystraszeni. Klękali przed polskimi żołnierzami i błagali o litość. Dopiero po dłuższym czasie udało się wyjaśnić im, że nikt nie ma zamiaru ich zabijać. Ale lody stopniały dopiero wówczas, kiedy pomiędzy żołnierzami wrogich nacji zaczęły krążyć butelki samogonu.

Po kilku łykach bimbrowi Sowietci uwierzyli w swą szczęśliwą gwiazdę (*nomen omen*) i przekonali się, że tym razem wyjdą cało z rąk polskich „bandytów”.

Wieś Węże była biedna i nie mogła ofiarować żołnierzom nic więcej do jedzenia niż kartofle. Dlatego ponad setka bydła spadła na nich niczym manna z nieba. Nie minęło kilka minut, a już nad ogniskami przypiekały się smakowite kaski wykrojone z dwóch zabitych cielaków. To był dopiero znakomity obiad, godny prawdziwych obrońców Ojczyzny! Drażnieni wspaniałymi zapachami żołnierze przełykali ślinę i zerkali niecierpliwie na kucharzy, sprawdzając, czy danie już gotowe.

Czekali na posiłek, ale się nie doczekali. Około godziny trzynastej od strony słońca

nadleciał dwupłatowy radziecki samolot Po-2 i zatoczył nad wsią kilka okręgów. Podczas kręcenia kółek w powietrzu pilot i strzelec uważnie lustrowali okolice, próbując rozszyfrować, jakie wojsko znajduje się pod nimi.

A więc najpierw było bydło, a potem dopiero samolot z biało-czerwonymi szachownicami na skrzydłach. A czołgi? Czołgi też były. Sowieckie maszyny T-34 z długą lufą i białym orzełkiem wymalowanym na wieżyczkach. Należały do 1 Brygady Pancerniej (BPanc).

Czyli tanki też były, ale później. Dużo później.



Podczas koncentracji 5 Wileńskiej Brygady, która odbyła się w pierwszych dniach sierpnia 1945 roku we wsi Czaje-Wólka, mjr „Łupaszko” postanowił wysłać na rekonesans na lewy brzeg Bugu swój najlepszy pododdział - 1 Szwadron por. „Zygmunta” Błażejewicza. Na czas rajdu do oddziału „Zygmunta” dołączono zachowującą pewną niezależność grupę ppor. Władysława Łukasiuka „Młota”. Na akcję jako obserwator wybrał się również, znużony widocznie sztabowymi papierkami, zastępca „Łupaszki” - por. Leon Lech Beynar „Nowina” (kilka dni po opisywanych wydarzeniach, 15 sierpnia 1945 roku, oficjalnie awansowany do stopnia kapitana).

— Słuchaj, „Zygmunt”. Pamiętaj, że idę z tobą tylko dlatego, że mam dość roboty sztabowej. Ale to ty jesteś dowódcą, a ja to jedynie osoba prywatna - wykladał równy mu stopniem „Nowina”.

Całość grupy prowadzonej przez „Zygmunta” liczyła około stu ludzi (osiemdziesięciu z 1 Szwadronu i dwudziestu od „Młota”), a jej uzbrojenie to jeden PIAT, trzynaście erkaemów (osiem sowieckich diegtariowów, dwa angielskie breny i trzy niemieckie sztuki) i przede wszystkim pistolety maszynowe różnych typów. Oddział maszerował w stronę Bugu, przekroczył rzekę i, unikając komunistycznych wojsk, 8 sierpnia zawitał na dzienny postój do wsi Węże.

Kiedy na niebie pojawił się samolot, zaskoczył dosłownie wszystkich. Nikt nawet nie pomyślał, aby spróbować ukryć żołnierzy partyzanckiej brygady przed okiem lotników. Stali jak słupy soli i gapili się w górę, myśląc, co to za czort płynie po niebie. A kukuruźnik zrobił kilka kółek nad wsią, podczas których tylny strzelec coś niezrozumiałego wykrzykiwał przez tubę. Nie byli w stanie pojąć, o co mu chodzi. Chyba tylko młodzi sowieccy poganiacze bydła bardziej domyślili się, niż usłyszeli, że ci z góry dopytują, co to za wojsko jest pod nimi. Prędko zakręcili się i wynieśli na drogę zarekwirowane wcześniej w jakimś niemieckim majątku czerwone płótno. Rozłożyli je równo, dokładnie, aby znak był dobrze widoczny z powietrza, i czekali. Ale lotnicy chyba nie uwierzyli w prawdziwość znaku i pomiędzy wystraszonymi żołnierzami przeszła ściegiem ostrzegawcza seria z kaemów. Rosyjscy poganiacze nie czekali na kolejne kule i uciekli pod osłonę domów, pozostawiając na środku drogi postrzępioną od kul materię.



*Koncentracja 5 Wileńskiej Brygady koło wsi Czaje-Wólka. Stoją od lewej:
Zygmunt Sandziejarz „Lupaszko”, Jerzy Jezierski „Stefan”, Władysław Łukasiuk „Młot”,
Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt”, Łujan Minkiewicz „Wiktor” i Jan Zaleski „Zaja”*

(Instytut Pamięci Narodowej)

Samolot przestał strzelać, ale w dalszym ciągu zataczał kręgi nad szwadronem „Zygmunta” i zniżał lot coraz bardziej, prawie dotykając podwoziem szczytu dachów. A potem raptownie wzniósł się wysoko, by wrócić raz jeszcze, tym razem powoli i precyzyjnie. To wtedy z samolotu wyleciał jakiś niewielki przedmiot i spadał w dół. Oczy wszystkich zawisły w górze, utkwione w tajemniczej paczce. Kiedy ów przedmiot dotknął ziemi, powietrzem targnął potężny wybuch, a stojących najbliżej obsypały grudki ziemi.

Któryś z dowódców ryknął:

— Lotnik! Kryj się!

Partyzanci padli, gdzie kto mógł. Część schowała się pod koronami drzew lub w sieniach chat. Jeszcze kilka razy z samolotu zrzucano małe bomby i granaty, które na szczęście nie wyrządziły nikomu żadnej krzywdy. Ale kiedy maszyna za następnym okrążeniem znowu zaczęła siać serie po ziemi, tego było polskim żołnierzom za wiele.

I chociaż niektórzy, pierwszy raz mając do czynienia z bronią powietrzną, początkowo pochowali głowy w piasek, w końcu zebrali się na odwagę i z różnych miejsc odezwały się polskie erkaemy. Pierwsi zaczęli strzelać ludzie „Młota”. Po chwili dołączyli do nich partyzanci „Zygmunta” i zgodnymi seriami rozbrzmiewało już z dołu kilkanaście erkaemów. W pewnym momencie nawet sam „Młot”, zdenerwowany nieporadnością swoich ludzi i brakiem celnych strzałów, wyrwał jednemu strzelcowi broń z ręki. Oparł ciężki erkaem o najbliższy płot i na stojąco sam posyłał serię za serią w sowiecki samolot. Zmasowany ogień z dołu, a zapewne także celne kule

złobiące dziury w poszyciu kadłuba spowodowały, że maszyna w końcu odleciała, zostawiając w tyle zaskoczonych całą akcją Polaków.

Po tym ataku z powietrza „Zygmunt” postanowił natychmiast opuścić wioskę. Przeczynał, że informacja o obcym wojsku w Wężach szybko rozniesie się po okolicy i w ten rejon natychmiast ściągają komunistyczne posiłki. Partyzanckie grupy wymaszerowały z wioski, kierując się do najbliższego lasu. W Wężach zostali Sowieci ze swoim bydłem oraz bronią, którą wspaniałomyślnie im oddano.



„W toku akcji prowadzonych przeciw bandom do niewoli nie brać:

- a) przywódców i oficerów dowództwa dywersyjnego,
- b) dywersantów stawiających opór z bronią w ręku”

— napisał w rozkazie do żołnierzy „ludowego” Wojska Polskiego komunistyczny marszałek Michał Rola-Żymierski. Obszary ogarnięte działalnością antykomunistycznych oddziałów partyzanckich wzmocniono wojskiem rządowym, a w teren wyruszyło wiele kombinowanych grup bojowych. W rejon działań 5 Wileńskiej Brygady przeniesiono całą 1 Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i 1 Brygadę Pancerną im. Bohaterów Westerplatte. Na tym obszarze działały już pułki NKWD i bataliony KBW. Pod koniec lipca w obławach na partyzantów uczestniczyły między innymi pododdziały 267 Pułku Strzeleckiego Wojsk Wewnętrznych NKWD oraz szkoła oficerska z 62 Dywizji NKWD.

Przedziwnym trafem przez oka tej nieprawdopodobnie wielkiej obławy udało się szwadronowi „Zygmunta” bez szwanku przejść drogą do Wężów. Ale lotniczy zwiad nad wioską wykonał swoje zadanie i niezwłocznie w ten rejon skierowano grupę bojową. Na rozkaz dowódcy 1 DP w pościg za „bandytami” wyjechało ciężarówkami około dwustu dwudziestu pięciu żołnierzy pod ogólnym dowództwem płk. Upszalewicza. Byli to żołnierze 2 Batalionu 2 pp oraz trzech plutonów artylerzystów, wszyscy z Dywizji „Kościuszkowskiej”. Oprócz pułkownika żołnierzom towarzyszyli inni oficerowie: kpt. Cynkin, kpt. Jachimowicz, por. Kamieński i por. Kowalik. Dziewięć samochodów szybko pokonało niedługą drogę, a przed wsią Węże dowódcy podzielili swój oddział na dwie grupy. Pierwsza, dowodzona osobiście przez płk. Upszalewicza, pojechała dalej w kierunku Węży. Natomiast druga, z kpt. Cynkinem i kpt. Jachimowiczem, na czterech ciężarówkach (przy jednej doczepiono działko 45 mm) jeździła po okolicy, blokując ewentualne drogi odwrotu partyzantów. Na rozkaz dowódców „Kościuszkowcy” zachowywali szczególną ostrożność. Baczenie lustrowali mijaną okolicę i przez lornetki wypatrywali podejrzanych osób. Na pakach ciężarówek ustawiono oparte o dachy szoferek karabiny maszynowe, w każdej chwili gotowe do otwarcia ognia. Na pierwszym aucie jechał nawet ustawiony na dachu cekaem. Ale cóż z tego, skoro z koszar, z magazynu broni, żołnierze dostali do niego tylko pół taśmy amunicji. Raczej na postrach był tam zamontowany niż do normalnej walki.



Tymczasem partyzanci po opuszczeniu Weży rażno maszerowali w stronę najbliższego lasu. Właśnie w pewnej odległości mijali wieś Sikory, kiedy nagle ktoś zakrzyknął:

— Auta!

I faktycznie, z oddali słychać było warkot ciężkich, pewnie wojskowych samochodów. Kiedy tylko „Zygmunt”, „Nowina”, „Młot”

i „Wiktor” z lekkiego wzniesienia przez lornetki podejrzeli, kto jedzie i z jakiego kierunku, natychmiast dopadli do swoich żołnierzy i, wskazując w stronę linii lasu, wydali rozkaz:

— Biegiem, marsz!

— Wojsko za nami. W lesie ratunek! — rozeszło się po kolumnie.

Partyzanci puścili się pędem w kierunku drzew. Długi był to bieg.

Długi i niezmiernie wyczerpujący. Za biegnącymi słychać było już wyraźnie odgłos samochodowych silników. Ci, którzy mieli odwagę się obejrzeć, widzieli wojskowe ciężarówki napchane wojskiem, które wyjechały z za zakrętu. Jeszcze bardziej przyspieszono tempo biegu, zostawiając w tyle, na końcu grupy, kuśtykającego na sztywnej nodze „Młota” i zmęczoną już sanitariuszkę „Danke”. Ale zanim samochody z erkaemami na dachach zdołały dogonić partyzantów, ci szczęśliwie przypadli do lasu i w oka mgnieniu uformowali linię obrony. Pośrodku znalazł się dowódca - „Zygmunt”, i towarzyszący mu, ale pozostający trochę w cieniu - „Nowina”. Prawe skrzydło utworzył „Młot” ze swymi ludźmi, a lewym dowodził „Wiktor”.

Partyzanci ciężko oddychali po morderczym biegu, ale równocześnie pewnie trzymali broń i celowali już w nadciągającego wroga. Czekali tylko na sygnał dowódcy. A samochody były tuż, tuż. Widać już było lufy sowieckich maximów i diegtiariewów, ustawionych na dachach szoferek, a także twarze komunistów w kabinach pojazdów.



*Pierwszy szwadron por. Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta”. Dowódca widoczny pośrodku,
Z odkrytą głową, z prawej strony stoi Wanda Minkiewicz „Danka”
(czwarta z prawej w pierwszym rzędzie)*

(Instytut Pamięci Narodowej)

Co bystrzejsi zauważyli nawet działą ciągnięte przez jeden z wozów. Ale nie ulękli się. Ze swoim porucznikiem wychodzili z niejednej opresji, więc i teraz gotowi byli do walki i poświęceń, wierząc w szczęśliwy los dowódcy.

A wojacy z „ludowego” wojska, chociaż teoretycznie przygotowani do walki, przywykli raczej do szybkich akcji, zakończonych bezwzględными sukcesami. Niektórzy mieli co prawda frontowe do świadczenie, ale ich ostatnie zajęcie to głównie pacyfikowanie wsi sprzyjających „bandom”, ewentualnie krótkie potyczki z jakimiś uzbrojonymi wyrostkami. I teraz także spodziewali się co najwyżej krótkiej strzelaniny, uwieńczonej wzięciem do niewoli wszystkich przeciwników lub przepędzeniem ich do lasu. Podjeżdżając pod linię drzew, komunistyczni żołnierze bardziej skupili się na uciekającym po odkrytym polu partyzanckim taborze. Nie było tego wiele: jeden wóz i kilka jucnych koni, zdążających właśnie do Sikor. Widząc tak skromne uposażenie, komuniści nie spodziewali się wielkiej bitwy. Jechali po pewne zwycięstwo. Swoje zwycięstwo.

Było około godziny szesnastej, kiedy pierwszy samochód zbliżył się na odległość dwudziestu metrów do stanowisk partyzantów.

— Ognia! — padła komenda „Zygmunta”, a wszystkie erkaemy i pistolety maszynowe natychmiast plunęły ogniem. Strzelał, kto mógł, starannie celując w napastników, a potem wymieniając zużyte magazynki.

Nawała ogniowa, która uderzyła z lasu, całkowicie zaskoczyła żołnierzy z 1 DP. Pierwsze auto poszło w drzazgi, a z załogi mało kto ocalał. Z drugiego i trzeciego wozu

powyskakiwali w panice żołnierze, ale zaraz dowódcy zaprowadzili jako taki porządek. „Kościuszkowcy” popadali na ziemię i poczęli niemrawo się ostrzeliwać. Kpt.

Jachimowicz i por. Kamieński zagrzewali żołnierzy do walki, próbowali ruszyć swych ludzi do natarcia na linię partyzantów. Bezskutecznie. Za każdym razem celny ogień zbierał krwawe żniwo, a wojskowi skłonni byli co najwyżej bronić się, a nie atakować. Zły przykład przyszedł z ostatniej ciężarówki. Czwarty pojazd, zamykający kolumnę, został najmniej ostrzelany. Ale jego cała załoga, zamiast pomóc kolegom, wzięła nogi za pas. Pierwszy umykał kpt. Cynkin. Żołnierze, widząc dezercerujących towarzyszy, nie kwapili się do ostrej walki. A kiedy padli trafieni ich oficerowie, sami rzucili broń i oddali się w ręce polskich partyzantów. Pod koniec bitwy na niebie ponownie pojawił się sowiecki dwupłatowy Po-2. Na początku strzelał i rzucał granaty, ale już po kilku minutach przestał, aby przypadkowo nie trafić swoich „ludowych” żołnierzy. Z góry pilot i strzelec chyba nie bardzo widzieli, kto jest kto. W każdym razie przestali strzelać, ale za to przez tubę zagrzewali swoich do walki.

— *Wpień od.* — krzyczeli. — *Zdawajcie polskie bandyty!*

Ale skoro razy z góry ustały, nikt nie zwracał uwagi na latającą maszynę i natarczywe okrzyki z przestworzy.



— Te, towarzyszu! Rzuć tę zabawkę! — krzyknął Ryszard Łubrzyc „Harłamp”, widząc, jak jeden z „ludowych” żołnierzy nie odrzuca broni, tylko coś kombinuje za samochodem. Musiał się chyba przestraszyć bezpośredniego wezwania i szybko położył swoją pepeszę na ziemi, po czym uniósł ręce do góry.

— Panie kolego, po co te strzały? - pytał „Zygmunta” wzięty do niewoli komunistyczny porucznik. — Gdybyście nie strzelali, my byśmy sobie spokojnie pojechali.

Kłamał w żywe oczy. Ale por. Błażejewicz przeglądał już znalezione przy martwym kapitanie kody do porozumiewania się przez radiostację. Szyfry dotyczyły działań prowadzonych przeciw „bandom”.

— Na co te brednie! — zachnął się partyzancki dowódca. — Wiem, że jechaliście na obławę. Na nas.

A potem wziął się za przesłuchiwanie podoficerów.

— Dokąd jechaliście?

— Nagle zrobiono alarm i rozdano ostrą amunicję. Mówili, że jedziemy na partyzantów.

— Ilu was jest?

— Cały drugi batalion. Pięć ciężarówek pojechało do wsi z przeciwnej strony.

Również ranni, opatrywani przez partyzanckie sanitariuszki, potwierdzali informację, że oddział jechał na obławę do wsi Węże na partyzantów „Zygmunta”.



Jeńcy wzięci do niewoli przez szwadron „Zygmunta” po walce pod Sikorami. Zwraca uwagę fakt, że niektórzy z żołnierzy spoglądają w górę. Czyżby śledzili lecący po niebie samolot?

Z lewej strony jeńców pilnuje Jerzy Olszewski „Puszcza”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Ci ostatni, oprócz jednego lekko dra śniętego żołnierza od „Młota”, nie mieli żadnych strat. Ale z drugiej strony było wielu rannych. Alicja Trojanowska „Krystyna” oraz Wanda Minkiewicz „Danka” miały pełne ręce roboty.

Pod Sikorami spośród żołnierzy grupy bojowej kpt. Franciszka Jachimowicza zginęło piętnastu ludzi, w tym dowódca i oficer polityczny por. Franciszek Kamiński. Aż siedemdziesięciu dwóch oddało się w ręce oddziału „Zygmunta”. Pośród nich było dwudziestu rannych. Również partyzanckie trofea były imponujące. Żołnierze 1 Szwadronu zdobyli działko 45 mm, dwa cekaemy Maxim, kilka erkaemów i około osiemdziesięciu sztuk karabinów i pepesz. Trochę gorzej przedstawiała się sprawa amunicji. Do działka było zaledwie kilka pocisków, a do cekaemów po pół taśmy naboju. Zdobytej armaty nie odstępował na krok wzięty do niewoli działonowy. Omawiając zasady obsługi tej broni, prosił, aby zabrać go ze sobą. Tłumaczył, że jeśli pokaże się w koszarach bez swego działka, albo od razu dostanie „czapę”, albo zamkną go na długie lata w więzieniu.

Wydawało się, że na dziś to już będzie koniec boju. Z samolotu jeszcze trochę pokrzyczano, ale w końcu i on odleciał, nie spełniwszy swego zadania. Jeńcy, zaskoczeni nienagannym traktowaniem, czuli się chyba dobrze. Zostali poczęstowani papierosami i cukierkami, a ich ranni otrzymali natychmiastową pomoc. Wierzyli, że w rękach tych „bandytów” nic złego im się nie stanie.

I kiedy wszyscy myśleli już o pokojowym zakończeniu bitwy, nagle od strony stanowisk „Wiktora”, który w dalszym ciągu ubezpieczał oddział, nadeszła pilna

wiadomość.

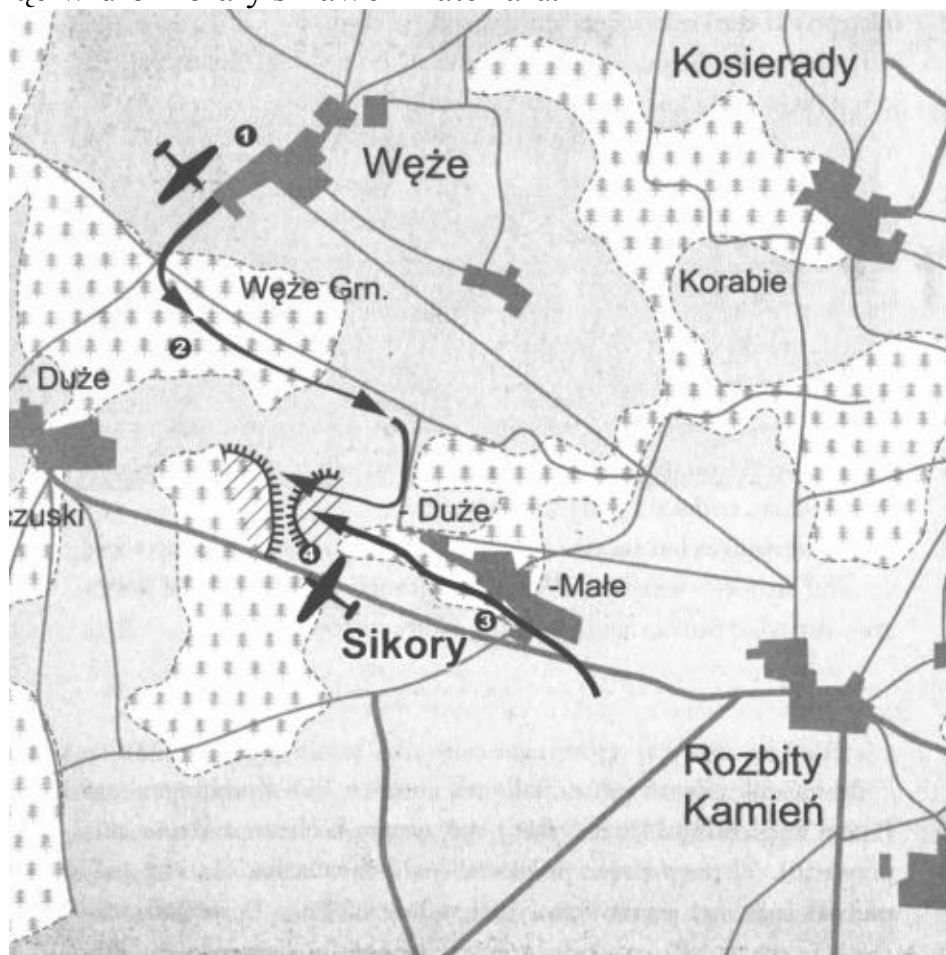
— Nieprzyjaciel zostawił samochody we wsi i posuwa się tyralierą w naszą stronę! — wykrzyczał zdyszany goniec. A potem dodał już ciszej, aby tylko porucznik usłyszał: — Komunistów jest dużo ...



Porucznik „Zygmunt” oddał swój automat PPS i przeżegnał się.

Potem wyprostował się i wyszedł sprężystym krokiem w stronę nieprzyjaciół. W prawej ręce powiewał białą chusteczką. Za nim cały oddział rozwinął się na skraju lasu w bojową linię. Porucznik wiedział, że ma za sobą stu ludzi gotowych do walki. Jedno działo, dwa cekaemy, kilkanaście erkaemów. Wystarczająco dużo, aby stoczyć skuteczną bitwę z liczebnie porównywalnym nieprzyjacielem. Przed odejściem „Zygmunt” zdążył jeszcze przekazać dowództwo „Nowinie”. Tak na wszelki wypadek.

W tym samym czasie z przeciwnej strony w kierunku partyzantów ruszył kapitan, również dzierząc w dłoni biały skrawek materiału.



Bitwa pod Sikorami 8 sierpnia 1945 r.

- ❶ Zagarnięcie pędzonego przez Sowieców bydła we wsi Węże oraz pierwszy atak samolotu.
- ❷ Przepuszczalna trasa 1 szwadronu „Zygmunta”.
- ❸ Kolumna samochodów wojsk komunistycznych.
- ❹ Walka na linii lasu pomiędzy Sikorami a Paczuskami.

Porucznik szedł spokojnie, czując, że jego żołnierze z niecierpliwością trzymają palce na spustach. Wiedział, że „Młot” celuje w pierś komunistycznego kapitana ze swego niezawodnego karabinu SWT-40, zwanego popularnie *samozagładą*. Ale jednocześnie miał świadomość, że gdyby coś nieprzewidzianego miało się zdarzyć, to tylko „Nowina”, „Wiktor” i „Młot” będą wiedzieli, jak się zachować, by wyjść z opresji i bez potrzeby nie gubić ludzi.

W końcu dowódcy obu stojących naprzeciw siebie oddziałów spotkali się pod gruszą rosnącą gdzieś na miedzy, w pół drogi. Stali przez chwilę twarzą w twarz, lustrując się dokładnie, jakby szukali swoich słabych punktów.

— Co masz pan taką żydowską mordę? — zaczął niezbyt uprzejmie komunistyczny kapitan.

— Może ciut grzeczniej, towarzyszu — odpowiedział „Zygmunt” i na znak, że jest Polakiem i katolikiem, pokazał swemu rozmówcy ryngraf z Matką Boską Ostrobramską. Kapitan Cynkin (bo to on był przedstawicielem strony komunistycznej) trochę się skonfundował.

Schował rękę za koszulę przy szyi, co zaniepokoiło „Zygmunta”. Ale kapitan nie wyciągnął broni, tylko ... srebrny medalik.

— Może to pana przekona, że ja też katolik - próbował naprawić pierwsze złe wrażenie.

— A więc dobrze. Będziemy rozmawiać jak katolik z katolikiem. Bo co do waszej polskości, to ...

— Niech pan już da spokój — oburzył się Cynkin. I zaraz pewny siebie dodał: — Poddajcie się. Za chwilę będzie tu jeszcze więcej wojska i sowiecka artyleria. Nic z was nie zostanie. Zdajcie broń i zwróćcie jeńców, a potem razem, bez jednego strzału, pojedziemy do Siedlec.

Na takie *dictum* „Zygmunt” początkowo tylko się zaśmiał.

— Niech pan spojrzy za mnie — powiedział w końcu. — Co pan widzi?

— No, waszą linię, dość dobrze schowaną wśród drzew.

— Coś jeszcze?

Komunista w zruszy! ramionami.

— A widzi pan tę grupę bezbronnych, wziętych do niewoli? Tę, która stoi trochę z boku. Na czele stoi wasz chorąży z białą koszulą w rękę, aby czasem przez przypadek ktoś do nich nie strzelał. To ponad siedemdziesięciu ludzi. Co pan na to kapitanie? Co pan by zrobił na naszym miejscu?

„Czerwony” kapitan początkowo nic nie odrzekł. Widać było, jak zdenerwowanie bierze w nim górę. W końcu wyrzucił z siebie błagalnym tonem:

— Panie poruczniku, niech pan mnie nie gubi! Niech pan wyda mi swoich jeńców i odda choć połowę broni. Obiecuję, że odejdzie pan nieścigany.

— A jeśli otrzyma pan od przełożonych rozkaz pójścia za mną?

— Pójdę w innym kierunku...

— Dobrze. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy spodziewa się pan posiłków.

— Mój przełożony, pułkownik, został z garstką we wsi. Dostał meldunek ciężarkowy z samolotu z dołączonym rozkazem od szefa sztabu 1 DP, aby za wszelką cenę was zniszczyć. Dlatego tu jestem ze swoimi ludźmi i... Ale spieszcie się. W drodze jest już czterdzieści ciężarówek sowieckich artylerzystów, będą za godzinę. A z pewnością powiadomiono również czołgi 1 Brygady.

Nagle ostrzegawczy okrzyk „Wiktora” dochodzący z tyłu oderwał „Zygmunta” od rozmowy. Od strony komunistów zbliżał się do nich jakiś żołnierz z ręką w kieszeni.

Również kapitan zauważył tego śmiałka, ale tylko warknął głośno:

— Porucznik! Do tyłu!

Na co ten pospiesznie zawrócił.

W tym samym czasie nad polem znowu pojawił się dwupłatowy samolot i puścił ostrzegawczą serię w odległości dwudziestu metrów od rozmawiających oficerów.



Porucznik Zygmunt Błżejewicz „Zygmunt” (trzeci z lewej w pierwszym rzędzie) ze swoimi żołnierzami
(Instytut Pamięci Narodowej)

— To co, rozmowa skończona? — zagadnął „Zygmunt”, rozglądając się niespokojnie i szukając na niebie samolotu, który właśnie zataczał krąg gdzieś na horyzoncie.

— Skończona - potwierdził Cynkin i podał dłoń partyzanckiemu dowódcy. — Pół godziny nie ruszam się z miejsca. Potem zabieram rannych i czekam na rozkazy swoich dowódców. Z góry dziękuję za oddanie jeńców i broni. — A na odchodne dodał: — Bóg da, że spotkamy się w lepszych czasach.

— Z Bogiem — rzucił „Zygmunt” i obrócił się na pięcie.

Partyzanci z Wileńskiej Brygady puścili wolno jeńców, zostawiając nawet broń połowie z nich. Część broni maszynowej zabrano ze sobą, a część, szczególnie nieprzydatne w partyzanckich warunkach długie karabiny, połamano i porzucono w lesie. Wyszadzano granatami również wszystkie cztery ciężarówki.

A potem szwadron „Zygmunta” odskoczył od miejsca bitwy, chowając się przed samolotem w lasach i klucząc w coraz bardziej niedostępnych kniejach. Partyzanci prowadzili ze sobą zdobyczne działo i dwa cekaemy. Za arm atą podążał jej działonowy, który jak wiadomo, za nic nie chciał rozłączać się z powierzona sobie bronią. Około godziny dwudziestej zaczęła strzelać z oddali przybyła wreszcie na miejsce bitwy pod Sikorami sowiecka artyleria. Ale jej pociski szły w zupełnie inną stronę, niż odeszli partyzanci. Może za sprawą złych informacji przekazanych przez kpt. Cynkina? Jeszcze przed zmrokiem oddział „Zygmunta” przeszedł kilka kilometrów na północ, a później polscy żołnierze zamelinowali się w jakimś niewielkim lesie, obserwując na drogach wzmożony ruch komunistycznego wojska. Wokół jeździły ciężarówki pełne żołnierzy, a nawet czołgi.

Gdy zapadł zmierzch, szwadron ruszył w dalszą drogę, pokonując przez pół nocy aż dwadzieścia kilometrów trasy. Kolumnę prowadziło trzech szperaczy, za którymi szedł por. „Nowina”. Potem maszerował pchor. Henryk Rezler „Konar”, za nim ppor. „Wiktor”, por. „Zygmunt” i sanitariuszki. Następnie 1 pluton, wóz z rannym, zdobyte działo i cekaemy, drugi i trzeci pluton, a na końcu oddział „Młota” i grupa konnych zwiadowców.

Było już grubo po północy, kiedy partyzanci zbliżyli się do wsi Zaleś (według niektórych opracowań wieś nazywała się Zalesie) i jej kolonii. Chociaż było ciemno i cicho, partyzancka intuicja nakazała „Nowinie” wzmóc czujność przy przechodzeniu przez te wsie. Porucznik nie mylił się, bo kiedy oddział w ciszy przemykał się skrajem zabudowań, na de ciemnego nieba zamajaczyły potężne czołgi i wysokie budy ciężarówek.



*Drużyna plut. Stanisława Aleksandrowicza „Brońpolskiego” z 1 Szwadronu
(Instytut Pamięci Narodowej)*

Natychmiast przez kolumnę przeszedł szeptany rozkaz bezwzględnego zachowania ciszy. Partyzanckie cienie powoli omijały niebezpieczeństwo. Kiedy większa część kolumny była już za wsią, nagle od strony zabudowań jakiś bystrzejszy wartownik zakrzyknął:

— Wozy! Wozy!

Niemal natychmiast w niebo poszybowały rakiety mające rozjaśnić mrok nocy. Gruchnęło kilka ostrzegawczych strzałów. A później ponownie zapadła krótka cisza. Prawie cały oddział minął już wieś, kiedy zabrzmiały gwizdki oficerów budzące żołnierzy do akcji, a potem zawarczały zapuszczane silniki czołgów.

Szwadron „Zygmunta” powoli oddalał się od zaalarmowanych fizyliarów z 1 Brygady Pancerniej. Pierwsi partyzanci widzieli już linię lasu, do której zdążali, aby skryć się przed kontrakcją komunistów.

Jeszcze tylko minuta, dwie i cała grupa zniknie w ciemnościach leśnych kniei. Tak myślał por. Beynar i zapewne wszyscy partyzanci.

Ale nagle z prawej strony zamajaczyły pojedyncze budynki. I to właśnie stamtąd zbliżyła się do nich jakaś czarna postać.

— Stój! Kto idzie?! — zakrzyknął z cicha jeden z partyzantów.

— Gospodarz — odpowiedział spokojnie nieznany mężczyzna. —

A wy to kto?

— Spokojnie, tu Wojsko Polskie!

— No to ... Ognia! — Wrzasnął komunistą i rzucił się na ziemię.

Wtedy nad Zalesiem rozpętała się piekielna nawałnica palącego, lecącego ze wszystkich stron żelaza. W partyzantów waliły najcięższe karabiny maszynowe

(enkaemy), sprzężone po dwa i zamontowane na samochodach terenowych, oraz erkaemy i pepesze komunistycznych żołnierzy. Nad głowami zaskoczonych podkomendnych „Zygmunta” co raz gwizdały pociski wystrzeliwane z czołgów, które na szczęście przenosiły wysoko i wybuchały daleko w lesie. Partyzanci nie pozostali dłużni i ostrzeliwali się ile sił. Tylko działko stało na razie bezużyteczne... I chociaż olbrzymia palba rozbrzmiewała z dość bliskiej odległości, a prowadzący „Nowina” naliczył błyski wystrzałów wychodzące z około pięćdziesięciu luf, to początkowo nie było żadnych strat. Po latach „Zygmunt” śmiało nawet sądzić, że „ludowi” żołnierze celowo strzelali niecelnie, dając możliwość swobodnego odejścia partyzantom. Na nieszczęście znalazł się jeden łązik ze sprzężonymi erkaemami, którego gorliwa trzyosobowa obsługa (może Sowiet?) strzelała celnie i nie szczędziła amunicji. I to on zablokował bezpieczne wycofanie się partyzanckiej kolumny, równo siekąc po przedpolu.



Idący na szpicy por. „Nowina” strzelał na stojąco ze swego automatu i trzymał w szachu komunistyczny oddział, który pojawił się przed partyzantom i Wileńskiej Brygady. Od ognia wystrzałów i światła pikujących po niebie rakiet robiło się widno jak w dzień.



Leon Lech Beynar „Nowina”, 1948 r.
(Instytut Pamięci Narodowej)

W tej jasności obsługa erkaemu zauważyła wyprostowaną postać „Nowiny” i skierowała lufy swej broni w jego kierunku. Kiedy wokół porucznika pociski smugowe zaczęły dziurawić ciemność, „Zygmunt” pomyślał: „Lechu, padnij!”. Ale już nie zdążył zawołać, gdyż Beynar, trafiony wielkokalibrowym pociskiem w udo, zwałił się bezwładnie na ziemię. Z przedpola spod ostrzału wyciągnęła go sanitariuszka

„Krystyna” i to ona, trochę po omacku, dokonała pierwszych oględzin rany i założyła opatrunek. A postrzał był fatalny — wielka szarpana dziura na wylot, jak od pocisków dum-dum.

Już sam kaliber (12,7 mm) broni, z której go postrzelono, sprawiał, że rany przez nią zadane miały średnicę co najmniej konkretnej monety. .. Ale i tak por. Beynar miał wielkie szczęście, ponieważ druga kula zrobiła tylko dziurę w jego pelerynie i przecięła rzemyk, na którym wisiał pistolet, nie drasnawszy nawet ciała. Trochę w bok i byłoby po „Nowinie” ...

Udało się ściągnąć z pola bitwy i opatrzeć ранego porucznika, ale erkaem w dalszym ciągu zagradzał drogę odwrotu, a na miejscu walki w każdej chwili mogły pojawić się komunistyczne czołgi. Czas działał na niekorzyść partyzantów i dlatego „Zygmunt” wydał rozkaz drużynie Stanisława Aleksandrowicza „Brońpolskiego”, aby niepostrzeżenie zaszła z boku lub od tyłu łązik z karabinami i zlikwidowała ten punkt ogniowy nieprzyjaciela. Ludzie „Brońpolskiego” ruszyli do przodu, pełzną, czołgając się lub przeskakując od jednego wgłębienia w ziemi do drugiego. Kiedy partyzanci byli już blisko, podchodząc z boku wrogiego stanowiska, komuniści zauważyli manewr i próbowali przenieść na nich ogień. Skierowań już lufy sprzężonych erkaemów na drużynę „Brońpolskiego” i gotowi byli roznieść w pył bohaterskich Polaków. Ale właśnie w tym momencie zacięła im się broń. I ta chwila ciszy wystarczyła, by kilku chłopców skoczyło i obrzuciło samochód terenowy granatami. Detonacje targnęły powietrzem, w górę poleciały kawałki blachy i szczątki ciał wyglądające jak mokre krwawe szmaty... Wrogie, mordercze karabiny zamilkły na dobre. Po tej akcji również kompania strzelająca z boku wycofała się w stronę zabudowań kolonii, zostawiając na placu boju kilku zabitych i rannych. Czas ku temu był najwyższy, bo kiedy partyzanci włożyli ранego porucznika na wóz i ruszyli w dalszą drogę, za nimi na pełnym gazie pędziło już kilka czołgów T-34, prowadząc do pościgu kolejną kompanię fizylierów z 1 BPanc. Przydało się wreszcie zdobyte działo. Pod okiem wziętego dzień wcześniej do niewoli działonowego partyzanci zajęli stanowisko bojowe. Za ładowali pocisk i wystrzelili, początkowo niecelnie. Ale już pierwszy wystrzał spowodował konsternację w szeregach komunistów.

Czołgi jakby zwolniły, a biegnący żołnierze stracili animusz i poruszali się dalej jak w zwolnionym tempie. Wtedy padł drugi strzał, przy którym działonowy skorygował linię strzału. Pocisk tylko świsnął, a po ułamku sekundy eksplodował tuż przed gąsienicą czołgu.

I wtedy prowadzone przez „ludowe” wojsko natarcie niemalże zastygło w miejscu. Już tylko czołgi poruszały się z wolna do przodu.

Trzeci pocisk wystrzelony przez partyzantów ze zdobycznego działa był celny. Zgrzytnął, odbijając się rykoszetem od pancerza pierwszego tanku. Niewypał. Zresztą, nawet jakby pocisk wybuchł, i tak nie mógłby wyrządzić żadnej szkody grubemu pancerzowi czołgu.

Działo miało za mały kaliber, a partyzanci strzelali ze zbyt dużej odległości, by zniszczyć maszynę. Ale i tak czołg prowadzący całą kolumnę do ataku stanął, a po chwili sam wystrzelił, na szczęście niecelnie. Potem wrzucił wsteczny bieg i, ostrzeliwując przedpole z kaemu, wycofywał się z wolna. Pancerny kolos pociągnął za sobą pierwsze szeregi komunistycznych żołnierzy, którzy, z rzadka się ostrzeliwując, przeskakiwali po kolei do tyłu.

Wykorzystując chwilową przerwę w walce, partyzanci zdecydowali się odskoczyć od nieprzyjaciela. Rozsadzili zamek zdobytej armaty i, jako zupełnie nieprzydatną w partyzanckiej walce, porzucili ją na drodze. To samo zrobili z dwoma cekaemami, wcześniej wysadzając je granatem. Cały oddział, mając tylko jednego rannego, odmaszerował w stronę Hilarowa, gdzie na melinie miał zostać „Nowina”. Po drodze zlikwidowano wziętych do niewoli sowieckiego oficera i oficera politycznego z armii Berlinga, zaś dwóch pancerniaków puszczono wolno. Po zniszczeniu działa ulotnił się również komunistyczny działonowy, który tak brawurowo strzelał do swoich czołgów.



Leon Lech Beynar urodził się w 1909 roku w Sybirsku nad Wołgą i dopiero w 1920 roku wraz z rodziną przybył do Polski, by ostatecznie zamieszkać na stałe w Wilnie. Ukończył tam gimnazjum i Uniwersytet Stefana Batorego. Pracował jako nauczyciel historii w Grodnie, jako spiker w Polskim Radiu Wilno oraz redaktor w tygodniku „Słowo Wileńskie”. Jeszcze przed wojną ujawnił się jego pisarski talent, gdy w 1935 roku zadebiutował książką *Zygmunt August na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa*. W czasie kampanii wrześniowej Lech Beynar walczył w składzie rezerwowej 41 DP i razem z nią złożył broń przed Sowietami 26 września. Uciekł z niewoli i przedostał się do żony, która z roczną córeczką przebywała cały czas w Wilnie. Zaraz też zaczął konspirować, oficjalnie od 1940 roku w szeregach ZWZ-AK, przyjmując pseudonimy „Władysław” i „Nowina”.

Tuż przed akcją „Ostra Brama” Beynar dostał przydział do komórki Biura Informacji i Propagandy, a do walk zgłosił się na ochotnika, aby relacjonować wydarzenia. Po wyzwoleniu miasta i perfidnym sowieckim aresztowaniu dowództwa AK „Nowina” wraz z innymi partyzanckimi zgrupowaniami pomaszerował do Puszczy Rudnickiej, przyłączając się do oddziału mjr. Dębickiego. Po rozwiązaniu polskich grup wraz z kilkunastoma partyzantami próbował przedrzeć się do ogarniętej powstańczymi walkami stolicy. Okrażony przez sowieckie zagony, został internowany i odstawiony do Dojlid, gdzie powstawały zapasowe bataliony „ludowego” Wojska Polskiego. Na szczęście łatwo można było wykaraskać się z tych perturbacji i Beynar uciekł z jednostki, by po kilku dniach dołączyć do brygady mjr. „Łupaszkii”. Tam wkrótce stał się adiutantem dowódcy, a następnie jego zastępcą.

Po bitwie pod Sikorami i starciu pod Zalesiem w wyniku otrzymanej rany „Nowina” cierpiał bardzo. Na jednym z postojów sanitariuszka zaaplikowała mu zastrzyk przeciwtetanowy. Po szczepionce Beynar dostał tak strasznych konwulsji, że

jego partyzancy towarzysze myśleli, iż to już koniec. Zachodziło nawet podejrzenie, że porucznika trafił specjalny pocisk powodujący zakażenie (czubek naboju malowany na żółto). Na szczęście drgawki minęły, ranny żył nadal i wszyscy odetchnęli z ulgą.



Leon Lech Beynar, czyli Paweł Jasienica
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

Cały czas maszerując i próbując zmylić ewentualną pogoń, szwadron „Zygmunta” dotarł do Hilarowa i tam, w punkcie sanitarnym miejscowej komórki AK, pozostawiono rannego Lecha Beynara. Ukrywał się w gospodarstwie u Kuligowskich,

których córka była w AK. Chwile grozy przeżył, kiedy do wsi dotarła poszukująca „bandytów” komunistyczna obława. Przetrwał ukryty w chlewiku. Do rannego wezwano nareszcie lekarza. Kilka dni później na melinie odnalazła go sanitariuszka I Szwadronu Wanda Minkiewicz „Danka”, a jego macierzysty oddział już myślał, gdzie znaleźć mu następną, bezpieczniejszą kwaterę. Na przełomie sierpnia i września po rannego przybył patrol ze szwadronu „Żelaznego”. Nie powinien dziwić fakt, że swych leśnych braci z partyzantki „Nowina” powitał wycelowaną w nich lufą pistoletu maszynowego. Wszak to oni sami przedstawili się gospodarzom jako funkcjonariusze UB. Na szczęście do wymiany ognia nie doszło i szczęśliwego „Nowinę” przewieziono najpierw do Zagórza, a później na dłuższy pobyt do Jasienicy, do księdza Stanisława Falkowskiego. W małym pokoiku na plebanii „Nowina” znalazł opiekę i bezpieczeństwo. Mógł spokojnie dochodzić do zdrowia. Rana powoli się goiła, ale w dalszym ciągu wyglądała paskudnie.

Długa rekonwalescencja była dla „Nowiny” okazją do głębszych rozmyślań na temat sensu prowadzenia dalszej walki i prób normalnego życia. To chyba wtedy Lech Beynar zdecydował, że po wyleczeniu rany do partyzantki już nie wróci. Postanowił się ujawnić, gdyż nie wierzył już w wybuch wojny amerykańsko-sowieckiej. Miał przeczucie, że organizacja trzyma ludzi w lasach, ponieważ jest to jakiś rodzaj karty przetargowej polskiego rządu w Londynie. Kiedy w lipcu 1945 roku zachodnie mocarstwa uchyliły poparcie dla polskiego rządu na wychodźstwie, nawet ten argument za utrzymywaniem oddziałów leśnych upadł. A Beynar nie widział już żadnych perspektyw na walkę z komuną. Odtąd stał się wielkim orędownikiem ujawniania się, korzystania z amnestii oraz szukania z komunistami nie walki, a kompromisów. To również wtedy na zawsze odstawił broń i zaczął spisywać swoje wojenne przeżycia w grubych brulionach. Powstało dziesięć takich, drobnym maczkiem zapisanych, zeszytów.

Rekonwalescenta odwiedzał nawet sam „Łupaszko”, pogodzony widocznie ze stratą swego zastępcy. Przekazał „Nowinie” dokumenty repatriacyjne i trochę pieniędzy na bieżące wydatki w cywilnym życiu. Kiedy Leon Beynar był już jedną nogą w cywilu, jakiś nieokreślony partyzancki oddział zajął posterunek MO w Jasienicy, po czym zaroilo się w terenie od komunistycznych grup. To wydarzenie przyspieszyło wyjazd „Nowiny”, który nawiązał kontakt ze swoim starym przyjacielem Antonim Gołubiewem, piszącym teraz w „Tygodniku Powszechnym”. W styczniu 1946 roku „Nowina” wyjechał do Krakowa i zaczął pisać dla tego czasopisma. Po pół roku wszedł w skład redakcji „Tygodnika Powszechnego”, a swoje teksty podpisywał teraz jako Paweł Jasienica.



W tym samym czasie, w lipcu 1946 roku, w dniu ósmych urodzin swej córki Ewy (co jej samej szczególnie zapadło w pamięć), Leon Beynar spotkał się ze swoją żoną Władysławą i córeczką, które jako repatriantki przyjechały do pojałtańskiej Polski z

Wilna. „Nowina” nie widział się z rodziną od dwóch lat, od czasu akcji „Burza” i walk o Wilno w 1944 roku. On sam wynajmował mieszkanie w Krakowie, a rodzina zamieszkała w Zakopanem.

Paweł Jasienica napisał cały szereg artykułów, publikowanych nie tylko w „Tygodniku Powszechnym”. Powoli stawał się poczytnym publicystą z rozpoznawalnym nazwiskiem wśród redaktorów czasopisma. Pomimo tego wydanie jego pierwszej książki zawierającej reportaże z Ziemi Odzyskanych i zatytułowanej *Po kataklizmie* komunistyczna cenzura zatrzymała. Ale to był jeszcze niewielki problem.

„Nowina” nie spodziewał się, że latem 1948 roku będzie trwała akcja wyłapywania byłych wileńskich partyzantów w ramach ubeckiej operacji pod kryptonimem „X”. Pod koniec czerwca aresztowano „Łupaszkę”, 1 lipca „Wiktora” i jego żonę „Danę”. W tym samym mieszkaniu, w którym zatrzymano Minkiewiczów, wpadł również dzień później Jasienica. Natychmiast u komunistycznych władz interweniowali koledzy z „Tygodnika Powszechnego”, między innymi Jerzy Turowicz, Stanisław Stomma i Antoni Gołubiew. Ale Beynar odzyskał wolność głównie dzięki wstawiennictwu Bolesława Piaseckiego, który monitował sprawę podobno aż u samej Julii Brystygierowej „Krwawej Luny”. I to ona osobiście zdecydowała o uwolnieniu „Nowiny”. Po niecałych dwóch miesiącach Paweł Jasienica odzyskał wolność. Na odchodne usłyszał:

— Wyjdzie pan i zobaczymy, czy to się ojczyźnie opłaci. Jest pan człowiekiem inteligentnym, proszę nie zdradzać tajemnicy śledztwa i nie próbować wyjeżdżać za granicę...

Na wolności „Nowina” powrócił do pracy w „Tygodniku Powszechnym”, a równocześnie podjął współpracę ze stowarzyszeniami PAX (któremu szefował Piasecki) i Caritas oraz Związkiem Literatów Polskich. Niestety po opuszczeniu aresztu „Nowina” zniszczył swoje wojenne wspomnienia, co do dziś jest sprawą nie do odwołania.

W 1964 roku niepokorny pisarz ponownie znalazł się na komunistycznej „czarnej liście”. W związku z zaostreniem rządowej cenzury w tym czasie podpisał tak zwany „List 34” — intelektualistów protestujących przeciw tym restrykcjom. Buntował się przeciwko zdjęciu z afisza *Dziadów* Kazimierza Dejmka i poparł protest studentów w 1968 roku. W tym czasie na pisarza donosiło aż kilkudziesięciu agentów bezpieki, a w efekcie jego dalszych patriotycznych działań doszło do oficjalnego zakazu publikowania jego dzieł i wyrzucenia go ze Związku Literatów Polskich. Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

W marcu 1968 roku, podczas partyjnego wiecu, sam I sekretarz PZPR Władysław Gomułka próbował przywrócić do pionu niezależnego pisarza. Na początku swego przemówienia towarzysz „Wiesław” podał prawdziwe nazwisko Jasienicy, pytając retorycznie: cóż to za osobnik?

I zaraz sam dał odpowiedź, wspominając przynależność Beynara do „bandy” mjr.

„Łupaszki” i jego udział (a nawet przywództwo) w wielu akcjach oddziału, w tym takich, w których ginęli ludzie.

— Po aresztowaniu, w toku śledztwa Jasienica przyznał się, że działał w bandzie „Łupaszki” i że dopuścił się zarzucanych mu czynów!



Grób Pawła Jasienicy na warszawskich Powązkach (ten najwyższy)

(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

— grzmiał I sekretarz. - Pomimo tego śledztwo przeciwko Jasienicy zostało umorzone z powodów, które są mu znane... — dodawał enigmatycznie Gomułka,

sugerując, że zwolnienie z więzienia „Nowiny” musiało bez wątpienia łączyć się z podjęciem przez niego tajnej współpracy z bezpieką.

Po takim ataku pisarz już się nie podniósł. Początkowo próbował się jeszcze jakoś bronić, wysyłając do zaprzyjaźnionych pisarzy swój prawdziwy życiorys. Na niewiele się to jednak zdało i do końca życia Jasienica pozostawał na komunistycznym wyklęciu. Tuż przed śmiercią zaczął od początku spisywać swoje wspomnienia, nie licząc nawet na ich wydanie. Niestety praca ta, zatytułowana *Pamiętnik*, została nieukończona (obejmuje jedynie dzieciństwo i studencką młodość autora) w związku z niespodziewaną śmiercią Pawła Jasienicy w sierpniu 1970 roku na raka płuc. Już zawsze pozostanie on w sercach czytelników niedoścignionym autorem esejów historycznych, z tymi najbardziej znanymi: *Polską Piastów*, *Polską Jagiellonów* i *Rzeczpospolitą Obojga Narodów*.

Warto dopowiedzieć, że po śmierci pierwszej żony, Władysławy (1965 rok), w życiu Pawła Jasienicy pojawiła się jeszcze jedna kobieta. Zofia Kazimiera „Nena” O’Bretenny z domu Darowska znalazła się niespodziewanie przy pisarzu załamany niedawną stratą i roztoczyła nad nim swe wdzięki. Była młodsza od niego o piętnaście lat i może dlatego udało jej się „uwieść” Jasienicę. Zbliżyła się do niego, oczarowała go, a w efekcie zdobyła jego miłość. Do tego stopnia, że kilka miesięcy przed śmiercią „Nowina” wziął skromny ślub z Zofią Kazimierą. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie drobny fakt, że „Nena” współpracowała z bezpieką i pod pseudonimem „Ewa” nawet i codziennie wypisywała na swego „ukochanego” donosy do SB. Czasami podczas nieobecności męża, na którego donosiła, odwiedzał ją esbecki „przyjaciół”, któremu przekazywała meldunki na Jasienicę. Nawet po śmierci „Nowiny” agentka „Ewa” kontynuowała haniebną współpracę z komunistycznymi służbami i...

Ostatnie naboje majora

Miodusy Pokrzywne, 18 sierpnia 1945 roku

P

orucznik „Zygmunt” musiał się bardziej schylić, chowając się X przed kulami sowieckiego erkaemu. Charakterystyczny dźwięk wystrzałów radzieckich diegtariowów słychać było już blisko, z drugiej strony drogi. Polskiemu dowódcy wydawało się, że bezpiecznie skrył się w glinianych dołach za ścianami chlewu, ale nieprzyjacielskie serie szły coraz niżej. Po chwili na głowę „Zygmunta” posypały się najpierw drobinki słomy z dachu, a potem drewniane drzazgi ze żłobionej kulami ściany. Dowódca 1 Szwadronu nie mógł nic poradzić.

Wiedział, że każdy jego ruch może się skończyć trafieniem. Bezsilny obserwował, jak dwóch ludzi z erkaemem z oddziału „Młota” przebiega nieopodal i pada na całkowicie odsłoniętym terenie. Chcieli swoim ogniem uciszyć nieprzyjaciela i zneutralizować jego stanowiska, ale nie zdążyli nawet wystrzelić. Padli martwi, nie oddawszy ani jednego strzału.

— Na obejście! - ryknął na swoich żołnierzy „Zygmunt”.

Wyskoczyła dwójka kolejnych: sierżant „Kruk” Zygmunt Kuczyński i strzelec „Wacek” Mikołaj Torniewicz. Wyprostowani, bez żadnej osłony, przebiegli kilkanaście metrów i niemal równocześnie upadli niedaleko zabitych żołnierzy „Młota”. „Zygmunt” miał jeszcze nadzieję, że celowo skryli się na moment przed ogniem komunistów.

Ale nie. Minęła dłuższa chwila, a oni ani drgnęli. Celne nieprzyjacielskie serie podziurawiły młode ciała polskich partyzantów. Bezradny „Zygmunt” zaczął się niepokoić, że z tej strony bitwy braknie mu w końcu żołnierzy. Obok niego leżała sanitariuszka „Krystyna” Alicja Trojanowska i pchor. „Konar” Henryk Rezler. Tych postanowił zostawić na razie przy sobie. Machnął ręką na następną dwójkę. Kolejni żołnierze byli już bardziej ostrożni. „Żwirko” Józef Babicz i „Puchacz” Roman Cieślik skokami zbliżali się do sowieckich stanowisk, co kilka kroków zalegając za wybranymi wzniesieniami. Gdy podeszli dostatecznie blisko, celnymi strzałami unieszkodliwili obsługę morderczego erkaemu. Potem pełzli dalej do przodu. W tym czasie walczący od strony drogi żołnierze „Wiktora” Lucjana Minkiewicza zmasowanym ogniem rozstrzelali stanowisko drugiego komunistycznego erkaemu. Wydawało się, że najcięższy moment bitwy już minął i zwycięstwo przechyla się na stronę żołnierzy „Zygmunta”.

Ale wtedy na nowo rozgrzmiały sowieckie kaemy, a od strony stanowisk „Wiktora” słyhać było krzyki:

— Nie strzelajcie! Walicie po nas! Mamy straty!

— To nie my! — w odpowiedzi wrzeszczał na całe gardło „Zygmunt”. - To Soweciarze prują do was z rowów!



Jeszcze kilka dni wcześniej nic nie zapowiadało tak poważnego starcia. Po bojach pod Sikorami i w Zalesiu, już bez rannego „Nowiny”, pierwszy szwadron por. „Zygmunta” Zygmunta Błażejewicza, liczący około osiemdziesięciu ludzi, 15 sierpnia 1945 roku uroczyście i zupełnie jawnie wkroczył do Jabłony Lackiej. W tym dniu we wsi odbywał się odpust na Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny, a dodatkowo 15 sierpnia to także przedwojenne Święto Żołnierza i rocznica Cudu nad Wisłą z 1920 roku. W wiosce zaplanowano koncentrację całej 5 Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Tym razem bez udziału dowódcy brygady na miejscu koncentracji zbierały się poszczególne szwadrony. Był już oddział „Zygmunta”, oddział „Burego” Romualda Rajsa i grupa „Mściśława”

Mariana Plucińskiego. Na początku odbyła się bardzo podniosła msza święta koncelebrowana przez księdza prałata Fijałkowskiego, po której zastępujący „Łupaszkę” „Zygmunt” na schodach kościoła wygłosił krótkie, lecz płomienne przemówienie do mieszkańców i żołnierzy.



Szwadron por. Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta” wkracza do Jabłony Lackiej, 15 sierpnia 1945 r.

(Instytut Pamięci Narodowej)

Po mowie do porucznika podeszła kilkuletnia dziewczynka i wręczyła mu bukiet kwiatów. Nie zdążył nawet podziękować, kiedy trochę starsza dziewczyna podbiegła i

wyrwała kwiaty, twierdząc, że są dla porucznika „Burego” . . . „Zygmunt” uśmiechnął się zakłopotany, ale oddał kwiaty, bo co miał zrobić. Później, już za stołem na plebanii, śmiał się w duchu, słuchając wielokrotnych przeprosin zawstydzonej panny.

W Jabłonnej Lackiej można było na chwilę zapomnieć o nowej okupacji i walce przeciw komunistycznemu reżimowi. Mieszkańcy zgotowali żołnierzom polskiego podziemia naprawdę serdeczne przyjęcie. Po mszy wszyscy zjedli smaczny (a to niecodzienne w partyzantce!) obiad, a później śpiewano i tańczono na wspólnej zabawie. Kadre dowódczą brygady zaproszono do stołu księdza prałata na plebanii. Ale zanim skończyli wyśmienity posiłek, do por. „Zygmunta” przyszła delegacja mieszkańców pobliskich wiosek. Polacy błagali o pomoc i ratunek. Według ich relacji po okolicznych osadach jeździła komunistyczna ekspedycja karna, która represjonowała miejscową ludność. Grupie tej przewodził sowiecki doradca PUBP w Bielsku Podlaskim mjr Gribko. Oprócz niego w skład grupy wchodził też funkcjonariusze UB oraz radziecki sędzia i prokurator, którzy doraźnie skazywali Polaków za udział w konspiracji czy choćby tylko sprzyjanie oddziałom leśnym. Był wśród nich również jeden zdrajca, dezerterski z „ludowego” Wojska Polskiego, który krótki czas spędził w partyzantce, a teraz wskazywał konkretne osoby działające przeciwko nowej władzy i w jakiś sposób narażające się komunistom. Ludzi tych aresztowano, a niektórych od ręki sądzono i skazywano na karę śmierci, a nawet wieszano ku przestrodze innych. Nic więc dziwnego, że gospodarze, wiedząc, kto gości w Jabłonnej, wstąpili do wsi, by szukać wsparcia i ratunku. „Zygmunt” obiecał rozprawić się z nadgorliwymi wykonawcami sowieckich rozkazów. Już kolejnej nocy 1 Szwadron skierował się na teren działalności komunistycznej ekspedycji.

W czasie, gdy oddział polskich partyzantów wyruszał naprzeciw sowiecko-polskiej grupy represyjnej, do sowieckiego dowódcy jednej z kompanii NKWD stacjonującej w Siemiatyczach nadeszła wiadomość z UB w Bielsku Podlaskim o ukrywającej się polskiej uzbrojonej „bandzie” z AK. Komuniści najszybciej, jak tylko można, zorganizowali grupę bojową składającą się z 4 Kompanii Strzeleckiej 267 Pułku NKWD oraz jednego plutonu 1 pp z komunistycznej 1 DP. Dnia 17 sierpnia kombinowany oddział (czterdziestu czterech Sowieców i dwudziestu dwóch Polaków), dowodzony przez st. lejtn. Amelina, wyszedł w pole i wieczorem dotarł do Ostrożan. W majątku tym połączył się z karną ekspedycją mjr. Wasilija Gribki, który objął dowodzenie nad całością komunistycznych sił.

Nazajutrz postanowiono rozpuścić zwiadowców, aby zorientować się w sytuacji. W majątku pozostało jedynie kilkunastu komunistów wraz z radiostacją, z zadaniem zorganizowania obiadu dla reszty grupy. Kilkunastu ludzi wymaszerowało do Grodziska, ale nie znalazło tam polskich partyzantów. Dużo większą grupę w kierunku Miodusów Pokrzywnych poprowadzili Gribko i Amelin. Do dziś dnia nie wiadomo dokładnie, ilu ludzi mogli mieć pod sobą. Niektórzy mówią o niespełna czterdziestu żołnierzach, inni twierdzą, że było ich nawet dwa razy więcej. Kiedy „czerwony”

oddział zbliżał się do wsi, nagle z upalnego nieba spadł nieoczekiwany, krótki, ale intensywny deszcz.

Przemoczeni komuniści biegiem schronili się w stojącej na brzegu osady wielkiej stodole, aby przeczekać nawałnicę.



Po wyjściu z Jabłonny Lackiej szwadron „Zygmunta” połączył się z oddziałem „Młota”, który nie był obecny na koncentracji. Około stu partyzantów ruszyło na wschód i przeprawiło się na drugi brzeg Bugu. Podczas przeprawy z prawego brzegu ktoś nieoczekiwanie zaczął strzelać do partyzantów z pistoletu. Na szczęście w nocy kule były niecelne, ale niepotrzebnie narobiły hałasu. Sprawca, którym był najprawdopodobniej jakiś lokalny działacz partyjny, zniknął w ciemnościach, a później zaalarmował milicję. W ten sposób w terenie rozeszła się informacja o „bandyckiej” grupie na prawym brzegu Bugu.

Żołnierze od „Łupaszk”, idąc na poszukiwanie grupy mjr. Gribki, nie wiedzieli, że swoją obecnością uruchomili kolejne oddziały obławy.

Za „Zygmuntem” ruszyły dwa bataliony NKWD z 267 Pułku, kompania „ludowego” WP i oficerska szkoła z 62 Dywizji NKWD.



Zdjęcie 5 Wileńskiej Brygady AK mjr. „Łupaszk” Zygmunta Szendzielarza

(zbiory Lidii Lwow-Eberle)

Na pierwszym noclegu grupa „Zygmunta” nawiązała kontakt z lokalnym oddziałem NSZ dowodzonym przez „Kmicica”. Pod jego rozkazami pozostawało około pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi. Obie strony obiecały sobie wzajemne wsparcie w przypadku walki i natychmiastową pomoc po wystrzeleniu rakiet sygnalizacyjnych. Następnego dnia 1 Szwadron dotarł do Miodusów Pokrzywnych i rozłożył się na kwaterach. Oddział „Młota” stacjonował od strony majątku Ostrożany, a szwadron „Zygmunta” zajął resztę wsi.

W porze obiadowej gospodynie zaprosiły kadrę dowódczą na smażone ryby,

świeżo złowione w Bugu. Apetyczny zapach przygotowywanego posiłku kręcił w nosie i żołnierze już nie mogli doczekać się jedzenia. Niektórzy nazbyt głośno przełykali ślinę, nie dostrzegając nawet, że za oknem rozpadało się na dobre. Ciemne chmury niespodziewanie zakryły niebo, a spieczoną słońcem ziemię bombardowały teraz grube krople deszczu. Żołnierze pochowali się pod dachy, aby przeczekać gwałtowną ulewę. Nawet wystawione warty znalazły schronienie pod drzewami albo pod wystającym zadaszaniem chałup, cały czas, mimo deszczu, dokładnie lustrując najbliższą okolicę.

— Obiad gotowy! Zapraszamy i smacznego — zachęcała z uśmiechem jedna z pań goszczących partyzanckich dowódców, stawiając na stole parujące półmiski. Wygłodniali żołnierze najchętniej rzuciliby się na pięknie pachnące jedzenie, ale powstrzymywała ich obecność dowódcy. A „Zygmunt” starym zwyczajem najpierw przeżegnał się i podziękował Bogu za hojne dary. Później, jako najstarszy stopniem, pierwszy schwycił widelec i wbił go w najpiękniejszą i najbardziej apetyczną smażoną rybkę.

— Panie poruczniku! — krzyknął od drzwi jeden z wartowników. —

Panie poruczniku! Odział komunistów zbliża się od strony majątku!

Żołnierz od „Młota” był cały przemoczony. Krople wody kapały z jego munduru, tworząc na podłodze sporą kałużę, ale nikt nie zwracał na to uwagi. „Zygmunt” odłożył nietkniętą rybę, złapał za swój PPS i wybiegł na zewnątrz. Za nim to samo zrobili wszyscy żołnierze, zostawiając na stole tak długo wyczekiwany obiad.



Minęła już gwałtowna letnia ulewa i znowu zaświeciło słońce.

Żołnierze, lawirując między dymiącymi parą kałużami, biegli w kierunku, skąd nadchodziło niebezpieczeństwo. Po drodze „Zygmunt” wydawał rozkazy. „Wiktor” miał zebrać resztę szwadronu stacjonującego z tyłu i próbować oskrzydlić napastników. „Młot” miał dołączyć do swoich ludzi, ale na razie trzymał się dowódcy. „Zygmunt” wraz ze swoim poczem i sanitariuszką „Krystyną” biegł na skraj wsi, aby zorientować się w sytuacji. Zanim dotarł na miejsce, z tej strony rozszalała się już nawałnica ognia. Komuniści strzelali z dwóch kierunków. Jedna grupa skryła się przed deszczem w stodole i, prowadząc stamtąd ogień, trzymała w szachu ludzi „Młota”. Drugi odział zajął stanowiska w przydrożnym rowie i skutecznie zablokował nadciągające posiłki „Wiktora”.

„Zygmunt” i „Młot” podprowadzili kilku swoich ludzi ze „sztabu” w stronę ziejącej ogniem stodoły. Początkowo przed kulami chroniły ich mury solidnego chlewu. Z drugiej strony podwórka trwała walka wokół drogi. Słychać było narastającą palbę karabinów i terkotanie automatów.

— Mam nadzieję, że „Wiktor” wytrzyma — mruknął „Zygmunt”, a potem chwycił za swój pistolet maszynowy i położył trupem dwóch Sowietów, którzy wyskoczyli nagle z wierzei stodoły. Inny enkawudzista wychylił się ze środka i rzucił granat.

— Uwaga! — wrzasnął „Młot” i wszyscy natychmiast rzucili się na ziemię. Na

szczęście wybuch, który targnął powietrzem, nie zrobił nikomu szkody, a odłamki poszły w ścianę. Po chwili Sowiet wychylił się kolejny raz, ale już nie zdążył cisnąć zabójczego żelastwa. Padł martwy trafiony celnymi kulami, a tuż przy nim wybuchł jego odbezpieczony granat.

— „Konar”! — krzyczał „Zygmunt” na swego podwładnego. — Rakiety w stodołę!

Natychmiast w stronę drewnianej budowli z sykiem poszybowała rakietą i z miejsca wznieciła ogień na słomianym poszyciu dachu. Komuniści jeszcze nie zauważyli, że cała strzecha stanęła w płomieniach i, ostrzeliwując się, nie zamierzali opuścić schronienia. Ale kiedy na ich głowy spadły pierwsze płonące wiązki słomy, a zaraz potem opalone krokwie, nie bacząc na ostrzał, zaczęli wyskakiwać na drogę do swoich. Wybiegający na końcu gasili mundury zajęte już ogniem. Tych miłosiernie dostrzeliwali żołnierze „Zygmunta”, ucinając ich cierpienia. To był ostatni moment, by uwolnić się z płonącej pułapki, ponieważ zaraz cały dach stodoły zapadł się, wskrzeszając tysiące iskier i chmury ciemnego dymu. Znajdujący się w pewnej odległości ludzie „Zygmunta” musieli zakryć twarze przed podmuchem szalejącego żaru, kiedy po chwili zawałonymi i dopalającymi się zwalami desek i belek targnęły silne eksplozje.



Partyzancki patrol z brygady „Łupaszki”

(Instytut Pamięci Narodowej)

To partyzanckie zapasy amunicji wożone za oddziałem na furmance, a teraz ukryte w stodole, padły łupem płomieni.

— Chociaż z tej strony mamy spokój — pomyślał „Zygmunt”, patrząc na zgliszcza budynku, i poprowadził swój poczet bliżej drogi, gdzie w dalszym ciągu trwała walka. Ale zaraz z drugiej strony chlewa jego grupka wpadła w ostry ogień dwóch erkaemów usytuowanych w rowie. Musieli jak najprędzej skryć się przed coraz bliższymi kulami.

Sowieccy erkaemiści celowali dobrze. Najpierw ich pociski rozstrzelały dwóch partyzantów „Młota”, którzy dość niefrasobliwie zajęli niczym nieosłonięte stanowiska. Potem jeszcze komunistyczne kule przyszpiliły idących na obejście dwóch ludzi „Zygmunta”, zanim wreszcie Polacy roznieśli te dwie sowieckie obsługi erkaemów.

Ale wtedy dał o sobie znać całkowicie niewidoczny i chwilowo nieuchwytny radziecki snajper.



Major Gribko był zaskoczony gwałtownością starcia. Na wojnie przeżył już niejedno i przetrwał w ogniu wiele bitew, ale teraz nie bardzo wiedział, jak się zachować w obliczu ataku polskich partyzantów. Ostatnio bardziej przyzwyczajony był do spokojnego pacyfikowania bezbronnych wsi i aresztowania polskich chłopów niż do ostrej, bezpardonowej walki z uzbrojonymi „bandami”. Gribko nie mógł, jak to robił na froncie, wezwać na pomoc artylerii, czołgów lub lotnictwa. Jedyna radiostacja oddziału NKWD pozostała w Ostrożanach i sowiecka grupa zdana była tylko na siebie. Chociaż nie do końca. Na początku walki w kierunku Ostrożan pognął na koniu goniec majora. I to była ostatnia nadzieja „czerwonych”. Liczyli, że żołnierz powiadomi, kogo trzeba, o tym, co dzieje się w Miodusach, i sprowadzi pomoc. W obecnej sytuacji majorowi i jego żołnierzom nie pozostało nic innego, jak wytrwać w walce do końca.

Kiedy padły pierwsze strzały, st. lejtn. Amelin wyprowadził połowę ludzi ze stodoły, w której schronili się przed deszczem. Próbował rozwinąć ich w tyralierę i poprowadzić do natarcia lub oskrzydlenia partyzantów, ale nie dał rady. Pod celnymi kulami jego żołnierze zalegli w przydrożnym rowie i stamtąd odstrzeliwali się postępującym Polakom. Szczególnego wsparcia w obronie udzieliły obsługi erkaemów, które omiatały pociskami pobliskie zabudowania i krzaki, nie pozwalając zbliżyć się przeciwnikowi. Za towarzyszymi z NKWD na pole wyskoczył również żołnierz trzymający karabin z lunetą, ale nie został przy drodze, tylko chyłkiem się wycofał. Dopiero po dłuższej chwili z kierunku, w którym zniknął snajper, zabrzmiał jego karabin.



Komunistyczni funkcjonariusze UB oraz ich sowieccy doradcy. Na zdjęciu widoczna obsada PUBP w Augustowie, siedzi w środku mjr W. Wasilenko, stoi pierwszy z lewej Mirosław Milewski, późniejszy wiceminister spraw wewnętrznych PRL

(Instytut Pamięci Narodowej)

W stodole pozostała druga grupa, skupiona wokół majora.

Byli to enkawudziści z niebieskimi czapkami oraz polscy żołnierze i ubecy. W grupie tej znajdowali się również ubrani po cywilnemu prokurator i sędzia — postrach okolicznych mieszkańców. Ale oni nie angażowali się w walkę. Chociaż mocno ściskali w zapoconych dłoniach pistolety, to bardziej myśleli, jak wywinąć się z całej

tej niebezpiecznej przygody, niż jak wziąć w niej udział. Żołnierze mjr.

Gribki rozlokowali swe stanowiska ogniowe w otwartych wrotach stodoły oraz w szparach ścian i dachu. Stamtąd początkowo pruli ile pocisków w magazynkach. Kiedy do budynku zbliżali się partyzanci, Sowieci rzucali granaty, odsuwając w czasie ostatnie, decydujące starcie. Major szybko policzył atakujących i wyszło mu, że przeciwnik ma przewagę. Gdyby doszło do walki wręcz, wątpił, czy jego bojcy odnieśliby zwycięstwo. Dlatego postanowił jak najdłużej wytrwać w obronie i doczekać albo odsieczy, albo nadejścia nocy, w ciemnościach której zamierzał oderwać się od nieprzyjaciela. Ale sierpniowy dzień był długi i do zmroku pozostało jeszcze wiele godzin, a tymczasem jego żołnierze dobywali resztki amunicji i granatów. Na domiar złego zapalił się słomiany dach stodoły dającej do tej pory schronienie komunistom. Kiedy na głowy zebranych żołnierzy zaczęły spadać palące się belki, major na siłę wyganiał po kilku z nich na zewnątrz. Widział, że wielu pada pod celnymi kulami, ale nie było już innej drogi. Wraz z przedostatnią grupką wybiegli sędzia i prokurator, lecz zamiast wspomóc swoich towarzyszy broniących się wokół drogi, czmychnęli do tyłu, w stronę rosnącego na polu owsa. Spod olbrzymiego płomienia palącej się stodoły major obserwował uciekających funkcjonariuszy. Widział, jak pierwszy przewrócił się sędzia, gubiąc kapelusz, a później, już przed samym zbożem, zachwiał się w biegu prokurator i padł, wyrzuciwszy wysoko w górę swoją czarną skórzaną teczkę. Setka luźnych kartek zatrzepotała w powietrzu. I to był koniec funkcjonariusza państwowego.

Sowiecki major zaklął ostro i załadował swój pistolet ostatnim magazynkiem. Skrzyknął kilku żołnierzy i wybiegł z walącej się już na całego stodoły.



— No to w łeb — powiedział z rezygnacją „Młot”, widząc, jak pada, a później nieruchomieje kapral „Pikus” Witold Kozłowski, trafiony celną kulą sowieckiego Strzelca wyborowego. To już trzeci z grupki leżącej w kartoflisku i trzymającej pod ogniem komunistów znad drogi. Po „Orkanie” i „Gołębiu” przyszła kolej na „Pikusia”.

Porucznik „Zygmunt” rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony. Lustrował okoliczne krzaki i gałęzie drzew, szukając w nich nieprzyjacielskiego snajpera. Bezskutecznie. Po kolejnym dalekim wystrzale charakterystycznym dla radzieckiego karabinu przyszedł następny, znów trafiony. Tym razem ciężko ranny, ale przytomny kpr. „Harłamp” Ryszard Łubrzyk jeszcze zagrzewał polskich partyzantów do walki:

— Nie dajcie się, chłopcy!

Ranny żołnierz, dawny stangret rektora KUL-u, nie chciał dostać się w komunistyczne ręce i nie chciał być ciężarem dla współtowarzyszy. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, „Harłamp” wyciągnął pistolet i dobił się na oczach współbraci. „Zygmunta” aż zatrzęsło.

W swoim życiu wiele widział śmierci, ale ta była wyjątkowo przerażająca i w jego mniemaniu - niepotrzebna. Wychylił się zza palącego się już chlewu, aby zobaczyć,

skąd padają strzały. Wydawało mu się, że jest bezpieczny, skryty przed oczami wroga za gęstymi gałęziami drzewa. Nagle huknął strzał, a jedna z gałązek tuż przy skroni porucznika opadła na ziemię. Szybko kucnął i przeszedł go zimny dreszcz. W myślach podziękował Bogu za ocalenie — ta kula była skierowana w jego głowę...

Po dwóch godzinach ostrej strzelaniny bitwa powoli dogorywała.

Sowieci, cisnąwszy ostatnie granaty i wystrzeliwszy końcowe naboje, zaczęli rzucać broń i podnosić się z rękami wysoko uniesionymi do góry. Tych, którzy się poddali, było łącznie piętnastu - enkawudzistów i ubeków, na czele z radzieckim plutonowym. Kiedy grupa ta zbliżyła się do Polaków, sowiecki plutonowy cisnął coś przed siebie.

Wybuch granatu nie zrobił na szczęście nikomu krzywdy, a Sowiet natychmiast padł przesyty serią. Ale czyn ten przypieczętował los pozostałych poddających się komunistów.

— Bracia, ja z wami... - błagał wzięty do niewoli Polak. Jak się okazało, był to ów zdrajca, który oprowadzał grupę mjr. Gribki po wsiach i wydawał ludzi związanych z polską siatką konspiracyjną.

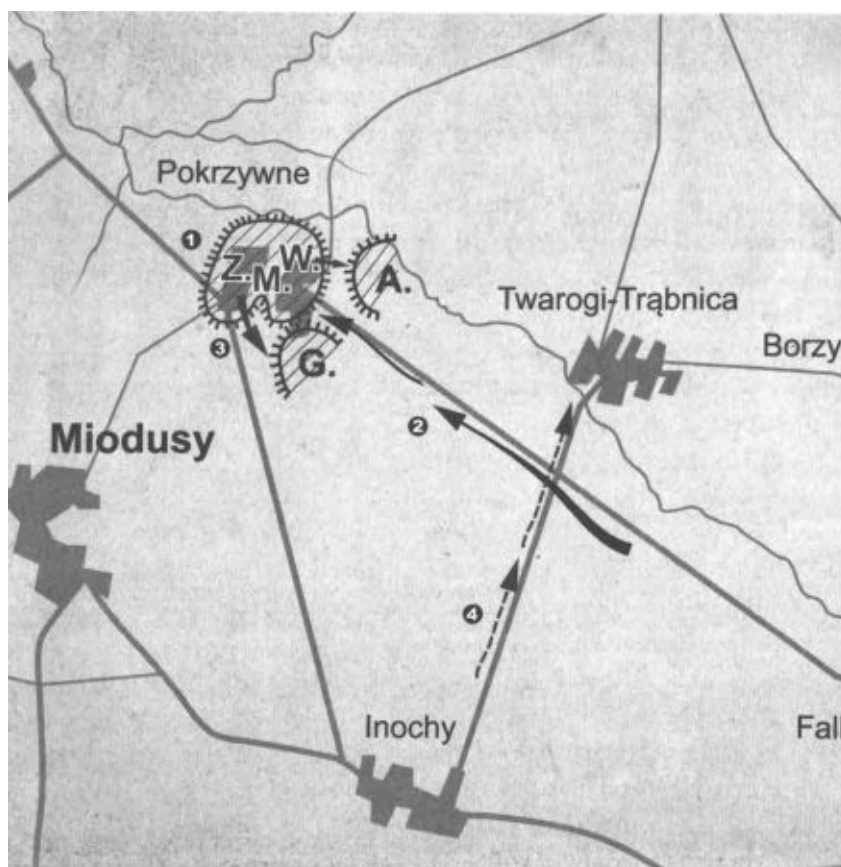
Jego prośby o litość na nic się zdały. Wszystkich wziętych do niewoli jeńców z rozkazu por. „Zygmunta” rozstrzelano.

Polski oddział z wolna zbierał swoich rannych i zabitych oraz rachował straty nieprzyjaciół. Chociaż partyzanci pokonali „czerwonych”, to nie zdobyli ani jednego naboju. Komuniści walczyli do końca i wystrzelali całą swoją amunicję. Znalezione na polu bitwy sowieckiemu majorowi z zaciśniętej martwej ręki wyciągnięto pistolet Walther, ale już bez naboji. Polacy również stracili niemal całe zapasy amunicji. D użę jej część wystrzelano w walce, ale większość, zgromadzona na wozie, wybuchła w płonącej stodole.

Po bitwie niepokoił Polaków jeszcze sowiecki samochód pancerny, który jednak, ostrzelany z daleka, zawrócił i już więcej nie pojawił się pod Modusami. W połowie walki, zgodnie z umową zawartą z oddziałem NSZ, z rozkazu porucznika w niebo pofrunęła rakieta.



Grupa żołnierzy z 1 Szwadronu. Widoczni od lewej m.in.: (2)ppor. Lucjan Minkiewicz „Wiktor”, (i) por. Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt”, (4) Zygmunt Kuczyński „Kruk” i (6) Alicja Trojanowska „Krystyna”
(Instytut Pamięci Narodowej)



Bitwa w Miodusach Pokrzywnych 18 sierpnia 1945 r.

- ❶ Polskie ugrupowanie we wsi: 1 szwadron „Zygmunta” (Z.), grupa „Młota” (M.).
- ❷ Nadejście komunistycznej grupy mjr Gribko. Zajęcie stanowisk w stodole (grupa z dowódcą - G.)
- ❸ Polskie ataki prowadzone przez „Zygmunta” (Z.), „Młota” (M.) i „Wiktor” (W.).
- ❹ Przemarsz oddziału NSZ bez kontaktu bojowego.

Partyzanci „Zygmunta” widzieli z oddali jakiś uzbrojony oddział, lecz przemaszerował on obok bitwy, nie udzielając żadnego wsparcia. Ale czy to byli ludzie „Kmicica”?

Kiedy szwadron „Zygmunta” wychodził ze wsi, do polskiego dowódcy podbiegła przemiła gospodyni i zapraszała na spóźniony obiad, odsmażaną rybkę.

— Dziękuję z całego serca, pani kochana, ale ja dziś na długo straciłem apetyt — odparł najgrzeczniej jak mógł Zygmunt Błażejewicz.

W bitwie w Miodusach Pokrzywnych z polskiej strony zginęło ośmiu partyzantów, a dziesięciu zostało rannych. Takie same dane dotyczące polskiej strony pojawiają się we wszystkich opracowaniach dotyczących działalności 5 Brygady Wileńskiej. Jeśli chodzi o komunistyczne straty, to według ówczesnych oficjalnych informacji zginęło tylko szesnastu enkawudzystów i jedenastu żołnierzy „ludowego” WP.

Zabici zostali oficerowie: mjr Wasilij Gribko, kpt. Nikołaj Krasnow, st. lejtn. Aleksiej Amelin i lejtn. Grigorij Gawriuszyn. Ocalało jedenastu żołnierzy komunistycznych, na czele z rannym sowieckim sierżantem, którym pod koniec walki udało się uciec. W grupie tej było sześciu Rosjan i pięciu Polaków. Trochę inne dane na temat komunistycznych strat podają w swej książce poświęconej działalności 5

Brygady mjr. „Łupaszk” polscy historycy Kazimierz Krajewski i Tomasz Łabuszewski. Według nich w Miodusach Pokrzywnych zginęło co najmniej trzydziestu sześciu komunistów (osiemnastu z NKWD, jedenastu polskich żołnierzy z komunistycznej armii, trzech funkcjonariuszy UB, sędzia, prokurator oraz dwóch informatorów). W swych wspomnieniach Zygmunt Błażejewicz straty strony przeciwnej wyliczył na sześćdziesiąt jeden osób. Taką liczbę przekazał mu później jeden z polskich sołtysów, który przymuszony przez komunistów wyszukiwał i znosił zwłoki z pola bitwy.

Dnia 27 sierpnia, późnym wieczorem, ktoś głośno zapukał do drzwi plebanii. Ksiądz proboszcz Kazimierz Godlewski, kierujący parafią Osmołą, wolno podniósł się z łóżka i z pewnym niepokojem podszedł do wejścia. Uprzedziła go gosposia, która wpuściła już do środka kilku umundurowanych ludzi.

— A, to ty, Zygmunt - rzekł z ulgą ksiądz, ale po chwili spojrzał uważnie w oczy porucznika. - Coś się stało?

— Niech będzie pochwalony. Mam ważną sprawę.

— Na wieki wieków. Czyżby... Chcesz się żenić? - Ksiądz już zauważył za „Zygmuntem” prześliczną sanitariuszkę „Krystynę”.

— Tak.

— Zwariowałaś?

— Nie ... Chcemy razem iść przez życie i chcemy, żeby ksiądz nam pobłogosławił.

— Dobrze, ale zrobimy to po bożemu. Najpierw spowiedź.

Tuż przed północą rozpoczęła się skromna uroczystość. Przed ołtarzem stanęli Zygmunt i Alicja. Oprócz księdza w wydarzeniu udział wzięli dwaj świadkowie: „Wiktor” Lucjan Minkiewicz i „Biały Bolek”

Bolesław Sawicz-Korsak, oraz asysta na zewnątrz — dwa erkaemy z obsługą, jeden przy wejściu do kościoła, drugi przy murze ogrodzenia.

Tuż przed uroczystością „Wiktor” cicho szepnął do „Zygmunta”:

— Schowaj nahajkę. Wystraszysz żonę.

A potem, w obliczu Boga Wszechmogącego, padło sakramentalne, dwukrotne „Tak”. Skromny posiłek, nocą, u księdza na plebanii to był dopiero początek. Na państwa młodych czekał już weselny obiad we wsi, a po nim ostrzejsze „zagryzanie”, jak pisze we wspomnieniach „Zygmunt”. Jeden z partyzantów „zakaślił” widać zbyt mocno i, leżąc na wozie, ze łzami w oczach biadolił: — Nie ma już porucznika. Zabrała go! Teraz my przepadlim ...



*Ostatnia koncentracja 5 Brygady Wileńskiej na Białostocczyźnie, 7 września 1945 r.
W środku (z ryngrafem na sercu) mjr „Łupaszko” Zygmunt Szandzielarz na lewo od niego
Alicja Trojanowska „Krystyna”, na prawo od majora (w pierwszym rzędzie)
ppor. „Młot” Władysław Łukasiuk, pierwszy z prawej ppor. „Bury” Romuald Rajs
(zbiory Lidii Lwow-Eberle)*

Bitwa z 18 sierpnia była ostatnim wielkim bojem stoczonym przez 1 Szwadron por. „Zygmunta” i oddział ppor. „Młota” w 1945 roku. Po walce cała grupa przeczekała komunistyczne obławy, a potem pomaszerowała na koncentrację brygady i spotkanie z mjr. „Łupaszka” w leśniczówce Stoczek. Dnia 7 września 1945 roku mjr „Łupaszko” poinformował o decyzji przełożonych — rozwiązaniu brygady i demobilizacji żołnierzy, którzy mieli dostać niewielkie odprawy } 7 pieniądze, dokumenty } 7 oraz ubrania cywilne. W czasie spotkania ppor. „Bury” przekazał także informację, że wraz z żołnierzami swego szwadronu przechodzi do NZW. Oddział „Mściśława” uległ rozwiązaniu, a ze szwadronu „Zygmunta” w lesie pozostało niewielu ludzi, wraz z „Wiktorem” i „Młotem”.

Sam Błażejewski za radą por. „Stefana” Jerzego Jezierskiego postanowił podjąć próbę wyjazdu na Zachód. Musiał jako zdyscyplinowany żołnierz 'wykonać rozkaz demobilizacji, ale jednocześnie przeczuwał, że niemożliwe jest życie w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (PRL) bez ponoszenia żadnych konsekwencji za powojenną walkę o niepodległość kraju. Dlatego też 4 października „Zygmunt” wraz z czterema ludźmi (żoną Alicją, Jerzym Trojanowskim „Grotem” - bratem Alicji, „Konarem” i „Mikrusem” Rajmundem Drodzem) opuścił resztki swego szwadronu. Potem, już tylko z żoną, wyjechał do Koszalina, gdzie nawiązał kontakt z rodzicami, którzy musieli opuścić Wilno. Tam, przy pomocy ojca, za sto pięćdziesiąt dolarów załatwili fałszywe dokumenty na nazwiska obywateli Belgii, którzy wracają do kraju. Małżonkowie wsiedli w pociąg i wyruszyli w nieznane.

Na czeskiej granicy wybudzona raptem ze snu belgijka Alice Dubois zakrzyknęła

po polsku do męża Jeana Morelais:

— Zygmus, co się dzieje?!

Na szczęście nie miało to żadnych konsekwencji w ich dalszej podróży i wkrótce bezpiecznie dotarli do zachodnich Niemiec, okupowanych przez sojusznicze wojska aliantów, z daleka - wydawało się - od macek UB i NKWD. W jednym z obozów dla polskich żołnierzy, w których zatrzymali się Zygmunt i Alicja, dwóch ubeków przybyłych z sowieckiej strefy zażądało ujawnienia wszystkich nazwisk osób aktualnie tam przebywających. Polski komendant mjr Hofman kategorycznie odmówił.

— Pan nas jeszcze popamięta! — odgrązali się wściekli Sowieci. Nie minęło kilka tygodni, a major w tajemniczych okolicznościach zmarł, najprawdopodobniej otruty. Widząc, co się dzieje, państwo Błazejewiczowie nie zagrzali długo miejsca w Niemczech i w połowie 1946 roku znaleźli się w Anglii. Tam przez kilkanaście miesięcy Zygmunt ciężko pracował w kopalni węgla i równocześnie weryfikował swoją walkę w AK - uznano mu stopień porucznika i Krzyż Walecznych.



*Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt”, 1995 r.
(zbiory Lidii Lwow-Eberle)*

W grudniu 1947 roku szczęśliwemu małżeństwu urodził się syn —

Krzyś. Przyjście na świat maleństwa nie przeszkodziło w realizacji planu, jakim był wyjazd na stałe do Argentyny. Niestety, nie ustalono, co właściwie się stało. Czy to ciężka podróż statkiem i burzliwe wody Zatoki Biskajskiej, niezdrowe obce powietrze, czy też słaby organizm chłopca i niezdiagnozowana choroba. Dość powiedzieć, że w marcu 1948 roku w Buenos Aires Zygmunt i Alicja zeszli ze statku z pustym dziecięcym

wózkiem.

Na nowej ziemi nie mieli chwili, by rozpamiętywać ból po stracie synka. Trzeba było ostro zabrać się do pracy. Zygmunt zbudował dom dla swej rodziny, która wkrótce powiększyła się o dwie dziewczynki: Zosię i Terenię. Po dwunastu latach życia w Argentynie całą rodziną wyjechali do USA, najpierw gospodarząc na farmie w stanie

Wisconsin, a później w Arizonie. W 1994 roku, po wielu latach w chorobie, zmarła Alicja Błażejowicz, a Zygmunt zamieszkał w domu dla osób starszych. Po tułaczce i ciągłym życiu w pędzie chciał już odpocząć. Ale marzyła mu się jeszcze jedna podróż. Ta wielokrotnie śniona — do Polski. Zygmunt wiedział, że marzenia czasem się spełniają i wytrwale dążył do celu. W lipcu 1998 roku wylądował na warszawskim lotnisku Okęcie. Czekał go prawie dwumiesięczny pobyt w Ojczyźnie.

Dnia 15 sierpnia miał miejsce odpust w Jabłonie Lackiej. Po uroczystej mszy świętej Zygmunt Błażejowicz stanął na schodach przed kościołem i pięćdziesiąt trzy lata po swojej mowie z 1945 roku, powiedział: - To, że po tylu latach w tym samym dniu i miejscu mogę przemawiać do Was, jak przemawiałem do Waszych dziadków i rodziców, uważam za Wielki Dar Boży. Z tych wszystkich, którzy byli tu ze mną i moją świętej pamięci Żoną — siostrą „Krystyną”, tylko ja jeden pozostałem przy życiu. Właśnie ich i te tysiąc innych, którzy trwali wówczas na straconych pozycjach, lecz nie pozwolili włączyć Białostoczczyzny do Białorusi, a Polski jako siedemnastej republiki do Sowieców, chcę dziś przypomnieć. Już wówczas pytano nas: po co walczyacie? A my odpowiadaliśmy: żeby udowodnić, że ta nasza Chrześcijańska Polska jeszcze nie zginęła. A dziś mogę spokojnie Wam powiedzieć: jeszcze Polska nie zginęła i pomimo wszystko nie zginie!

Kłopoty

Radom, 9 września 1945 roku

M

łody porucznik z czarną burzą kręconych włosów, ubrany w brytyjski zrzutowy *bailledress*, nie mógł usiedzieć na miejscu. Przez moment wpatrywał się w kartkę papieru z zakreślonymi ołówkiem punktami, cyframi i strzałkami, ale po chwili zrywał się na równe nogi i szybkim marszem szedł do wystawionych wart ubezpieczających zgrupowanie.

— Jest już? — pytał. A kiedy partyzanci na czujce kręcili przecząco głowami, wracał chmurny, siadał na trawie, opierał się o pień drzewa i jego myśli znowu błądziły gdzieś daleko. Patrzył niewidzącymi oczami na leśne drzewa, ale widział przed sobą więzienną bramę i kolejne drzwi, które należy otworzyć. Po kilku minutach znowu wstawał i prawie biegł do czujek. Przechadzał się pośród odpoczywających żołnierzy, rzucając każdemu jakiś dowcip lub miłe słowo. Wiedział, że także ich nerwy są napięte do granic, i luźną rozmową próbował odciągnąć myśli swoich podwładnych od zbliżającej się akcji. Sam również tego potrzebował — aby choć przez chwilę oderwać się od kłębiących się w głowie planów operacji.

Na koncentrację w gajówce u Kiełka, w lasach niedaleko Zalesia, przybyli już prawie wszyscy. Przez całą noc zjawiali się pojedynczo i grupkami żołnierze z oddziałów Witolda Drozdowskiego „Lota”, Zbigniewa Halamy „Kudejara” i Adama Gomuły „Beja”. Nienagannie ubrani w mundury ze zrzutów lub komunistyczne, zdobyte w akcjach, z orzełkami w koronie na rogatywkach, świetnie uzbrojeni, najczęściej w pistolety maszynowe, prezentowali się znakomicie. Było też kilka erkaemów, sporo granatów i materiał wybuchowy.



Porucznik Stefan Bembiński „Harnaś”, komendant partyzanckiego oddziału i dowódca akcji na radomskie więzienie

(zbiory Światowego Związku Żołnierzy AK Radom 1996)

Brakowało co prawda obiecane przez „Szarego” PIAT-a, ale zawsze można go będzie zastąpić granatami lub trotylem. Zresztą zostało jeszcze trochę czasu i porucznik Stefan Bembiński „Harnaś” liczył na to, że ktoś w ostatniej chwili dostanie brytyjską przeciwpancerną broń.

Tymczasem przez całą noc i rano „Harnaś” układał w głowie ostatnie szczegóły

planu akcji na więzienie w Radomiu. Bardzo pomocne okazały się notatki i słowne wskazówki przekazane przez „Beja”. Ten partyzancki oficer z NSZ miał wtyki w radomskim areszcie i znał dokładny rozkład więziennych pomieszczeń oraz harmonogram pracy straży więziennej. Pracowali dla niego dwaj strażnicy: Franciszek Małecki „Mietek” i Wacław Szymański. Dzięki tym kontaktom Adam Gomuła mógł przekazywać informacje do aresztowanych żołnierzy podziemia, a i w odwrotnym kierunku wędrowały grypsy. O tych tajnych kontaktach „Bej” naturalnie nikomu nie mówił, ale „Harnaś” wiedział swoje. No bo skąd wzięłyby się spisane na papierze precyzyjne dane o liczbie uzbrojonych strażników, rozstawieniu posterunków, godzinach zmiany, a nawet plan więziennych pokoi i cel?

Pod leśniczówkę, tuż przed planowaną ostateczną odprawą, wznecając tumany kurzu, podjechała dorożka, z której wyskoczyli trzej spóźnieni żołnierze „Harnasia”. Przed porucznikiem, spodziewając się ostrej reprimendy, stanęli na baczność: Jan Pająk „Sęp”, Jan Jastrzębski „Pokrzyw” i Stanisław Drozdowski „Zegarmistrz”. Ale dowódca tylko machnął ręką — miał w tej chwili ważniejsze problemy.

Prawie wszystko było już gotowe do planowanej na godzinę dziewiątą odprawy. Ale w dalszym ciągu na koncentrację nie dotarła jeszcze grupa partyzantów „Ostrolota”. I to w tej chwili najbardziej zaprzętało gorącą głowę dwudziestoosmioletniego partyzanckiego dowódcy.

— Słysząc coś? Widać jakiś ruch? — tuż przed dziewiątą po raz kolejny pytał wartowników.

— Niestety, cisza i spokój, panie poruczniku - odpowiadali, a on niepokieszony wracał, by znów zmierzyć się ze swoimi myślami.

Stefan Bembiński urodził się w 1917 roku w Łagowie Opatowskim. Raczej nie planował zostać wojskowym. Skończył Seminarium Nauczycielskie w Kielcach i pracował jako nauczyciel, a później również jako kierownik szkoły. W czasie pełnienia obowiązkowej służby wojskowej w składzie 8 DP, tuż przed wybuchem wojny ukończył szkołę podchorążych rezerwy. Kiedy Niemcy zaatakowali Polskę, Stefan Bembiński był dowódcą plutonu w 21 Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy” dowodzonym przez ppłk. dypl. Stanisława Sosabowskiego. W składzie tego pułku walczył pod Ciechanowem oraz w obronie Warszawy. Po kapitulacji stolicy został wzięty do niemieckiej niewoli, ale w czasie transportu z Żyrardowa do Niemiec udało mu się zbiec i dotrzeć do Kobylnika, gdzie ostatnio był kierownikiem szkoły. Od 1940 roku organizował polskie konspiracyjne grupy podporządkowane ZWZ-AK, wybierając sobie pseudonim „Harnaś”.

Później kolejno dowodził placówką AK w Błotnicy, był zastępcą dowódcy Kedywu Inspektoratu AK Radom oraz dowódcą batalionu w 72 pp AK.

Po przejściu frontu radomski komendant AK ppłk Zygmunt Żywocki „Wujek” rozkazał swoim żołnierzom, aby zamelinowali broń i rozeszli się do domów. Nakazywał jednak utrzymanie kontaktów i łączności. Stefan Bembiński, pomny tego

rozkazu, wyjechał do Krakowa i rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W kwietniu 1945 roku został tam przypadkowo zatrzymany przez UB i NKWD (kręcił się pod budynkiem Urzędu Bezpieczeństwa), ale po kilku dniach go zwolniono. Przeczując, że ktoś go śledzi, porzucił więc swoje sprawy w Krakowie i wyjechał do Radomia. Tam, ukrywając się, skupił wokół siebie innych zagrożonych aresztowaniem AKowców. W maju 1945 roku „Harnaś” nawiązał kontakt z ppłk.

„Wujkiem” i stanął na czele zbrojnej grupy samoobrony. Zmienił wtedy swój pseudonim na „Sokół” i w krótkim czasie zebrał pod sobą kilkudziesięciu partyzantów podzielonych na trzy plutony i grupę osłonową dowódcy.



*Stefan Bembiński „Harnaś” (pierwszy z lewej, oparty o pień drzewa) tuż po akcji na więzienie w Kielcach. Antoni Heda „Szary” pierwszy z prawej, obok niego Ludwik Wiechula „Jeleń”
(zbiory Teresy Hedy-Snopkiewicz)*

W sierpniu jego oddział wziął udział w brawurowej akcji, przeprowadzonej przez „Szarego”, na komunistyczne więzienie w Kielcach. Nie bacząc na niebezpieczeństwo i trudny czas, Stefan Bembiński 15 sierpnia wziął ślub z Haliną z domu Łuczak.

Kiedy DSZ zamieniła się w zrzeszenie WiN, por. „Harnaś”-„Sokół” został mianowany dowódcą Obwodu Radom Północ-Południe.

W tym czasie tworzył już kolejny plan oswobodzenia byłych AKowców bezpodstawnie więzionych w komunistycznych katowniach.

Dowódcą drugiej grupy, która dotarła na koncentrację przed akcją na więzienie radomskie, był por. Adam Gomuła, urodzony w 1902 roku w Sławnie, powiat radomski. Po ukończeniu szkoły powszechnej pracował na gospodarstwie rodziców, ale kiedy bolszewicy zaatakowali Polskę, osiemnastoletni Adam Gomuła został zmobilizowany do wojska.



Dowódca oddziału NSZ por. Adam Gomuła „Bej” (w środku) podczas koncentracji. Pierwszy z prawej Aleksander Golus „Zbyszek” z drużyny osłonowej „Harnasia”

(zbiory Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Radom / S. Bembiński „Harnaś” Te pokolenia z bohaterstwa znane, Radom 1996)

Po wojnie wrócił do cywila, ożenił się z Józefą z domu Długosz i przeniósł do wsi Zatopolicy. W latach 1923—1925 odbył służbę wojskową w 19 Pułku Ułanów w Ostrowcu, otrzymując stopień kaprała. Od 1932 roku politycznie związał się ze Stronnictwem Narodowym (SN), zostając nawet kierownikiem rejonu SN. W 1939 roku został zmobilizowany do 9 Dywizjonu Taborów w Brześciu. Po kampanii wrześniowej wrócił w rodzinne strony, od

razu wstępując w konspiracyjne szeregi Narodowej Organizacji Wojskowej. Pod pseudonimem „Bartosz” organizował placówki NOW w okolicznych wsiach i gminach, zostając dowódcą podobowodu i szefem propagandy. Kiedy nastąpił rozłam w strukturach NOW i SN, Gomuła przeszedł do NSZ. Po „wyzwoleniu” Polski przez Armię Czerwoną Adam Gomuła, pod nowym pseudonimem „Bej”, nie zaprzestał działalności, a w kwietniu 1945 roku na rozkaz swoich przełożonych stworzył zbrojną grupę liczącą około trzydziestu żołnierzy

NSZ, uzbrojonych najczęściej w broń automatyczną.

Tak wyczekiwany przez wszystkich na koncentracji w gajówce u Kiełka, Henryk Stanisław Podkowiński „Ostrołot” urodził się w 1914 roku w Szydłowcu. W czasie odbywania powszechnej służby wojskowej ukończył kurs podchorążych rezerwy w Częstochowie i został zdemobilizowany, przechodząc do cywila w stopniu podporucznika. Kiedy Niemcy najechali Polskę, walczył w obronie kraju i dotarł ze swoim oddziałem aż nad same południowo-wschodnie krańce II Rzeczypospolitej pod

Sarnami. Po klęsce nie załamał się i, pokonawszy setki kilometrów, wrócił do domu z bronią w ręku. Podczas niemieckiej okupacji od początku działał w strukturach ZWZ-AK, mając na przykład kontakt ze sławnym „Hubalem”. Potem w konspiracyjnych strukturach pełnił między innymi funkcję adiutanta kolejnych dowódców podobwołu Szydłowiec. Podczas operacji „Burza” był zastępcą dowódcy trzeciego batalionu w 72 pp AK - por.

Krzysztofa Hofmana „Cypriana”, dowodząc równocześnie jedną z kompanii. Używał pseudonimów „Ren” i „Ostrołot”. Podobnie jak „Harnaś”, „Ostrołot” po przejściu frontu wyjechał do Krakowa, aby zmylić ślad szukającym go funkcjonariuszom UB i NKWD. Wezwany przez ppłk. „Wujka” wrócił do Szydłowca i ponownie rozpoczął działalność konspiracyjną, między innymi pomagając w przeprowadzeniu akcji na więzienie w Kielcach.



— Nie ma jeszcze „Ostrołota”. Nie wiem, co się stało, ale nie możemy już dłużej czekać. Brak też obiecanej od „Szarego” PIAT-a, ale to nieważne. Jesteśmy przygotowani i damy radę bez tej broni - powiedział por. „Harnaś” do zgromadzonych w gajówce dowódców i szefów oddziałów.

— Jak już wiecie - kontynuował - celem naszej akcji jest więzienie w Radomiu. Naszym zadaniem będzie zaatakowanie i zdobycie więzienia oraz wyzwolenie zatrzymanych. Nie atakujemy budynków UB i milicji ani koszar NKWD i wojska. Wydzielone specjalnie do tego celu grupy ostrzelają te budynki, uniemożliwiając wyjście na miasto odsieczy dla strażników więzienia. W tych miejscach strzelamy, ale nie zabijamy niepotrzebnie. Celujemy bardziej w budynki niż w ludzi, chyba że ruszą się komunistyczne oddziały. Pod więzieniem i w budynku strzelamy wyłącznie w ostateczności i oszczędzamy życie swoich żołnierzy. Nie chodzi o to, aby w akcji zabić jak najwięcej komunistów, ale by przy najmniejszych stratach swoich i przeciwnika oswobodzić więźniów. I to jest najgłówniejsze nasze zadanie. Akcję rozpoczynamy dzisiaj, czyli w niedzielę 9 września 1945 roku, wyjazd punktualnie o godzinie dwudziestej. Do Radomia dostaniemy się zarekwizowanymi samochodami, które zdobędzie grupa wysłana na szosę. Zakładam, że potrzeba nam będzie czterech, pięciu ciężarówek. W pierwszym samochodzie jedzie oddział „Sępa”, przy którym będę i ja. Ta grupa podejżdza bezpośrednio pod bramę więzienia, a ja zajmuję z gońcami stanowisko w bramie przy ulicy Malczewskiego 6.

Grupa szturmowa wchodzi do więzienia i uwalnia aresztowanych.

Próbujemy wejść bez zbędnego hałasu, najlepiej wzywając strażę do otwarcia bramy. Jeśli to nie pomoże, dopiero wtedy wysadzamy wrota.

W drugim samochodzie pojedą chłopcy „Lota” i „Kudejara”. Zadanie tej grupy to: od północy blokowanie koszar oraz wlotu od strony ulicy Warszawskiej, od południa zajęcie stanowisk bojowych na podejściach do więzienia, tak aby ogniem móc obłożyć ulicę Wałową i Żeromskiego. W trzecim samochodzie znajdzie się oddział NSZ por.

„Beja”, którego zadaniem będzie skutecznie szachować ogniem budynek UB przy ulicy Kościuszki 6, w trochę innej części miasta. Tu także proszę oszczędzać i siebie, i przeciwników.



Stefan Bembiński „Harnaś” omawia wraz z żołnierzami plan akcji

(zbiory Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Radom / S. Bembiński „Harnaś” Te pokolenia z bohaterstwa znane, Radom 1996)

Ostatni samochód przewidziany był dla grupy „Ostrolota” . . .

W tym miejscu „Harnaś” przerwał wywód i wyszedł na chwilę.

Pozostawieni w budynku żołnierze widzieli przez okno, jak dowódca rozmawia z gońcami. Potem jeszcze przez kilka sekund patrzył na pustą leśną drogę.

— „Ostrolot” miał dołączyć do nas ze swoim szydłowieckim oddziałem — wrócił i mówił dalej: — Ale skoro go nie ma, to zadanie ubezpieczenia akcji od strony bliskiego posterunku MO na ulicy Reja numer 5 wykonają moi żołnierze z grupy osłonowej. Oprócz tego do akcji przewidziane są niewielkie patrole z miejscowej radomskiej konspiracji, które mają czuwać na ulicach i w razie czego nam pomagać. Niedługo powinny dotrzeć samochody. Zarządzam teraz czas wolny na wyczyszczenie broni i przygotowanie się do operacji. Za kilka godzin alarm i stan czujności, a wieczorem wyjazd. To wszystko. Dziękuję.

Po południu pod leśniczówkę podjechały cztery zarekwirowane samochody: trzy ciężarówki *studebakery* i jeden wielki autobus. Partyzanci, którzy wrócili z akcji na szosie, opowiadali, że jednym z pojazdów kierował Sowiec. Początkowo ze strachu zaniemówił, gdy polscy żołnierze wzięli go w krzyżowy ogień pytań. Ożywił się, gdy jeden z nich rzucił: — Widziałeś już kiedyś polskich bandytów?

Wtedy Sowiec wyprostował się i spojrzał odważnie w oczy pytającego.

— *Wy nie bandity, ny polskije partyjany.*

I być może tą odpowiedzią uratował sobie życie. A na pewno wolność, ponieważ

tuż przed wyjazdem na akcję wszystkich zatrzymanych, w tym również kilku przypadkowych grzybiarzy, puszczone wolno.

Kiedy słońce już zachodziło, do samochodów podeszli kolejno oddziałami żołnierze i zaczęli wdrapywać się na skrzynie ciężarówek.

Prawie wszyscy zajęli miejsca w pojazdach, gdy nagle od strony wsi ukazała się idąca luźnym szykiem gromada uzbrojonych ludzi. „Harnaś” domyślał się, że to spóźniona grupa z Szydłowca. Partyzanci „Ostrołota” spacerowym krokiem mijali zdziwionego dowódcę akcji, który najwyższą siłą woli powstrzymywał zdenerwowanie.

— No wreszcie — powiedział. — Prędsiej, do samochodów.

— My mamy swojego dowódcę — odpowiedzieli żołnierze z Szydłowca, a „Ostrołot” bez żadnego słowa wytłumaczenia minął por. „Harnasia”.



Oddział Witolda Drozdowskiego „Lota” przed akcją rozbicia więzienia w Radomiu. Stoją od lewej:

Witold Drozdowski „Lot”, Jerzy Brewczyński „Donat”,

Zbigniew Gmyrek „Cygan”, Mieczysław Brewczyński „Śmiały”, Mieczysław Sinda „Orkan”, Andrzej Szymański „Sten ”, „Zajac” i NN

(zbiory Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Radom / S . Bembiński „Harnaś” Te pokolenia z bohaterstwa znane, Radom 1996)

Na dworze robiła się już powoli szarówka, kiedy cztery samochody z partyzantami „Harnasia” wjechały do miasta.

Zaraz za rogatekami w boczną ulicę skręcił pojazd z żołnierzami „Beja”, aby dojechać do ulicy Kościuszki, tuż pod budynek UB. Już w mieście kolumna zatrzymała się na krótko. Z szoferki pierwszego wozu wyskoczył „Harnaś” i podszedł do machającego kapeluszem z tłumu mężczyzn.

— Jak tam? — zagadnął jakby od niechcienia.

— W więzieniu jak zwykle bez zmian, brak dodatkowych ubeckich sił - ściszym głosem przekazywał konspirator.

— Dziękuję - odparł porucznik i obrócił się na pięcie, ale wtedy tuż przed nim wyrósł jak spod ziemi więzienny strażnik idący do pracy na nocną zmianę. „Harnaś” złapał go dyskretnie za kołnierz, tak aby nikt nic nie zauważył, i szturchnął między żebra lufą pistoletu.

- Spokojnie, nic ci się nie stanie, jeśli pójdziesz ze mną - syknął do ucha wystraszonemu funkcjonariuszowi i pociągnął go do samochodu, wpuszczając go pierwszego do kabiny.

Dwa samochody pojechały dalej, kierując się na ulicę Malczewskiego, a trzeci tuż przed więzieniem skręcił w ulicę Reja. Kiedy ści śnięte na dwóch *studebakerach* grupy „Harnasia”, „Sępa”, „Lota” i „Kudejara” mijaly więzienie, nagle w stalowe burty wozów załomotały serie kul. To więzienne posterunki ostrzeliwały partyzanckie wozy ogniem erkaemów. Odpowiedziano strzałami i uciszone w ten sposób komunistyczne erkaemy zamilkły. Dla partyzantów „Harnasia” było to zaskoczenie. Nie spodziewali się strzelaniny od samego początku. Ale zagrzewani przez dowódcę do boju chłopcy zaczęli w biegu wyskakiwać z ciężarówek i zajmować wyznaczone stanowiska. „Sęp” ze swymi ludźmi podbiegł pod samo wejście i skrył się pod ścianami z dwóch stron bramy. Grupy „Lota” i „Kudejara” sprawnie odskoczyły z miejsca wysiadki, aby od północy i południa osłaniać główną akcję. Kilkunastu ludzi wpadło do budynku poczty na Malczewskiego i zerwało łączność telefoniczną. „Harnaś” z grupą osłony i gońcami zajął stanowisko przy ulicy Malczewskiego 6, dokładnie naprzeciw bramy do więzienia. Samochody tymczasem odjechały na miejsce postoju przy ulicy Sportowej.

Grupa szturmowa Jana Pajaka „Sępa” znalazła się pod bramą więzienia i, pomimo niedawnych strzałów, wezwała strażników do jej otwarcia, tak jak to było ustalone na odprawie. „Sęp” kilkakrotnie głośno powtórzył rozkaz, ale za murami panowała złowroga cisza.

I wtedy z drugiej strony budynków, od komisariatu MO przy ulicy Reja, rozpoczęła się gwałtowna kanonada. Szturmowcy już nie czekali, odbezpieczyli przeciwpancerny granat i przylepili go do drzwi.

Eksplzja, która nastąpiła po chwili, roztrzaskała bramę i wyrwała ją z zawiasów. Mając przed sobą wolną drogę, oddział wskoczył na podwórze, a później do budynków i już bez walki opanował całe więzienie. Strażnicy w ogóle nie stawiali oporu, a jeden z nich, „Mietek” — konspirator od „Beja”, pomagał nawet w otwieraniu cel. Wiedząc o planowanej akcji, miał przygotowane klucze i obeszło się bez wysadzania drzwi do poszczególnych zakratowanych izb. Ale i tutaj wydarzenia potoczyły się swoim rytmem. Niektórzy więźniowie nie czekali na otwarcie cel i sami deskami z połamanych prycz wyważali drzwi. Partyzanci nie byli w stanie sprawdzać, kto za co siedzi, i oprócz zamkniętych bezpodstawnie Polaków oraz działaczy

niepodległościowych wolność odzyskało wtedy sporo niemieckich współpracowników, *volksdeuschów* i pospolitych bandytów. Tuż przed wyjściem oswobodzonych na zewnątrz strażnik więzienny, który pomagał w otwieraniu cel, wskazał partyzantom jednego podłego *volksdeutscha* skazanego na karę śmierci. Poradził, aby zabrać go ze sobą i zlikwidować po drodze, ponieważ w przeciwnym razie, wykorzystując zamieszanie, może uciec i uniknąć kary. Tak też zrobiono.

Porucznik „Harnaś” widział wybiegających pierwszych uwolnionych więźniów. Znajdujący się obok niego partyzancki patrol próbował zaprowadzić wśród nich jakiś porządek. Grupy formowano czwórkami i odprowadzano w boczną uliczkę wychodzącą na plac Jagielloński. Do dowódcy przybiegli gońcy i meldowali o wykonaniu zadania. Z dala było słychać strzelaninę przy UB, ale w taki właśnie sposób oddział „Beja” miał odwrócić uwagę od więzienia i zablokować ewentualne przeciwdziałanie z tamtej strony. Partyzanckiego komendanta bardziej niepokoiła ogromna kanonada i wybuchy granatów od ulicy Reja. Choć było to bardzo blisko, stamtąd nie miał żadnych informacji. Komisariat MO miał być blokowany przez oddział „Ostrolota”.





Henryk Stanisław Podkowiński „Ostrołot”
(Instytut Pamięci Narodowej)

To musiała być pomyłka. Ale por. Henryk Podkowiński i jego ludzie nie brali udziału w ostatniej odprawie. Być może nie znali końcowych uzgodnień i najważniejszych szczegółów akcji.

Samochód z żołnierzami „Ostrołota” zamiast okrążyć to miejsce i podjechać pod posterunek milicji z drugiej strony, na ulicę Reja wjechał bezpośrednio z ulicy Malczewskiego. Z jednej strony górowały nad nimi więzienne mury i wieżyczki strażnicze z erkaemami. Z drugiej blokował ich budynek MO, z pozostałym jeszcze z czasów niemieckiej okupacji, ale wykorzystywanym do dzisiaj betonowym bunkrem z wylotem strzelnic wprost na ulicę. Na domiar złego na ulicy stało trzech milicjantów, a na wykrzyczany przez żołnierzy Podkowińskiego rozkaz: „Ręce do góry!”, jeden z nich sięgnął po broń.

Po chwili, trafiony serią, zgiął się wpół i upadł, a na karkach

umykających milicjantów partyzanci wtargnęli do komisariatu. Jednakże strzały na ulicy zaalarmowały posterunki w wieżyczkach strażniczych i zaraz rozszczeły się z nich komunistyczne erkaemy. Pokryły ogniem całą ulicę i poszatkowały samochód, którym przyjechali partyzanci. Od tego ognia były już pierwsze straty i kilku rannych znoszono w bezpieczne miejsce.

Partyzanci, którzy wskoczyli do budynku MO, nie napotkawszy żadnych oporów, rozbroili milicjantów i zaczęli zajmować cały budynek. Ale wtedy dostali przez okna silny ogień ze znajdujących się naprzeciw strażnic. Musieli kryć się na podłodze, przy ścianie między oknami lub na klatce schodowej. Dopiero celne, krótkie serie obsługi erkaemów z ulicy uspokoiły więziennych strażników i wieżyczki zamilkły. Wykorzystując brak ostrzału, żołnierze z Szydłowca przeszukali wszystkie pomieszczenia komisariatu, zabierając broń i jakieś przypadkowe dokumenty. Nie mogli dostać się tylko do bunkra, do którego wchodziło się od strony budynku. Drzwi te widocznie zabarykadowało kilku ukrywających się tam milicjantów. Podłożono pod nie trotyl, ale detonacja nie wyrządziła żadnej szkody masywnym żelaznym wrotom. Funkcjonariusze MO strzelali z bunkra do partyzantów na ulicy do czasu, kiedy Zygmunt Cielniak „Cegliński” brawurowo wskoczył na dach bunkra i wrzucił do środka przez otwór strzelnicy granat. „Cegliński” podczas całej akcji poczynął sobie bardzo odważnie, to on powynosił rannych towarzyszy z pola ostrzału.

A ciężko ranni zostali Feliks Kaczmarczyk „Słowik” i Aleksander Kędziński „Józio”. „Słowik” dostał serię w brzuch, a „Józio” kilka kul w pierś. Niegroźny postrzał w głowę otrzymał Stanisław Bąk „Sokół”, który stracił od tego przytomność. Rannych zabrano na nosze i cały oddział „Ostrolota” odszedł ulicą Mleczną w kierunku zachodnim. Po drodze zorganizowano jeszcze wóz dla ciężko rannych.

W tym samym czasie oddział „Beja” dotarł pod budynek UB przy ulicy Kościuszki 6. Kiedy tylko ubeccy strażnicy zobaczyli podejrzane postacie z bronią w rękę, natychmiast otworzyli ogień. Partyzanci NSZ nie pozostawali dłużni i siekli seriami po budynku. Rzucono również kilka granatów, a na ulicę leciały z góry rozbite szyby z okien i potrzaskane dachówki. Kiedy strzelanina rozgorzała na dobre, pod budynek podjechała wojskowa ciężarówka. Kierowca nie reagował na żadne próby zatrzymania podjęte przez partyzantów. Nie było wyjścia i w stronę szoferki posłano kilka serii. Pojazd toczył się jeszcze siłą rozpędu, ale w końcu stanął. Kierowca został ranny, ale zginęła siedząca obok niego kobieta. Kiedy żołnierze Adama Gomuły zauważyli wystrzelone rakiety, czyli sygnał do końca operacji i wycofania się z miasta, oddział zaczął powoli zbierać się do odwrotu. Ich działania pod posterunkiem UB spełniły swoje zadanie i żadna, najmniejsza nawet grupa ubeków nie pospieszyła z odsieczą więziennym strażnikom. Dla zmylenia przeciwnika pod sam koniec akcji zwiększono tu jeszcze ogień, a jeden z partyzantów krzyknął:

— Naprzód! Do ataku!

Potem spokojnie grupa por. „Beja” odeszła w kierunku Wolanowa.

Kiedy na ulicy Reja uspokoiło się całkowicie, z budynku więzienia ciągle wychodzili oswobodzeni więźniowie. Akcja jeszcze trwała.

Później, po latach „Harnaś” miał poważne pretensje do „Ostrolota” o zbędną strzelaninę pod komisariatem MO i niepotrzebne straty, a także o zbyt wczesne wycofanie oddziału i odsłonięcie z tej strony całej akcji.

Ale po kilkunastu minutach i na ulicy Malczewskiego powoli zwijano już posterunki, gdyż por. „Harnaś” dostał meldunek o zakończeniu akcji i uwolnieniu więźniów. Na rozkaz dowódcy na trąbce zagrano sygnał do odwrotu, a w niebo poleciały kolorowe rakiety.

Według obliczeń „Harnasia” akcja w budynku więziennym trwała około dwudziestu minut. Trochę czasu zajęło jeszcze zaprowadzenie porządku pośród oswobodzonych i uformowanie jako takiej kolumny marszowej.



Podchorąży Jan Jakubiec „Gozdawa” (z pistoletem maszynowym MP40 na piersiach) oraz pchor. Zygmunt Gawroński „Zabój” (z odkrytą głową) w otoczeniu kolegów z oddziału „Harnasia” (zbiory Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Radom / S. Bembiński „Harnaś” Te pokolenia z bohaterstwa znane, Radom 1996)

Cały oddział „Harnasia” wraz z uwolnionymi ruszył na wschód w stronę placu Jagiellońskiego, aby później dalej przedostać się do oczekujących na nich ciężarówek. Miejscowe konspiracyjne patrole stojące na mijanych ulicach meldowały, że droga jest wolna. A sami mieszkańcy Radomia nie kryli radości.

— Niech żyje Armia Krajowa! Niech żyje Polska! - krzyczeli i rzucali pod nogi maszerujących żołnierzy podziemia naręczka kwiatów. Z okien wychylali się cywile i bili brawo. Konspiratorzy w zamian na prawo i lewo rozdawali przygotowane wcześniej antykomunistyczne ulotki.

Pewien bałagan powstał, kiedy kolumna mijała rozstawiony na placu Jagiellońskim

cyrkowy namiot. Akurat skończyło się przedstawienie i tłum, który wyszedł ze środka, zmieszał się z żołnierzami podziemia. Większość cywilów reagowała radośnie i spontanicznie, ale nie brak też było pośród nich uzbrojonych komunistycznych żołnierzy i funkcjonariuszy. Niektórzy pijani, niepomni niebezpieczeństwa, zaczepiali żołnierzy „Harnasia”.

— Co to, kurwa, za cyrk?! — wykrzykiwał jakiś podpity oficer, łapiąc się za pustą już kaburę.

— To nie cyrk, to Wojsko Polskie! - odkrzykiwano mu z szeregów.

Jakiś pijany Sowiet z rewolwerem w rękę chciał zawrócić całą kolumnę, aby na jej czele pójść z odsieczą atakowanym — jak mniemał — swoim rodakom. Myślał, że partyzanci to ubecy. Za moment wymachiwał już tylko pustą ręką, ponieważ ktoś zapobiegawczo wysupłał mu rewolwer z dłoni.

Inni komuniści, chcąc ocalić głowy, udawali pijanych. Tych łatwo wyłapywano z tłumy i zabierano im broń. Jeden podpity jegomość w cywilu był szczególnie uciążliwy. Pomimo perswazji szedł cały czas za partyzantami i powtarzał co chwilę:

— Zabierzcie mnie ze sobą. Ja chcę do wolnych ludzi.

Wreszcie tuż przed ulicą Sportową siłą odepchnięto go od partyzanckich szeregów. Momentalnie otrzeźwiał i oddalił się czym prędzej. Niektórzy myśleli nawet, że mógł to być jakiś ubecki prowokator.

Przy samochodach nastąpiła częściowa demobilizacja grupy. Porucznik „Harnaś” podziękował wszystkim za akcję i życzył szczęścia. Część grupy załadowała się na samochody i odjechała w kierunku północnym. Niektórzy po zdaniu broni rozeszli się do domów.

Pozostała piesza kolumna wyszła z miasta na wschód, kierując się w stronę Jedlni.

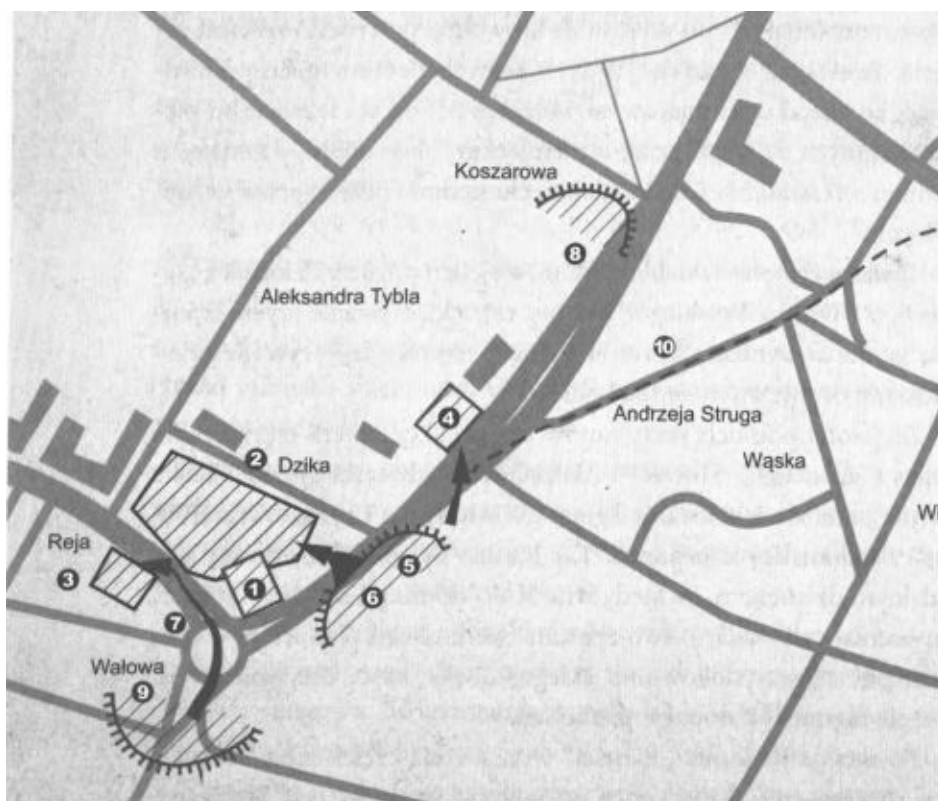
Podczas akcji na radomskie więzienie uwolniono dwieście dziewięćdziesiąt dwie osoby, w tym między innymi rtm. Franciszka Wrzoska „Mariana” i kpt. Władysława Komorka „Lucjana”. Według komunistycznych raportów w ciągu dwóch miesięcy z tych prawie trzystu uwolnionych do aresztu dobrowolnie powróciło osiemdziesięciu dziewięciu więźniów. W tych samych dokumentach odnotowano, że wśród uciekinierów na wolności pozostało trzydziestu pięciu skazanych za współpracę z niemieckim okupantem, dwudziestu siedmiu *rolksdeuschów* i siedemdziesięciu siedmiu przestępców kryminalnych.

W walce zginęło dwóch milicjantów i jeden porucznik lotnik z „ludowego” Wojska Polskiego. Według esbeckich późniejszych raportów podczas wymiany strzałów zginęły również trzy cywilne przypadkowe osoby, w tym jedna kobieta.

Ze strony polskich partyzantów tuż po akcji zmarli ciężko ranni Feliks Kaczmarek „Słowik” i Aleksander Kędziński „Józio”. Kilku innych odniosło lekkie rany. Zginął też młody Jan Chrzastowski „Witur” z radomskiej konspiracji. Tak bardzo był podekscytowany niedzielnym działaniem, że kiedy wracał do domu po wykonaniu akcji, zapomniał całkowicie o swojej broni. Szedł ulicą z pistoletem w rękę i natknął

się przypadkowo na jakiegoś ubeka, który bez słowa wyjaśnienia zastrzelił chłopaka na miejscu.

Po akcji w Radomiu „Flarnaś” wraz z żoną często zmieniał miejsce zamieszkania. Aż w końcu postanowili wyjechać pod Warszawę, do Zalesia Górnego. Halina, zwaną Halszką, namawiała męża na próbę wyjazdu za granicę. Wszelkie formalności miano załatwić w stolicy, stąd ta przeprowadzka. Małżeństwo Bembińskich odwoził pod Warszawę zaprzyjaźniony milicjant autem z wielkimi literami „MO” na boku, ale na trasie Radom—Warszawa przyczepił się do nich czarny ubecki samochód. Udało im się go w końcu zgubić i dojechać szczęśliwie do Zalesia. Jednak „Harnaś” miał już złe przecucia.



Akcja na więzieniu w Radomiu 9 września 1945 r.

- | | |
|--|--|
| 1 Kościół Św. Trójcy. | 6 Atak grupy szturmowej „Sępa”. |
| 2 Więzienie, kompleks budynków poklasztornych. | 7 Trasa dojazdu oddziału „Ostrołota” |
| 3 Komisariat milicji. | 8 Oslona od północy: oddziały „Lota” i „Kudejara”. |
| 4 Budynek poczty i akcja wydzielonej kilkunastoosobowej grupy. | 9 Oslona od południa: wydzielona grupa z oddziałów |
| 5 Stanowisko „Harnasia”. | 10 Trasa wycofania się grupy głównej po akcji. |

Na mapie przedstawiono współczesne nazwy ulic.



*Porucznik Stefan Bembiński „Harnaś” (drugi z prawej) i por. Adam Gomula „Bej”
(pierwszy z prawej, tyłem) podczas koncentracji oddziałów*

**(zbiory Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Radom / S. Bembiński „Harnaś” Te pokolenia z
bohaterstwa znane, Radom 1996)**

Najpierw ten ubecki „ogon” na szosie, a później jakieś dwie podejrzane dziewczyny chodzące po Zalesiu krok w krok za Bembińskimi.

W dniu 21 września 1945 roku o świcie do mieszkania „Harnasia”

i Halszki wpadło UB i aresztowało obojga. Zatrzymanych wywieziono najpierw na posterunek milicji do Piaseczna, gdzie ich rozdzielono, a potem przetransportowano do UB w Radomiu. W tym czasie w komunistyczne ręce wpadli inni konspiratorzy „Harnasia”: Jan Pająk „Sęp”, Tadeusz Stacharzewski „Mateusz”, Marian Iwański „Huragan” oraz Genowefa Piwowarczyk „Jola”. Potem były Kielce i warszawskie więzienie na Mokotowie.

Któregoś dnia zaprowadzono Stefana Bembińskiego do więziennego fryzjera, niemieckiego żołnierza, również więźnia. Kiedy ten zabrał się do golenia, zagadnął „Harnasia”:

— Pan jest aktorem filmowym?

— Nie, skądże znowu. Jestem oficerem Armii Krajowej — odpowiedział porucznik. Na co Niemiec odłożył na chwilę brzytwę i stanął na baczność. Choć w taki sposób mógł oddać honor niedawnemu polskiemu wrogowi z podziemnej armii.

Po pół roku śledztwa, pod koniec lutego 1946 roku, na stołówce dla więziennej służby odbył się proces Stefana Bembińskiego. „Harnasia” skazano na karę śmierci, a sądownego w tym samym czasie jego przełożonego ppłk. „Wujka” - na karę dziesięciu

lat więzienia. Niedługo po tym wyrok „Harnasia” złagodzone do dziesięciu lat pozbawienia wolności, podczas których był przetrzymywany w Warszawie, w Rawiczu i we Wronkach. Na wolność wyszedł ostatecznie w 1952 roku, ale długo nie mógł znaleźć pracy. W końcu zajął się ogrodnictwem. W latach osiemdziesiątych Stefan Bembiński związał się z „Solidarnością”, w 1989 roku został przewodniczącym Stowarzyszenia Żołnierzy AK w Radomiu (później: Zarządu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Radom), a w czerwcu tego samego roku wybrano na senatora ziemi radomskiej. Zmarł 1 stycznia 1998 roku.

Adam Gomuła „Bej” ze swoją grupą działał do listopada 1945 roku.

Po akcji na więzienie w Radomiu i aresztowaniu „Harnasia”, „Bej” zmniejszył oddział do kilkunastu ludzi, pozostawiając wyjazd na Ziemie Odzyskane pod fałszywymi nazwiskami. Pomimo radykalnego ograniczenia działalności konspiracyjnej, 16 listopada 1945 roku Adam Gomuła został aresztowany i skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Kielcach na dziesięć lat więzienia. Zmarł w 1967 roku.

Henryk Podkowiński „Ostrołot” po akcji na radomskie więzienie ograniczył działalność antykomunistyczną, a potem całkowicie ją zawiesił. Pod zmienionym nazwiskiem wyjechał do Inowrocławia, a następnie do Wrocławia. W czerwcu 1946 roku został tam aresztowany jako podejrzany o handel olejem i osadzony w więzieniu w Sosnowcu, gdzie przebywał do marca 1947 roku. Po wyjściu na wolność ujawnił swoją działalność przed UB w Katowicach. Włączył się później w niezależne działania kombatanckie, był między innymi wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia Żołnierzy AK w Radomiu. Zmarł 15 marca 2001 roku.

Strzaskane kości

Gajrowskie, 16 lutego 1946 roku

I wtedy na polecenie dowódcy, kapitana w mundurze WP, pośród zgromadzonych na placu mężczyzn przeprowadzono selekcję. Zebranych woźniców, którzy do tej pory przez kilka dni i nocy pozostawali przy oddziale i wozili partyzantów na swoich furmankach, podzielono na dwie grupy. Pod uwagę wzięto kryterium narodowościowe i wyznaniowe, wyznaczając grupę Polaków-katolików i drugą

— prawosławnych Białorusinów. Tych ostatnich, w liczbie dwudziestu ośmiu białoruskich biednych chłopów, pod bronią zaprowadzono do lasu. Poszli z nimi żołnierze z drużyn „Ładunka” i „Modrzewia”.

Kiedy grupa zniknęła w leśnej gęstwinie i dostatecznie oddaliła się od wsi, po kilku minutach z tej strony rozbrzmiały pierwsze wystrzały.

Wśród tych huków jeszcze bardziej wzmożyły się odgłosy gwałtownej dyskusji, czy wręcz kłótni, dobiegające zza zamkniętych drzwi wiejskiej chaty. Chwilę wcześniej w izbie zamknęli się partyzanci dowódcy. Byli tam: kpt. Romuald Rajs „Bury”, jego zastępca por. Kazimierz Chmielowski „Rekin” oraz dwaj dowódcy plutonów — ppor.

Włodzimierz Jurasów „Wiarus” i ppor. Jan Boguszewski „Bimy”.

„Wyrwa”, który pełnił wtedy służbę przy sztabie, nie mógł jak inni odejść na spoczynek po nocnej marszrucie. Stał cierpliwie przy zamkniętych drzwiach, będąc do dyspozycji na każde zawołanie oficerów. Słyszał wzburzone głosy toczącej się dyskusji. Rozpoznawał zdenerwowany ton „Rekina”, lecz nie mógł dosłyszeć żadnego słowa z tej sprzeczki. Głos młodego podporucznika górował nad innymi, cichszymi i spokojniejszymi. Raz zdawał się brzmieć jak błagalna prośba, innym razem zamieniał się w dramatyczny krzyk ostatniej próby perswazji. Pozostali partyzanci oficerowie mówili ciszej, alerównież w ich głosach można było wyczuć jakby wyrzut kierowany pod adresem głównodowodzącego. „Bury” co chwilę zabierał głos, próbując coś spokojnie tłumaczyć swoim oficerom, lecz wtedy ponownie wtrącał się „Rekin”. Po kilku minutach narady, podczas której z lasu dobiegły pierwsze salwy, na zewnątrz wypadł zdenerwowany i czerwony na twarzy „Rekin”.

— „Wyrwa”! Gnaj na jednej nodze do „Modrzewia”! Egzekucja wstrzymana! — zakrzyknął w stronę zaskoczzonego partyzanta. - Szybko! Przerwać rozstrzelanie! To rozkaz „Burego”! — wołał za pędzącym już w stronę lasu żołnierzem.

A potem z wolna zawrócił do izby i usiadł przy stole naprzeciw kapitana. Obaj

oficerowie bez słowa długo jeszcze siedzieli twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy.



Romuald Rajs „Bury” urodził się w 1913 roku w Jabłonce w powiecie Brzozów. Od najmłodszych lat był związany z wojskiem. W 1929 roku wstąpił do Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich. Pięć lat później ukończył zawodową szkołę podoficerską w Koninie i kurs spadochronowy w Biedrusku. W czasie zawodowej służby jako kapral był przydzielony do 85 pp 19 DP, do 13 Pułku Ułanów oraz ostatecznie do konnego plutonu zwiadu ponownie w 85 pp. W czasie działań wojennych we wrześniu 1939 roku jego jednostka weszła w skład Armii „Prusy”, a Rajs brał udział między innymi w wielkiej bitwie pod Tomaszowem Mazowieckim. Po kampanii wrześniowej niemal natychmiast zaczął konspirować przeciwko okupantowi. W 1941 roku Romuald Rajs wziął ślub z Genowefą Menżyńską, z którą miał urodzonego w 1943 roku syna - Romualda. W 1942 roku podporządkował się por. Gracjanowi Frógowi „Szczerbcowi” z Ruchu Narodowo-Radyklanego „Falanga”. Następnie był dowódcą kolejno drużyny, plutonu i kompanii szturmowej w 3 Brygadzie Wileńskiej AK dowodzonej właśnie przez „Szczerbca”.



Romuald Rajs „Bury” ze swoją żoną Genowefą oraz synkiem Romualdem, 1943 tub 1944 r.
(zbiory Fundacji Niezłomni)

Podczas akcji „Burza” i operacji „Ostra Brama” brał udział ze swym oddziałem w walkach o Wilno, między innymi w ataku na Wzgórze Zamkowe. Kiedy Sowieci aresztowali oficerów AK, „Bury” wyprowadził brygadę do Puszczy Rudnickiej i tam zdemobilizował żołnierzy. Potem ukrywał się, a następnie pod fałszywym nazwiskiem zgłosił się do służby w „ludowym”

WP. Otrzymał przydział na dowódcę plutonu w Samodzielnym Batalionie Ochrony Lasów Państwowych w Hajnówce. Podczas tej służby Romuald Rajs nawiązał kontakt

z działającym na tym terenie oddziałem mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Z początkiem maja 1945 roku porzucił służbę w komunistycznym wojsku i wraz z całym plutonem przeszedł do 5 Wileńskiej Brygady AK dowodzonej przez „Łupaszkę”, stając na czele drugiego szwadronu jako podporucznik „Bury”. Po rozwiązaniu brygady przeszedł wraz z ludźmi ze swego pododdziału pod skrzydła NZW, stając początkowo na czele patroli Pogotowia Akcji Specjalnej Komendy Okręgu Białystok NZW.

Z czasem patrol te stały się kadrowym załóżkiem 3 Wileńskiej Brygady NZW, na czele której na przełomie lat 1945 i 1946 ponownie rozpoczął walkę z komunistycznym reżimem.

Urodzony w 1925 roku w Żabińcach, województwo tarnopolskie, Kazimierz Chmielowski „Rekin” działalność w konspiracji rozpoczął w roku 1940. Od 1942 roku był łącznikiem w AK, a rok później dołączył do partyzanckiej grupy „Szczerbca”, przemianowanej następnie na 3 Brygadę Wileńską AK. W jej pododdziałach był kolejno amunicyjnym, dowódcą plutonu w szwadronie kawalerii i zastępcą dowódcy kompanii. Awansowany do stopnia plutonowego, podczas partyzanckich walk w roku 1944 był kilkakrotnie ranny. Brał udział w letnich walkach o Wilno, podczas których ponownie został ranny w nogę. Kiedy leczył się w szpitalu, aresztowało go NKWD i wywiozło do obozu w Miednikach Królewskich, a następnie do K a ługi pod Moskwą. Wiedział, że słabnie i może nie przetrwać kolejnych tygodni niewolniczej pracy. Zdesperowany zabił sowieckiego sierżanta i w jego mundurze rozpoczął dramatyczną podróż do Polski. Często przemieszczał się pociągiem, a sowieccy żołnierze brali go za swego towarzysza, ponieważ znakomicie mówił po rosyjsku. Dotarł do Wilna, a następnie do swojej siostry w Białymstoku. W tym mieście przypadkowo spotkał znajomego z wileńskiej AK — „Burego”, i dołączył do grupy jego żołnierzy Ochrony Lasów Państwowych. Od tego czasu już zawsze był podkomendnym i prawą ręką „Burego”. Jesienią 1945 roku, na wieść o rozkazie rozwiązania brygady „Łupaszki”, zrozpaczony próbował popełnić samobójstwo, lecz przeszkodził mu w tym kolega z Wileńszczyzny — „Wiarus”.

Początkiem roku 1946 światowa wojna już dawno była zakończona. Ale w Polsce zajętej przez sowieckie wojska okupacyjne, wsparte powołanymi do działania polskimi komunistycznymi służbami bezpieczeństwa, walka ciągle trwała. Zimą, na przełomie lat 1945 i 1946 na Białostoczczyźnie ruszyła do akcji sformowana niedawno 3 Brygada Wileńska Narodowego Zjednoczenia Wojskowego prowadzona przez doświadczonego partyzanta kpt. Romualda Rajsa „Burego”. Oddział liczył łącznie około stu dwudziestu do stu czterdziestu ludzi, podzielonych na cztery plutony, którymi dowodzili ppor. Włodzimierz Jurasów „Wiarus” i ppor. Jan Boguszewski „Bitny” oraz dwaj podoficerowie o nieznanym nazwiskach: sierż. „Leszek” i sierż. „Stalowy”.

Pierwszą poważną akcją oddziału był atak na posterunek MO w Sokołach, przeprowadzony 30 grudnia 1945 roku. Operacja, której zamiarem było opanowanie posterunku bez użycia broni, zamieniła się w długotrwałą strzelaninę, a to dlatego, że w

murowanym budynku oprócz kilku milicjantów znajdował się pluton „ludowego” wojska. I pewnie partyzanci nie zdobyliby komisariatu, gdyby nie ponemieckie pancerny. Dopiero wystrzał z tej broni wywołał panikę wśród broniących się żołnierzy, za którą poszła decyzja o rzuceniu broni i poddaniu się. Odbyła się honorowa kapitulacja, a komunistyczni oficerowie zachowali nawet broń krótką. Po akcji i wycofaniu się partyzantów wszyscy milicjanci i żołnierze odzyskali wolność.

Pomimo długotrwałej strzelaniny, po obu stronach było tylko po jednym rannym. Żołnierz „Rekina”, który dowodził akcją, zdobyli ogromną liczbę broni i amunicji, ledwo mieszcząca się na dwóch furmankach. Łupem partyzantów NZW padło osiem erkaemów, trzydzieści jeden pepesz i dwa karabiny.

Kilkanaście dni później żołnierze 3 Brygady NZW ponownie poważnie wzmocnili swój arsenał. Dnia 16 stycznia 1946 roku pod Hermanami otoczyli pluton KB W, który w pobliskich miejscowościach zbierał kontyngenty. I chociaż z przeciwnej strony padł po rosyjsku rozkaz otwarcia ognia, to otoczeni z dwóch stron żołnierze skapitulowali, nie oddawszy ani jednego strzału. Podczas akcji zdobyto cztery erkaemy, dwadzieścia dwie pepesze, jedenaście karabinów, osiemdziesiąt granatów i aż pięć i pół tysiąca sztuk amunicji. A nadgorliwego sowieckiego dowódcę (oficera politycznego), który wydał rozkaz do strzału, decyzją „Burego” rozstrzelano.

Wieczorem 28 stycznia cały oddział podzielony na kilka grup wkroczył do Hajnówki. Jeden z partoli przewrócił kilka słupów i przeciął kable telefoniczne, zrywając łączność z miasteczkiem.

Pluton „Wiarusa”, podając się za komunistyczne wojsko, bez jednego strzału opanował posterunek milicji, lecz potem niepotrzebnie wszedł w spór z sowieckimi żołnierzami, którzy dopominali się uwolnienia swego druha zamkniętego za kradzież. Ostatecznie wszystkich kilkudziesięciu Sowietów żołnierze „Wiarusa” zamknęli w pomieszczeniach należących do posterunku. Zamierzano ich rozstrzelać z erkaemu, lecz nie było na to czasu, gdyż zaczęła się na dobre walka na zewnątrz. W innym punkcie miasteczka żołnierze z plutonu „Bitnego” prowadzeni przez „Burego” i „Rekina” bez strzału zgarnęli sześćdziesięciu sowieckich oficerów w miejskiej łaźni. Byli to komendanci radzieckiego oddziału, którego kolejowe transporty zatrzymały się niedawno na stacji. W ręce partyzantów wpadł wówczas nawet sowiecki pułkownik, dowódca jednostki. I właśnie żołnierze z tych transportów za moment przeszli do natarcia, uprzedzeni o wzięciu do niewoli swoich dowódców. Po krótkiej walce na rozkaz Rajsa polskie oddziały sprawnie wycofały się z Hajnówki, poniosłszy straty w postaci kilku rannych, których zabrano ze sobą. Sowieccy dowódcy odzyskali wolność.

Wszystko zaczęło się we wsi Zaleszany, kiedy 29 stycznia z samego rana oddział „Burego” zatrzymał się tam na dzienny postój.

Już wtedy miejscowość ta była na „czarnej liście” polskiego dowódcy. Była to wieś zamieszkała w większości przez ludność białoruską, działała w niej prężnie

komórka PPR i „Samopomoc Chłopska”. A kilkanaście godzin wcześniej patrol prowadzony przez „Rekina” został ostrzelany przez niezidentyfikowanych mieszkańców tej wsi, kiedy zbierał dla brygady zapasy żywności. Sprawa wydawała się z góry przesądzona, do tego późniejszą brutalną pacyfikację wsi sankcjonował niejako wydany już pół roku wcześniej rozkaz mjr. Jana Szklarka „Floriana Lewickiego” („Kotwiczą”). W rozkazie tym komendant Okręgu NZW nakazywał przeprowadzać akcje pacyfikacyjne i odwetowe wymierzone w ludność nastawioną wrogo do sprawy niezawisłości Polski. Warto w tym miejscu podkreślić, że Białorusini mieszkający w granicach Polski lubelskiej woleli znaleźć się w Związku Sowieckim, a konkretnie w Białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Pomimo tego początkowo nic nie wróżyło tak dramatycznych wydarzeń, jakie miały nastąpić. Partyzanci zobligowali sołtysa do przygotowania dwudziestu podwodów (zaprzęgów konnych wraz z woźnicami) oraz odpowiedniego zapasu owsa. Jednocześnie wezwano wszystkich mieszkańców na spotkanie do domu sołtysa. Kiedy żołnierze „Burego” konfiskowali owies, jeden z białoruskich gospodarzy (jak potem wspomiano, „chyba trochę niedorozwinięty”) postawił się i zapowiedział, że nie da ani gram a swego ziarna. Za odmowę wykonania rozkazu natychmiast go rozstrzelano, a jego pełny spichlerz zapłonął jako pierwszy. Miał wtedy również miejsce inny nieoczekiwany incydent. Mianowicie jeden z nieletnich wiejskich chłopców rzucił kamieniem w „Rekina” i zaraz uciekł, skutecznie się kryjąc. Kiedy te informacje dotarły do kpt. „Burego”, przesądziły o losie wioski. Na początku rozstrzelano syna sołtysa i jednego z mieszkańców, należącego do partii.



*Kapitan Romuald Rajs „Bury”, dowódca 3 Wileńskiej Brygady NZW (pierwszy z lewej).
Obok niego Irena Aronowska „Kozaczek ”
(Instytut Pamięci Narodowej)*

Następnie dowódca wezwał Polaków do opuszczenia zgromadzenia, a pozostałych mieszkańców zabarykadowano w domu, ustawiając z każdej strony warty z karabinami maszynowymi. Pierwsze serie wystrzelonych pocisków zapalających wzniciły pożar drewnianej strzechy. Z zamkniętego budynku, w którym znajdowały się również kobiety i dzieci, dobiegały krzyki i płacz. Gdy ogień rozprzestrzenił się na cały dom, zrozpaczeni ludzie wyważyli drzwi i okna i zaczęli uciekać. Podobno partyzanci strzelali wtedy do nich, lecz dziwnym trafem wszystkie kule szły albo wysoko w niebo, albo pod nogi biegnących.

Jeden z partyzantów, być może „Rekin”, krzyknął za Białorusinami:

— Uciekajcie, ludzie!

A sam „Bury”, którego widać ruszyło sumienie, ratując życie białoruskim cywilom, wydał oficjalny rozkaz obsługom erkaemów:

— Strzelajcie pod nogi!

W Zaleszanach zginęło wtedy kilkunastu mieszkańców, i to nie spośród zamkniętych w domu sołtysa. Z dymem poszła prawie cała wieś, ponieważ ogień łatwo przenosił się po słomianych strzechach i drewnianych konstrukcjach budynków.

W następnej wiosce, a była to Wólka Wygonowska, spalono sześć budynków i

rozstrzelano dwie osoby. W Puchałach Starych „Bury” zdecydował o rozstrzelaniu białoruskich furmanów. Najprawdopodobniej, za namową „Rekina”, szybko zmienił zdanie, ale odwołanie rozkazu dotarło na miejsce egzekucji już za późno. Partyzanci z drużyn „Modrzewia” i „Ładunka” rozstrzelali w lesie dwudziestu ośmiu Bogu ducha winnych woźniców.

Na początku lutego zapłonęły inne białoruskie wsie. „Banda Burego” spacyfikowała i spaliła Szpaki (zginęło tam siedem osób, a spłonęły dwadzieścia dwa gospodarstwa), Zanie (gdzie zabitych zostało do trzydziestu osób, a z ogniem puszczono trzynaście domów) i Końcowiznę (trzy domy i kilkadziesiąt innych budynków, bez ofiar śmiertelnych).

Te radykalne działania brygady „Burego” niebezpiecznie balansowały na granicy moralności. Po latach można definiować je jako zbrodnie wojenne lub czystki etniczne. Ale Sąd w Warszawie w 1995 roku orzekł, że Romuald Rajs, wydając tak drastyczne rozkazy, działał w sytuacji określonej jako „stan wyższej konieczności, zmuszający do podejmowania działań nie zawsze jednoznacznych etycznie”.

Na wojnie jak to na wojnie. „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą” — głosi mądre przysłowie. Gdy się biją, mogą ucierpieć także niewinne, postronne osoby, często cywile. Dość powszechnie stosowaną represją wobec niepokornych narodów była odpowiedzialność zbiorowa, wykorzystywana zdecydowanie zbyt często podczas tej najokrutniejszej z wojen. Ale czy wszystkie działania represyjne i pacyfikacyjne oddziały „Burego” mają swoje logiczne wytłumaczenie i pasują do definicji tak zwanego „stanu wyższej konieczności”?



Wracając do 3 Wileńskiej Brygady—na rozkaz komendanta Okręgu z początkiem drugiej dekady lutego 1946 roku jej żołnierze wyruszyli na rajd po terenie dawnych Prus Wschodnich. W zamiśle dowództwa NZW krok ten miał uchronić oddział przed coraz liczniejszymi komunistycznymi obławami i dać wytchnienie żołnierzom na tym wyludnionym, a przez to, jak się mogło zdawać, bezpiecznym obszarze. Żołnierze z taborem liczącym około czterdziestu wozów i sań przeszli dawną granicę Polski i znaleźli się na terenie Prus. Za nimi zostały polskie przyjazne i dobrze zaopatrzone wsie oraz cała konspiracyjna siatka organizacji antykomunistycznych NZW i WiN. Oddział, liczący w tym czasie już około stu czterdziestu żołnierzy, prowadził „Rekin”, który w mundurze sowieckiego majora kręcił się na swoim wierzchowcu na początku kolumny. Jeden z pierwszych dłuższych postojów zarządzono w miasteczku Wydminy, gdzie mieszkali ojciec i siostra „Rekina”. Miejscowość otoczono ścisłym kordonem, blokując wszystkie drogi, ale o dziwo, nie niepokojono milicjantów, którzy zamknęli się na miejscowym posterunku. W czasie dalszego marszu partyzancka grupa zdobyła sporo zaopatrzenia, wyposażenia i zwierząt hodowlanych na niepilnowanym przez Sowieców poniemieckim majątku, a następnie skierowała się na Orłowo i Gajrowskie. Śnieg sypiący od kilku dni przestał wreszcie padać i rankiem 16 lutego zaświeciło

zimowe, mocne słońce. Zapowiadał się cichy, słoneczny i ciepły (pięć stopni mrozu) jak na zimową porę dzień. Za ponad setką żołnierzy, ich licznym taborem oraz zdobytymi niedawno zwierzętami na śniegu pozostawał świeży, głęboki ślad, prowadzący wprost do wsi Gajrowskie.

Jednak „ziemia obiecana”, jaką oddział NZW miał zastać w Prusach, okazała się jednym wielkim fiaskiem. Wioski były w większości opustoszałe. Jeśli już w mijanych osadach zastali jakiś zamieszkały dom, to gospodarze byli biedni i głodni, bez żadnych zapasów, które mogłyby wystarczyć dla stu czterdziestu partyzantów i ich zwierząt.

Zdarzały się co prawda wielkie majątki niemieckich *bauerów*, lecz te w ogromnej większości obsadzone były przez oddziały Armii Czerwonej, pilnujące, by nie rozgrabiono ponemieckich zdobyczy. No i najważniejsze — nikt z mieszkających na tym obszarze ludzi w żadnym, najmniejszym nawet stopniu nie był zainteresowany pomocą polskim partyzantom. Tutejsi bali się o własną skórę i byli bardzo spolegliwi wobec sowieckich okupantów. Wieść o postępującej „bandzie” szybko rozeszła się po okolicy. Wkrótce z kolejnych posterunków MO meldunki o obcej uzbrojonej grupie grasującej na terenie byłych Prus dotarły do UB w Ełku i NKWD w Białymstoku.

Natychmiast uruchomiono oddziały pościgowe. Z Ełku w teren na samochodach ciężarowych wyjechało około sześćdziesięciu żołnierzy zebranych z 62 pp oraz 54 Pułku Artylerii Lekkiej (pal). Na ich czele stanęli mjr Wojciechowski i komendant UB w Ełku ppor.

Szczawiński, któremu towarzyszyło kilku uzbrojonych ubeków.

Z Białegostoku wyruszyła na samochodach licząca około siedemdziesięciu żołnierzy sowiecka grupa bojowa NKWD, wsparta jednym samochodem pancernym. Oficjalnie dowodził nią kpt. Makarenko, ale byli wśród niej również funkcjonariusze UB — zastępca szefa WUBP w Białymstoku kpt. Eliaż Koton i jego sowiecki doradca mjr Sieruchin, który miał decydujący głos.



Funkcjonariusze UB i KBW podczas akcji likwidacji oddziału „Sokoła”. Zdjęcie pochodzi z albumu „Z historii walk funkcjonariuszy UB, MO i KB W z wrogim podziemiem”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Jakby tego było mało, komuniści zaalarmowali wszystkie posterunki MO w okolicy, a w teren wyruszyli jeszcze tajni agenci UB, którzy mieli za zadanie odnaleźć trop „bandy”.

Początkowo komunistyczne grupy działały po omacku. Niesprawdzone meldunki czy wykluczające się zeznania świadków z mijanych miejscowości powodowały zamęt i prowokowały marsze po fałszywych śladach. Oddział kpt. Wojciechowskiego kręcił się bezproduktywnie wokół Wydmin. Dopiero kolejne donosy gajowego nadleśnictwa Borki nakierowały komunistyczne grupy na prawdziwy szlak przemarszu oddziału „Burego”. Pod Orłowem oddział

Wojciechowskiego spotkał się z sowiecką grupą NKWD. Od tego momentu postanowiono działać razem. Radziecka grupa miała szukać „bandy” w Gajrowskich i Wronkach, a oddział polskich komunistów w pierwszym rzędzie udawał się do Zalesia. Rozkazy wydano i żołnierze ruszyli do akcji, jeszcze nieświadomi, że coraz bardziej zacieśniają pętlę okrążenia wokół ściganych partyzantów.



W zupełnych ciemnościach, wczesnym rankiem brygada „Burego” dotarła do wsi i rozłożyła się na spoczynek. Gajrowskie było sporą miejscowością, zabudowania ciągnęły się dość daleko. Oddział nie był w stanie obsadzić całej wsi i dlatego zakwaterowano żołnierzy w różnych jej częściach. W domach znajdujących się przy

drodze wychodzącej na Orłowo zatrzymały się plutony „Wiarusa” i „Bitnego”. We wschodnie części, od strony Zalesia, stacjonowały plutony „Leszka” i „Stalowego”. Przy tym ostatnim, jako najmniej ostrzelanym i mało doświadczonym, znajdował się dowódca. Tabory umieszczono w centrum miejscowości. Było jeszcze ciemno i wszyscy żołnierze udali się na spoczynek, wcześniej wystawiając warty. Tuż przed rozejściem się „Bury” zapowiedział, że gdyby doszło do rozproszenia oddziału, partyzanci mają koncentrować się w Jurkowie, jednej ze wsi mijanych po drodze do Gajrowskich.

Nie dane im było wypocząć. Z pierwszym świtem, kiedy na zewnątrz dopiero szarzało, podoficer alarmowy obudził „Burego”.

— Panie kapitanie, wartownicy widzieli rakietę. Wystrzeliła w niebo gdzieś od strony Wydmin i zgasła.

„Bury” szybko wstał i wzuł buty. Wyszedł z żołnierzem na dwór i obserwował. Minęło kilka minut, ale wokół panował niczym niezmacony bezruch. Jedyne od strony Zalesia niebo z wolna różowiało, barwione wschodzącym powoli, jakby z przymusu słońcem.



Jeden z pododdziałów 3 Wileńskiej Brygady NZW kpi. „Burego”

(Instytut Pamięci Narodowej)

— Na razie cisza i spokój - powiedział komendant. A potem dodał, zwracając się do alarmowego: — Jakby coś się działo, budź natychmiast. Rano zobaczymy, co będzie.

Z nastaniem dnia było tylko gorzej. Na początku inna czujka dała znać, że od strony Zalesia słychać wzmożony warkot silników samochodowych, co mogło oznaczać przejazd wojskowych pojazdów.

Meldunek zaniepokoił kapitana, który wysłał w tę stronę kilka do świadczonych drużyn pod ogólnym dowództwem por. „Rekina”.

Oddział zniknął na wschodzie, ale we wsi jeszcze przez kilka godzin panował wyjątkowy spokój. Żołnierze z wolna budzili się po odpoczynku i zaczęli normalną codzienną krzątanie. Nieliczne kobiety, mieszkanki wsi, zajęły się przyrządzaniem śniadania, a partyzanci myli się, golili, niektórzy czyścili broń. Istna sielanka w piękny lutowy poranek.

Tuż po południu od strony Orłowa dał się słyszeć warkot samochodowych silników. Zaskoczeni wartownicy stróżujący z zachodniej strony zbaranieli i przepuścili jadący na czele sowiecki samochód pancerny. Strzelać zaczęli dopiero do jadących za nim pojazdów. Ale enkawudziści sprawnie jak na szkoleniu pozeskakiwali z ciężarówek i szybko utworzyli ziejącą ogniem tyralierę. Nagły atak i pierwsze strzały zaalarmowały resztę partyzantów. Wszyscy chwycili za broń i ruszyli do walki. Pierwszy impet spadł na plutony „Wiarusa” i „Bitnego”, których żołnierze przeszli do kontrataku, zatrzymując siłę sowieckiego natarcia. Tymczasem pancernka, która na początku akcji wjechała w sam środek wsi, strzelała wokół siebie, siejąc wszędzie popłoch i spustoszenie. Większość partyzantów chowało się przed tym ostrzałem za murowanymi ścianami solidnych poniemieckich budynków. Stanisław Myśliwiec „Orzech” próbował strzelać do opancerzonego wozu ze swojego erkaemu, lecz kule jak ziarna grochu odbijały się od jego ścianek. Dopiero partyzanci od „Wiarusa” przytomnie przynieśli z wozów taborowych przeciwpancerne pancerfausty.

— Wal! — krzyknął „Orzech” do kolegi, który właśnie przydźwigał niemiecką broń.

— Ale ja nigdy z tego nie strzelałem - wzbraniał się młody partyzant. - Ty to zrób!

Nie było rady i „Orzech” wymienił swój erkaem na „pancerną pięść”. Potem szybko przymierzył i wystrzelił. Kumulacyjny pocisk zostawiał za sobą warkocz ognia i dymu, ze świstem lecąc prosto do celu. W tym czasie inni żołnierze również strzelili z pancerfausta do pancernki. Dwie celne kule ognia miały w sobie tyle mocy, że przewróciły sowiecki samochód. Tankiści wycofywali się, ostrzeliwani z broni maszynowej. Ale ich dowódca został już na zawsze w wieżycze palącego się pojazdu. Zapłonęły także dwie sowieckie ciężarówki, a na ich burtach zwisły bezwładne ciała zabitych i rannych Sowietów.



Widząc chwilowy impas w bitwie, sowieccy dowódcy postanowili oskrzydlić polską obronę. W tym celu niepostrzeżenie prawą stroną wsi, kryjąc się za stodołami, wyruszył do walki pluton ppor. Dołgowa z NKWD.

Tymczasem w centrum wsi kpt. „Bury” próbował zaprowadzić porządek pośród swoich żołnierzy. Dopiero co nakazał „Wiarusowi” i „Bitnemu”, by najdłużej, jak się da, trzymali zachodnią rubież wsi. A teraz organizował kolejną grupę przewidzianą do kontrataku, złożoną tym razem w głównej mierze z nieostrzelanych dotychczas chłopców z plutonu „Stalowego”. Traf chciał, że zaraz po wymarszu na tę grupę ruszyli enkawudziści Dołgowa i po pierwszych strzałach rozproszyli partyzantów.

— Zachodzić od tyłu! Zachodzić od tyłu! — wrzeszczał jeszcze przez moment na swoich ludzi „Bury”. Ale po chwili sam musiał także wycofać się w stronę lasu, widząc, że chłopcy „Stalowego” i „Leszka” zostali z miejsca rozbici. Rozkaz dowódcy próbowało wykonać jeszcze kilku żołnierzy, z Marianem Maliszewskim „Wyrwą” na czele. Zaczęli półkolem zachodzić Rosjan z boku, lecz było ich coraz mniej i mniej. W końcu został sam „Wyrwa”, schowany w szczerym polu za jakąś stertą kamieni. Strzelał ze swojej pepeszy do czasu, kiedy w magazynku zabrakło mu naboju. Chciał się wycofać, lecz Sowietci już na niego szli. Nie mając innego wyjścia, wyszedł z ukrycia, wyprostował się i spojrzał na napastników.

— *Ru ki w merch! Ru ki u> uherch!* — krzyтели mu nad uchem enkawudziści, a on dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, że wpadł w sowieckie ręce i przestraszył się naprawdę.

Wycofujący się do lasu z niewielką grupką „Bury” jeszcze przytomnie wystrzelił w niebo dwie rakietki sygnalizacyjne (zieloną i białą), dając znak do odwrotu odciętym grupom z plutonów „Wiarusa” i „Bitnego”.



Komunistyczny oddział: plutonowy Olesiak (trzeci z lewej) i jego żołnierzy, którzy wyróżnili się w walce z partyzantami „Marnego”. Zdjęcie pochodzi z albumu „Z historii walk funkcjonariuszy UB, MO i KB W z wrogim podziemiem”

(Instytut **Pamięci Narodowej**)

Żołnierze tych oddziałów, widząc sygnały rakiet i z każdej strony mając już nieprzyjaciela na karku, próbowali również przedostać się do lasu. Niestety jeszcze pośród zabudowań pod wrogimi kulami padł martwy ppor. „Bitny”, a po chwili również ppor. „Wiarus”. Żołnierze pozbawieni dowódców tym spieszniej kierowali się

w stronę lasu. Niestety łączkę, która prowadziła w kierunku zbawczej linii drzew, objął ogniem sowiecki erkaem ustawiony na górze.

Inni enkawudziści obsadzili stanowiska na dachach zajętych dopiero co domów. Ciemne postacie polskich żołnierzy znakomicie odcinały się od białego śnieżnego podłoża i stanowiły doskonały cel. Setki pocisków padało wokół, grzęznąc w białym, zmrożonym śniegu i wyrzucając w powietrze grudki zmarzniętej ziemi. Po minucie śnieg pod nogami partyzantów zrobił się brudnoszary, a potem czarny.

Jeszcze kilku, zanim dobiegło do drzew, padło na tym ciemnym polu, a paru rannych wynieśli spod ostrzału koledzy. Na szczęście w połowie drogi znajdował się stary ponemiecki okop i to on uratował życie wielu uciekinierom. Kiedy polscy żołnierze dopadli lasu, natychmiast na wysokości pierwszych drzew ustawiono doraźną linię obrony. Zagrały polskie erkaemy, umożliwiając wycofanie się resztek oddziału.

Potem kilkudziesięciu ludzi z wymieszanych polskich grup wyruszyło w drogę, aby jak najszybciej znaleźć się daleko od miejsca bitwy, płonącej wsi i zostawionych na pastwę zwycięzców taborów. Nikt za nimi nie gonił. Oddziały radzieckie również liczyły straty, a wczesny mrok i tak skutecznie uniemożliwiłyby ewentualny pościg. Po dwóch i pół godzinie walki strzały ucichły. Bitwa była zakończona.



Kombinowany pluton „Rekina” konno i na czterech furmankach od rana ostrożnie posuwał się w stronę Zalesia. Daleko przed wsią por. Kazimierz Chmielowski zostawił wierzchowce i tabor pod strażą kilku partyzantów. Sam natomiast z resztą oddziału chyłkiem zbliżył się w kierunku niepokojących odgłosów samochodowych silników.

Grupa „Rekina” zajęła stanowisko na niewielkim pagórku. Dzień był piękny i słoneczny, ze znakomitą widocznością, dochodzącą nawet do kilku kilometrów. Przed nimi w dole rozciągała się wieś, a tuż przed nią wiała się wstążka drogi. Na tej właśnie drodze stało kilka samochodów i ciężarówek z zapalonymi silnikami. Wokół kręcili się żołnierze.

Była to druga grupa pościgowa mjr. Wojciechowskiego, składająca się wyłącznie z żołnierzy polskiej komunistycznej armii. Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami pomiędzy komunistycznymi dowódcami oddział ten zajął i przeszukał całą wieś.



Kazimierz Chmielowski „Rekin” (pierwszy z lewej), jeszcze pośród kolegów w 5 Wileńskiej Brygadzie mjr. „Lupaszki”. Za nim widoczni od lewej: Henryk Wieliczko „Lufa”, Józef Bandzo „Jastrząb” i Jerzy Lejkowski „Szpagat”

(Instytut Pamięci Narodowej)

W Zalesiu żadnych partyzantów nie było i dlatego grupa ta z wolna szykowała się do drogi. Było ustalone, że Sowieci zajmą wstępnie Gajrowskie, a dopiero potem skierują się do Wroniek. Major Wojciechowski i ppor. Szczawiński postanowili poszukać kontaktu z oddziałem NKWD. Na drodze pozostawiono auta z nieliczną obstawą, a cały oddział ruszył w stronę Gajrowskich, mozolnie podchodząc pod niewielkie wzgórze.

Widząc nieprzyjaciół nadchodzących prosto pod lufy, zaczajeni partyzanci „Rekina” mocniej schwycili za karabiny. Dowódca czołgał się wzdłuż rozstawionej linii i szeptał każdemu z żołnierzy, przestrzegając:

— Broń Boże, nie strzelać. Dopiero na mój rozkaz. Musimy podpuścić ich jak najbliżej.

Linia maszerującego wojska była już bardzo blisko. Wydawało się, że prowadzący szperacze zaraz zauważą skrytych we wgłębieniach ziemi partyzantów. Ale wtedy „Rekin” krzyknął do chłopców:

— Ognia! — I pierwszy zaczął strzelać. Rozjazgotały się erkaemy i automaty żołnierzy NZW. Już początkowe serie były celne. Kilka ciał zabitych i rannych turlało się w dół po łagodnym zboczach. Pozostali przeciwnicy zalegli i próbowali odpowiadać ogniem. Ale wkrótce musieli uznać wyższość żołnierzy „Rekina”, którzy mieli lepsze stanowiska i więcej broni maszynowej. Cała komunistyczna grupa wycofała się w popłochu.

Nastąpiła krótka cisza oznaczająca przerwę w walce. Wtedy partyzanci usłyszeli z

tyłu za sobą odgłosy zażartej bitwy. Zaniepokojony „Rekin” natychmiast wysłał w tę stronę gońca, który miał ustalić, co dzieje się z głównymi siłami brygady.

W tym czasie komunistyczni oficerowie zaprowadzili jako taki porządek w swoich szeregach i ponownie poprowadzili żołnierzy do ataku. Ale i to, i następne natarcia prowadzone frontalnie zostały zatrzymane celnym ogniem. Dopiero po dłuższym czasie, może po godzinie, żołnierze z 62 pp i 54 pal spróbowali oskrzydlić z dwóch stron pozycje partyzantów.

Oddział „Rekina” naliczył już straty w postaci kilku zabitych oraz rannych i zaczynał być poważnie zagrożony. Przed sobą i na skrzydłach miał kilkudziesięciu przeciwników, którzy za wszelką cenę chcieli zdobyć wzgórze i dostać się do Gajrowskich. Za plecami partyzantów ciągle grzmiała palba wystrzałów. Wysłane na zachód kolejne patrole, mające wywieść się o przyczynie tych walk, nie powracały. Zdezorientowany trudną sytuacją dowódca podjął ostatecznie jedyną słuszną decyzję. Z ociąganiem wydał rozkaz do wycofania się na północ. Już po kilku kilometrach leśnego marszu do oddziału „Rekina” zaczęli dołączać pojedynczo i grupkami rozbitkowie spod Gajrowskich. Dopiero wtedy „Rekin” poznał szczegóły walki, jaką stoczył oddział „Burego”. Wkrótce porucznik miał już pod sobą prawie dziewięćdziesięciu żołnierzy, których poprowadził zgodnie z wcześniejszymi wskazówkami „Burego” w stronę Jurkowa.

W tym samym kierunku, ale zupełnie inną drogą, szedł „Bury” z trzydziestoma sześcioma ludźmi, pośród których było wielu rannych.



Pomimo przegranej bitwy i strat rzędu dwudziestu procent 3 Wileńska Brygada NZW utrzymała zdolność bojową i manewrową. Pluton „Rekina”, skutecznie wstrzymując przez długi czas oddział „ludowego” WP pod Zalesiem, uratował brygadę przed całkowitym rozbitciem. Pomimo szczęśliwego oderwania się od nieprzyjaciela straty partyzantów były poważne. Zginęło ich, według różnych źródeł, od czternastu do dziewiętnastu osób. Na pewno podczas bitwy padli ppor. Jan Boguszewski „Bimy”, ppor. Włodzimierz Jurasów „Wiarus” i dowódca jednej z drużyn plut. „Modrzew”. Nie żyło też dwóch partyzantów z grupy „Rekina”. Nie wiadomo, ilu Polaków zginęło bezpośrednio w trakcie walki, a ilu rannych dobito już po bitwie.

Nad wziętymi do niewoli rannymi partyzantami znęcali się wściekli enkawudziści, w zemście za swoich zabitych i rannych towarzyszy.

Więźniów bito, wiązano drutem kolczastym i męczono aż do śmierci.

Potem martwym Polakom gruchotano kości rąk i nóg, aby po chwili odrąbać je za pomocą saperek.

Trzech wziętych do niewoli partyzantów przeżyło. Oprócz tego siły rządowe zdobyły całe partyzanckie tabory i pojmały dwudziestu cywilnych furmanów przebywających przy oddziale. W komunistyczne ręce wpadł także bogaty arsenał grupy „Burego”. Było to pięć pancerfaustów, pięć erkaemów (w tym trzy

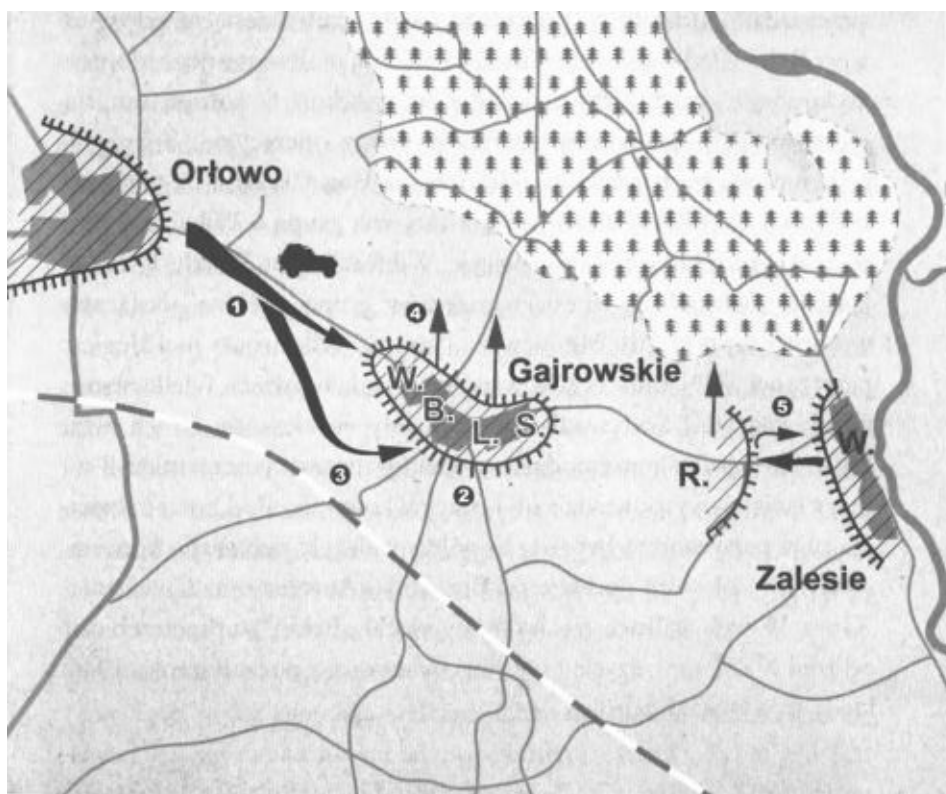
poniemieckie), dziesięć pistoletów maszynowych, dziewięć karabinów, pięć pistoletów i około dwóch tysięcy trzystu sztuk amunicji.



Szczątki partyzantów 3 Wileńskiej Brygady NZW ekshumowane w Gajrowskich w 2014 r. dzięki pracom Fundacji Niezłomni

(zbiory Fundacji Niezłomni)

W swych dokumentach funkcjonariusze UB oficjalnie przyznawali się do trzech zabitych (w tym sierżanta, dowódcy pojazdu pancernego) oraz sześciu rannych ze strony sowieckiej. W ogóle brak danych o stratach polskich formacji uczestniczących w obławie na brygadę „Burego”. Wyliczenia te wydają się jednak zbyt szczupłe jak na warunki tej bitwy. Niestety, w obecnym czasie, nie można ich już w żaden sposób zweryfikować. Na pewno zniszczony został również jeden sowiecki samochód pancerny.



Bitwa pod Gajrowskimi 16 lutego 1946 r.

- ❶ Atak sowieckiej grupy mjr Sieruchina.
- ❷ Stanowiska 3 Brygady „Burego”: plutony „Wiarusa” (W.), „Bitnego” (B.), „Leszka” (L.) i „Stalowego” (S.).
- ❸ Natarcie oskrzydłujące Dołgowa.
- ❹ Wycofanie się Polaków ze wsi.
- ❺ Walki pod Zalesiem grupy „Rekina” (R.) z wojskiem mjr Wojciechowskiego (W.).

Po niepomyślnym rajdzie przez były teren Prus partyzanckie grupy 3 Brygady powróciły w Białostockie. Na rozkaz komendy zmniejszono liczbę żołnierzy w oddziale, rozpuszczając chętnych do domów. Pod bezpośrednim dowództwem „Rekina”, który teraz przewodził oddziałowi, pozostało około sześćdziesięciu partyzantów. Było wśród nich kilkunastu jeźdźców, z utworzonego dopiero co konnego zwiadu. Aby ponownie dać wytchnienie żołnierzom, ciągle tropionym przez komunistyczne grupy operacyjne, 3 Brygada przemieściła się bardziej na południe, za Bug. Chciano na tym terenie nawiązać bliższą współpracę z aktywną grupą 6 Wileńskiej Brygady AK por. Lucjana Minkiewicza „Wiktora” i por. Władysława Łukasiuka „Młota”. Po miesiącu marszów grupa „Rekina” dołączyła w końcu do oddziału Minkiewicza i we wsi Wiktorowo nad Bugiem partyzanci WiN oraz NZW wspólnie spędzili Święta Wielkanocne.

Ciągłe marsze i liczne walki uzmysłowiły żołnierzom, że ich życie może skończyć się niespodzianie. Dlatego wszyscy uczestniczyli w mszy świętej, wyspowiadali się i przyjęli komunię. Pod koniec kwietnia obie partyzanckie brygady wspólnie walczyły przeciwko komunistycznym obławom pod wsiami Brzozowo-Antonie oraz Czochanie-Góra. W tych walkach ciężko ranny został „Rekin”, a przetrzebiony oddział NZW nie odzyskał już swej świetności z początku roku 1946, kiedy to wyruszał w pole.



Kazimierz Chmielowski dochodził do zdrowia, przebywając cały czas pod opieką partyzantów „Wiktora”. Kiedy wydobrzeł, wrócił do oddziału NZW. Na czele znacznie szczuplejszej już 3 Brygady przeprowadził kilka akcji, likwidując ubeckich konfidentów i rozbrajając posterunki MO. Po starciu pod Hilarowem (27 lipca) oddział został rozproszony przez komunistyczną grupę operacyjną i pomimo niewielkich strat postanowiono rozdzielić się i zaszyć w niedostępnych lasach i bagniskach. Na początku sierpnia „Rekin”, już na własną rękę, jedynie z kilkoma partyzantami, próbował przekraść się w Olsztyńskie. Wcześniej wysłał list do „Burego”, w którym tłumaczył się z tej decyzji „urlopowania samego siebie”. Ale grupka ta została po drodze rozbita przez milicję, która, zaalarmowana przez jednego z sołtysów, szybko dopędziła samochodem partyzantów. Zginęło trzech żołnierzy „Rekina”, a on sam z jednym tylko towarzyszem (Stanisławem Wolińskim „Małym”) wyruszył w daleką podróż do domu. „Rekin” miał już dosyć wojaczki. Przez całe swoje młode życie (a skończył dopiero dwadzieścia jeden lat) wyłącznie konspirował, walczył i aż sześć razy był ranny. Pragnął normalnie żyć, uczyć się, pracować, znaleźć dziewczynę, chciał założyć rodzinę i mieć dzieci. Taki cel przyświecał mu, kiedy z mozołem brnął przez bezdroża w stronę Wydmin. Przez sześćdziesiąt kilometrów przekradali się lasami i mokradłami, z rzadka zachodząc do wsi. Byli głodni, wyczerpani, a „Mały” na dodatek lekko ranny. Po kilku dniach morderczej wędrówki późną porą zapukali do domu Maksymiliana Chmielowskiego i jego córki Zofii. Nie chcieli, by ich ktoś zobaczył. Po chwili drzwi otworzyły się i w progu stanął ojciec „Rekina”. Wzruszony wpuścił przybyszów i nakazał córce przygotować jak najszybciej ciepły posiłek.

— Tato, ja już nie chcę walczyć. Chcę normalnie żyć, ożenić się.

Marzy mi się nauka — szeptał popękanymi ustami „Rekin”. — Muszę zerwać z organizacją i wyjechać gdzieś, żeby rozpocząć nowe, cywilne życie.

Rozbitkowie zjedli sutą kolację, a późną nocą w zabudowaniach gospodarczych ukryli swą broń.

Po kilku dniach „Rekin” pożegnał rodzinę w Wydminach i wyjechał na Śląsk. Zamieszkał w Chorzowie, gdzie rozpoczął pracę w hucie „Kościeszko” i powoli prostował swoje życie. Na wiosnę 1947 roku ujawnił się w Urzędzie Bezpieczeństwa w Katowicach, podając się za wileńskiego partyzanta AK o pseudonimie „Smutny”, naturalnie nie wspominając o powojennej działalności w NZW. Potem Kazimierz Chmielowski rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Śląskiej i jako zapalony sportowiec organizował studenckie koło sekcji narciarskiej. Na jednym z wyjazdów na narty poznał piękną dziewczynę — Halinę Cistównę ze Szczecina, studentkę tej samej uczelni. Beztróskie życie zostało brutalnie przerwane przez funkcjonariuszy UB, którzy na początku grudnia 1948 roku aresztowali „Rekina” i przewieźli do siedziby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) w

Warszawie, a następnie do więzienia w Białymstoku. Kazimierz Chmielowski był rozpracowywany w więziennej celi przez agenta UB kryptonim „Sosna”, lecz niewiele mówił. Próbował za to wysłać grypsy z więzienia, w których ostrzegał „Małego” i martwił się o swego ojca oraz siostrę. Nie mógł wiedzieć, że Maksymilian Chmielowski już wcześniej został aresztowany i po kilku miesiącach zmarł w więzieniu. Nie zdawał sobie też sprawy, że wszystkie jego tajne informacje w padają z łatwością w ubeckie ręce. Jak chociażby gryps, w którym pisał do „Małego”: „«Bury» współpracuje z UB i wszystko zwala na mnie. Pamiętaj, że to on dał rozkaz rozstrzelania furmanów we wsi Puchały i jeńców w Muzylach. Ja też nie brałem przecież udziału w paleniu wsi”.



Po bitwie w Gajrowskich Romuald Rajs z oddali kierował poczynaniami swego oddziału, lecz kiedy „Rekin” porzucił partyzantkę i urlopował się bezterminowo, „Bury” wrócił do bezpośredniego dowodzenia resztkami brygady.



*Porucznik Kazimierz Chmielowski „Pekin”, następca „Burego” w 3 Brygadzie NZW
(Instytut Pamięci Narodowej)*

Próbował jeszcze zreorganizować ludzi i podzielił ich na działające osobno drużyny. Ale już jesienią 1946 roku rozwiązał oddział i, otrzymawszy urlop od przełożonych, wyjechał do Elbląga, a następnie z żoną i synem udał się do Jeleniej Góry.

Tam pracował w Urzędzie Gminy w Karpaczu, a potem z żoną prowadził pralnię. Pomimo tego Romuald Rajs w dalszym ciągu utrzymywał kontakty z siatką NZW i

komendantem okręgu. Niestety komunistom udało się aresztować łączniczkę, która z Białostoczczyzny jeździła do Rajsa do Karpacza, i ta, odpowiednio przyciśnięta, wyjawiała miejsce pobytu partyzanckiego dowódcy. Milicjanci próbowali podstępem doprowadzić go na posterunek, gdzie czekała już większa grupa ubeków, ale „Bury”, przeczuwając zasadzkę, uciekł i skutecznie zgubił pogoń. Wysłał telegram z ostrzeżeniem do żony i postanowił ukryć się u mieszkającego w Jeleniej Górze ojca zabitego w Gajrowskich „Wiarusa”. Adres ten znany był już komunistycznej bezpiece, która właśnie rozpracowywała całą strukturę wileńskiej konspiracji („akcja X”), i 13 listopada 1948 roku „Bury” został aresztowany. Przetrzymano go początkowo we Wrocławiu, potem w MBP w Warszawie, a ostatecznie w więzieniu w Białymstoku. Zamknięto również na pół roku niemającą nic wspólnego z konspiracją i antykomunistyczną walką żonę „Burego” Genowefę, a ich pięcioletni wówczas syn trafił pod opiekę babci.

Zamknięty w więziennej celi Romuald Rajs tak zapamiętał wydarzenia z 16 lutego 1946 roku:

— Pobyt w miejscowości Friedrichsheide (Gajrowskie) był ostatnim miejscem postoju w Prusach. Noc mroźna, gwiaździsta. Po wydaniu konkretnych rozkazów i wyznaczeniu punktu poprzedniego postoju na miejsce zbiórki na wypadek rozproszenia, zakwaterowano się w wyżej wymienionej miejscowości. Noc przeszła spokojnie. We wczesnych godzinach porannych patrol konny pod dowództwem „Rekina” udaje się na rozpoznanie miejscowości Orłowo - leżącej pod Puszczą Orłowską.



Kapitan Romuald Rajs „Bury”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Miejscowość Gajrowskie była zbyt długa, by obsadzić ją ze wszystkich stron. Dlatego też zgrupowano plutony u wlotów i wylotów wsi. Tabor mieścił się w środku i jak zawsze był w pogotowiu. W tym dniu spóźnił się. Atak przeprowadzony przez Wojsko Polskie i milicję, oprócz tego pancernki sowieckie i żołnierzy sowieckich, pozwolił ze względu na długość miejscowości na szybkie jego opanowanie. „Rekin” znajdował się na tyłach atakujących i większość ludzi skupiła się właśnie tam.

Skrzydło, na którym byłem, wycofało się do Puszczy Orłowskiej, tracąc po drodze dwóch zabitych. Do wsi wjechały pancerki, w kilku miejscach wybuchł po żar. Na miejscu został zabity ppor. „Bitny”, dowódca drużyny „Modrzew” i w sumie około dwunastu ludzi, przeważnie z kadry. „Wiarus” był przy wycofywaniu się na prawym skrzydle. Ogień otwarty przez nas ze skraju Puszczy Orłowskiej był w zasięgu od półtora tysiąca do dwóch tysięcy metrów. Wystrzelone rakiety dały sygnał do odwrotu.

Ja z pozostałymi ludźmi, idąc cały czas skrajem Puszczy Orłowskiej, doszedłem późnym wieczorem do miejsca zbiórki wyznaczonego na wypadek rozproszenia. Podczas rozpoznania stwierdzono obecność wojska we wsi. Rakiety zielone, dające sygnał ostrzegawczy, strzelane były kilkakrotnie.

W czasie śledztwa Romuald Rajs próbował najprawdopodobniej zrzucić z siebie odpowiedzialność za działalność oddziału - albo na przełożonych, których rozkazy wykonywał, albo na swoich podkomendnych. „Bury” podjął również swoistą grę z bezpieczeńką, zeznając wiele szczegółów dotyczących konspiracyjnej działalności i walki 3 Brygady. Aby ratować skórę, zgodził się na pewną współpracę z UB. Na zachowanym dwustronicowym dokumencie widnieje, że proponował między innymi likwidację dotychczasowego podziemia NZW, ale jednocześnie zorganizowanie oddziału ściśle współpracującego z UB, którego celem miało być zwalczanie bandytyzmu i kradzieży w terenie oraz walka zbrojna z faszystami na innym obszarze (chodziło między innymi o oddziały UPA). Tak naprawdę były to propozycje bez pokrycia, a w przypadku odzyskania wolności „Bury” najprawdopodobniej rozpląnąłby się bez śladu. Komuniści doskonale zdawali sobie sprawę, że to tylko gra. Oni również udawali spolegliwość i chęć współpracy, a do celi Rajsa dołączyli byłego partyzanta NZW, a teraz swego agenta, o pseudonimie „Jerzy”. Podczas wielomiesięcznych rozmów ze współwięźniem „Bury” całkowicie się zdemaskował i zdradził wiele tajemnic z białostockiej konspiracji.



Orzełek znaleziony podczas prac ekshumacyjnych w Gajrowskich

(zbiory Fundacji Niezłomni)

Wygadał się na przykład, że tak naprawdę to on osobiście, a nie, jak twierdził przed UB, komendant okręgu, wydał rozkaz spalenia białoruskich wiosek. Wysyłał też kilka grypsów z więzienia do swej żony, ale żaden z nich nie opuścił więziennych murów, znalazłszy się w ubeckich kartotekach.

Po jakimś czasie „Bury” chyba zrozumiał, że tym razem nie wygra swego życia i że jest zaledwie pionkiem w rozdaniu prowadzonym przez sprytnych funkcjonariuszy i

agentów UB.

W ostatnich dniach września 1949 roku w sali kina „Ton” Romuald Rajs „Bury” i Kazimierz Chmielowski „Rekin” byli sądzeni przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku. „Bury” otrzymał karę śmierci, zaś „Rekin” dożywocie. Kara zasądzona dla Chmielowskiego nie spodobała się prokuratorowi i wniósł o rewizję wyroku. Po ponownym rozpatrzeniu sprawy także „Rekina” skazano na śmierć.

Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski i wyroki wykonano. Do dziś dnia nie jest znane miejsce pochówku tych dwóch partyzanckich dowódców.



Po latach sprawa bitwy w Gajrowskich ma swój współczesny epilog. Pod koniec 2013 roku została powołana całkowicie pozarządowa organizacja - Fundacja Niezłomni im. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, której celem jest między innymi odnalezienie zapomnianych grobów Żołnierzy Wyklętych, gromadzenie bazy genetycznej w celu zidentyfikowania znalezionych szczątków oraz ogólnopolskie kwesty na godny pochówek dla tych bohaterów.

Latem 2014 roku Fundacja przeprowadziła prace badawcze na miejscu dawnej bitwy 3 Wileńskiej Brygady NZW we wsi Gajrowskie. W ich wyniku znaleziono szczątki dziewięciu polskich partyzantów, którzy w ocenie specjalistów mogli mieć w chwili śmierci około dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Kilku z żołnierzy ma przestrzelone czaszki, co może sugerować dobijanie rannych przez Sowietów lub samobójcze strzały partyzantów. Przy ciałach odnaleziono przedmioty kultu religijnego: obrazek z wizerunkiem świętej Teresy, różaniec, medaliki. Dzięki zebranemu wcześniej materiałowi genetycznemu udało się także ustalić personalia jednego z pochowanych w tym miejscu żołnierzy. To dowódca drugiego plutonu ppor. Jan Boguszewski „Bimy”.

- To pierwsza w Polsce, przeprowadzona przez organizację pozarządową, imienna identyfikacja genetyczna poległych żołnierzy podziemia antykomunistycznego. Poszukiwania, ekshumacje, identyfikacje genetyczne oraz uroczysty pogrzeb zostaną w całości przeprowadzone i sfinansowane przez Fundację Niezłomni — zapowiada jej prezes Wojciech Łuczak, który w swej determinacji i pracach zdaje się już wyprzedzać podobną działalność państwowych instytucji.

Należy jeszcze wspomnieć, że trwają ekshumacje i badania genetyczne w celu zidentyfikowania szczątków „Wiarusa” i „Modrzewia”, a w lutym 2015 roku miał miejsce uroczysty pogrzeb Żołnierzy Wyklętych z Gajrowskich ekshumowanych z dołów śmierci.

W plecy do swoich

Radomsko, Graby, 19/20 kwietnia 1946 roku

Był środek chłodnej kwietniowej nocy. Niewielka wieś Borki, leżąca pomiędzy dwoma lasami, spała. Pośród drewnianych chat było ciemno, tylko w oknach niektórych okien przelądował się blask księżyca. W osadzie nie zapłakało dziecko, nie zaszczekał żaden pies, nie zakwilił ani jeden nocny ptak. Spracowani ludzie cały dzień przygotowywali się do przyścia Świąt Wielkanocnych, a teraz zmęczeni odpoczywali.

Nagle z lasu na szosę łączącą Radomsko z Częstochową wyszły jakieś mroczne cienie. Ktoś mógłby pomyśleć, że to zwierzęta idą do wodopoju. Faktycznie, tak mogło być. Z jednej strony niedaleko wioski płynęła Warta, a z drugiej znajdował się staw rybny. Ale nie. Cienie ominęły strumyk i sunęły dalej pośród unoszącej się tuż nad ziemią mgły. Stały na środku drogi i wyprostowały się. Wtedy dało się słyszeć dźwięk, jaki wydaje metal ocierający się o metal.

— Uważaj — syknął pierwszy z cieni.

— Przepraszam, panie poruczniku. To pistolet uderzył o manierkę — tłumaczył się drugi.

— Już dobrze. Na drodze cisza? - ppor. Antoni Pabianiak „Błyskawica” to pytanie skierował w stronę kolejnych ciemnych postaci, które wychynęły z mroku.

— Spokój. O tej porze nawet ubowcy i wojsko śpią.

— A kable telefoniczne?

— Przecięte.

— Dobrze. Wysypcie jeszcze kolce na drogę. Tylko nie żałujcie, żeby się ani rower czy motocykl nie przecisnął. Nawet jeśli wyślą jakąś odsiecz, kiedy wjedzie na naszą pułapkę, złapie gumę i nie zdąży na czas.

Dwóch żołnierzy wróciło się pod las po wielki i ciężki worek. Następnie na odcinku około stu metrów zaczęli rozsypywać metalowe kolce.

Byli jak siewcy. Kiedy wyrzucili już wszystko, wrócili do porucznika.

— Zadanie wykonane — zameldował jeden z nich.

— No to zbierajmy się — powiedział dowódca i po chwili cała grupka ponownie znikła w nocnej mgle. Na szosie pod Borkami zapanował błogi spokój, tak jakby tej nocy nic się tu nie wydarzyło, a partyzanci byli tylko cieniami z nocnego snu.



Kapitan Stanisław Sojczyński „Warszyc” był znakomitym sztabowcem. To on

stworzył niebezpieczną dla komunistów organizację Konspiracyjne Wojsko Polskie i stanął na jej czele. Kiedy zerwały się kontakty z przełożonymi z byłej AK oraz z polskimi ośrodkami za granicą, to „Warszyc” samodzielnie skupił pod sobą kilka leśnych grup, wielu konspiratorów i wywiadowców. Prawie od podstaw zorganizował swoją podziemną armię. Ale jednocześnie nie chciał już uznawać niczyjego zwierzchnictwa. Próbę dogadania się byłych dowódców z AK z komuną w celu ujawnienia żołnierzy uważał za zdradę. Był w tym względzie niewzruszony do końca.

Oprócz tego, że Stanisław Sojczyński znakomicie odnalazłby się w pracy sztabowej, był również dobrym strategiem, ale chyba bardziej teoretycznym niż praktycznym. Miał wizje przyszłych bitew z Sowiecami i operacji przeprowadzonych przeciwko siłom rządowym. Wiedział, jak wykonać przedsięwzięcia propagandowe w terenie. Mógł w głowie układać znakomite plany przyszłych akcji.

Nawet teraz analizował plan takiego wystąpienia - rozbicie więzienia w Radomsku. Już kiedyś, „za Niemca”, czegoś podobnego dokonał w tym samym mieście.



Kapitan Stanisław Sojczyński „Warszyca”, zdjęcie przedwojenne

(Instytut Pamięci Narodowej)

W nocy z 7 na 8 sierpnia 1943 roku oddział pod osobistym dowództwem „Warszyca” zaatakował niemieckie więzienie i oswobodził około pięćdziesięciu osób. Teraz bardzo chciał powtórzyć sukces tamtej akcji, za którą otrzymał Order Virtuti Militari. Ale przecież nie dla odznaczeń walczy się o niepodległość Polski i wolność jej narodu.

Pochylił się nad mapą Radomska, objął dwoma rękami głowę i tak trwał w

bezruchu. Przez długie minuty ani drgnął, ale w jego głowie kłębiło się tysiące myśli. Kalkulował zyski i przypuszczalne straty, sumował liczbę żołnierzy wroga w mieście i liczbę swoich ludzi przewidzianych do akcji. Analizował, wyliczał, obmyślał. Przed jego oczami leżała jeszcze wciąż pusta mapa miasta, lecz on już widział na niej miejsca zbiórek poszczególnych oddziałów, trasę ich przemarszu i wreszcie punkty przewidziane do ataku. Mijały minuty, a potem godziny, a w ciszy nocnej „Warszyc” w dalszym ciągu obmyślał plan, który miał być podstawą do przeprowadzenia niezawodnej operacji.

Kiedy zegar wybił godzinę drugą, mężczyzna drgnął, jakby się przebudził. Przeciągnął się, a potem zaczął pisać rozkaz do swoich podwładnych: „Rozbić areszt przy magistracie w m. Radomsko i uwolnić więźniów politycznych. Zlikwidować sześciu przestępców 'wyszczególnionych w załączonym wykazie. Zabrać pieniądze z banków . . .”.

I dalej: „Położenie nieprzyjaciela: ul. Kościuszki — UBP - 128 ludzi, POM — 53 ludzi, MO — 25 milicjantów i 60 żołnierzy sowieckich; ul. Narutowicza 1 - areszt - 10 ludzi; ul. Reymonta - dwór - SOK - 18 ludzi; Dobroszycka — Mazowia — posterunek sowiecki — 10 ludzi; prawdopodobnie grupa operacyjna przysłana przez Łódź, zakwaterowana przy 11 Listopada, (...) stan około 250 ludzi, jedno auto pancerne lub jedna tankietka. Siły własne: oddziały partyzanckie S.O.S. „Żniwiarki”, „Motoru” i „Turbiny” — stan liczbowy około 200 ludzi. (...) Podstawa wyjściowa: nowy cmentarz przy szosie Radomsko—Strzałków, wyruszenie z podstawy wyjściowej godz. 24:00”.



Niestety nie udało się zorganizować przewidzianych dwustu żołnierzy podziemia, jak podawał w swym rozkazie „Warszyc”, i na koncentracji we wsi Grzebień stawiło się łącznie około stu czterdziestu ludzi. Całością akcji z rozkazu Sojczyńskiego dowodził por. Jan Rogółka „Grot”, który miał pod swoimi bezpośrednimi rozkazami pięćdziesięciu ludzi. Porucznik Henryk Głapiński „Klinga” i ppor.

Władysław Kuśmierczyk „Longinus” przyprowadzili po czterdziestu pięciu żołnierzy. Potem jeszcze dołączył pluton (dwudziestu siedmiu ludzi) ppor. Tomasz Szcześniego „Tygrysa”, co dawało razem około stu siedemdziesięciu osób przewidzianych do działania w Radomsku. Partyzanckie grupy pochodziły z powiatów piotrkowskiego i radomszczańskiego. Żołnierze KWP mieli na swym wyposażeniu PIAT-y, niemieckie pancerfausty, erkaemy, pistolety maszynowe, karabiny, raketnice, granaty, nożyce do przecinania drutu i kabli, kolce do rozrzucania na drogach, a nawet miny.

Tydzień przed akcją doszło do przypadkowej, ale zwycięskiej potyczki oddziałów KWP z rządową grupą KBW i UB w lasach pod Mierzynem. W starciu z komunistami żołnierze „Grot” zdobyli dwa erkaemy, cztery pepesze i osiem karabinów, a ponadto spalili wojskową ciężarówkę. Ze strony rządowej w walce zginęło trzech funkcjonariuszy UB, dwóch rozstrzelano już po bitwie. Oprócz tego komuniści stracili

ośmiu rannych i ośmiu żołnierzy KBW wziętych do niewoli, którzy nawet wykazywali chęć pozostania w szeregach KWP.

Akcja miała te dobre strony, że w teren na obławy wyjechały z Radomska, a nawet z Łodzi, liczne grupy operacyjne złożone z UB, KBW oraz milicji. Tuż przed planowanym atakiem w mieście nie było więc wiele wojska, które zajmowało się wówczas ściganiem „bandytów” po leśnych wertepach i krzakach.

Około godziny dwudziestej drugiej 19 kwietnia 1946 roku, w Wielki Piątek, wszystkie oddziały zebrały się na cmentarzu w Radomsku. Po dwóch godzinach wyczekiwania każda z grup odmaszerowała do wykonania swojego zadania. Porucznik „Grot” wraz z przyboczną strażą i gońcami zajął stanowisko przy ulicy Narutowicza, pod kościołem świętego Lamberta, naprzeciwko budynku magistratu miejskiego, gdzie mieściło się więzienie. Obok niego umiejscowił się ppor. „Longinus” wraz z dwudziestoosobową grupą przewidzianą do bezpośredniego szturmu na więzienie. Na północ odszedł „Klinga” ze swym oddziałem, który podzielił na dwie grupy. Sam Glapiński z około dwudziestoma ludźmi obsadził teren kościoła i klasztoru Franciszkanów, mając wgląd w ulice Narutowicza i Kościuszki. Sierżant „Ponury” Bolesław Kil z ponad dwudziestoma partyzantami obstawił w tym czasie budynek PUBP przy ulicy Kościuszki oraz znajdujący się naprzeciwko Zakład Metalurgii, w którym również przebywali uzbrojeni strażnicy przemysłowi.

Ostatni z pododdziałów, dowodzony przez sierż. Wiesława Janusiaka „Prawdza”, osłaniał akcję od zachodu i południa, od strony ulic Reymonta i Brzeźnickiej. To z tego kierunku mogły nadeść komunistyczne posiłki z koszar wojskowych i komendy MO. Kilku ludzi miało za zadanie dostać się do banku, rozbić skarbiec i zarekwirować pieniądze. Jeszcze inna grupa miała zająć pocztę i przeciąć po łączenia telefoniczne. Patrole egzekucyjne prowadzone przez Czesława Rozpończyka „Huragana”, a także „Iksa” i „Tomka” miały za zadanie wykonać wyroki śmierci na sześciu skazanych komunistycznych działaczach i konfidentach. Inne, pomniejsze grupy ubezpieczały ulice wylotowe z miasta, wiodące na Piotrków oraz na Przedbórz. Jak już wiemy, jeden z patroli na wysokości miejscowości Borki zablokował szosę Radomsko—Częstochowa i przeciął w tym rejonie telefoniczne kable.



Kiedy wszystko się zaczęło, jeden z gońców znajdujących się przy „Grocie” spojrział na zegarek. Fosforyzujące wskazówki wskazywały dwadzieścia minut po pierwszej, gdy do akcji ruszyli chłopcy z grupy „Longinusa”. Pierwszy granat rzucony na bramę odbił się tylko od niej i wybuchnął w znacznej odległości, nie czyniąc żadnego wylotu.

Dopiero „filipinka” ciśnięta przez kpr. „Kozaka” eksplodowała pod bramą i wyrwała jedno skrzydło.



Porucznik Jan Rogulka „Grot”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Przez ten wyłom na podwórko budynków magistrali zaczęli wskakiwać pojedynczo żołnierze z grupy szturmowej. Początkowo por. „Grot”, obserwujący akcję zza ulicy, nie mógł się nadziwić, że nikt nie strzela do atakujących partyzantów. Dopiero po chwili od pierwszych wybuchów granatów pod więzieniem z innych części miasta rozległy się detonacje i serie z karabinów maszynowych. Wydawało się, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Żołnierze prowadzeni przez „Longinusa” wysadzili granatami jeszcze jedną bramę, zanim dostali się do więzienia i obezwładnili strażników. Ale wtedy okazało się, że aby wejść do więziennego budynku i otworzyć poszczególne cele, potrzeba kluczy, a tych brakowało. Nie wiadomo, czy, tak jak w przypadku więzienia w Kielcach, więzienne klucze na noc oddawano do UB, czy może jakiś nadgorliwy strażnik w ostatnim momencie gdzieś je ukrył. Czas płynął, od rozpoczęcia operacji minęły długie minuty, a partyzanci szukali jakichś łomów lub siekier, by rozbić drzwi i dostać się do środka. Początkowo bali się używać w budynku materiałów wybuchowych, aby nie zranić więźniów. Ale po upływie pół godziny bezowocnego rąbania mocnych wierzei, sięgnęli po to ostateczne rozwiązanie i założyli ładunek pod drzwi. Podpalono lont i stare, masywne wrota rozleciały się w drobny mak. Po przedostaniu się na korytarz z wejściem do cel również nie było łatwo. Zamki w metalowych okratowanych drzwiach dały się jednak ostatecznie wyłamać. Po kilkunastu minutach pracy wszystkie cele zostały otwarte, a więźniowie oswobodzeni.

W sumie uwolniono pięćdziesięciu dziewięciu aresztantów, w tym kilka kobiet i jednego księdza katolickiego. Kilkanaście osób spośród uwolnionych należało do AK. Kilku więźniów było tak skatowanych, że nie mogli iść o własnych siłach. Tych wyniesiono na ulicę i ułożono później w specjalnie do tego celu przygotowanej furgance.

Nie tylko goniec „Grota” zerkał często na zegarek. Również dowódca bardzo się denerwował i niecierpliwił. W jego ocenie akcja trwała już zbyt długo. Kiedy minęła godzina od rozpoczynających atak strzałów, z więzienia zaczęli dopiero wychodzić pierwsi uwolnieni. Tych zgrupowano w jednym miejscu pod opieką ludzi „Grota”.

Zaraz też pojawił się zadowolony „Longinus” ze swymi ludźmi, obwieszonymi zdobycznymi automatami i karabinami.

— Za długo - myślał Jan Rogółka, zerkając na zegarek. Ale jeszcze częściej patrzył z niepokojem na wschód, czy czasem niebo nie przejaśnia się już z tamtej strony, zwiastując nadchodzący świt.



Kiedy dało się słyszeć wybuchy od strony więzienia, sierż. „Ponury” wydał rozkaz do otwarcia ognia. Jego żołnierze nie oszczędzali amunicji i granatów. Równo siekali seriami po oknach budynku PUBP i próbowali przez wybite szyby ciskać granaty. Ich ogień był na tyle skuteczny, że ani jeden ubek nie wychylił nosa z murowanego budynku i nie pospieszył pod więzienie. Na swoich miejscach pozostali też strażnicy przemysłowi z Metalurgii. Żaden z nich nie chciał doznać uszczerbku na zdrowiu podczas niepewnej walki na ulicach nocnego miasta. I funkcjonariusze UB, i strażnicy z zakładu woleli zostać za bezpiecznymi, solidnymi murowanymi ścianami swych gmachów. Cel tej części partyzanckiej akcji został osiągnięty - skutecznym ogniem uniemożliwiono wyjście ewentualnej komunistycznej odsieczy.

W tym czasie grupa „Klingi” beczynn timer pozostawała na stanowiskach, nie

niepokojona przez żaden komunistyczny oddział. Zanim padły pierwsze strzały, na pocztę wtargnął patrol „Sokoła” i na czas operacji skutecznie przeciął wszystkie telefoniczne połączenia z miasta. Niestety' nie udało się opanować banku i rozbić skarbcza ani też znaleźć tych, na których ciążyły wyroki śmierci. Słyszając strzały, wszyscy zdrajcy puciekali lub ukryli się skutecznie przed partyzantami KWP.

W innej części miasta oddział „Prawdzica” obstawił od południa i zachodu dojścia do więzienia. Po pierwszych strzałach kilkusobowy komunistyczny patrol dostał się w ręce żołnierzy Wiesława Janusiaka. Po przechwyceniu tych kilku funkcjonariuszy polski dowódca dostrzegł, że za patrolem maszeruje spory oddział wojska i rozwija teraz linię bojową *vis à vis* ludzi „Prawdzica”.

- Skąd jesteście? - pytał zdenerwowany „Prawdzie” pojmanych.
- Z milicji i wojska z KB W.
- Dużo was?
- Za nami idzie około dwustu żołnierzy.



Oddział KWP Wiesława Janusiaka „Prawdzica” podczas akcji ujawnienia się przed PUBP w Radomsku, marzec 1947 r.

(Instytut Pamięci Narodowej)

- Chcecie walczyć?!
- My nie, ale dowódcy nas prowadzą.
- Zrobimy tak. Puścimy was wolno. Idźcie do swoich dowódców i powiedzcie, że jeśli nas nie zaatakują, to my też nie będziemy strzelać. Jeśli zgadzają się na taki rozejm, niech ktoś wyjdzie przed linię i trzy razy uniesie do góry karabin. Zrozumieliście?

— Tak. — Twarze zatrzymanych rozpromieniły się. Nie mogli uwierzyć w swoje szczęście.

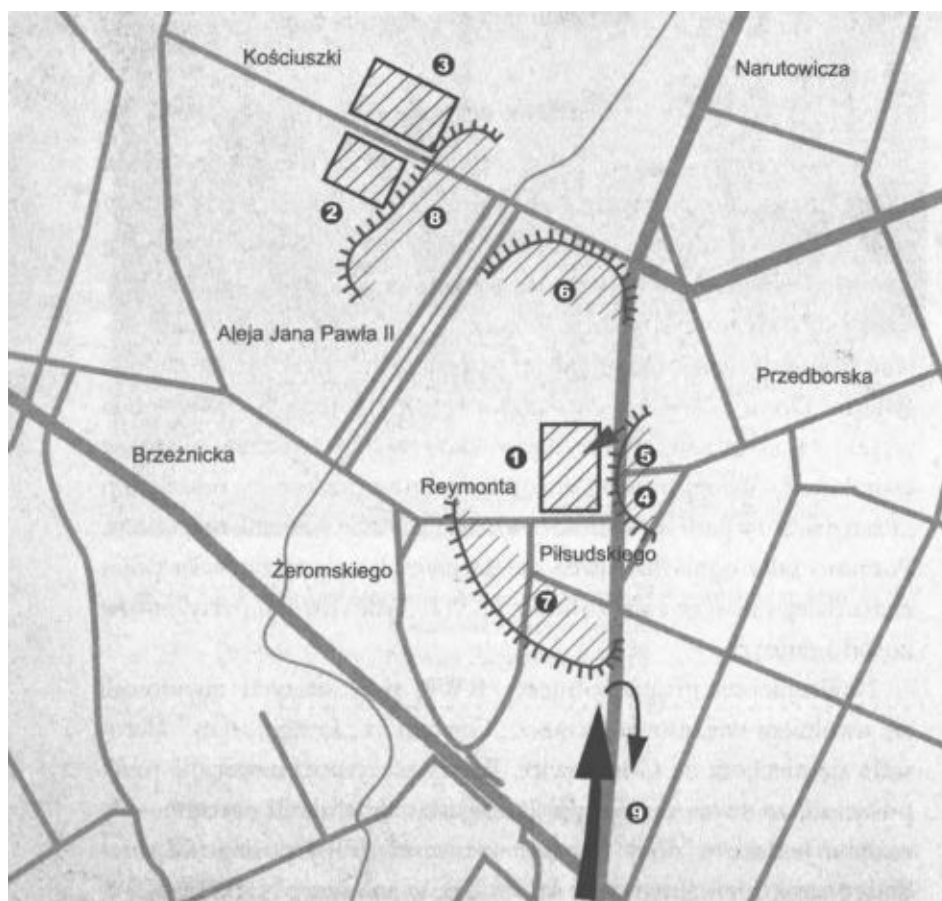
Wyszli i po przejściu kilkudziesięciu metrów zniknęli wśród swoich. Za moment przed linię KBW wystąpił jeden wysoki wojak i trzy razy uniósł do góry ręce z karabinem, a cały komunistyczny oddział spokojnie odmaszerował w głąb ulicy, bez strzału powracając do swoich koszar. Na ten widok „Prawdzie” odetchnął z ulgą.



Okolo godziny trzeciej nad ranem akcja w Radomsku dobiegala konca. W niebo wystrzelily trzy rakiety, co miało by sygnalem do opuszczenia stanowisk i wycofania się z miasta. Niestety ktoś się pomylił i zamiast umówionych zielonych na ciemnym nieboskłonie rozbłyły flary innego koloru. To zmyliło żołnierzy. Oddział „Prawdzica” w dalszym ciągu trwał na stanowiskach i czekał na zielone światło. Dopiero pół godziny później grupa Janusiaka jako ostania wyszła z miasta, zatrzymała ciężarówkę i na niej odjechała w stronę Gorzkowic. W rejonie tej miejscowości samochód z oddziałem „Prawdzica” wpadł w komunistyczną zasadzkę i został ostrzelany.

Pomimo salw ognia kierowca nie zatrzymał się i ciężarówka pojechała dalej, unosząc cało żołnierzy KWP. Tylko dwóch partyzantów zostało rannych.

Najlicniejsza grupa żołnierzy KWP, przy których znajdowali się uwolnieni więźniowie, wraz z „Grotem” i „Longinusem” kierowała się piechotą na Gorzkowice. Polscy partyzanci nawet nie przypuszczali, że swoją operacją w Radomsku uruchomili ogromne siły reżimu. Jeszcze w nocy w teren wyruszyły grupy pościgowe składające się z funkcjonariuszy MO i UB, z żołnierzy NKWD, KBW i „ludowego” WP. Po akcji na radomskie więzienie rozdzwończyły się telefony w całej Polsce. Dowódcy komunistycznego wojska i prominentni partyjni działacze kipieli z wściekłości. Był rok 1946, a reakcyjne bandy w dalszym ciągu poczynały sobie na tyle odważnie, że śmiały rozbijać więzienie w dużym mieście. I jeszcze odchodzą spokojnie, ot tak sobie! To nie do pomyślenia! Dlatego siły uruchomione do ścigania i rozbicia bandytów były nadzwyczaj duże.



Akcja na więzienie w Radomsku 19/20 kwietnia 1946 r.

- | | |
|--|---|
| ❶ Budynek magistratu z więzieniem. | ❸ Grupa osłonowa „Klingi”. |
| ❷ PUBP w Radomsku. | ❹ Grupa osłonowa „Prawdźica”. |
| ❸ Zakłady Metalurgii. | ❺ grupa neutralizująca ogień |
| ❹ Stanowisko „Grot”. | ❻ Odsiecz KBW i MO oraz wycofanie się bez strzałów. |
| ❺ Grupa szturmowa „Longinusa” i atak na więzienie. | |

Na mapie przedstawiono współczesne nazwy ulic.

Ktoś wyliczył, że do pościgu za oddziałem „Grot” przyjechało wojsko z Piotrkowa aż na dwudziestu dwóch ciężarówkach, a dodatkowo wysłano jeszcze sześć czołgów. Całość sił zaangażowanych w pościg za oddziałami KWP niektórzy historycy wyliczają na ponad tysiąc dwieście ludzi.

Nic więc dziwnego, że partyzanci od początku mieli kłopoty ze sprawnym i bezpiecznym odwrotem. Pod Zabłociem w komunistyczną zasadzkę wpadła część żołnierzy z grupy „Longinusa”. I chociaż partyzantom udało się przebić przez kordon, to w walce stracili jednego zabitego i kilku wziętych do niewoli. Utracono również prawie całą broń, zdobytą wcześniej podczas akcji w więzieniu.

A komuniści cały czas postępowali po śladach żołnierzy KWP.

Pod Gorzkowicami grupa Jana Rogółki i Władysława Kuśmierczyka ponownie została ostrzelana przez komunistyczny oddział. Potem, gdy rozwiązywano oddział i zdawano broń w gorzkowickim parku, grupy pościgowe okrążyły partyzantów „Grot”. Zaskoczenie było pełne, ostrzelani partyzanci rozpierzchli się na wszystkie strony, a prawie całą broń dostała się w komunistyczne ręce. Ponadto żołnierze KWP stracili

dwóch zabitych i pięciu pojmanyh.

Porucznikowi „Grotowi” udało się wyjść cało z tych obław. Dotarł do Rozpry, a później pojechał pociągiem do Piotrkowa, gdzie miał spotkać się z łączniczką. W umówionym miejscu, koło kina, UB aresztowało „Grotę”. W tych dniach zatrzymano jeszcze siedemnastu członków KWP, w tym łączniczki dowódcy oddziału z Piotrkowa. Ale to i tak był dopiero początek wielkiej fali zatrzymań, której apogeum miało dopiero nadejść na przełomie kwietnia i maja 1946 roku.



Również oddział „Klingi” na sygnał rakiet porzucił utrzymywane stanowiska w mieście, połączył się z grupą „Ponurego” i na rogatkach zatrzymał wojskową ciężarówkę. Samochód należał do

KBW i wiózł do Katowic ponad trzysta mundurów i innych części wyposażenia. „Klinga” zarekwirował samochód wraz z kierowcą oraz ze wspaniałą zdobyczą, ale wypuścił wolno żołnierzy obstawy.

Partyzanci natychmiast załadowali się na skrzynię, radośni, że nie muszą dalej iść na piechotę, zdierać butów i krztusić się pyłem polnych dróg.

Kiedy ciężarówka z partyzantami „Klingi” wyjeżdżała z miasta, na jej drodze stanął wojskowy dodge z Sowietami w środku i obydwie samochody zatrzymały się gwałtownie, maska przy masce.

Z dodge’a wyskoczyli żołnierze. Była to grupa łącznościowców z NKWD, oficer i siedmiu żołnierzy. Rosjanie, myśląc, że mają do czynienia z polskim komunistycznym wojskiem, bardzo gardłowali.

Sz szczególnie ich dowódca, starszy lejtnant, głośnym krzykiem na wysokich tonach i w niezrozumiałych słowach próbował wymusić na Polakach respekt i posłuszeństwo.

— My jesteśmy wojsko polskie, ale partyzanckie — powiedział „Klinga”, a wszyscy Sowietci zbledli, nawet ten krzykacz, ich dowódca. — *Ru ki w wierch!*

Siedem par rąk posłusznie uniosło się w górę. Ale lejtnant stał niewzruszony.

— *No! Ru ki w wierch!*

Nie uniosł rąk, ale zaczął sięgać do kieszeni. Partyzanci nie czekali, co będzie dalej. Na znak Glapińskiego jeden z jego żołnierzy, o pseudonimie „Wilk”, szybko podniósł swój karabinek i strzelił w pierś sowieckiego oficera. Później zrewidowano ciało Rosjanina. Nie wiadomo, po co sięgał za pas. Czy do kabury po pistolet, czy do kieszeni po granaty? A może chciał tylko pokazać swoje dokumenty?

Pozostałych enkawudzistów zabrano na ciężarówkę, a część partyzantów przesiadła się do zdobytego na Sowietach samochodu i partyzancka kolumna ruszyła w dalszą drogę.



Porucznik Henryk Glapiński, „Klinga”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Pod wsią Cieżkowice partyzanci przeładowali zdobyte sorty mundurowe na przygotowane wcześniej konne wozy. Nie wszystko się tam zmieściło i połowa ładunku została na ciężarówce, którą do swoich odjechał zwolniony kierowca. Jeden samochód i cztery furmanki skreśliły w las i ruszyły do wsi Graby, zatrzymując się przy gajówce Borowe. W tym miejscu polski dowódca postanowił urządzić tymczasową bazę dla swojego oddziału, liczącego wówczas czterdziestu sześciu żołnierzy. Zdobyte mundury

i sprzęt wyładowano do gajówki, a wykorzystane do przewozu furmanki zwolniono. Potem por. „Klinga” postanowił zrobić użytek z zatrzymanych Sowietów i ich sprzętu łącznościowego. Rozkazał im, aby ułożyli kabel i uruchomili połową linię telefoniczną z gajówki, w której miał kwaterę, do odległych o jakieś kilkadziesiąt metrów czujek. Na tych stanowiskach, znajdujących się od strony wsi, miały stróżować warty i telefonicznie informować kwaterę oddziału o nadchodzącym niebezpieczeństwie lub innych podejrzanych wydarzeniach.

Tymczasem wśród partyzantów nastąpiło wreszcie rozprężenie po emocjach towarzyszących nocnej akcji. Operacja w Radomsku się udała, więźniowie zostali uwolnieni, a oddział „Klingi” zdobył całkiem pokaźne łupy. Nerwy opadły, a szczęśliwi i radosni żołnierze zjedli wreszcie porządne śniadanie, suto zakrapiane alkoholem.

A później udali się na spoczynek. Stróżowały tylko warty i nadzorcy pracujących enkawudzystów.

— Rozwijajcie ten kabel, rozwijajcie. A potem wykopiecie dla siebie groby — mówił jeden z żołnierzy do sowieckich jeńców.

Kiedy Rosjanie skończyli swoją robotę, jeden z partyzantów poszedł do gajówki, by dobudzić twardo śpiącego „Klingę” i dopytać się, co dalej czynić z jeńcami. Do końca nie był pewien, czy udało mu się doprowadzić do przytomności porucznika i czy z jego nie całkiem przytomnych słów zdołał dobrze rozszyfrować odpowiedź. Chociaż, z drugiej strony, wszyscy spodziewali się takiego zakończenia sprawy.

Żołnierz wyszedł na zewnątrz, skrzyknął kilku swoich ludzi i wyprowadził jeńców do lasu.



Od świtu w koszarach 6 pp w Częstochowie panowało niemożliwe do opanowania zamieszanie. Oficerowie wszczęli alarm, krzyczeli, biegali i szykowali grupy żołnierzy z zamiarem wysłania ich do boju. Bandyci napadli na Radomsko - tak brzmiał nieoficjalny komunikat przekazywany z ust do ust. Jeszcze przed świtem w stronę

Radomska wyjechał pluton alarmowy prowadzony przez jednego z poruczników. Ale było to zaledwie dwudziestu pięciu żołnierzy.

W trybie pilnym organizowano kolejną grupę. Na jej czele na własną prośbę stanął kpt. Włodzimierz Mrozowski, który chciał pewnie w ten sposób przyspieszyć swój awans. Wkrótce sześćdziesięciu żołnierzy z 6 Pułku wsiadło do podstawionych samochodów i odjechało na północ. Ale oficer dyżurny wysyłający do akcji grupę kpt. Mrozowskiego o czymś zapomniał. Chociaż żołnierze zabrali ze sobą poważne uzbrojenie: erkaemy, cekaemy, a nawet jedno działo 45 mm, to w ich szeregach zabrakło lekarza czy chociażby sanitariuszy.

Pod Radomskiem oddział z Częstochowy napotkał inną komunistyczną grupę operacyjną. Żołnierzami Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego przybyłymi z Katowic dowodzili kpt. Kuzarow i ppor.

Hoszczka, mając pod swoją komendą siedemdziesięciu pięciu ludzi. Obie grupy patrolowały teren i w końcu natrafiły na ślad samochodu marki Dodge, którym wcześniej podróżowali łącznościowcy z NKWD. Po świeżych odciskach samochodowych kół komuniści dotarli do wsi Graby i tam próbowali od mieszkańców dowiedzieć się czegoś więcej o poszukiwanym wozie i partyzantach. Kiedy to nie przyniosło zamierzonego skutku, do lasu weszli zwiadowcy dowodzeni przez ppor. Sokółkę i dopiero wtedy natrafili na partyzantów „Klingi”. Wywiązała się walka, a niewielki komunistyczny oddział został wyparty z lasu do wsi, gdzie dołączył do reszty swoich sił. Ale nawet pośród zabudowań oddziały z Katowic i Częstochowy nie były w stanie sprostać natarczywym atakom leśnych. Wkrótce komunistyczne grupy, wśród ogólnej dezorganizacji i w panice, wycofały się na odkryte zupełnie pole. Partyzanci zaś zajęli dogodne stanowiska na skraju wsi i spod osłony rosnących drzew prowadzili celny ogień.

Dopiero na polu komuniści zaczęli organizować jakąkolwiek obronę, a żołnierze WBW próbowali się ostrzeliwać.



Grupa komunistycznych funkcjonariuszy MO, 1946 r.

(Instytut Pamięci Narodowej)

Na stanowisko ogniowe podciągnięto działą, a obsługi cekaemów usiłowały umiejscowić się na skrzydłach grupy. Prości żołnierze z 6 pp w ogóle nie wspomagali towarzyszy z WBW. Pochowali głowy pomiędzy bruzdy ziemi i nie prowadzili ognia. Partyzanci również przestali strzelać i zaczęli nawoływać do poddania się. Kapitan

Mrozowski, który chwilę wcześniej dostał śmiertelny postrzał, konając, mówił do swoich żołnierzy:

—Ja umieram, a was wybiją do nogi. Lepiej się poddajcie.

Wykonując ostatnie polecenie dowódcy, grupka żołnierzy wstała i odrzuciła broń, a jeden z nich na karabinie zatknął białą chustę.

W kilkanaście osób ruszyli w stronę lasu, ale wtedy stała się rzecz straszna. Komunistyczni żołnierze z WBW, widząc towarzyszy przechodzących na stronę wroga, otrzymali rozkaz otwarcia ognia do swoich. Zaterkotały serie z pepesz i kilka postaci runęło na ziemię.

Inni żołnierze z Częstochowy, niepomi na ogień z tyłu, czołgali się w stronę partyzantów razem ze swoimi oficerami. Na polu pod Grabami zostali tylko funkcjonariusze WBW i trwali w obronie jeszcze przez dwie godziny, wystrzelivując prawie cały zapas amunicji. Kiedy pod partyzanckimi kulami padła obsługa działka, komunistyczni dowódcy spróbowali oderwać się od nieprzyjaciela. Ale było za późno.

Już na początku walki partyzanci okrążyli skupionych w szczerym polu żołnierzy i teraz z łatwością uniemożliwili im przebicie się.

W trakcie tej ostatniej walki zginęli komunistyczni oficerowie: kpt.

Kuzarow, por. Grondowski i ppor. Hoszcza. A reszta żołnierzy, widząc beznadziejną sytuację, złożyła broń.



Około godziny osiemnastej wartownik trzymający straż na stanowisku od strony wsi Graby zauważył podejrzany ruch wojska we wsi.

Złapał słuchawkę telefonu i zakręcił korbką. Z drugiej strony dopiero co położonego kabla, w gajówce, zadzwonił telefon. Wybudzony ze snu porucznik odebrał informację o nadciągającym niebezpieczeństwie i ogłosił alarm w całym oddziale. Żołnierze KWP szli do boju jak na ćwiczeniach. Wypity wcześniej alkohol w ogóle nie zmniejszył ich zdolności bojowej, a nawet wręcz przeciwnie. Sprawnie wykonywali rozkazy swego dowódcy i z brawurą ciągnęli luźną tyralierą do przodu na spotkanie wroga.

Jeszcze w lesie padły pierwsze strzały. Lewe skrzydło prowadzone przez „Klingę” natknęło się na pierwszych komunistów, których łatwo przegnano, siekąc równo z erkaemu. To dowódca zagrzewał do boju swych ludzi, prowadząc ich do przodu własnym przykładem.

Prawym skrzydłem natarcia kierował zastępca „Klingi” Albin Ciesielski „Montwił”. Żołnierze KWP nie zatrzymali się we wsi i na karkach pędzonych komunistów zajęli całe Graby, a potem z dwóch stron oskrzydłili nieprzyjaciela skupionego na odkrytym terenie. Początkowo ostro strzelano, ale potem na rozkaz „Klingi” zaległa cisza.

— Żołnierze, zaprzestańcie bratobójczej walki. My też jesteśmy Polakami i partyzanckim wojskiem polskim! - krzyczał Glapiński, a wtórowali mu jego

podkomendni.

— Żołnierze, nie strzelajcie!

— Chodźcie do nas!

Te wezwania odniosły nadzwyczaj szybki skutek i kilkanaście postaci z rękami do góry i białą chusteczką ruszyło do przodu. Ale wtedy ktoś zaczął strzelać. Partyzanci widzieli padających żołnierzy, ale początkowo nie rozumieli, co się dzieje. Nikt z ich strony nie prowadził ognia. Sytuację wyjaśnili pierwsi jeńcy, którzy doczołgali się do stanowisk żołnierzy „Klingi”. Powiedzieli, że kiedy się poddali i zaczęli przechodzić na stronę partyzantów, funkcjonariusze bezpieczeństwa z WBW otworzyli do nich ogień od tyłu. Pośród jeńców, którzy dotarli do partyzanckich stanowisk, było wielu rannych. Tymi od razu zajęli się leśni sanitariusze, nie szczędząc na bandażach.

Walka trwała jeszcze długo. Niektórzy twierdzili później, że dwie godziny, inni że półtorej. Dopiero gdy partyzanci wystrzelali obsługę dział, skłoniło to komunistów do ostatniej próby wyrwania się z matni. Ale nie mieli żadnych szans, tonąc w morzu parzących pocisków wypływanych z partyzanckich karabinów. Dopiero wtedy poddała się reszta komunistycznej grupy.

Do wystraszonych ludzi z komunistycznego wojska podeszli żołnierze KWP, dzieląc się z nimi opatrunkami osobistymi, kawałkiem chleba czy papierosem.

— Może jesteście głodni?



Broń należąca do oddziałów partyzanckich KWP, znaleziona przez UB

(Instytut Pamięci Narodowej)

— Chcecie zapalić?

— Macie szczęście, że trafiliście na nas, a nie na „Anglików”. Ci wybiliby was do nogi — mówili, mając na myśli partyzantów z NSZ.

Po tych kurtuazyjnych gestach „Klinga” zebrał wszystkich wziętych do niewoli komunistów i przemówił:

— Konspiracyjne Wojsko Polskie kapitana „Warszyca” nie prowadzi wojny z polskimi żołnierzami z „ludowego” wojska. Walkę prowadzimy tylko przeciwko Sowiecom, UB i żydom pozostającym na usługach bolszewików. Dlatego zostaniecie puszczeni wolno z dwoma ciężarówkami, na które możecie zabrać wszystkich swoich rannych i poległych. Ale zastrzegam — tylko Polaków, nie Rosjan. Na koniec proszę jeszcze wznieść okrzyk: Precz z Osóbką! Precz z Bierutem!

Precz z Żymierskim! Niech żyje generał Anders!!!

Partyzanci i część pojmanych żołnierzy odkrzyknęli na wezwanie porucznika. Nim przebrzmiało echo, Głapiński przeszedł przed szeregiem i przyglądał się zatrzymanym, każdemu z osobna.

— Czy są wśród was Sowieci, żydzi albo „polityczni”?

Kiedy nikt się nie zgłosił, „Klinga” rozkazał żołnierzom oddać ich broń (tylko pistolety i karabiny) i przez podanie ręki pożegnał się z wszystkimi oficerami.

— Jeśli jest ktoś chętny, aby wstąpić w szeregi KWP, to zapraszamy.

Na te słowa wystąpiło kilku żołnierzy i przeszło na stronę partyzantów, a „Klinga” zwrócił się jeszcze do uwolnionych komunistów:

— Daję wam ostatnią komendę: do swoich jednostek - odmaszerować!

Gdy żołnierze zbierali się do odejścia, partyzancki dowódca podbiegł do szofera jednej z ciężarówek, na której umieszczono rannych.

— Grzej, bracie, najszybciej jak możesz do szpitala w Radomsku z tymi rannymi - poleciał. — Żeby mi ani jeden nie zszedł po drodze.



Zwycięstwo oddziału por. Henryka Głapińskiego „Klingi” było poważnym sukcesem. Mając pod rozkazami czterdziestu sześciu żołnierzy partyzanckiego wojska, często mobilizowanych z domów tylko na potrzeby akcji, pokonał trzykrotnie liczniejszego przeciwnika (stu trzydziestu pięciu ludzi).

W czasie walki pod Grabami ze strony komunistycznej zginęło trzech oficerów i siedmiu żołnierzy, a rannych zostało trzech oficerów i trzech żołnierzy. Niestety nie ma możliwości obliczenia, ile było ofiar bezpośredniej walki z żołnierzami KWP, a ile beznadziejnego ognia w plecy otrzymanego od „czerwonych” towarzyszy.

Żołnierze „Klingi” mieli tylko jednego zabitego - Jerzego Karnickiego „Bursztyna”.

W wyniku zwycięskiej bitwy żołnierze KWP zdobyli trzy samochody, działko 45 mm i sto dwadzieścia pocisków do niego, sporo broni automatycznej (w tym dwanaście erkaemów i pepesze). Uwolnionym żołnierzom oddano długie karabiny bez amunicji, a oficerom pozostawiono pistolety wraz z nabojami.

Jeśli ktoś by pomyślał, że to już koniec bojowych przygód oddziału „Klingi”, byłby w poważnym błędzie. Następnego dnia, 21 kwietnia, a była to Niedziela Wielkanocna, żołnierze Głapińskiego ruszyli, zupełnie się nie kryjąc, w stronę Żytna. Nieopodal tej

miejsowości około godziny czternastej napotkali następny komunistyczny oddział, liczący około siedemdziesięciu ludzi. Żołnierze KBW dowodzeni przez por. Nogalewskiego w ogóle nie myśleli o walce w takie święto. Część z nich poszła do kościoła na mszę świętą, inni czyścili broń, jeszcze inni wędrowali od domu do domu, szukając co lepszych kwater. Widząc obce wojsko, myśleli, że przyjechała jeszcze jedna komunistyczna grupa obławy. W błąd wprowadziły ich samochody i mundury partyzantów „Klingi”, a także żołnierze KBW, którzy dzień wcześniej dołączyli do oddziału KWP.

Tymczasem drużyny Glapińskiego wyskoczyły z ciężarówek i sprawnie otoczyły komunistyczny oddział. Kiedy por. Nogalewski zrozumiał swój błąd i sięgnął po pistolet, było już za późno. „Klinga”, nie zwlekając, oddał serię ze swojego automatu i trafił komunistycznego oficera. Pomimo pierwszych strzałów i śmierci dowódcy żołnierze KBW w ogóle nie chwycili za broń. Niektórzy nawet mrucze pod nosem, że wreszcie ktoś ubił znieprawionego przez nich dowódcę — żyda bolszewika. Porucznik wziął na stronę sierżanta KBW i chwilę rozmawiali. Stało na tym, że w tym dniu nie będzie walki.

Dowódcy weszli do budynku będącego magazynem żywnościowym.

Zjedli coś i przepili do siebie, życząc sobie szczęścia. Partyzanci puścili wolno wszystkich żołnierzy, zabierając im tylko broń i amunicję. Było tego sporo: siedem erkaemów, trzydzieści pepesz, dwadzieścia osiem karabinów i trzy pistolety.



Żołnierze Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Na zdjęciu widoczni partyzanci z tzw. III Komendy KWP sierż. Jana Małolepszego "Murata"

(Instytut Pamięci Narodowej)

Również i w tym przypadku kilku żołnierzy wyraziło chęć walki pod komendą „Klingi” i dołączyło do partyzanckiego oddziału, który chwilę później odjechał w

stronę Małej Wsi.

Po drodze partyzanci natknęli się na samochody z wojskiem. Komuniści zatrzymali się, 'wyskoczyli z wozów i rozwinęli szeroką tyralierę. Ci z partyzantów, którzy umieli sprawnie rachować, zaraz policzyli przeciwników i wyszło im, że komunistycznych żołnierzy było blisko setki. Również podkomendni „Klingi” utworzyli linię, a dowódca, widząc nadchodzących z drugiej strony parlamentariuszy, sam z obstawą udał się na rozmowę.

— Kim jesteście? — spytał „czerwony” porucznik, przystając w połowie drogi między wrogimi sobie oddziałami.

— Jesteśmy żołnierzami Konspiracyjnego Wojska Polskiego. A wy?

— Urząd Bezpieczeństwa z Łodzi.

— Co robimy? Przecież nie będziemy strzelać w Wielkanoc?

— Mam nadzieję, że nie — zaśmiał się porucznik. - Mój dowódca mjr Łowginow chce z wami rozmawiać.

Na taką propozycję „Klinga” oddał pistolet maszynowy swojemu żołnierzowi i, pozostawiwszy sobie tylko broń krótką w kaburze, ruszył wraz z „Montwiłem” w stronę nieprzyjacielskich stanowisk. Na miejscu „Klinga” grzecznie zaszalutował przed majorem i spytał: - Panie majorze, jaką ma pan do mnie sprawę?

— Cóż, poruczniku, w tak uroczysty, świąteczny dzień chyba sobie odpuścimy walkę. Jak pan myśli?

— To dobre rozwiązanie. Już na dziś wystarczy, jest późno, a w dodatku to przecież Wielkanoc. A więc - co robimy?

— Proponuję, by bez strzelania każdy z nas zawrócił i odjechał w tę stronę, skąd przybył.

— Zgadzam się - odparł „Klinga” i, ponownie zaszalutowawszy, odmaszerował do swoich ludzi. Wszyscy byli zadowoleni, że obyło się bez walki i strat. Oddział KWP wskoczył na samochody, zawrócił i odjechał w kierunku Huty Drewnianej, gdzie pozostawiono pojazdy, a całą zdobytą broń i sprzęt przeładowano na przygotowane podwozy.

Ale następnego dnia skończyła się dobra passa żołnierzy „Klingi”.

Oddział KWP, otoczony przez ogromne komunistyczne siły, ostrzeliwany z moździerzy i cekaemów, musiał porzucić całą swoją dotychczasową zdobycz, by ująć cało. Potem „Klinga” rozpuścił żołnierzy do domów, pozostawiając przy sobie jedynie kilkunastu najwierniejszych. Po kilku dniach ukrywania się rozwiązał i tę grupę, wysyłając ludzi na konspiracyjne meliny, a sam wyjechał najpierw do Wrocławia, a potem do Częstochowy. Tak zakończyła się kwietniowa epopeja radomszczańskiego oddziału por. „Klingi”.

Na początku maja 1946 roku w kinie w Radomsku odbyła się rozprawa sądowa Jana Rogólki „Grota” i kilkunastu innych żołnierzy KWP. Wyroki skazujące musiały być już z góry ustalone, ponieważ podczas procesu nie przesłuchano ani jednego

świadka, a obrońca z urzędu (jeden dla wszystkich kilkunastu oskarżonych) ani raz nie zabrał głosu. Partyzantów oskarżono o przestępstwa przeprowadzone w kwietniu. Chodziło głównie o akcję na więzienie w Radomsku, ale nie wszyscy posadzeni na ławie oskarżonych brali w niej udział. Kilku żołnierzom KWP przypisywano winę zabójstwa żołnierzy Armii Czerwonej pod Grabami, choć ani jeden z oskarżonych nie był z oddziału „Klingi” i nie brał udziału w tych zajściach. Ale to było mało istotne dla komunistycznego sądu, który dwunastu oskarżonych skazał na karę śmierci, zaś kilku pozostałych na piętnaście lat więzienia.

Prasa nagłośniła sprawę, dzięki czemu „Warszyc” dowiedział się, że jego żołnierze zostali skazani na śmierć. Ale nie mógł nic zrobić.

Podczas rozprawy kino było szczelnie obstawione, stanowiska cekaemów ulokowano na dachach, a strzeżone przez wojsko ulice w pobliżu budynku zostały zamknięte szlabanami i drutem kolczastym.

Potem Stanisław Sojczyński w liście do starosty powiatowego w Radomsku zapowiedział, że w przypadku wykonania kary śmierci na dwunastu jego żołnierzach on i jego organizacja w odwecie zlikwidują stu dwudziestu komunistów. Ale czcze były to przechwałki. Najprawdopodobniej w nocy z 9 na 10 maja 1946 roku skazani zostali rozstrzelani przez pijanych ubeków z Częstochowy, a Konspiracyjne Wojsko Polskie „Warszyca” nie wypełniło nic z zapowiadanych represji. Zmasakrowane ciała torturowanych i rozstrzelanych partyzantów komunści wywieźli i wrzucili do ponemieckich bunkrów w lesie niedaleko Bąkowej Góry. Tam je znaleziono i później pochowano.

Wtedy „Warszyc” ponownie wystosował pogroźkę, że za rozstrzelanych żołnierzy jego oddziały zlikwidują dwunastu członków partii lub ubeckich konfidentów. Podobno lista dwunastu nazwisk została wysłana w teren, ale i tak żaden z zapowiadanych krwawych rewanżów nie doszedł wówczas do skutku.



Kapitan Stanisław Sojezyński „Warszyc”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Coraz mniej liczne oddziały KWP pozostawały w głębokim ukryciu i defensywie, a cała konspiracja „Warszyc” przeżywała kryzys. Rozkazy dowódcy prawie wcale nie dochodziły do celu, a jeśli nawet docierały, to nie były wykonywane przez podwładnych. Działo się tak na skutek rozbicia części konspiracji poprzez aresztowania, a także w wyniku działalności licznych komunistycznych grup pacyfikacyjnych i obław w terenie. Ale również w związku z ignorancją ze strony

niektórych dowódców pomniejszych kompanii i plutonów, którzy przestali wykonywać rozkazy z góry, uważając je za nierealne.

Był wśród nich również Henryk Glapiński „Klinga”, którego konspiracyjna grupa rozprzegła się w tym czasie zupełnie. Niektórzy partyzanci bez wiedzy przełożonego postanowili się ujawnić, inni chodzili własnymi ścieżkami, a jeszcze inni pili, nie widząc nadziei na przyszłość. Nic więc dziwnego, że przy takim poziomie zdemoralizowania zostali łatwo rozbici w czerwcu 1946 roku przez operacyjną grupę UB. „Klinga” przeżył, ale w tym samym czasie, 28 czerwca 1946 roku, na skutek działalności agenta bezpieczeństwa o pseudonimie „Żbik” (Henryk Brzózka, były konspirator KWP, po aresztowaniu poszedł na współpracę z komunistami), w Częstochowie zatrzymany został „Warszyc”. Przebywający na jednej melinie wraz ze swoją łączniczką Haliną Pikulską „Ewunią” Sojczyński oddał się bez oporu w ręce komunistów.

Myślał, że ma do czynienia z funkcjonariuszami UB z Częstochowy, gdzie miał dobre układy, i spodziewał się szybkiego odzyskania wolności. Niestety za „Warszycem” do Częstochowy dotarła specjalna grupa bezpieczeństwa z Łodzi, zorganizowana przez samego Mieczysława Moczara. Po ujęciu Stanisława Sojczyńskiego komunistyczne zatrzymania tylko się nasiliły, a w areszcie znalazło się w tym czasie około stu konspiratorów związanych z KWP. Ubecki agent „Żbik” za rozpracowanie i pomoc w ujęciu sztabu KWP otrzymał aż dwadzieścia tysięcy złotych nagrody.



Pozbawiona dowódcy organizacja została sparaliżowana. Potracono kontakty, meliny, a nieliczne grupy leśne nie dostawały w tym czasie żadnych rozkazów. Wszyscy pozostający jeszcze w konspiracji byli zdezorientowani. Nie wiedzieli, co robić i jak dalej walczyć.

W takiej sytuacji znalazł się również „Klinga”, ale wtedy skontaktował się z nim kapitan „Z-24”, zwany również „Anglikiem”. Kapitan „Z-24” na terenie działań KWP pojawił się niedawno. Początkowo skontaktował się z rodziną przebywającego w Anglii mjr. Waława

Kansy, której obiecywał nawiązanie kontaktu z majorem, a nawet późniejszy wyjazd do Wielkiej Brytanii. W środowisku KWP kpt. „Anglik” uchodził za wysłannika polskiego rządu w Londynie i gen. Andersa. Według rzekomych poleceń otrzymanych z zagranicy, po aresztowania sztabu KWP miał on uporządkować pracę organizacji.

Dla niektórych konspiratorów „Z-24” stał się nawet następcą „Warszycy” i precyzyjnymi rozkazami szybko zdobył całkowite zaufanie ocalałych z fali aresztowań żołnierzy KWP. Zakazał na przykład wydawania i wykonywania wyroków śmierci, ale dla odmiany polecił przygotować plan akcji na ubeckie więzienie w Pabianicach. Nie bez znaczenia było to, że na potrzeby organizacji oraz do werbowania nowych

członków „Anglik” nie szczędził dolarów przywiezionych podobno z zagranicy.

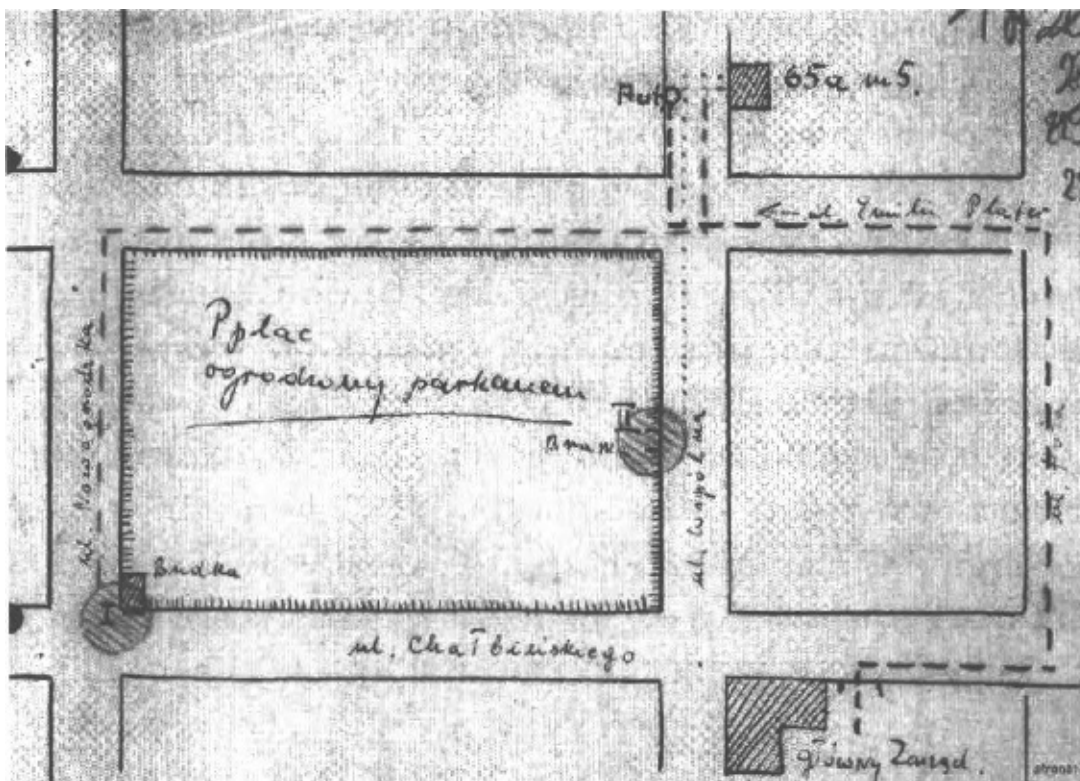
Nic więc dziwnego, że kiedy „Z-24” skontaktował się z „Klingą”, ten czuł się pewnie. Miał nawet poczucie, że został poniekąd wyróżniony. Ponieważ Glapiński uważał, że na dotychczasowym terenie jest już spalony, „Anglik” zaproponował mu wybór jednej z dwóch opcji. Zaprosił go do Warszawy, gdzie z „Klingą” miał się spotkać dowódca całej partyzantki antykomunistycznej z Lublina. Na tym spotkaniu miała zapaść decyzja, czy por. „Klinga” wyjedzie w Lubelskie, aby tam dowodzić oddziałem partyzanckim i walczyć, czy też zostanie wysłany za granicę.

Dnia 31 sierpnia z samego rana amerykańskim willysem „Anglik”, „Klinga” oraz dwóch jego ludzi: Marian Knop „Własow” i Zbigniew Wojciechowski „Zbych”, wyjechali do Warszawy. Żołnierze KWP nawet nie przypuszczali, że w tym czasie komunistyczni strażnicy drogowych punktów kontrolnych na trasie przejazdu samochodu z „Klingą” otrzymali rozkaz, by przepuszczać bez kontroli wszystkie samochody osobowe i terenowe. Ponadto w ślad za willysem prowadzonym przez „Z-24” od samego Radomska jechał samochód z funkcjonariuszami UB, aby w razie kłopotów po drodze móc interweniować i... pomóc dojechać partyzantom KWP do stolicy. Właśnie tak - tajemniczy i wszechwładny kapitan „Z-24” wcale nie był wysłannikiem gen. Andersa tylko komunistycznym agentem. Zygmunt Lercel, bo tak naprawdę nazywał się „Anglik”, nosił pseudonim „Siwiński” i był tajnym współpracownikiem Głównego Zarządu Informacji.



Po dojechaniu do Warszawy „Anglik” odstawił „Klingę” i dwóch jego ludzi do mieszkania na ulicy Wspólnej. Spotkanie z dowódcą partyzantki z Lubelszczyzny miało się odbyć w poniedziałek 2 września. Tymczasem po odprowadzeniu samochodu (do garaży UB — ale o tym żołnierze KWP nie wiedzieli) kpt. „Z-24” wrócił do „Klingi” i zaproponował mu spotkanie ze swoim dobrym znajomym, polskim oficerem przybyłym z Anglii, który zatrzymał się w hotelu „Polonia”. W czasie marszu, na rogu ulic Nowogrodzkiej i Chałbińskiego „Z-24” zaproponował Glapińskiemu wypicie piwa. Spragniony „Klinga” przystał na to z ochotą. Dzień był upalny, a dodatkowo powoli opadały w nim emocje z podróży i przyjazdu do stolicy. Kiedy „Klinga” pił spokojnie swoje piwo i miał zajętą rękę, nagle od tyłu doskoczyło do niego dwóch ludzi i sprawnie obezwładniło, wyłuskawszy ukryty pistolet.

W tym samym czasie w mieszkaniu na Wspólnej z „Własowem” i „Zbychem” pozostawał inny zakamuflowany funkcjonariusz bezpieczeństwa - ppor. Brańczyk. We trójkę rozmawiali i grali w karty, kiedy zadzwonił telefon. To „Siwiński” poinformował Brańczyka, że „Klinga” został pomyślnie zdjęty, a teraz pora na jego ludzi. Po odłożeniu słuchawki komunistyczny konspirator KWP, aby udali się z nim po paczki UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration - Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy), o które wystarał się „Anglik”.



Ubecki plan ujęcia „Klingi”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Mieli wziąć ze sobą sznur, aby te paczki odpowiednio związać, żeby nie rozpadły się podczas niesienia w drodze powrotnej. Przy okazji tego spaceru chcieli również zobaczyć Warszawę. Kiedy mijali bramę Głównego Zarządu Informacji, nagle zza ogrodzenia wyskoczyło kilku funkcjonariuszy i sprawnie skrepiowało żołnierzy „Klingi” niesionym przez nich sznurem. Tak, bez jednego wystrzału, cała trójka została zatrzymana przez komunistów.

Kierownictwo KWP wraz z „Warszycem” i „Klingą” w grudniu 1946 roku postawiono przed sądem w Łodzi. Oskarżonym zarzucano, że „usiłowali przemocą obalić organy władzy”, a także udział w „gwałtownym zamachu” na więzienie w Radomsku oraz zamordowanie żołnierzy NKWD. Spośród dziesięciu postawionych przed sądem konspiratorów KWP ośmiu skazano na karę śmierci (choć ostatecznie w dwóch przypadkach Bierut zamienił kary na dożywocie).

Wyrok śmierci otrzymali komendant KWP kpt. Stanisław Sojczyński i por. Henryk Glapiński. Żona „Klingi” Helena Glapińska, podejmując ostatnią próbę ratowania męża, wysłała do prezydenta PRL list z prośbą o łaskę dla Glapińskiego. Do koperty wrzuciła również zdjęcie ich małych dzieci. Ale nawet to nie skruszyło serca twardego komunisty. Wyrok na sześciu żołnierzach KWP wykonano w Łodzi 19 lutego 1947 roku, na trzy dni przed wprowadzeniem amnestii. Do dziś dnia nie odnaleziono ciał rozstrzelanych wtedy konspiratorów.

Tropem złamanej podkowy

Brzozowo-Antonie, 28 kwietnia 1946 roku i Czochanie-Góra, 30 kwietnia 1946 roku

T

o był jakiś cholerny ciąg nieprzewidzianych wydarzeń postępujących jedno za drugim. Niczym efekt domina, a może efekt motyla. Jedno małe nieoczekiwane zdarzenie pociągnęło za sobą kolejne i następne, coraz większe, poważniejsze, bardziej niebezpieczne i jeszcze bardziej chaotyczne. Tak jak jedno machnięcie skrzydła motyla gdzieś w schowanej przed światem wiosce na Podlasiu za kilka dni może spowodować ogromne tornado wyrwijające drzewa z korzeniami i zwalające dachy z domów w innej części Polski. Tak właśnie jedno wykrzyżane do wystraszonych milicjantów zdanie, aby rzucili broń i bez strzału oddali się w ich ręce, stopniowo wywróciło do góry nogami poukładane od paru miesięcy partyzanckie życie żołnierzy z 6 Wileńskiej Brygady AK i 3 Brygady NZW I całe spokojne bytowanie tych ludzi zawaliło się jak domek z kart lub jak poustawiane ciasno jedna obok drugiej kostki domina. Do ostatniej kostki, do samego końca... Ciekawe było również to, że do milicjantów nie krzyczeli ci partyzanci, na których później spadły ubeckie obławy, lecz ktoś zupełnie inny.

Ale zacznijmy od początku.

W dniu 27 kwietnia 1946 roku, przed obiadem, we wsi Gąsówka stanęli naprzeciw siebie milicjanci i poszukiwani przez wszelkie komunistyczne służby ludzie z lasu. Zaskoczenie było pełne. Ale to uzbrojeni partyzanci pierwsi wycelowali swe lufy w stronę milicjantów i zakrzyknęli: - Ręce do góry!

Prowadzący milicjantów sierż. Kulik nie był skłonny oddawać młodego życia za komunistyczną ojczyznę i dlatego rozkazał swoim chłopcom, aby grzecznie złożyli broń. Zachnął się na to jedyny w tej grupce komunistą z przekonania, ubek ppor. Elsner. Ale i on, nie mając oparcia w kilkunastu rozbrojonych już milicjantach, pokornie oddał się w ręce „bandytów”. Nie byli to zresztą wcale żadni wywrotowcy, tylko podziemne polskie wojsko podległe zrzeczeniu WiN. Oddziałem tym dowodził osobiście por. Kazimierz Kamieński „Huzar”. Dla niepoznaki podawał się za „Burego”, a swoją grupę w rozmowach przy milicjantach określał właśnie jako oddział „Burego”. Chciał w ten sposób zrzucić odpowiedzialność za ten czyn na działającą w pobliżu 3 Brygadę

NZW dowodzoną przez kpt. Romualda Rajsa.

A należy dodać, że współpraca pomiędzy WiN i NZW na tym obszarze nie układała się najlepiej. Choć trzeba przyznać, że obie strony ostatnimi czasy próbowały jakoś unormować swoje stosunki.

Grupy „Burego” i „Rekina” współdziałały z 6 Brygadą por. „Wiktora”, a oba połączone oddziały oczekiwały na przybycie nowego komendanta okręgu NZW Aresztowanego mjr. „Kotwiczą” zastąpił ppłk Władysław Iwański „Błękit”.

„Huzar” i jego żołnierze po dżentelmeńsku potraktowali zatrzymanych milicjantów. Być może nawet niektórzy z funkcjonariuszy należeli do miejscowej konspiracji bądź po cichu sprzyjali działaniom antykomunistycznym. Tego nie dowiemy się nigdy, ale o dziwo, partyzanci „Huzara” i milicjanci uścisnęli sobie ręce. A potem wszyscy razem zasiedli do obiadu, rozmawiając przy wódce i papierosach.

Wszystkim z MO pozostawiono broń, zabierając jedynie amunicję.

Później „Huzar” przesłuchiwał po kolei zatrzymanych. Pokazywał im zdjęcia pracowników UB z Wysokiego Mazowieckiego i podawał ich dane personalne, próbując wyciągnąć jeszcze więcej informacji na ich temat.

- Widzicie, my o ubekach to wszystko wiemy — mówił do zebranych i specjalnie zerkał na Leona Elsnera, którego los wydawał się przesądzony. - Zapamiętajcie dobrze, kto was tak urządził: kapitan „Bury” i jego ludzie.



I to była pierwsza kostka domina, która, przewracając się, uderzyła o następną.

Kiedy wysłani w teren funkcjonariusze MO nie wrócili do swego macierzystego posterunku w Sokołach, zaniepokojony tamtejszy komendant powiadomił o tym fakcie swoich przełożonych w Wysokim Mazowieckim. Komuniści zadziałali nadzwyczaj sprawnie. Milicjanci natychmiast uruchomili grupę poszukiwawczą w składzie jednego plutonu i jednocześnie dali znać o całej sprawie do PUBP w mieście.

Dowodzący grupą MO ppor. Stawecki zapakował się z piętnastoma ludźmi na ciężarówkę i pognął na poszukiwanie zaginionych milicjantów sierż. Kulika. Po drodze wstąpił jeszcze na posterunek w Sokołach, sprawdzając, czy w międzyczasie milicjanci nie wrócili z akcji.

Ale ponieważ grupa Kulika się nie odnalazła, na samochód wskoczył jeszcze komendant MO w Sokołach i cała grupa udała się do wsi, w której zaginieli mieli przeprowadzić aresztowania.

Kiedy samochód wjechał między pierwsze zabudowania, milicjanci zauważyli uciekających w stronę lasu uzbrojonych mężczyzn.

Jednocześnie z jednej z chałup na spotkanie wybiegli zatrzymani wcześniej przez partyzantów ludzie Kulika.

— Ratujcie! Banda nas rozbroiła, a teraz ucieka! — wołali na przemian uwolnieni.

Na takie słowa ppor. Stawecki szybko skrzyknął swoich ludzi i ruszył z wszystkimi milicjantami w pogoń za „bandą «Burego»”, jak określali napastników funkcjonariusze.

Niestety na skraju lasu jego niewielki oddział dostał się pod gwałtowny ogień przeważających sił wroga.



Milicjanci w zdobytym niemieckim samochodzie podczas akcji, 1947 r.

(Instytut Pamięci Narodowej)

Do milicjantów strzelano z trzech stron, a na domiar złego partyzanckie grupy próbowały ich okrążyć. Przy stracie jednego ранego milicjanci wycofali się do samochodu i uciekli do Łap. Tam próbowali uzupełnić amunicję i zorganizować posiłki. Z Łap ponownie dali znać do UB w Wysokim Mazowieckim, jak aktualnie mają się sprawy. Wspomnieli również, że nie odnalazł się ubecki funkcjonariusz z pierwszej milicyjnej grupy.

Tymczasem w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Wysokim Mazowieckim już po pierwszym telefonie z MO zawrzało. Sprawę zaginionych milicjantów potraktowano bardzo poważnie i szybko zaczęto organizować grupę operacyjną złożoną głównie z 13 Samodzielnego Batalionu Ochrony (SBO) KBW. Oddział nie wyjechał jeszcze do akcji, kiedy nadeszła kolejna informacja - o uwolnieniu milicjantów i zaatakowaniu całej grupy MO przez „bandytów”. Według relacji oddział „Burego” liczył około osiemdziesięciu ludzi.

Dla UB sprawa wydała się na tyle poważna, że oddział pościgowy wyruszył z miasta o godzinie trzeciej w nocy, już 28 kwietnia. Na trzy ciężarówki załadowało się około osiemdziesięciu uzbrojonych ludzi. Grupę prowadzili Józef Łaniewski z UB i mjr Janowski z KBW, a w jej skład weszli żołnierze z 13 SBO KBW, milicjanci i funkcjonariusze UB.



Kto by tam z własnej nieprzymuszonej woli walczył w Niedzielę Przewodnią, czyli pierwszą niedzielę po Wielkanocy? Chyba tylko jakiś chory człowiek albo komunista. Okres wielkanocny to czas miłości, pokoju, zakopywania broni i leczenia ran, a nie wojowania. W taką piękną niedzielę jak ta 28 kwietnia 1946 roku, należało raczej ubrać się odświętnie, przywdziać białą koszulę i pójść do kościoła. A potem radować się z całą rodziną przy wspólnym stole.

Dzień od początku był niespokojny. Nad ranem połączone oddziały „Wiktora”, „Młota” i „Rekina” zatrzymały się w malutkiej wiosce Brzozowo-Antonie, zajmując na kwatery niemal wszystkie domy osady. Niedaleko, bo w odległości kilometra od głównej grupy, stacjonowała kawaleria „Burego”. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali na „Błękitą” z NZW, z którym planowano się spotkać w tym właśnie miejscu. Ale szef narodowego okręgu nie zjawiał się. Za to z okolicznych wsi od rana słychać było odgłosy wystrzałów, co budziło uzasadnione zaniepokojenie pośród wszystkich. Dalekie salwy dobiegały najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Zdziwieni i lekko przestraszeni partyzanci patrzyli po sobie, bo pojedyncze huk broni palnej słychać już było zewsząd.



Podporucznik Lucjan Minkiewicz "Wiktor"

(Instytut Pamięci Narodowej)

Każdy jak na szpilkach wyglądał rozkazów do wymarszu, ale partyzanci komendanci postanowili nie ruszać się z miejsca i cierpliwie poczekać na ppłk. „Błękitą”.

Z tego dziwnego marazmu wyrwała żołnierzy nowina. Nie wiadomo nawet, kto ją przyniósł. Czy to gospodarz, który przyjechał furmanką z sąsiedniej wsi, czy też bosy chłopak, który wypasał krowę na odległej łące. Wiadomość przekazywana z ust do ust

brzmiała tak: - UB i komunistyczne wojsko jeździ w kilka samochodów po wsiach i aresztuje ludzi. Zbliżają się już do wsi, w której skrywają się partyzanci.

Zanim żołnierze zdążyli zadać sobie pytanie: „co robić?”, już dowódcy po kolei wyprowadzali w pole swoje oddziały. Zamysł był taki, aby skryć się we wsi lub na polach obok niej i w ciszy, bez żadnych strzałów przepuścić kolumnę komunistycznych aut. Kiedy partyzanci zajmowali zakamuflowane stanowiska, szeptem przekazywali sobie ostatnie rozkazy przełożonych:

— Nie strzelać. Przepuszczamy ich.

A potem naprawdę zapadła martwa cisza. Tylko zbliżający się ryk silników zdradzał, że nadciąga burza. Ukryci, pomni rozkazów, mieli nadzieję, że ta komunistyczna nawałnica szybko przemknie przez wieś i zniknie daleko w kurzawie polnych dróg. Niewiele brakowało.

Najpierw trzy ciężarówki minęły drużynę „Ładunka” z NZW, pierwszy oddział ukryty wzdłuż drogi. Potem z wolna przetaczały się przed stanowiskami żołnierzy „Rekina”. Minęły ich i dalej spokojnie jechały wzdłuż ukrytych w przydrożnych chaszczach za płotami ludzi „Wiktora” i „Młota”. Gdy wydawało się, że samochody spokojnie ominą partyzantów i pojedą dalej, nagle, nie wiadomo z której strony, padł pojedynczy strzał.



I ten jeden wystrzał był jak kolejna kostka domina, która, przewracając się, nieuchronnie zahacza o następną. Po latach żołnierze WiN będą się zarzekać, że strzelał ktoś spośród ludzi „Rekina”. Ci drudzy do dziś dnia mogą przysiąc, że strzał padł ze stanowisk 6 Brygady AK. Ale właściwie nieistotne, kto zaczął. Fakt, że pojedyncza kula, która wyszła w stronę ciężarówek, wywołała potężną, intensywną strzelaninę.

Żołnierze z komunistycznej grupy sprawnie powyskakiwali z pojazdów i zajęli stanowiska bojowe przy drodze. Część skryła się za karoserią i skrzyniami ładunkowymi samochodów. Strzelano z każdej strony. Aby uniemożliwić żołnierzom „ludowego” wojska zajęcie lepszych stanowisk obronnych, „Rekin” rzucił do ataku na wprost drużyny „Gołębia” i „Pawia”. Przez moment sam prowadził ich do natarcia, lecz po chwili dostał w pierś. Początkowo nawet zbyt nie czuł bólu i w pierwszej chwili nie chciał, aby zabierano go na tyły.

Ale krwawiąca dziura w płucach nie pozwalała na złapanie swobodnego oddechu. Wyniesiony na siłę przez żołnierzy „Rekin” strasznie się męczył, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Co chwila tracił przytomność, to znów ją odzyskiwał. Ledwo zdążył wychrypieć, bo ciągle brakowało mu tchu, żeby partyzanci atakowali dalej, jeden z sanitariuszy szczelnie okładał ranę opatrunkami i aby ulżyć dowódcy, sam wdmuchiwał mu powietrze do ust.

W tym czasie urodzony w Łapach dwudziestoczteroletni Józef Puławski „Gołąb” prowadził swoich ludzi do ataku na samochody.

Obronny ogień komunistycznej grupy wzmagął się, a partyzanci musieli pokonać

jeszcze długi odcinek odśnieżonego pola. Leżały na nim w równych odstępach przygotowane do rozrzucenia kupki gnoju.

I tak, skokami, od kupki do kupki, żołnierze stopniowo posuwali się naprzód. Niejeden zarył wtedy nosem w krowich odchodach. Cóż, może i zapach nie był przyjemny, ale dzięki temu uratował swe młode życie. Gdy ostatni odcinek dzielił żołnierzy „Gołębia” i „Pawia” od komunistów, natarcie zamarło. Partyzanci schowali się przed kulami za ostatnimi zwałami gnoju i za nic nie chcieli ruszyć do decydującego, ostatniego, ale najdłuższego skoku.

Trwało to minutę, może dwie. Pierwszy zebrał się w sobie „Gołąb”.

— Ojczyznę z niewoli wydrzeć nam czas! - zaintonował pieśń, a potem wstał i, strzelając ze swojego automatu, ruszył na komunistów.

— Naprzód, żołnierze! Przed nami wróg! - zakrzyknęli inni i pobiegli za „Gołębiem”.

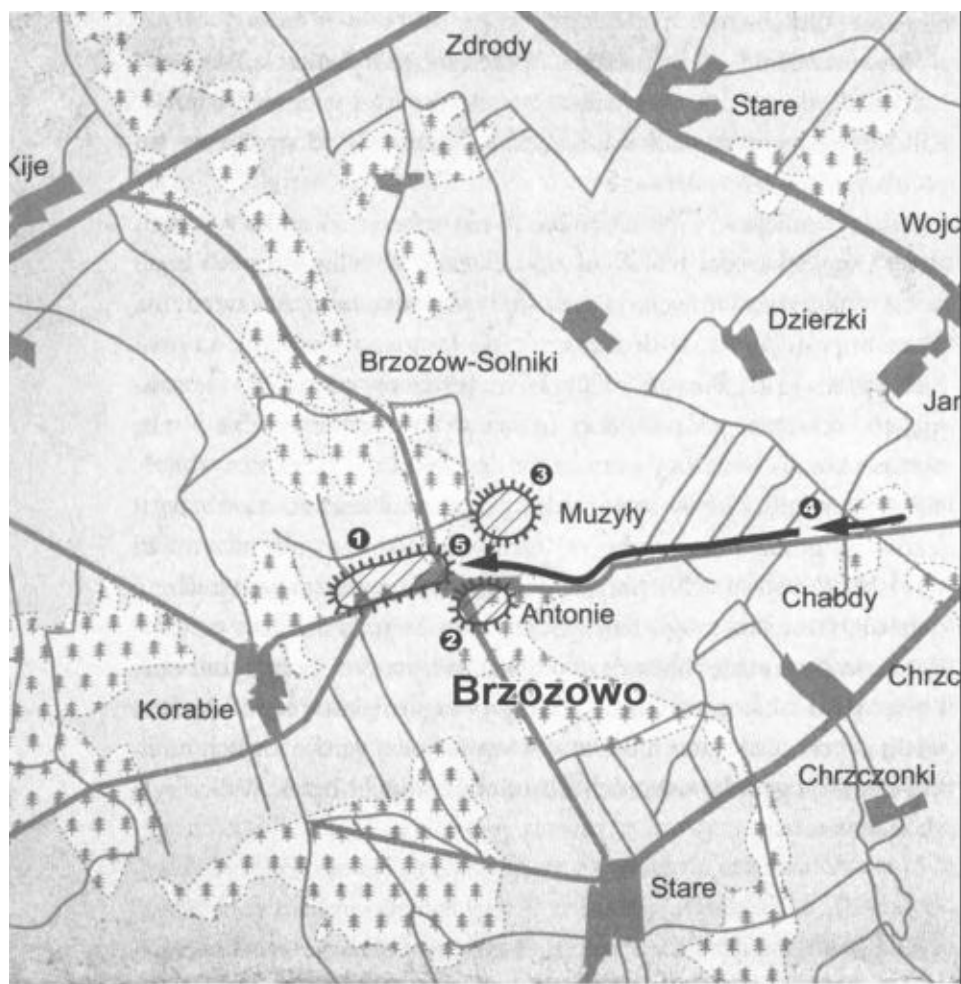
Równocześnie do natarcia przeszli partyzanci „Wiktora” i „Młota”, do tej pory ostrzeliwujący się spośród wiejskich zagród.

Kilkadziesiąt postaci skokami naprzód zbliżało się od strony wsi do podziurawionych *studebakerów*.

Ubegy, milicjanci i żołnierze KBW nie wytrzymałi ataku z dwóch stron i w większości rzucili się do ucieczki. W kilku grupach gnali w kierunku zbawienego, jak im się wydawało, lasu. Ale wtedy na placu boju pojawiła się drużyna zwiadu konnego prowadzona osobiście przez kpt. „Burego”. Kilkunastu jeźdźców rozwinęło się w linię, aby schwytać jak najwięcej umykających. Jednak cywilne konie, nienawykłe do strzałów, zamiast iść do przodu w tyralierze, zbijały się w gromadę. Gdyby wtedy jakiś przytomny komunista obrzucił jeźdźców granatami, byłoby po nich. Ale nikt tam już nie myślał trzeźwo o obronie. Nieprzyjaciele oślepieni panicznym strachem uciekali, jak tylko mogli najszybciej. Komuniści porzucali po drodze broń i amunicję. Niektórzy umykali tak prędko, że pogubili buty i onuce. A i tak konni jeźdźcy „Burego” zagarnęli do niewoli jeszcze wielu z tych uciekających do lasu. Również przy samochodach umilkły strzały i grupka ostatnich obrońców złożyła broń. Walka była skończona.



Na placu boju leżało kilku żołnierzy KBW. Jak się później okazało, jeden był martwy, a czterech rannych. Płonęła również jedna z ciężarówek. Dopiero po jakimś czasie ktoś zauważył, że w kabinie pali się człowiek. Był to kierowca, który najprawdopodobniej zginął lub został ciężko ranny przy pierwszych strzałach. Ze strony partyzanckich brygad było kilku rannych.



Bitwa Brzozowo – Antonie 28 kwietnia 1946 r.

- | | |
|---|---|
| 1 Szwadron „Wiktora” i oddział „Młota”. | 4 Trasa przejazdu komunistycznej kolumny. |
| 2 Grupa „Rekina”. | 5 Miejsce starcia. |
| 3 Grupa „Burego”. | |

Do niewoli dostało się aż trzydziestu jeden ludzi z komunistycznej grupy. Było to siedemnastu żołnierzy KBW, dziesięciu milicjantów, dwóch ubeków (w tym jeden oficer z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego — ppor. Mazurek) oraz dwóch kierowców. Partyzanci zdobyli również sporą liczbę broni i amunicji oraz uwolnili zatrzymanych wcześniej przez komunistów pięciu Polaków. Podobno była wśród nich kuzynka kpt. „Huzara”. Dwie pozostałe ciężarówki również podpalono, jako nieprzydatne na leśnych bezdrożach.

Początkowo planowano uwolnić wszystkich zatrzymanych. Ale wówczas zaoponował „Bury”. Podniesionym głosem domagał się, aby jemu przekazać jeńców.

— Akcja była przeprowadzona na moim terenie - mówił do por. „Wiktora”. — I dzięki atakom moich ludzi wygraliśmy. Zatrzymani powinni należeć do mnie.

Dowódca 6 Wileńskiej Brygady AK Lucjan Minkiewicz „Wiktor” już od dłuższego czasu myślał skrycie o rozwiązaniu oddziału, zakończeniu wojaczki i rozpoczęciu normalnego, cywilnego życia.

Kilka miesięcy wcześniej wziął ślub z sanitariuszką „Danką”, wiedział również, że młoda żona spodziewa się dziecka. Bardziej skupiał się na zorganizowaniu swoich ludzi i przetrwaniu. W zasadzie, jak tylko mógł, próbował unikać otwartej walki z komunistycznym wojskiem. W każdym momencie niecierpliwie czekał też rozkazów od „Łupaszki”, w których spodziewał się najważniejszego dla siebie - nakazu demobilizacji żołnierzy. I właśnie dlatego „Wiktor” był nawet rad, że „Bury” swoją propozycją zdejmował z niego odpowiedzialność za jeńców. Oddał kapitanowi NZW wszystkich komunistów.

Przeczuwał, co się może zdarzyć, a nie chcąc być świadkiem egzekucji, wraz z oddziałem WiN jak najszybciej wymaszerował ze wsi.

Tymczasem „Bury” posegregował jeńców. Podchodził do każdego z zatrzymanych i pytał:

— Ty kto?



Wojskowi i ubecy wzięci do niewoli najprawdopodobniej po walce pod wsią Brzozowo-Antonie

(Instytut Pamięci Narodowej)

Odpowiadali kolejno zgodnie z prawdą, ale wtedy jakiś młody żołnierz, chyba chcąc się przypodobać leśnemu dowódcy, a może ocalić swoje życie, zagadnął:

— Panie kapitanie, ubecy chwalili się, że jadą na obiad do „Burego”.

— Ja wam, kurwa, dam obiad! — zdenerwował się Rajs. — Dla niektórych to on będzie na pewno czerwony!

Rozkazał zabrać żołnierzy KBW i zamknąć ich w piwnicy. A ubeków, milicjantów i cywilów zostawić. Dwóch cywilnych kierowców, przeczuwając zbliżającą się śmierć, zarzekło się, że oni tylko z przymusu wożą komunistów, ale nikt nie chciał dać im wiary. Traktowano ich na równi z ubekami, jako cywilnych funkcjonariuszy UB.

Wszystkim związano z tyłu ręce sznurkiem i poprowadzono w las. Tam, w starych, zarosniętych poniemieckich okopach drużyna „Ładunka” załatwiła sprawę i ukryła ciała.

Żołnierzy KBW potraktowano inaczej. Czterech rannych opatrzono. Zabrano im co prawda mundury i buty (partyzanci szybko zużywali te części wyposażenia), ale wszystkich nakarmiono. Podczas obiadu, przy stole, „Bury” miał krótką przemowę do jeńców z „ludowej” armii. Pytał ich retorycznie:

— Dlaczego strzelacie do swych leśnych braci?

Potem wszystkich żołnierzy puszczono wolno, dając każdemu na drogę antyrządowe ulotki do rozdania w jednostce.



— Co oni nam mogą zrobić? Nawet jak przyjedzie wojska w dziesięciu, piętnastu samochodach, to co? I tak sobie z nimi poradzimy

— mówił buńczucznie „Bury” następnego dnia po starciu, kiedy partyzanckie grupy odeszły już z miejsca bitwy i, omijając wsie, maszerowały lasami na północny zachód.

Partyzancki dowódca nie mógł wiedzieć, że wieść o starciu z zawrotną prędkością biegła już po telefonicznym kablu. Dowódca rozbitej grupy — Józef Łaniewski z UB, przeżył i uciekł przed partyzantami konnego zwiadu. Wyrwał się z potrzasku i dotarł na posterunek MO w Raciborach. Stamtąd niezwłocznie zatelefonował do Wysokiego Mazowieckiego po posiłki. Informacja ta pociągnęła za sobą natychmiastowe działanie komunistów. Od razu w teren wyruszyły na ciężarówkach silne grupy złożone głównie z żołnierzy 7 Samodzielnego Batalionu Ochrony Kolei oraz 13 SBO KBW. Już w dwie godziny po walce oddziały pościgowe znalazły się na terenie niedawnej bitwy i rozpoczęły poszukiwanie „bandytów”. Cały obszar w rejonie miejscowości Brzozowo-Antonie i Brzozowo-Muzyły zaroił się od komunistycznego wojska. Specjalne grupy obławy jeździły po okolicy samochodami, inne wkraczały do wsi i przetrząsały każdy kąt. Do akcji włączono kolejne grupy z UB i MO oraz z oddziałów 45 pp i 9 SBO KBW. Całością sił dowodził płk Jelecki z KBW w Białymstoku i dowódca 9 Batalionu kpt. Mojsiejenko. Po dwóch dniach w poszukiwaniu partyzantów „Wiktora”, „Młota” i „Burego” uczestniczyło już około sześciuset żołnierzy, wspartych jednym działem i plutonem moździerzy. Ale komuniści początkowo nie mogli natrafić na żaden ślad. Wydawało się, że żołnierze podziemia ulotnili się jak kamfora.

Dopiero 30 kwietnia jedna z grup pościgowych, wróciwszy do punktu -wyjścia, postanowiła jeszcze raz przesłuchać mieszkańców, zastraszając ich, szantażując i używając innych, również fizycznych, metod perswazji. Jeden z bitych i terroryzowanych gospodarzy wygadał się w końcu, że na swojej furmance zawiózł rannego partyzanta do wsi Wznory-Wandy. W tym samym czasie ciężarówka z żołnierzami z 45 pp została ostrzelana przez leśnych w okolicach Garbowa. To komunistom wystarczyło. Cała ich grupa została skierowana w ten właśnie rejon. Świeże ślady przemarszu partyzanckiej kolumny wyraźnie wiodły na północ, a potem

skręcały na zachód. Dodatkowo, jak się zdawało, jeden z koni zamykających pochód musiał mieć złamaną podkowę i tego wyjątkowego tropu postanowili trzymać się komuniści. Początkowo jechali za tym śladem samochodami, lecz w połowie drogi zaczął się błotnisty teren. By nie ugrząść w rozmokłej drodze, padł rozkaz do zostawienia pojazdów i posuwania się dalej piechotą. Liczna, kilkusetosobowa grupa z całym uzbrojeniem maszerowała leśnymi drogami. Żołnierze ciągnęli ze sobą nawet działą i moździerz, aby w razie czego jeszcze skuteczniej móc ostrzelać „bandytów”. Każdy z nich czuł, że partyzanci są tuż, tuż. Świadczyły o tym coraz wyraźniejsze ślady złamanej podkowy. W lesie pomiędzy wsiami Czochanie-Góra i Śliwowo wojska obławy natknęły się na miejsce odpoczynku ściganych.

O krótkim postoju świadczyły papierowe opakowania po amerykańskich papierosach, czekoladzie i pokrwawione bandaże. W tym miejscu grupa zatrzymała się, a na szpicę wyszły plutony KBW, posuwając się marszem ubezpieczonym. Prowadził teraz chor. Józef Kosztyła z 9 Batalionu, a za nim tyralierą w dwóch liniach szli ostrożnie jego żołnierze z bronią gotową do strzału. Kiedy komuniści zbliżali się do gajówki, nagle z młodego zagajnika wynurzyła się uzbrojona postać.

— Stój! Hasło! — zakrzyknął chor. Kosztyła. Lecz zamiast hasła, usłyszał tylko serię z pistoletu maszynowego, a obok siebie świst kul.

— Padnij! W tyralierę! Przygotować granaty! — darł się na cały las chorąży, a palba karabinowa rozbrzmiewała już ze wszystkich stron.



Pomimo pewnej nonszalancji i lekceważenia przeciwnika przez kpt. Rajsa partyzanckie grupy chciały jak najspieszniej oddalić się od miejsca akcji. Żołnierze z daleka widzieli na drogach wzmożony ruch wojskowych ciężarówek i dlatego maszerowali coraz szybciej, a potem przeskakiwali z jednego lasu do drugiego. Długość postojów, koniecznych chociażby dla zmiany opatrunków rannym i ugaszenia pragnienia, ograniczano do minimum. Wraz z 6 Brygadą AK i 3 Brygadą NZW sunął ich tabor konnych wozów. Nikt z leśnych ludzi nie zwrócił uwagi, że największy i najsilniejszy pociągowy koń rasy belgijskiej ma złamaną podkowę i zostawia za sobą wyraźnie odcisnięty, charakterystyczny ślad w rozmiękłej ziemi.

Zmęczeni drogą partyzanci w lasach gdzieś pomiędzy wsiami Śliwowo i Czochanie-Góra natknęli się na samotnie stojącą leśniczówkę.

Spragnieni dopadli do studni z żurawiem, by jak najprędzej ugasić pragnienie.



jeden z pododdziałów 6 Wileńskiej Brygady

(Instytut Pamięci Narodowej)

Kapitan „Bury” wraz z żołnierzami po krótkim odpoczynku odjechał konno drogą, skąd nadeszli, aby jeszcze raz spróbować nawiązać kontakt ze swym przełożonym ppłk. „Błękitem”. Konni jeźdźcy zniknęli wśród drzew, żegnając się z kolegami z drużyny „Ładunka”, którzy w tym miejscu osłaniali tyły całego zgrupowania.

Ktoś przyniósł też wody rannemu „Rekinowi”, który pomimo postoju wciąż pozostawał w siodle, podtrzymywany przez swoich żołnierzy. Choć przytomny, nie wyglądał najlepiej. Był cały blady na twarzy i oddychał z trudnością, świszcząc przy każdym wdechu. Zdążył wypić kilka łyków i wtedy się zaczęło. Choć partyzanci w każdej chwili spodziewali się komunistycznego pościgu i oblawy, to pierwsze strzały oddane około godziny osiemnastej były dla nich kompletnym zaskoczeniem.

Kiedy komunistyczne mundury zamajaczyły wśród drzew, żołnierze „Ładunka” wzięli ich za ludzi od „Burego”, którzy właśnie wracali z rekonesansu. Dopiero z bliska rozpoznali swój błąd i rozpoczęła się regularna bitwa. Wszystkie przybyłe z tej strony oddziały „ludowego” WP początkowo skupiły się na kilkunastu obrońcach „Ładunka”, którzy walczyli zażarcie, ostrzeliwując się na całego. Terkot broni maszynowej, wybuchy granatów i wzajemne nawoływania dochodzące z tego miejsca całkowicie absorbowały pierwsze plutony KBW. Moment ten wykorzystali pozostali partyzanci, którzy próbowali wycofać się od razu lub zorganizować drugą linię obrony.

Któryś z polskich żołnierzy przytomnie pogonił konia z rannym „Rekinem”,

prawdopodobnie ratując życie porucznikowi. W tym czasie kule padały bardzo gęsto, strącając liście i gałęzie z drzew lub grzęzając w ściółce i kałużach. Spłoszony wierzchowiec pognął na oślep przed siebie, unosząc ze sobą „Rekina”, który otrzymał jeszcze kolejną ranę — niegroźny na szczęście postrzał w szyję. Za swym dowódcą podążyła większość żołnierzy z brygady NZW, próbując jak najprędzej ująć z pola bitwy.

Po kilkunastu minutach gwałtownego ognia okrążeni bohaterscy żołnierze „Ładunka” dobywali ostatnich naboji. Jeszcze przez moment rozbrzmiewały coraz rzadsze strzały z tej strony, a potem wszystko ucichło. Pozostali przy życiu obrońcy, niejednokrotnie ciężko ranni, za nic w świecie nie chcieli dostać się w ręce ubeckich oprawców. Pierwszy dał przykład plut. „Ładunek”, a pozostali poszli w jego ślady. Dostawiali pod swoje brody lufy karabinów maszynowych i pociągali za spusty. Inni wyciągali pistolety i strzelali sobie w usta lub skroń. Tylko dwóch żołnierzy z tej drużyny poddało się komunistom.



Kiedy zamilkły karabiny partyzantów „Ładunka”, a oddział narodowców wycofał się jak najspieszniej, cały ciężar walki z przeważającymi siłami wroga próbowali wziąć na siebie żołnierze 6 Wileńskiej Brygady. Jednakże po krótkiej obronie dowódcy postanowili oderwać się od nieprzyjaciela i skryć w leśnych ostępach. Niestety, okazało się, że oddział „Wiktora” i „Młota” został otoczony. Wszelkie próby przedarcia się z jednej lub drugiej strony spełzły na niczym. Kiedy pośród stłoczonych na niewielkim skrawku lasu partyzantów zaczęły wybuchać pociski moździerzowe, większość zwątpiła w szczęśliwe zakończenie walki. Ludzie kryli się w każdym, najmniejszym nawet wgłębieniu ziemi i za grubszymi pniami drzew. Co rusz któryś padał trafiony kulą lub odłamkiem, a pozostałych osypywała ziemia wzbijana w górę coraz bliższymi wybuchami moździerzowych pocisków. Na dodatek ogniem na wprost zaczęło strzelać podciągnięte na pierwszą linię komunistyczne działo. Jego pociski gruchotały pnie potężnych sosen, a całe ścięte drzewa zwały się na głowy przerażonych partyzantów.

Podporucznik „Wiktor” mozolnie czołgał się w stronę grupy „Młota”, aby z drugim dowódcą podjąć decyzję, co robić dalej.

Wkrótce odnalazł go spoconego, z gołą głową, całego pokrytego piaskiem i zielonym igliwem sosen.

— Co ci się stało z czapką? — spytał z głupia frant.

— A nic — uśmiechnął się „Młot”. — Chcieli mnie ustrzelić, ale trafili w orzełka na rogatywce i zdmuchnęli mi czapkę. Ale spokojnie, znalazłem ją. Mam ją o tu, za pazuchą.

— Co robimy? - „Wiktor” przeszedł do sedna.

— Nie mam pojęcia... — zacharczał zmordowany walką starszy wiekiem oficer. — Wszędzie ich pełno. A co z „Burym”?

— Chyba odszedł na początku ze swoimi ludźmi. Albo został całkowicie rozbity. Nie ma z nimi kontaktu. Tutaj też nas porządnie kropią.
— Zaraz się ściemni. W tym nasza nadzieja.
— To co? Czekamy do zmroku i wrywamy się z kotła?
— Jak zostaniemy, to wezmą nas wszystkich, obojętnie już, czy w nocy, czy za dnia.
— W porządku. Proponuję przebijać się w stronę Bugu, na południowy zachód. Tam znajdziemy oparcie w wielu przyjaznych wsiach.

A co z taborem?

— Zapomnij o taborze. Pewnie już komuniści zabrali wszelkie wozy. Teraz trzeba ludzi ratować, a nie sprzęt.

Kiedy zapadły ciemności, partyzanci ruszyli do ostatniego ataku.

Natarcie mieli poprowadzić oficerowie, a tuż obok nich posuwali się uzbrojeni w broń maszynową żołnierze. Potem szła pozostała część grupy wraz z rannymi. Szczególny respekt mogli budzić erkaemiści, którzy mocno trzymali w rękach ciężkie diegtiariowy. Na cichy rozkaz wyleciały w powietrze liczne granaty, a po kilku sekundach mocne detonacje dały sygnał do ataku. Ruszyli całą grupą, wbijając się klinem w początkowy pierścień okrążenia. Zaklęli po cichu pierwsi komuniści, skoszeni seriami lub zadźgani bagnetami, ale po chwili rozpętała się burza ognia. Warczały pistolety maszynowe z obu stron, gdały z cicha pistolety i huczały karabiny. Na szczęście dla atakujących przestały nadlatywać moździerzowe granaty, bo komuniści bali się skracać ogień, aby nie ostrzelać swoich. Po przeskoczeniu z zaskoczenia pierwszej linii partyzanci „Wiktora” i „Młota” natknęli się na następne stanowiska KBW. W głośniejszej palbie rozbrzmiewały głosy komunistów nawołujące do poddania się, ale w szale natarcia nikt ich nie słuchał. Jeszcze wielu nacierających padło zabitych i rannych, zanim leśni ludzie zdołali przebić się i wyjść z komunistycznej blokady.

A potem jak duchy zniknęli w ciemnościach nocy i leśnych, niedostępnych kniejach.



W ciężkiej bitwie pod Czochanie-Górami zginęło osiemnastu partyzantów z oddziałów „Wiktora”, „Młota” i „Burego” (w tym prawie cała drużyna „Ładunka”), a siedemnastu dostało się do niewoli.

W swych późniejszych dokumentach komuniści oceniali straty przeciwnika nawet na dwudziestu pięciu zabitych i dwunastu zatrzymanych. Ponadto w ręce służby bezpieczeństwa dostał się cały partyzancki tabor i co najgorsze, całe archiwum oddziału NZW. Obok tego zapasy żywności, trzydzieści dwa komplety umundurowania, materiały wybuchowe, granaty i amunicja. Bardzo cenną zdobyczą była broń, porzucona na placu boju lub pozostawiona na furmankach.

Była to jedna rusznica przeciwpancerna, trzy pancerfausty, jedenaście erkaemów, piętnaście pistoletów maszynowych, osiemnaście karabinów, dwanaście pistoletów i dwie raketnice. Straty komunistycznych wojsk, według późniejszych zapisów w ich

sprawozdaniach, liczono na jednego zabitego żołnierza i pięciu rannych. Dla odmiany partyzanci szacowali straty swych nieprzyjaciół na czterdziestu siedmiu zabitych żołnierzy, co wydaje się jednak liczbą zawyżoną. Wielu z zatrzymanych po bitwie przez bezpieczeństwo partyzantów niespełna półtora miesiąca później zostało skazanych na karę śmierci przez komunistyczny sąd w Białymstoku.

Oddziały dwóch antykomunistycznych brygad, choć przegrały bitwę, nie zostały całkowicie rozbite. Ale do końca swojej działalności nie odzyskały już liczebności i sprawności działania z początku roku. Rozproszone grupki odskoczyły z niebezpiecznego miejsca, a potem znalazły schronienie i moment wytchnienia w zaprzyjaźnionych wsiach nad Bugiem.



Od lewej: Lucjan Minkiewicz „Wiktor” ze swoją żoną Wandą „Danką” i synkiem Andrzejem

(Instytut Pamięci Narodowej)

W tym czasie odbudowywano stany oddziałów i reorganizowano pododdziały, a ppor. „Wiktor” wyjechał na miesiąc na teren powiatu bielskiego. Działalność 6 Brygady skupiała się wtedy na wzmożonej akcji propagandowej uruchomionej przed referendum. W czerwcu nawiązano bliższą współpracę z WiN-owskim oddziałem kpt. Henryka Hebdy „Korwina”, wyrazem czego była wspólna akcja na miasteczko Łosice. W pierwszych dniach lipca wkroczone do Łosic, by zająć posterunek MO i

zarekwirować towary ze spółdzielni. Niestety o akcji dowiedziały się oddziały komunistyczne i przeciw partyzantom ruszyły wydzielone grupy z 13 i 14 DP oraz NKWD. Po krótkiej, lecz gwałtownej walce partyzanci wycofali się z miasteczka bez żadnych strat. Liczbę zabitych wrogów oceniano na trzydzieści osób, w tym czterech oficerów (trzech z „ludowego”

WP i jeden Rosjanin). Niemożliwe jest skonfrontowanie tych danych z dokumentami w komunistycznych archiwach, ponieważ nie pozostał żaden zapis dotyczący tych zdarzeń.

Ze względu na pogarszający się stale stan zdrowia ppor. „Wiktor” wraz z żoną Wandą Minkiewicz „Danką” ukrył się na melinie u gospodarza w Lachówce. Lucjan Minkiewicz nie wierzył już w sens dalszej walki i chciał zaopiekować się żoną, która była blisko rozwiązania. Partyzantka w roku 1946 to dla niego głównie oczekiwanie na rozkaz „Łupaszki” o demobilizacji. Spodziewając się nieuchronnego rozpuszczenia ludzi do cywila, „Wiktor” polecił nawet, by wszystkim partyzantom zrobiono zdjęcia w cywilnych ubraniach, które miały posłużyć do wyrobienia dokumentów na fałszywe nazwiska.

Gdy mjr Zygmunt Szendzielarz postanowił nadal walczyć, ppor.

Minkiewicz poprosił swego przełożonego o zwolnienie z obowiązków dowódcy 6 Wileńskiej Brygady AK i demobilizację. Major nie mógł zwolnić go z oddziału, gdyż jak mówił, żadnych zwolnień z wojska nie ma, dopóki wojna o Polskę trwa. Ale „Wiktor” dostał bezterminowy urlop i oficjalnie w połowie października 1946 roku przekazał swój oddział ppor. „Młotowi”, a sam udał się do żony, która właśnie urodziła.

„Wiktor” od dawna był negatywnie ustosunkowany do, wydawało się, beznadziejnej walki, ale kiedy dodatkowo zobaczył swego malutkiego synka, zrozumiał, że to naprawdę dla niego koniec wojaczki.

Choć miał przy sobie broń krótką, wiedział, że czas walki przeminął, a te pistolety należałoby raczej zakopać gdzieś w tajemnicy, niż targać ze sobą. Z drugiej strony ciągle bał się bezpieczniackich „ogonów” i dlatego nie ukrył broni, tylko miał ją cały czas przy sobie. Równocześnie całym sercem pragnął trwać przy swoich najbliższych, utulać w płaczu małego Andrzeja Minkiewicza i być na każde zawołanie Wandy.

Początkowo całą rodziną pomieszkowali u zaprzyjaźnionego gospodarza w Drohiczynie. Potem wyjechali do Krakowa i zatrzymali się u rodzonej siostry Lucjana - Janiny. Następnie, chcąc znaleźć się jeszcze dalej od Białostocczyzny, trafili aż do Zakopanego.

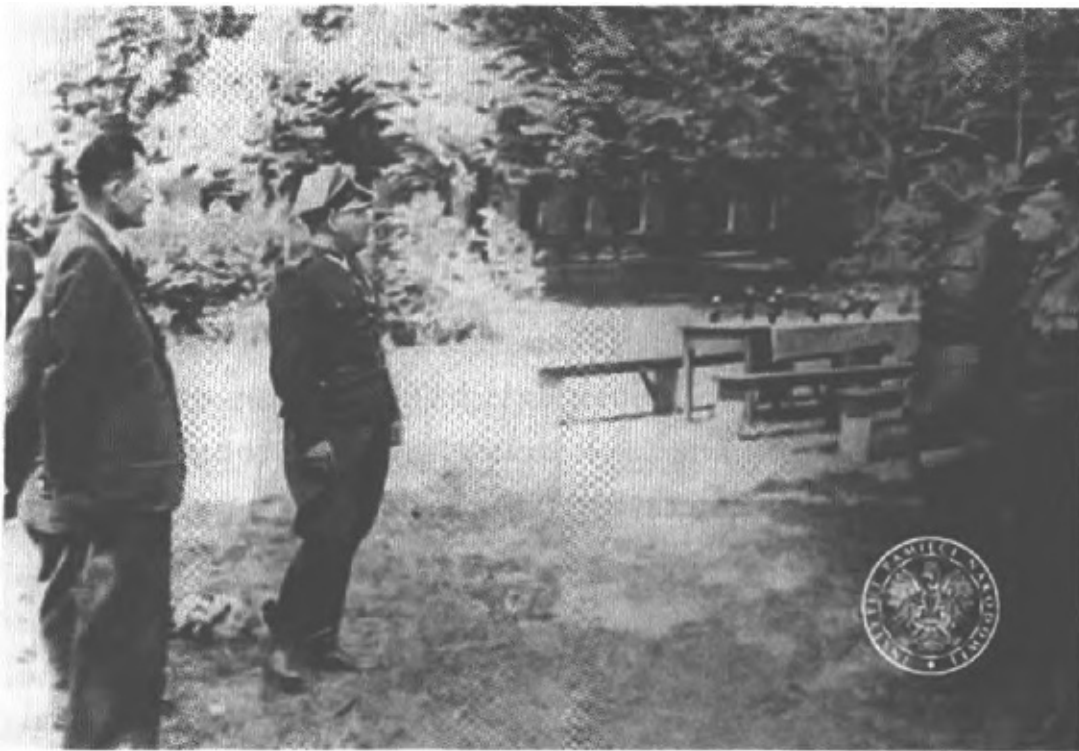


Lucjan, choć przecież bezterminowo urlopowany z oddziału, cały czas utrzymywał umiarkowane kontakty z łącznikami od „Łupaszki” i „Młota” oraz ze znajomymi z partyzantki. Spotykał się na przykład z „Nowiną” i „Grotem”. Kiedy dowiedział się o rządowej amnestii, a jednocześnie o planowanej koncentracji partyzanckich brygad w

rejonie wsi Czaje-Wólka, zapragnął pojechać tam, by przekonać dowództwo do odstąpienia od działań zbrojnych i do demobilizacji żołnierzy. Ruszył na koncentrację i spotkał się z dawnymi towarzyszami bojów. Byli tam: „Łupaszko”, „Młot”, „Grot”, „Bartosz”, „Lufa” i „Brzask”.

— Otrzymałem rozkaz z komendy, aby pozostać z oddziałem w lesie — powiedział na wstępie „Łupaszko”. — Chodzą słuchy, że każdego partyzanckiego dowódcę po ujawnieniu się UB będzie aresztowało i postawi pod sąd.

— Ale panie komendancie, myślę, że należy skorzystać z rządowej amnestii i ujawnić, jeśli nie całość oddziału, to przynajmniej jego część. Tych, którzy dobrowolnie zgłoszą chęć odejścia — przekonywał „Wiktor” podczas narady. - Liczenie na kolejną wojnę światową i przetrwanie naszych brygad w lesie do tego czasu to nonsens.



Minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz (pierwszy z lewej) podczas zakończenia kursu funkcjonariuszy UB w Poznaniu. Zdjęcie z albumu „Z historii walk funkcjonariuszy UB, MO i KBW z wrogim podziemiem”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Nieskorzystanie z amnestii pozbawi żołnierzy wileńskich możliwości zalegalizowania się, a co za tym idzie, nie będą mieli szans na cywilne, spokojne życie w nowej Polsce.

— A mnie jeden z ubeków mówił — wtrącił się „Młot” — że ani ja, ani żaden z moich ludzi nie mamy co liczyć na żadne amnestie. Już dawno wydano na nas wyrok i nic tego nie zmieni...

— Żaden z dowódców nie może się ujawnić, bo takie mamy rozkazy - podsumował major. - Ale żołnierzom damy wolną rękę. Jeśli któryś będzie chciał odejść z oddziału,

nie będziemy robić trudności.

Otrzyma cywilne ubrania i odprawę pieniężną.

Na tej koncentracji wyszła jeszcze sprawa listu, jaki otrzymał „Łupaszko” z samej „góry” - z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Kiedy Minkiewicz przeczytał wiadomość, będącą próbą za żegnania dalszej walki, gorąco namawiał majora, by ten dał jakąś odpowiedź i przekazał swoje warunki, na jakich można będzie prowadzić rozmowy ze stroną rządową.

— A co ja mam odpisać ministrowi Radkiewiczowi? — śmiał się „Łupaszko” - Że możemy się spotkać, tylko pod jednym warunkiem: kiedy on zawiśnie na sośnie, to ja pod nią przyjdę?

Jednak namawiany przez „Wiktora” w końcu skapitulował i zgodził się, by to Minkiewicz wystosował odpowiedź, podpisując ją: „Z upoważnienia mjr. Zygmunta Szendzielarza «Łupaszki»”. Ale warunki podane w tym piśmie były nie do przyjęcia przez przedstawicieli strony rządowej. W liście zgodzono się ujawnić oddziały, lecz pod warunkiem zwolnienia wszystkich więzionych żołnierzy brygad wileńskich, zagwarantowania bezpieczeństwa wszystkim ujawniającym się żołnierzom, uznania ich stopni, zabezpieczenia rodzin po poległych partyzantach brygad na równi z poległymi żołnierzami WP i zagwarantowania dostatecznych warunków pracy dla ujawnionych.

Pomimo tych obostrzeń pismo do MBP zostało wysłane i nawet po długim czasie przyszła na nie odpowiedź, w której przedstawiciele strony rządowej proponowali spotkanie. Niestety, zanim list ten odnalazł „Łupaszkę” w terenie, termin amnestii minął i sprawa upadła.



Po koncentracji i konspiracyjnych spotkaniach Lucjan wrócił do Zakopanego, do rodziny. Z początkiem roku 1948 Minkiewiczowie przeprowadzili się do Wrocławia. I chociaż „Wiktor” próbował normalnie żyć i dorywczo pracować, cały czas kontaktował się z „Łupaszką”, „Pohoreckim”, „Grotem” i „Odyńcem”. A w skrytkach w mieszkaniu przechowywał pistolety i amunicję. Tak na wszelki wypadek.

Urlopowany partyzant nie przypuszczał nawet, że komunistyczne służby bezpieczeństwa uruchomiły na ogromną skalę akcję o kryptonimie „X”, wymierzoną w partyzantów wileńskich. Powoli, jak po nitce, zbliżali się nieuchronnie i do niego. Pod koniec czerwca 1946 roku nastąpiła seria aresztowań. W dniu 26 czerwca we Wrocławiu zatrzymano dowódcę Okręgu Wileńskiego Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego”, a 30 czerwca w ręce bezpieki wpadł Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko” i jego narzeczona Lidia Lwów „Lala”.

Ostatniego dnia czerwca bezpieka zastawiła we wrocławskim mieszkaniu pułapkę na „Wiktora”. W ręce UB wpadła jego żona Wanda, ale Lucjanowi udało się umknąć. Komuniści, widząc, że spartaczyli robotę, wypuścili na wolność Wandę z synkiem. Ale tropem uwolnionych ruszyli szpiedzy. Cała rodzina Minkiewiczów spotkała się w Krakowie u siostry Lucjana, lecz szczęście trwało krótko. Rankiem 1 lipca właśnie w

tym miejscu bezpieka aresztował Lucjana Minkiewicza i jego żonę. Rozpoczął się okres żmudnego śledztwa i wielogodzinnych przesłuchań.

— Dnia 28 kwietnia, kwaterując we wsi Brzozowo, zostaliśmy zaalarmowani wiadomością o nadciągającej obławie - opisywał w październiku 1948 roku w mokotowskim więzieniu zdarzenia z końca kwietnia 1946 roku „Wiktor”. - Pluton „Rekina” wycofał się do pobliskiego lasu, ja zaś z oddziałem pozostałem we wsi. Oddział „Rekina” zaatakował w lesie trzy auta z wojskiem, milicją i funkcjonariuszami UBP. Po zatrzymaniu aut część wojska została przez oddział „Rekina” rozbrojona, część wycofała się. W akcji tej został ranny „Rekin” oraz jeden z jego żołnierzy. W chwilę po zakończeniu akcji przyjechał do wsi Brzozowo „Bury” ze zwiadem konnym.

Na jego rozkaz wszyscy zatrzymani zostali zrewidowani, a funkcjonariuszy UBP oddzielono od reszty. Po naszym odmarszu ze wsi zostali oni na rozkaz „Burego” rozstrzelani.



Pistolety znalezione u „Wiktora”

(Instytut Pamięci Narodowej)

W dniu 30 kwietnia zostaliśmy zaatakowani w lasach koło wsi Czochanie-Góra przez znaczne siły wojska. Po krótkiej walce zostaliśmy otoczeni i tylko części oddziału udało się wycofać.

Dopiero jesienią 1950 roku odbył się przed warszawskim sądem pokazowy proces żołnierzy brygad wileńskich. Oprócz Lucjana Minkiewicza sądzono „Pohoreckiego”, „Łupaszkę”, „Trzmiela” oraz dwie kobiety: „Dankę” i „Lalę”. Posiedzenie sądu transmitowano przez radio, co było ewenementem w tamtych czasach. Obawiając się

reakcji podziemia i próby odbicia tak ważnych więźniów, budynek szczelnie opasano kordonem wojska KBW, na dachach umieszczając stanowiska erkaemów.

„Jako zastępca herszta szwadronu — brzmiał akt oskarżenia w stosunku do Minkiewicza - a potem jako szef tego oddziału bandy, przez swoją przynależność do zbrojnej organizacji wywrotowej usiłował przemocą obalić zwierzchnie władze państwa polskiego i zmienić jego demokratyczny ustrój”.



— Skąd wy i wasza banda zdobywaliście broń? U kogo melinowaliście zdobyte uzbrojenie? Kto to był „Orszak”, „Odyniec”, „Grot”, „Młot” i „Bury”? — Pytania sypały się jak z rękawa. Lucjan był zaskoczony ich liczbą i dociekliwością. Wątki z partyzanckiej walki specjalnie mieszano z jego prywatnym życiem. Pośród pytań o matkę, żonę i dziecko padały inne - o kontakty z „Łupaszka” i „Pohoreckim”, o pieniądze organizacji, listy, pieczętki i fałszywe dokumenty.

— Jaką broń miał oskarżony ostatnio u siebie?

— Pistolet vis bez magazynku.

— Gdzie on był przechowywany?

— W łazience.

— I jaki jeszcze?

— FN kaliber 7.

— A ten gdzie skrywaliście?

— Również w łazience, wszystkie razem w tym samym miejscu...

— Ile było tych pistoletów?

— Trzeci był mauser kaliber 6.

— Te trzy pistolety oskarżony przechowywał do chwili aresztowania?

— Tak .

Pytania stawały się coraz bardziej szczegółowe i precyzyjne, ale nawet te były jedynie preludium do ostatecznego ciosu. Bo cóż z tego, że „Wiktor” od dłuższego czasu nosił się z zamiarem zakończenia walki i demobilizacji ludzi, skoro do końca utrzymywał kontakty z dowódcami. Zresztą, co to za pacyfista, który w łazience przechowuje trzy gotowe do użycia pistolety...

— Kto to był podporucznik Trofimczuk?

— To jeden z żołnierzy zabitych przez oddział „Młota” w lutym 1946 roku.

— W jakich to było okolicznościach?

— „Młot” urządził zasadzkę i trzech żołnierze w nią wpadli. Dwóch zostało zabitych, a jeden ranny. Wtedy oddział zdobył radiostację.

Ale mnie przy tym nie było, wiem o tym z listów od „Młota” przekazanych przez „Odyńca”.

— No dobrze, nie było was tam. A ja mam przed sobą zeszyt znaleziony u was, na którym jest napisane: „Trofimczuk Piotr podporucznik, dowódca 1-ego plutonu 2-ej kompanii”. Poznacie?

— Nie, nie widziałem tych papierów.

— Ale tu jest wasz podpis: „Znaleziono przy mnie dnia 1 lipca 1948 r. — Minkiewicz”. To wasz podpis?

— Po aresztowaniu podpisywałem w wszystko... — próbował się tłumaczyć Lucjan, ale prokurator przerwał mu gwałtownie:

— Czyli znaleziono to u was, tak?

— T a k ...

— Ale dokumenty należały do ppor. Trofimczuka, tego zabitego.

Podobnie jak znalezione u was inne papiery: dziennik pracy dowódcy plutonu 3 Brygady KBW, tymczasowe zaświadczenie nr 25741 ppor.

Trofimczuka odznaczonego rozkazem dowódcy KBW za bohaterskie czyny. To co, nie walczyliście, ale dziwnym przypadkiem dokumenty zabitych przez bandy znalazły się u was? A czy to poznajecie?

To kalendarzyk na rok 1947. Jest na nim napisane, że należy do dowódcy szwadronu w Brygadzie Wileńskiej. To też wasze?

— Nie poznaję...



Lucjan Minkiewicz „Wiktor” po aresztowaniu

(Instytut Pamięci Narodowej)

— A podobno w 1947 już nie walczyliście. Wcześniej odeszliście z oddziału i próbowaliście namówić do ujawnienia się swych przełożonych. Pośród dowodów rzeczowych jest również album ze zdjęciami - przesłuchujący drążył dalej. — Co to za zdjęcia?

— To moje zdjęcia z oddziału z lat 1945, 1946.

— Z jakiego oddziału?

- Początkowo z pierwszego szwadronu 5 Brygady, a później z 6 Brygady.
- A więc to są zdjęcia uzbrojonych band?
- To nie są żadne...
- Może oskarżony się tu zbliży. Kto jest na tym zdjęciu?
- Ja
- A na następnym, z bronią w ręku?
- Też ja.
- I oskarżony dalej twierdzi, że nie chciał walczyć?



Przed sądem przypomniano kolejne walki oddziału „Wiktora” z „ludowym” wojskiem, Korpusem Bezpieczeństwa, z ubecją, milicją i Armią Czerwoną. Wyliczano dokładnie straty „czerwonych” jednostek, a każdy zabity komunista szedł na rachunek Minkiewicza. Wspomniano zasadzkę na szosie niedaleko Działdowa, walkę pod wsią Węże, bitwę w Miodusach, potyczkę we wsi Zawadki. Potem jeszcze sąd podkreślił, że podczas swej działalności Lucjan Minkiewicz podżegał członków bandy zbrojnej do mordowania funkcjonariuszy UBP i działaczy partii demokratycznych. Że dokonywał zaboru mienia z kas państwowych i spółdzielczych. Że w czasie ukrywania się posiadał gotowe do użycia pistolety.

Potem odczytano wyroki. Mężczyźni dostali karę śmierci, a kobiety⁷ karę więzienia. Narzeczona „Łupaszki” — dożywotniego, a Wanda, żona Lucjana, została skazana na dwanaście lat. Major „Łupaszko” dostał osiemnastokrotną karę śmierci, a „Wiktor” za swoją antyniemiecką konspirację w czasie wojny i działalność antykomunistyczną dla rządowego wymiaru sprawiedliwości miał umrzeć tylko osiem razy...

W dniu 8 lutego 1951 roku ppor. Lucjan Minkiewicz „Wiktor” stanął przed plutonem egzekucyjnym. Punktualnie o godzinie dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć rozbrzmiała salwa. Do dzisiaj w dokumentach ubeckich przechowywanych w archiwum IPN można znaleźć kuriozalną informację o tym, że Lucjan Minkiewicz zmarł 8 listopada 1951 roku w szpitalu więziennym.

„Młot” pozostał w lesie, a swoją grupę połączył z WiN-owskim oddziałem Kazimierza Kamińskiego „Huzara”. Ale po kolejnych obławach w oddziale zostało zaledwie dwudziestu pięciu ludzi, zmęczonych walką i skrajnie wyczerpanych psychicznie przez nieustanne ucieczki i ciągle ukrywanie się. Na zimę przełomu lat 1948 i 1949 oddział podzielono na jeszcze mniejsze, kilkusobowe patrole, którym łatwiej było przeczekać mrozy. Latem planowano koncentrację, ale zanim do niej doszło, w czerwcu 1949 roku miał miejsce nieszczęśliwy wypadek, w czasie którego zginął Władysław Łukasiuk „Młot”, zastrzelony przez swego podkomendnego podczas kłótni. Resztę grupy skupił wokół siebie „Huzar”, który dotrwał z nią do jesieni 1952 roku, kiedy na skutek ubeckiej prowokacji został podstępnie zwabiony do Warszawy i aresztowany. Sąd w Białymstoku skazał Kamińskiego na karę śmierci, a wyrok

wykonano rok po zatrzymaniu.

Zaskoczenie

Zwolen, 15 czerwca 1946 roku

Chicago, 1994

Szanowny Panie!

W odpowiedzi na Pański list odpisuję chętnie, acz z trudnościami.

Wydobynam z annałów pamięci fakty i kreślę te kilka zdań niepewną już ręką siedemdziesięciolatka. Po tylu latach zatarły się wspomnienia, poginęły spisane relacje, poumierali koledzy biorący udział w tych walkach. Inni — żyjący — rozbiegli się nawet nie tyle po Polsce, co po całym świecie. Czego przykładem jestem ja - Polak w Ameryce.

Interesuje Pana walka pod Zwoleniem 15 czerwca 1946 roku. Nie mogę pozostać obojętny wobec takiej prośby. Spróbuję przypomnieć sobie to wszystko i opisać pokrótce poniżej. A było to tak. Ja byłem dowódcą jednej z partyzanckich grup, których koncentrację przed planowaną akcją na ubeckie więzienie w Kozienicach nakazał komendant „Zagończyk”. Na początku wydzielony oddział zatrzymywał samochody potrzebne do przeprowadzenia akcji. Kiedy zdobył już potrzebną liczbę pojazdów, na tych zarekwirowanych ciężarówkach pojechaliśmy do Zwolenia. W mieście nasze zgrupowanie rozdzieliło się. Część grupy została na miejscu, zajęła posterunek milicji i przecięła kable telefoniczne. Druga grupa, przy której znajdowałem się ja, pojechała dalej.

Dlaczego zgrupowanie się rozdzieliło? Dziś nie potrafię na to odpowiedzieć. Czy takie były pierwotne zamierzenia, aby jedna grupa udaremniła przepływ informacji o przejeżdżających przez Zwolen partyzantach? Czy może „Zagończyk” na bieżąco dostosowywał rozkazy do sytuacji? Mając informację, że pod Zwoleniem jest dużo Sowietów, wysłał nas na taki rekonesans.



Franciszek Jaskulski „Zagończyk”

(zbiory Krystiana Pielachy)

Dość powiedzieć, że ze Zwolenia ruszyliśmy w kierunku Kozienic. Ze mną jechały w sumie cztery samochody, w szyku ubezpieczonym, w odstępach 150 metrów jeden od drugiego. Tylko pierwszy jechał trochę dalej na przodzie, w odległości około 250 metrów od następnego. Ja byłem w drugim samochodzie. Gdy pierwszy samochód zjeżdżał w dość nisko położoną dolinę, ja jeszcze z moim samochodem byłem u góry. I wtedy padły pierwsze strzały. To było gdzieś zaraz za miastem, na wysokości Strykowic Błotnych, gdzie pierwszy wóz wpadł w zasadzkę przygotowaną przez

wojska sowieckie. Myśmy natychmiast zeskoczyli z samochodów i zajęliśmy stanowiska po obu stronach szosy, w rowach. Rozpoczęła się zacięta walka, a wzajemna strzelanina trwała według mojej oceny do trzech godzin.

Później nasze oddziały zaczęły się wycofywać. Ja pozostałem z czterema kolegami, by powstrzymać sowiecki atak i ułatwić innym wycofanie się. My mieliśmy kilku zabitych. To niedużo, jeśliby wziąć pod uwagę czas trwania boju, nawałę ognia i przewagę wroga. Ale z tego, co wiem, po stronie sowieckiej były duże straty. To tyle, co mogę napisać na temat bitwy pod Zwoleniem.

Ja nie jestem żadnym bohaterem. Proszę na przyszłość mnie tak nie nazywać. Ja stanąłem tylko do szeregu, kiedy Ojczyzna wezwała.

„Orlik”, „Zagończyk” to byli bohaterowie. No i jeszcze „Igła”.



Zwoleń , 2011

— Ale po co do tego wracać? Już tyle lat minęło.

— Już panu mówiłam. Mamy w szkole taki projekt o historii regionu, o stosunkach polsko-radzieckich w XX wieku. Niech pan opowie, co pan pamięta. Bardzo proszę.

— Ale ja byłem młodym chłopakiem. Ile ja miałem w 1945 roku?

Jedenaście, dwanaście lat? Byłem niewiele młodszy od ciebie. Co ja tam wiedziałem z wojny.

— Ale pewnie słyszał pan opowieści rodziców, sąsiadów o tym, jak przyszli Sowieci, jak się zachowywali, co złego robili Polakom. Proszę mówić, ja już włączyłam dyktafon.

— No dobrze, niech będzie. Pierwszy raz zobaczyłem Ruskich, jak w 1945 roku szli na Berlin. Całe dni szli. Biedni byli, pasy ze sznurka, karabiny na sznurkach, rozwalające się walonki na nogach.

Takie biedne wojsko, ale nieprzeliczone. Jedni poszli, przyszli drudzy i tak przez całe dni, całe tygodnie. Na zachód szli. Mój ojciec, który pamiętał pierwszą wojnę światową, mówił: „Za cara to takie grube brzuchy mieli, w kozuszkach, pasy skórzane, kuchnię polową przy sobie, kaszę parowali na obiad. Teraz, za Stalina, to się głód zrobił.

Stalin ich wykończył”. Zatrzymywali się przy cmentarzu, u Samsonowskich, czasami u Karczewskich. U nas w stodole też i za stodołą często nocowali. Razu jednego cały ich szereg gdzieś na miedzy spał.

Pierwszy położył sobie pod głowę plecak, a na jego nogach, na walonkach kładł głowę drugi. Na butach drugiego głowa następnego i tak dalej. Cała kompania, kilkadziesiąt osób. Ale krótko drzemali, może z godzinę. Przyjechał łącznik na motocyklu z rozkazem: „*Wpieńod*: I budzili się, jeden drugiego kopał nogami po głowie i wstawali. I dalej maszerowali na zachód. „Daleko do Berlina?” - pytali

Polaków. A potem, kiedy już wracali z Niemiec, to było trochę inaczej.

Łupy mieli, zegarki, bydło pędzili, ale i tak o wódkę wołali. No i ten miód. Mój ojciec miał ule. Oni, jak zobaczyli te ule, to przychodzili po miód. We dwóch, trzech, codziennie. I wołali: „Daj no miodu”.

Moja siostra była już dorosła panna i jak Sowieci przychodzili, to ona zawsze chowała się na strychu. Kiedyś w nocy przyszli i ojciec nie chciał ich wpuścić, to okno wybili i weszli. Chcieli ojca zastrzelić. Wołali: „My cię *ubjom*, bo nie chciałeś nam otworzyć. A my was oswobodzili!”. Tacy to oni byli. Ale matka się zakrzętała, zaraz miód i wódkę dała, i to ich udobruchało.

— A pamięta pan tę walkę pod Zwoleniem już po wojnie? To było dokładnie 15 czerwca 1946 roku.

— Jakże miałbym jej nie pamiętać. Całe obejście się u nas spaliło.

Dom mieszkalny. Nie było się potem gdzie podziać. Była sobota, może druga po południu, może trzecia. Brat był na targu w Pionkach i dlatego dwa konie ocalały i wóz. Partyzanci nadjechali samochodami od Zwolenia. Dojechali do mostku i jak zobaczyli, że sowieccy żołnierze stoją w kolejce do kuchni po obiad, tak dali ognia do nich.

Prosto z samochodu strzelali, a potem zeskoczyli do rowu. Jak partyzanci dali ognia, to Rosjanie odpowiedzieli strzałami, a było ich z kilkuset. Partyzantów zaś niedużo. Słychać było, że strzelanina karabinowa, o działkach nie było mowy. Ten bój nie trwał długo. Jak Rusczy zaatakowali, partyzanci uciekli. Jak którego trafiła kula, to został. Nie było słychać, że który Sowiec zginął. A o partyzantach mówili, że tu leżał zabity, tam leżał. Trzech czy czterech leżało przy szosie. Ten dowódca to musiał mieć bzika, żeby porywać się na taką armię.



Radom , luty 1992

Starszy człowiek pochylił się nad czystą kartką leżącą na stole i wziął do ręki długopis. Minęły trzy lata od upadku komunizmu i dopiero teraz mężczyzna, wyglądający na około siedemdziesiąt lat, zdecydował się spisać to, czego jeszcze czas nie zatarł w jego pamięci.

Postanowił to zrobić szybko, krótko, zwięźle i na temat. Po żołniersku. Pisał: „W dniu 5 maja 1945 r. Władysław Molenda «Grab» zmobilizował swoich ludzi, wśród nich również «Orła» Tadeusza Bednarskiego. Oddział w sile około 80 ludzi zaatakował Urząd Bezpieczeństwa i posterunek MO w Kozienicach, rozbił więzienie i wypuścił na wolność ludzi z AK. Jeszcze wcześniej «Orzeł» wraz z innymi na nowo zorganizował broń i sprzęt wojskowy. Po aresztowaniu jednego z kolegów («Gałązka») zebrał kilku partyzantów, rozbroił posterunek MO w Garbatce i uwolnił niewinnie aresztowanego. W ten sposób powstał powołany do samoobrony oddział partyzancki

WiN «Orła». W miarę nasilania się terroru i prześladowań oddział stał się ostoją dla ściganych. 11 listopada 1945 r. nastąpiło w Garbatce spotkanie oddziałów «Orła» i «Orlika». Od tej pory oddział «Orła» został podporządkowany «Zagończykowi», tj. WiN-owi, a «Orzeł» wykonywał rozkazy «Orlika». Oddział działał na terenie powiatu Kozienice i przyległych, aż do ujawnienia się w dniu 21 września 1946 r.”.

Mężczyzna odsapnął, otarł pot z czoła. A potem powoli, ostrożnie wstał i podszedł do radia, by ściszyć głos zbyt natrętnego i hałaśliwego spikera.



Grupa partyzantów z oddziału Konstantego Koniusza „Zapory”. W środku „Zapora”, drugi z lewej Czesław Łapecki

(Instytut Pamięci Narodowej)

Po chwili, równie wolno, powrócił do stołu.

Ale przez kilka minut nie mógł zebrać myśli rozproszonych przez głos z radia. O czym mógłby jeszcze wspomnieć? Ach tak, lista żołnierzy z oddziału, których jeszcze pamięta. A więc:

1. Bednarski Tadeusz «Orzeł» — komendant oddziału;
2. Mazanek Stanisław «Syncio» — wywiad, łączność, magazyn broni;
3. Fundowicz Kazimierz «Szczepko» - komendant Obwodu Kozienice i Zwoleń;
4. Fundowicz Czesław «Długi» — szef, zastępca komendanta.

Przy czwartym nazwisku mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie, ale nie przerwał swej pracy. W dalszym ciągu wypisywał imiona, nazwiska i pseudonimy. A potem same pseudonimy. Kiedy nakreślił kilkanaście danych personalnych ludzi ze swego oddziału, zrobił chwilę przerwy. A potem, ciut niżej, zaczął od nowego akapitu: „Polegli w walce w obronie Boga i Ojczyzny partyzanci WiN Zgrupowania «Zagończyka» z oddziału «Orła»:

1. Adamiec Edmund «Bajan», ranny w starciu z UB w czerwcu 1946 r., przetrzymywany bez opieki lekarskiej przez dwa miesiące w celach UB w Kozienicach, następnie osadzony na dożywocie, zmarł w więzieniu w Rawiczu;
2. Biernatek Kazimierz «Wisła», poległ pod wsią Stoki 13 lipca 1946 r., ranny,

został zakłuty bagnietami;

3. Drożdż Benedykt «Dzik», poległ pod Brzustowem 14 kwietnia 1946 r., nieżyjący wrzucony do chałupy i podpalony przez KBW i UB;

4. Gryz Władysław «Świstak», poległ 27 lipca 1946 r. w Garbatce w strzelaninie podczas próby pojmania «Orła»;

5. Krawczyk Tadeusz «Witold», poległ w walce z wojskami sowieckimi pod Zwoleniem w dniu 15 czerwca 1946 r., w czasie walki nie usłuchał wezwania dowódcy do zejścia z samochodu, całkowicie odkryty brawurowo postawił rkm na szoferce i strzelał seriami;

6. Nowakowski Tadeusz «Zajac», zginął w walce z wojskami sowieckimi pod Zwoleniem;

7. Prygiel Jan «Gołąb», poległ pod Zwoleniem 15 czerwca 1946 r.;

8. Rokita Sylwester «Czarny», prześladowany przez UB za działalność w PSL Mikołajczyka, dołączył do oddziału «Orła», poległ w walce z wojskiem sowieckim pod Zwoleniem 15 czerwca 1946 r.”.



Jedlanka , czerwiec 1946

Młody sierżant milicji zdjął przepoconą rogatywkę i położył ją na stole obok przygotowanej wcześniej kartki i ołówka.

— Dobrze. Mówcie obywatelko, co zdarzyło się u was we wsi 15 czerwca.

— To wtedy, co była ta walka?

— Tak, wtedy, kiedy bandyci spalili stodołę u waszych sąsiadów. Wy mówcie, a ja będę to notował.

— Na początku to strzelali. Mocno strzelali. Tam, od strony drogi.

Mocno, ale dosyć daleko od nas. Hałas był niemiłosierny, kule huczały, czasami gwizdały dość blisko. Ludzie pochowali się w domach, pozamykali drzwi, nie podchodzili do okien. Ale w sumie był spokój.

Źle zaczęło się, kiedy strzały ucichły.

— Jak to?

— Ano tak było, jak mówię panu milicjantowi.

— Obywatelowi milicjantowi...

— Tak, obywatelowi. Ale na czym to ja skończyłam? Aha. Ucichły strzały i wtedy do wsi przyszły Sowiety. Wpadli na nasze podwórko i szukali bandytów. Kilku ich było, tych Sowietów u nas w obejściu.

A muszę powiedzieć, że ani jednego leśnego nawet przez moment nie było w Jedlance. Dlatego ci przybysze nie znaleźli partyzantów, ale w zamian chcieli zabrać mojego szwagra, który mieszkał po sąsiedzku, i jego syna. Wrzeszczeli, że to bandyci, że oni strzelali i zabili ich kolegów. Na to ja i moja kilkunastoletnia córka swoimi

ciałami zasłoniłyśmy sąsiadów, krzycząc, że to gospodarze, chłopci, a nie żadni partyzanci.

— Bandyci! To byli bandyci, a nie partyzanci.

— Tak było. I dali spokój tym mężczyznom, ale upatrzyli sobie moją córeczkę. Chcieli ją zabrać na siłę, wyprowadzić z podwórza i chyba... zgwałcić. Bo ładna jest dziewczynka, niebieskooka. Szesnaście lat skończy na jesieni. Szarpaliśmy się z nimi długo, z tymi bolszewikami, do utraty tchu prawie. Ale nie pozwoliliśmy porwać dziewczyny. Krzyczeli, bili, strzelali nawet w powietrze, ale nic nie wskórali. W końcu zostawili nas w spokoju. To znaczy dali spokój ludziom, ale w zemście spalili stodołę szwagra, nam z podwórza wyprowadzili konia, a mi zabrali jeszcze buty. Czerwonoarmiści spalili w naszej wsi cztery domy mieszkalne, a w sąsiedniej Karczówce również kilka.

Kobieta spojrzała na milicjanta, który od dłuższego czasu słuchał z otwartymi ustami, nic nie notując.

— Tak było. Dlaczego pan nie pisze?

— Ja nie mogę tego tak zapisać. Mój porucznik wyrzuci mnie, jak mu coś takiego przyniosę.

Kobieta zrobiła wielkie oczy, ale nic nie powiedziała.

— Chce pani, żeby szwagier dostał jakieś odszkodowanie za tę spaloną stodołę?

— Pewnikiem, że chcę.

— To zrobimy inaczej. Napiszemy, że na stodole wybuchł pożar, kiedy bandyci ostrzelali wieś kulami zapalającymi. Wtedy z gminy szwagier dostanie jakieś pieniądze. A może i pani, za tego konia, którego z łąki zabrali bandyci. Bandyci! — powtarzam, a nie żadni Sowieci. Zrozumiano?



Kielce, czerwiec 1946

„Po otrzymaniu w dniu 17 czerwca 1946 r. wiadomości od płk. Szpilewoja z WUBP w Kielcach o napadzie band na przejeżdżające zdemobilizowane oddziały Armii Czerwonej w okolicy Zwolenia pow. Kozienice, który to napad miał miejsce 15 czerwca 1946 r., wysłany zostałem tego samego dnia przez prokuratora Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Kielcach do Radomia, celem rozpoczęcia śledztwa.

Do pomocy otrzymałem funkcjonariusza UB z Kielc. Po przybyciu do Radomia wspólnie z tamtejszym prokuratorem, przy współudziale trzyosobowej komisji lekarskiej (dwóch lekarzy Polaków i jeden Sowiec), dokonałem oględzin zwłok 16 żołnierzy sowieckich, znajdujących się w kostnicy szpitala w Radomiu. Ponieważ komisja lekarska na skutek oględzin zewnętrznych zdołała ustalić przyczynę śmierci zabitych, od sekcji zwłok odstąpiono. Oględziny wykazały, że wszyscy zabici zginęli od kul i pocisków karabinowych, względnie broni automatycznej. Rozmieszczenie ran

na rozmaitych częściach ciała wykazuje, że zadano je w czasie boju”.

„W dniu 19 czerwca 1946 r. udałem się na miejsce wypadku do Zwolenia i stwierdziłem, co następuje: Zgrupowane bandy NSZ w sile nieokreślonej zatrzymały w miejscowości Podgóra (8 km od Zwolenia) kolumnę samochodów sowieckich w liczbie 30, z czego część rozbito.



Ciała Sowietów zabitych pod Zwoleniem

(Instytut Pamięci Narodowej)

Następnie banda załadowała się na 9 samochodów i udała do Zwolenia. W Zwoleniu po rozbiciu posterunku MO i zerwaniu łączności telefonicznej skierowała się na Kozienice. W miejscowości Jedlanka (w odległości 2 -3 km na północ od Zwolenia) napastnicy natknęli się na oddział wojska sowieckiego, który transportował konie do Związku Radzieckiego. Wywiązała się walka. Na pomoc wojskom sowieckim przyszło UB z Radomia i pogranicznicy. Bandy wycofały się w kierunku Puszczy Kozienickiej, zabierając ze sobą zabitych i rannych. W wyniku napadu ze strony Sowietów było 20 zabitych i 14 rannych, ze strony bandy - 34 zabitych oraz 16-20 rannych.

Spalono 28 domów, z osób cywilnych zginęły dwie. Miejscowemu posterunkowi MO w Zwoleniu poleciłem przeprowadzić dochodzenie w sprawie pożarów, ich

skutków oraz przyczyny. Według relacji komendanta MO z Kozienic akcja ratunkowa utrudniona była częstymi wybuchami i eksplozjami następującymi w palących się budynkach. Jak z przeprowadzonych ogólnych dochodzeń wynika, pożary wywołane zostały częściowo od granatów, względnie pocisków zapalających w czasie walki, częściowo od podpaleń przez Sowieców.

Bandyci, cofając się, ostrzeliwali się z poszczególnych domów, które następnie opuszczali, a Sowieci, doszedłszy do nich, podpalali je, jako niedawne gniazda oporu. W związku z powyższym zatrzymano około 200 osób, z czego zwolniono wszystkich za wyjątkiem 10, przeciwko dwóm zebrano dowody”.



Kielce , październik 1946

— Imię i nazwisko?

— Franciszek Jaskulski.

— Pseudonim?

— „Zagończyk”, „Zagon”.

— Stopień?

— Plutonowy podchorąży przed wojną.

— A w organizacji WiN?

— W organizacji WiN byłem porucznikiem. Ten stopień dostałem jeszcze w AK.

— Jakie leśne grupy podlegały „Orlikowi” w czasie od wyzwolenia do jego śmierci?

— „Orlik” był wtedy dowódcą czterech oddziałów leśnych działających na terenie powiatów puławskiego i garwolińskiego, a mianowicie oddziałów: „Żuka”, „Dęba”, „Spokojnego” i „Zawiszy”.

— A w y jaką funkcję pełniliście u „Orlika”?

— Wówczas byłem zastępcą „Orlika”. Dopiero od grudnia 1945 roku zostałem przeniesiony przez komendanta na teren powiatów radomskiego i kozienickiego, abym tu rozpoczął działalność organizacyjną. Przybyłem na te tereny i objąłem dowództwo nad luźnymi oddziałami leśnymi „Dzidy”, „Orła”, „Sokoła”, „Oriona”, „Zapory”, „Kruka”, „Igły”, „Beliny” i „Zagóry”.

— Czy leśne grupy „Dołęgi”, „Zawoji” i „Szczerbola” również były pod waszymi rozkazami?

— Co do „Dołęgi” i „Zawoji”, były to luźne grupy i mi nie podlegały, a „Szczerbol” nie miał stałej grupy. Mógł jedynie dorywczo zorganizować na własną rękę niewielką liczbę placówek, ponieważ był komendantem rejonu w obwodzie radomskim.

— A wy jaką funkcję pełniliście ostatnio przed aresztowaniem?

— Na dwa tygodnie przed moim aresztowaniem zacząłem pełnić funkcję p.o. komendanta Okręgu Kieleckiego, który jako taki nie był jeszcze należycie zorganizowany i zatwierdzony przez centralę.

— No dobrze. Jakie napady i morderstwa dokonały wasze leśne grupy? Zaczynajcie od Zwolenia.

— Dnia 15 lipca 1946 roku została...

— Czerwca. To było 15 czerwca.

— 15 czerwca została dokonana przeze mnie koncentracja oddziałów leśnych pod Zwoleniem. Były to grupy „Orła”, „Sokoła”, „Igły”, „Jastrzębia”, „Beliny” i „Oriona”. Koncentrację tę zarządziłem w celu zorganizowania akcji na PUBP w Kozienicach, aby uwolnić stamtąd wszystkich aresztowanych.



Zdjęcie Franciszka Jaskulskiego „Zagończyka” z kieleckiego więzienia, 1946 r.

(Instytut Pamięci Narodowej)

Do Kozienic z oddziałami zamierzałem dojechać samochodami, wobec czego dałem rozkaz rekwirowania wszystkich samochodów jadących szosą Radom—Zwoleń. W trakcie tej operacji, na wysokości wsi Podgórze, grupa... - Podgórze. Ta wieś nazywała się Podgórze. Tak mam tu zanotowane.

— A więc na wysokości wsi Podgórze grupa „Oriona” usiłowała zatrzymać przejeżdżające samochody z żołnierzami Armii Czerwonej, w wyniku czego wywiązała się obustronna wymiana strzałów. Samochody te zostały zabrane przez grupę „Oriona”. Ze strony żołnierzy Armii Czerwonej padły ofiary śmiertelne. W jakiej liczbie, nie jest mi wiadome.

— W trakcie tej potyczki przy rekwirowaniu samochodów zostało ujętych żywych szesnastu żołnierzy Armii Czerwonej, których związano, a następnie zamordowano w lesie.

— O tych szesnastu zamordowanych wówczas żołnierzach Armii Czerwonej absolutnie nic nie wiem.

— Proszę podać dalszy ciąg akcji w tym dniu.

— Po zabraniu zatrzymanych samochodów pod Zwoleniem dwa wozy z moimi ludźmi pod dowództwem „Jastrzębia” i „Orła” zostały wysłane jako przednie

ubezpieczenie na szosie Zwoleń-Radom.

Na wysokości wsi Strykowice Błotne i Strykowice Górne wozy te natknęły się na zasadzkę wojsk Armii Czerwonej. W wyniku czego znowu wywiązała się walka. W walce tej padły ofiary tak z jednej, jak i z drugiej strony. Od nas zginęło sześciu ludzi. Po walce nasze oddziały zostały wycofane. Również z napadu na PUBP w Kozienicach zrezygnowałem.



Radom, wrzesień 1946

Starszy oficer śledczy Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (MUBP) w Radomiu Mielniczuk wystukał na maszynie notatkę, którą jego przełożony, szef MUBP w Radomiu mjr Brzoza, potwierdził swoim podpisem: „W dniu 15 czerwca 1946 r. banda pod dowództwem «Zagończyka», w której skład wchodziły oddziały «Orła», «Oriona», «Igły», «Jastrzębia» w sile około 100 ludzi, zatrzymała około 30 samochodów, część rozbiła. Potem bandyci wsiedli na 9 samochodów i udali się do Zwolenia, ale ich celem był napad na Kozienice, na MO i UB.

W Zwoleniu rozbili posterunek milicji, zerwali łączność telefoniczną i skierowali się do Kozienic. Na przedmieściu Zwolenia banda natknęła się na stacjonujący oddział Wojska Sowieckiego, który transportował konie. W związku z tym wywiązała się walka. Po skończonej walce zdobyto od bandy 13 erkaemów, 7 automatów, 8 pistoletów, 14 karabinów i samochody. Zostało zabitych 34 bandytów. Ze strony Wojska Sowieckiego zostało zabitych 16 żołnierzy, 19 zostało rannych — tych banda uprowadziła, a następnie pomordowano ich i zakopano w jednym grobie w lesie. W trakcie walki zostało zabitych dwoje dzieci”.



Radom, luty 1992

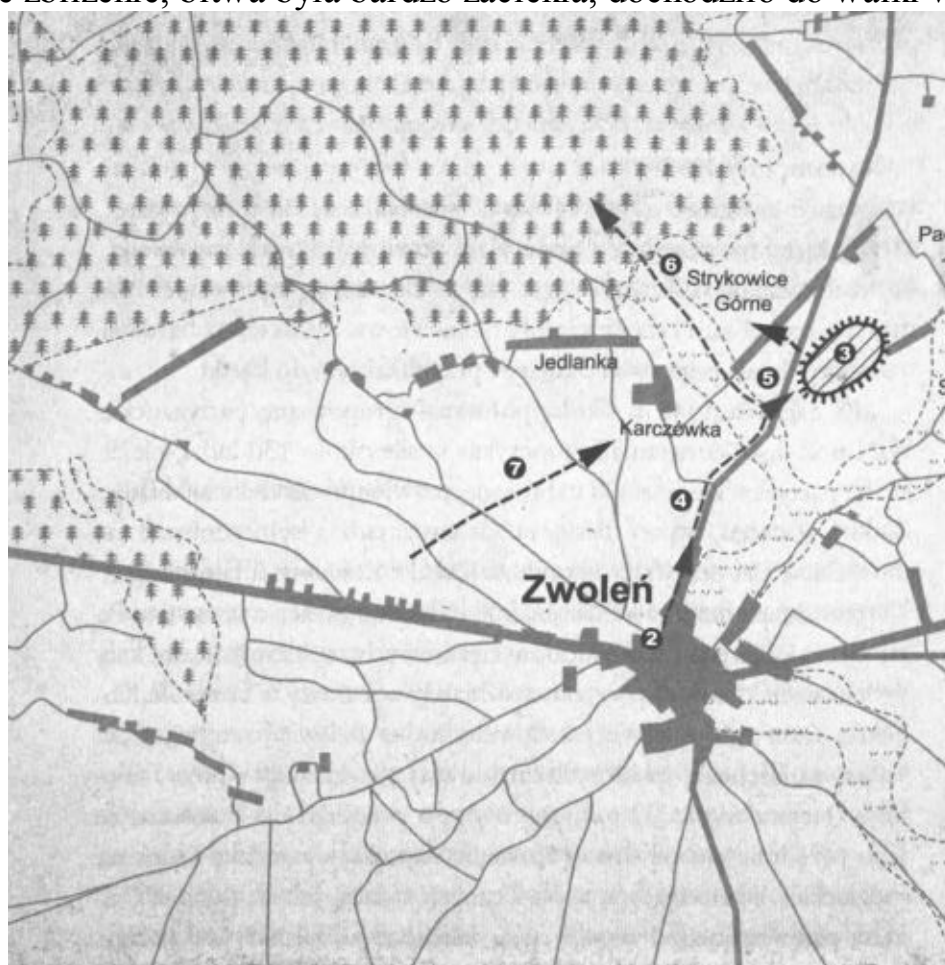
Szarość krótkiego zimowego dnia wdzierała się do pokoju mężczyzny, który nie przestawał pisać. Ktoś powinien zwrócić mu uwagę, że trzeba zapalić światło, że jest już za ciemno na notowanie. Ale mężczyzna był sam i ciągle kreślił kolejne słowa. Tylko coraz bardziej marszczył brwi, poprawiał okulary i przybliżał nos do kartki.

„15 czerwca 1946 r. około południa zgrupowanie partyzanckie WiN pod dowództwem «Zagończyka» w sile około 130 ludzi, nieźle jak na partyzanckie warunki uzbrojone, rozwinęło zasadzkę na drodze Radom—Zwoleń, we wsi Podgóra. Celem zasadzki było zdobycie samochodów dla przewiezienia oddziałów do Kozienic, a tam rozbicie Urzędu Bezpieczeństwa i uwolnienie ludzi organizacji z aresztów. Po zdobyciu kilkunastu samochodów ciężarowych, za kierownicami których zasiedli

kierowcy-partyzanci, oddziały wyruszyły w kierunku Kozienic. Całe zgrupowanie załadowało się na dziewięć samochodów.

Cztery samochody, na których znajdowały się oddziały «Orla» i «Beliny» (łącznie około 32 partyzantów), po przejechaniu Zwolenia, na jego przedmieściu od strony Kozienic napotkały zasadzkę żołnierzy radzieckich kwaterujących w okolicznych wsiach. Jak się później okazało, piąty samochód zepsuł się, a następne zatrzymały się za nim.

Pierwsze cztery samochody odjechały od pozostałych na odległość około 5 km, gdzie na otwartym polu musiały podjąć walkę. Oba oddziały rozwinęły tyralierę i przystąpiły do boju. Siły radzieckie były kilkakrotnie większe. Walka toczyła się na odkrytym terenie, na polu pokrytym tylko dojrzewającym zbożem i kartoflami. Nastąpiło duże zbliżenie, bitwa była bardzo zacięta, dochodziło do walki wręcz”.



Bitwa pod Zwoleniem 15 czerwca 1946 r.

- | | |
|---|--|
| 1 Zasadzka pod Podgórzem i rekwirowanie pojazdów. | 5 Miejsce niespodziewanej walki. |
| 2 Akcja w Zwoleniu na MO i pocztę. | 6 Wycofanie się polskich partyzantów. |
| 3 Postój grupy Armii Czerwonej. | 7 Sowiecka odsiecz i wzajemne ostrzeliwanie się ze swoimi. |
| 4 Trasa przejazdu grupy „Orla”. | |

„Na odgłos walki pozostające w dalszych pięciu samochodach oddziały partyzanckie rozwinęły tyralierę i pieszo ruszyły z odsieczą.

Odległość była jednak zbyt duża, aby udzielić pomocy walczącym. Po ponad

godzinnej walce obie strony straciły impet. Oddziały partyzanckie wycofały się w kierunku odległego o trzy kilometry lasu.

W boju poległo sześciu partyzantów. Straty nieprzyjaciela według źródeł urzędowych wyniosły 16 zabitych. W czasie walki zostały również spalone cztery samochody, na których jechaliśmy. Po bitwie Rosjanie podpalili kilka zabudowań chłopskich we wsi Strykowice Górne i Jedlanka. Wsie te położone były w odległości około 3 km od miejsca starcia i nie miały z partyzantami ani walką nic wspólnego”.



Warszawa, 1983

— A co obywatel podporucznik myślał? Że w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych PRL to będzie się tylko opierdalał?

— Nie, obywatelu kapitanie, ja tylko ...

— Żadne tylko. Macie tutaj zleconą poważną pracę. Charakterystyka bandy „Zagończyka” Franciszka Jaskulskiego, zgadza się? Ta sterta teczek zawiera stare, ale cenne dokumenty. Miał obywatel podporucznik przeczytać wszystkie te papiery i sporządzić z nich sprawozdanie na siedemdziesiąt stron. Takie było polecenie, prawda?

A wy tu, widzę, utknęliście z całą tą robotą...

— Tak, obywatelu kapitanie, ale to praca na miesiąc, a nie na kilka dni.

— Żadnego ale! Proszę mi to pokazać. Co wyście tu napisali?

„W dniu 14 czerwca 1946 r. w okolicy wsi Podgóra, były powiat Kozienice, odbyła się koncentracja band «Iglp», «Zagóry», «Dudy» i «Orła». Akcją dowodził «Zagończyk», a jej celem było uderzenie na Kozienice z zaskoczenia, dokonanie rozbrojenia Urzędu Bezpieczeństwa i Komendy Powiatowej MO, uwolnienie aresztowanych, rabunek broni. W czasie marszu pod Zwoleniem bandyci zatrzymali 9 samochodów ciężarowych, załadowali się na nie i wyruszyli w kierunku Kozienic. Po drodze, w Zwoleniu banda rozbroiła posterunek MO. W kierunku na Kozienice, kilka kilometrów za Zwoleniem, bandy natknęły się na oddział Armii Radzieckiej, wywiązała się walka, w wyniku której bandyci zabili 16 żołnierzy Armii Radzieckiej, a 14 zostało rannych. Do Kozienic banda nie zdołała dotrzeć, gdyż na pomoc przyszły terenowe grupy operacyjne i wojsko. Banda wycofała się, pozostawiając wielu zabitych”. No, całkiem zgrabnie to wyszło. Ale zbyt mało szczegółów, nie wiadomo na przykład, ilu było zabitych bandytów, ile broni zdobyliśmy. Niech podporucznik zerknie, tutaj jest tajne sprawozdanie z Kielc. W tym miejscu jest napisane, że walka trwała trzy godziny, ze strony bandytów zginęło dwudziestu trzech ludzi, a dziesięciu zostało wziętych do niewoli. Jest tam też mowa o jednej zabitej kobiecie z ich strony, ale to możecie pominąć. No dobrze. Ale zaraz, która to dopiero strona, dziewiąta?!

Co, nie podoba wam się praca za biurkiem? Może wolicie odśnieżać drogi,

wycinać lasy albo fedrować węgiel na przodku w kopalni?

— Nie, obywatelu kapitanie.

— To może ruszcie dupę i weźcie się od razu do roboty. I uporządkujcie ten bałagan na biurku! Syf, kiła i mogiła.

— Tak jest, obywatelu kapitanie...

— Słucham?

— Tak jest, obywatelu kapitanie! Sprzątam i biorę się natychmiast do pracy!

— No, teraz już lepiej. W wojsku się nie dyskutuje, tylko wykonuje rozkazy.

Zrozumiano?

— Tak jest!

— Pojutrze zajrzę do was sprawdzić postępy.



Tadeusz Życki „Belina”, jeden z dowódców partyzanckich grup podległych „Zagończykowi”

(Instytut Pamięci Narodowej)

Kielce, grudzień 1946

— Obywatelu Jaskulski, powiedzcie, jaki był wasz udział w napadzie na jednostkę Armii Czerwonej w Zwoleniu w dniu 15 czerwca 1946 roku?

— Na dzień 14 czerwca 1946 roku zarządziłem koncentrację grup „Oriona”, „Orła”, „Jastrzębia i „Igły”. „Leonidas” przyszedł też z małą grupą ludzi. Celem koncentracji było uderzenie na areszt w PUBP w Kozienicach, ponieważ byli tam przetrzymywani członkowie organizacji WiN. Dowódcom poszczególnych grup dałem rozkaz, by zarekwirowali samochody na szosie i jechali przez Zwoleń, gdzie miałem do nich dołączyć. Wykonali polecenie i podjechali do Zwolenia. Tam do nich dołączyłem. Czekaliśmy na powrót dwóch samochodów, ale „Leonidas”, nie wiedząc o tym, że dałem rozkaz zatrzymania się kolumny, nakazał całej kolumnie ruszać. Dwa samochody pojechały naprzód, zaś trzeci zdołaliśmy zatrzymać i po trzech, może czterech minutach zaczęła się strzelanina z kierunku, w którym odjechały samochody. Dałem przeto rozkaz, aby rozwinać się grupami w tyralierę i posuwać w kierunku lasu. W takim ugrupowaniu szły oddziały „Oriona”, „Igły”, „Jastrzębia” i część oddziału „Orła” i razem przedarliśmy się do Lasu Suskiego. Zaznaczam, że nim samochody dojechały do Zwolenia, miały potyczkę z żołnierzami Armii Czerwonej.

— Kto dowodził w tej potyczce?

— Dowódcą był „Furmański”, zaś w w alce...

— „Furmański”, czyli Feliks Mazurek?

— W organizacji używaliśmy pseudonimów i nie wiem, jak nazywał się „Furmański”. W walce na drodze do Kozienic dowódcami byli „Orzeł” i „Jastrząb”. Dowództwo nad całością sprawowałem ja, jednak w praktyce było ono nierealne, ponieważ zbyt wielu było żołnierzy Armii Czerwonej i wszystko nam się rozsypało.



Radom, lipiec 1946

Protokolant Marian Wreński wkręcił kartkę papieru do maszyny i znieruchomiał, czekając na dalsze polecenia. Po upływie pół minuty odezwał się nieśmiało:



Zwłoki Rosjan odnalezione w lesie nieopodal Podgóry

(Instytut Pamięci Narodowej)

— Gotowe, panie sędzio.

— Tak, tak, już mówię. Proszę pisać: „Protokół sądowo-lekarskich oględzin zwłok 19 mężczyzn. 4 lipca 1946 r., szpital garnizonowy w Radomiu. Sędzia Sądu Grodzkiego z Radomia w obecności protokolanta, przedstawiciela Prokuratury Rejonowej w Kielcach, dwóch przedstawicieli wojsk radzieckich.. .”.

— A nazwiska, panie sędzio?

— Nazwiska dopiszemy na dole kartki przy podpisach komisji. Dalej proszę: ...za pośrednictwem biegłych — lekarza państwowego z Radomia oraz lekarza wojskowego Armii Radzieckiej, dokonał oględzin zwłok 19 mężczyzn w ubraniach Armii Czerwonej”. W tym miejscu przerwa i od nowego wiersza: „Punkt pierwszy. Zwłoki nieznanego mężczyzny, z wyglądu lat około 35, głowa zniekształcona, cała powierzchnia twarzy pokryta grubą warstwą ziemi, usta rozwarte, otwory nosowe i jamy ustnej zapchane ziemią, nos spłaszczony, skóra na plecach i rękach odchodzi płatami na całej powierzchni. Skóra koloru szarzielonkawego. Obrażenia na ciele: w okolicy kości skroniowej rana owalna o średnicy około 6 cm, w dnio rany znaleziono pocisk, w czwartym międzyżebżu prawym rana o średnicy około 8 -9 mm, drążąca w głąb klatki piersiowej, w trzecim międzyżebżu lewym rana o średnicy około 8-9 mm, drążąca w głąb klatki piersiowej. Punkt drugi. Zwłoki mężczyzny nieznanego numer

dwa, lat około 35, głowa zniekształcona, lekko spłaszczona, cała powierzchnia twarzy pokryta grubą warstwą ziemi, usta otwarte, otwory nosowe i jamy ustnej zapchane ziemią, nos spłaszczony, skóra koloru szarozielonkawego, na stopach odchodzi całymi płacami, obrażeń na całym ciele nie stwierdzono, między zębami wystaje język”.

— Uff, gorąco dzisiaj. To jak, może zrobimy przerwę? Nie zemdlili pana te opisy zwłok?

— Jeszcze nie — odpowiedział słabym głosem blady na twarzy protokolant.

— Bo pan młody jeszcze jest i może nie przywykł do takich widoków. ..

— Co prawda, to nie. Ale wojnę przeżyłem, a wiadomo, różnie bywało.

— Tak, tak ... No dobrze, to popiszemy jeszcze trochę: „Punkt trzeci. Zwłoki nieznanego mężczyzny numer trzy, z wyglądu lat około 35, obrażenia na ciele: w górnym odcinku lewego ramienia rana cięta kluta długości około 5 cm, szerokości 2 cm, głębokości około 4 cm. W okolicy stawu kolanowego prawego rana długości około 6 cm, szerokości 3 cm, głębokości 6 cm. Pozostałe zmiany i wygląd jak u zwłok numer jeden i numer dwa. Punkt czwarty. Zwłoki nieznanego mężczyzny numer cztery, z wyglądu około 35 lat, obrażenia na ciele: brak powłok skórnych i mięśni na lewym udzie i podudziu, kości obnażone, zwisają resztki pozostałej skóry tej kończyny, pozostałe zmiany jak u wyżej wymienionych. Punkt piąty. Zwłoki mężczyzny, nazwisko Mikołaj Letnski, lat około 19, obrażenia na ciele: w okolicy potylicznej na wysokości pierwszego kręgu szyjnego rana owalna o średnicy 8—9 cm, drażona w głąb czaszki, w dniu rany kość strzaskana, pozostałe zmiany i wygląd zwłok jak u wyżej wymienionych” .

— No dobrze, przerwa. Muszę się czego napić, a i panu to radzę — powiedział sędzia. Zostawił swoje notatki na biurku, tuż przy maszynie protokolanta, i wyszedł.

Marian Wreński głowę miał pełną fachowych lekarskich zwrotów i definicji określających najróżniejsze rodzaje ran. Ale mimochodem zerknął na pierwszą stronę, zapisaną rosyjską cyrylicą. Znał ten język i szybko przebiegł wzrokiem po notatce: „Przyczyną śmierci zbadanych zwłok mężczyzn (za wyjątkiem opisanych pod punktami 2 i 18) były rany postrzałowe zadane z karabinu maszynowego, automatów oraz rany spowodowane odłamkami granatów. Na niektórych zwłokach stwierdzono rany cięte zadane ostrym, twardym narzędziem, możliwe, że nożem lub bagnetem. Brak widocznej przyczyny śmierci dwóch mężczyzn opisanych w punktach 2 i 18 wobec braku jakichkolwiek śladów obrażeń na ciele. W tych przypadkach możliwe, że śmierć zadano poprzez zakopanie żywcem w ziemi”.

Dopiero wtedy Marianowi Wreńskiemu zrobiło się naprawdę niedobrze. Wybiegł szybko do łazienki i tam schłodził spoconą twarz zimną wodą prosto z kranu. Kiedy to nie pomogło, połał sobie nią całą rozpaloną głowę.



— Proszę opowiadać, co działo się potem.

— W tym miejscu stała jedna radziecka jednostka, a druga była koło cmentarza. I nas by może nawet nie spalili, ale ci spod cmentarza szli na pomoc tym tutaj zaatakowanym. Już z daleka dawali ognia. Pociski przenosiły w tę stronę i może nawet niejednego swojego raziły. Jak później przyszli, to po kolei z każdego domu zabierali mężczyzn, starych i młodych. Do nas przyszło kilku Ruskich i ojca zabrali. Każdego Polaka na przywitanie bili, albo po głowie, albo po kręgosłupie. Tata dostał w kręgosłup i padł. Jeden mówi: „Dobij go”.

Ale ojciec złapał powietrza, oprzytomniał i wstał. Mówił mi później, że bili niesamowicie w tych oborach przy parku. Katowali przeważnie młodych albo tych lepiej ubranych. Ojca na szczęście nie tyle, bo rolnik, ręce spracowane, starszy już był. Później po nocy ich puścili.

— A ten pożar to jak wybuchł?

— Jak pociski od strony cmentarza zaczęły razić Rosjan, to oni zaraz przyszli do wsi. I od razu zaczęli palić wszystkie budynki po kolei, bo wydawało im się, że stąd do nich strzelano. Albo podpalali słomiane strzechy zapalnikami czy zapalniczkami (bo mieli niemieckie zdobywcze), albo tak jak u nas siekli po dachach seriami kul zapalających. I po chwili było już morze płomieni. Dachy słomiane, budynki w większości drewniane, lato, sucho. U nas tylko obora była murowana z cegły, ale spalił się na niej cały dach. Wszystkie świny się spaliły, owce się spaliły, baran. A krowy zdążyliśmy wypuścić na pole, no i konie też ocalały. U nas w rodzinie panika, dach już się palił, a my, matka, brat i ja, wynosiliśmy wszystko z mieszkania. Mieliśmy na podwórzu taką ziemiankę na kartofle i tam wszystko wrzucaliśmy. Ale i tak część rzeczy się popaliła.

— Czy Rosjanie byli pijani?

— Nie, raczej nie. Nie czuć było od nich wódki, nie widać było, żeby który wtedy pił. Ale byli okropnie zdenerwowani. Bo to był szok. Wojna się skończyła, wracają do domów z łupami, a tu bitwa.

Kiedy w niedzielę rano przyjechało wojsko polskie z Kozienic, to Ruskie myśleli, że to znowu partyzanci, i o mało się nie postrzelali z tym komunistami. Ale jakoś się dogadali i zaczęli swoje dochodzenie, śledztwo przeprowadzać. I w niedzielę się wszystko uspokoiło.

Przychodzili Ruscy oglądać tę naszą spaleniznę i zaczęli wykrawać mięso z tych przypieczonych wieprzków. Matka mówiła z wyrzutem: „Na co było to palenie, nie trzeba było wczoraj żywe świny brać?”.

Ale oni już byli spokojniejsi, już tłumaczyli się, że jak wybuchła ta nagła strzelanina, to oni nie wiedzieli, gdzie jest wróg, i bali się. Dlatego strzelali i palili. Mówili do matki, że to pomyłka, nieporozumienie, bo ich towarzysze szli na pomoc, a oni myśleli, że tu partyzanci stoją.

— I to koniec?

— Prawie. Kiedy rano na nasze zgliszcza przyszedli Sowieci i zaczęli wyrzynać z tych popalonych zwierząt szynkę i inne przysmaki, to gnerali w chlewiku przy tych martwych świniach. I jeden z nich znalazł tam pistolet. Mówi do nas: „Ooo! W y chcieli nas ubić?! "W y par-tyzanty?!". I już nas, całą rodzinę, postawili pod ścianą do rozstrzelania. Już szykowali broń do strzału. Ale matka zaczęła się zaklinać, że nic nie wiedziała o broni, i mówiła do nich: „Jak front stał pół roku i Niemcy stali u nas, to ja wiem, co oni tam zostawili? Może jeszcze z dziesięć takich pistoletów jest w obejściu pochowanych!”. I opuścili pepesze, odstąpili. Uwierzyli jej.



Falszywe dokumenty „Zagańczyka” wystawione na nazwisko Jerzego Jana Zygiera (Instytut Pamięci Narodowej)



Falszywe dokumenty „Zagańczyka” wystawione na nazwisko Jerzego Jana Zygiera (Instytut Pamięci

Kielce, styczeń - luty 1947

— Co obrońca ma do powiedzenia?

— Proszę o uniewinnienie oskarżonego od zarzucanych mu przestępstw popełnionych od stycznia 1946 roku do lipca 1946 roku. Za pozostałe winy proszę o łagodny wymiar kary.

— A oskarżony, Franciszek Jaskulski, co chciałby powiedzieć w ostatnim słowie?

— Proszę o ... proszę o karę śmierci.

Po sali przeszedł szum, szybko stłumiony przez okrzyki nakazujące ciszę.

— Wojskowy Sąd Rejonowy w Kielcach odczyta teraz uzasadnienie wyroku i wyrok. „Franciszek Jaskulski należał do nielegalnej organizacji pod nazwą «WiN», posługiwał się fałszywym dowodem osobistym na nazwisko Jerzy Jan Zygier, drukował i rozpowszechniał nielegalną prasę oraz bez zezwolenia władz posiadał broń. Pełnił funkcje kierownicze na różnych stanowiskach nielegalnej organizacji «WiN», był komendantem inspektoratu nielegalnego Związku Zbrojnej Konspiracji, a ostatnio zajmował stanowisko komendanta Okręgu Radomsko-Kieleckiego. Oskarżony, jako człowiek inteligentny i zdolny organizator, zdołał podporządkować sobie liczne luźne bandy, jak na przykład bandę «Jastrzębia», «Orła», «Oriona», «Dzidy»”.

Przerwa na łyk wody ze szklanki.

— „Bandyckie te grupy z rozkazu oskarżonego lub za jego wiedzą dokonały całego szeregu napadów. Oskarżony osobiście brał udział w napadzie i rozbrojeniu milicji oraz straży fabrycznej w Pionkach w styczniu 1946 r., jak również w starciu z żołnierzami Armii Czerwonej w Laskach w lutym 1946 r., podczas którego zabity został jeden żołnierz sprzymierzeńczej armii.

Franciszek Jaskulski przygotował też plan uwolnienia aresztowanych członków nielegalnej organizacji «WiN» z więzienia w Kozienicach. Na ten czas zarządził koncentrację podległych sobie band «Oriona», «Orła» i «Igły».

W drodze do Kozienic bandy natknęły się na żołnierzy Armii Czerwonej, w trakcie walki zabitych i zamordowanych zostało 35 żołnierzy armii radzieckiej”.

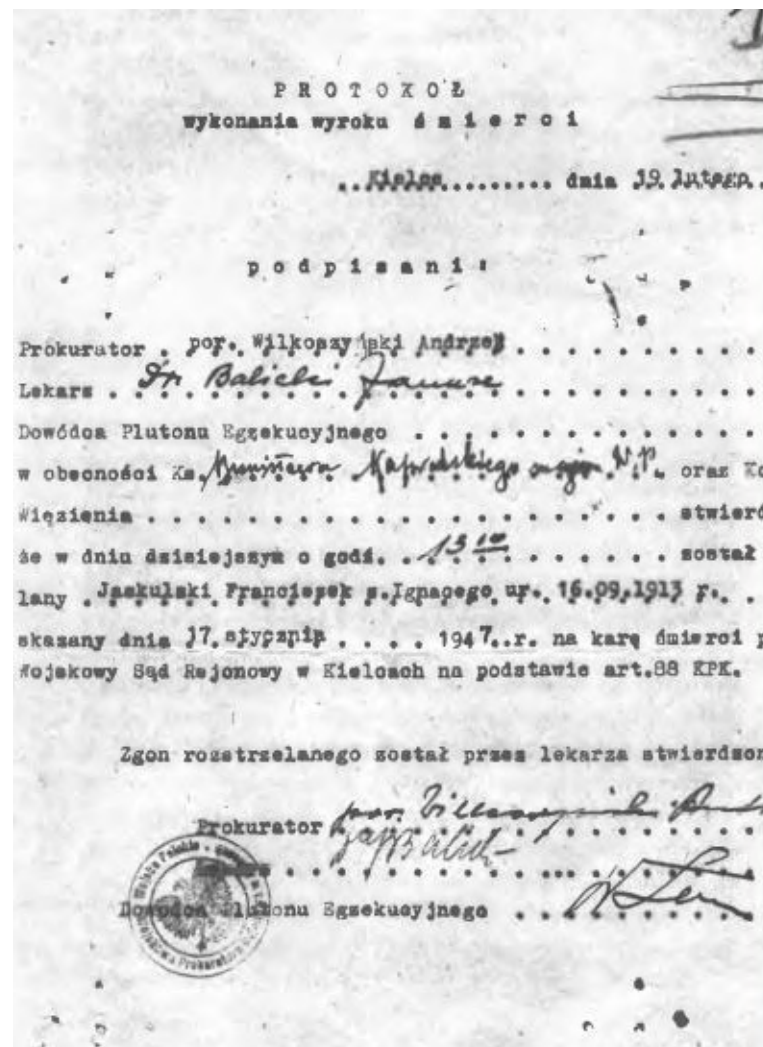
Sędzia ponownie przerwał czytanie i rozejrzał się po sali. Potem przełknął ślinę i wziął głęboki oddech.

— „Przewód sądowy nie udowodnił winy, że oskarżony brał bezpośrednio udział i dowodził bandami w czasie zabójstwa 35 żołnierzy Armii Czerwonej. Uniewinniono go również od zarzutu przechowywania i używania radiowego aparatu nadawczego — biegli orzekli, że aparat ten, jako niekompletny, nie nadawał się do użytku.

Jednak sąd nie dał wiary w uczciwe chęci oskarżonego do ujawnienia swoich oddziałów, gdyż to nie były szczere intencje oskarżonego.

Z przechwyconych grypsów wynika, że był to jedynie podstęp, aby wydostać się na

wolność i dalej iść drogą nielegalnej działalności na szkodę władz państwa, organów bezpieczeństwa i sojusznicznych wojsk sprzymierzonych. Później, gdy nadzieje na odzyskanie wolności w drodze obietnicy ujawnienia oddziałów zawiodły, Franciszek Jaskulski nawiązał kontakt ze swoimi podwładnymi znajdującymi się na zewnątrz, aby przemocą i z użyciem broni wydostać się z więzienia. To recydywista, który nie ustąpi z raz obranej drogi. Potrafi podporządkować swojej woli innych ludzi, a jako organizator i przywódca odpowiada za działalność nielegalnej organizacji i podległych mu zbrojnych band. Biorąc to wszystko pod uwagę, sąd uznał, że oskarżony jest bardzo niebezpiecznym i szkodliwym osobnikiem dla porządku prawnego państwa, recydywistą nierokującym nadziei na poprawę, którego należy wyeliminować raz i na zawsze.



*Protokół kary śmierci wykonanej 19 lutego 1947 r. na Franciszku Jaskulskim „Zagończyku”
(Instytut Pamięi Narodowej)*

Nawet sam oskarżony jest tego świadomy — w ostatnim słowie nie prosił o łaskę ani o łagodny wyrok, tylko o karę śmierci”.

I znowu moment przerwy, w czasie którego sędzia wziął do ust szklankę, wypił łyk wody i odstawił ją na stół. Przez dłuższą chwilę rozglądał się po sali, jakby z twarzy

zgrupowanych chciał wyczytać efekt swoich słów.

— „Dlatego też sąd uznał za stosowne i celowe zastosować względem oskarżonego Franciszka Jaskulskiego najwyższy wymiar kary, czyli karę śmierci”.

„Zagończyk” dla „władzy ludowej” był bandytą i recydywistą, ale i tak próbowano złagodzić jego wyrok. Ten sam skład sędziowski, który skazał go na śmierć, wnioskował potem do Sądu Najwyższego, aby zamienić jego karę na piętnaście lat więzienia, a prośbę do Bieruta o ułaskawienie podpisał za Jaskulskiego jego obrońca. Niestety Sąd Najwyższy odrzucił skargę rewizyjną obrońcy „Zagończyka”, a prezydent PRL nie skorzystał z prawa łaski. Na tej podstawie Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie zarządził bezzwłoczne wykonanie wyroku. Cała dokumentacja wróciła do Kielc 21 lutego 1947 roku, ale karę śmierci na „Zagończyku” wykonano już 19 lutego. Decydenci spieszyli się bardzo — 22 lutego miała wejść w życie amnestia, która orzeczone kary śmierci zamieniała na kary więzienia...

W dniu 19 lutego 1947 roku do celi trzydziestoczworoletniego mężczyzny o włosach siwych jak u starca wprowadzono księdza. Franciszek Jaskulski wypowiadał się spokojnie, a na koniec szepnął duchownemu: — Proszę przekazać mojej żonie, że moje serce zawsze kierowałem ku niej. A moim synom proszę powiedzieć, aby miłowali Boga i w nim pokładali całą ufność w czasie swojego życia.

Tego samego dnia po godzinie trzynastej Franciszek Jaskulski „Zagończyk” stanął przed plutonem egzekucyjnym.



Chicago, 1994

Tak, Tadeusz Zieliński „Igła” to był prawdziwy bohater. Pomimo amnestii nie złożył broni i walczył do końca. Już w wieku szesnastu lat, od 1943 roku, należał do AK. Po przejściu frontu nadal pozostał w konspiracji, związał się z grupą Stefana Bembińskiego „Harnasia”.

Latem 1945 roku wziął udział w akcji rozbicia więzienia w Kielcach oraz w operacji na więzienie w Radomiu. A potem walczył także razem ze mną, „Zaporą”, „Orionem” i „Szczyrbolem” pod Zwoleniem. Miesiąc później oddział „Igły” zorganizował udaną zasadzkę na komunistów. To wtedy zginął szef Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego z Rzeszowa - ppłk Alfred Wnukowski, oraz sześciu jego żołnierzy. Niestety w wymianie ognia poległa również żona Wnukowskiego. Komuniści bardzo bali się „Igły”, nazywali go „nieugiętą bestią”. A on był taki drobny, chłopięcy, a na twarzy - jak dziewczyna. Ale twardy był jak mało który mężczyzna. Rozbijał lokale wyborcze, likwidował ubeków, zwyciężał z komunistycznymi grupami operacyjnymi, niektórych ich żołnierzy pogonił aż do Radomia. Jednak w 1948 roku, chyba w czerwcu, został ranny. Rozwiązał oddział i tylko z jednym partyzantem próbował dotrzeć do Łodzi, do szpitala. I ten jego przyjaciel, najbardziej zaufany jego

żołnierz, po drodze najprawdopodobniej chciał go kropnąć. Nie wiadomo dlaczego.

Czy on był od dawna agentem UB, uśpionym w naszych strukturach. Czy może dopiero wtedy chciał się wkraść w komunistyczne łaski. A może zdobyć nagrodę, bo za „Iglą” UB wypuściło list gończy. No i ten zdrajca, „Listek” na niego mówili, strzelił do „Igły”, ale go nie zabił, tylko ciężko zranił. Wtedy „Iglą”, nie chcąc dostać się w „czerwone” łapska, ostatkiem sił wyjął granat i wyciągnął zawleczkę.



Tadeusz Zieliński „Iglą” - pośmiertne zdjęcie zrobione przez UB

(Instytut Pamięci Narodowej)

Wolał się rozerwać, niż iść w niewolę. Tak zawsze mawiał: bić się do upadłego, nigdy się nie poddawać, a ostatnią kulę zostawić dla siebie. Taki był „Igła”.

Ja tam nie byłem bohaterem. W lipcu 1946 roku zostałem ciężko ranny w starciu z UB, a mój oddział w sposób zorganizowany działał zbrojnie do września tego roku. Wtedy to, wykorzystując lokalne zawieszenie broni i amnestię dla grup Związku Zbrojnej Konspiracji, ujawniłem się ze swoimi ludźmi 6 września w UB w Radomiu. Było nas ponad trzydziestu partyzantów. Zdaliśmy prawie całą posiadaną broń, a było tego sporo. Samych automatów dwanaście sztuk. Później już nie walczyłem, choć czynnie angażowałem się w działalność konspiracyjną. Utrzymywałem na przykład kontakty z grupą „Oriona”.

Po wejściu rządowej amnestii po wyborach ujawniłem się po raz drugi w marcu 1947 roku w UB w Radomiu. Ożeniłem się z Haliną Cecot, swoją łączniczką, i wyjechaliśmy do Wrocławia. Stamtąd nielegalnie wyjechałem do Francji, a później do USA. Niedługo potem dołączyła do mnie moja żona. Zamieszkaliśmy w Chicago, gdzie prowadziłem stację benzynową, ale teraz odpoczywam na emeryturze.

Za komuny, w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, moja Halinka kilka razy przyjeżdżała do Polski i odwiedzała swoją rodzinę, a także, w tajemnicy, znajomych z konspiracji. Ale ja bałem się jechać, z obawy, że mogą mi nie pozwolić potem wrócić za granicę, że mogą mnie zamknąć. Moi rodzice mieszkali w Garbatce, ale już nie żyją. Moje dwie siostry, Alfreda i Barbara, również były w AK, a później, po wyzwoleniu, działały u „Orlika” i w mojej grupie. I za to komuna nie dawała im spokoju, były więzione, sądzone, skazywane. Za walkę o wolność Polski.

Dziękuję, że list Pana ożywił te wspomnienia, że choć przez chwilę mogłem być młodym chłopakiem, partyzantem chodzącym lasami ze swoją grupą i walczącym o prawdziwą Polskę. Czasami żałuję, że mieszkam tak daleko od Polski. Tęsknię za ojczystą ziemią, ale taki widać los polskiego żołnierza-tułacza.

Pozdrawiam i łączę wyrazy poważania.

Zamiast zakończenia

Zaraz po obiedzie do Majdanu Kozic Górnych, niewielkiej wioski niedaleko Lublina, wjechała komunistyczna grupa operacyjna.

Kilkudziesięciu uzbrojonych w karabinki Kałasznikowa funkcjonariuszy ZOMO i kilku z SB po cichu i sprawnie otoczyło jedno z gospodarstw. Dowódcy wzięli do ręki lornetki, żołnierze wysunęli do przodu lufy karabinków. I chociaż kordon był już zamknięty i szczelny, wszyscy czekali. Dłużyły się minuty, funkcjonariusze marzli, leżąc na ziemi, a ich dowódcy nie pozwolili nawet zapalić.

W pewnym momencie esbecy zauważyli przez lornetki, jak z domu wychodzi wysoki, barczysty mężczyzna z teczką w ręku. Pokręcił się po obejściu, podszedł do ogrodzenia i patrzył w dal, a potem wszedł do stodoły. Po kilku minutach wrócił na podwórze i wyszedł przez furtkę na drogę, chcąc uwolnić się z okrążenia.

— Poddaj się! - wrzasnął któryś z esbeków, widząc zbliżającego się podejrzanego.

Wtedy mężczyzna nagle przystanął. Szybko sięgnął do teczki, wyciągnął pistolet i strzelił kilka razy w kierunku zomowców. Potem zaczął biec z powrotem do gospodarstwa, z którego wyszedł. Dopadli go pod domem sąsiadów. Pierwszą celną kulę dostał w brzuch. Odrzucił teczkę i chwycił się za piekącą ranę. Cały czas miał pistolet w ręku.

Przeskoczył jeszcze żywo płot, ale to był już koniec. Jakiś zomowiec skryty za lipą przeszył go serią, a jedna kula trafiła prosto w serce.

— Jest, jest! - krzyczeli do siebie komuniści i ze wszystkich stron przybiegali oglądać zabitego. Dopiero teraz znaleźli się odważni, kopali martwe ciało i dowcipkowali:

— Może chcesz jabłko, bandyto, albo papierosa?

Podjechało kilka samochodów, a karetka zabrała jedyne rannego funkcjonariusza ZOMO. Potem zjawił się prokurator. Słońce już zaszło, więc latarką oświetlał ciało zabitego wroga i pytał mieszkańców Majdanu: — Czy to jest ten bandyta Józef Franczak „Lalek”?

— Przecież wiecie, kogo zabiliście — odburknęła jedna z kobiet.

W taki sposób swoją finalną walkę stoczył ostatni Żołnierz Wyklęty. Był 21 października 1963 roku. Tego samego dnia ciało „Lalka” przewieziono do Lublina i na wniosek prokuratora odcięto martwemu żołnierzowi głowę. A potem nagi, bezgłowy korpus ostatniego Wyklętego wrzucono potajemnie do bezimiennego grobu na cmentarzu przy ulicy Unickiej. Na szczęście ktoś z pracowników cmentarza zapamiętał to miejsce i po latach, w 1983 roku, rodzina Józefa Franczaka przeniosła jego prochy na cmentarz parafialny w Piaskach.

W styczniu 2015 roku, po blisko dwudziestoletnim śledztwie i poszukiwaniach, historykom IPN udało się odnaleźć i zidentyfikować czaszkę Józefa Franczaka „Lalka”. Według ustaleń śledczych głowa ostatniego Żołnierza Wyklętego została odcięta w 1963 roku po to, by zbadać stan jego uzębienia i ustalić, który z dentystów leczył go w czasie, gdy ten ukrywał się przed komunistycznym wymiarem sprawiedliwości. Potem czaszkę przekazano lubelskiej uczelni medycznej. I właśnie na dzisiejszym Uniwersytecie Medycznym w Lublinie udało się odnaleźć brakujące szczątki „Lalka”. Dnia 26 marca 2015 roku w archikatedrze lubelskiej odbyły się uroczystości pogrzebowe ostatniego Wyklętego. Tego samego dnia odnalezioną czaszkę bohatera złożono do jego grobu na cmentarzu w Piaskach.

Ostatnia strona tej książki

Młodzi żołnierze z Szarych Szeregów bez jednego wystrzału uwalniają swego kolegę z komunistycznego więzienia w Łowiczu, wypuszczając na wolność kilkudziesięciu innych więźniów .

Młodzi podchorążacy pod Kuryłówką roznoszą w ataku na bagnety sowieckich frontowych weteranów.

15 największych bitew Żołnierzy Wyklętych, opisanych na podstawie dokumentów , ale w zbeletryzowanej formie.

Niezlomność, odwaga, braterstwo broni, miłość do Ojczyzny.

Unikatowe mapy z planami i dyslokacji wojsk i kierunków uderzeń.

Archiwalne dokumenty i niepublikowane wcześniej zdjęcia uczestników walk.

Kulisy ubeckich operacji.

Przełomowe momenty walk.

Powojenne, najczęściej tragiczne losy uczestników walk.

SZYMON NOWAK urodzony w 1973 r., absolwent wydziału historii Mazowieckiej Wyższej Szkoły Humanistyczno-Pedagogicznej w Łowiczu. Publikuje w czasopiśmie historyczno-wojskowych (np. „Militaria XX wieku”, „Biuletyn IPN Pamięć.pl”) i na stronach internetowych (np. historia.org.pl. Historia WP).

Jest autorem książek o Powstaniu Warszawskim (np. „Przyczółek Czerniakowski 1944”, „Puszcza Kampinoska-Jaktorów 1944”, „Warszawa 1944. Alternatywna historia Powstania Warszawskiego”) oraz o Żołnierzach Wyklętych („Oddziały Wyklętych” i „Dziewczyny Wyklęte”).